

Zenon Ciechanowicz



**Nad
brzegami
Niemna**

Giżycko 2003

Spis treści

Przedmowa

Wstęp

- 1. Wspominam swoją wieś i najmłodsze lata ojca**
- 2. Z carskiej gwardii do austriackiej niewoli**
- 3. Od pokojowej przerwy do pierwszych sowietów**
- 4. Wojna. Potęga niemiecka zwycięstwo radzieckie**
- 5. Krajobraz z dziadkiem. Niemen**
- 6. Gospodarze**
- 7. Kolchozowe widmo**
- 8. Od pierwszego dnia szkoły do ostatnich godzin na terenie Kraju Rad**

Zamiast zakończenia

MINIIN

Podziękowania

Autor składa podziękowania następującym osobom, które w ten lub inny sposób pomogły w napisaniu, a potem w wydaniu książki:

Pani Ewie Lewińskiej z Giżycka za trud przeczytania pierwszej wersji książki, wniesienie uwag i poprawek w zakresie gramatycznym, stylistycznym i ortograficznym. Był to wielki wysiłek, a uwagi niezmiernie cenne.

Panu dr Marianowi Lemecha z Giżycka, za spostrzeżenia i propozycje dotyczące ostatecznej formy książki, za zachętę do pracy nad jej poprawieniem i uzupełnieniem głównie w zakresie szczegółów z codziennego życia na Kresach Wschodnich mało albo całkiem nieznanymi młodemu pokoleniu Polaków.

Pani Otolii Siemieniec – Burmistrz miasta Mrągowo, za życzliwość, której nigdy nie spodziewałem się, za wyjątkowe zaangażowanie, mające na celu pozyskanie sponsora. Być może bez jej pomocy książka nie zostałaaby wydana nigdy.

Panu Profesorowi Tadeuszowi Redle z Gdańska, za przychylną opinię, która pozwoliła uwierzyć, że książka kwalifikuje się do opublikowania.

Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” za przyznanie środków na wydanie książki.

Ludmile Nazarienko z Białorusi, za przysłanie zdjęć z okresu szkolnego.

Aleksandrowi Rusieckiemu z Białorusi, za dostarczenie oryginalnych zdjęć z rodzinnego miasta, wsi i Niemna.

Przedmowa

Jest to prawdziwa historia rodziny polskiej, która od wielu pokoleń mieszkała na Kresach Wschodnich. Opowieść rozpoczyna się u schyłku poprzedniego wieku, a kończy się w grudniu 1958 roku, kiedy kolejny transport przekracza nową granicę Państwa Polskiego na Bugu, wywozi z Ziemi Ojców kolejne grupy uchodźców.

Główny bohater moich wspomnień, po przymusowym wcieleniu do obcej armii, bierze udział w pierwszej wojnie światowej. Jest zmuszony do walki nie za ojczyznę, lecz po stronie jednego z zaborców. Potem przeżywa gehennę niewoli u drugiego. Bezpośredni udział w kolejnej wojnie światowej szczęśliwie go omija. Staje się on wreszcie darmowym robotnikiem radzieckiego kołchozu, tak jak pozostali mieszkańcy tamtych terenów.

W książce znalazło się miejsce na przedstawienie najstarszego uczestnika wydarzeń, tj. mego dziadka, jego bezgranicznej miłości do wnuków, ogromnym szacunku do pracy i prywatnej własności, o niespełnionych nadziejach siwiutkiego, drobnego staruszka.

Książka jest protestem przeciwko wojnie i wzajemnemu zabijaniu się zwykłych żołnierzy. Pokazuje bezradność mieszkańców małej wioski w obliczu nadciągającego frontu.

Wspominając swoją młodość i przedstawiając tęsknotę za skrawkiem ziemi, który opuściłem na zawsze, pragnąłem szczegółowymi opisami przybliżyć tamte obrazy sobie i czytelnikom. Starąłem się zwrócić przy tym szczególną uwagę na zgodne współżycie mieszkańców wsi i okolic, brak wzajemnej nienawiści i wrogości ze względu na narodowość, wyznawaną religię lub światopogląd.

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród....

/ M. Konopnicka/

Wstęp

Bodźcem do napisania książki stały się wspomnienia rozmów z ojcem. Wypowiadał on myśli stanowczo, z ogromnym wzruszeniem i przekonaniem, iż zawierają prawdę historycznych wydarzeń nieznaną młodszemu pokoleniu. Jest to długi życiorys zwykłego mieszkańca wsi wpleciony w tragiczne wydarzenia, które dotknęły Polaków na Kresach Wschodnich w okresie od panowania Rosji carskiej, poprzez pierwszą i drugą wojnę światową, po radzieckie kolchozy.

Ojciec często, zdaniem tych samych słuchaczy może nawet zbyt często, opowiadał o swoim życiu i własnych doświadczeniach. Wspomnienia przekształcały się często w monolog nienawiści do autorów sfałszowanej historii, szczególnie dotyczącej wydarzeń z okresu ostatnich dziesięcioleci. Wspomnienia ciągłej niesprawiedliwości i przemocy w otaczającym świecie wzbudzały coraz większe, coraz gwałtowniejsze zarzuty pod adresem komunistycznej przemocy i zakłamanej propagandy tamtego znienawidzonego systemu, który zmusił rodzinę do opuszczenia stron ojczystych, drewnianego domu i piaszczystych pól zroszonych obficie własnym, słonym potem. W takich momentach lepiej było ojcowi nie przerywać i nie narażać go na jeszcze wyższy poziom wzburzenia. Wynurzenia swoje ojciec podsumowywał przeważnie stwierdzeniem, iż żałuje, że tego, co przeżył, nie może opisać, ponieważ „...ręka nieposłuszna i głowa nie ta”.

Po tych słowach, następowała nieoczekiwanie głęboka cisza, opowieść nagle urywała się, a twarz ojca nabierała kamiennego wyrazu. Wydawało się, że ten starszy człowiek, wraz ze swoimi myślami, przenosi się w dawno minioną przeszłość, nadal bliską i miłą, w odróżnieniu od świata aktualnego, coraz mniej rozumianego i z każdym dniem bardziej obcego. Odnosiło się czasami wrażenie, iż rodzic nie wypowiedział wszystkiego do końca, że jakąś wyjątkowo osobistą myśl przemilczał, zachował w tajemnicy. Może był to ukryty w sercu głęboki żal do mijającego szybko czasu i do braku perspektyw powrotu w lata młodości.

Nadal mam przed oczyma twarz i sylwetkę ojca, słyszę wciąż jego głos, pamiętam wielogodzinne wynurzenia. Promieniowało z nich pragnienie, aby tamte, dawne przeżycia i myśli pozostały na dłużej wśród nas. Zrozumiałem po latach, iż mam obowiązek spełnić życzenia ojca i utrwalić dla innych przynajmniej tę część wielokrotnie słyszanych opowieści, która na razie pozostała w zakamarkach zawodnej pamięci. Może w ten sposób wykonam jego niewypowiedziane życzenie - cichy testament.

W trakcie opisywania wspomnień ojca, nieoczekiwanie zrodziło się pragnienie przedstawienia stron ojczystych oraz własnych, dziecięcych i młodzieńczych przeżyć z pobytu na terenach, do których tak często i chętnie powracam jedynie w marzeniach i snach. Tamtych krajobrazów nie da się odtworzyć, lecz może uda się chociaż częściowo przybliżyć przyszłym czytelnikom wyjątkowe piękno małego zakątka byłych Kresów Wschodnich oraz codzienne problemy mieszkańców. Od 1939 roku bezskutecznie oczekiwali oni na powrót lat szczęścia w wolnej Polsce, która tak raptownie przestała istnieć i na tamte tereny już nie wróciła.

Śmierć naszych znajomych oraz bliskich przeżywamy samotnie, zawsze w smutku i żalu. Prawa życia są jednak silniejsze i po jakimś czasie o tamtych osobach pozostaje jedynie mocniejszy lub słabszy ślad w pamięci niektórych osób. Z biegiem lat wspomnienia zacierają się, jest ich coraz mniej. Następne pokolenia, z tymi co odeszli na zawsze, mają już tylko identycznie brzmiące nazwisko, a czasami i tego nie ma. Taka jest prawda nieodwracalnie przepływającego czasu i odradzającej się młodości w

nowych miłościach. Odwieczność przemijania, kruchość życia ludzkiego i krótkotrwałość pobytu na tym świecie zauważa się, kiedy siwieją skronie.

Czy nie jest dziwne, że historię kraju w większym lub mniejszym stopniu znamy na tysiąc lat wstecz, a o swoich bezpośrednich przodkach nie wiemy prawie nic? Przecież kiedyś, podobnie jak my dzisiaj, żyli, pracowali, cierpieli i cieszyli się. To z ich szczęścia i bólu zrodziło się nasze życie. Kto z młodych wie, jak miał na imię pradziadek..., prababcia... kim oni byli... ?

Nasz ojciec bardzo często mówił o sobie „...pożył ja na tym świecie ... pożył”. Miał szczęście osiągnąć wiek 96 lat w pełnej świadomości i dobrym zdrowiu. Często wspominał, że „już powinien odejść do wieczności tam, gdzie odeszli wszyscy koledzy”. Stwierdzał, że teraz jest inne pokolenie, a dla niego tu na ziemi nie ma już miejsca. Odnosiło się wrażenie, że było to mówione na wpół poważnie, na wpół żartem. Zawsze na pożegnanie, gdy wyjeżdżałem do Giżycka, w ostatniej chwili pytał się o termin następnego przyjazdu.

Tylko raz, na podwórku podczas pożegnania, padły inne, jakże prorocze słowa - „... już więcej nie zobaczymy się ...” To były ostatnie słowa ojca, słyszane przeze mnie. W oczach miał łzy, chociaż podczas poprzednich pożegnań nie zauważałem ich nigdy. Tak dla mnie skończyło się obcowanie z człowiekiem, będącym wzorem uczciwości, pracowitości i oddania rodzinie.

Opowieść rozpocznę od lat dziecińczych ojca. W bardziej odległą przeszłość niestety sięgnąć nie mogę. Ojciec wspominał, że nasz ród wywodzi się z Litwy, a jego dziadek lub pradziadek przywędrował jako gajowy, z księciem Radziwiłłem. Bliższych szczegółów nie znam. Historia, w tym miejscu urwała się, prawdopodobnie na zawsze.

Życie każdego pokolenia było, jest oraz będzie powiązane i wplątane w historię kraju, historię stron ojczystych. Wydarzenia globalne wpłynęły w sposób zdecydowany również na losy naszej rodziny. W miarę posiadanych umiejętności, starałem się to przedstawić.

1. Wspominam swoją wieś i najmłodsze lata ojca

1

Powroty do wspomnień, do lat minionych, to niewątpliwie główna cecha ludzi starszego pokolenia. Pomału, lecz nieustannie zbliżam się do wieku, w którym coraz bardziej zaczyna się żyć wspomnieniami, a wizja przyszłości skraca się lawinowo, w zastraszającym tempie. Widocznie dopiero z biegiem lat potrafimy zrozumieć, iż nie mamy szansy przesunięcia granicy krótkiego pobytu w realnym świecie, wyznaczonym odgórnie i indywidualnie dla każdego z nas. Próba wydłużenia tego okresu pozostanie na zawsze nieziszczalnym pragnieniem i nieosiągalnym marzeniem, tak samo jak przed dziesiątkami lat.

Wszystko się kiedyś kończy, lecz dopiero po przekroczeniu granicy pewnego wieku jesteśmy świadomi, że ta nieodwracalna, brutalna rzeczywistość dotyczy nas wszystkich. Oczywistych faktów, w latach młodości, zrozumieć nie potrafimy. Widocznie tak być powinno. Może wracanie do przeszłości i ponowne przeżywanie tego co dawno minęło, daje nie tylko odprężenie i radość ciepłych promieni tamtego słońca, może to przede wszystkim odmładza duszę i ciało.

Nasz ojciec, ciągle energiczny, pamiętający szczegóły sprzed wielu lat, opowiadający z werwą o minionych dziejach, prawdopodobnie zrozumiał to dawno. Może właśnie z tego powodu siadał często wygodnie na krzesło z mapą w rękę, a następnie nie zauważając otoczenia i zapominając o dniu dzisiejszym spędzał wiele godzin samotny, zamyślony. Najczęściej miało to miejsce w dni wolne od pracy lub święta. W tym czasie odbywał podróże do przeżyć z okresu młodości i lat dawno minionych. Nikt nie był w stanie ujrzeć tego, co widziały nieruchome oczy tamtego posiwiąłego dziadka z okularami na nosie.

W takich momentach przebywał daleko poza domem, poza dniem dzisiejszym. Mając przed oczyma jakieś kółeczka, różne kreski i wijące się grubsze lub cieńsze linie, dostrzegał miasta i osiedla, może jakieś wsie, widział rzeki i drogi z kolumnami maszerujących żołnierzy lub mokre, zimne okopy. Odnajdywał tam siebie, może głodnego, może zmęczonego, lecz zawsze wierzącego w dobrą gwiazdę opatrności.

Nie muszę zaglądać do żadnej mapy, aby wolnymi myślami wyobraźni, za wschodnimi granicami naszego kraju odtworzyć kontury współczesnej Białorusi, państwa które powstało w ostatnich latach. Bez trudu znajduję stolicę - Mińsk. Na zachód od Mińska, w odległości około 150 km, mam drugie duże miasto - Baranowicze. Od jednego punktu do drugiego biegnie czarna linia. W ten sposób oznacza się na mapach tory kolejowe.

W połowie odległości między miastami, prosty szlak stalowych szyn przecina błękitną wstęgę wody, powyginaną łagodnymi zawijasami raz w jedną, raz w drugą stronę. W tym miejscu tory krzyżują się z Niemnem. Na północ od torów i wschód od rzeki znajdują się Stołpce. Punkt przecięcia się torów i rzeki. Łatwo go znaleźć na każdej mapie. Tak często kierowałem tam wzrok podczas lekcji historii lub geografii, kiedy duża mapa obejmująca wspomniany teren wisiała na czarnej tablicy lub drewnianym stojaku. Czyżbym przeczuwał, że po latach będę tu wracać jedynie myślami?

W odległości około trzech kilometrów od centrum Stołpiec, obok piaszczystej drogi w kierunku południowym, dawno, przed laty powstała mała, cicha wioska. Ze wszystkich stron otaczały ją gęste lasy, nasączające suche powietrze zapachem świerkowych szyszek i sosnowej żywicy. W podmuchach zachodniego wiatru docierała do wsi orzeźwiająca wilgoć, zebrana nad przezroczystymi wodami Niemna i nieustannie parującymi mokradłami bagiennych łąk.

To wieś mego dzieciństwa i dzieciństwa braci. Tu przyszedli na świat i zakończyli życie nasi dziadkowie. Tu się urodzili rodzice. Tam wiodą mnie najczęściej ciche marzenia samotnych wspomnień.

Zanim przeniosę się myślami ponownie na piaszczystą ulicę i podwórko rodziców, muszę odbyć spacer po rodzinnym mieście. Brukowane ulice i drewniane, parterowe domki Stołpiec na trwałe zapisały się w zakamarkach młodszej pamięci. Mijające lata i upływający czas nie wymazały z wyobraźni tamtych widoków niepowtarzalnego dzieciństwa i beztroskiej młodości. Krótki spacer po rodzinnych okolicach wraz z synem Witkiem w 1989 roku nie zdołał zmienić w pamięci tego obrazu, który utrwalił się w latach młodości. Wspomnieniami i opisem wracam do lat odległych, do wyglądu miasta i wsi z okresu dzieciństwa.

Stołpce. Małe miasteczko. Kilka ulic. Duża stacja kolejowa i drewniane, parterowe domki, zamieszkałe najwyżej przez kilkanaście tysięcy mieszkańców. Tak wyglądało rodzinne miasto w latach mojej młodości. Nikt, nawet dziadek, nie był w stanie określić, kiedy w tamtym miejscu stanęły pierwsze drewniane chatki dawnych osadników. Wtedy nie było stalowej linii kolejowej i brukowanych ulic. Tylko czyste wody rzeki o nazwie Niemen napływały monotonnie z południa i odpływały spokojnie w kierunku północnym. Gdzieś daleko wpadały do ogromnego morza, którego większość mieszkańców nigdy nie widziała. W latach dzieciennych dziadka, osada rozrosła się do kilku piaszczystych ulic. Bruk na nich ułożono po pierwszej wojnie światowej przez młode władze odrodzonego Państwa Polskiego.

Są to wspomnienia dziadka, siedzącego na niskiej ławeczce w łagodnym cieniu niewysokiego płotu. Rodzice od rana pracowali na kołchozowym polu. Z błękitnego nieba spływał słoneczny żar, a dziadek jak zwykle przyszedł do wnuków i nieoczekiwanie rozpoczął opowieść o własnej młodości. Widocznie jest to jeszcze jedno potwierdzenie, że im człowiek starszy, tym bardziej tęskni za tym co dawno minęło.

Dziadek pamiętał piaszczyste ulice i nieliczne, drewniane chatki dawnego miasta. W jego pamięci pozostał również wysoki, drewniany wiatrak, stojący samotnie na najwyższym wzgórzu. Wokół rozciągały się kamieniste pola, uprawiane drewnianymi sochami i takimi samymi bronami. Życzliwe wiatry nieustannie wiały nad wzgórzem. Nie napotykając innych przeszkód, zawzięcie i pracowicie popychały ogromne, cztery płatowe skrzydła, zmuszając je do nieustannego obracania się. Jakieś skomplikowane tryby przekazywały napęd na okrągłe, ciężkie kamienie, które wirując monotonnie, napełniały wnętrze wiatraka jednostajnym, basowym hukiem, a ponadto ścierały na proszek twarde ziarna żyta lub pszenicy, tworząc pulchną, białą mąkę. Zbędne stały się domowe żarna, z których tak dobrej mąki nigdy nie uzyskiwano. Odpadła konieczność ręcznego kręcenia ciężkich, wielkich kamieni.

To są dawne lata. Jednak już wtedy Stołpce były większe od Okińczyc. Dziadek powtarzał też z szczegółami zasłyszane wspomnienia starszego pokolenia o pracy setek ludzi i konnych furmanek na budowie wysokiego nasypu, który powstał obok miasta, rozrastał się i wyciągał daleko na wschód i zachód, jak niekończąca się, szeroka wstęga. Wreszcie wyrównano nawierzchnię i ułożono w poprzek niekończący się rząd grubych, drewnianych kłoców, nazwanych podkładami. Czegoś takiego nikt nigdy nie widział. Nikt też nie rozumiał wyjaśnień kierowników dziwnej budowy zwanych inżynierami, że na nasypie powstanie droga żelazna.

Z jeszcze większym zdziwieniem, zarówno młodszy jak i starsi, usłyszeli kolejne, nowe słowo i pierwszy raz w życiu ujrzeni długą, stalową belkę, zwaną szyną. Z niedowierzaniem, delikatnie dotykali ją swoimi, spracowanymi dłońmi, a następnie układając kolejno, jedna za drugą, w dwóch równoległych rzędach i przyśrubowując do drewnianych podkładów, zbudowali pierwszy tor kolejowy. Był to ostatni etap budowy. Już wkrótce bez żadnych koni lub wołów, po błyszczących stalowych szynach miały toczyć się huczące koła ogromnych wagonów. Dziadek wspominał, że pierwszą lokomotywę przyciągnięto do Stołpiec, właśnie wołami z innego miasta, znajdującego się gdzieś dalej na północy, od strony jakiejś „Sieniawy”.

Nie da się odtworzyć dawnej historii naszego miasta. Krótkich opowieści z lat dzieciennych dziadka wskrzesić nie sposób. Szkoda, że wnukowie, zajęci swoimi pilniejszymi sprawami, nie chcieli słuchać opowieści z minionych lat.

Stołpce, w okresie międzywojennym, to typowe kresowe miasteczko, zamieszkałe w znacznym stopniu przez rodziny narodowości żydowskiej, które się zajmowały przeważnie drobnym handlem. Na wschodnich krańcach miasta właśnie wtedy wybudowano ładny budynek dworca i nową parowozownię. Ułożono dodatkowe tory. Przed wschodnią granicą Państwa powstała największa stacja. Praca na kolei zaczęła się cieszyć powszechnym uznaniem, a pracownicy szacunkiem.

Po północnej stronie torów, na wysokości stacji, piasek rozjeżdżonej drogi z sąsiedniej wsi zmieniał się w bruk z chodnikiem po jednej stronie. W tym miejscu rozpoczynała się główna, najdłuższa ulica naszego miasta. Na pewno taką pozostała do dnia dzisiejszego. Znałem tę ulicę z lat młodości. Biegła w kierunku zachodnim. Od zakończenia wojny nazywała się *Socjalistycznej*^[11]. Sama nazwa, bez dodatkowych argumentów, miała być przekonywującym dowodem dobrobytu i szczęścia, jakie stworzyła nowa władza mieszkańcom miasta i okolicznych kolchozów.

Tu, na przeciwko dworca, stał nieduży sklep z artykułami spożywczymi. Czekaliśmy przed nim wielokrotnie w długiej kolejce po chleb, z nadzieją kupienia wymarzonego bochenka. W centrum miasta znajdował się jeszcze jeden sklepik z szyldem: *Pradawolstwiennyje produkty*^[12]. Tam również czasami „dawali” chleb. Z jednego sklepu do drugiego, z nadzieją na kupienie niedostępnego rarytasu, podążało się obowiązkowo tą główną ulicą, wąskim przedwojennym chodnikiem. To tam, w cieniu przyulicznych drzew, tak bardzo pragnęło się ponownie wdychać aromatyczny zapach wymarzonej czarnej kromki i wypełniać usta smacznym mięszem.

Już wkrótce z lewej strony tuż obok chodnika pojawiała się solidna, szeroka podmurówka z czerwonej cegły. Wyrastał z niej równy szereg kwadratowych słupów,

wykonanych tą samą metodą. Stały nieruchomo, w jednakowych odstępach, niby wartownicy na straży jakiegoś ważnego obiektu. Grube, żelazne pręty wysokiego ogrodzenia między słupami, oddzielały od ulicy teren po przeciwnej stronie.

Za ogrodzeniem znajdował się płaski, żwirowy plac i stały prostokąty murowanych dwupiętrowych budynków, otynkowanych na żółty, ceglasty kolor. Pozostawał on taki sam, niezmienny od kilkudziesięciu lat. Nie miały na niego wpływu słoneczne promienie i upływający czas, jesienne deszcze i śnieżne zamiecie. Całość wyraźnie odróżniała się od drewnianej, jednopiętrowej zabudowy, tak charakterystycznej dla naszych terenów.

Do 1939 roku obok ogrodzenia dumnie spacerowali dorośli. Z zainteresowaniem zaglądały na drugą stronę dzieci. Chętnie wybierały ten chodnik młode dziewczyny, które zwalniały czasami krok i zawsze, niby przypadkowo, poprawiały uczesanie. Wzrok przyciągały zielone mundury równo maszerujących żołnierzy, którzy śpiewali głośno:

O mój rozmarynie rozwijaj się...
lub
Wojenko, wojenko cóż żeś ty za pani...

Polskie piosenki, komendy w języku polskim. Nie ma wątpliwości. Tam znajdowały się wojskowe koszary wybudowane w okresie międzywojennym przez władze polskie.

Ładne koszary. Głośne śpiewy. Strojni chłopcy w dopasowanych mundurach sprawnie wykonujący komendy. Tu rodziło się poczucie pewności i stabilności. Stąd promieniowała nadzieja, że przed mieszkańcami miasteczka i całego kraju zapowiadają się długie lata spokojnej pracy i dobrobytu. Takie były marzenia. Tak miało pozostać na długie, długie lata.

Od 17 września 1939 roku nikt w tym miejscu nie wydawał komend w języku polskim, nikt nie śpiewał polskich piosenek. W kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej na ulicach miasteczka już nie słyszało się mowy polskiej. Polska na tamtych terenach przestała istnieć. Nowe władze zmieniły nazwy wszystkich ulic. Na jednej zawiesili tabliczki z napisem: *wulica 17 wieraśnia*^[31].

Koszary pozostały z tyłu. Dokąd ta ulica prowadzi? Bez wątpliwości, do drugiego sklepiku z artykułami spożywczymi. Jeżeli nie było przed nim kolejki, to chleba tam również nie było. Sklepik znajdował się w centrum naszego drewnianego miasteczka. W centrum lub w jego pobliżu, tak jak w każdym innym większym lub mniejszym mieście na terenie Polski również po wojnie, powinien znajdować się kościół. Nikt nigdzie nie musiał go szukać. Wznosił się nad drewnianą, parterową zabudową, rzucał się w oczy z daleka.

W Stołpcach, po 1958 roku, nie znajdę strzelistych, wysokich wież. Nic nie da rozglądanie się po bokach. Co prawda po chwili, po prawej stronie ukazują się wieże, jednak o kopolastej formie. Tam znajduje się prawosławna cerkiew, górująca wyraźnie nad drewnianymi dachami sąsiednich domków. Czyżby kościoła w tym mieście nie było? Powinien być tu gdzieś, w pobliżu. Przecież rodzice, Antoni Ciechanowicz i Julia

Okińczyc ślub brali w kościele i to na pewno w Stołpcach. W zbiorach przedwojennych fotografii jest ich zdjęcie. Utrwalono moment wychodzenia młodej pary z kościoła.

Kościół nie widać i nie zobaczę go, pomimo spoglądania we wszystkich kierunkach. Natomiast wzrok przyciąga dziwny, pusty plac, po lewej stronie ulicy. Prawie w centrum miasta pusty plac? Dlaczego nie jest zagospodarowany? Może od dawna przeznaczono go na jakąś ważną budowlę, a na realizację brakuje wciąż środków? Może jest inna przyczyna?

Plac miał w przeszłości swoje przeznaczenie i był zabudowany. W tym miejscu znajdował się kościół katolicki, nie nazywany inaczej przez mieszkańców, jak kościół polski, w odróżnieniu od prawosławnej cerkwi będącej miejscem modlitw ludności białoruskiej i nielicznej rosyjskiej. Wysoki, ceglany mur, otynkowany i pomalowany na biało otaczał ze wszystkich stron posesję kościelną. Wewnątrz ogrodzenia znajdowały się ponadto pozostałości dawnego cmentarza. Może był to najstarszy cmentarz miejski?

Kościół stał jeszcze kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Zniszczony, z odpadającymi tynkami i zsuwającymi się dachówkami pewien okres służył nowej władzy radzieckiej jako magazyn zbożowy. Następnie w latach 1957-58 został rozebrany. Tak pozostało do 1989 roku. Może na jakąkolwiek inną inwestycję nie wystarczało środków, a może nikt nie odważył się podjąć decyzji o zabudowie tamtej działki?

(Już po pierwszym, wydaniu książki, na podstawie białoruskiej książki "Pamięć" ISBN 985-11-1312-8, dowiedziałem się, że pozwolenie na budowę Dominikańskiego kościoła w Stołpcach wydano w 1623 roku. W 1645 był on już wybudowany. W 1860 roku zlikwidowano klasztor, kościół stał się parafialny, a w 1865 r. został zamknięty i przekazany prawosławnemu duchowieństwu. Kościół został uszkodzony podczas wojny w 1915 roku, a w roku 1922 po tym jak został zwrócony katolikom, rozpoczęto w nim prace konserwacyjne. Nie wiadomo, czy do rozpoczęcia wojny zdołano zakończyć prace, ale po wojnie budynek był tylko lekko uszkodzony i w roku 1958 został wysadzony w powietrze. Stołpce utraciły wspaniały pomnik architektury i monumentalno-dekoracyjnej sztuki w stylu baroku. Nieznany jest los obrazów, jakie znajdowały się w kościele.)

Jest to wielki skrót dość długiej i szczegółowej informacji o kościele.

W tym miejscu skręcałem czasami z mamą w prawo, w cichą, boczną uliczkę. Lekko obniżając się, biegła prostopadle do głównej drogi miejskiej. Wystarczył kilkudziesięciometrowy spacer wąskim chodnikiem, aby zauważyć, że teren po prawej zaczyna się wznosić coraz bardziej, tworząc łagodne wzgórze obsadzone różnorodnymi okazami drzew ozdobnych. W pewnym momencie pod gęstą zielenią ukazywały się szerokie, kamienne schody z ciężkimi, tak samo kamiennymi balustradami. Wznosząc się tarasowo, coraz wyżej i wyżej, zapraszały do dalekiego wejścia, do wnętrza prawosławnej cerkwi. Cerkiew, w przeciwieństwie do kościoła, nie została rozebrana i powinna jeszcze stać wiele dziesiątków lat.

Dalej obok tej samej bocznej ulicy, na której skończył się chodnik i bruk, a rozpoczął się głęboki, sypki piasek, znajdował się cmentarz. Nie ujrzymy tam śladów po krzyżach i polskich mogiłach. To na tym cmentarzu spoczęły kości 82-letniego dziadka i naszego, trzyletniego braciszka. W tamtych latach na skraju drogi, przed cmentarnym ogrodzeniem siedział odziany w obdarte łachmany, jakiś dotknięty

okrutnym losem starszy mężczyzna bez nogi. Gruby, gęsty zarost, który zakrywał jego twarz, nie miał od dawna styczności z pędzlem i brzytwą. Długie, rzadkie włosy zapomniały, co znaczy grzebień, woda i mydło. Blaskiem rozpaczy świeciły jego oczy, a z ust wydobywał się głośny cerkiewny śpiew, błaganie o litość, pomoc i jałmużnę.

Dalej, na sporym, płaskim wzgórzu, znajdował się rynek miejski. Wydaje się, że sprzedających było tam tyle, co kupujących. Jednych od drugich nie potrafiłem odróżnić. Jedni i drudzy bez przerwy przepychali się chaotycznie, we wszystkich kierunkach. Czasami sprzedający trafiali na kupujących. Mama również wreszcie znajdowała kupców na kilka jajek, biały twarożek, a może nawet mały słoiczek śmietany i mogliśmy wreszcie wracać do domu.

Łagodnym spadkiem głównej ulicy lekko szło się dalej. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i oczom ukazywała się czworokątna, wolna przestrzeń centralnego placu miasta, najprawdopodobniej dawnego rynku. Niski, podłużny budynek w postaci długiego baraku zamykał wolną przestrzeń placu od strony wschodniej. Wybudowano go w okresie przedwojennym i od tamtego czasu starych ścian nikt nie odnawiał. Czyżby poszarzałe, odpadające tynki miały świadczyć o przedwojennej nędzy miasta i biedzie jego mieszkańców.

Dawno minęła sława mieszczących się tam pięciu małych sklepików. Przed wojną stanowiły widoczny dowód rozrastającej się potęgi żydowskiego handlu i tylko wtedy, w okresie rzekomo biednej kapitalistycznej Polski, grube deski szerokich półek po raz ostatni wyginały się pod ciężarem najróżniejszych towarów podobnie, jak obecnie dawne schodki, nadwerężone upływającym czasem, pod nogami nielicznych kupujących.

Ogromny budynek kina, z południowej strony placu, symbolizował powojenny dobrobyt mieszkańców miasta i okolic. Właśnie w tym miejscu, codzienne problemy z wykonaniem najprostszych zakupów, w prawie pustych sklepach, można było łatwo zastąpić kolejnym filmem, pokazującym najnowsze osiągnięcia pracowitego narodu radzieckiego lub sławiącego zwycięstwa jego dzielnej armii^[4].

Wróciłem wspomnieniami do centrum miasteczka. Tędy, jak to wielokrotnie opowiadała mama, w latach przedwojennych, przechodziły procesje na Boże Ciało. Podczas władzy radzieckiej, z okazji Pierwszego Maja, plac wypełniali dorośli i uczniowie, uczestnicząc obowiązkowo w spontanicznych manifestacjach, popierających politykę partii i rządu. Spokojnie i cierpliwie staliśmy przed wysoką trybuną dzielnych przywódców. Przemówienie, wzmocnione i zniekształcone zachrypniętym głośnikiem, zawieszonym na wysokim słupie, niosło się nad naszymi głowami. Gdybyśmy potrafili słuchać bardziej uważnie, to przy okazji by się dowiedzieli, że w kraju żyje się z dnia na dzień lepiej, że jesteśmy coraz szczęśliwsi. Na podany sygnał głośno i wesoło krzyczeliśmy ...urraaa !!! W tym dniu mogło być jeszcze weselej, bo istniała możliwość kupienia porcji lodów, po dopchaniu się do sprzedawczyni na wysokim, ciężarowym samochodzie.

Od zachodniej strony do placu przylegał skwer, który niczym nie przypominał poprzednich widoków. Ładnie utrzymany, z czystymi alejkami i równymi rzędami liściastych drzew tworzył miłe miejsce wypoczynku. Tu nie mogło być inaczej, nawet gdyby całe miasto wyglądało ponuro. W tym miejscu musiało być ładnie. Na alejkach i

stojących przy nich ławeczkach panowała jednak pustka. Nie przypominam sobie spacerujących tam, uśmiechniętych ludzi. Czyżby przeszkadzała im potężna postać z wysoko uniesioną ręką, stojąca na kilkumetrowym cokole, w centrum skweru?

Alejki, zbiegające się promieniście, prowadziły do pomnika wodza rewolucji i twórcy nowego państwa powszechnego dobrobytu, Włodzimierza Lenina. Gdy się przechodziło obok tamtej wysokiej, marmurowej postaci, następowała cisza, rozmowy przerywano. Nie wiem, czy baliśmy się bardziej lodowatego spojrzenia przywódcy narodu, tak bardzo kochającego dzieci, czy jego żyjących następców, którzy mogli nas usłyszeć i oskarżyć, że nie szanujemy powagi tego wyjątkowego miejsca.

Przyjemniej i weselej szło się dalej. Zaledwie kilkaset metrów pozostawało do Niemna. Sięgały tam niektóre uliczki, uciekające od pustego centrum miasteczka i zielonego skweru pozbawionego ptasiego śpiewu i dziecięcego śmiechu.

Idąc główną ulicą, kilkaset metrów za koszarami, najchętniej skręciłbym w lewo, chociaż tam, bruk i chodnik kończyły się wkrótce. Rozpoczynały się głębokie koleiny, wyłobione kołami ciężarowych samochodów, które służyły również pieszym. Prawym wgłębieniem szliśmy w jednym kierunku, a lewym - w przeciwnym. Poza koleinami, aż do samych płotów był głęboki, sypki piasek.

Po lewej stronie drogi, za niskimi, drewnianymi domkami, poszarzałymi ze starości, nieoczekiwanie rozpoczynała się niewielka, lecz dość stroma skarpa. Dalej się rozciągał płaski, równy plac. Znajdowała się tam nasza dwupiętrowa szkoła. W tamtą stronę wzrok się kierował niechętnie. Swoją murowaną nowoczesnością, wysoko ustawiony budynek przesłaniał błękitne niebo i przesuwające się po nim białe obłoki.

Szkołę wybudowały władze polskie w okresie międzywojennym. Pożar wojny nie zniszczył jej. Po zmianie granic wypełniła się ponownie dziecięcym gwarem i radosnym śmiechem, służąc cierpliwie nowym gospodarzom miasta i kraju. Szkolny budynek z rzędami wysokich okien w białej ścianie oświetlonej promieniami południowego słońca, nadal wyglądał wspaniale.

Wspomnieniami wracam tu chętnie i podążam w kierunku południowym, za przejazd. Na środku drogi, tak jak i w centrum ponownie znajdowały się równe okrągłe kamienie, ułożone ciasno jeden przy drugim, tworząc tzw. bruk. Jeszcze jedna pamiątka, z okresu międzywojennej Polski, ułatwiała życie po wojnie. Żelazne koła ciężkich wozów, na drogach pokrytych brukiem nie zapadały się jak w sypkim, letnim piasku lub w jesiennym błocie.

Bruk nie sięgał do niskich płotów za którymi przykucnęły drewniane, szare chatki na niedużych działkach. Od wiosny do jesieni były prawie całkowicie przesłonięte gęstymi liśćmi wisien i jabłoni. Wąskie paski drogi między brukiem a płotem, po lewej i prawej stronie, nie miały chodnika. Na tamtą piaszczystą ścieżkę schodziliśmy na moment, jeżeli środkiem drogi przypadkowo toczył się jakiś pojedynczy, ciężarowy samochód. Na poboczu ustawiał się też długi szereg chłopskich furmanek, oczekujący w kolejce przed magazynami zbożowymi. Po nastaniu kołchozów pobocze drogi świeciło pustką. Radzieckie władze, właśnie na tej ulicy, zawiesiły tabliczki z nową nazwą w języku białoruskim: *wulica 17 wieraśnia*. Przemierzaliśmy ją codziennie, udając się do szkoły i wracając do domu.

Jeszcze kilkaset metrów i za ostatnimi zabudowaniami powinna się ukazać szeroka, błękitna przestrzeń cichego jeziora, nieruchomo wtulonego w soczystą zielen przyległej łąki. Gorące, suche powietrze zmieniało się tam na orzeźwiające, nasycone wilgocią, dające miłą ochłodę. Przynosił go powiew swawolnego wiatru, który napływając od dalekiego lasu, delikatnie głaskał wodną tafle i tworzył niskie fale. Odbijały one wesoło słoneczne promienie, a potem monotonicznie z cichym szumem wślizgiwały się na piaszczysty brzeg.

Znalazłem się przed obszernym jeziorkiem, które powstało w wyniku przegrodzenia wysoką tamą niedużej rzeczki. Nie słyszałem, by miała jakąś nazwę. Spiętrzone wody wystąpiły z brzegów, rozlały się szeroko. Władze radzieckie zrealizowały kolejną inwestycję socjalizmu w ostatnich miesiącach naszego pobytu na tamtych terenach. Gdy chodziliśmy do Stołpiec do szkoły nie było tamy, nie istniało jezioro. Wśród wysokiej, nigdy nie koszonej trawy, łagodnymi zawijasami płynęła rzeczka kilkumetrowej szerokości. Jej wody kilkaset metrów dalej zasilają Niemen.

Po prawej stronie drogi znajdowały się grube wały ziemne, porośnięte trawą. Między nimi powstały obszerne, kwadratowe niecki częściowo zapełnione wodą, ale w niektórych miejscach, tam gdzie woda nie sięgała, pojawiły się różne krzaki. Nawet kilkunastoletni chłopcy rozumieli, że okres świetności tych urządzeń dawno przeminął. Widzieliśmy jeszcze jedną pamiątkę z czasów władzy polskiej. Tak wyglądały stawy do hodowli karpia. Po wojnie zostały one zaniedbane, pozostawione własnemu losowi. Nikt w nich żadnych ryb nie hodował. Władza radziecka takimi drobnostkami nie zajmowała się, pomimo głodu panującego w całym kraju. Gdyby ktoś, prywatnie, spróbował je odnowić i przywrócić do stanu poprzedniego, to jako wróg państwa radzieckiego, znalazł by się na dalekiej, śnieżnej Syberii i do końca życia żadne głupie myśli o hodowli jakichkolwiek ryb już by mu nie przyszły do głowy.

Teraz droga prowadzi po dość wysokim, wąskim nasypie. Powstał bardzo dawno, tworząc jedyny przejazd ze Stołpiec w kierunku południowym przez podmokłe, nizinne otoczenie rzeczki, niosącej z szumem swe wody do Niemna. Skarpę po prawej stronie nasypu wzmocniono obsadzając cienkimi pędami młodych wierzb. Minęły lata i urosły z nich grube, rozłożyste drzewa, wychylone lekko w kierunku stawów i podmokłej doliny. Na środku drogi nadal znajdował się bruk ułożony z jednakowych, równych kamieni. Dwa pojazdy nadjeżdżające wolno z przeciwnych kierunków mogły się na nim wyminąć.

Za jeziorkiem bruk się kończył. Droga rozgałęziała się. Nie interesowało nas piaszczystym odgałęzieniem w lewo. Taki sam sypki piasek mieliśmy na drodze prowadzącej na wprost. W tamtą stronę skręcały dzieci ze wsi Orciuchy, kiedy wracaliśmy razem ze szkoły. Jeśli była późna jesień, to ich sylwetki po chwili ginęły nam z oczu, zlewając się z szarym otoczeniem. Samotni i mali szli długo przez las pod wysokimi sosnami, przesłaniającymi ciemne, nocne niebo. Z niskich chmur siąpił deszcz, kolejne drzewa stopniowo wyłaniały się z mroku, a oni do swoich wiejskich chat miały wciąż daleko. Do naszego domu było znacznie bliżej, iść było przyjemniej - las znajdował się tylko po jednej

Przed rozgałęzieniem, w pierwszych latach po wojnie stał radziecki czołg. Jego lufa była skierowana w kierunku miasta. Był lekko pochylony na skarpie. Jedna

gąsienica już się częściowo znajdowała na bruku. Widocznie kierowca zamierzał wjechać na środek drogi, zanim został trafiony niemieckim pociskiem. Ojciec twierdził, że cała załoga zginęła.

O rozgałęzieniu wspomniałem nie bez przyczyny. Za nim sto, może dwieście metrów dalej, w zadbanym sadzie wiśni i jabłoni, stał mały biały domek, taki na kurzej stopce. Obok niego, od strony Stołpiec w ostatnich latach powstał drugi budynek mieszkalny, większy i ładniejszy.

Tu mieszkał nasz miły, lubiany nauczyciel wychowania fizycznego i rysunków. Średniego wzrostu, mocno zbudowany, o szerokiej życzliwej twarzy, stoi nadal przed oczami jako wzór do naśladowania. Myśli przedstawiał spokojnie z wielkim zaangażowaniem. Sylwetką przypominał profesora Zina, prowadzącego wspaniałe audycje telewizyjne pt. „Piórkiem i węglem”. W podobny sposób opowiadał o malarstwie.

Aleksander Iwanowicz Nowikow, bo tak nazywał się ten człowiek, potrafił nie tylko malować. Równie dobrze rzeźbił, a ponadto lubił i potrafił opowiadać o malarzach i ich płótnach. Czynił to z pasją miłośnika i wiedzą znawcy przedmiotu tak, jakby pragnął przekazać swym słuchaczom całe piękno dzieła i przedstawić niespotykany talent mistrza. Przeważnie opowieściom towarzyszyły szkice wykonywane w tym samym czasie za pomocą białej kredy na czarnej tablicy. Spokojnego przebiegu lekcji nikt nie śmiał naruszyć. Również najmniej zdyscyplinowani uczniowie słuchali uważnie. Wszyscy z przejęciem śledzili krótkie ruchy ręki, wyczarowujące coraz inne obrazy, będące przedmiotem długich opowieści.

Drugą pasją tego człowieka był sport. O pięknie wygimnastykowanej sylwetki, o wyczynach sportowców, tak jak o malarzach i ich dziełach, potrafił opowiadać godzinami. To właśnie on rozbudził we mnie wciąż żywe pragnienie uprawiania gimnastyki, jazdy na nartach i łyżwach.

Miałem ogromną przyjemność spotkać się z nim w roku 1989, kiedy odwiedziłem strony ojczyste. Pomimo upływu lat prawie się nie zmienił. Wspólnie z synem, ze swoim nauczycielem i wychowawcą spędziłem miłe popołudnie, poczęstowany lampką wina własnej roboty.

Wtedy dowiedziałem się, że do Stołpiec przyjechał po wojnie, jak inni Rosjanie, w poszukiwaniu szczęścia i lepszego bytu. W żaden sposób nie mógł go znaleźć w swoich rodzinnych stronach. Na bezkresnych przestrzeniach tamtego ogromnego kraju zabrakło miejsca na malutki, prywatny domek z ogródkiem. Nie mając gdzie mieszkać, przystąpił do budowy domku. W tym celu nosił z pobliskiego lasu, na własnych plecach, długie żerdzie. Następnie przycinał je na mniejsze kawałki i z nich bez niczyjej pomocy sklecił malutką, drewnianą chatkę. Cienkie sosnowe ściany otynkował gliną żeby było cieplej, a potem pobielił wapnem, bo pragnął, aby było ładniej.

Drzewka owocowe i nieduże grządki uprawiane przy domku, stały się dopełnieniem szczęścia. W jego poszukiwaniu pokonał wiele kilometrów, tak jak inni Rosjanie. Po zakończeniu wojny przyjeżdżali na nasze tereny z nadzieją, że nie dotrą tu w szybkim czasie zasady obowiązujące na pozostałych obszarach radzieckiego państwa.

Z tyłu pozostały drewniane zabudowania naszego miasta. Ostatni piaszczysty pagórek z pojedynczymi, rosochatymi sosnami otwierał widok na rozległą równinę. Po lewej stronie ograniczała ją zielona ściana sosnowego lasu wygiętego na kształt wielkiego łuku. Na jego końcu, lekko przyćmione słoneczną mgłą, przykucnęły niskie, szare chatki, wtopione w ciemną zieleń znacznie wyższych drzew. Wieczorem, późną jesienią kilka dalekich światełek od lamp naftowych zapraszało do przyspieszenia kroku. Dalsze zabudowania rodzinnej wsi ginęły za niedużym wzniesieniem i zakrętem.

Droga do wsi nie prowadziła po prostej, przez zieloną równinę, lecz obok lasu, gdzie królował największy piasek. Czasami, wracając ze szkoły chłopcy wybierali kierunek na wprost, niby po cięciwie napiętego łuku. Piasek stopniowo zanikał. Pojawiała się jakaś niska roślinność, przekształcająca się stopniowo ni to w łąkę, ni to w paśnik. Na środkowym odcinku naszej trasy pojawiały się coraz większe kępy dzikiej, niskiej trawy. Trenowaliśmy więc przeskakiwanie z kępy na kępę, pokonując ten fragment drogi prawie biegiem. Do rodzinnej wsi było coraz bliżej. Do Niemna nadal daleko. Płynął gdzieś po prawej stronie, równoległe do naszej trasy, kryjąc się za niedużym wzgórzem, porośniętym krzakami różnorodnych wierzb.

Najczęściej jednak, wybieraliśmy nie bezdroża na wprost, lecz tak jak inni, wąską ścieżkę biegnącą skrajem suchego, sosnowego lasu, który osłaniał skutecznie rozgrzane, nieruchome powietrze przed napływem orzeźwiającego wiatru. Obok, po prawej stronie ciągnęło się szerokie pasmo szarego piasku z głębokimi koleinami od ciężarowych samochodów. Nagrzany słonecznymi promieniami wspierał żar, który sphywał z błękitnego nieba.

Równa, twarda ścieżka wiała się wśród leśnego igliwia i niskiej trawy, omijała samotne sosny, odsłaniając czasami ich grube korzenie. Wydeptały ją ciężkie buty przechodniów, a wygładziły lekkie opony szybkich rowerów.

Taką drogą chłopcy i dziewczyny z naszej wsi podążali do szkoły i wracali ze zdobytą wiedzą do domu. Podczas upałów w cieniu wyższych drzew poszukiwano ochłody. Zimą pod sosnami widziało się ślady wilków. Droga pokonywana pieszo zawsze wydawała się nudna i długa. Szybko i wspaniale jechało się po ścieżce rowerem, kiedy wiatr przyjemnie ochładzał, a do uszu dolatywał cichy szmer gumowych opon ocierających się o równe podłoże zagęszczonego piasku. Rower niestety był zbyt droгим luksusem. Do szkoły się chodziło tylko piechotą.

2

Kilometrowy odcinek lasu pozostał z tyłu. W wyobraźni, ponownie jak w latach szkolnych, widzę znajome, drewniane zabudowania rodzinnej wsi. Pierwsze, najstarsze chatki stały na pograniczu lasu. Grube konary wysokich sosen zwisały nad słomianymi dachami, a zamiast drogi mieliśmy głęboki piach. Pokonanie go na rowerze mogło być powodem do dumy.

Po prawej stronie, tworząc rażący kontrast z sypkim piaskiem utworzyła się bagienna dolinka, na której wyrastał olchowy zagajnik. Wyciągała się ona w kierunku drogi i przecinała ją utrudniając przejazd i przejście, szczególnie w okresie jesiennym. Głęboko zapadały się tam końskie kopyta oraz wąskie koła nawet pustych wozów. Z

lewej strony drogi bagienko przekształcało się w kilkusetmetrową oazę równej, zielonej łąki, za którą rozpościerał się znowu sosnowy las i niewielkie piaszczyste wzgórze, zwane polem.

Po prawej stronie było jednak ciekawiej. Za bagienną dolinką całkiem nieoczekiwanie pojawiała się dość stroma górka, wspaniale nadająca się na nasze narciarskie slalomy po krętych ścieżkach, między gęstymi sosenkami. Były to nasze wiejskie „Karpaty”. Nazwa w pełni odzwierciedlała młodzieńczą wyobraźnię o tym jak wysokie mogą być góry.

Za bagienkiem, droga dość wyraźnie wznosiła się i zmuszała do mocniejszego naciskania na pedały, jeśli była to jakaś rowerowa przejażdżka. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i wjeżdżało się na skrzyżowanie. Dopiero tutaj można było ujrzeć prawdziwy piach. Głęboki i sypki królował na całej szerokości drogi głównej, ale jeszcze większy występował na poprzecznej.

W tym miejscu, prawie na środku skrzyżowania, powinien stać niski, drewniany krzyż. Stał do momentu naszego wyjazdu do Polski, chociaż co najmniej raz się przewrócił. Przedwojenne drewno tuż przy ziemi spróchniało i przegniło. Ojciec, gdy tylko się o tym dowiedział, natychmiast ze szpadlem poszedł na skrzyżowanie. Wykopał tam drugi dół i krzyż postawił ponownie. W 1989 roku po krzyżu śladów nie zostało. Widocznie drewno ostatecznie spróchniało, a może krzyża przewróconego ponownie nie było komu postawić.

Wspomnieniami znalazłem się na skrzyżowaniu. Teraz mam do wyboru trzy drogi. Trzy kierunki, jak w bajkach, które czytałem bardzo dawno, w latach dzieciństwa. Kilkukilometrowej drogi w lewo, na wschód, nie wybiorę. Lekko wznosząc się, wdzierając się szerokim, pustynnym pasem w gęstwinę starego lasu, bezlitośnie oddzielając jedną część od drugiej. Wysoko nad głowami, na tle błękitnego nieba grube konary smukłych, wiekowych sosen nieoczekiwanie i samotnie zawisały nad pustką jałowej przestrzeni. Krzaczaste zarośla, leśna ściółka, sosnowe igliwie – wszystko kończyło się nagle wraz z gęstym cieniem, kontrastując z sypkim piaskiem. Gorące promienie letniego słońca pieściły go nieustannie.

Ta niby droga, nadmiernie szeroka, jak na potrzeby chłopskich furmanek, prowadziła do wsi Orciuchy, zagłębionej jeszcze bardziej w leśnych ostępach. Piesze wędrówki ani w tamtym kierunku, ani tym bardziej z powrotem, do przyjemnych nie należały. Były wyjątkowo długie i bardzo męczące. Chodziłem tą drogą, co najmniej kilkakrotnie, z mamą i dziadkiem. Ścieżka dla pieszych tam nie powstała. Mieliśmy do wyboru albo dwa płaskie wyłobienia, wytłoczone oponami samochodów ciężarowych na środku morza piachu, daleko od drzew, albo szlak furmanek konnych, w cieniu wśród drzew.

Dziecięce nogi męczyły się przed czasem, niezależnie od tego, czy maszerowałem przed mamą, czy wlokłem się z tyłu, za dziadkiem. Zaczynałem marudzić i narzekać coraz częściej i głośniejsze. Potykając się na nierównościach wąskiej dróżki, wydeptanej twardymi końskimi kopytami, byłem przekonany, że będzie znacznie łatwiej jeśli zejdziemy na drogę „samochodową”.

Tłumaczenia i wyjaśnienia dorosłych, że będzie tam bardziej gorąco i jeszcze ciężiej, nie docierały do mojej świadomości. Wreszcie, brnąc po głębokim piasku, schodziliśmy do dwóch podłużnych zagłębień. Na początku wydawało się to nawet zabawne i przyjemne, bo stopy osuwały się i grzęzły przyjemnie w gorącym piasku. Przecież teraz mogłem maszerować bez butów.

Taka zabawa stopniowo przestawała cieszyć, bo już wkrótce zauważałem, że długich kroków nie dało się wykonać, a nawet krótkie wymagały wielkiego wysiłku. Nad lasem rozpościerało się błękitne niebo bez żadnego obłoczka, jeszcze wyżej nad głową znajdowało się ogromne, oślepiające słońce. Płynął z niego bezlitosny żar, przed którym nie było gdzie się ukryć. Piasek wydawał się z każdym krokiem coraz bardziej gorący i krótka radość stopniowo zamieniała się w beznadziejną rozpacz. Końca drogi nie było widać. Za nami i przed nami, ciągnęły się monotonicznie dwa równoległe, głębokie ślady, stopniowo zwężając się przed większym wzniesieniem lub za łagodną dolinką, ale końca piasku nie było widać.

Gorące, nieruchome powietrze pozbawiało reszty sił. Nie było już chęci iść dalej. Kolana się zginały. Wzmagало się życzenie, by się położyć i usnąć. Mama ponownie słyszała rozpaczliwe pytanie: "kiedy wreszcie dojdziemy?", a ja znowu uzyskiwałem tę samą, znaną odpowiedź, że za najbliższą górką będzie następna i jeszcze jedna, a gdzieś tam, za lasem i polem, czeka nasz dom. Chociaż wędrówki tej miałem już dosyć, musiałem iść dalej.

Wędrówki do wsi Orciuchy i z powrotem, utkwiły w pamięci. Były to wyprawy do jakiegoś wiejskiego sklepiku, w którym czasami coś się łatwiej kupiło niż w Stołpcach. Odległość, w jednym i drugim kierunku, określano ilością górtek, na które musieliśmy wejść i z których według słów mamy schodziło się lekko i łatwo. Może tak było, lecz wąska dolinka szybko zostawała z tyłu, a z przodu wyrastała kolejna górką, jeszcze większa. Należało na nią wejść małymi krokami zmęczonych nóg. Może męczyłem się przed czasem również dlatego, że wyprawy w tamtym kierunku nie interesowały mnie wcale.

Gdybym teraz miał nawet największe chęci, to i tak bym nie mógł przejść tamtą trasą ponownie. Tam już nie ma kolein! Zlikwidowano piach, ułożono asfalt!

W tej sąsiedzkiej wsi, nadal zamieszkiwali przedwojenni gospodarze. Nie wiem, czy było więcej rodzin narodowości polskiej, czy może białoruskiej. Wszyscy żyli w zgodzie i w odróżnieniu od mieszkańców Okińczyc po 1945 roku nie ulegli rozszerzającej się gorączce wyjazdu na Ziemię Odzyskane, nie opuścili swoich domów.

W okresie, kiedy na naszych terenach rozpoczęto likwidację rolnictwa indywidualnego, mieszkańcy tych dwóch sąsiednich wiosek, próbowali uzyskać zgodę władz na utworzenie jednego wspólnego gospodarstwa, które w jakimś stopniu miało przypominać wzorzec radziecki. Niestety, władze na żadne eksperymenty nie wyraziły zgody. Powstał kolchoz gigant, z kilku wsi oddzielonych od siebie kilometrami polnych i leśnych dróg, zbliżonych wspólnym kierownictwem i połączonych tą samą, jednakową biedą.

Jeżeli stanęło się na środku skrzyżowania pod krzyżem w samym środku królestwa piasku, to w kierunku zachodzącego słońca również widziało się dziwnie

szeroką, prostą drogę. Kilkaset metrów dalej wysoka zieleń lasu otulała ją z obu stron. Gdzieś daleko, na skraju horyzontu, droga ginęła przed długim pasmem dość stromego, poprzecznego wzgórza. W tym kierunku podążało się zawsze z wielką ochotą, chociaż pierwsze dwieście, może trzysta metrów należało przejść po wyjątkowo luźnym piasku. Tu też bosa stopy zapadały się głęboko i łatwo, ale nie było to już męczące i chyba nie tylko z tego powodu, że miałem w tym czasie znacznie więcej lat. Dalej wchodziło się na niską murawę, która pokrywała zielonym dywanem szeroką płaszczyznę nasypowej grobli.

Co ciągnęło nas tam!? Dlaczego, idąc w tamtą stronę nie czuło się najmniejszego zmęczenia? Chyba nie z tego powodu, że już wkrótce w powietrzu wyczuwało się namiastkę wilgoci, nawet podczas największych upałów. Woda znajdowała się po obu stronach drogi, tam gdzie w wiecznym mokradle, wśród pokrzyw i paproci, wyrastały wysokie drzewa i skutecznie przesłaniały słoneczne niebo swym gęstym listowiem.

Las nie był gościnnie, nie zapraszał do wnętrza i nikt do niego nie wchodził. Tam się rozpoczynało królestwo pokrzyw i komarów. Między drzewami, w zagłębieniach wśród wystających grubych korzeni znajdowało się zimne, czarne błoto. W sąsiedztwie dzikiej, ostrej trawy, w zaciszu paproci, łatwo było natrafić na zygzakowatą żmiję, wygrzewającą się leniwie w ciepłych promieniach słońca. Przedzierało się ono gdzieś do wnętrza przez rozrzedzone konary najstarszych drzew.

Kiedy do końca drogi i celu wyprawy zostawało mniej więcej połowę trasy, po lewej stronie las się raptownie kończył. Tuż obok drogi rozpościerała się zielona łąka. Jedynie gdzieś tam wywyższały się na niej gęste, wierzbowe krzaki. Ciemną ścianę lasu można było ujrzeć dopiero daleko, na skraju horyzontu. Potem rozszerzał się on i zbliżał się ponownie pokrywając bujną zielenią niewysokim wzgórze, które wyciągało się w naszą stronę w postaci zwężającego się, potężnego jęzora. Między nim, a drogą falowało szerokie morze soczystej, wiotkiej trawy.

W tym czasie, po prawej stronie również rozpoczynała się niska, bagienna łąka. W niektórych miejscach, cofała się pod naporem drzew nacierających pojedynczo lub niedużymi skupiskami z odległego, lekkiego wzniesienia. Cicha, wieloletnia walka między dziką, niską trawą, a wysokimi drzewami nie utworzyła ostatecznej, stałej granicy. Trawa wdzierała się wszędzie, a drzewa wyrastały jedynie tam, gdzie nasionka miały szansę skielkować. Tam, gdzie pęczniały i ginęły w wiecznej, nadmiernej wilgoci, zwyciężała nędzna, dzika trawa wyrastająca nierówno, kępami.

Tereny te nazywano łąkami. Wąskie paski "łąki" mieli tam dziadek i ojciec. Nawet w upalne lato, podczas sianokosów, w najniższych miejscach pod nogami chlupała woda o jakimś rudawym, rdzawym kolorze. W powietrzu unosił się dziwny zapach bagna i wędnącej trawy. W jakiś sobie tylko znany sposób gospodarze kosili, suszyli a potem zbierali siano. Umieli również rozpoznać granice własności. Nieduże wąskie działki porośnięte nędzną, rzadką trawą w nieznacznym stopniu uzupełniały zapasy pokarmu na zimę. Te niby łąki wykorzystywano przeważnie do wspólnego wypasania krów i koni. Dziwny ten świat - terenów tamtych nikt nie chciał opuścić.

W pierwszych latach po wojnie, dokładnie tam, gdzie ojciec zatrzymywał się wozem, żeby rozpocząć pracę na swoim, mogłem się bawić w kierowcę. Tuż obok stał

jakiś niemiecki, osobowy samochód. Był spalony, nie miał kół, nie było szyb, siedzeń. Nie wiem czy został silnik. Mogłem jednak do niego wejść i poruszając kierownicą udawać, że jadę. Na wysokości samochodu zaczynała się nasza łąka. Pracował tam ojciec z dziadkiem. Któregoś dnia zmartwiłem się poważnie, bo samochodu już nie ujrzałem. Widocznie został zabrany na złom. Potem przestaliśmy podjeżdżać do tamtego miejsca naszym wozem. Nastal kołchoz, zabrał ziemię, zlikwidował pojęcie własności, smutkiem wypełnił serca mieszkańców.

Nie martwiło to jednak nas, kilku i kilkunastoletnich chłopców, bez względu na narodowość. Kilkuosobową, wesołą gromadką podążaliśmy dalej i obojętnie mijali to miejsce, gdzie po bokach drogi pojawiały się dwa głębokie stawy, obsadzone wierzbami. Koledzy rosyjscy o tym nie wiedzieli, ale dziadek już podczas pierwszej wyprawy długo opowiadał, że kiedyś, przed laty w tamtym miejscu znajdował się jeden wielki zbiornik wodny o nazwie Miranka. Dawni mieszkańcy naszej wsi w przypadku, jeśli ktoś porywał się na zadanie ponad siły, spokojnie stwierdzali, że ma taką samą szansę wykonania, jak zasypania Miranki. Ze zdziwieniem i niedowierzaniem przyjęli zapowiedź budowy drogi po rozmokłych łąkach. Przeprowadzenie jej środkiem głębokiego stawu uznali za pomysł pozbawiony sensu, całkowicie nierealny.

Droga powstała nie tylko na łąkach. Zgodnie z zamiarem kogoś ważnego, wbrew poglądom najstarszych, najbardziej doświadczonych mieszkańców, przeszła również środkiem Miranki i podzieliła ją na dwie części. Gospodarze wiele godzin, wiele dni pracowali podczas budowy, dowożąc piasek i żwir z dalekich wzgórz po drugiej stronie Niemna. Wąskie koła, okute żelaznymi obręczami, zapadały się głęboko w luźnym piasku, obracając się z trudem na dębowych osiach posmarowanych czarnym, gęstym dziegiem.

Wiele wozów sypkiego piasku przywieziono na drogę. Dziesiątki godzin obowiązkowego szarwarku przepracowali nasi przodkowie, zanim powstała szeroka grobla w poprzek łąk, zanim utworzono nasyp stwarzający możliwości przejścia i przejazdu środkiem Miranki na drugą stronę. Ojciec opowiadał, że jadąc w kierunku Niemna wreszcie nie omijano stawu daleko prawą stroną, skrajem przyległej łąki. Końskie kopyta już się nie ślizgały po gęstym błocie, a wąskie koła nie stawiały takiego oporu jak wtedy, gdy obracały się z trudem w gęstej czarnej mazi przelewającej się z szumem w głębokich, ciasnych koleinach.

Za Miranką, droga swym szerokim, równym pasem skręcała w prawo. Nie szliśmy w tamtym kierunku, lecz podążaliśmy ochoczo dalej na wprost, po szerokiej, szarej płaszczyźnie niepodobnej ani do łąki, ani do drogi. Próbowaliśmy tam rosnąć jakaś niska trawa, może chwasty. Cała roślinność usychała tuż nad powierzchnią gruntu, szybciej niż zdołała urosnąć. Za każdym razem, dążąc do celu wyprawy, mimowolnie wydłużaliśmy krok, zwiększaliśmy tempo. Żaden chłopiec nie zważał na szorstkie, twarde podłoże. Skóra naszych stóp od dawna była gruba, nie reagowała na takie drobnostki.

Od tamtego miejsca wyraźnie zwiększało się tętno, przyśpieszał się oddech, nasilała się praca serca. Uczucie podniecającej radości rodziło się, wzmagalo i rozrastało nie z powodu końcowego etapu pieszej wędrówki. Nikt się jeszcze nie zmęczył. Bez zbędnych słów i uzgadniania, rozpoczynaliśmy tam często bieg, w gorących promieniach letniego, wysokiego słońca.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i w poprzek trasy, w szerokim wyłobieniu niskich brzegów dostrzegaliśmy błękitną wstęgę najmilszej rzeki. Delikatnie otulała ją soczysta zieleń nadbrzeżnych traw. Promienie słoneczne odbijały się od drobnej fali dziesiątkami wesołych zajaczków. Nie ma wątpliwości - tu płynął nasz Niemen. To przed jego nurtem, nieco wcześniej skręciła w bok szeroka droga szukając możliwości przeprawy na drugą stronę w bardziej dogodnym miejscu. To ta rzeka, przyciągając z daleka jak magnes, nakazała skręcić w prawo, kiedy znalazłem się na piaszczystym skrzyżowaniu wiejskich dróg. To z tego powodu tak niechętnie szedłem w przeciwnym kierunku i tak się szybko męczyłem na trasie do wsi Orciuchy.

Wspomnieniami i wyobraźnią wróciłem kolejny raz nad ukochaną rzekę, nad nasz Niemen. Na zielonym brzegu i nad cichą wodą już się nie spieszę. Zatrzymuję się lub idę wzdłuż rzeki, jak w dawnych latach, w okresie młodości. Nad Niemnem nie ma pośpiechu. Nie było go nigdy. Czas tu płynął wolno, odprężał i dodawał sił. Za rzeką, zieleniła się wielka łąka. Gdzieś daleko, na jej krańcu, teren nieoczekiwanie się wznosił, tworząc pofalowany grzbiet długiego pasma wyraźnych, lecz niewielkich wzgórz, porośniętych sosnowym lasem. Wątpię, aby za wzgórzami znajdowało się coś ciekawego. Niemen płynął tu. Czy coś piękniejszego mogło być dalej?

Znalazłem się na skraju szerokiej wody, podążającej nieustannie głębokim nurtem gdzieś za kolejny zakręt, tak samo niezmiennie wiele dziesiątków lat. Marzeniami jestem znów nad wynioną rzeką dzieciństwa. Wchłaniam ponownie spokój promieniujący ze znajomej łąki, nieruchomego powietrza oraz równej, gładkiej tafli odbijającej jak w ogromnym lustrze wąski pasek przeciwległego brzegu i bezkres błękitnego nieba. Pragnę, jak w dzieciństwie, zbliżyć się bezpośrednio do wody, najlepiej tam, gdzie kiedyś znajdowała się nasza piaszczysta plaża, gdzie krótki, dwudziesto, może trzydziestometrowy fragment brzegu, jak na zamówienie ukształtował się inaczej, niż na pozostałym biegu rzeki. W tym miejscu powstał wyjątkowo dogodny dostęp do wody na łagodnym, piaszczystym stoku. Dalej od tego miejsca, po lewej i prawej stronie, rzeka płynęła w niskim, lecz stromym korycie.

Najchętniej bym podszedł do rzeki bliżej. Bardzo blisko, aby bosa stopy znalazły się na skraju nieruchomego piasku, tuż obok czystej wody. Żółty, wilgotny piasek delikatnie osuwa się pod ciężarem. Pozostają w nim odciski stóp. Zazdrosna rzeka na to nie pozwala. Prawie natychmiast ślady stają się płytsze, bardziej zamazane. Woda szybko wyrównuje powstające zagłębienia, likwiduje dowody pobytu intruza. Po chwili, jedynie lekka fala delikatnie jak przed wiekami głaszcze piaszczysty brzeg, niby go pieszcząc oraz przepraszając za naruszony odwieczny spokój i porządek. Nie ma już śladów ani moich, ani tamtych dawnych, na krótką chwilę zostawionych bosymi stopami przodków.

Gdybym się znalazł nad wymarzonym brzegiem ponownie, to najpewniej, jak w latach młodości, zechciałbym mieć ze sobą długą wędkę z prawdziwą, cienką żyłką, która wtedy była prawie niedostępna. Z narastającą falą emocji, w oczekiwaniu na wyniki połowu zarzuciłbym daleko w nurt haczyk z przynętą. Może bym się upewnił, że ryby w rzece zostały, może bym którąś złowił.

Najbardziej bym pragnął pochylić się nisko do wody, otwartą dłoń włożyć do rzeki i tak jak dawno w młodości znowu pogłaskać najmilszy potok. Rzeka żyje. Odpowiadając na gest przyjaźni, nurt powolny, lecz mocny delikatnie otoczył i objął by

dłoń. Przeźroczystry strumień z cichym szumem przepływał by między palcami, zapraszając do wspólnej wędrówki za najbliższy zakręt, a potem daleko, na północ.

Pierwszą myśl o bezwolnym spływie po gładkiej tafli, podporządkowując się prądowi uzupełnia druga. Jak przyjemna była by piesza wędrówka wzdłuż krętych brzegów, wąską ścieżką wydeptaną pośród wysokich traw. Niezapomnianym, niezrealizowanym szczytem młodzieńczych marzeń pozostaje letnia wyprawa środkiem rzeki szybkim, zwinnym kajakiem.

Przypomniałem sobie Niemen. Ponownie w marzeniach zobaczyłem tę cudowną rzekę dzieciństwa. Znad jego brzegów nie chce się wracać. Pomimo to, wędrówkę wzdłuż najmiłszej rzeki przełożę na później, tak jak na koniec posiłku zostawiamy desery. Jak kiedyś, niechętnie i powoli wracam z powrotem, na skrzyżowanie z drewnianym krzyżem, gdzie tak ochoczo skręciłem w prawo. Piaszczysta, wiejska droga niech prowadzi dalej.

Ojciec, wspominał często o drodze do Niemna. Powtarzał, że był to stary, historyczny trakt, który prowadził z dalekiej Moskwy do tak samo odległego Paryża. Tędy, w zamierzchłej przeszłości, piękne karety z wystrojonymi damami carskiego dworu mknęły ze śnieżnej Rosji do Europy, do Francji. Od ojca też się dowiedziałem, że tą drogą parły na wschód, w kierunku Moskwy pełne entuzjazmu wojska hitlerowskie. Główne siły uderzeniowe przetoczyły się przez naszą wioskę. Wyznaczono im zadanie – zdobyć stolicę kraju. Uśmiechnięci, szczęśliwi żołnierze, nie napotykając żadnego oporu, nie tknęli wioski, nie wyrządziły krzywdy jej przerażonym mieszkańcom.

Czy któryś z nich pomyślał przez moment, że nie tylko nigdy nie ujrzy dalekiej, mroźnej Moskwy, lecz też nigdy nie wróci do swego rodzinnego kraju? Czy któryś przewidział, że padnie gdzieś w polu podczas strasznej śnieżnej zamieci i tam, w głębokim, zmrożonym śniegu, skończy swoje młode życie?

Może złe przeczucia rodziły się dopiero w głowach żołnierzy z następnych batalionów i pułków wysyłanych na daleki wschód w okresie zimowym z równie dalekich Niemiec i Włoch. Zatrzymywali się w naszej wiosce na odpoczynek i poznawali przedsmak surowej, rosyjskiej zimy. Na twarzach nie zauważało się entuzjazmu, odrobiny radości.

Ileż to razy ojciec opowiadał o tym, że żołnierzy nie oszczędzano, a próbowano hartować i oswajać z warunkami, o których nie mieli żadnego pojęcia w swoich ciepłych krajach. Podczas mroźnej, śnieżnej zimy, kiedy rodowici mieszkańcy wsi chodzili poubierani w kozuchy, a kłęby białej pary wydobywały się z ust przy każdym wydechu, kazano im, porozbieranym do pasa, myć się i golić przy studniach, w lodowatej wodzie.

O czym wtedy myśleli młodzi włoscy chłopcy w wojskowych mundurach wyrwani ze swych słonecznych miast i wsi? O czym tak pięknie, wzruszająco śpiewali, w naszym domu? Dlaczego wśród innych, niezrozumiale brzmiących słów, tak często powtarzali ... Italia, ... Italia... ? Ilu ich zginęło daleko od ojczyzny na bezkresnych, rosyjskich stepach, a ilu po długich i ciężkich bojach podczas cofania się przed

nacierającą Armia Czerwoną, okaleczonych, nikomu niepotrzebnych wróciło do ukochanej, słonecznej Italii.

Pokonując tęsknotę za Niemnem, po zbyt krótkim spotkaniu z ukochaną rzeką, wypada wyruszyć dalej, wzdłuż rodzinnej wsi. W latach młodości nadal pozostawał tam sypki piasek, a głębokie koleiny ciągnęły się wzdłuż drewnianego płotu. Kilkadziesiąt metrów za skrzyżowaniem przestrzeń po prawej stronie powinna się gwałtownie rozszerzyć. Wzrok kierował się na podłużny kopiec wznoszący się w postaci zielonej wysepki pośród morza głębokiego piasku, zwanego drogą.

Kopiec, to zbiorowa mogiła po jakieś dawnej wojnie. Może Napoleońskiej, może innej? Usypali go mieszkańcy wsi, ku wiecznej pamięci niepotrzebnie poległych młodych mężczyzn. Na skraju kopca wznosił się drewniany, wysoki krzyż. Jego szerokie ramiona miały osłaniać i ochraniać próchniejące kości oraz zapewniać im spokój w dalekiej, obcej ziemi.

Krzyż powstał z wysokiej, smukłej sosny, przywiezionej z pobliskiego lasu. Z przycięciem jej na odpowiednią długość nie było żadnych problemów. Ręczne piły do poprzecznego cięcia drewna już we wsi istniały. Należało jeszcze wyciosać kwadratowy przekrój, by przekształcić okrągłą dźwignę w ładną, długą belkę. Doświadczony cieśla, udając się do pracy, zabrał ze sobą nie tylko dobrze naostrzoną siekierę, lecz i długi konopny sznurek oraz białą kredę w postaci małej, kruchej gałki.

Dwaj pomocnicy, zgodnie ze wskazówkami mistrza, rozciągnęli i ułożyli go wzdłuż kłosa, a cieśla osobiście i dokładnie posmarował kredą. Następnie, po kilkakrotnych przymiarkach, ustawił się na środku, w jednakowej odległości od obu końców i odciągając od kłosa, sznurek mocno naprężył. W następnej chwili gwałtownie puszczony odbił on na szarej powierzchni kory równą, białą linię. Tak samo wyznaczono pozostałe trzy podłużne krawędzie. Schylona postać cieśli, rytmicznie unosząca się i opadająca siekiera oraz odlatujące na bok szczapy potwierdzały, że dopiero teraz się rozpoczął najważniejszy etap prac.

Po upływie kilku godzin z okrągłej sosny powstała czterokątna belka o równych, gładkich płaszczyznach. Wreszcie można było dokonać odpowiednich, poprzecznych nacięć i połączyć dwie belki w postać krzyża. Wysoki, drewniany krzyż stanął nad mogiłą obcych, nieznanymi ludźmi. Prace zakończono, kiedy wokół miejsca ich wiecznego spoczynku wykonano zgrabny płotek.

Był we wsi jeszcze jeden krzyż, na naszej górze zwanej Karpatami. Górka była porośnięta sosnowym lasem, nie wiele starszym od nas. Odwiedzaliśmy to miejsce chętnie nie tylko zimą, ale i latem, bawiąc się w chowanego lub wojnę z „Niemcami”. To tam, od strony Stołpiec znajdowała się nieduża polanka z wysokim krzyżem, z metalowych rurek. Chociaż wielokrotnie, w momencie kiedy oglądałem to miejsce, chciałem wiedzieć z jakim wydarzeniem wiązało się ustawienie go w tamtym miejscu, co symbolizował, ale w drodze do domu ciekawość gdzieś ginęła i dzisiaj o krzyżu nic więcej nie wiem. Rosyjscy koledzy oglądając to miejsce jeszcze raz mogli przekonać się, że jeszcze nie tak dawno była tu Polska.

W 1989 roku, podczas pobytu w Okińczycach, już nie zobaczyłem ani kopca, ani krzyża na środku ulicy. Ktoś naruszył wieczny spokój dawnych żołnierzy. Ogromne

spychacze w kilka minut zepchnęły pagórek, który długo i mozolnie usypywali mieszkańcy, dowożąc piasek konnymi wozami. Krzyż przestał istnieć. Może nawet nie przeniesiono w inne miejsce białych kości, a tuż nad nimi usypano kamienny tłuczeń i ciężkim wałem wyrównano czarny asfalt.

W tym miejscu, po lewej stronie drogi, na równym i wielkim podwórku, wznosiły się ku niebu stare, grube modrzewie. Małymi sadzonkami były dziesiątki lat wstecz. Czyjeś pracowite ręce posadziły je dawno, przed laty. Jakieś szczęśliwe oczy cieszyły się pierwszą zielenią delikatnych, wiotkich gałązek. Myśli wybiegały w daleką przyszłość z nadzieją, że nadal zamożni potomkowie znanego rodu będą spacerować w cieniu wysokich, potężnych drzew.

W głębi podwórza, stał okazały drewniany budynek z dużymi, zadaszonymi schodami. Do wnętrza pałacyku zapraszały dwuskrzydłowe drzwi, wysokie i szerokie. Przed schodami zatrzymywały się w przeszłości piękne powozy. Parskały powstrzymywane na wodzach konie, oczekujący w zniecierpliwieniu na zajęcie miejsc przez dostojnych gości. Rozbawieni, uśmiechnięci pragnęli się zabawić kolejną, beztronską przejażdżką po okolicznych polach i sąsiednich lasach.

Nie ma wątpliwości, tu nie mieszkał małorolny chłop, przeciętny, wiejski gospodarz. W tym miejscu znajdowała się własność kogoś bogatego, posiadającego znaczną władzę. Wzdłuż posesji, od strony drogi, leżały w równym rzędzie ogromne, kamienne głazy. Oddzielały ścieżkę dla pieszych od piaszczystej drogi konnych furmanek, jedyne go środka lokomocji w tamtych czasach. Ciężkie granitowe bryły podkreślały siłę i pozycję właściciela.

Tamte głazy, to nie piramidy Faraonów, a Okińczyce, to nie Egipt. Jakimi metodami, jakimi urządzeniami, nie mając do dyspozycji żadnych potężnych dźwigów i maszyn, dostarczono ogromne kamienne bryły, a następnie ułożono wzdłuż jednej, wyróżniającej się posesji? Jaką władzę należało mieć, aby wydać odpowiednie decyzje? Kto tak potężny mieszkał w małej, leśnej wiosce?

Tajemniczy człowiek, to książę Radziwiłł. Tu znajdowała się jego letnia rezydencja. Jego lasy rozciągały się wokół naszej wioski. Nie ma Radziwiłła. Może nie ma i tamtego drewnianego pałacyku. Kamienie z granitu już nie istnieją - czas zatarł ślad.

3

Wędruję dalej, prostym odcinkiem wiejskiej drogi. Coraz bliżej rodzinny dom, miejsce w którym rozpocząłem pobyt na tym świecie. Z prawej strony mijam wąskie, długie podwórka, odgródzone wzajemnie od siebie i ulicy drewnianymi płotami. W równym szeregu stały tam małe, drewniane chatki, pamiętające pierwszych, najdawniejszych mieszkańców. Podobne do siebie, przykryte próchniejącą warstwą słomianej strzechy. Ich mieszkańcy kolejny dziesiątek lat przez małe okienka, spoglądali na tę samą piaszczystą drogę i pola po przeciwnej stronie. Pierwszy domek, to własność Michała Ciechanowicza, naszego dziadka, miejsce urodzin ojca. Po drugiej wojnie światowej zajęła go rodzina, która przybyła „ze wschodu”.

W zakamarkach pamięci bez trudu odtwarzam widoki dzieciństwa. Serce bije mocniej. Za chwilę randka z najmiłszymi wspomnieniami. Coraz bliżej dom rodziców, postawiony przez ojca w ostatnich latach przed wybuchem wojny. Wtedy wierzył, że posłuży również następnym pokoleniom. Czy poznam go?

Dom rodzinny łatwo poznam. Wniknął do pamięci od najmłodszych lat. W wyobraźni pozostał na zawsze. Od mijanych wcześniej różnił się nie tylko wiekiem. Znacznie większy, zwrócony dłuższą, frontową ścianą do drogi zajmował szeroką, obszerną działkę. Droga była nadal piaszczysta, lecz w tym miejscu lekko się obniżała i skręcała łagodnie w lewo. Przed domem, tuż za ogrodzeniem rosły krzaki bzu. Za nimi znajdował się kwiatowy ogródek, zawsze zadbane i kolorowy.

W latach naszego dzieciństwa tak to wyglądało. Mama się starała, aby kwiaty rozkwitły od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Kwitnący ogródek był jej dumą. Nawet w okresie kolchozów, kiedy istniał tylko jeden cel - wyżywienie rodziny, mama potrafiła znaleźć czas na posadzenie kwiatów i ich pielęgnację. Prace wykonywała samodzielnie. Prosiła o pomoc wyłącznie podczas wiosennego przekopywania. Nosiliśmy też wodę do podlewania. W tamtym beznadziejnym czasie tylko kwitnący, mały ogródek dawał jeszcze odrobinę radości, uśmiechu i szczęścia.

Natomiast po przeciwnej stronie ulicy, na polu, zaraz po wojnie doszło do wiejskiej tragedii. Tam chłopcy znaleźli jakiś granat lub inny pocisk. Wokół znaleziska zebrała się spora grupa ciekawskich. Najstarsi, a więc najważniejsi zaczęli coś przy nim manipulować, chyba próbowali rozebrać przy pomocy kamieni. Znacznie młodszy i mniejszy, blisko się dopchać nie mogłem. Przykucnąłem i próbowałem coś ujrzyć między ciasno ustawionymi nogami. Bardzo chciałem przepchać się dołem, żeby zobaczyć co się tam dzieje. Wyższym od siebie bym nie przeszkadzał.

Zamiaru swego zrealizować nie zdążyłem, bo usłyszałem głośnie wołanie mamy, że mam wracać na obiad. Chyba nie doniosłem jeszcze łyżki do ust, jak mocno huknęło. Wybiegliśmy na ulicę. Usłyszeliśmy płacz i krzyki. Jakaś kobieta niosła dość dużego chłopca. Jego głowa i szeroko rozrzucone ręce zwisały beładnie. Efektem manipulacji przy pocisku była jedna ofiara śmiertelna. Nie wiem ilu zostało rannych.

Z piaszczystej drogi, z wiejskiej, wąskiej ścieżki wydeptanej obok drewnianych płotów otwarta, mała bramka zapraszała, aby minąć gęste krzaki bzu i tuż obok kwiatowych grządek, wejść na nieduży ganek z szerokimi ławkami po obu stronach. W cieniu drewnianego zadaszenia, przyjemnie się odpoczywało, a jeszcze lepiej było tam zagrać partyjkę szachów.

Do wnętrza domu prowadziły szerokie podwójne drzwi, pomalowane na jasny brąz. W przestronnym korytarzyku, po lewej i prawej stronie podobne dwuskrzydłowe drzwi, ostatni krzyk mody z przedwojennych lat. Z prawej strony znajdował się jeden pokój, a z lewej drugi. Pokój po lewej stronie, z oknem wychodzącym w kierunku ulicy, podczas kolchozów często podnajmowano lokatorom - samotnym paniom.

Po skręceniu w prawo wchodziło się do największego i najładniejszego pokoju. W nim znajdowały się trzy okna, w tym dwa od strony ulicy. Spoglądając przez nie, można było ponownie cieszyć oczy widokiem kolorowych, kwiatowych rabatek.

Wystarczyło okna szeroko otworzyć i do wnętrza wraz z orzeźwiająjącym powiewem majowego wieczoru wpływał odurzający zapach kwitnących bzów.

Trzecie okno znajdowało się po tej stronie, gdzie mieszkała rodzina państwa Pruszkowskich. Przez to okno mama pokazywała jak NKWD wyprowadza z domu naszego sąsiada i zabiera do więzienia. Z tym pokojem wiążą się też inne wspomnienia. To tu rozpoczęła się sprzeczka między mną, a młodszym bratem Edkiem. Obaj, jednocześnie, chcieliśmy bawić przedwojenną linijką długa, szeroką i ciężką. Oczywiście byłem silniejszy i zabrałem ją wreszcie. Następnie pragnąc ukarać brata za stawianie oporu zamachnąłem się i wydaje się lekko uderzyłem z góry.

Niestety, Edek zasłonić się nie zdążył. Ostрым kantem prawie metrowej linijki trafiłem w czoło. Popłynęła krew. Rozcięta skóra nie zagoiła się do wieczora, do powrotu rodziców z pola. Nie dało się tego ukryć przed nimi. W podobnych przypadkach ojciec nie żartował. Łzy z moich oczu płynęły znacznie dłużej niż krew z nieumyślnie zadanej rany.

Również z Edkiem urządziliśmy tu gonitwę wokół stołu. Nie ma wątpliwości. On uciekał, ja gońiłem. Widocznie znowu nie chciał mnie słuchać. Wreszcie go złapałem. Chwilę później, w trakcie szarpaniny nieoczekiwanie zbyt mocno pchnęliśmy stół, wylewając stojący na nim atrament. Edek zareagował natychmiast i ratując sytuację, rękawem własnej koszuli, wytarł blat stołu. Po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że kolorowa plama na stole nie zniknęła, a powstała dodatkowa, na rękawie.

Od strony podwórka znajdował się jeszcze jeden pokój - sypialnia oraz duża kuchnia, w której rodzina przebywała najczęściej. Znaczną część kuchni zajmował "ruski piec", będący w tamtych czasach niezastąpionym źródłem ciepła oraz miejscem gotowania posiłków, pieczenia chleba. Sąsiadom piec taki często służył również do spania. Z dołu promieniowało ciepło tworząc wspaniałe warunki "wygrzewania kości" po całodziennej pracy na mrozie, np. w lesie, przy ścinaniu i wożeniu drzewa. Może ten piec też powodował, że dzieci nie chorowały zbyt często.

Nasz piec postawiono w ten sposób, że jego tylną część wysunięto do sąsiedniego pokoju. Nad piecem znalazła się ściana, dzieląca go na dwie, dość wąskie części. Wobec powyższego, nie służył do spania i nikt na niego nie wchodził. Z jednej i drugiej strony było zbyt wąsko. Do spania i zabawy nadawał się piec dziadków. Wchodziliśmy na niego często, szczególnie po dłuższym pobycie na podwórku. Tam można było szybko ogrzać się, tworząc jakieś budowle z krótkich, cienkich drewniek. Zapas ich zawsze się suszył na piecu. Przesycone pachnącą żywicą zapalały się łatwo od pierwszej zapalki.

„Ruski piec” stanowił nie tylko źródło ciepła. Mama piekła w nim chleb i dwa razy do roku... ciasto na okres świąteczny. Przestronne i dość wysokie palenisko zapewniało wystarczająco dużo miejsca, zarówno na drewno jak i garnki. Zupa przygotowana na obiad mogła tam długo i spokojnie się gotować.

Ale najciekawiej było tam rano, kiedy płonął ogień, pożerając wysuszone drewno. Układano go początkowo na skraju pieca, w postaci „studni”, tj. raz wzdłuż raz w poprzek, a następnie ostrożnie wpychano głęboko do wnętrza i tam podpalano. Długie języki czerwonych płomieni wyrastały z coraz cieńszych drewniek, a potem

wznosząc się do góry lizały cegły sklepienia, tak samo czerwone. Gruba warstwa już nie ognia, lecz szarego dymu płynęła wolno pod cegłami i szeroko rozplywała się we wszystkich kierunkach. Następnie, łagodnie falując, kierowała się w stronę komina, zmieniając stopniowo barwę na coraz ciemniejszą. Nieco dalej spłaszczone smugi, gwałtownie przyśpieszały, skręcały do góry i ginęły bezpowrotnie w czarnej czeluści komina. Wlot komina, niby wielki okap, znajdował się z przedniej strony pieca. Stojąc przed nim, wielokrotnie oglądałem tamto fascynujące zjawisko.

Z kuchni drugie wyjście przez sień prowadziło w stronę podwórka. W jego głębi, lekko po prawej stronie, znajdowała się obora, a jeszcze dalej stodoła. Po lewej stronie stał budynek gospodarczy przeznaczony na przechowywanie zboża, taki gospodarski spichlerz. Po nastaniu kołchozów zawsze „świecił pustkami”. Wypada jeszcze wspomnieć o wolno stojącej piwnicy, służącej za prowizoryczny schron podczas wojny.

Między budynkami gospodarczymi rosły drzewka owocowe. Najwięcej wiśni, pod którymi gęsto wyrastały młode pędy. W niektórych miejscach powstawały prawdziwe zarośla. Jeszcze dalej, obok stodoły znajdowała się pasieka. Pszczoły miały tam spokój i ciszę.

Trudno sobie wyobrazić, aby istniały gdzieś warunki bardziej idealne na bytowanie pszczoł, niż na tamtych terenach. Nektar lasów dopełniały chwasty pól. Późno koszone łąki stawały się królestwem kwiatów. Często wyrastało ich więcej niż trawy. Pracowite owady w ciągu lata potrafiły zebrać tyle słodkiego nektaru i przerobić na złocisty miód, że do następnej wiosny wystarczało go dla nich i zostawało dla gospodarza. W trudnych warunkach kołchozowych, podczas dni lata oraz w okresie mroźnej zimy, wspaniale smakował i krzepił nas chleb posmarowany miodem, popity szklanką zimnego mleka.

Ojciec zajął się hodowlą pszczoł po namowie spokrewnionego pszczelarza. Miał nadzieję wyleczyć się z reumatyzmu, który coraz mocniej atakował rękę. Ręka odmawiała posłuszeństwa. Z trudem udawało się podnieść kubek z wodą lub herbatą. Środki przepisywane przez lekarzy nie pomagały, a z doświadczeń pszczelarzy wynikało, że najskuteczniejszym lekarstwem na reumatyzm jest jad pszczeli. Należało jedynie mieć odrobinę cierpliwości i pozwolić na żądlenie w chore miejsce.

Ojciec zastosował się do zaleceń. Na podwórku ustawił pierwsze ule. Przed wyjazdem do Polski miał ich około dwudziestu. Pozwalał też na żądlenie w obolałą rękę. W tym celu podwijał rękaw koszuli powyżej łokcia i szedł do pasieki. Tam starannie przeglądał swoje pszczoły, ale czasami celowo doprowadzał do ich podrażnienia. W zamian, żądliły odsłoniętą rękę bez litości i ograniczeń.

Po zakończeniu pracy w pasiece ojciec wracał i pokazywał efekty terapii. Ręka od żadeł była prawie czarna. Trudno zrozumieć w jaki sposób można było znosić taki ból. Ojciec jednak spokojnie się uśmiechał i głośno zastanawiał, na ile nowa porcja pszczelich zastrzyków poprawi sprawność ręki. Żądlenie pomogło. Reumatyzm takiej dawki jadu nie mógł wytrzymać i musiał ustąpić.

Wiosną, kiedy ciepłe promienie słońca, wreszcie uporały się z grubą warstwą śniegu i zaczynały coraz mocniej ogrzewać powietrze, nawet w naszej, piaszczystej

glebie odradzało się życie. W tym czasie kuliste drzewa wiśni pokrywały się stopniowo cudowną bielą gęstych kwiatów, które szczelnie przesłaniały pierwszą delikatną zieleń młodych liści.

W taką piękną wiosnę, czwartego maja 1948 r. nasza rodzina powiększyła się ponownie. Urodził się młodszy brat Józek. Imię odziedziczył po wspaniałym dziadku. Od pszczoł brzęczących nad kwitnącymi drzewami uzyskał wyjątkowe zamięłowanie do pszczelarstwa i przyrody. Prawie dwa lata później, również czwartego, ale marca, rodzina powiększyła się do 6 osób. Ponownie nie było problemów z wybieraniem imienia. Dziadkowie, jak i rodzice, zgodnie stwierdzili, że noworodek imię sam sobie przyniósł. Od tego dnia mieliśmy najmłodszego brata - Kazika.

Jeżeli pogoda dopisała i delikatnej bieli kwiatów nie zniszczyły nocne przymrozki, to na przełomie wiosny i lata długie wiotkie gałązki pokryte bujną zielenią rozwiniętych liści zaczynały coraz bardziej wyginać się pod ciężarem jeszcze nie dojrzałych, lecz coraz większych, zielonych owoców. Kilka tygodni później niedawne zawiązki przekształcały się w ciężkie grona smakowitych wiśni, które lśniły na słońcu soczystą czerwienią w najróżniejszych odcieniach. Owoce prawie czarne, a więc najsmaczniejsze, same zapraszały na drzewa. Na grubych, starych konarach można było siedzieć długo, sięgając po kolejne najciemniejsze, najbardziej soczyste.

Wiśnie mieliśmy w domu, a na jabłka chodziło się do dziadków. Dziadek nazywał się Józef Okińczyc i mieszkał we wsi Okińczyce. Zbieżność nie jest przypadkowa. Babcia wspominała niejednokrotnie, że posiadłość przed laty otrzymał jakiś wyróżniający się rycerz. Od niego wywodzi się nazwa wsi. W zasadzie nie wiem, a zaścianek. Tego określenia używali wszyscy rdzenni mieszkańcy. Dawna nazwa przetrwała do dnia dzisiejszego. (Już po pierwszym wydaniu książki w cytowanej wcześniej białoruskiej księdze „Pamięć” przeczytałem: „Okińczyce – mikrorejon Stołpiec. W 1656 r. osiedle Okińczyców wchodziło do Nieświeskiego księstwa Radziwiłłów. W XVIII wieku zaścianek mirskiego hrabstwa. W 1747 roku było tu 5 zabudowań, z tego 4 zajmowali ziemianie o nazwisku Okińczyce. W 1795 r. zaścianek Okińczyce wziął warendę od Radziwiłła Aleksander Maszewski. Było tu 6 zabudowań i 30 mieszkańców. W 1880 roku w Okińczycach było 9 zabudowań, w 1897 r. – 14 zabudowań 99 mieszkańców i leśnictwo; na początku XX wieku 18 zabudowań, 119 mieszkańców, w folwarku – 1 zabudowa, 31 mieszkańców. W Okińczycach w rodzinie radziwiłłowskiego leśnika urodził się ludowy poeta Białorusi Jakub Kołas. W 1977 r. Okińczyce przyłączono do Stołpiec.)

Do dziadka mieliśmy blisko. Mieszkał około sto metrów dalej, również po prawej stronie tej samej wiejskiej ulicy. Na podwórku, kilka metrów za płotem, rósł ogromny, stary klon. Sadził go prawdopodobnie nasz daleki przodek. Równy, potężny pień rozgałęział się wysoko. Nawet dorośli nie mogli sięgnąć tam ręką. Grube, powykręcane konary rozrastały się we wszystkich kierunkach, a gęste, zielone liście dokładnie przesłaniały niebo. Obszerne podwórko dziadka o kwadratowym kształcie miało dużo wolnej przestrzeni, porośniętej niską murawą. Stały tam dwa domy. Nowy, z dużą kuchnią i takim samym jedynym pokojem, zbudowano tuż przed wybuchem wojny.

Na podwórku dziadka występował kontrast między starym i nowym, który bez wysiłku zauważałem, chociaż nie miałem i dziesięciu lat. Była tam najnowsza obora,

zbudowana z okrągłych równych kłoców, a tuż obok, prawie stykając się szczytową ścianą stała najstarsza we wsi stodoła. W spróchniałych i odchylonych od pionu ścianach zawarta była chyba jakaś dziwna moc, bo wciąż stały i nie przewracały się. Podobnie jakoś trzymał się dach, chociaż, wyraźnie wyginał się do środka. Jeszcze dziwniejsze było to, że szczytowa ściana od strony obory nie runęła pod moim obciążeniem, kiedy opierając się rękoma i nogami o jedną i drugą ścianę trenowałem swoją pierwszą wspinaczkę i wchodziłem wysoko, pod samą kalenicę.

Widocznie dziadek zdawał sobie sprawę, że stodoła już dłużej służyć nie może i zgromadził drewno na budowę nowej. Niestety, po kilku latach nastąpiły kołchozy i żaden budynek gospodarczy nie był potrzebny. Wy służoną stodołę, po wielokrotnych awanturach i namowach naszego ojca, została rozebrana.

Na podwórku dziadka była jeszcze jabłoń, która też potwierdzała jak mija czas. Była szeroka i rozłożysta i wydawało się, iż nigdy nie wyglądała inaczej, ale dziadek twierdził, że sam ją sadził z myślą o wnukach, więc nie jest taka stara. Po tamtych konarach wchodziło się wysoko, tam gdzie w zielonych liściach chowały się największe jabłka, najsmaczniejsze owoce naszego dzieciństwa. Jabłek było tak samo dużo również na długich, bocznych gałęziach, które uginały się coraz mocniej. Dziadek stawiał pod nimi coraz więcej podpórek.

Dziadkowie wspominali ponadto o ogromnej, starej gruszy rosnącej w pobliżu nowego domu. Podobno wielkie, soczyste owoce były prawdziwym przysmakiem. Wystarczało ich do późnej jesieni. Okazało się, że grusza wymarzała podczas którejś zimy, zanim podrosły wnuki, a wszystko przez sowietów, wraz z którymi przyszły okropne mrozy, nie znane nigdy dotąd.

Nasze dzieciństwo to ten czas, kiedy dziadkowie mieszkali jeszcze w swoim starym domu. (Może nowy jeszcze nie był wykończony.) Bez specjalnej wiedzy mogłem zauważyć, że podobne stare ściany miał jeszcze jeden domek na końcu wsi, przed lasem. Do domu dziadka prowadziła ścieżka od bramki wejściowej, pod konarami klonu i w jego cieniu. Po prawej stronie mijało się mały ogródek. Tam też kwitły kwiaty na piaszczystych rabatkach, posadzone rękoma babci.

Na pagórku, przed laty, ułożono wielkie kamienie w postaci równego prostokąta. Powstała podmurówka, na którą wtoczono pierwsze długie bierwiona. Na najniższy rząd kłoców, równo ociosanych i dokładnie połączonych na rogach, ułożono drugi ... trzeci ... coraz wyżej i wyżej. Stopniowo rosły ściany nowego domu. Młodzi budowniczowie z biegiem lat się zestarzelili i odeszli z tego świata, a ich dzieło pozostało. Ściany, pobielone wapnem na biało, zrosły się stopniowo ze swym podłożem, jak gospodarz z ziemią, która go karmi.

W południowej ścianie domku znalazło się miejsce nie tylko na niskie drzwi wejściowe. Wykonano tam również okno do kuchni oraz drugie, do pokoju. Podczas zimy, w okresie największych mrozów, słoneczne promienie potrafiły ogrzać drewnianą ścianę, likwidując z łatwością zmarzlinę na okiennych szybach, powstającą podczas długich, gwiazdzystych nocy. Słońce bez przeszkód zaglądało do wnętrza małego mieszkania. Może wraz z nim, w rodzinie tworzyła się miła atmosfera ciepła i przyjaźni. Widocznie z tego powodu choroby nie miały tam wstępu, a zarówno dziadek,

jak i babcia, dożyli sędziwego wieku, pokonując w zgodzie trudy i kłopoty napotymane na długiej drodze życiowej.

Cudownie mieszkało się w tamtym drewnianym domku, zbudowanym przez jakiegoś dalekiego przodka. Jeszcze w okresie zimowym, kiedy po białej równinie łąk i pól hulał mroźny wiatr podnosząc śnieżną zadymkę, przed południową ścianą powstawało zacisze. Tam najszybciej topniał śnieg, ogrzany słonecznymi promieniami oraz ciepłem odbitym od drewnianej ściany. Tam, na wydeptanej w śniegu ścieżce, najszybciej ukazywała się czarna ziemia, zapowiedź zbliżającej się wiosny. Od strony, skąd nigdy nie świeciło słońce, zbudowano jednolitą, szczelną ścianę, bez żadnych drzwi i okien by mogła skutecznie chronić mieszkańców przed lodowatymi podmuchami północnych wiatrów.

Jak miło musiało tam być w okresie wiosny i lata, kiedy na mieszkańca wsi czekała praca w polu, ogrodzie, na łące. Poranne słońce wznosząc się nad dalekim lasem natychmiast zaglądało do wnętrza. Jego promienie wnikały przez okna ściany wschodniej i przepelniały złocistym blaskiem dwa małe pokoiki, budząc mieszkańców. Radość wczesnego wstawania w słonecznych promieniach dodawała siłę, rodziła chęć pracy do późnego wieczora.

Drewniany dom. Wiekowe ściany. Bezpowrotnie upływający czas zostawił nieodwracalny ślad. Drewno, kiedyś twarde i mocne, spróchniało. Ściany stały się niższe. Jednak staruszek domek jeszcze się nie zgarbił, jeszcze stał równo. Dziadkowi, ciągle dziarskiemu i niepokornemu, ciążyły tak samo mijające lata. Tak bardzo byli podobni do siebie. Drewniany, stary domek i nasz staruszek dziadek. Gdzieś daleko, z tyłu pozostała ich młodość.

Pamiętam ten czas, gdy dziadkowie mieszkali właśnie w tym starym domku. Chodziłem czasami za dziadkiem tak długo podczas wieczornego obrządku, aż w końcu słyszałem, że teraz możemy iść na kolację. Babcia czekała już na nas. Malutkie światło bladego płomyka naftowej lampy rozpraszało wieczorne ciemności. Babcia stawiała na środku stołu okrągłą misę z potłuczonymi ziemniakami. Następnie podawała dziadkowi w dużym, glinianym kubku kwaskowaty napój, zwany chyba z białoruska „saładuchą”. Do moich rąk również trafiał cały kubek smacznego, zawiesistego napoju.

„Saładuchę” gotowano z zacieru sporządzonego z żytniej mąki i wody. Napój przefermentowany, ugotowany i ostudzony, smakował mi bardzo. Już w Polsce prosiłem mamę kilkakrotnie o ugotowanie „saładuchi”. Parę razy gotowała, lecz zawsze niechętnie. Twierdziła, że w młodości miała zbyt dużo tego „przysmaku”.

Rodzinną wieś. Kochane tereny dzieciństwa i lat najwcześniejszej młodości. Czego tam było więcej? Suchych sypkich piasków, czy mokradeł i głębokich, trzęsących się bagien? Było jedno i drugie. Bagniste łąki i lasy przylegały do wsi od strony Niemna. Wieś, łącznie z sąsiadującym polem, stanowiła piaszczystą wydmy, którą deszcze odwiedzały wyjątkowo rzadko.

W okresie wiosennym i letnim, kiedy słońce przygrzewało bez żadnej litości, jakże często dorośli narzekali, że padało w sąsiednich miejscowościach oraz po okolicznych lasach, a w Okińczycach jak była susza, tak jest nadal. Głośno stwierdzali, że to chyba jakaś „kara Boska”, za popełnione grzechy. Narzekań tych słuchałem

obojętne. Nie zauważałem żadnych przekonywających argumentów, by Najwyższy Stwórca chciał mieszkańców naszej wioski traktować inaczej, niż zamieszkałych w pobliżu. Czy można doszukać się sensu w twierdzeniach o zamierzonym omijaniu przez deszczowe chmury jakiejś jednej wioski?

Chmury nad naszą wsią pewnego letniego popołudnia zachowały się jednak wyjątkowo dziwnie. W tym dniu, tak jak i poprzednio, słońce od samego rana przygrzewało mocno. Minęło już południe, a żaden obłoczek nie ukazał się na błękitnym niebie. Dopiero gdy minęło południe, ale było nadal tak samo upalnie, dało się zauważyć, że nad lasem i dalekimi wzgórzami za Niemnem tworzy się coraz ciemniejszy odcień. Wkrótce letnią ciszę naruszył basowy huk dalekiego grzmotu.

Już było widać, że zza Niemna nadciąga ciężka, burzowa chmura, która stopniowo staje się coraz ciemniejsza, stopniowo rozrasta się i wznosi się wyżej na niebie. Przed nią płynęły jakieś porozrywane obłoczki i pierwsze zbliżyły się do słonecznej tarczy. Zasadnicza ciemna i gruba warstwa, przepelniona ogromną ilością wody, piorunami i przerażającymi grzmotami podążała z tyłu, przesłaniając szeroko horyzont. Chmura wyraźnie, samym środkiem, sunęła w kierunku wsi. Obserwując nieustannie pierwsze luźno płynące obłoki, z niepokojem oczekiwałem na nieuchronną, potężną ulewę, która za kilka minut miała się rozszaleć nad nami.

Wkrótce zauważyłem, że niektóre, poprzedzające główną masę obłoczki kierują się bardziej na północ, w stronę Stołpiec, a inne, jakby napotykając na tę samą niewidoczną przeszkodę, odpływają w kierunku południowego lasu. Gdy rozsunęły się pierwsze, lekkie obłoki, również następne, co raz gęściejsze, wyraźnie się dzieliły i wybierały dwa, nieco inne kierunki. Zjawisko wydawało się nieprawdopodobne. Czyżby chmura zamierzała ominąć wieś lewą i prawą stroną? Tak się nie stało. Potęga chmury okazała się większa niż opór niewidocznej przeszkody zawieszanej nad nami. Jej następne zwąły, znacznie ciemniejsze i cięższe, rozdzielały się coraz słabiej i dalej od miejsca, w którym rozsunęły się pierwsze obłoczki. Chmury wkrótce przesłoniły całe niebo, lecz deszczyk na naszą wieś zaledwie pokropił. Rodzice, po powrocie z kolchozowego pola, dziwili się bardzo, że u nas tak mało padało.

Obraz ten pozostał w pamięci. Dopiero po latach być może znalazłem „naukowe wyjaśnienie” tamtego dziwnego zjawiska. Widocznie, w atmosferze nad naszymi piaskami tworzyły się rozgrzane masy powietrza rażąco różniące się od tych, które znajdowały się nad wiecznymi mokradłami pobliskich lasów oraz przesiąkniętych wodą łąk. Mogły one stawiać opór napływającym chmurom. Widocznie było to przyczyną powstawania letnich burz z ogromną ilością piorunów i grzmotów. Już jeżeli jakaś uparta chmura nie zboczyła z wyznaczonej trasy i pokonała napotkany opór, to wiwatowała swoje zwycięstwo przeogromną ilością strasznych błyskawic, rozdzierających niebo we wszystkich kierunkach i przepotężnym hukiem grzmotów. Wtedy, stojąc na kolanach, przypominając wszystkie swoje grzechy i modląc się, drżałem tak samo, jak szyby w oknach naszego domu. Mama chyba czasami też mocno się bała, bo w oknie ustawiała palące się świece i krzyżyk.

Może mój strach zrodził się w szkole podstawowej, w drugiej lub trzeciej klasie. Rozpoczęła się i trwała kolejna lekcja. Ciszę naruszał jedynie spokojny głos naszej „uczcielnicy” i odpowiedzi kolejnego ucznia, wywołanego do tablicy. W tym czasie, na podwórku, dokąd wychodziły okna klasy, robiło się coraz ciemniej. Wielka, burzowa

chmura płynęła jak zwykle od strony Niemna, już przesłoniła słońce i zbliżała do naszej wsi. Pierwsze, grube krople deszczu zabębniły po zakurzonych szybach, ale już wkrótce spływała po nich gruba warstwa wody, zamazując widok na podwórko. W izbie szkolnej zapanował mrok. Deszcz się nasilił, przekształcając się w prawdziwą ulewę. Woda z nieba lała się strumieniami. Potężne podmuchy wiatru, szarpiące gałęziami drzew, oraz częste błyskawice i grzmoty pokazywały jak wszechmocna jest przyroda, a my jacy mali.

W pewnym momencie przeraźliwie błysnęło. Natychmiast rozległ się grzmot, od którego chyba zadrżała cała chata. Wydawało się, że na nas wali się niebo razem z deszczem i chmurą. Już nie ulewa, a ciężkie strugi wody spadały ukośnie na ziemię. Jednocześnie cała ławka dzieci siedzących przede mną, 5 - może 6 uczni, gwałtownie pochyliło się na bok, łapiąc prawą ręką za lewe przedramię. Rozległ się płacz, przerywany słowami ... boli ... boli.

W pomieszczeniu wyczuło się swąd spalenizny. Do izby szkolnej wbiegła przerażona gospodyni z zapytaniem, czy nikomu nic się nie stało, czy przypadkiem się nie pali. Nic się nie paliło. Jedynie maluchy siedzący przede mną nadal cicho płakały, ocierając łzy. Staruszka nauczycielka, wyraźnie przestraszona, i zatroskana gospodyni podwinęły małym uczniom rękawy. Ujrzeliśmy ze zdziwieniem na dziecięcych przedramieniach wypaloną skórę w postaci okrągłej, niedużej plamki. Podobny, ślad powstawał w wyniku szczepienie przeciwko ospie.

Nie zdążyliśmy ochłonąć, jak otworzyły się drzwi wejściowe, a w nich ukazał się sąsiad, mieszkający po drugiej stronie ulicy. Woda spływała z niego tworząc wielką kałużę. Przerażonym głosem prosił gospodynię o pożyczenie szpadla. Wyjaśniał, że żonę poraził piorun. Spadła z krzesła na podłogę, ale jeszcze żyje. W takiej sytuacji ratunek jest jeden. Bez chwili zwłoki kopie się głęboki dołek, a osoba porażona siada nad nim, wkładając tam swoje nogi. Należy je natychmiast zasypać, aby ziemia ściągnęła piorun do swego wnętrza. Bez zbędnych słów, zdając sprawę, że być może ratuje sąsiadkę przed śmiercią, życzliwa gospodyni wybiegła na podwórko. Po chwili wróciła ze szpadlem, ociekając wodą.

Nie wiem, jak długo siedziała tamta biedna kobieta z nogami w rozmokłej, mazistej glebie, w strugach wody spadających z nieba, lecz widocznie piorun z niej wreszcie wyszedł. Ja natomiast, od tamtego momentu, przez wiele lat nie mogłem pozbyć się ogromnego, panicznego strachu przed burzami, błyskawicami i grzmotem.

Oddalający się grzmot, ucichający wiatr i zmniejszający deszcz informowały, że burza opuszcza wieś, zostawiając rześkie powietrze, wilgotna trawa i nieliczne strumyki żwawo podążające w niższe miejsca. Ale i tam one szybko zniknęły. Woda przenikała gdzieś w głębiny sypek piasków, od dawna spragnionych wilgoci. Na niebie ponownie ukazywało się słońce. Ciepłe promienie przyjaźnie ogrzewały ziemię oraz słomiane dachy, nad którymi łagodnie się unosiły lekko falujące małe obłoczki delikatnej pary.

Tak wyglądała rodzinna wieś we wspomnieniach z dalekiego dzieciństwa. Tam mieszkali nasi dziadkowie, urodzili się rodzice. Niech ich opowieści pomogą odtworzyć dawno minione lata.

Do naszej cichej, małej wioski, zagubionej wśród radziwiłowskich lasów w 1891 roku, po długich tygodniach oczekiwania, zawitała wiosna. Słońce z każdym dniem wędrowało wyżej nad lasami i polami, śmieiej ogrzewało ziemię, spragnioną światła i ciepła. Gruba warstwa śniegu, tej chłodnej pozostałości zimy, stopniowo ciemniała i wreszcie zniknęła. Zwyciężyły słoneczne promienie, coraz cieplejsze, coraz mocniejsze. Przyroda zbudziła się ostatecznie z długiego, zimowego snu. Zaczęła się zielenić pierwsza trawa, na bezlistnych drzewach nabrzmiały grube pąki. Szczęśliwe ptaki wróciły z dalekiego południa i rozpoczęły budowę nowych oraz poprawianie starych gniazd. Zbliżał się okres wychowu piskląt.

Dzień 7 kwietnia tamtej wiosny stał się jednym z najszcześniejszych dni młodego małżeństwa Olimpii i Michała Ciechanowiczów, mieszkających w małej, drewnianej chatce pośrodku wsi. W tym dniu, po takim samym oczekiwaniu jak na upragnioną wiosnę, przyszedł na świat ich drugi potomek. Radość była tym większa, że urodził się syn. Dali mu imię Antoni. Na uroczystość narodzin przybyła rodzina i sąsiedzi. W małej wiosce wszyscy się znali, wzajemnie sobie pomagali i żyli w przyjaźni. Szczęście jednej rodziny stawało się radością wszystkich.

Cały dzień młoda mama odbierała gratulacje, a dumny ojciec wysłuchiwał pochwał pod swoim adresem. Wszyscy życzyli małutkiemu dziecku długich lat życia w szczęściu i radości. Jednogłośnie stwierdzali, że szybko wyrośnie i wkrótce stanie się dobrym pomocnikiem ojca. Obok matki już się kręciła podrastająca pomocnica. Starsza siostra naszego ojca miała na imię Frania.

Minęło parę lat i rodzina cieszyła się znowu. Kolejny potomek przyszedł na świat. Wciąż młodzi rodzice, z taką samą czułością i nadzieją powitali pojawienie się małego Janka. Pod jego adresem, tak jak niedawno pod adresem Antka, padały podobne życzenia długich lat szczęśliwego życia.

Niestety, życzenia zaadresowane do Janka nie spełniły się. Może zostały wypowiedziane zbyt słabo lub pozostały w cieniu tamtych wcześniejszych, skierowanych pod adresem pierwszego noworodka płci męskiej. Może już wcześniej los wyznaczył mu inną drogę, z siarczystym mrozem i śnieżną zamiecią. Widocznie miał zginąć tragicznie i zginął na dalekiej Syberii wraz ze swoją żoną. Widocznie nie było sądowno, aby z tego potomka wyrosły następcy rodu.

Życzenia pod adresem Antoniego spełniły się w zupełności. Szczęście i radość każdy ocenia po swojemu. Własnych opinii na ten temat ojciec głośno nie wypowiadał. Nigdy jednak nie narzekał na swój los, a więc należy przypuszczać, iż życie przeżył szczęśliwy.

Jakże inaczej, jak nie najwyższym stopniem szczęścia, nazwać fakt osiągnięcia sędziwego wieku w zdrowiu, z zachowaniem stanu pełnej świadomości. Może szczytem marzeń, wypada nazwać posiadanie umiejętności wytrwania i radzenia sobie w sytuacjach trudnych, w warunkach groźnych i niebezpiecznych.

Ktoś kiedyś powiedział, że do stu lat mogą dożyć wyłącznie ludzie szczęśliwi. Innym nie starczyłoby na to sił ani zdrowia. Tamten niemowlak, spod znaku Barana,

prawie osiągnął wymarzoną setkę, pokonując wszelkie przeszkody życiowe. Do ostatnich swoich dni, dla rodziny nie był ciężarem. Twierdził, że śmierci się nie boi, bo się oswoił z nią podczas pierwszej wojny światowej. Kiedy przywieźliśmy trumnę, by pochować dziadka, potrafił w niej się położyć, by się przyjrzeć, jak sam będzie w niej wyglądać kiedy umrze.

Czy wtedy, w dniu urodzin, jakaś wróżka mogła się spodziewać, że ten potomek dość szybko opuści rodzinną wieś? Czy jakiś znawca horoskopów potrafiłby przewidzieć, że jako młody mężczyzna znajdzie się przymusowo na obczyźnie, czy ekspert od przyszłości mógł wiedzieć, do jakiego wieku dożyje?

Szybko mijały tygodnie i miesiące. Już mały Antek czołga się po glinianym klepisku największej izby. Już wyprostował się na sztywnych nogach, trzymając się za długą spódnicę mamy stojącej przy krosnach i tkającej kolejne płótno na potrzeby rodziny.

Potrzeby wzrastały z roku na rok. Rodzina powiększała się. Rodzili się następni chłopcy. Wincenty, który osiedlił się w pobliżu Grudziądza i w ciągu całego życia prowadził gospodarstwo rolne. Następnie Franciszek wyuczony na mierniczego, tj. geodetę, jak to określa się w obecnych czasach. On również upodobał sobie Grudziądz. Tam mieszkał i pracował do ostatnich swoich dni. Ale przed tym w mundurze oficera wojska polskiego walczył z Bolszewikami. Widocznie o tym wszystkim oni nie wiedzieli, bo w białoruskiej księdze pt. "Pamięć" (ISBN 985-11-0312-8) znajdujemy zapis "Ciechanowicz Bolesław s. Michała urodzony w 1905 roku w Okińcycach. Rolnik samodzielny. Aresztowany 13.2.1941. Osądzony 14.6.1941 na 8 lat obozów wychowawczych. Zrehabilitowany 2.11.1989. Nie znam szczegółów życiorysu tego stryjka. Nie wiem też jak się to stało, ale miał drugą żonę, chociaż z pierwszą też miał dziecko.

Urodził się również Bolesław, który w okresie międzywojennym, bez reszty poświęcił się wojskowej służbie w żandarmerii. Całość swego życia spędził w Grudziądzu. Ten pochód chłopców przerwała druga córka, której dano na imię Emilia. Ostatnim w rodzinie był Konstanty, powojenny szanowany pracownik Poczty Gdańskiej.

Była to duża rodzina w porównaniu do tej z poprzedniego pokolenia. Dziadek Michał miał tylko dwie siostry. Pomimo to bieda do naszych przodków nie miała wstępu. Prowadzili stosunkowo duże, bo prawie 50 hektarowe, gospodarstwo rolne. Babcia, Olimpia Kraszewska (odgałęzienie rodu Żołnierkiewiczów) również wywodziła się z rodziny bogatej.

Poznając trudy życia wiejskiego, podrastający chłopak przyjmował bez oporów kolejne obowiązki, od najmłodszych lat wykonywał je sumiennie i dokładnie. Nawyk ten pozostał na całe życie. Surowym egzaminatorem stawała się sama przyroda. Praca w polu, w rytmie zmieniających się pór roku, wymagała terminowości i dokładności. Naprawienie błędów i zaniedbań mogło nastąpić dopiero za rok. W okresie letnim wypadało wstawać bardzo wcześnie i późno udawać się na odpoczynek. Pojęcie zmęczenia nie istniało. Liczyło się jedynie terminowe wykonywanie coraz innych prac, niepowtarzalnych w danym roku.

Z okresu samodzielnego gospodarowania na nędznych okińczyckich piaskach lub zarządzania majątkiem o nazwie Cholawa, gdzieś niedaleko, nad rosyjską granicą pozostało wspomnienie powtarzane często i z dumą: „...w tamtych czasach słońko mnie w łóżku nigdy nie zastało”.

Najpierw jednak były lata dziecinne i wczesna młodość. Przebiegały cicho i spokojnie w rodzinnym domu, w swojej wsi. Tu rozpoczęły się pierwsze zabawy z rówieśnikami, pierwsze prace w gospodarstwie i obowiązek chodzenia do szkoły. Szkoła była rosyjska, ponieważ tylko taka mogła istnieć pod rosyjskim zaborem. O szkole polskiej, w tamtych czasach, nikt nawet nie marzył. Jednak pomimo zakazu władz młody Antek poznawał w domu język polski i już od najmłodszych lat doskonale nim władał.

Podstawy wiedzy szkolnej w tamtych latach na naszych terenach przekazywał najpierw starszy o kilka lat, kolega, który już się nauczył czytać i pisać. Nazywali go „darektorem” i był uważany za osobę wykształconą.

Wspominając okres szkolny, ojciec narzekał jedynie na lekcje religii prawosławnej, na które mieli obowiązek uczęszczać wszyscy uczniowie, bez względu na narodowość. Lekcje te traktowano jako dodatkowy, zbędny przymus, tym bardziej, że odbywały się w języku „starocerkiewnym”, który w istotny sposób różnił się od współczesnego rosyjskiego. Był trudny i niezrozumiały. Może wrodzone chęci zdobywania wiedzy, a może umiejętna zachęta ze strony rodziców, pozwoliły podrastającemu Antosiewi na ukończenie szkoły w Stołpcach. Dawało to poziom wykształcenia średniego z tamtego okresu. Należy przypuszczać, że był dobrym uczniem. Dowodem na to niech będzie fakt, że do najstarszego wieku pamiętał i potrafił recytować długie fragmenty rosyjskiej poezji, której nauczył się w dalekiej młodości.

Niejednokrotnie, szczególnie w niedzielę, po chwili ciszy ponownie słyszeliśmy znajomy głos i nieoczekiwane pytanie, czy potrafimy powtórzyć chociaż mały fragment jakiegoś wiersza, którego uczyliśmy się w szkole. Długo nie czekając na odpowiedź stwierdzał, że do polskiej szkoły nie chodził, lecz wiele wierszy których uczył się w rosyjskiej szkole pamięta do dzisiaj i zaczynał coś recytować, a między innymi:

Brażul ja sred` ulic szumnych
Wchazull w mnogaludnyj chram,
Mładienca miłago łaskaju
Ja oddajuś swaim miecztam.
Uzie ja dumaju prasti,
Tiebie ja miasta ustupaju,
Mnie wriemia tlet`,
Tiebie cwiesti .

(Podczas spaceru po ulicach gwarnych,
Gdy z wielkim tłumem do świątyni wchodzę,
gdy młodzieńca miłego w ramionach tulę,
Myślę ciągle - wybacz mi.
Już wkrótce miejsca ci ustąpię,
Nicości czas się zbliża do mnie,
Twój czas rozkwitu nadszedł już.)

Bez żadnej wątpliwości, z tym fragmentem wynurzeń rosyjskiego poety A. S. Puszkina, nasz ukochany staruszek utożsamiał się własnymi myślami. Słowa poety przemawiał do nas, swoich dzieci, że już niedługo odejdzie z tego świata, ustępując nam miejsca.

Dzieci wiejskie nie mogły zajmować się jedynie zeszytami i książkami. Zresztą, zeszyty znajdowały się pod ostrą kontrolą ojca, który domagał się, aby każda strona była zapisana dokładnie. Na górze i na dole każdej kartki dorysowywano ołówkiem dodatkowe linijki, ponieważ zdaniem naszego dziadka, drukowano je nieoszczędnie, zostawiając zbyt dużo pustego miejsca.

Odrabianie zadań domowych należało godzić z codziennym obowiązkiem pomocy rodzicom. Najwcześniejszym zadaniem, już siedmioletnich chłopców, stawało się w okresie letnim pasanie świń. Kilkuletnie dzieci wykonywały kolejną prostą pracę. Wyglądała na łatwą, lecz szybko usypiała. Polegała na przyświecaniu krawcowi chodzącemu po domach i szyjącemu kozuchy. Od najdawniejszych czasów gospodarze hodowali owce, które dawały potrójny pożytek, tj. wełnę i mięso, a ponadto szyto kozuchy ze skór, podstawowy ubiór na okres mrozów.

Szyciem kozuchów zajmował się krawiec, który chodził od domu do domu. Tę spokojną pracę najlepiej się wykonywało podczas długich jesiennych lub zimowych wieczorów, kiedy cała rodzina zbierała się w jednej izbie, a od rozgrzanego pieca promieniowało miłe ciepło.

W tym czasie o elektryczności nikt nie słyszał. Nikt nie miał lamp naftowych. Świece natomiast, jako zbyt drogi luksus, nie były używane na co dzień. Zapalano je dopiero na pogrzebach. Jedyne źródło światła to łuczywo, czyli długa, sosnowa drzazga podpalona z jednego końca. Przyświecanie krawcowi tym urządzeniem stawało się poważnym obowiązkiem dorastających, wiejskich dzieci.

Mała dziecięca ręka trzymała długie łuczywo. Rozpalony na końcu płomień pożerał stopniowo wysuszone drewno. Migotał, przygasał, a czasami wyciągał w górę swój żółty, wąski język, który odrobinę wyżej przeistaczał się w kopczą smugę szarego dymu. Kiedy jedno łuczywo dopalało się, należało przenieść ogień na drugie.

Płomyk oświetlał ręce krawca, igłę z długą nicią oraz twarz, schyloną nad połami powstającego kozucha. Półmrok i cisza ogarniały całą pozostałą część izby. Jedyne na ścianach, pobielonych wapnem, kołysały się ogromne, szare cienie. Dziecięce oczy wpatrzone w płomień stopniowo zamykały się, malutka główka sennie przekrzywiała się na bok, a ręka trzymająca łuczywo zaczynała opadać. Już nie oświetlało się miejsca, w które krawiec miał wbić igłę z nicią zszywającą płaty przyszłego kozucha. Tak być nie mogło. Krawiecka ręka z igłą wędrowała do boku tego, który zasypiał. Następowo lekkie ukłucie. Oczka otwierały się, głowa szybciotko prostowała, następowało przerwanie drzemki i wznawiało się prawidłowe przyświecanie. Ojciec opowiadał wielokrotnie o tym przyświecaniu i dziecięcej walce z drzemką. Wtedy nie wiedział, że będzie brakować mu snu w jakże odmiennych warunkach.

Następnym obowiązkiem już nieco starszych chłopców stawało się pasanie krów w ciągu dnia, a koni - w nocy. Konie w dzień pracowały na polu lub w lesie. Nocą pasły się na wspólnych, wiejskich pastwiskach. Należało je pilnować przed wilkami, a może i złodziejami? Przy koniach zawsze siedziało kilka osób. Z młodymi chłopcami przebywał ktoś dorosły. Obok rozpalonego ogniska razem czuwali lub na przemian drzemali do rana, tj. wczesnego letniego świtu.

Starsi opowiadali młodym o minionych dziejach, w tym o "wojnie japońskiej". Oczywiście chodziło o wojnę rosyjsko-japońską z 1905 roku, w której brali udział mieszkańcy naszej wioski. Jest to historia niewyobrażalnie odległa. W tamtym okresie ojciec już miał nie mniej niż 15 lat. Słuchał bezpośrednich relacji uczestników walk, a jego wnuki nie mają żadnego pojęcia o tamtej, dawnej wojnie w kraju odległym o tysiące kilometrów od naszej ojczyzny.

Nie zachodziłaby potrzeba wspomnienia o tamtych wydarzeniach, gdyby nie fakt, że na wojnę zabierali młodych mężczyzn, również z naszej wioski, nie pytali o narodowość i *wieroisповідan`ie*^[51]. Młodzi Polacy, mieszkając pod rządami zaborcy, musieli walczyć i umierać za cara i nie swoją ojczyznę.

O wojnie rosyjsko - japońskiej dość często opowiadał dziadek. Wspominał kolegów, którym udało się powrócić i tych, którzy zostali na zawsze w obcej, dalekiej ziemi. Dla dziadka tamte wydarzenia były bardzo bliskie. Dla mnie niezrozumiałe, odległe i nieinteresujące.

Kolejnym zajęciem, wykonywanym przeważnie w okresie zimowym, do którego wdrażano znacznie starszych chłopców, było młócenie zboża. Pracę wykonywano czasami w warunkach nocnych, a do przyświecania, wykorzystywano latarnię naftową. Nikt by się nie odważył przyświecać łuczycem w stodole.

Młócono ręcznym „urządzeniem” zwanym cepem. Narzędzie to widziałem, trzymałem w ręku i próbowałem nim młócić. Cep pozostał w gospodarstwie każdego rolnika również po drugiej wojnie światowej, zanim nastąpiły kołchozy. Część zboża młócono cepem, pomimo istniejących młocarni na kierat, gdzie siłę napędową stanowiły konie. W każdej stodole stał w rogu na klepisku, jako wierny pomocnik gospodarza. Sierp i cep, podstawowe narzędzia, podstawowe symbole rolnika.

Młody Antoś, chodząc bez przerwy za ojcem, nie jeden raz był na klepisku w stodole i przyglądał się, w jaki sposób młóci się zboże, jak się wytrąca ziarno. Widział, jak przed przystąpieniem do pracy rozwiązuje się ciężkie snopy, ze zwisającymi pełnymi kłosami. Zauważył, że przy najmniejszym wstrząsie, łatwo wytryskują z nich największe ziarenka. Pamiętał, że ojciec najpierw układał snopki w dwóch równych rzędach kłosami do środka, a potem z cepem w ręku ustawiał się tak, by uderzać po kłosach mocno, wielokrotnie w to samo miejsce. Prawie nieruchomy, długo i monotonnie wykonywał te same ruchy, łagodnie do góry, a potem mocno, zdecydowanie w dół.

Za końcem cepiska posłusznie podążał mocny, ciężki bijak. Jego grubszy koniec wywijał półkole w powietrzu i sięgał czasami bardzo wysoko, pod samą strzechę, gdzie jaskółki przyklejają gniazda. W następnej chwili pociągnięty mocno z coraz większym impetem powracał w stronę klepiska i spadał na snopek. Uderzał płasko i mocno.

Ziarenka żyta, a czasami pszenicy, wypryskiwały z kłosów, by za chwilę spocząć obok wytrąconych wcześniej. Trudno zgadnąć, w jakim wieku mały chłopak już wiedział, że ze zboża powstaje mąka, a z mąki piecze się chleb. Nie wiem ile miał lat, kiedy potrafił odróżnić żyto od pszenicy lub owsa. Podrastając, tak jak pozostali wiejscy chłopcy, pragnął jak najszybciej zakończyć wypasanie świń i rozpocząć prawdziwą męską pracę, jaką było młócenie.

Rwący się do pomocy podrostek wiedział również, że młócenie, tę ważną pracę rolnika łatwiej i szybciej wykona dwóch mężczyzn niż jeden. Widział, jak czasami jakiś sąsiad pomagał ojcu i wtedy młócono dwoma cepami. Widział również, jak czasami jeszcze ktoś trzeci pomagał i wtedy młócono w trzy cepy. Przyglądając się z boku wydawało się, że mężczyźni bez większego wysiłku trzymają w rękach długie gładkie kije, a masywny bijak umocowany na końcu samodzielnie wykonuje całą pracę.

Jeżeli młóciło dwóch mężczyzn, to w tym czasie kiedy bijak jednego cepa unosił się do góry, drugi z dużą prędkością spadał na kłosy snopka. Dolatujące do uszu jednostajne ... łup łup łup, informowało o wykonywanej pracy. Zwiększenie siły uderzenia przez jednego z młócających, zachęcało drugiego do mocniejszych uderzeń. Młócenie na dwa cepy dawało lepsze wyniki.

Młócenie w trzy cepy bardziej przyspiesza pracę, lecz wymaga dużego zgrania całej trójki pracujących mężczyzn. Podczas takiego młócenia jeden cep jest na dole, drugi unosi się do góry, a trzeci spada na snopki. Trzech mężczyzn wykonuje prawdziwą zonglerkę trzema cepami. Uderzenia następują szybko, jedno po drugim ..łup..łup..łup. Snopki bez przerwy podskakują, a nawet wydają się, iż zawisa tuż nad klepiskiem.

W wyniku dłuższej serii uderzeń, ubywało ziarenek w kłosach. Następnie snopki odwracano na drugi bok i kontynuowano pracę. Kłosy stawały się puste i lekkie. Ze wzrastającej ilości zboża na klepisku tworzyła się coraz grubsza warstewka.

Słomę z pustymi kłosami zbierano i wiązano w duże, równe pęki. Następnie mężczyźni obowiązkowo schylali się by sięgnąć rękoma po ziarno zgromadzone na klepisku. Po powolnym, dostojnym wyprostowaniu się mieli pełne garście ciężkich, szarych ziaren wymieszanych z grubą warstwą delikatnej plewy, dotychczasowej osłony.

Teraz następował etap ostrożnego przesypywania drogocennej zawartości z jednej ciężkiej, szorstkiej dłoni w drugą. Kilkakrotne powtórzenie powolnych, pieszczących ruchów, z jednoczesnym lekkim podmuchiwaniem na dłonie powodowało, że plewy odlatywały na bok, jako znacznie lżejsze. W dłoniach zostawały gołe ziarna, pachnące pulchnym chlebem lub urodzajem następnego roku.

Mocne, twarde palce starszego rolnika delikatnie przesuwają malutkie ziarenka, a wprawione, wnikliwe oczy oceniały ich wagę i wielkość. Antoś wiedział, że tak szacowano plony i oceniano, jaka mąka powstanie z wymłóconego zboża, jaki chleb wyjmie się z gorącego pieca. Takie wielokrotne „ważenie” zboża w ręku stało się od lat obowiązkowym rytuałem podczas każdego młócenia. Kilkuletni chłopak nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy naśladowując ojca, nabrał do drobnych garstek niewielkie ilości ziarenek z plewami, a następnie trzymając rączki przy buzi starannie na nie dmuchał i

chuchał. Jeżeli zostało w którejś rączce chociaż kilka ziarenek, to długo oglądał je, by wreszcie wzorując się na ojcu, głośno stwierdzić, że w tym roku zboże obrodziło.

Jeżeli w trakcie prac do stodoły przychodził sąsiad, to po przywitaniu się z gospodarzem, natychmiast sięgał po garść zboża i wykonywał z powagą, w milczeniu ten sam ceremonial. Jakies uwagi padały dopiero po zakończeniu oceny jakości namłóconego ziarna. Wtedy rozpoczynała się niekończąca się rozmowa o tych samych odwiecznych, wiejskich problemach.

Czasami rolnicy wytrącali ziarno z kłosów cepami również w okresie powojennym, zanim nastaly kołchozy, chociaż do wsi dotarły pierwsze młocarnie konne. Cepami przeważnie młócono żyto, aby pozyskać równą, prostą słomę. Przeznaczano ją na remonty słomianych dachów budynków gospodarczych, takich jak obory, stodoły. Słoma z młocarni do tego się nie nadawała. Z młocarni wychodził tak zwany targaniec, tj. słoma wygnieciona, zmięta, nadająca się jedynie do karmienia bydła i podścielania.

Na wykonanie lub remonty dachów, gospodarze odbierali specjalnie słomę najdłuższą i nie połamaną. Uzyskiwano ją po wymłóceniu zboża cepem. Jednak, zanim zboże w postaci snopków trafiło do stodoły, należało go zebrać z pola. Żniwa to okres ciężkiej, całodziennej pracy wiejskich kobiet. Właśnie wtedy, gdy rozpoczynały się największe letnie upały, bez względu na wiek, od świtu do zmierzchu nie schodziły z pola, nie wypuszczały sierpa z rąk.

Od wczesnego poranka do późnego wieczoru, przygięte nisko do ziemi, zarówno mężatki, jak i młode panienki, tak samo starannie łąpały do garści twarde, wysokie źdźbełka, aby krótkim, mocnym pociągnięciem sierpa ściąć je jak najniżej, tuż przy ziemi. Z najdłuższej słomy powstawała najlepsza strzecha. Starannie pracowały starsze kobiety, nie ustępowały im młode dziewczyny, odpędzając od czasu do czasu natrętne muchy i gromady innych kąśliwych owadów lub ocierając pot, ściekający w nadmiarze z czoła na oczy.

Tak zbierano zboże od najdawniejszych lat. Ojciec opowiadał, że po powrocie z austriackiej i węgierskiej niewoli, jako pierwszy we wsi zaczął kosić żyto kosą. Metoda ta nie bardzo podobała się starszym rolnikom, a nasz dziadek, ze strony mamy, w żaden sposób nie mógł się pogodzić z takim traktowaniem zboża. Podobnie uparcie powtarzał: *Jakiż to snopki? A gdzie kałaski?* (Jakie to snopki? Gdzie są kłoski?) Przecież, kiedy żęto zboże sierpem, każda garsteczka była układana dokładnie, kłosek obok kłoska i tak stopniowo powstawał równy, ładny snopek. Podczas „podbierania” za kosiarzem takiej dokładności nie dało się uzyskać.

Młody Antoś widział, jak ojciec przystępując do remontu strzechy na starej oborze albo stodole, ustawiał najpierw obok ściany wysokie rusztowanie. Wchodził następnie tam i rozpoczynał układanie pierwszej warstwy słomy. Antoś nie mógł pozostać na dole. Musiał widzieć jak się wykonuje i tę pracę. Może przeczuwał, że zdobyte umiejętności przydadzą się później, gdy się stanie samodzielnym gospodarzem. Faktycznie, wiele lat później tak samo układał nową lub remontował starą strzechę na budynkach swoich lub teścia. Również z ogromnym zachwytem oglądałem tę niecodzienną pracę, szczególnie gdy wchodziło się coraz wyżej.

Podczas układania kolejnych warstw, jako oparcie dla nóg służył długi i gruby drąg ułożony na niższych warstwach słomy, przywiązany linami, których końce mocowało się gdzieś po drugiej stronie budynku. Antoś na pewno z największą radością wspinał się za ojcem na tamtą ogromną wysokość. Tam oglądał, jak po wstępnym rozścieleniu warstwy słomy, przed ostatecznym umocowaniem poprzecznymi długimi, cienkimi żerdziami, „podbijano” ją od dołu specjalną ręczną równiarką, w postaci deseczki z uchwytem, z naciętymi rzędami poprzecznych zębów. Stopniowo, warstwa za warstwą, powstawała strzecha, przez którą woda nie przedostawała się do wnętrza, nawet w największe ulewy.

Wszystkie budynki naszej wsi z tamtych lat przykrywały słomiane strzechy. Drewnianych podłóg w tamtych chatkach nie było. Ojciec również urodził się i spędził dzieciństwo w domu, który nie miał podłogi. W izbie mieszkalnej znajdowało się gliniane klepisko, takie jak w stodole, może trochę równiejsze. Na Wielkanoc lub Boże Narodzenie, klepisko nie tylko zamiatano brzoźową miotłą, lecz dodatkowo posypywano żółtym piaskiem. Izba nabierała świątecznego wyglądu. Ojciec wspominając tamte czasy z uśmiechem powtarzał, że dopiero na święta było czysto i ładnie.

Okres świąt stawał się okazją do wypieków ciasta z pszenicy, zebranej na własnym polu, na najlepszych działkach. W tym momencie widzę ponownie uśmiechniętą twarz ojca, kiedy powtarzał kolejny raz, jak dziadek Michał przy tej okazji znowu twierdził, że „namarnowano niepotrzebnie tyle jajek” i od razu wiedział, ile można było dostać za nie rubli i kopiejek na targu w Stołpcach.

Nie muszę wspominać, że w domu ojca, tak jak u pozostałych mieszkańców wsi, wszystkie garnki i miski były gliniane. Kilka takich garnków miała również nasza mama. Z misek glinianych już nie korzystaliśmy. Zastąpiły je aluminiowe, znacznie mocniejsze. Drewniane łyżki również należały do przeszłości. Postęp techniczny zmienił i to narzędzie do spożywania posiłków. W latach młodości ojca łyżki były drewniane. Z opowieści stryja Bolesława wynika, iż łatwo łamały się po pierwszym mocniejszym uderzeniu.

Podczas obiadu niesforni chłopcy nadmiernie dokazywali, pomimo że bardzo bali się ojca i wiedzieli, że dwa razy swoich uwag nie powtarza. W tamtym dniu dziadek Michał któremuś chłopcu uwagę zwrócił również raz. Za drugim razem "zdzielił go łyżką przez łeb". Śmiechy urwały się, a w ręku ojca pozostał jedynie mały trzonek od łyżki. Cienko zestrugane drewno okazało się za słabe na mocne, męskie uderzenie. Łeb wytrzymał, łyżka pękła. W powstałej ciszy rozległ się spokojny, zdecydowany głos ojca: „Matka! ... Daj drugą...”.

W wieku młodzieńczym przed wojskiem ojciec co najmniej kilka lat przebywał u swojego wujostwa, państwa Kraszewskich. Gdzieś w pobliżu posiadali majątek i jako bezdzietne małżeństwo z ochotą przyjęli do siebie młodego, wiejskiego chłopca. Wspominając ten czas ojciec najczęściej opowiadał o ciotkę Helenę, jako osobie decydującej o wszystkim. Wujek był wyraźnie odsunięty na drugi plan, przeważnie ustępował, widocznie wolał mieć „święty spokój”.

Ojciec zawsze podkreślał, że otrzymał tam wykształcenie i wychowanie, którego nie mogli przekazać rodzice. Był też uczony i sposobiony do kierowania majątkiem, tj.

wielkim gospodarstwem rolnym. W majątku ciotki zdobył wiedzę „gorzelnego”. Dodatkowy zawód i wykształcenie w istotny sposób wpłynęły później na przebieg okresu jenieckiego, podczas pierwszej wojny światowej.

Ze swego „fachu” ojciec był niezmiernie dumny. Powtarzał ciągle, że gorzelnia to skomplikowana fabryka, a do jej prowadzenia niezbędna jest duża wiedza połączona z wieloletnią praktyką. Prawdopodobnie miał jedno i drugie. Pracował przy spirytusie wiele lat. Najpierw u ciotki, następnie w niewoli i po powrocie do kraju, po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Wieloletni dostęp do „trunku z procentami” nie zrodził nawet namiastki zagrożenia chorobą, zwanej alkoholizmem.

Opowiadając o pobycie u ciotki, ojciec często powtarzał, że tam nauczył się jak należy siedzieć przy stole, jak trzymać nóż i widelec, jak zachować się w stosunku do osób starszych i powszechnie szanowanych. Wspominając dawne lata dość często denerwował się, stwierdzając, że zarówno w oficjalnej propagandzie jak i podręcznikach szkolnych tamten okres przedstawia się w sposób zakłamany. Obawiał się, że gdy odejdzie starsze pokolenie, młodzież nigdy nie dowie się prawdy.

Bez wątpienia, będąc młodym o odległej przyszłości tamten mężczyzna nie myślał. Nie mógł przewidzieć nawet lat najbliższych, a zbliżały się okropne, groźne miesiące, które nie mogły się przyśnić nawet w najgorszych snach.

^[1] Socjalistyczna (Ros.)

^[2] Artykuły żywnościowe (ros.)

^[3] ulica 17 września (biał.)

^[4] W tamtych czasach popularna była przyśpiewka: *Pszenicu za granicu, kartowszku na wino, a kałchożniku kino.* (Pszenicę – za granicę, ziemniaki na wino, a kołchożnikowi – kino. (ros.)

^[5] Wyznawana wiara (ros.)

2. Z carskiej gwardii do austriackiej niewoli

6

Spokojnie i pracowicie, w rytmie zmieniających się pór roku, minęły lata dziecińne oraz wczesna młodość ojca. Zbliżał się wiek dorosłości. Tak samo zdecydowanie nadchodził i wreszcie rozpoczął się rok 1911, w którym tak nie dawno jeszcze młody podłotek ukończył dwadzieścia lat. W tym wieku wszystkich mężczyzn brali do wojska, niestety nie do polskiego. Państwo Polskie pozostało dawnym wspomnieniem. O czasach, kiedy istniało cicho opowiadano jedynie we własnym domu i wśród najbliższych sąsiadów. Państwa Polskiego nie było, armia polska nie istniała, ale obowiązek służby wojskowej pozostał. Każdego młodego mężczyznę, bez względu na narodowość, zmuszano do służby w armii kraju tego zaborcy, w granicach którego mieszkał. W przypadku naszego ojca, zbliżał się przymus służby w armii rosyjskiej, armii carskiej jak to zawsze podkreślał w swoich opowieściach.

Nadeszła jesień i rozpoczął się kolejny pobór. Całe tłumy młodych mężczyzn ustawiały się w kolejce przed kilkusobową komisją, usadowioną za długim, drewnianym stołem. Znajdowali się tam umundurowani oficerowie carskiej armii i cywilni przedstawiciele władz. Był również lekarz. Jego rola sprowadzała się do stawiania każdemu poborowemu, wciąż tego samego, krótkiego pytania „*zdarow¹?*” po to, by w następnej chwili niezdecydowany, młody chłop z dalekiej wsi mógł się dowiedzieć, że jest zdrowy, a ponadto nadaje się do noszenia wojskowego munduru i długiego karabinu. Czasami niektórym zadawali pytania o poziom wykształcenia. Najczęściej chcieli wiedzieć, czy wystraszony, jękający się kandydat na carskiego żołnierza potrafi czytać i pisać.

Krótkie pytania, niezdecydowane odpowiedzi oraz jednoznaczne orzeczenia komisji. Kolejka nieustannie posuwała się do przodu. Poborowy Antoni Ciechanowicz, który kilkadziesiąt minut wcześniej znajdował się daleko na końcu oczekujących, zbliżał się wyraźnie do przedstawicieli władz. Wydawały one nieodwracalne ostateczne decyzje, przesądzali o losach młodych mężczyzn na najbliższe lata. Z woli komisji, na podstawie jej wyroku, można było ten okres spędzić w najbliższym garnizonie lub trafić w głąb Rosji, gdzie zima długa i mroźna, gdzie bezkresne stepy i nieprzebyte lasy.

Istniała też wątpliwa przyjemność znalezienia się w górach pięknego, lecz groźnego Kaukazu, gdzie:

*Czerkies aruzijem abwieszien,
on im gárditsia im utieszien²*

Z opowieści ojca wynikało, że poborowi doskonale zdawali sobie sprawę z zawziętości dumnych Czerkiesów. Wiedzieli też, że w walce o wolność i niepodległość Kaukazu nie ustępowali im *dzygici* Dagestanu, nieustraszeni Czeceńcy. Wiedzieli, że tamte górskie narody nigdy nie pogodziły się z utratą wolności, nie zgodziły się na rolę poddanych Moskwy, nie zamierzali nigdy złożyć broni. Dla nich śmierć z bronią w rękę w walce z carską armią była powodem do dumy i pośmiertnej, wiecznej chwały. Żołnierz w rosyjskiej *szynieli³* był najeźdźcą, nieprzejednanym wrogiem. Nikt w zaborczej armii, bez względu na posiadany stopień i narodowość nie mógł być spokojny na krętych, górskich drogach, na wąskich ścieżkach, w żadnym *aule*, *kiszłaku⁴*. I w dzień i w nocy na każdego czyhała śmierć.

Nie było też tajemnicy, że chłodne, niegościnne *sopki*⁵ Mandżurii z jej surowym klimatem stały się mogiłami rosyjskich żołnierzy, którzy polegli w walkach o tamten daleki kraj. O ich „bohaterstwie” jakże często śpiewano smętną pieśń w rytmie popularnego walca. Perspektywa służby w tamtych rejonach, nawet w warunkach zawieszenia wojny, optymizmem nie napawała. Sama myśl o służbie jeszcze dalej, nad Morzem Japońskim, wywoływała dreszcze. Nie zatarły się w pamięci opowieści starszego pokolenia o wojnie rosyjsko - japońskiej, o zawziętości Japończyków i ich nieprzejednanej wrogości do armii rosyjskiej.

Niestety, decyzje komisji były ostateczne. Przedstawiciele poszczególnych dywizji i pułków przyjeżdżali po dodatkowe uzupełnienie, po kandydatów na młodych żołnierzy obrońców granic *Matuszki Rasiji*⁶ i z nimi odjeżdżali. Każdy nowy rekrut jechał tam, gdzie go skierowała wysoka komisja.

Antoni Ciechanowicz stopniowo zbliżał się do stołu, przy którym zapadały ostateczne wyroki. Malała ilość osób stojących w kolejce przed nim. Wkrótce słyszał, jak poprzednicy otrzymywali skierowania w różne, odległe rejony bezkresnego kraju. Po upływie następnych minut ojciec stanął przed komisją i z niepokojem oczekiwał na werdykt, który miał zapaść za moment. Ten poborowy również usłyszał pierwsze pytania, udzielił pierwszych odpowiedzi.

Poborowy Ciechanowicz był inny niż poprzednicy. Pomimo wewnętrznego niepokoju odpowiadał pewnie i śmiało. Informował o poziomie wykształcenia, o dotychczasowym krótkim życiorysie. Może pragnął w ten sposób uzyskać lepszy przydział, np. na pisarza w kancelarii wojskowej, zamiast biegania po polach z karabinem. Największe obawy budziła kawaleria. Mogło być wszystko, tylko nie to. Nie tworzyła wesołej perspektywy również służba na morzu. Marynarze carskiej armii służyli pięć lat, w odróżnieniu od żołnierzy sił lądowych, których okres służby trwał zaledwie trzy lata. Na morzu, również w carskiej armii, służył brat babci Okinczyc⁷. Może właśnie od niego mieszkańcy naszej wioski usłyszeli po raz pierwszy znane powiedzonko rosyjskich marynarzy:

*kto na morie nie bywał,
tot i goria nie widał*⁸

Powtarzała go babcia wielokrotnie, przy każdej nadarzającej się okazji, szczególnie jeżeli ktoś narzekał na swój los, zdaniem babci bez uzasadnionego powodu.

Skończyło się zadawanie pytań. Nastąpiła chwila denerwującej ciszy. Za moment zapadnie wyrok. Komisja zadecyduje o losie naszego ojca. Określi powinności względem zaborcy na najbliższe lata. Jej członkowie jeszcze uzgadniają coś między sobą, kiwają z aprobatą głowami, a następnie stwierdzają, że ten rekrut będzie służył bezpośrednio w Petersburgu, w jednym z gwardyjskich pułków.

Do gwardyjskich pułków trafiali nieliczni poborowi, wyróżniający się z tłumów, posiadający najwyższe możliwe wykształcenie. Pozostali kandydaci na żołnierzy jak że często nawet nie znali liter, a czasami nie potrafili odróżnić prawej ręki od lewej. Pułki gwardyjskie to reprezentacyjne wojsko podległe bezpośrednio carowi. Narodowość żołnierzy nie miała żadnego znaczenia. Po okresie szkolenia wstępnego oraz

obowiązkowej musztry ich ręce posłusznie kierowały karabiny w stronę nieprzyjaciół lub wrogów cara. Szeregowca w szarej długiej *szynieli* nikt się o zdanie nie pytał.

Od przymusowej służby dla obcego mocarstwa, odwołanie nie istniało. Perspektywa odbycia jej w stolicy państwa, zwanej Wenecją Północy, w pięknym mieście znanym dotychczas jedynie ze słyszenia, było bez porównania przyjemniejsze niż w głębi Rosji.

Ojciec nie tylko nigdy nie używał nazwy Leningrad, wprowadzonej przez władze radzieckie. Zawsze z oburzeniem reagował, gdy tę nazwę słyszał. Twierdził, że miastu powinno się przywrócić dawną nazwę Sankt - Petersburg, tj. Święte miasto Piotra i że my, młodsze pokolenie, prawdopodobnie tego dnia się doczekamy, po upadku komuny w Rosji. Dla ojca istniał Petersburg, miasto zbudowane z inicjatywy i pod kierownictwem Cara Piotra ogromnym wysiłkiem i niezliczoną ilością ofiar *...na kastiach czelawieczeskich, w nieprzebytych bagnach, gdzie przędzie fińskij ribałów, ubogij pasynok prirody, brasał swoj niewad...*⁹

Znacznie dłuższy fragment poematu ojciec recytował bez zająknięcia. Również o swoim wojsku opowiadał chętnie i wielokrotnie. Do najstarszych lat pamiętał nazwiska oficerów i szczegóły służby. Ciągłe podkreślał, że służył w tzw. gwardyjskiej dywizji podległej bezpośrednio carowi. Obowiązkowo dodawał, że w skład dywizji wchodziły pułki: *Siemionowskij, Preobrażeńskij i Pietropawłowski* i ten w którym służył - *Izmajłowski*. Nazwy były wymieniane nie bez powodów. Ojciec zawsze powtarzał, że w 1905 roku żołnierze jego pułku odmówili wykonania rozkazu i nie zgodzili się tłumić manifestacji robotników w Petersburgu. Rozkaz wykonali żołnierze *siemionowcy*. Oni wyszli na spotkanie bezbronnej ludności, z ich karabinów padły salwy do głodnych nędzarzy. Tamta masakra przeszła do historii Rosji pod nazwą „krwawa niedziela”.

Ojciec wspominał, że od tego dnia do żołnierzy *siemionowskiego* pułku zrodziła się powszechna pogarda i nienawiść, a może nawet wrogość. O nich nie mówiono inaczej, jak *krwiopijcy*. Bez żadnych wątpliwości, w tamtym obcym wojsku lepiej było zostać *izmajłowcem* niż *siemionowcem*, tym bardziej że sytuacja ekonomiczna ludności w Rosji i samym Petersburgu nie uległa poprawie. Zwiększył się terror, zaostrzono represje. Atmosferę tamtych lat chyba najlepiej oddają słowa piosenki, śpiewanej pod melodię państwowego hymnu, sławiącego cara:

*...Car ispugałsia, izdał manifest
Miortwym swabodu, żywych pod arrest.
... Silnyj i swiatyj, car nasz praklatyj
Bożie cara scharani.*¹⁰

Istniało realne zagrożenie ponownych starć z protestującymi robotnikami i głodującymi biedakami. Istniała nadzieja, że do tłumienia ulicznych wystąpień ponownie zostaną użyte wypróbowane pułki *siemionowców*, a nie buntujących się *izmajłowców*.

Ojciec z dumą podkreślał, iż wśród żołnierzy, których zdecydowaną większość stanowili Rosjanie, wyróżniał się wykształceniem i obyciem. Był niezłym strzelcem. Wobec powyższego przełożeni zaczęli dawać do zrozumienia, że chętnie skierują go do szkoły podoficerskiej. Taka wersją wiązania się z wojskiem, które nie było polskim,

ojcu nie odpowiadała. Pragnął jak najszybciej zakończyć obowiązkową służbę i wrócić do domu. Zaczął symulować, udawał że coś mu dolega, boli. Kilkakrotnie otrzymywał zwolnienie od zajęć. Zrodziła się zachęta do dalszego kombinowania. Powstawały dodatkowe pomysły na wciąż nowe choroby i dolegliwości. Rozpoczęły się systematyczne wizyty w izbie chorych. Niestety, nie mogło to trwać w nieskończoność. Podczas kolejnej próby *symulantki* lekarz stwierdził krótko: „marsz w *rotu*¹¹” i taką treść wpisał do blankietu zwolnienia lekarskiego.

Od tego dnia, żadne pomysły dodatkowych chorób do głowy nie przychodziły. Skończyły się też propozycje skierowania na szkolenie na podoficera carskiej armii.

Spokojnie mijały podobne do siebie kolejne tygodnie i miesiące. O szybkim powrocie do domu nie było nawet marzeń. Jeszcze długo będzie noszony na plecach mundur carskiej armii. Wiele miesięcy pozostanie do spędzenia w tamtym północnym mieście. Przed żołnierzami niejedno upalne lato, gdy słońce na krótko chowa się za horyzontem. Nadejdzie niejedna śnieżna zima, kiedy z kolei to samo słońce, po wyjątkowo długiej nocy, leniwie wtacza się na bezchmurne niebo. Płyynie następnie nisko nad zamrożoną białą ziemią, tak jakby nie miało siły wejść wyżej i po niedługim czasie zaczyna opadać. Już tylko ostatnie promienie dużej, czerwonej tarczy, schowanej do połowy, jak na pożegnanie, oświetlają wyższe budynki, wieże cerkiewne i kościelne. Za chwilę nad miastem zapada gwiazdzista, mroźna noc.

Latem czas leciał szybciej. Szybko mijały ciepłe, słoneczne dni. Tygodnie wydawały się krótsze. Wreszcie żołnierze rozpoczęli liczenie nie tych długich miesięcy, które upłynęły od początku służby, ale tych, które oddzielały od dnia powrotu do stron ojczystych. Służba nie mogła trwać wiecznie. Podrastały młodsze roczniki. Należało im zwolnić miejsce w koszarach. Ci, co odsłużyli, zawsze jesienią wracali do domów.

Do jesieni zostawało jednak kilka miesięcy, a więc również najstarsi żołnierze mieli spędzić poza koszarami na letnich poligonach¹². Zgodnie z wieloletnią tradycją, latem cała dywizja wyjeżdżała w okolice miasta Carskie Sioło¹³, leżące na trasie z Petersburga do Moskwy. Tam odbywały się ćwiczenia i manewry w których brały udział wszystkie rodzaje wojsk. Ostatni wyjazd na poligon przyjęto z ulgą. Pod koniec lata będzie powrót do koszar, a następnie, na początku jesieni, nastąpi pożegnanie z pułkiem i powrót do domu.

Zajęcia przebiegały spokojnie. Niektórzy oficerowie wyprowadzali żołnierzy w pole lub do lasu, dalej od wyższych dowódców. Tam spędzali czas na pogawędkach i wyczekiwaniu na obiad. Takiego *komandira rot*¹⁴ miał również ojciec. Oficer ten wyraźnie omijał obowiązujące regulaminy. Uczestniczył on w wojnie japońskiej i twierdził, że musztra żołnierzy z okresu pokoju nie przydała się na nic. Wojna dyktowała swoje prawa. Komu była sądzona śmierć, ten zginął. Ci, co mieli zostać przy życiu, przeżyli. Przekonywał też żołnierzy wielokrotnie, że w najbliższych latach żadnej wojny nie będzie i najstarsze roczniki jesienią wrócą do domów. Zapewniał, że tą samą metodą rozpocznie szkolenie kolejnych rekrutów.

Na zakończenie poligonowych ćwiczeń pułki piechoty ustawiano do odparcia symbolicznego ataku kawalerii. Było to ostatnie ćwiczenie z udziałem wszystkich żołnierzy.

W poprzek ogromnego pola, w długim niekończącym się szeregu stawali *piechotnicy*¹⁵. Jeden od drugiego w odległości kilku metrów. Byli zwrócenie twarzą w tę stronę, gdzie szeroka i długa równina poligonu graniczyła z zielonym lasem. Na jego skraju w cieniu wysokich drzew ukryli się kawalerzyści. Za chwilę wyruszą do ataku. Celem natarcia będzie długi szereg broniącej się piechoty.

Stał tam również nasz ojciec, ubrany w połowy mundur żołnierza rosyjskiej armii. Podobnie jak pozostali koledzy z *roty*, miał na plecach ciężki karabin, a w rękach długą pikę, służącą do powstrzymania rozpędzonych koni lub strącania na ziemię wrogich kawalerzystów. Żołnierzy uczono, że tak będzie na wojnie.

Nikt jednak o niej nie myślał, a tym bardziej nie przeczuwał, iż wkrótce wybuchnie. Żołnierze byli przekonani, że są to zbędne ćwiczenia, że nigdy nie zajdzie potrzeba mocnego wbijania w ziemię tylnego końca długiej piki po to, by jej stalowym ostrzem uniesionym skośnie do góry przebić piersi jakiegoś obcego jeźdźca, mknącego na spienionym koniu. Myśli leciały do dalekich rodzinnych domów, do sylwetek oraz twarzy osób najbliższych.

Głośna komenda przekazywana wzdłuż szeregu nakazała przygotować się do odparcia ataku. Skończyły się marzenia, trzeba było wrócić do rzeczywistości.

Rozpoczęcie ataku i zbliżanie się nacierającej kawalerii sygnalizowała daleka chmura szarego pyłu. Rozrastała się ona i powiększała z każdą chwilą. Nasilał się tętent kopyt zagłuszany wrzaskiem kawalerzystów wymachujących obnażonymi szablami. Wysoko nad głowami jeźdźców błyskały jaskrawo słoneczne promienie odbite od stalowych, wypolerowanych płaszczyzn. Powiększały się sylwetki przygiętych jeźdźców, kołyszących się rytmicznie w siodłach na rozpędzonych koniach, które wyrwały się do przodu wyciągnięte nad ziemią w szaleńczym galopie.

Koni, pędzących z ogromną prędkością, nikt nie powstrzymywał. Raczej tworzyła się sytuacja odwrotna. Przepełnieni entuzjazmem kawalerzyści ścigali się między sobą. Każdy pragnął znaleźć się na czele galopujących. Rywalizacja kawalerzystów przenosiła się na konie. Ożywały w nich dawne instynkty wolnych tabunów przemierzających bezkresne stepy.

Szeroki łańcuch koni i uniesionych w strzemionach, wiwatujących jeźdźców w zawrotnym tempie zbliżał się do nieruchomych żołnierzy piechoty potulnie stojących w równym, długim szeregu. *Piechotnicy* bali się. Bał się każdy. Ojciec powtarzał to zawsze. Nie miało żadnego znaczenia, czy ktoś w tym szeregu stał po raz pierwszy, czy kolejny raz słyszał głuchy tętent kopyt i coraz wyraźniej widział nadciągające konie i jeźdźców.

Setki par wystraszonych oczu milczącego szeregu piechoty z przerażeniem wpatrywało się w coraz wyraźniejsze, wyciągnięte do przodu kołyszące się końskie pyski, błyskające w słońcu szable i kopyta z ogromną siłą uderzające w ziemię, wyrzucające jej grudy daleko do tyłu. Kopyta... kończące smukłe nogi wyrastające z muskularnych przodów. Kopyta... nie mające żadnej litości. Kopyta... gotowe stratować każdego śmiałka stojącego na drodze... Twarde kopyta... zakończone stalowymi podkowami.

Odległość gwałtownie malała. Najszybciej ubywały ostatnie metry. Drżała glucho ziemia i wydawało się, że galopujący tabun gwałtownie, samorzutnie przyspiesza świadomie zwiększając tempo natarcia. Odnosiło się wrażenie, że konie pragną zmiażdżyć i wdeptać w ziemię drobne, szare postacie, które chyba przez przypadek znalazły się na drodze.

Nieruchome postacie nadal stały beczynnie. Kazano im tak trwać i rozkaz wykonywali. Tak samo staliby w warunkach wojny, kiedy faktycznym celem nacierających kawalerzystów byłoby zadanie broniącym się piechurom miażdżącego, niszczącego ciosu. Ilu by z nich przeżyło, a ilu zginęło stratowanych kopytami lub rozciętych szablami?

W pewnym momencie postronny obserwator bezwolnie zamknął oczy i odwrócił głowę, aby nie widzieć strasznych skutków nieuchronnego zderzenia. Gdyby po chwili spojrzął ponownie w poprzednim kierunku, to ujrzałby kawalerzystów zwalnających konie za plecami piechurów. Długi szereg piechoty w dalszym ciągu pozostawał w poprzednim miejscu. Jego koniec nadal ginął z oczu za pierwszym, niedużym wzgórzem. *Piechotnicy* nadal pozostawali w bezruchu, niby sparaliżowani, jakby nie wierzyli, że już po wszystkim, że nic się nie stało. W jaki sposób się rozminęli? Czyżby konie przefrunęły górą?

To był moment. To była ta sekunda, gdy nasz obserwator nie wytrzymał nerwowo i zamknął oczy. Piechurzy w ostatniej chwili zrobili przejścia w swoim szyku, rozrzedzili szereg. Każdy co trzeci żołnierz pozostał nieruchomy, a sąsiedzi z prawej i lewej strony szybko zajęli miejsca przed nim i za nim. Kawalerzyści mieli trafić w utworzone przerwy. Widocznie trafiali.

W okresie, gdy podczas służby wojskowej przyjeżdżałem na krótkie urlopy do domu, chętnie i dużo opowiadałem o swoim wojsku. Ojciec uważnie słuchał i często robił porównanie mojej służby ze swoją. Prawie zawsze przy tym stwierdzał, że miał znacznie lepiej. Ciągłe powtarzał, że w wojsku carskim nie było żadnych szykan, również w stosunku do żołnierzy najmłodszych. Po godzinach zajęć i ćwiczeń, mieli czas wolny. Nawet na łóżku mogli się położyć. Podczas pierwszych miesięcy mojej służby, o takich luksusach nie odważyliśmy się nawet pomyśleć. Ktoś bardzo zmęczony, w krótkich chwilach tzw. wolnego czasu, kiedy kaprale powychodzili z sali, mógł się położyć pod łóżkiem. Łóżko równiutko zasłane nie mogło być tknięte do samego capstrzyku.

W każdą niedzielę większość carskich żołnierzy miało prawo wyjść do miasta. Ojciec z tego również korzystał. Często powtarzał, że służąc w carskim w wojsku daleko od Polski „w każdą Bożą niedzielę był w kościele”. W Petersburgu, pomimo carskich prześladowań, nie zlikwidowano kościoła rzymsko-katolickiego, do którego przychodziło dużo wiernych. Wśród nich, zdecydowaną większość stanowili Polacy.

Pisząc o braku szykan w stosunku do żołnierzy na terenie koszar, nie sposób pominąć jeszcze jednego fragmentu z tamtych opowieści. Żołnierze carscy mieli przepustki do miasta. Mieli prawo po nim spacerować. Musieli jednak przy tej okazji uważnie czytać napisy na szyldach i tabliczkach. Musieli pamiętać, że przed wejściem do jednego z parków znajdował się napis „*wchadit` niższym czynam i wwadit` sabak zaprieszczajetsia*”¹⁶.

Często ojciec wspominał również cara Rosji, Nikołaja II. Nie jestem w stanie oddać słowami jego oburzenia, gdy opowiadał o tych, którzy w wyniku rewolucji październikowej *dorwali się do władzy*, aresztowali, a następnie bestialsko zamordowali całą carską rodzinę. Twierdził, że trudno było obarczyć cara całą odpowiedzialnością za ogrom nieszczęść, które spadły na tamten kraj. Ciągłe powtarzał, że zamordowano bezbronne kobiety, tj. żonę cara i córki, które nie miały żadnego wpływu ani na metody rządzenia, ani na decyzje polityczne. Wina ich polegała jedynie na tym, że wywodziły się z carskiej rodziny i stanowiły przedłużenie rodu. Od rdzennych Rosjan ojciec dokładnie wiedział o przebiegu tamtego mordu, ze szczegółami powtarzał fakty, które przestały być tajemnicą dopiero w ostatnich latach.

Z opowieści wynikało, że do cara można było mieć pretensje jedynie za to, że mało energicznie kierował życiem gospodarczym i politycznym. On nie rządził, ważnych decyzji nie podejmował. Był *figurą na tronie*. Nawet na ćwiczeniach, na letnim poligonie, będąc głównodowodzącym, nie wykazywał energii oczekiwanej w takim momencie.

Żołnierze gwardyjskich pułków mogli widzieć i słyszeć go z dość bliskiej odległości. Witając się z nimi zawsze tymi samymi słowami: „*Zdrawstwujię daragije ...* (w tym przypadku) - *izmajlawcy*” i „*spasibo wam, daragije izmajlawcy*”¹⁷. Słowa te wymawiał wolno, spokojnym głosem człowieka zmęczonego trudami życia. Ojciec naśladował go chyba dość dokładnie.

Wśród innych opowieści dotyczących służby, które już zapomniałem, pamiętam jedno. Żołnierze mieli jakieś spotkanie z *batiuszką*, tj. duchownym prawosławnej cerkwi, który w trakcie swoich wywodów zadał pytanie: „W jaki sposób można chwalić Boga?” Na sali zapanowała cisza. Wszyscy milczeli. Nikt się nie odzywał. Wobec tego kolejny raz padło to samo pytanie i ponaglenie o odpowiedź. Udzielił jej ojciec stwierdzając, że można to czynić poprzez modlitwę i każdym dobrym uczynkiem, np. rolnik orze pole, kowal kuje żelazo, krawiec szyje itd.

Zachwycony *batiuszka* chyba nieopatrznie zadał jeszcze jedno pytanie: „Jakiej jesteś wiary?”. Usłyszał, że rzymsko-katolickiej. Zaskoczony odpowiedzią był zmuszony ponownie pochwalić ojca, stawiając za przykład innym, stwierdzając przy tym: „*a wy, duraki, nie sumieli otwietit*”¹⁸

Nie padło pytanie o narodowość, ale o nazwę wyznawanej wiary. W carskiej Rosji problem narodowości nie istniał. W żadnym dokumencie taka rubryka nie istniała. Wszyscy byli poddanymi cara i jego sługami. Ludność nie rosyjską od prawosławnych Rosjan odróżniała wiara. O *wieroispowiedonje* pytania padały zawsze, a wyznawaną religię wpisywano do każdego dokumentu. O Polsce mowy nie było. Był to... *Priwislenskij kraj*.¹⁹

Monotonnie mijały długie miesiące przymusowej służby. Z kolejnych poborów, młodsze roczniki rekrutów trafiały do koszar. Tworzono z nich nowe kompanie i pułki. Starsi żołnierze odchodzili do upragnionego cywila. Żołnierze rocznika ojca coraz częściej wspominali o zbliżającym się terminie powrotu do domu. Okres ich służby wyraźnie się zbliżał ku końcowi. Wreszcie w ostatnim roku, długie miesiące zaczęto przeliczać na krótsze tygodnie. Już się cieszyli, że następną zimą spędzą poza koszarami, że wiosna, która tym razem szybko minęła, w wojskowych mundurach nie

powtórzy się nigdy, tak samo jak nie powtórzą się letnie poligony i spotkanie z nacierającymi kawalerzystami ani na ćwiczeniach, ani na prawdziwej wojnie. Żołnierze wiedzieli, że szybko minie lato. Wierzyli, że wkrótce rozpoczną liczenie poszczególnych dni dzielących od chwili rozstania się z wojskiem. Ojciec był jednym z nich.

Niestety, było to lato 1914 roku. Coraz wyraźniej i głośniejsz mówiono o grożącej światu wojnie. Coraz częściej rozchodziły się pogłoski o możliwości odroczenia terminu zwalniania do cywila żołnierzy najstarszego rocznika. Na początku nikt w to nie wierzył. Nikt tego nie chciał, bez względu na narodowość i *wieroisповідanie*. Wszyscy marzyli o powrocie do swoich stron ojczystych, o życiu bez mundurów i rozkazów. Wszyscy byli młodzi, każdy chciał żyć, a nie wyjeżdżać na jakąś wojnę, nie wiadomo z kim i o co, nie wiadomo dlaczego.

Żołnierze przestali się uśmiechać. Nie było radosnych twarzy. Ze szczegółowych opowieści ojca zostało mi w pamięci, że nikt się już nie cieszył ani podczas świtu, ani w trakcie zmierzchu, kiedy znowu przemijał kolejny dzień niepewności. Niby zbliżał się koniec służby, a jednocześnie jeszcze szybciej i nieuchronnie nadciągały wydarzenia niewyobrażalnie straszne, niosące nieodwracalne, tragiczne następstwa. Każdy następny dzień, zamiast zapowiedzi spełnienia najskrytszych marzeń, do których przyznawano się jedynie czasami w myślach i modlitwach, przynosił coraz bardziej złowieszcze wieści, że wojna jest nieunikniona i to właśnie te roczniki młodych mężczyzn, już wkrótce będą musiały wyruszyć na front. Ojciec ciągle powtarzał, że „... to my mieliśmy zginąć na tej wojnie w pierwszej kolejności”.

Wreszcie, żołnierzy oficjalnie poinformowano, że służba została przedłużona i w planowanym terminie nikt z wojska nie wyjdzie. Długie letnie dni w tym północnym mieście wypełniły się męczącą niepewnością, a krótkie noce bezsennym oczekiwaniem.

Szeregowcom żadnych szczegółowych informacji nie przekazywano. Pomimo to wiedzieli doskonale, że zbliża się konflikt międzynarodowy na niespotykaną skalę, że wszyscy zostaną wysłani na okropną, morderczą wojnę, a wrócą z niej tylko nieliczni, często strasznie okaleczeni. Teraz jeżeli ktoś się modlił, a modlili się chyba wszyscy, to błagał Najwyższego o oszczędzenie na tej wojnie bólu i cierpienia, o śmierć bez męczarni. Może ktoś odważniejszy błagał o łaskę powrotu do domu.

7

Z długich szczegółowych opowieści w pamięci zostało co nieco. Nie zapomniałem, że stan niepewności został przerwany pewnego poranka, kiedy zarządzone spotkania dowódców z poszczególnymi kompaniami i pułkami. Kalendarz wskazywał niedzielę, 1 sierpnia 1914 roku. Jeszcze przed odczytaniem rozkazu skierowanego do wszystkich żołnierzy, przestało być tajemnicą, że stało się najgorsze. W nocy, bez wypowiedzenia wojny, Niemcy zaatakowali. Tak oczekiwany, tak bliski powrót do rodzin i stron ojczystych pozostał marzeniem. Krwawe zmagania rozpoczęły się na długim łuku granicy rosyjsko - niemieckiej przebiegającej przez tereny Polski, a następnie na granicy rosyjsko - austriackiej. Polska ziemia znalazła się na linii frontu. Rozpoczęło się jej pustoszenie przez armię sąsiednich mocarstw w pierwszym, najbardziej zaciekłym starciu.

W obu zaborczych armiach, po jednej i drugiej stronie linii frontu, mieli ginąć Polacy w walkach nie o swoją ojczyznę. Prawie wszyscy młodzi mężczyźni wcieleni przymusowo do armii, traktowali służbę jako dopust Boży i wciąż marzyli o powrocie do swych dalekich wiosek. Ciągle słyszałem, że taka atmosfera istniała wśród Rosjan. Z większymi lub mniejszymi oporami godzili się na odświadczenie obowiązkowego wojska. Jednak mieli nadzieję, że udział w wojnie ich szczęśliwie ominie. Uczuć żołnierzy innych narodowości, w tym znacznej ilości Polaków, zmuszonych do walki z narażeniem życia w wojnie o nie swój kraj, nie potrafię odtworzyć, chociaż ojciec o tym problemie zawsze wspominał..

Przed wyruszeniem na front prócz sloganów o konieczności walki z najeźdźcą w obronie *wiery, cara i otecziestwa*²⁰ pokazano żołnierzom obraz namalowany na dużym płótnie. Przedstawiał zmagania rycerzy w walce na śmierć i życie w jakiejś dawnej bitwie. Dowódca omawiając treść obrazu stwierdził, że jest to bitwa pod Grunwaldem, że przedstawia walkę polskiego rycerstwa z Krzyżakami. Na zakończenie swojej wypowiedzi dodał: ... *Jeśli my budiem srazatsia tak, kak Palaki pod Grunwaldam, to na zimnije kwartiry wierniomsia damoj*²¹. Nie jestem w stanie przypomnieć innych szczegółów tamtego fragmentu opowieści i nie wiem, jakie naramienniki oraz ile gwiazdek miał dowódca wypowiadające powyższe słowa, jakiej był narodowości. Nie zapomniałem jednak, że pułkiem ojca dowodził gen. Kisielewski, z pochodzenia Polak. Następnie awansował na dowódcę dywizji, a jego zastąpił kolejny Polak, gen. Królewski.

Po spotkaniu natychmiast zarządzono przygotowania do wyjazdu na front. Wkrótce do najodleglejszych zakątków miasta zaczął docierać odgłosy bębnów i orkiestr dętych grających wojskowe marsze. Z koszar poprzez szeroko otwarte bramy wychodzili czwórkami żołnierze i maszerując środkiem szerokich ulic, kierowali się w stronę stacji kolejowej. Ojciec wraz ze swym pułkiem opuścił koszary w nocy, w pośpiechu. Twierdził, że dowództwo chciało jak najszybciej zapełnić jakieś luki na linii frontu. Wagony osobowe nie czekały na żołnierzy, nie było pociągów zmierzających w kierunku stron ojczystych. Wsiadali do pudeł towarowych. Zabierali ze sobą ciężkie, *dwupudowe*²² plecaki, karabiny i amunicję, która przeznaczona była do zabijania innych młodych mężczyzn, również jednolicie umundurowanych, może nieco inaczej.

Wiedzieli, że gdzieś daleko, podobne wagony zajmowali tak samo młodzi żołnierze rozmawiający innym językiem. Wyznaczono im podobny cel. Zabijajcie tych ze wschodu, chociaż nie znacie się, chociaż nie wyrządziliście sobie wzajemnie najmniejszej krzywdy. Żołnierzom jednej i drugiej strony wpajano, że jadą bronić Ojczyzny. Wiedzieli, że jadą zabijać. Niektórym te przerażające myśli nie wychodziły z głowy. Jakże innego znaczenia nabierały ćwiczenia i szkolenia w koszarach, na poligonach, tak niedawno nudne, niewinne.

Przysłuchując się rozmowom dorosłych w naszym mieszkaniu, już jako mały chłopiec dowiedziałem się, że wojna to miejsce dokąd możni tego świata wysyłali młodych mężczyzn i gdzie oni ginęli tysiącami, z rąk tak samo młodych ludzi tyle, że innej narodowości. Dla jednej i drugiej strony byli *pusziecznym miasem*²³, jak to wielokrotnie słyszałem od ojca i jego rosyjskich rozmówców. Również podczas tamtych rozmów po raz pierwszy dowiedziałem się, że najkrwawszej bitwie pierwszej wojny światowej Rosjanie nadali przerażającą nazwę: *wierdenskaja miasorubka*²⁴.

Ciągle słyszałem, że wojskowe szkolenie, to nauka zabijania. Umiejętność tę zdobywali pojedynczo i w grupach, systematycznie i dokładnie. Uczyli się celować i trafiać do tarczy. Wielokrotnie, z głośnym okrzykiem wyskakiwali z okopów, biegli w kierunku rzekomego nieprzyjaciela, a następnie wbijali bagnety do manekinów udających atakujących, wrogich żołnierzy. Ręce im mdlały, kiedy ustawieni w szeregu godzinami wymachiwali karabinami wykonując komendy: ... *w lewo kali, w prawo kali, priamo kali...*²⁵. Żołnierze jadący na wojnę wiedzieli doskonale, że będą mieli szansę na powrót do swych domów jedynie wówczas, jeżeli potrafią wykonać dobrze to, czego nauczyli się podczas tamtych ćwiczeń. Wiedzieli, że będą to robić czy chcą, czy nie. Przełożeni najlepszych pochwalą, może nawet wręczą carski, żelazny krzyż zasługi. Oczywiście, krzyży wszystkim nie wystarczy. Otrzymają je nieliczni, ci najlepsi. Niektórzy będą odznaczeni krzyżami po śmierci, zgodnie z porzekadłem: *grud` w kriestach - gaława w kustach*²⁶.

Jakże często słowa te padały również z ust Rosjan podczas wielokrotnych rozmów o wojnie, prowadzonych w naszym domu. Ale fakty i szczegóły wyleciały z pamięci. Może to i lepiej, że nie jestem w stanie odtworzyć tamtych długich opowieści o okropnościach wojny i beznadziejnym losie zwykłych żołnierzy.

Wtedy kolejny raz słyszałem stwierdzenia, że żelazne krzyże zasługi nie zawsze otrzymywali ci, co się narażali najbardziej. Krzyży drewnianych na mogiłach stawiać nie nadążano. Wielu poległych wrzucono do płytkich dołów, zasypano pośpiesznie wilgotną ziemią. Gdzieś na obczyźnie, na wyrównanym polu często nie powstawała żadna mogiła. Nad tymi, co odeszli nikt nie zapłakał, pacierza nie odmówił.

Kiedy słuchałem opowieści ojca jeszcze nie było telewizorów. Nie było filmów, w których przedstawia się zabijanie jako wesołą zabawę albo rozrywkę i oswaja się z nimi dzieci już od najmłodszych lat. Na podstawie tamtych relacji postrzegałem wojnę jako miejsce, które było przepełnione cierpieniem i bólem. Męczarnię przeżywali zarówno ci co umierali, jak i sprawcy śmierci.

Siedząc gdzieś w kącie naszej wielkiej kuchni i przysłuchując się rozmowom dorosłych, oczami dziecięcej wyobraźni widziałem pole bitwy z żołnierzami zajmującymi długie, wąskie okopy. Widziałem jakieś chwiejące się szeregi, wrogie postacie, które nadciągały nieubłaganie przez zaorane pole. Wtedy ci co się znajdowali w okopach we własnej obronie mogli jeszcze zabijać w najłatwiejszy sposób. Wystarczyło dokładnie wycelować karabin do któregoś z nadbiegających i delikatnie pociągnąć za język spustowy. Jeżeli ręka nie drgnęła, a wycelowało się dokładnie, to w następnej sekundzie człowiek, który był na muszce raptownie się chwiał, robił z rozpędu dwa, trzy kroki, a potem wznosił ręce do góry i padał w błoto, jak podcięty niewidoczną kosą. Więcej nie wstał. Nie widziało się ani jego twarzy, ani strachu w oczach. Później ktoś go znalazł, może sięgnął po splamione krwią dokumenty, a może nawet wysłał krótkie zawiadomienie do matki o bohaterskiej śmierci syna na polu chwały.

Słyszałem jak mówiono, że znacznie trudniej przyzwyczaić się do zabijania ręcznego, gdy staje się przed atakującym nieprzyjacielem bezpośrednio. Wtedy, widząc jego oczy i twarz musisz pchnąć w żywe ciało wąski rosyjski bagnet. Długi, czworokątny łatwo przejdzie na wylot. Ręce wyczują, jak stalowe ostrze przebija bez oporu mięśnie, płuca lub serce tamtego żołnierza. Wyczują moment, kiedy kruszy i

łamię twarde kości klatki piersiowej, kręgosłupa. Po wykonaniu pchnięcia usłyszysz okropny, krótki jęk, ujrzysz wykrzywioną od straszliwego bólu twarz, wytrzeszczone oczy. Będiesz wiedział, że zadałeś przedśmiertny ból i jesteś sprawcą rozpaczliwego strachu ostatnich chwil świadomości. Zrozumiesz, że odebrałeś życie tamtemu człowiekowi. Twarz pierwszego zabitego będzie ci się śniła przez wiele kolejnych nocy.

Słyszałem, że jeśli jesteś żołnierzem i chociaż na chwilę się zawahasz, to najpierw twój mundur, a następnie wnętrzności przebije inne szerokie, stalowe ostrze atakującego żołnierza wrogiej armii. W oczach zagęści się mgła. Przeleci rozpaczliwa myśl, że to już koniec i na zawsze przestaniesz istnieć, a razem z tobą wszystkie marzenia i pragnienia. Zlikwidować przeciwnika można jeszcze inaczej. Można atakującemu żołnierzowi roztrzaskać głowę kolbą karabinu. Od potężnego uderzenia, tamtemu ugną się najpierw kolana, a potem padnie, wypuszczając broń z drętwiejących rąk.

Zanim doszło do walk, długi wąż drewnianych wagonów sunął przez puste pola, zielone łąki i gęste lasy. Układała się nad nim szara chmura gęstego dymu, który buchał z wysokiego komina ciężko sapiącej, czarnej lokomotywy. Transport zatrzymywał się rzadko, jedynie na większych stacjach. Szary mrok gwiazdnej, letniej nocy uspokajał. Monotonny stukot ciężkich kół toczących się po stalowych szynach i równomierne kołysanie się długiego pudła ciemnego wagonu usypiały. Niektórzy żołnierze nie spali. Być może nie potrafił usnąć i szeregowiec Antoni Ciechanowicz. Może w jego głowie rodziła się i przemykała myśl o próbie ucieczki z tego transportu, z obcego wojska? Myśl bez sensu, nie do zrealizowania.

Może żołnierze, którzy nie mogli usnąć wybiegali myślami naprzód i widzieli siebie w okopach lub atakującej tyralierze. Może zastanawiali się nad słowami dowódcy o możliwości szybkiego zwycięstwa i powrotu do koszar. Niestety, do koszar nikt nie powrócił, nie tylko na najbliższą zimę. Takiego powrotu nie było wcale. Wojna, wyjątkowo długa i okrutna, zebrała przeogromną ilość ofiar, niespotykaną nigdy dotąd w historii ludzkości. Codziennie tysiącami ginęli młodzi ludzie obu walczących stron.

Transporty wojskowe z carską gwardyjską dywizją mijały kolejne stacje, kierując się na południowy zachód. Z tyłu pozostała Warszawa. Transport podążał na południe Polski, kraju nie istniejącego na mapie. Pułk ojca najpierw zmierzał do Krakowa, a następnie cofnął się w stronę Kielc. Tam, w rejonie wsi Przysieka, powstało największe zagrożenie i tam żołnierze gwardii mieli zatrzymać natarcie wroga.

Rozpoczęły się pierwsze walki, jakieś natarcia i odwroty. Po lecie nastąpiła jesień, rozpoczął się okres deszczów i chłódów. Front ustabilizował się. Po jednej stronie siedzieli w okopach młodzi mężczyźni w mundurach armii rosyjskiej. Okopy po drugiej stronie zajmowali tak samo młodzi mężczyźni w mundurach wojsk austriacko-węgierskich.

Pierwsi ranni i zabici przerazili żołnierzy. Niektórzy dopiero teraz zrozumieli, że to nie zabawa, a miejsce, gdzie bezkarnie odbiera się życie innym, ale jeszcze łatwiej się ginie, że będzie tak długo. Tygodnie zamienia się w miesiące, nawet lata przemina. Pierwszy szok minął, kiedy ilość zabitych wzrosła. Stopniowo śmierć stała się codziennym, normalnym zjawiskiem nie wywołującym żadnego przerażania. Oswojenie się z nią nastąpiło wyjątkowo szybko.

Już wkrótce żołnierze ginący po stronie przeciwnika nie interesowali nikogo. Śmierć kolegów z własnych okopów przestała przerażać. Żołnierze stali się obojętni. Niektórzy przestali cenić swoje życie. Od pewnego czasu było dla nich całkowicie obojętne czy są wśród żyjących i oddychających, czy wśród leżących nieruchomo na krawędzi okopu, nieczułych na zimno, odpornych na deszcz i błoto. Potem niektórzy wychodzili z okopów, siadali na ich brzegu i grali w karty wśród pogwizdujących pocisków. Tego fragmentu przeżyć z tamtej dawnej wojny wymyślić nie potrafiłem. Jest to skrót wielogodzinnych, szczegółowych opowieści ojca.

Potem ojciec opowiadał, że tylko w dzień potrafili tak się zachowywać niektórzy żołnierze. Noc miała inne prawa, jednakowe dla wszystkich. Nocą zawsze normalni ludzie spali. Nie mogli jedynie usnąć żołnierze w zimnych, mokrych okopach, spędzający kolejny tydzień pod gołym niebem. Spać im nie pozwalano ani we dnie, ani w nocy. Jesienny krótki dzień mijał szybko. Nisko płynące chmury powodowały, że zmrok się rozpoczynał zanim schowało się słońce. Nadchodziła ciemna noc trwająca nieskończenie długo. Do następnego świtu zostawało wiele godzin. Żołnierze, synowie chłopów żyjących w rytmie przyrody jak dawni przodkowie, nie mogli przestawić swych organizmów na długie, nocne czuwanie. Od najdawniejszych czasów, w okresie jesienno - zimowym, przeznaczano na sen znacznie więcej czasu, niż w trakcie pracowitego lata. Żołnierskie organizmy domagały się podobnego traktowania.

W okopach dawne cywilne zasady przestały obowiązywać. W ciągu dnia należało czuwać. Nocą na odpoczynek nie zezwalano. Męcząca walka o utrzymanie otwartych oczu rozpoczynała się o zmroku i trwała nieustannie, do późnego jesiennego świtu. Spać się chciało tu, na miejscu, w zimnym, mokrym okopie, na siedząco lub na stojąco. Kiedy ojciec opowiadał o tamtych nocach wydawało się, że myślami ponownie wraca do tamtych miejsc. Jednak po chwili stwierdzał, że nie jest w stanie opowiedzieć o cierpieniach spowodowanych brakiem snu. Ciągle przy tym powtarzał, że nikt wtedy nie szukał wygody, nie marzył o luksusie, nie myślał o ciepłym mieszkaniu, wygodnym wyprostowaniu nóg. Sen już nie był marzeniem. Sen stawał się najwyższą potrzebą przemęczonego organizmu. Z braku snu żołnierze cierpieli bardziej, niż z powodu deszczu i chłodu. Obojętnieli na wszystko, również na zagrożenie ze strony nieprzyjaciela. Instynkt samozachowawczy zanikał, mózg nie pracował, oczy zamykały się.

Z widoczną ulgą na twarzy ojciec wspominał te cudowne momenty, kiedy przemęczone plecy opierały się o twardą ściankę okopu, ciągle wilgotną i zimną. W następnej chwili oczy samorzutnie zamykały się, słuch obojętniał na daleką strzelaninę i bliskie wybuchy. Jeszcze wspanialsze stawały się krótkie chwile, kiedy udało się przysiąść i oprzeć opadającą głowę o własne ręce przytulające znienawidzony karabin, zaciśnięty kurczowo między nogami. Jak bardzo się chciało, aby nikt nie przerwał tego błogiego stanu, gdy rzeczywistość odlatywała gdzieś daleko, a ciało nie czuło zmęczenia i bólu.

Niestety, marzenie o spaniu bezpardonowo przerywano, nie pozwalając nawet na drzemkę. Wzdłuż okopów szedł *rotnyj kamandir* i zdecydowanymi kopniakami budził drzemających żołnierzy. Padał kolejny raz ten sam rozkaz ...*strielaj*, ... *strielaj*, ... *strielaj*.

Głęboka noc. Niebo bez księżyca, nie widać gwiazd. Niskie, gęste chmury nieustannie płynęły nad szarą, moką ziemią. Od czasu do czasu siąpił z nich dokuczliwy, zimny deszcz. Od strony nieprzyjaciela panowały nieprzeniknione ciemności. Pomimo wyteżenia wzroku niczego nie dało się ujrzeć. Ojciec twierdził, że nikt tam nie patrzył. W tę ciemność, w kierunku niewidocznych okopów, należało strzelać. Strzelać całą noc, bez przerwy. Nieprzyjaciel powinien wiedzieć, że po tej stronie czuwają żołnierze. Niech nie próbuje niespodziewanego, nocnego ataku.

Do ataku nie dochodziło. Być może z tego powodu, że trwała prawie nieustanna strzelanina, a może po tamtej stronie również wszyscy byli mocno zmęczeni, łącznie z oficerami i myśl o ataku również była im obca.

Ciągłe czuwanie w nocy doprowadzało żołnierzy do kresu wytrzymałości. Ciężkie powieki opadały, nogi odmawiały posłuszeństwa. Bezsens strzelaniny miał jedną pozytywną stronę - karabiny rozgrzewały się. Można było na nich ogrzać kostniejące ręce. Tego bym nigdy nie wymyślił, chociaż dwa lata służyłem w wojsku i obejrzałem nie jeden film o różnych dzielnych żołnierzach.

Gdyby nie oficerowie, zdrzemnąłby się nie jeden szeregowy żołnierz. Za jego przykładem poszłyby kompania, jedna, druga, może całe pułki. Po drugiej stronie frontu, stałoby się podobnie i w efekcie doprowadziłoby to do zakończenia tej głupiej, nikomu niepotrzebnej wojny. Każdy by wrócił do swojej wsi. Niestety, nad żołnierzami czuwali oficerowie. Oni nie pozwalali ani na drzemkę, ani na zakończenie wojny.

Żołnierz, Antoni Ciechanowicz też *strzelał*. Starał się wysłać pociski w górę, aby po tamtej stronie kogoś przypadkiem nie zranić, a nie daj Boże - zabić. Nie chciał trafić Austriaka. Wiedział, że w nieprzyjacielskich okopach mógł się znajdować Polak. Strzelał w powietrze. Często wspominał dumny, że kule z jego karabinu leciały daleko, za linię austriackich wojsk. Może uchroniło to naszego ojca od śmierci. Może po tamtej stronie podobnie myślący żołnierz wysyłał swoje pociski gdzieś za linię okopów żołnierzy ubranych w mundury armii rosyjskiej.

Jest pewne, że co najmniej jeden żołnierz carskiej gwardii znowu przelotnie pomyślał o ucieczce i natychmiast odrzucił tę myśl jako głupią niemożliwą do zrealizowania. W jaki sposób wyjść z okopów, aby nikt nie zauważył? Dezerter nigdzie nie jest bezpieczny, nawet daleko od frontu, również na jego tyłach. Każdego zdradzi szara, długa *szyniel*, wyróżniająca carskich żołnierzy spośród ludności cywilnej.

Stabilizacja frontu i zajmowanie tych samych *rubieży* w ciągu długiego okresu, nudziła oficerów i demoralizowała żołnierzy. Tak by najmniej musiało się wydawać wysokim sztabowym dowódcem, daleko od linii frontu, tam gdzie nie istniała obawa o własne życie. Jak że łatwo można było tam podjąć decyzję o przeprowadzeniu ataku. Dobrze zaplanowany i skutecznie zrealizowany atak nawet bez względu na ilość zabitych i rannych własnych żołnierzy, zapewniał jego autorom awanse, nagrody i zaszczyty.

Czy żołnierze tak chętnie wychodzili do ataku, na spotkanie śmierci? Jeżeli z oporami wychodzili Rosjanie, to tym bardziej Polacy nie chcieli wystąpić przeciwko Polakom w innych mundurach. Może przez chwilę taka myśl któremuś przez głowę przeleciała. Jednak szli wszyscy, bez względu na narodowość i wyznawaną wiarę.

Wychodzili z okopów i ruszali przed siebie. Co ich goniło? Dlaczego mając otwarte oczy biegli w kierunku strzelających karabinów? Wiedzieli przecież, że ugodzeni pociskiem padną i nigdy nie wstaną.

Żołnierze nie mieli wyboru. Każdy wychodził z okopu i biegł pochylony do ziemi z nadzieją, że na nią nie padnie, że zginie kolega po lewej lub prawej stronie, a on zostanie przy życiu, że śmierć go ominie. Myślał tak każdy i z taką modlitwą biegł wykonując rozkaz.

Każdemu kto trafił do wojska od dawien dawna włączano do świadomości podstawową zasadę: żołnierz nie cywil, żołnierz nie myśli, żołnierz wykonuje rozkazy, życie żołnierza nie liczy się. Na szczeblu dowódczym, tak odległym od bólu i cierpienia, śmiercią pojedynczych żołnierzy nikt się nie przejmuje. Tam się analizuje wielkie, strategiczne problemy. Tam się rodzi legenda wybitnych dowódców, rośnie się ich sława i chwała.

Wykonując plan wojskowego szkolenia, przekształcając nieposłusznych cywilów w zdyscyplinowane wojsko, przekonuje się ich, iż mają szansę przeżycia wtedy i tylko wtedy, gdy posłusznie pójdą do przodu. Ten, który spróbuje przeciwstawić się woli starszego stopniem, padnie zastrzelony bez sądu, bez żadnej szansy na obronę własnego życia. Za żołnierza myśli i decyduje jego dowódca.

Atak, podczas którego nie osiągnięto okopów przeciwnika, podczas którego na dojściu do nich, padło więcej żołnierzy własnych niż zaplanowano, nie jest udany. Klęską jest sytuacja, kiedy jednocześnie z drugiej strony będzie przeprowadzone tzw. kontrnatarcie. Zbliżający się nieprzyjaciel może zagrozić nawet bezpiecznym dotąd sztabom. W takiej sytuacji zarządza się planowy odwrót na całej linii frontu.

Podobnie stało się i tamtej jesieni. Jakiś nieudany atak wojsk rosyjskich Austriacy odparli. Następnie dowództwo stwierdziło, że w warunkach faktycznego zagrożenia na obronę zabrakło amunicji, którą roztrwoniono bezpowrotnie podczas nocnej, bezsensownej strzelaniny. Przyszedł rozkaz odwrotu. Carskie gwardyjskie pułki cofały się cały dzień, całą noc. Kolejny dzień nie przerwał cofania, nie zakończył męczącej włości po zabłoconych drogach. Późna jesień, zimno, krótki dzień i długa noc. Prawie bez przerwy padał deszcz. Zmęczeni żołnierze w ciężkich nasiąkniętych wodą *szynielach* z utęsknieniem oczekiwali na jakąś przerwę, na chwilę wytchnienia.

Długą opowieść o kilku dniach cofania się tamtej armii mogę opisać jedynie w wielkim skrócie. Pamiętam dziwny uśmiech na twarzy ojca, kiedy wspominając własne przeżycia docierał do momentu w którym stwierdzał, że nieoczekiwanie niby wyczuwając marzenia żołnierzy, dowództwo wydało rozkaz zatrzymania się. Po krótkiej chwili milczenia i słowach:

- „... o Boże mój, Boże... ile my wycierpieli podczas tamtej jesieni...” - ciągnął dalej swą opowieść.

Niestety, nie nastąpił moment upragnionego odprężenia. Zamiast długo oczekiwanego posiłku i zgody na odpoczynek, zmuszono żołnierzy do kopania okopów. W poprzek szerokiego pola, w jesiennej glebie przesiąkniętej wodą, powstawały zygzakowate *transzeje*.

Słyszałem o tym kolejny raz, lecz nigdy nie potrafiłem wyobrazić, jak się czuli krańcowo wyczerpani żołnierze, którzy w przeciągu kilka godzin, w ciągłym deszczu przerzucali ciężką mazistą ziemię krótkimi saperskimi łopatkami. Wreszcie rozkaz wykonali i prawie natychmiast otrzymali nowy. Musieli ponownie się cofać.

Ponownie cofał się *izmajłowski* pułk gwardyjskiej dywizji, ten najlepszy, najbardziej ukochany przez cara. Wschodzące słońce swymi gorącymi, złocistymi promieniami nie mogło przebić gęstych chmur przepływających nisko nad najwyższymi pagórkami. Może w innych warunkach, inną porą roku maszerujący żołnierze podziwialiby z zachwytem piękny krajobraz, wzgórze i doliny, których nie widzieli w stronach rodzinnych. Teraz nikogo to nie interesowało.

Podniesieni z okopów władcym rozkazem *kamandira roty*, bezmyślnie, zgodnie z jego wolą, sformowali czworobok marszowej kolumny. Czwórka za czwórką maszerowali równym, zmęczonym krokiem, bez nadziei na odpoczynek, bez szansy wyrwania się przeznaczeniu, wyznaczonemu głosem dowódcy. Ojciec nie potrafił powiedzieć, czy ten równy krok bardziej wynikał z niekończących się godzin musztry na koszarowym placu, czy z nadziei, że gdzieś z przodu czeka kuchnia z parującą, gorącą zupą.

Czy chęć dotarcia do miski z ciepłą zupą powstrzymała żołnierza Antoniego Ciechanowicza przed zrealizowaniem natarczywej myśli o ucieczce, napływającej ponownie z podświadomości? Tą myślą podzielił się tylko z jednym kolegą - Urbanem, takim samym zwolennikiem opuszczenia szeregów tej przeklętej armii. Nie, to nie ciepła zupa zatrzymała w czworoboku maszerującej *roty*. Na ucieczkę nie było żadnej szansy. Najskrytsze marzenie zostało odrzucone przez zmęczoną i ciężką, lecz wciąż realnie myślącą głowę.

Chętnych do ucieczki, do takiego zakończenia wojny, było znacznie więcej. Dowództwo doskonale wiedziało o nastrojach żołnierzy i stosowało skuteczne, bezwzględne sposoby przeciwdziałania. W jaki sposób uciec, jeśli *rotnyj kamandir* bez przerwy czuwa, w każdej chwili jest gotów zastrzelić każdego śmiałka lub głupka, próbującego opuścić swoje miejsce w szeregu? Jak uciec, jeżeli bez przerwy wzdłuż drogi na spoconych koniach galopują kozacy wymachując obnażonymi szablami?

Przed nacierającą armią nieprzyjaciela, jako ostatni wycofywali się kozacy, tj. żołnierze bezgranicznie oddanymi carowi. Oni nie zradzali. Oni nie uciekali. Kozacy nie powstrzymywali też natarcia wojsk przeciwnika. Kozacy mieli szlachetniejszy cel. Szukali kandydatów na dezertersów w szeregach własnej armii. Rozprawiali się z nimi natychmiast i ostatecznie. Kozacka szabla była ostra, a ręka pewna. Kozak stawał się sędzią, obrońcą i katem. Los żołnierza, złapanego na próbie ucieczki był przesądzony.

Ojciec, kiedy w swej opowieści dochodził do tego momentu, chyba znowu myślami powracał do tamtej jesieni. Twarz mu bladła, głos drżał. Rękoma wykonywał jakieś dziwne gesty. Może nawet zapominał, gdzie się znajduje. Może ponownie oczami wyobraźni odtwarzał daleki krajobraz i widział jakiegoś kozaka szarżującego na uciekającego żołnierza, również w rosyjskiej *szynieli*.

Pokonana, cofająca się armia pierwszej wojny światowej. Kto to widział? Kto pamięta? Ci, co maszerowali, odeszli w zaświaty, ci co widzieli, nie żyją. Naszemu ojcu

tamte dni zostały w pamięci do końca życia. Opowiadał wielokrotnie, jak szedł strudzony wąską drogą, wijącą się wśród coraz wyższych wzgórz. W równych odstępach maszerowały czworoboki identycznych kompanii. Jednostajny ciężki krok, wzrok utkwiony bezmyślnie gdzieś w dole i dumnie najeżona szczecina szpiczastych bagnetów, wysoko sterczących nad pochylonymi, zmęczonymi głowami. To obraz armii, która przegrała ostatnią bitwę. Jak się różnili od tamtych, z pamiętnych defilad, kiedy z dumą wyprężali się i uśmiechali, maszerując przed obliczem cara. Z uczuciem wyższości kolejny raz oczekiwali na słowa znanej pochwały „...wy wiernyje iz wiernych, łuczszije iz łuczszich, daragije maji izmajlawcy²⁷”.

Z kolejnego pagórka ojciec widział, że droga skręca i ginie za luźno rozrzuconymi domkami jakiejś galicyjskiej wsi. Czołowe kolumny gwardyjskiej dywizji skryły się za zakrętem. *Rota* Antoniego Ciechanowicza również zbliżyła się do pierwszych zabudowań i za chwilę kroczyła środkiem pustej, wiejskiej drogi mijając obojętnie drewniane domy i walące się płoty. W tym momencie na czele *roty* rozległ się nieoczekiwane znajomy, głośny okrzyk *kamandira*: - *Nie adstawaj. Szirie szag. Bystriej wpieriod.*²⁸

Aby zmusić kompanię do szybszego marszu, ponownie wyszedł na środek drogi i nie oglądając się do tyłu przyspieszył. Następna kompania, z bardziej zmęczonym *rotnym kamandiram*, pozostała lekko z tyłu. Taka chwila chyba nigdy więcej się nie powtórzy. Z tej okazji należy skorzystać. Tylko co na to żołnierze maszerujący obok, jak zareagują? Czy któryś nie krzyknie głośno *dieziertir udirajet!*²⁹ i czy za moment nie padnie suchy strzał z pistoletu *kamandira*? Może nikt się nie odezwie. Może rosyjscy koledzy, zmęczeni i zajęci własnymi myślami, w ogóle nie zauważą nieoczekiwane pustych miejsc w szeregu? To nie jest możliwe. Niezauważony przez sąsiadów z szeregu nikt nie wyjdzie. Krótkie porozumiewawcze spojrzenie na Urbana. We dwójkę raźniej. Trudno. Niech dobry Bóg prowadzi. Teraz albo nigdy.

Żołnierze maszerujący obok chyba nie usłyszeli cichej wypowiedzi *idiom napicca wady*³⁰. Nie zareagowali też, kiedy dwie szare postacie oddzieliły się od kolumny i po wykonaniu kilku szybkich kroków, skierowały się w stronę samotnej chatki stojącej na uboczu przy końcu wsi.

Żołnierz, Antoni Ciechanowicz - Polak w mundurze rosyjskiej armii - postanowił ostatecznie, że dalej cofać się nie będzie, że dalsza walka *za wieru, cara i otieczestwo*³¹ już go nie interesuje. Ojciec wyszedł z szeregów wraz z kolegą Urbanem, by oddać się do austriackiej niewoli. O wspólnej ucieczce i poddaniu się Austriakom, w tajemnicy przed innymi, rozmawiali od dawna. Ich koledzy, *izmajłowcy*, pomaszerowali dalej. Żaden nie odezwał się. Wszyscy udali, że nic nie widzieli.

Pomimo śmiertelnego zagrożenia ze strony dowódcy, a szczególnie kozaków, dwie szare postacie wykonały pierwsze kroki w kierunku upragnionej wolności. Pierwszym etapem miała być chłopska zagroda lekko oddalona od drogi. Tam, na środku niewielkiego podwórka ujrzeni stojącego nieruchomo staruszka, gospodarza. Samotny i zagubiony, bezradnie patrzył na ciemne, deszczowe chmury płynące nisko nad pobliskimi wzgórzami, obserwował niekończący się potok szarych, zabłoconych postaci sunących wolno środkiem wiejskiej drogi i próbował to wszystko w jakiś sposób uporządkować w posiwiałej głowie.

Ze słów ojca wynika, że chyba nawet nie zauważył tych dwóch żołnierzy, którzy oddzielili się od pozostałych kolegów i chyłkiem przeszli obok, do otwartego mieszkania. Prawdopodobnie nie usłyszał lub nie zrozumiał ponownie wypowiedzianych słów o chęci napicia się wody.

W tym czasie *rota* uciekinierów pomaszerowała dalej ponaglana okrzykami oficerów do przyśpieszenia tempa. Były to ostatnie grupy żołnierzy przed zbliżającymi się Austriakami. Z tyłu zostali tylko kozacy poszukujący dezertersów.

Uciekinierzy weszli do pustego mieszkania, ujrzeli otwarte drzwi do kolejnej izby i okno wychodzące na ulicę. Nie zobaczyli w nim falujących szeregów, człapiących w przemokniętych butach. Przygarbieni gwardziści, w szarych płaszczach, z długimi karabinami na plecach zniknęli za zakrętem.

Już się stało. Tak szybko i tak sprawnie. Nikt się nie odezwał. Nikt nie zwrócił uwagi. Wszyscy pomaszerowali dalej. Czyżby upragniona wolność? Chwila ciszy. Zebranie myśli. Co robić? Może wyjść na podwórko? Lepiej nie! Słysząc zbliżającego się jeźdźcę. Błyskawiczne spojrzenie w okno. To kozak. Zauważył starszka nadal stojącego nieruchomo w tym samym miejscu i gwałtownie skręcił w jego kierunku. Wysoko uniesiony na strzemionach, z obnażoną szablą w dłoni, ogarnął szybkim spojrzeniem otoczenie, głośno krzyknął: - *Russkich niet...?!³²*

Starszek gospodarz albo nie dosłyszał, albo nie zrozumiał. Wolno, anemicznie zaczął mówić: - *niiiima... panocku... ... niiiima ... Austriaków ...* Po usłyszeniu pierwszego „niiiima” kozak spiął gwałtownie rozgrzanego konia, w miejscu zawrócił i pogalopował dalej.

8

Dopiero teraz nasi uciekinierzy wyjawili swoje zamiary i uzyskali zgodę na ukrycie się w stodole, na sianie. Spędzili tam długą, jesienną noc w końcu listopada, pierwszą noc bez dowódcy roty i jego rozkazów. Zagrzebani głęboko w sianie zatrzymującym ciepło parujących mundurów spali spokojnie i długo.

Nazajutrz, wygłodzeni kandydaci na austriackich jeńców zbudzeni porannym chłodem opuścili kryjówkę i wyszli na podwórko. Już nie zobaczyli kozaków ścigających dezertersów. Do wsi wkroczyli Austriacy. Żołnierz austriacki, również na koniu, jak tamten kozak, natychmiast zabrał karabiny, roztrzaskał je o rosnące w pobliżu drzewo i rzucił pod płot. Karabin nikomu nie był potrzebny. Żołnierzom natomiast wmawiano, że pozostawioną broń nieprzyjaciel wykorzysta przeciwko nim. Okazało się, że Austriacy żadnej zdobyczej broni nie potrzebowali.

W tym czasie z pobliskich zabudowań wychodziły kolejne grupy rosyjskich żołnierzy. Było ich wyjątkowo dużo, chociaż dobrze wiedzieli, jaki los czeka każdego w przypadku przyłapania na próbie ucieczki. Wybrali jednak los dezertersa. Tak bardzo zbrzydła im wojna trwająca przeciw zaledwie kilka miesięcy. Czy któryś z nich zastanowił się, że pozostali koledzy będą musieli trwać w okopach jesień, zimę oraz kolejne pory roku, ciągle brudni i głodni, w nieustannych atakach i odwrotach, w strugach padającego deszczu, podczas letniej spiekoty i zimowych mrozów.

Dezerterzy czekali na dalsze decyzje zwycięzców. Jedynie w tej małej wsi zebrała się spora grupa jeńców. Wkrótce poprowadzono wszystkich do pobliskiego miasta. Jeńcy maszerowali pieszo, środkiem drogi, a po bokach i z tyłu jechali na koniach Austriacy, ponaglając do szybszego marszu. W mieście z małych grupek powstały duże, jenieckie kolumny.

Głodni i przemęczeni jeńcy kilka godzin maszerowali ulicami miasta po wszystkich ulicach, we wszystkich kierunkach. Taki pokaz miał być dowodem sukcesów austriackiej armii. Miał przekonać mieszkańców zmuszanych do ponoszenia ciężarów wojny o konieczności dalszych wyrzeczeń i o bliskim zwycięstwie nad armią, która masowo poddaje się do niewoli.

Jeńców popędzono piechotą do miasta Lnic, leżącego na terenie Austrii. Po długiej wędrówce, znaleźli się w końcu na terenie jakiegoś obozu ogrodzonego gęsto kolczastym drutem. Czekają tam około 40 baraków ustawionych blisko jeden obok drugiego, w odległości nie przekraczającej trzy metry. Sklecone z cienkich desek nie osłaniały przed zbliżającym się chłodem zimowym. Dach pokryty chyba dla pozorów starą papą, zużytą i porozrywaną, zapewniał dobrą osłonę jedynie od słońca, w okresie letnim. Nie stwarzał zabezpieczenia przed deszczem, w okresie jesiennym. Przeciekał prawie na całą powierzchnię. Jeńcy byli przemoczeni. Ich mundury nie wysychały.

W takich warunkach rozpoczęła się gehenna, której żaden kandydat na dezertera nie przewidział, zarówno na etapie podejmowania decyzji o ucieczce, jak też w momencie opuszczania szeregów swojej armii. Skończyła się jesień. Nadeszła zima. Poprzez szpary w deskach hulał wiatr, zawiewał śnieg. Odrobina ciepła, które wydzielano się z żelaznego piecyka stojącego na środku baraku prawie bez przeszkód wypyływała na zewnątrz. W baraku panował przejmujący chłód.

Wkrótce do chłodu dołączył głód, którego nikt się nie spodziewał, nikt wcześniej nawet nie potrafił wyobrazić. Raz dziennie, w porze obiadowej dawano jakąś rzadką lurę zwaną zupą. Również raz dziennie, dla odmiany rano, wygłodzeni jeńcy otrzymywali coś, co nazywano chlebem. Było go zbyt mało na jeden posiłek, a miało wystarczyć na cały dzień. Większość żołnierzy małą, czarną kromkę zjadała natychmiast i przeżywała okropne męki w oczekiwaniu na następną porcję. Ta metoda spożywania głodowych przydziałów marnej żywności powodowała zaburzenia w pracy żołądka i szybko osłabiała nawet najsilniejsze organizmy. Ci, którzy ją stosowali, zaczęli chorować w pierwszej kolejności.

Podczas oczekiwania na kolejny posiłek myśli jednego jeńca biegle do lat minionych, do pobytu u ciotki i pięknego słonecznego lata. Tam, podczas żniw i wozenia snopków do stodoły, otrzymał zadanie kierowania pracami na polu. Przejęty odpowiedzialną rolą zapomniał o obiedzie i nie wrócił do domu na ustaloną godzinę. Wieczorem po zakończeniu prac z tego powodu musiał wysłuchać długich wywodów kochanej ciotki o szkodliwości niepunktualnego odżywiania się, a szczególnie rezygnacji z ciepłego obiadu.

Tamta reprimenda ciotki odrodzona we wspomnieniach z dalekiej przeszłości zmobilizowała do wyznaczenia sobie prawie nierealnego zadania. Ojciec postanowił dzielić jednorazowy przydział chleba na kilka kęsów tak, by można było posilić się nie tylko rano, lecz w dzień i wieczorem. Te porcyjki, które zostawały na później stawały

się *nieprikastnawieniym zapasom*, którego pod żadnym pozorem nie ruszał do wyznaczonej pory. Taką taktykę stosowała nieduża grupka jeńców.

Nie wiem, czy potrafiłbym wytrwać na miejscu ojca. Nie umiałem nawet wyobrazić, że można wytrzymać tyle godzin bez jedzenia? Jaką siłę woli, jakie samozaparcie trzeba posiadać, aby odłożyć i nie ruszyć małej, przydziałowej skibki czarnego chleba, podczas całego długiego dnia? Jak można wytrzymać w niekończącym się głodzie i chłodzie, obok takiej kromeczki, gdy pusty żołądek domaga się napełnienia?

Podczas tamtych dawnych wieczorów przy lampie naftowej, kiedy ojciec ponownie opowiadał o odkładaniu okruszyn chleba na później, prawie zawsze musiał przekonywać mamę, że przy silnym postanowieniu jest to możliwe. Twierdził, że nawet gdyby umierał, to do wyznaczonej godziny jedzenia by nie ruszył. Mama z tym nie mogła się zgodzić i wymiana poglądów czasami stawała się co raz głośniejsza.

Może ojciec wtedy też nie wiedział skąd się brały siły w samotnej walce z własnymi słabościami? Gdzie się rodziła wytrzymałość do stawiania psychicznego oporu zniechęconej austriackiej armii, która trzymała w niewoli i wyznaczyła sobie za cel zniszczyć, zamorzyć głodem wszystkich darmozjadów w rosyjskich, szarych *szynielach*.

Może ta silna wola, ta niepojęta wewnętrzna dyscyplina i psychiczna wytrzymałość wynikała z nieograniczonego, nieporównywalnego z niczym, bezkresnego pragnienia przeżycia, przetrwania. Być może upór i siły powstały z przeogromnego dążenia do powrotu w swoje strony ojczyste, chęci ponownego ujrzenia rodzinnego domu. Najpewniej wytrzymałość odradzała się wciąż na nowo w dalekich Okinczycach wraz z nieustanną modlitwą czekającej, zapłakanej matki. Może ta modlitwa pokonując linię frontu, kolczaste zasieki i ostre bagnety docierała do dalekiego baraku, dodawała sił oraz mobilizowała do trwania, osłaniała przed atakami chorób?

Mijały kolejne tygodnie. Rozpoczął się grudzień. Nadciągały chłody. Zbliżało się święto Bożego Narodzenia. Pamiętam słowa ojca, że do głowy coraz częściej napływały myśli z dalekiej przeszłości. Przypominały się skromne, lecz uroczyste Wigilie w rodzinnym domu i również te u ciotki, z bogato zastawionymi stołami, białymi obrusami, pachnącym siankiem oraz migającym blaskiem świec mile oświetlającym ogromne komnaty i pięknie ustrojona, zieloną choinkę.

W baraku gospodarzem pozostawał brud i chłód. Panującą ciemność tylko częściowo rozpraszała wąska smuga światła wydostająca się z nieszczelnych drzwiczek żelaznego piecyka. Tu nie będzie opłatka. Tu nie będzie kolęd. Tu zaczynają się pierwsze biegunki. Już pierwsi, najsłabsi żołnierze nie mają siły wstawać. Już pierwszych, na razie nielicznych, zimnych i sztywnych po kolejnej nocy, wynoszą na zewnątrz i gdzieś w pobliżu wrzucają, do wcześniej przygotowanych rowów bez ustalania imienia i nazwiska, bez pożegnalnej modlitwy.

Czy w takich warunkach można myśleć o świętach? Jak je uczcić? Z wywodów ojca wynikało, że można. Można mieć nawet dodatkowy posiłek w postaci jeszcze jednej kromeczki chleba. Austriacy jej nie dali. Powstała w wyniku systematycznego

odkładania nie dużych okruszyn z każdego posiłku. Ten dodatkowy i wyjątkowy *nieprikasnawiennyj zapas* stał się świąteczną ucztą. Drobne okruszyny, zaoszczędzone w ciągu kilku dni, zebrane razem, ugniecione do wielkości malutkiej kromeczki, stały się posiłkiem wigilijnym i świątecznym.

Minęły święta. Rozpoczął się kolejny rok. Nie przyniósł ulgi, nie sprawił radości. Głód i chłód panowały nadal, pozbawiały resztek sił, odbierały nadzieję słabszym. Silniejsi uparcie i zawzięcie walczyli o przetrwanie, łudzili się, że koszmar minie, że wreszcie ktoś się nad nimi ulituje, pozwoli umyć się, ogrzać i zdjąć z siebie brudne, śmierdzące ubrania. Wierzyli, że wreszcie uzyskają pomoc w zlikwidowaniu coraz większych zastępów krwiożerczych wszy, które panoszyły się wszędzie, na całym ciele i we wszystkich zakamarkach mundurów. Do walki z nimi nie dano żadnych środków. Jeńcy przesiąknięci brudem, zdani wyłącznie na swoje siły i całkowicie pozbawieni pomocy, przegrywali bitwę z atakującymi insektami³³.

Ciało gryzione bez przerwy przez setki albo i tysiące pasożytów, okropnie swędziało, prowokowało do drapania. Dawało to jedynie chwilową, oszukańczą ulgę. W miejscach rozdrapywanych tworzyły się otwarte, niegojące się rany, natychmiast atakowane z większą zawziętością. Jedyłą, skuteczną metodą walki, stało się zdejmowanie ubrania i przytykanie do gorących, żelaznych piecyków poustawianych we wszystkich barakach. Następową krótką ulgą, lecz za moment na oczyszczony mundur przenosiły się wszy sąsiada, ciągle głodne, ciągle nienasycone.

Mijały kolejne tygodnie niewoli. Najślabi już nie wstawali. Nie reagowali na nic. Masowe zachorowania na tyfus, najczęściej kończące się zgonem, stały się zjawiskiem powszechnym. Codziennie z baraków wynoszono trupy.

Zanim do tego doszło, jeńców od czasu do czasu odwiedzał ksiądz, któremu przydzielono specjalnie jeden barak. Do księdza zwracali się ci, którzy chcieli wyspowiadać się, wspólnie z nim się pomodlić o dodatkowe siły do trwania, wygłosić wspólne błaganie do Stwórcy o litość. Niestety, warunków pogarszających się z dnia na dzień nawet ksiądz nie wytrzymał i przestał odwiedzać obóz. Tego ojciec chyba nie wymyślił. W opowieści było zbyt dużo szczegółów.

Pomimo ogromnego pragnienia przetrwania, z każdym dniem coraz słabiej czuli się i ci najsilniejsi. Były żołnierz carskiej gwardii, teraz bezsilny jeńiec austriacki, Antoni Ciechanowicz, pomimo nadchodzącej wiosny również z każdym dniem czuł się gorzej. Już rozumiał, że ma temperaturę. Wkrótce nie mógł wstać ze swego pośłania. Wreszcie stracił przytomność i leżał bezwładny, bez żadnej opieki, jak pozostali umierający. Czyżby modlitwa matki, tak mocno podtrzymująca na duchu i dająca siły do przetrwania nie dotarła? Czyżby matka przestała myśleć o swym synu, od którego tyle miesięcy nie otrzymywała żadnej wiadomości?

Może było inaczej. Może daleką chatę w rodzinnej wsi odwiedził wreszcie listonosz i przyniósł list oczekiwany od dawna. Drżące ręce matki lub ojca z ogromną nadzieją odebrały tę małą przesyłkę. Ze zdziwieniem i wzrastającym niepokojem stwierdzili, że kopertę przyslaną z frontu zaadresowała nie ręka syna, lecz kogoś obcego. W kopercie dostrzegli duży, urzędowy papier. Wzrok skierowali na ładnie wykaligrafowane litery pułkowego pisarza. Zobaczyli wielką pieczęć i zamaszty podpis dowódcy.

Jeśli tak było, to straszna wiadomość dotarła do mieszkańców małej, drewnianej chatki. Drżącym głosem przeczytali, że ich syn dobry, wzorowy żołnierz, *lubimiec roty*³⁴ z największym poświęceniem i oddaniem walczył za *matuszku Rasiju i batiuszku Cara*³⁵. On pierwszy rwał się do ataku i ze swego karabinu najcelniej raził wroga. Jego pociski trafiały dokładnie w cel. Niestety, w zamieszaniu najcięższych walk, podczas nieustannych ataków i odwrotów, w niewyjaśnionych okolicznościach *on prapał bez wiesti*³⁶. Najprawdopodobniej został rozerwany wrażym granatem i z tego powodu, jego zmasakrowanych zwłok nie dało się zidentyfikować.

Jeśli było zawiadomienie o nieszczęściu, to dowództwo pułku na pewno serdecznie współczuło rodzicom i może zwróciło się z apelem o przysłanie następnego syna na front. Wyraziło też przekonanie, że on będzie tak samo dzielny jak starszy brat, że będzie walczył równie odważnie, a jeżeli zajdzie potrzeba nieustraszonego bohatersko polegnie w obronie świętych granic *Wielikaj Rasii*.

Może list był, może go nie było. Może tylko na jakiś moment w matki oczach zabrakło łez, zabrakło słów do kolejnej modlitwy, na chwilę zabrakło wiary w możliwość przetrwania syna na dalekiej, okropnej wojnie. To właśnie wtedy, na krótki moment, zabrakło też dodatkowej, matczynej osłony nad osłabionym organizmem, to wtedy złamała go bezustannie atakująca choroba.

Umierającymi nikt się nie interesował. Nikogo nie obchodziło czy leżący obok jeszcze żyje, czy już nie oddycha i odszedł na zawsze w zaświaty niepożegnany przez płaczącą rodzinę i bliskich. Lekarze do baraków nie zachodzili, chorych nie odwiedzali. Ich zainteresowanie ograniczało się do uzyskiwania codziennych informacji, o ilości zmarłych i umierających.

Wyjątkowo sumiennie wykonywali obowiązki tragarze trupów. Starali się wynosić tylko ciała zimne i sztywne. Przeważnie nie ruszali tych, którzy nie wystygli do końca, u których zauważali jakiegokolwiek odznaki życia. Uważali, że daje to szansę przynajmniej niektórym umierającym, by przemogli chorobę i wrócili do żywych. Może z tej szansy skorzystał również nasz ojciec. Najpewniej chorobę pokonała ponowna, gorliwa modlitwa matki. Ojciec przeżył. Takich było niewielu. Większość została w austriackiej ziemi.

Jeżeli dobrze pamiętam, to przez obóz *przeszło* około trzydzieści tysięcy jeńców. Przeżyło około dziesięciu tysięcy. Obóz miał być sprawdzianem wytrzymałości. Słabi mieli odpaść. Nikt nie chciał ich karmić. Nazwano ten okres „*wydzierzka*”³⁷.

Tych co przeżyli, kierowano do różnych miejsc pracy na terenie Austrii i Węgier. Szczególne zapotrzebowanie na darmową siłę roboczą wystąpiło na terenie Węgier, gdzie większość mężczyzn mogących nosić karabin, wysłano na front.

Ojciec znalazł się wśród jeńców uznanych za zdolnych do pracy. Wkrótce przyjechał do obozu przedstawiciel jakiegoś majątku z terenu Węgier. Zgodnie z jego zamówieniem sformowano grupę około 80 jeńców, do której trafił i ojciec. Natychmiast wszystkich popędzono na stację kolejową i załadowano do dwóch towarowych wagonów. Za jeńcami, jak za bydłem, zasunęły się szerokie drzwi i wagony ruszyły w

kierunku nieznanym. Nadal wszyscy głodni, nie znając swego losu w milczeniu oczekiwali na koniec męczącej podróży.

Pociąg zatrzymał się na stacji Gollanta (Golanta?). Tu na darmowych robotników czekał niecierpliwie rządcą z majątku Degiesz. Przysłał go właściciel, niejaki pan Solt. Dziesięciokilometrową drogę do majątku jeńcy nie musieli pokonywać pieszo. Właściciel wolał dowieźć ich wozami konnymi dla zaoszczędzenia sił przed czekającą pracą. Szczęśliwy rządcą rozparty w ładnym powozie uśmiechał się bez przerwy na myśl o jutrzejszym dniu. Wciąż myślał o tym, jak zmusi tych leni do pracy, jak wreszcie zaczną zarabiać na chleb.

Z myślą o dokarmieniu przed czekającą pracą przywiózł do pociągu po bochenku chleba na każdą parę robotników. Podczas podziału nie obeszło się bez szarpaniny i bójki. Na to wspomnienie rządcą ponownie uśmiechnął się. Takich głodomorów dawno nie widział. Dobrze, że w majątku przygotowano dodatkowe jedzenie. Dostaną chleba pod dostatkiem. Będą mieli i mięso. Niech się najedzą do syta, a jutro, z samego rana, pójdą na pole. Nie będą obijać się. Darmo karmić ich nikt nie będzie.

Jeńców faktycznie powitano w majątku wyjątkowo przyzwoicie. Otrzymali do syta jedzenia, a ponadto przydzielono im miejsce do spania na czystej, suchej słomie w tym samym pomieszczeniu, w którym stały zadbane krowy. Na głowy nie padało, ściany były szczelne, tak jak powinno być u dobrego gospodarza, który dba o dobytek.

Niestety, tych co zjedli najwięcej, w nocy złapały bóle, a rano nikt się nie nadawał do pracy. Puste żołądki odzwyczajone od jedzenia nie wytrzymały nadmiernej dawki pokarmu. Lekarz wezwany do wijących się z bólu bezradnie rozłożył ręce stwierdzając, że konających w męczarniach uratować nie może, że wygłodzonym do granic ostateczności nigdy się nie daje dużo jedzenia naraz.

Ci co przeżyli nie mieli czasu na odpoczynek. Rozpoczęło się lato i wciąż słabych byłych żołnierzy zmuszono do pracy na polu, od rana do nocy. Dzień za dniem to samo. Wczesnym porankiem wymarsz na pole. Powrót późnym wieczorem. Długi, męczący dzień bez cienia, bez najmniejszej chmurki niosącej chwilową ochłodę. Nad głowami na błękitnym niebie wciąż to samo gorące, węgierskie słońce przygrzewające bez żadnej litości.

W wychudzonych rękach motyka, tj. drewniany kij zakończony krótkim, poprzecznym ostrzem. Przygiętych pleców bez pozwolenia nie wolno wyprostować. Oczu zalanych potem nie można podnieść do góry. Muszą wpatrywać się w równe rzędkie wschodzących buraków cukrowych lub kukurydzy. Obolałe dłonie muszą unosić i opuszczać stalowe ostrze wycinając kielkujące chwasty, spulchniając suchą, twardą glebę. Plecy drętwieją, a osłabione ręce wycieńczone głodem i chorobą odmawiają posłuszeństwa. Chce się pić, coraz bardziej pragnie się wyprostować, na chwilę złapać głębszy oddech. O tym, by usiąść, nikt nie marzy.

Wtedy myśli jednego jeńca, rodzące się w nisko pochylonej głowie, wracają do dalekiego ojczystego kraju, do minionej młodości wolnego człowieka. W pamięci odtwarzają się dawne lata, wspólna praca na ojcowskim polu lub łące. Tam, w rodzinnej wsi lipcowe słońce na bezchmurnym niebie nie było tak bezlitosne. Podczas zniw w

godzinach największego upału można było przerwać pracę, napić się orzeźwiającej wody. Tam, na szerokiej miedzy w łagodnym cieniu wysokiej, dzikiej gruszy leżąc chwilę z zamkniętymi oczyma, można było odprężyć się i nabrać sił by następnie ze zdwojoną energią, ponownie do niej przystąpić. W dalekim ojcystym kraju wysuszone, pachnące siano na świeżo skoszonej łące przyjemnie orzeźwiało, a kąpiel w czystych wodach Niemna przywracała siły.

Na ogromnym, obcym polu nie ma przerw na odpoczynek. Dworski nadzorca nie pracuje, nie czuje zmęczenia. Spaceruje, przygląda się i z gospodarską troską ocenia efekty wysiłku jeńców. Widziałby jeszcze mocniejsze uderzenia motyk, szybsze pokonywanie kolejnych połaci pola. Cieszy go widok spulchnionej, czystej ziemi pozostającej za szeregiem schylonych postaci. Denerwuje zbyt wolne poruszanie się leniwych darmożjadów.

Nieoczekiwanie jeden jeniec przestał pracować, wyprostował plecy, oparł strudzone ręce na drewnianym końcu długiego trzonka motyki. Następnie wykonując głębszy oddech, brudnym rękawem przepoconej bluzy wytarł pot z czoła. Nie zamierzał stać. Wiedział, że nie ma wyboru i już zaczynał zginać swoje niewolnicze plecy, aby ponownie uderzać motyką.

Jeniec zgiąć się nie zdążył. Węgier zareagował szybciej. Nie mógł patrzeć na przerwę w pracy. Nie mógł pozwolić, aby chociaż jeden niewolnik wyprostował się bez jego zgody. Wymachując długimi rękoma, z głośnym okrzykiem „...hadzić!... hadzić!”³⁸, wyruszył w kierunku niepokornego robotnika, ale stanął gwałtownie kiedy ujrzał ciężką motykę unoszącą się nieoczekiwanie do góry. Stalowe ostrze wyszlifowane czarną, żyzną ziemią błysnęło w słońcu i na moment zawisło nad jego głową. Rozgniewany jeniec doprowadzony do granic wytrzymałości fizycznej i psychicznej na szczęście nie uderzył. Zmęczone ręce nie zadały ciosu. Jedynie z ust padło krótkie, groźne ostrzeżenie: - *Jak ci pohadze, to będzie tu twoja mogiła!*

Słów wypowiedzianych po polsku Madziar na pewno nie zrozumiał. Nie musiał rozumieć. Wystarczył gest, wystarczył błysk oczu.

Nadzorca oczywiście poskarżył się właścicielowi majątku i ten wezwał ojca do siebie. W odpowiedzi na pretensje i zarzuty odnośnie zajścia na polu nieoczekiwanie usłyszał oburzony, gniewny głos swego niewolnika, który nie tylko we własnym imieniu głośno zaprotestował przeciwko poniżaniu ludzi innej narodowości zatrudnionych do ciężkiej, katorżniczej pracy. Usłyszał, że nie powinien zatrudniać tak głupich ludzi do nadzorowania zmęczonych, wycieńczonych i gotowych na wszystko jeńców. Został ostrzeżony, że następnym razem taki nadzorca „padnie tam trupem, z pola żywy nie wróci”. Dowiedział się, że wśród poniżanych są różni ludzie, są wykształceni, a niektórzy byli właścicielami podobnych majątków³⁹. (Podczas opowiadania o tym momencie swojej niewoli ojciec chyba wykazywał takie same zdenerwowanie jak przed tamtym Madziarem. Tak samo podnosił głos, gestykulował rękoma.)

Właściciel zdziwiony i zaskoczony postawą oraz wypowiedzią tego niepokornego jeńca na chwilę zaniemówił, a następnie przyznał mu rację i zapytał ojca kim był przed wojną. Oczywiście dowiedział się, że jest Polakiem, ma zawód gorzelanego, zna się na rolnictwie oraz kierował podobnym majątkiem i gorzelnią.

Zdziwienie Madziara przerodziło się w nieukrywany zachwyty. Stwierdził, że jest właścicielem gorzelni i nie ma kto nią kierować. Fachowców zabrali na front. Madziar długo przeproszał ojca za tamtego nadzorcę, a jednocześnie z zażenowaniem i uśmiechem powtarzał szczęśliwy... Madzier-Orsak ... Lendzier-Orsak.⁴⁰ Twierdził, że Węgier Polakowi nigdy żadnej krzywdy nie zrobi, a następnie zaproponował ojcu prowadzenie gorzelni.

Oczywiście ojciec tę propozycję bez żadnego ociągania przyjął. Przy okazji Madziar wyjaśnił, że Rosjanie to *dzisny* - świnie, bo w 1849 roku pomogli Austrii w stłumieniu węgierskiego powstania, nie pozwolili na odzyskanie niepodległości.

Od tego momentu warunki niewoli uległy radykalnej zmianie. Ograniczenia sprowadzały się jedynie do tego, że nie można było opuścić majątku, w którym znajdowała się gorzelnia, ale przecież nawet najgorsza niewola była lepsza od przebywania na pierwszej linii frontu. Tu pociski nad głową nie gwizdały. Ponadto Anton stał się najważniejszą figurą. Już nie musiał spać na słomie przy krowach. Otrzymał pokój z łóżkiem i normalną pościelą, której tak dawno nie widział.

Razem zamieszkał tylko jeden jeńiec, Słowak Jańczo Kościcz, również zatrudniony w gorzelni. Ci dwaj „zarządcy gorzelni” mieli praktycznie nieograniczony dostęp do pędzonego spirytusu. Na potrzeby bieżące zawsze w zapasie posiadali jakieś wiaderko rozweselającego napoju.

Sprawiło to ogromną radość pozostałym kolegom, jeńcom rosyjskim, których warunki pracy od tamtego pamiętnego wydarzenia, na gorącym polu, również uległy radykalnej poprawie. Stopniowo zmienili oni styl picia alkoholu z mocnego, na bardziej rozcieńczony. Popijali rozweselający napój w niedużych ilościach i wychwalali szczęśliwi niedomyślnego dyrektora, pana Nojmana, który uważał, że spirytusu nikt nie weźmie, gdyż na zaworach regulujących przepływ zawiesił kłódki.

Niestety, nie zawsze chciało się mu wychodzić z wygodnego gabinetu w celu przedstawienia urządzeń. Kluczyki trafiały do rąk głównego gorzelanego lub jego zastępcy. Ten moment wykorzystywano na napełnianie wiaderka i oddawano kluczyk dyrektorowi.

Z takim ograniczeniem dostępu do spirytusu nie mógł pogodzić się zastępca gorzelanego - Jańczo Kościcz. Dokupił on kłódkę z podobnym kluczykiem. Kłódki na zaworach otworzyć nim jednak nie potrafił. Oddał więc dyrektorowi swój kluczyk, podczas pierwszego przedstawiania urządzeń, a sobie zostawił właściwy. Szczęśliwy wrócił do kolegów zapewniając, że teraz jest na równi z dyrektorem, bo ma taki sam dostęp do spirytusu o każdej godzinie dnia i nocy. Sielanka trwała do końca wojny. Nikt nikogo nie pilnował. Wszystkim powodziło się wspaniale.

Próbie ucieczki dokonał tylko jeden żołnierz, właśnie Słowak Jańczo Kościcz, któremu znużyło się życie bez żadnych przygód. Pieszko udało mu się dotrzeć do Dunaju, a następnie jakiś Węgier przewiózł go łódką na wyspę, na rzece. W tym czasie rozpoczął się świt i dalsza przeprawa na drugi brzeg stała się niebezpieczna. Słowak został na wyspie, a Madziar popłynął z powrotem zapewniając, że w następną noc przewiezie dalej. Niestety, nie przybył w następną noc, ani w żadną inną. Biedny uciekinier siedział na wyspie o głodzie i chłodzie kilka nocy i dni.

Wreszcie go odnaleźli i odstawili z powrotem do majątku i kolegów, od których uciekł. Po powrocie stwierdził, że „Pan Jezus nie wycierpiał tyle na krzyżu, ile on na tamtej wyspie.” Już więcej nikt nie uciekał. Wszyscy czekali na koniec wojny.

9

Zwaśnione rządy wrogich obozów długo marzyły o zwycięstwie nad nieprzyjacielem, wysyłały na front wciąż nowe dywizje i pułki. Długo zmuszano żołnierzy wszystkich armii do wzajemnego zabijania się i przelewania krwi. Bardzo długo zarówno ci, co pozostali w okopach, jak i ci, co trafili do nieprzyjacielskiej niewoli marzyli o zakończeniu wojny i powrocie do swego kraju.

Wreszcie upragniony pokój nastąpił. Natychmiast, bez dodatkowych warunków wszystkim jeńcom pozwolono wracać do domu. Rozpoczęła się wędrówka do stron ojczystych. Jeńcy wyszli na drogi, niezliczone, tysięczne gromady. Już nikt nie pędził jeńców po różnych ulicach w miastach, by przekonać do sukcesów własnej armii, jak to było na początku wojny. Teraz jeńcami byli przepelnione wszystkie drogi. Wszędzie jeńcy, oni i tylko oni. Dopiero teraz można było zobaczyć, jak ogromna ilość nieprzyjacielskich żołnierzy znalazła się w niewoli.

Węgierskie drogi stały się podobne do wiosennych, wezbranych rzek. Całą ich szerokością poruszały się jenieckie tłumy. Kierunek wędrówki był jeden, północ i wschód. Tak jak rzeki zbliżając się do morza rozrastają się i potężnieją, tak tamte ludzkie potoki stawały się coraz większe, coraz liczniejsze. Poszczególni wędrowcy łączyli się w grupki niby pojedyncze krople zlewające się w szumiące strumienie.

Wszystkim spieszyło się. Nikt nie chciał czekać. Powstał entuzjazm powrotu i nie ustawał ani na moment. Tych ludzi nie dało się zatrzymać, tak jak nie można zatrzymać w dalekiej Afryce bocianów lub jaskółek, gdy nadejdzie okres powrotu do ukochanej północy tam, gdzie zostały gniazda rodzinne.

Wkrótce ten potok ludzki spotkał się z podobnym, nadciągającym ze wschodu z rosyjskiej niewoli. Już wszędzie, na wszystkich drogach, we wszystkich pociągach widziało się tylko byłych żołnierzy w różnych mundurach. Jakie były następstwa tamtych spotkań, jak reagowali byli żołnierze, widząc niedawnych przeciwników, teraz bezbronnych? Przeważnie nie zwracali na siebie uwagi. Czasami czyjaś twarz na moment ożywiła się. Ktoś z większym zainteresowaniem spojrział na byłych nieprzyjaciół, wzrokiem przekazując wyrazy współczucia. Najpilniejszy obserwator nie zauważyłby cienia wrogości.

Jeńcami zapełniły się wszystkie drogi. Podobnie było na kolei. Tu również ogromne tłumy czekały na stacjach, tłoczyły się w wagonach, podróżowały na stopniach i dachach. Przepelnione pociągi jechały wolno. O węgla do palenia pod kotłami nawet marzeń nie było. Palono drewnem. Uzupełniano go w lasach. Suchego nie wystarczało. Mokre nie chciało się palić. Wydzielało więcej dymu, niż ciepła. Ciężko sapały lokomotywy, obciążone ponad wszelkie normy. Koła się ślizgały. Pociągi na większych wzniesieniach zwalniały. Wreszcie zatrzymywały się i zaczynały cofać. Jeńcy nie dawali za wygrane. Żądali od maszynisty ponownego rozpędzania pociągu. Domagali się dalszej jazdy.

Czasami kolejarze próbowali odczepić przynajmniej kilka końcowych wagonów, ale w momencie gdy pociąg zaczynał ruszać, jeńcy dopinali wagony. Długie zestawy, ponad siły lokomotywy, wolno toczyły się dalej. Ponownie tworzyły się problemy przed każdym wzniesieniem. Żółwie tempo jazdy utrzymywało się nadal. Wszyscy jednak uważali, że lepiej źle jechać, niż dobrze iść.

Znaczną część drogi pokonywano pieszo. Pociągów było mało, kursowały rzadko. Na własnych nogach pokonywano również te odcinki trasy, na których tory zostały zniszczone. Czasami po odejściu jednego transportu w pożądanym kierunku nie dało się uzyskać żadnej informacji o terminie odjazdu następnego. W takich warunkach nikt nie czekał. Pragnienie widoku ojczystych stron stawało się silniejsze od największego zmęczenia. Jeńcy ponownie wyruszali w trasę, przemierzali krótkimi krokami obolałych nóg jej długie kilometry. Nasz ojciec większą część drogi z majątku pana Solta do Krakowa przeszedł piechotą.

Powstały problemy z wyżywieniem. Ogromnej ilości wędrujących, głodnych ludzi nikt nie był w stanie wyżywić. Ponadto zdecydowana większość jeńców nie miała czym płacić. W takich warunkach ponownie rozpoczęła się walka o każdą kromkę chleba, o każdy łyk zupy ofiarowany przez jakąś posiwiąłą matkę takiego samego syna wypatrywanego w tłumie powracających ze wschodu, z dalekiej, rosyjskiej niewoli.

Były żołnierz Antoni Ciechanowicz, już nie jeńiec, chudy i wymęczony szedł tamtą drogą. Wybierał kierunek na północ, do swego dalekiego kraju. Nieważne było, jak się nazywa kolejna wieś lub następne miasto. Ważny był kierunek. Zawsze na północ, ale również na wschód. Tam był dom, opieka, tam czekali swoi. Jak tęskno do dalekiej izby z glinianym klepiskiem, do starego, wysłużonego drewnianego łóżka z suchym siennikiem wypchanym żytnią słomą. Marzeniami już tam był. Już wyciągał poobcierane nogi, zamykał przemęczone oczy, nabierał sił.

Rzeczywistość to nieustanny ból odparzonych stóp, zamykające się oczy, ciężący coraz bardziej worek z nędznym dobytkiem, z pamiątkami przymusowego pobytu na węgierskiej ziemi. Oczy zamykały się, powieki stawały się coraz cięższe, a przez całe ciało przebiegały dreszcze, pomimo słońca przygrzewającego mocno. To nie było złudzenie. Temperatura rosła. Choroba atakowała. Teraz nie było zimnego baraku, nie było jednak i żadnego posłania, warunków do odpoczynku. Pozostał tylko upór i strach, przed skutkami zatrzymania się na obczyźnie, bez opieki. Równało się to rezygnacji, dawało szansę chorobie.

Pokonując zmęczenie, temperaturę, ogólne osłabienie, nie mając żadnych leków należało iść do przodu, w kierunku ukochanej północy, gdzie przed wojną znajdowała się rodzinna wieś. Może jeszcze istnieje, może żyją rodzice, rodzeństwo, może pamiętają, może jeszcze czekają?

Ojcu tamten marsz utkwił w pamięci na długie lata. Wspominał o nim często. Przeżywał ponownie tamte dni. Zamyślony opowiadał, że podczas pieszej, długiej wędrówki z każdym dniem ubywało sił, a jednocześnie z każdym dniem coraz bardziej chciało się być w domu, gdzie swoje pola i las, gdzie Niemen cicho i spokojnie niesie swe czyste wody. Niestety, ukochane tereny wciąż oddzielała ogromna przestrzeń, setki kilometrów długiej, ciężkiej drogi. Ostatkiem sił zmuszał się do marszu, starał się

utrzymać tą samą odległość od tych, którzy byli silniejsi i maszerowali z przodu. Były gwardzista mając wzrok skierowany na coraz to nowe punkty drogi, wyznaczał sobie kolejne odcinki do pokonania i wierzył, że dotrze do domu, zwycięży chorobę.

Po krótkich postojach drelichowy worek - plecak, pamiątka z okresu służby wojskowej, wydawał się cięższy. Przed włożeniem go na przemęczone plecy, na wypłowiałą bluzę czarną od potu i brudu, następował przegląd dzwiganego dobytku. Po chwili worek stawał się mniejszy. Coś z niego ubywało i zostawało na drodze.

Na kolejnym postoju należało coś znowu wyrzucić. Zmęczona, drżąca ręka ponownie długo trzymała grube zeszyty. Wzrok się zatrzymał na białych kartkach zapisanych pochylą, atramentowym pismem. To były wspomnienia od momentu wyruszenia na front do ostatnich dni niewoli. Zostały napisane w wolnym czasie, podczas kierowania węgierską gorzelnią. Kolejny raz decydowały się ich losy. Tym razem zeszyty nie wróciły do worka, a zostały gdzieś na polnej drodze i po jakimś czasie rozpadły się, rozmoczone deszczem i wypalone słońcem.

Wspomnienia miały tytuł „Czarna chmura na wschodzie” i rozpoczynały się mniej więcej następująco:

Czarna chmura ukazała się na wschodzie i stopniowo przesłoniła niebo. Oślepiające błyskawice, potężne grzmoty i gdzieś tam powstające pożary przerażają ludzi. Pragnęli deszczu, lecz bali się burzy. Chmura szybko odchodzi, na niebie ukazuje się słońce. Powraca uśmiech i radość.

Kolejny rok wymęczeni mieszkańcy miast i wsi czekają i nie znajdują odpowiedzi na pytanie, kiedy zginie okropna, czarna chmura, która pojawiła się na zachodzie w dniu 1 sierpnia 1914 roku i nadal wisi nad światem.

Dalej były szczegółowo opisane wszystkie wydarzenia od momentu wyjazdu na front, do decyzji o powrocie do domu. Decyzję o powrocie ojciec podjął szybko i łatwo. Prośby właściciela majątku o pozostanie na ziemi węgierskiej nie odniosły skutku. Nie pomogły twierdzenia, że ojciec po wojnie, jako wolny człowiek, będzie nadal prowadził gorzelnię, że będzie miał lepiej niż w swoim biednym kraju, do którego ma zamiar powrócić. Nie poskutkowało również twierdzenie, że Madziarki to ładne dziewczyny, więc któraś chętnie zaopiekuje się nim, tym bardziej, że po wojnie mężczyzn w kraju brakuje. Większość poszła na front i nigdy nie wróci.

Może mało brakowało, aby powstało małżeństwo z Julišką Horn, która przyjechała z Budapesztu do swoich kuzynów i z wzajemnością zainteresowała się jednym z jeńców. Widocznie miało być inaczej. Tej dziewczyny ojciec z sobą nie zabrał, tam z nią nie został.

Zapadła inna decyzja. Ojciec stwierdził, że wraca do swego kraju, do stron ojczystych, do rodzinnego domu. Na obczyźnie nikt nie zatrzyma, nawet wspaniałe węgierskie dziewczyny. Nikt, żaden jeńiec nie miał najmniejszych wątpliwości. Szał powrotu ogarnął wszystkich. Nie było dyskusji „czy wracać”? Rozmawiano jedynie o tym, w jaki sposób najszybciej dotrzeć do swoich bliskich.

Nie wiem, ile czasu tamta wędrówka trwała. Od Krakowa, po terenie Polski pociągi kursowały w sposób bardziej zorganizowany. Można było jechać i oglądać mijany krajobraz. Zmęczone nogi mogły wreszcie odpocząć. Zostawały z tyłu kolejne miasta i stacje. Wreszcie pociąg zatrzymał się w Baranowiczach. Przecież to tak blisko do domu. Następnie Horodziej i wreszcie... Stołpce.

Pociąg toczył się wolno. Nie zachodziła potrzeba oczekiwania na dojazd do stacji. Z wagonu ojciec wyszedł na przejeździe kolejowym, na znajomej drodze prowadzącej do rodzinnej wsi. Carska gwardia, austriacka niewola i obce, długie drogi zostały daleko z tyłu. Tak blisko rodzinna wieś i ...kto w tej wsi czeka? Kto z rodziny pozostał? Kto jeszcze żyje? Kto pamięta? Kto go pozna w zniszczonym mundurze żołnierza rosyjskiej armii? Te myśli i słowa zostały skierowane do pierwszej nieznaney kobiety spotkanej na drodze do Okińczyc.

Dotarł wreszcie do swojej wsi, do domu rodziców. Niestety, mama nie żyła. Tak długo czekała na powrót syna. Pragnęła zobaczyć go żywego, jeszcze przed śmiercią. Okropne lata niepewności wypełniła gorącą modlitwą i wiarą, że syn przebywający gdzieś daleko, w nieznanym i wrogim świecie wytrzyma i wróci do domu, zdrowy i cały.

Trudy nieustannego oczekiwania i nieprzespanych nocy odbiły się na zdrowiu zapłakanej matki. Choroba stawała się coraz silniejsza, mocniej atakowała nadwerżony organizm i wreszcie odniosła zwycięstwo. Już więcej jej ręka nie dotknęła krosien. Nagle urwały się błagania do Najwyższego o zdrowie syna.

Może właśnie wtedy, kiedy w drodze powrotnej do domu syn zachorował po raz, drugi tracąc osłonę matczynej modlitwy, tym razem na zawsze? Wobec tego jakim sposobem, z czyją pomocą została pokonana choroba? Skąd się wzięły siły na ponowne odmierzanie kolejnych, długich kilometrów drogi powrotnej do domu?

Widocznie, ojcu sądona była nie tylko wędrówka bezdrożami powojennej Europy. Czekały na niego dalsze radości i troski. Nie dotarł jeszcze do stacji końcowej własnego życiorysu. Czyżby każdemu z nas, wyznacza się odgórnie wszystkie przeżycia i moment odejścia tam, skąd nikt nie wraca? Może przychodząc na ten świat, wsiadamy do pociągu zwanego życiem, a następnie wyznaczoną trasą jesteśmy przewożeni ze stacji urodzin, do stacji śmierci? Prawdopodobnie tamten carski żołnierz i austriacki jeniec miał wyznaczoną dłuższą trasę. Pobytem na ziemi miał się cieszyć jeszcze wiele lat.

Najpewniej, w ludzkich życiorysach zdarzają się przypadki nie wytłumaczalne, niezrozumiałe, których umysł zwykłych śmiertelników nie jest w stanie ogarnąć. Być może to był taki przypadek.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, wiele lat później, po naszym przyjeździe do Polski we wsi, w której zamieszkaliśmy, ojciec zapoznał sąsiada mniej więcej w swoim wieku. Również brał udział w wojnie. Był żołnierzem armii niemieckiej i trafił do niewoli. Znalazł się daleko, w głębi Rosji. Ci dwaj byli żołnierze, a jednocześnie jeńcy zwalczających się armii, wyjątkowo chętnie przebywali razem i całymi godzinami opowiadali sobie wzajemnie własne przeżycia frontowe, a szczególnie z okresu niewoli.

Jak bardzo to było sprzeczne z propagandą systematycznie wtlaczaną do żołnierskich głów, że po drugiej stronie są przeciwnicy, których jedynym marzeniem jest zabijanie.

- 1 Jesteś zdrowy? (ros.)
- 2 Czerkies orężem obwieszony. On nim się szczyci, nim się cieszy. (ros.)
- 3 Płaszcz wojskowy. (ros.)
- 4 Kaukaskie góralskie wioski.
- 5 Wzgórza, pagórki (ros.)
- 6 Mateczki Rosji.
- 7 Jeżeli dobrze pamiętam opowieści babci, to zmarł on w młodym wieku.
- 8 Kto na morzu nie był, ten cierpienia nie zaznał. (ros.)
- 9 Na kościach ludzkich... gdzie poprzednio fiński rybak, ubogi pasierb przyrody rzucał swój niewód (ros.).
- 10 Car się wystraszył, wydał manifest. Martwym wolność, żywych do aresztu... Silny i święty, car nasz przekłety. Boże cara pochowaj. (ros.)
- 11 Marsz do kompanii (ros.)
- 12 W tym miejscu mogę się mylić. Prawdopodobnie, w ostatnim roku służby, w związku z narastającym zagrożeniem wojny, wyjazd na poligon został odwołany. W takim przypadku ojciec był na poligonie dwa, a nie trzy razy.
- 13 Jeśli dobrze pamiętam, to po rewolucji to miasto zaczęło się nazywać „Puszkino”.
- 14 Dowódcę kompanii. (ros.)
- 15 Żołnierzy piechoty. (ros.)
- 16 Zabroniony wstęp żołnierzom niższych stopni oraz wprowadzanie psów. (ros.)
- 17 Witajcie drodzy ... izmajłowcy. Dziękuję wam, drodzy izmajłowcy (ros.)
- 18 A wy, głupcy nie potrafiliście odpowiedzieć. (ros.)
- 19 Kraj nad Wisłą (ros.)
- 20 Za wiarę, cara i ojczyznę. (ros.)
- 21 Jeśli będziemy walczyć, jak Polacy pod Grunwaldem, to przed zimą wrócimy do koszar. (ros.)
- 22 Pud - ros. Jednostka wagi, około 16 kg.
- 23 Mięso armatnie. (ros.)
- 24 Werdeńska maszynka do mielenia mięsa. (ros.)
- 25 Pchnij (bagnetem) w prawo, w lewo, do przodu (ros.)
- 26 Piersi w krzyżach (odznaczeniach) , a głowa w krzakach (pozbawiona życia (ros.)
- 27 Jesteście wierni z najwierniejszych, lepsi z najlepszych, moi drodzy izmajłowcy. (ros.)
- 28 Nie zostawaj z tyłu. Dłuższy krok. Szybciej na przód. (ros.)
- 29 Dezerter ucieka. (ros.)
- 30 Idziemy napić się wody. (ros.)
- 31 za wiarę, cara i ojczyznę. (ros.)
- 32 Rosjan nie ma? (ros.)
- 33 Kiedy ojciec kolejny raz opowiadał o tym fragmencie austriackiej niewoli, mama wychodziła z pokoju.
- 34 ulubieniec, oczko w głowie (ros.)
- 35 Za mateczkę Rosję i ojczulka cara. (ros.)
- 36 Zginął w okolicznościach nie wyjaśnionych (ros.)
- 37 Sprawdzian wytrzymałości (ros.)
- 38 Pracować ... pracować (węg.)
- 39 Oczywiście rozmowa była prowadzona za pośrednictwem tłumacza.
- 40 Naród Węgierski... naród Polski (węg.)

3. Od pokojowej przerwy do pierwszych Sowietów

Minęła wojna. Skończył się okres tułaczki. Nadszedł czas wymarzonego pokoju, a w ludzkich sercach zrodziła się wiara, że potrwa on długo, może już zawsze. Umacniało się poczucie pewności, że długie lata wzajemnego zabijania się i nieustannych walk, doprowadzających ludność zmagających się stron do straszliwej nędzy, minęły na zawsze i więcej nie powtórzą się. Pokolenie, któremu odebrano młodość, chciało wierzyć, że przynajmniej w najbliższych latach, będzie żyć w spokoju, bez groźby nowej wojny. Nie wiedzieli jeszcze jak mocno się mylą i nie podejrzewali, że otrzymali jedynie krótką pokojową przerwę. Już wkrótce ogłuszający huk silników czołgowych, zwiastunów następnej wojny straszniejszej i groźniejszej od poprzedniej, dotarł do mieszkańców naszej wsi i okolic.

Tragedii, którą przeżyli nasi ojcowie i dziadkowie, nie dało się przewidzieć w najtragiczniejszych snach. Dwie straszliwe wojny na jedno pokolenie. Czy to nie za wiele? Gdyby nieprawdopodobna myśl o możliwości nowej wojny przeleciała wtedy komuś przez głowę, to i tak by jej nie wypowiedział, a wiedziony odwiecznym instynktem trwania, cieszyłby się każdym dniem spokoju, rozkwitających kwiatów, słonecznych poranków.

Z radością witali ludzie wtedy każdy łagodny powiew ciepłej wiosny i słoneczny żar, przyśpieszający dojrzewanie dorodnych ziaren w grubych kłosach zbóż. Nie napawały smutkiem jesienne szarugi, ani styczniowe zamiecie i lutowe mrozy. W małej, cichej wiosce, nie zagrażającej nikomu, z szczególną mocą występowała powszechna wiara w lepszą przyszłość. Najważniejszym celem ponownie stała się uprawa roli, a marzeniem – zebranie plonów wystarczających na wykarmienie rodziny, do dnia następnych zbiorów. Podczas największych świąt lub w niedziele, w większych lub mniejszych grupach, odświętnie ubrani i uśmiechnięci kierowali się spacerkiem do pobliskich Stołpiec, by uczestniczyć w nabożeństwie.

Szczególnym powodem do cieszenia się był fakt, że nasza mała wioska znalazła się w granicach odrodzonego Państwa Polskiego. Stołpce stały się ostatnią większą stacją kolejową przed wschodnią granicą, która przebiegała bardzo blisko, w odległości zaledwie 20 - 30 km. Radzieckie sąsiedztwo tworzyło atmosferę ustawicznego zagrożenia. Jednak radość pracy na swoim, dla siebie stawała się silniejszą. Wiara na poprawę warunków bytowych dodawała siłę, rodziła nadzieję. Ciężką pracą próbowano nadrobić minione, utracone lata, najpiękniejsze lata zmarnowanej młodości.

Członkowie bliższej i dalszej rodziny wspominali często tamte odległe czasy i marzenia sprzed lat. Rozmowy na ten temat kończyły się smutną refleksją, że okres międzywojennego spokoju trwał krótko i że został tak gwałtownie przerwany. W wypowiedziach, ciągle powtarzało się to samo rozpaczliwe pytanie, na które nie uzyskiwano od nikogo odpowiedzi. Chcieli odgadnąć dlaczego i za co, okrutny los tak surowo ukarał? Dlaczego nie pozwolono im żyć w spokoju? Odpowiedzią pozostawało milczenie. Na zakończenie smutnych wspomnień z ust osób, które tak bardzo ucierpiały padały zawsze te same słowa, ta sama prośba - modlitwa do Stwórcy o oszczędzenie młodszego pokolenia, o to, by dzieci i wnuki nie zaznały podobnych cierpień.

Nasz ojciec, po powrocie z niewoli, również rozpoczął układać swoje życie od nowa. Mając zawód rolnika i gorzelanego, nie szukał pracy w innej dziedzinie. Zresztą,

na byłych Kresach Wschodnich w tamtym okresie żaden przemysł nie istniał i znalezienie pracy poza rolnictwem było prawie niemożliwe. Przyjął więc obowiązki rządcy w majątku o nazwie Cholawa, położonym tuż przy granicy polsko - rosyjskiej. Ziemie majątku stykały się z pasem granicznym, pasem ziemi niczyjej. Na tamtym odcinku można go było pokonać, bez większych problemów.

Granicy miał pilnować Korpus Ochrony Pogranicza, stacjonujący w pobliskich Stołpcach. Jednostka ta, o zbyt małej obsadzie, nie spełniała swych zadań w stopniu zapewniającym nietykalność młodego państwa. Przekraczanie granicy w celach rabunkowych ze strony sowieckiej zdarzały się dość często. Jednak dopiero duży, nocny napad na Stołpce w latach trzydziestych, zmobilizował władze do wzmocnienia ochrony tamtego odcinka granicy. Po wspomnianym wydarzeniu garnizon wojskowy stacjonujący w naszym mieście znacznie zwiększono i lepiej uzbrojono[1].

W tym czasie ojciec nadal zarządzał majątkiem. Odwiedzał go od czasu do czasu szef straży granicznej. Nie ma wątpliwości, większość spotkań kończyła się poczęstunkiem. Podchmielony obrońca państwowej granicy przekazywał instrukcje, co należy czynić i jak postępować w przypadku sowieckiej napaści. A więc w pierwszej fazie, po stwierdzeniu naruszenia granicy państwowej, mając pozwolenie na broń, ojciec miał bronić posiadłości samodzielnie, z rewolwerem w dłoni. W drugiej fazie, po usłyszeniu strzałów, miał przybyć z odsieczą osobiście dzielny dowódca straży ze swoimi żołnierzami.

Zarządzanie gospodarstwem, co prawda nie małym, lecz cudzym satysfakcji nie dawało, a przebywanie bezpośrednio nad granicą spokojnego snu nie zapewniało. Ojciec postanowił wrócić do rodzinnych Okinczyc, od których do granicy było znacznie dalej. Przebiegała ona około 15 km tuż za Mikołajewszczyzną, pierwszą większą wsią, w kierunku południowym. Przewędrował setki kilometrów, po to, by stwierdzić, że obok ojcowskiego domu jest najlepiej. Widocznie doszedł do takiego przekonania po kilku kolejnych latach przebywania z dala od rodziny.

Samotność również zaczęło ciążyć. Nie wiem jak długo rozglądał się za wiejskimi pięknosciami, ale wybranką do założenia rodziny i wspólnego spędzenia reszty życia stała się panna Pruszkowska, sąsiadka. W tym czasie szybko stanął drewniany dom wykonany dokładnie i starannie oraz pozostałe budynki gospodarcze. Nowy dom, swoją dumę, ojciec zaprojektował osobiście. Wykonali go najlepsi majstrowie. Jedno z największych marzeń dorosłego życia spełniło się. Powstała nowa rodzina z nowym gospodarzem posiadającym własne pole i podwórko. Niestety, na podwórku wciąż brakowało bawiących się dzieci. Ich wesoły śmiech zapewnił by pełnię szczęścia. Mimo to wyglądało, że małżeństwo jest szczęśliwe, ale nie trwało długo. Pierwsza żona naszego ojca zmarła w kilka lat po ślubie.

Czas uciekał. Tęsknota za tą, która odeszła nie mogła zmienić reguł, które dyktowało życie. Z samotnością należało skończyć. Jeśli nie z ogromnej miłości lub z rozsądku, to na podstawie wciąż niezbadanych odgórnych wyroków, zapisanych jedynie w gwiazdach, powstało kolejne małżeństwo. Starszy wdowiec ożenił się ze znacznie młodszą panną, Julią Okińczyc. Jej koleżanki dawno powychodziły za mąż, a ona wciąż pozostawała panną. Widocznie zaloty młodego, przystojnego Janusza okazały się mało energiczne i nieskuteczne. Może wspomnienia o tamtym chłopcu zbyt mocno tkwiły w pamięci naszej mamy, bo w przeciwnym przypadku nigdy bym się o nim nie

dowiedział. Mama nie ukrywała, że tamten chłopiec jej podobał się bardzo i uważała, że z wzajemnością. Chyba nadal za nim tęskniła.

Z jakiej przyczyny nie doszło do małżeństwa, nie dowiedziałem się nigdy. Mama o tym nie wspominała. Może nadmiernie nieśmiały Janusz stracił wymarzoną Julię, podobnie jak ja wiele lat później, utraciłem piękną Marylkę, w której byłem zakochany bez pamięci, bezgranicznie, od pierwszego spojrzenia. To ona ze swoją szczupłą sylwetką i długimi czarnymi włosami, spływającymi na zgrabne ramiona, idealnie spełniała moje najskrytsze marzenia. Kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, pomyślałem, że jest do mnie podobna. Pragnąłem przebywać z nią dniami i nocami, ale nie potrafiłem zrealizować marzenia. Było w tej dziewczynie coś, co paraliżowało mnie, kiedy znajdowałem się obok. Może nie byłem w stanie uwierzyć, że szczęście jest tak bliskie, a może zbyt mocno uległem kompleksowi niższości, który wynikał głównie z tego, że jeszcze nie zdążyłem oswoić się z polskimi realiami. A może mnie tylko tak się zdawało.

Mama zdjęcia swego Janusza chyba nie miała. Ja natomiast dowiedziałem się, że jestem fajny, lecz zbyt mało męski i od dziewczyny najskrytszych marzeń zamiast serca, otrzymałem zdjęcie z wymowną dedykacją:

Życie jest chwilą
Miłość marzeniem
Noc tajemnicą
Zdjęcie wspomnieniem

Być może Marylka próbowała po raz ostatni sprowokować mnie do działania, kiedy podczas wspólnej jazdy na motorze, z jej inicjatywy, nieoczekiwanie oświadczyła, że wkrótce wychodzi za mąż. Była to nasza ostatnia przejażdżka, która skończyła się przed jej domem. Tam zaproponowała, że możemy obejrzeć wspólnie pokoik w jednorodzinny domku rodziców, w którym zamieszka po ślubie. Po chwili znaleźliśmy się sami w niedużym pokoju ze skromnym umeblowaniem i chyba dopiero wtedy zrozumiałem, że utraciłem Marylkę na zawsze, że już z nią nie spotkam się. Na dodatek usłyszałem, iż rozstajemy się tylko z mojej winy. W następnej chwili zdruzgotany i załamany zostawiłem dziewczynę, wyszedłem z mieszkania. Być może podobałem się jej na tyle, że dała jeszcze jedną szansę, z której nie potrafiłem skorzystać. Chyba jeszcze nie stałem się dorosły.

Nie wiem, ile dni i miesięcy tęskniła mama za utraconym Januszkiem, lecz mój szok po utracie Marylki trwał nieskończenie długo. W żaden sposób nie mogła jej zastąpić miła Celinka, z którą znajomość z upływem miesięcy przekształcała się stopniowo w przyjaźń. Powstające między nami wzajemne zrozumienie zaczęło przeradzać się w coś bardziej poważniejszego, ale nawet jeżeli coś się rodziło, to widocznie nie miało zbyt trwałych podstaw.

Rozstaliśmy się z dnia na dzień, w sposób trudny do wytłumaczenia po tym, jak spotkałem znowu z dziewczyną wysoką, wysmukłą, z ciemnymi włosami. Teraz wyjątkowo szybko i zdecydowanie dążyłem do ślubu, chociaż dziewczyny prawie nie znałem. Być może zdawałem sobie sprawę, że ociąganie się może doprowadzić do sytuacji, którą już raz przeżyłem. Może u tej dziewczyny odnalazłem coś takiego, co przesądziło, że pragnąłem z nią pozostać na zawsze, a może miała w sobie coś ponad

namiastkę urody cygańskiej i dlatego potrafiła mnie przy sobie zatrzymać. Najpewniej prawdą jest to, że ktoś odgórnie kieruje ludzkimi losami.

Mama wyszła za mąż za znacznie starszego mężczyznę, którym być może nie interesowała się zbyt w okresie poprzednim, ze względu na różnicę wieku. Może tak musiało być? Widocznie o losach mamy dobrze wiedziała cyganka, która kiedyś wywróżyła, że długo będzie panną i wyjdzie za mąż za wdowca.

Ślub naszych rodziców odbył się w 1938 roku, a w następnym roku ogromne szczęście zawędrowało do domu. Na świat przyszedł pierwszy potomek - Edward. Starszy wiekiem ojciec i już niemłoda mama cieszyli się, byli szczęśliwi. Po niecałym roku od ślubu urodził się pierwszy potomek. Urodzą się następni. Mają własną ziemię i własne gospodarstwo. Pracują, jak ojcowie i praojcowie, od świtu do późnego wieczoru w polu, ogrodzie, na łąkach, na swoim i dla swojej rodziny.

W tym czasie nie tylko do tego małżeństwa, lecz do wszystkich mieszkańców wsi i okolic systematycznie docierały przerażające wieści o okropnych warunkach życia za granicą wschodnią. W te straszne opowieści początkowo nikt nie wierzył. Wydawały się niewiarygodne. Nikt też nie wątpił, że to efekt rewolucji, którą tamten naród sam sobie wymyślił. Zresztą, czy można tak bardzo przejmować się cudzym zmartwieniem? Sami zrobili swoją rewolucję, niech się sami martwią jej następstwami.

Wszyscy we wsi wiedzieli, że tamta „zaraza” dotrzeć do Polski nie zdoła. Wierzyli, że Polska ma silną armię stojącą na straży niepodległego Państwa. Wiedzieli, że na Zachodzie mają dobrych sojuszników i nikomu „nie oddadzą nawet guzika”. Mogli więc spokojnie gospodarować na swoich wąskich, piaszczystych poletkach.

Rodzice również gospodarzyli na okińczyckich piaskach. W okresie międzywojennym wyglądało to tak samo, jak podczas wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu, przed nastaniem kołchozów. Uprawiali parę hektarów mało urodzajnej, kamienistej ziemi, bardziej nadającej się na ponowne zalesienie, niż na jakiegokolwiek uprawy.

Wielohektarowe pola całej wsi, tak zwana Motowszczyzna, znajdowały się za wschodnim lasem. W poprzek pagórkowatej przestrzeni wolnej od drzew biegly wysokie, wąskie miedze porośnięte piołunem, bylicą i innymi, dorodnymi chwastami. Ginęły one w oddali na tle ząbkowanej ściany lasu, zwężając się coraz bardziej i zbliżając do siebie. Miedze wyznaczały granice własności poszczególnych gospodarzy. Pomiędzy nimi, nigdy nietkniętymi pługiem ani żadnym innym narzędziem, ciągnęły się nieco szersze paski gruntu pracowicie uprawiane i pielęgnowane. Tak wyglądały pola naszych ojców i dziadów. Podobnie jak miedze zwężyły się one w miarę oddalania od oczu gospodarza i tak samo zlewały się swoją wiosenną zielenią, z podobnym tłem dalekiego lasu.

Jeżeli nastala jesień i rozpoczął się okres przedzimowych orok, to wzdłuż wąskich zagonów monotonnym, jednostajnym krokiem, rytmicznie wymachując nisko opuszczoną głową szedł znudzony koń, a z tyłu za nim z rękoma na drewnianych rękojeściach żelaznego pługa spokojnie i pewnie kroczył gospodarz. Oczy wpatrywały się w wąski pasek gleby odcięty od podłoża stalowym ostrzem lemiesza, wślizgującym się coraz wyżej po wygiętej łagodnie odkładni pługa. Wyorana skiba, lekko wilgotna po

ostatnich obfitych deszczach, wznosiła się i łamała pod własnym ciężarem, a następnie odwracała się i układała równą, pulchną warstwą.

Cieszyły się oczy oglądające równo układające się skiby, a smutkiem przepęniało się serce, gdyż po jednej i drugiej stronie zaoranego pola, w zasięgu bata, znajdowały się miedze oddzielające pole sąsiadów. Daleko, poza zasięgiem wzroku, ginął początek i koniec zagonu, kryjąc się za niewielkim pagórkiem. Na takim polu bez wjechania wozem konnym na działkę sąsiada, zawrócić się nie dało. W takich warunkach, nie istniały możliwości unowocześniania form gospodarowania i stosowania najprostszycy maszyn z tamtego okresu. Dużym osiągnięciem myśli i techniki przedwojennych lat stały się kosiarki i snopowiązałki polskiej produkcji ułatwiające pracę, będące przedmiotem marzeń wielu rolników. Ojciec tych maszyn nie zdążył nabyć. Mieli je nasi sąsiedzi, państwo Pruszkowscy.

Snopowiązałka, jeszcze w latach powojennych, stała u nich na podwórku. Usadawiałem się czasami na bujającym się fotelu udawałem, że jestem na polu i koszę zboże. Niestety, metalowe elementy przedwojennej maszyny pordeziewiały, a drewno spróchniało. Nikt snopowiązałki nie używał, gdyż nastały kołchozy. Na kołchozowe pola wjechały kombajny, a jednocześnie powrócono do kosi i ręcznego podbierania skoszonego zboża.

Jakże często ojciec opowiadał o reformie rolnej zapoczątkowanej tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Rolnicy z ogromną nadzieją przyjęli zapowiedź rządu o planowanych zmianach szczególnie w zakresie władania ziemią, a następnie z radością wspierali realizację zamierzeń. Zmiany miały na celu w pierwszej kolejności likwidację wąskich zagonów poprzez wyznaczanie poszczególnym rolnikom gruntów skomasowanych w dużych arealach. Często też słyszałem, że własność gospodarstw rolnych miała być ograniczona do 50 hektarów, pod warunkiem, że będzie uprawiana w ramach rodziny. Zapowiadano też upaństwowienie lasów.

Nowi właściciele wzmocnionych gospodarstw krótko cieszyli się większą wydajnością, przyjemniejszą pracą i wzrastającym poziomem życia. Ich radość i nadzieję brutalnie przerwała kolejna wojna, bardziej barbarzyńska i okrutna niż poprzednia. Efektem wyższego poziomu gospodarowania, już w niedługim czasie, stało się rozkułaczanie, a następnie przymusowe *karczowanie* lasu na dalekiej Syberii.

O okropnym losie tamtego pokolenia często wspominała mama. Nie chwaliła okresu międzywojennego. Twierdziła, że warunki nie były łatwe, trzeba było bardzo ciężko pracować. Ci co byli bogaci z biedniejszymi zbytnio się nie liczyli. Wspominała, jak pewnego razu wracała z lasu z kubeczkim jagód. Zobaczył ją i dogonił gajowy na koniu. Zabrał kubeczek. Jagody wysypał do piasku, a kubeczek wyrzucił.

Kłopoty i problemy dotyczące gospodarowania oraz odwiecznych codziennych trosk, a nawet narastającej groźby nowej wojny zanikały w mroku zbliżającego się wieczoru i ginęły w ciemnościach nocy. Spragniony miłości Antoni w piękną czerwcową noc 1939 roku, ponownie pragnął znaleźć się blisko ukochanej Julii, a szczęśliwa mama jednego dziecka z zachwytem wtulała się w ramiona swego męża. Kilka tygodni później, młoda mężatka nie miała wątpliwości. Powstało nowe życie, jeszcze ukryte, jeszcze niewidoczne dla obcych, a już istniejące.

Rodząca się nadzieja na powiększenie rodziny oraz nieustanne marzenia o poprawieniu warunków bytowych krzyżowały się z narastającym niepokojem, przeradzającym się w coraz większy lęk przed zbliżającym się zagrożeniem nowej wojny. O możliwości jej wybuchu mówiło się coraz częściej, z coraz większą trwogą. Spokojni mieszkańcy małej kresowej wioski z leśnej głuszy w żaden sposób nie mogli pojąć, dlaczego Niemcy, pokonani tak niedawno, odzyskali ponownie utraconą potęgę i coraz jawniej zagrażają sąsiednim państwom, a w pierwszej kolejności Polsce.

Wiść o niemieckiej napaści na Polskę i nowej wojnie dotarła na dalekie Kresy Wschodnie, a więc i do mieszkańców wsi, razem z rozkazem o powszechnej mobilizacji. Jednak tamto pokolenie, o pierwszych dniach wojny wspominało sporadycznie. Armia niemiecka w 1939 roku na nasze tereny nie wkroczyła, a więc ludność wsi i okolic nie miała jeszcze z nią żadnego kontaktu.

Do wsi docierały jedynie złowieszcze wieści, że ukochane Wojsko Polskie ponosi nieustanne klęski, a odważni ułani - „malowane dzieci” z szablami w dłoniach, nie są w stanie powstrzymać żołnierzy niemieckich chowających się w stalowych czołgach. Z ogłuszającym rykiem prą one nieustannie do przodu tratując zasiane pola, podpalając wiejskie chaty, obracając w gruzy nasze miasta. Z ust do ust przekazywano niewiarygodne wieści i rodziło się przekonanie, że Niemcy chyba z samym diabłem zawarli przymierze, bo żadna inna siła nie była w stanie unieść wysoko do góry coś, co nazwano samolotem. Do wsi co prawda dotarła wiadomość, że została wymyślona machina zwaną aeroplanem, która unosi się w powietrzu, lecz nie bardzo w to chcieli uwierzyć. Niemcy swoim aeroplanom nadali nazwę samoloty i z nich zrzucali bomby na polskie miasta i wsie.

Kilka lat po zakończeniu wojny samoloty lecące pod chmurami stały się zjawiskiem powszednim. Pomimo to na ich widok nasz dziadek nadal z niedowierzaniem wzruszał ramionami i nie ukrywał, iż w żaden sposób nie może pojąć, jak coś, co jest znacznie cięższe od powietrza, może się unieść do góry. Kilkakrotne próby wyjaśniania w jaki sposób samolot utrzymuje się w powietrzu, nie dawały efektu. Po raz ostatni dziadek wypowiedział się na ten temat, kiedy w promieniach gorącego, letniego słońca jechaliśmy na pole po zboże. Zmęczony koń ciągnął powoli pusty wóz, który kiwał się na nierównościach głębokich kolein lub nagle podskakiwał, w chwili gdy stalowa obręcz drewnianego koła nieoczekiwanie trafiała na większy kamień. Tej drobnej niedogodności nikt nie zauważał i żaden gospodarz nie zatrzymywał się, by go odrzucić na bok.

W pewnym momencie ciszę letniego dnia zakłócił głuchy, nasilający się warkot i na tle błękitnego nieba ukazała się sylwetka wielkiego samolotu. Z szeroko rozłożonymi skrzydłami nadlatywał od tyłu, zbliżał się coraz bardziej. Dziadek natychmiast ożywił się, kazał swemu zięciowi szybciej poganiać Deresza. Nie mógł pozwolić, aby ukochanego konia śmiał ktoś wyprzedzić. Niestety, z basowym hukiem ciężko pracujących silników samolot uparcie podążał do przodu i wkrótce majestatycznie sunął nad nami. Następnie zaczął oddalać się, a po chwili skrył się za lasem. Dziadka Deresz, najlepszy ogier w całej wsi, za samolotem nie nadążył.

Po chwili jeszcze raz usłyszeliśmy cichy głos dziadka. Tym razem jego słowa nie były skierowane do nikogo. Dziadek nie zapytał ponownie, jaką diabelską mocą utrzymuje się ciężki samolot w powietrzu. Jedynie ze smutkiem stwierdził, że nawet

jego koń za samolotem nie nadążył. Następnie, nie czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia, odwrócił się i pograżony we własne myśli skierował swój wzrok gdzieś daleko w przestrzeń.

Na wozie zapanowała cisza. Nikt nie śmiał naruszyć jej, a lekko przygarbiona sylwetka szczupłego staruszka siedzącego na samym tyle kiwała się wyuczonym rytmem, jak w latach młodości. Widocznie na swoje wątpliwości dziadek znalazł odpowiedź. Widocznie już wiedział, że nadeszły czasy odmienne od tych, do których należała jego młodość i całe dorosłe życie. Widocznie powracał ponownie myślami do tego, co minęło nieodwracalnie, bezpowrotnie.

11

Być może myśli dziadka cofały się dalej, poza ciemną noc 17 września 1939 roku, kiedy pobliską wschodnią granicę Państwa Polskiego przekroczyła nieoczekiwanie wielotysięczna Armia Czerwona, od kilku dni z niecierpliwością oczekująca na sygnał ataku. Przeogromna masa żołnierzy przetoczyła się przez Okińczyce i pobliskie Stołpce. Nikt im nie stawiał żadnego oporu. Jedyne bezradni staruszkowie przedwcześnie obudzeni i bezbronne kobiety żegnając się z przerażeniem oczekiwali na dalsze wyroki losu.

Również tego odcinka granicy, tak jak i całych wschodnich rubieży, nie było komu bronić. Wojsko, które stacjonowało w Stołpcach odmaszerowało na zachód, na obronę Warszawy. Nieliczne strażnice, o minimalnej obsadzie, nie mogły stawić oporu „znieackiej nawale”, podobnie jak pojedyncze, drobne krzaczki rosnące na stokach góry, nie mogą powstrzymać śnieżnej lawiny sunącej z jej szczytu.

Jakże często rodzice wspominali tamte dni grozy i rozpacz. Ojciec, którego opowieści nie sposób było przerwać, kolejny raz powtarzał, że tamte wojsko przedstawiało obraz największej biedy i nędzy. Żołnierze nie mieli obuwia. Czasami *sawiecki bajec* na prawej nodze miał but inny niż na lewej. Niektórzy szli w tradycyjnych rosyjskich *łapciach*, na wyrób których już w pierwszych miesiącach, po wkroczeniu na nasze tereny pozdzierali korę z najładniejszych lip, w pobliskich lasach.

Bajcy robotniczo - chłopskiej armii wyzwolającej ujarzmione narody odziani w zniszczone drelichy w niczym nie przypominali polskich żołnierzy. Dźwigając długie karabiny uwiązane na konopnych sznurkach, budzili zdziwienie mieszkańców przyzwyczajonych do widoków innego wojska. Z niedowierzaniem przyglądano się wychudzonym koniom sowieckiej kawalerii[2].

W naszej wsi na koniach znali się wszyscy od najmłodszych lat. Żaden gospodarz bez konia nie istniał. Koń na wsi był przedmiotem największej troski i dumy. Gospodarz dbał o niego może czasami bardziej niż o siebie. Będąc najbardziej zmęczonym po długim dniu ciężkiej pracy, nikt nie poszedł na obiad, zanim konia nie nakarmił, nie napił go. O tym jak się troszczyli o konie polscy ułani, mogą wypowiedzieć się jedynie ci, którzy w ułanach służyli. Ułański koń musiał błyszczeć zawsze i wszędzie.

Wychudzone konie *sawieckich kawalerzystów* stawały się przekonywującym dowodem, jak prawdziwe są niewiarygodne opowieści docierające do naszych okolic o

głodzie panującym w tamtym kraju. W Czerwonej Armii głodowały nie tylko konie. Niewyobrażalny głód z niej promieniował. Natychmiast po wkroczeniu do wsi *krasnoarmiejcy* rozeszli się po domach, domagając się od mieszkańców jedzenia. Do naszego mieszkania również wpadło kilku *bajcow*. Już od razu w sieniach, głośno zażądali: *dajcie pakuszat`!*[3]. W odpowiedzi padła krótka odpowiedź ojca, *a szto Wam dat`? Niczewo niet. Imiejem tolka kartoszku*[4].

Czerwonoarmiści na moment zaniemówili, następnie z ogromnym zdziwieniem i niekłamana radością przyjęli tak wspaniałą informację. Są kartofle. Szczyt radości i szczęścia! Czy może być coś lepszego? Prócz *kartoszki* nic więcej nie trzeba! O chleb nie prosili. Pamiętali doskonale, że chleb to nadmierny luksus. Wiedzieli, że o chlebie można marzyć jedynie z okazji jakiegoś większego święta, np. Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Zachwyceni żołnierze zażądali, aby natychmiast przystąpiono do gotowania kartofli, aby ugotowano ich więcej, by wystarczyło wszystkim, również gospodarzom. Rozpromienione radością twarze i szczęśliwe oczy były najlepszym dowodem, iż wkrótce nastąpi wspaniała uczta, chociaż wszyscy jeszcze stali w sieni, a mama dopiero sięgała po wiklinowy koszyk. Następnie wyjęła z niego ładne, czerwone warzywo i położyła na ławie. Natychmiast sięgnęła po nie zniecierpliwiona ręka najbardziej wygłodzonego wojaka *raboczo-krestian`skoj*[5] armii, niosącej „dobrobyt i szczęście”. W następnym momencie, łączywie zaspokajał głód, przystępując do jedzenia surowego buraka.

Swego zdziwienia i przerażenia mama nigdy nie potrafiła przekazać słowami. Odczytać go można było jedynie ze zmieniającej się twarzy, która w tym czasie stawała się coraz bardziej blada. Takiego głodu nigdy nie widziała, takiej zachłanności nie potrafiła sobie wyobrazić.

Całkowicie odmienne żądania stawiali żołnierze niemieccy, kiedy wchodzili po żywność. Dla tych *kartoszczka* nie istniała. Mówili: „Matka ... mleka! Matka... jajka! Matka... ser!” Wtedy również wesoło nie było. Na swoje potrzeby jajek nie odkładano, a dla Niemców zaczynało brakować. Wydajność kur miała swoje granice. W warunkach, kiedy jedni żołnierze opuszczali podwórko, a w krótkim czasie przychodzili następni i domagali się tego samego, kury nie nadążały „ze swoją produkcją”. Mama wspominała, że pewnego dnia nie mogła już znaleźć żadnego jajka, a Niemiec zaczął zdejmować karabin z ramienia stwierdzając, że zastrzeli, jeżeli nie otrzyma jajka. Na szczęście, gdzieś głęboko w szufladzie kredensu, jeszcze jedno znalazło się. Może ono ocaliło życie.

Trzech braci mamy, w momencie wybuchu wojny, służyło w wojsku polskim. Najstarszy, Aleksander, gdzieś w pobliżu Prus Wschodnich, nieco młodszy Witek w rejonie Warszawy, a najmłodszy Włodek - odwrócony plecami do wschodu podążał ze swoją jednostką na zachód, prawdopodobnie w kierunku Warszawy. Nieoczekiwany atak Armii Czerwonej, właśnie ze wschodu, najpierw wywołał zdziwienie, a następnie doprowadził do złożenia broni przez żołnierzy spieszących do walki z Niemcami.

Nasi dziadkowie nie mieli żadnej informacji o losach swych synów. Domyślali się, że dwaj starsi są gdzieś w głębi kraju wśród tych, którzy próbują bronić niepodległości Ojczyzny i walczą z niemieckim najeźdźcą. Obawiali się, że lawina

Armii Czerwonej mogła dogonić najmłodszego. Obawy rosły w miarę, jak dowiadywali się, że przez Stołpcę, w głąb Rosji, coraz częściej idą transporty z polskimi żołnierzami wziętymi do sowieckiej niewoli. O najgorszym myśleć nie chcieli. Ciągłe oczekiwali na jakąkolwiek wiadomość, przynajmniej od tego jednego syna, żołnierza pokonanej Polskiej Armii, który nie zdążył podjąć prawdziwej walki.

Wujek nie wracał do domu ani w mundurze, ani w przebraniu cywilnym. Nie wiem, czy po bitwie czy nie, lecz wraz ze swoimi kolegami trafił do sowieckiej niewoli. Marzenia i nadzieje bezbronnego żołnierza o możliwości zwolnienia po rozbrojeniu rozwiały się, gdy otoczeni czerwonoarmistami znaleźli się na pobliskiej stacji. Serca przepełniły się trwogą, jak tylko spostrzegli, że zbliżają się do długiego składu towarowych wagonów. Transport z sapiącą lokomotywą doczepioną po stronie wschodniej czekał. Drzwi wagonów szeroko rozsunięte zapraszały do pustego, wrogiego wnętrza.

Jak tylko ostatni polski żołnierz podciągnięty za rękę przez kolegów, uniósł się do góry i znalazł się w drewnianym pudle, natychmiast usłyszał za sobą piszczący zgrzyt żelaza zakończony krótkim, głuchym uderzeniem. Czerwonoarmiści zasunęli ciężkie drzwi za bezbronnymi Polakami. Jeszcze dla pełnego bezpieczeństwa czyjaś mocna dłoń ujęła pośpiesznie wolny koniec grubego zaczepu i wykonała nim krótki, zdecydowany półobrót. Po chwili gruby żelazny hak wszedł precyzyjnie do ciasnego otworu. *Krasnoarmiejec* odetchnął z ulgą. Robota skończona. Polacy na wolność nie wyjdą. Żadną siłą nikt od wewnątrz drzwi nie otworzy.

Transport nie stał długo. Krótka trwała cisza naruszana czyjąś przytłumioną modlitwą. Wkrótce nastąpiło szarpnięcie i poprzez wysuszone deski podłogi do uszu łąjących każdy dźwięk dolatujący z zewnątrz, dotarł monotony huk stalowych kół toczących się po gładkich szynach, przerywany krótkimi stuknięciami na stykach. Koła toczyły się coraz szybciej, coraz częściej uderzały o nierówności styków, a przepełnione wagony obojętnie kołysały się, zmierzając w kierunku wschodnim.

Przez zakratowane, lecz otwarte okienko swego wagonu wujek widział nazwy kolejno mijanych stacji. Wkrótce nie miał wątpliwości. Pociąg zbliżał się do Stołpiec, rodzinnego miasteczka i stacji, na której miał wielu kolegów i znajomych. Oni nadal pozostawali na wolności. Może któryś mógłby pomóc w zorganizowaniu ucieczki. Z niecierpliwością marzył, aby ujrzeć chociaż jednego, krzyknąć do niego, poinformować, że trafił do niewoli i jest więziony tam, skąd prawdopodobnie nigdy nie wróci. Stołpcę stwarzały ostatnią szansę. Dalej kończyły się polskie tereny, ginęła nadzieja na jakąkolwiek pomoc.

Rodziców nie chciał zasmucać, nie chciał, aby dowiedzieli się o tragedii. Wiadomość o uwięzieniu syna stałaby się dla nich najstraszniejszym ciosem. Jednocześnie tak bardzo pragnął ujrzeć ich jeszcze raz, na tę krótką chwilę bolesnego pożegnania oraz ostatecznego rozstania.

Chęć ujżenia najbliższych nieustannie rozrastała się i wreszcie wszystko inne przestało istnieć. Wujek pragnął, coraz bardziej, aby w jakiś sposób powiadomić rodzinę, aby najbliżsi, chociaż na krótką chwilę, znaleźli się obok transportu. Pragnął po raz ostatni ujrzeć ojca, mamę i siostrę. Wiedział, że dwaj bracia są gdzieś w głębi kraju i może jeszcze walczą z Niemcami. On, pozbawiony wolności, zamknięty w

ciasnym wagonie, mógł jedynie liczyć na litość zwycięzców. Pragnął teraz, po raz ostatni, zatrzymać wzrok na bliskich rysach twarzy ojca i matki, a w momencie, gdy transport ruszy, wysunąć otwartą dłoń przez kolczaste druty zakratowanego okienka i przesłać pożegnalny gest rozpaczy.

Pociąg sunął z górki. Dudniły koła po „żelaznym” moście ponad Niemnem. Za rzeką Stołpce. Jeszcze jakiś kilometr, może dwa - i stacja. Pociąg wyraźnie zwalniał. Koła toczyły się wolniej. Wujek przypadł twarzą do kolczastych drutów w okienku, odgradzających go od wolności, starał się wypatrzeć kogoś znajomego. Czy się uda? Czy ktoś zauważy wołającego, a tym bardziej rozpozna? Udało się. Spostrzegł ciemny mundur polskiego kolejarza, który wolnym, zmęczonym krokiem szedł wzdłuż torów. Sylwetka wydała się znajoma. Natychmiast, nie zwlekając ani chwili, zaczął głośno krzyczeć.

Pociąg zwalniał, lecz jeszcze sunął do przodu i za chwilę mogła minąć ostatnia szansa przekazania kilku słów do najbliższej rodziny. Wreszcie udało się. Niby przebudzony z letargu, kolejarz wolno odwrócił się, podniósł spuszczone głowę, skierował smutne oczy na długi skład towarowego pociągu. Wnętrze wagonów przed wzrokiem osób postronnych zasłaniały szczelnie zasunięte, szerokie drzwi. Zakratowane kolczastym drutem wąskie okienka pod samym dachem potwierdzały, że kolejny transport przepełniony polskimi żołnierzami wkrótce odjedzie gdzieś daleko na wschód.

Takie szczęście trafia się raz w życiu. Torowiskiem faktycznie szedł znajomy. Wujek ponownie zawołał głośno i po chwili ich spojrzenia spotkały się. Teraz szybko, podnieconym głosem zaczął prosić tamtego, aby powiadomił rodziców w Okińczycach, że jest w transporcie, w sowieckiej niewoli. Czyżby uwierzył, że staruszkowie są w stanie mu pomóc?

Okińczyce nie są daleko, jedynie trzy kilometry, lecz nie w tej sytuacji. Nikt nie mógł wiedzieć, jak długo transport postoi, czy za moment nie ruszy w dalszą drogę? Może jednak jeszcze nie odjedzie? Może jest to ostatnia, niepowtarzalna szansa? Kolejarz, który dotychczas poruszał się wolno, w jednej chwili przeobraził się w młodego mężczyznę buchającego energią i natychmiast, nie czekając na jakiegokolwiek dodatkowe wyjaśnienia wyruszył gwałtownie w kierunku dobrze znanej wsi, położonej za pobliskim lasem. Może zapomniał, a może nie przejął się faktem porzucenia pracy w warunkach wojennych. Młode nogi niosły lekko. Odległość do celu szybko malała. Nie czuł zmęczenia wiedząc, że może czyni ostatnią przysługę temu, którego najprawdopodobniej więcej nigdy nie ujrzy.

Zdyszany przybiegł do domu naszego dziadka i przekazał złowieszczą wiadomość. Za moment o pierwszym akcie rodzinnej tragedii wiedziała i mama. W starszej, siwiejącej głowie ojca i młodym umyśle siostry zrodziły się, zakłębiły i przeleciały te same, myśli. Muszą tam być. Muszą jak najszybciej znaleźć się na stacji. Muszą ratować syna i brata. Transport na pewno stoi...! Na pewno nie odjechał!.. A jeżeli...?

Nie!!!.. Muszą wierzyć, że pociąg stoi. Nie ma zgody na złe myśli i słowa mogące spowodować nieodwracalne skutki. Dziadek od najmłodszych lat wiedział, że nie wolno tracić nadziei. Nie miał wątpliwości, że nawet w najgorszych momentach wiara pomaga zwyciężyć. Ojciec z nieustępliwym uporem ostrzegał, aby złych następstw nie wywoływać złymi słowami. Jeżeli czasami musiał opowiedzieć o jakimś przykrym wydarzeniu, chorobie, która dotknęła kogoś lub jakimś nieszczęśliwym wypadku, to obowiązkowo wtrącał słowa „...nie przy nas mówiąc...”. Nigdy nie pokazywał na sobie zakreślenia lub uszkodzeń ciała osoby, o której opowiadał i nie pozwalał nam na czynienie takich gestów. Zawsze kategorycznie stwierdzał „...na sobie nie pokazuj...”.

Może dzięki tym zasadom ojciec przeżył prawie sto lat, nigdy przy tym poważnie nie chorował i zachował sprawny umysł do ostatnich dni. Jeżeli wspomniane zasady, chociaż w minimalnym stopniu powstrzymywały przykre wydarzenia i nieszczęścia oraz pomogły uratować wujka z sowieckiej niewoli, to tym lepiej dla zasad. Może dawne przekonania dziadków zechcą przyjąć do stosowania pokolenia wnuków i prawnuków, jako rodzinną tradycję? Przecież to nic nie kosztuje!

Dziadek i mama natychmiast wyruszyli w drogę, a razem z nimi ... niepokój i strach... rozpacz i nadzieja . Chcieli wierzyć, że nie usłyszą ciężkiego sapania, nie ujrzą kłębów białej pary na początku długiego zestawu wielkich wagonów. Jak bardzo pragnęli zastać pociąg na stacji, jak się modlili by czarna, złowieszczą lokomotywa nie ruszyła przed czasem w kierunku ciemnego lasu na wschodzie. Wiedzieli doskonale, że spoza tamtego lasu powrotu nie będzie. O tym nie myśleli. Umysł przepełniało gorące błaganie do Stwórcy o łaskę wybaczenia za popełnione grzechy, o pomoc i ratunek. Pociągi miały pozostać na stacji, a szczególnie ten z żołnierzami armii kraju, który ponownie walił się w gruzy, przestawał istnieć.

Wspominając tamten wyścig z czasem, mama nie potrafiła powiedzieć, czy była świadoma faktu, że nawet gdyby dobiegli na stację zanim pociąg wyruszył, to i tak szanse wyrwania wujka z niewoli prawie nie mieli. Polskiego żołnierza na wolność z sowieckich rąk wydostać nie mogli. Bali się widoku ostatnich wagonów oddalających się i ginących za najbliższym zakrętem. Bali się chwili pożegnania i tego krzyku rozpaczki, kiedy strumienie gorzkich łez przesłonią ginącą w oddali bliską twarz syna i brata.

Z nikłą szansą i ogromną wolą uratowania syna, zawzięcie i uparcie podążał nasz dziadek przez wieś w kierunku północnego lasu. Dalej, za nim widniały Stołpce. Piaszczystą ścieżką, nieco z tyłu biegła zdyszana córka. Również myślami już była na stacji. Tam wszystkie tory zajęły długie zestawy ciężkich wagonów. Po stronie wschodniej groźnie sapały czarne lokomotywy, gotowe do dalekiej drogi.

Przed dziadkiem i mamą również ciągnęła się droga, długa i piaszczysta. Samotni, bezradni jak nigdy przedtem pragnęli ją skrócić. Wiedzieli, że młody żołnierz wciąż czeka. Tak nie dawno wesoły, szczęśliwy. Smutne spojrzenie błękitnych oczu poprzez kolczaste druty kierował teraz na szeroką zieleń dzikiej łąki i daleki las.

Rodzinna wieś chowała się za nim. Pragnął znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie, co będzie dalej? Czy wróci tu jeszcze? Czy ujrzy kiedyś najmilsze miasto, drewniane chaty? Milczący koledzy tak samo bezradni jak wtedy, kiedy składali broń wbrew słowom żołnierskiej przysięgi, już nie wierzyli w żaden ratunek. Wciąż nie mogli zrozumieć przyczyn totalnej klęski. Jak się to stało? Doskonale wyszkoleni, dobrze przygotowani do walki nie potrafili obronić ojczyzny. Złożyli broń bez większych walk. Za grubymi deskami wagonu już jej nie pomogą. Utracili nadzieję, że ktoś ich uratuje. Tylko jeden żołnierz czekał jeszcze na jakiś cud i marzył nieśmiało, że staruszek ojciec wybawi z rąk, które na razie pozbawiły jedynie wolności.

Mama biegów nie trenowała nigdy, a teraz wysilała się ponad wszelkie granice, tak jak by nie wiedziała, że jest już trzy miesiące w ciąży i własnego organizmu nie powinna obciążać nadmiernie, nie powinna denerwować się. Może o tym zapomniała, może nie potrafiła myśleć o niczym podążając na spotkanie z nikłą nadzieją pomocy, a być może na spotkanie z... rozstaniem.

Dziadka młodość została gdzieś z tyłu. Czasami opowiadał, że kiedyś w latach młodości, z Okińczyc do Stołpiec potrafił biegać bez żadnego zatrzymania i zmęczenia, dla rozrywki. Opowiadał o tym, kiedy przyszedł ponownie, jak zwykle stęskniony za widokiem wnuków, których nie widział od wczoraj. Siedział na niskiej ławeczce w półcieniu wysokiego, drewnianego płotu. Przymrużone oczy nieustannie podążały za nami popisującymi się w promieniach letniego słońca. Z twarzy nie schodził uśmiech, a myśli prawdopodobnie wracały do dalekiego dzieciństwa. Może z tego powodu w pewnym momencie, nadal uśmiechając się, zapytał, czy potrafimy wykonać ćwiczenie, które młodzi chłopcy wykonywali w dawnych czasach.

Byłem pewny, że ćwiczenie dziadka wykonam bez żadnych problemów. Uważałem się za silnego i zwinnego. Wykonując jego zalecenia, wziąłem do rąk drewniany kij długości około metra. Ująłem go, tak jak pokazał dziadek, prawą ręką nachwytem, tj. z góry, a lewą odwrotnie. Prawa ręka musiała znaleźć się jak najbliżej końca kija. Odległość lewej ręki od końca była obojętna. Następnie należało pochylić się do przodu i oprzeć prawy koniec kija o ziemię. Teraz usłyszałem coś, co w pierwszej chwili wydało się nierealne. Dziadek kazał pochylić głowę jeszcze niżej i włożyć ją z prawej strony pod prawą rękę, a następnie wywinąć się tak, by wyjść z drugiej strony kija, między własną ręką, kijem i ziemią mając za punkty oparcia jedynie stopy i ręce na kiju.

Zaskoczony wymaganiami dziadka stwierdziłem, że tego wykonać się nie da. Dziadek uśmiechnął się i odpowiedział, że będąc w naszym wieku wypasając krowy na łąkach wykonywał to ćwiczenie bez większego wysiłku. Po wielokrotnych, nieudanych próbach, ku radości ciągle uśmiechającego się dziadka, wreszcie jego ćwiczenie wykonałem.

Może tamto zadanie, wymagające nie tylko zręczności i siły wzmocniło charakter dziadka, nauczyło uporę. Z zawziętością, nieustępliwie, nie zważając na

zmęczenie, mozolnie i uparcie podążał w kierunku Stołpiec, w kierunku stacji kolejowej, która znajdowała się ciągle daleko, bardzo daleko... Znacznie młodsza mama za nim ledwo nadążała. Mocno waliły serca. Płuca spragnione tlenu domagały się wciąż nowych porcji powietrza i rozpaczliwie rozszerzały się w coraz ciaśniejszej klatce piersiowej, która gwałtownie falowała i unosiła się coraz wyżej.

Przerażeni przytłaczającą rzeczywistością, nie reagując na przemęczenie ponaglali się do większego wysiłku:

- jeszcze kilka kroków...
- jeszcze do następnego drzewa...
- jeszcze tylko do tamtego zakrętu... wytrzymajmy... nie zwalniamy...

Sił coraz mniej. Twarze złane potem. Nogi miękkie. W głowie szum pulsującej krwi, a przed oczyma kolorowe kręgi. Cel jednak coraz bliżej i wreszcie przed nimi stacja. Tyle tych torów. Wszystkie zajęte. Wszędzie ogromne wagony. Większość pojedzie na wschód. Prześwity pod wagonami takie niskie... Czy przejść tamtędy można? Pochylają się do szyn... obok stalowych kół. Idą dalej... szukają. On jest tu gdzieś ... Na pewno czeka... Nie mógł odjechać!

Znowu przed oczyma kolejny szereg wielkich pudeł, ustawionych na stalowych kołach. Szerokie drzwi wagonów szczelnie zasunięte. Otwarte jedynie wąskie okienka, wysoko pod dachem. Tamtędy dopływa powietrze. W okienkach brudne twarze i smutne oczy młodych żołnierzy pozbawionych wolności, oczekujących na dalsze wyroki losu i decyzje zwycięzców, z którymi może nawet nie podjęli walki. Wzdłuż transportu leniwie spacerujący żołnierze w szpiczastych czapkach z dużymi czerwonymi gwiazdami. Ponad ich głowami na długich karabinach wysoko sterczą czworokątne bagnety.

Z jednego wagonu, przez zakratowane okienko wysunęła się zniecierpliwiona dłoń. Rozległo się przytłumione wołanie. Za kratami z kolczastego drutu - smutna twarz. Dla tego żołnierza czas oczekiwania na spotkanie zamienił się w oczekiwanie na moment odjazdu. Doczekał się, widzi ojca i siostrę. Jednak pomocy mu żadnej udzielić nie mogą. Za moment pociąg ruszy i basowy huk stalowych szyn zostanie przytłumiony rozpaczliwym krzykiem pożegnania.

Okropne myśli potwierdza wartownik - mały, młody czerwonoarmista lekko przechylony na bok pod ciężarem karabinu z długim szpiczastym bagnetem. Karabin ukośnie zwisa z wątego ramienia, a jego właściciel wolnym, zmęczonym krokiem porusza się wzdłuż wagonów. W młodej głowie zaskoczony widokiem kraju, który miał wyzwalać z kapitalistycznej biedy, całkowita pustka. Nie ma próby zrozumienia wydarzeń, których jest uczestnikiem. Nie zastanawia się, dlaczego tamci żołnierze w innych mundurach, pomimo że złożyli broń bez żadnej walki, znaleźli się w zamkniętych wagonach i zostali zaliczeni do wrogów.

Czerwonoarmista ożywia się na widok przerażonej, ciężko oddychającej kobiety i starszego szczupłego mężczyzny w wieku jego ojca, zbliżających się przyspieszonym

stanowczym krokiem. Przypomni sobie, e stoi na warcie. Odzya w nim czujnoc proletariacka, o ktorej tak duo mowili przeozeni. onierz nakazuje dziadkowi i mamie zatrzymac sie, odejc od transportu.

Na dziadka ta proba - polecenie nie robi adnego wraenia. Przybieg na stacje, znalaz transport i wagon, nie po to, by poegnac sie z synem, a po to, by go wydostac z sowieckiej niewoli. Widzi syna i nie zamierza wracac do domu bez niego. Tu, teraz ostatnia szansa. Transport ruszy, odwrotu nie bedzie. Nie! Transport ruszy, a syn zostanie! Syn musi zostac!

Dziadek nie mia wyksztacenia, sylaby z trudem w sowa skada. *Krasnoarmiejec*, byc moe, rownie *czyta nie umie* [6]. Dziadek mia goe rece, adnej broni przy sobie. Tamten - *wintowku, patrony i sztyk* [7]. Dziadkiem kierowao mioc ojcowska. Drogowskazem tamtego - *prikaz kamandira* [8].

Majac twardy i uparty charakter, dziadek atwo nie rezygnowa. Zacz sta stanowczo i usilnie proic moego onierza, *nieprzekupnej* Armii Czerwonej, aby wypuci jego syna na wolnoc. Twierdzi, e w domu jest duo roboty, e sam jest stary i nie moe ze wszystkim poradzic. Twierdzi: *Zaczem Wam moj synok? Pustitie jewo*[9]. onierz - wartownik zacz dyskutowac, próbowa odmawiac, próbowa tumaczyc, e nie wolno mu nikogo wypuszczac, e ten *synok* to na pewno oficer, a oficerowie sa wrogami narodu.

To by dobry znak! onierz zacz rozmawiac! onierz? Jaki to onierz? Taki sam mody chopec, jak w kadej armii. Przymusowo *wcielony* i pod grob rozstrzelania zmuszony do posluszestwa. Dziadek ze zdwojon energij przystpi do ataku, nalega mocniej, tumaczy, wyjania, e syn to aden oficer, e szeregowiec, e do wojska musia ic, bo tak jest w kadym kraju, e nikt mody i zdrowy nie moe odmowic suby w wojsku, e syn jest bardzo potrzebny w domu i naley go wypucic.

Mody onierz Armii Czerwonej nie wytrzyma zmasowanego ataku znacznie starszego czowieka. Przytoczony potokiem sow, sucha w milczeniu i wreszcie, zrezygnowany odrzek: - *Katoryj eta twój synok?... Bieri ty jewo, da udiraj paskariej!*[10]

Potem rozejrza sie wzdu transportu, przy ktorym w pewnych odlegociach koysay sie powolnie sylwetki podobnych wartowników. Przejty pierwsz samodzieln decyzj szybko odsun cikie drzwi i wypuci wujka w momencie, kiedy inni wartownicy odwroceni plecami leniwie oddalali sie.

W nastepnym uamku sekundy, caa trojka przykucna pod wagonem. Chwil poniej, gdy pozostali wartownicy odwrocili sie ponownie plecami, uciekinierzy jeszcze nie rozumiejcy swego szczecia przeskoczyli pod wagony na sasiednim torze. Ponowny przeskok pod wagony i dalej, pod nastepne, a chwil poniej, za torami, szaleczy bieg. Teraz we trojke ponad kilometrow woln przestrzeni wród lekko wiedzanej, wysokiej trawy. Pomimo strachu i przemeczenia doskonale zdawali sobie spraw, e zagroenie nie mino. Na rownej, paskiej acie kady obserwator ze strony stacji i torw mog ich z atwoci zauwayc. Byli widoczni, niby na doni.

Patrzyli do przodu i gnali w kierunku zbawczego lasu. Nie oglądali się. Bali się, aby takim spojrzeniem i chwilą zwątpienia nie wywołać pogoni. Tak nieoczekiwanie, tak niespodziewanie wyrwali z sowieckich rąk młodego, polskiego żołnierza. Byli razem. Wzajemnie dodawali sobie otuchy i woli walki. Zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa. Brakowało powietrza. Serce waliło, a w głowie ciągle pulsowała ta sama myśl ...czy zdążymy?... Czy to prawda, że się udało? Czy nie będzie pogoni?

Daleki las nieustannie zbliżał się. Wreszcie znaleźli się pod pierwszymi sosnami. Teraz na moment popatrzyli do tyłu. Za nimi wolna przestrzeń. Nikt nie gonił. Nie zmienił swojej decyzji żołnierz, który wujka wypuścił. Nie zauważył ucieczki żaden inny *krasnoarmiejec*, gorliwiej wykonujący obowiązek służby w armii, *niosącej szczęście narodom własnego państwa i internacjonalistyczną pomoc uciemżonym biedakom z krajów sąsiednich*. Nikt ich nie spostrzegł, gdy biegli otwartą przestrzenią, do zbawczego lasu. Stał się cud. Wujek został uratowany.

Co było później, kiedy sprawdzono ilość polskich żołnierzy w wagonie i stwierdzono, że jednego brakuje? Chce się wierzyć, że tamten nieznany, młodziutki czerwonoarmista za karę nie znalazł się w tym samym wagonie, nie zajął miejsce wujka i nie podzielił losu pozostałych polskich żołnierzy. Za wspaniały uczynek los dla niego może się okazał łaskawy.

12

Pod panowaniem nowej władzy, mijały kolejne dni i tygodnie. Z całą surowością i bezwzględnością wprowadzała ona nowe porządki. Na każdym kroku, w każdym mieszkańcu chciała widzieć i widziała wroga, a z *wrogami* potrafiła walczyć. Nauczyli się tego we własnym kraju, gdzie miliony niepokornych lub inaczej myślących znalazły się na dalekiej północy i w Syberii, skąd ucieczki nie było.

W lutym 1940 roku NKWD (*Narodnyj Komissariat Wnutrennich Dieł* [11]) przystąpiło z pełnym rozmachem do realizacji swoich zadań. Już w Polsce dowiedziałem się, że ten skrót Rosjanie rozszyfrowywali inaczej - *Neznajesz Kagda Wiernioszsia Damoj* [12]. Jakże trafniej i prawdziwiej określał on przyszłość osób, których ominęło szczęście, a przewrotne wyroki losu zetknęły z bezwzględnymi funkcjonariuszami tej stalinowskiej organizacji.

NKWD dysponowało pełnią władzy i decydowało o życiu oraz śmierci każdego mieszkańca. Zapadały wyroki bez udowadniania winy, nie dające szans na obronę. Funkcję adwokata zlikwidowano. Ta *parodia obrony* z okresu systemu kapitalistycznego, nie była potrzebna w przypadku sądów radzieckich. Może najtrafniejszą opinię o możliwościach NKWD przedstawia wypowiedź jednego z bohaterów radzieckiego filmu powstałego już po zniesieniu cenzury - NKWD potrafi znaleźć czarnego kota w ciemnym pokoju, również wtedy, gdy go tam nie ma.

Zima 1940 roku była wyjątkowo mroźna. Temperatura spadała do 40° poniżej zera. Rodzice opowiadali, że najstarsi mieszkańcy takich mrozów nie pamiętali. Mówili, że mrozy przyszły razem z sowietami. W takich warunkach NKWD wywoziło w towarowych wagonach na daleką północ i Syberię Polaków, uznanych za wrogich i nieprzychylnych dla władzy radzieckiej. Z mieszkań zabierali zawsze w nocy.

Zbliżał się wieczór 10 lutego 1940 roku. Wielka słoneczna tarcza nisko płynęła po bezchmurnym błękitnie nieba i prawie stykała się z białymi wierzchołkami najwyższych świerków pobliskiego lasu. Jej jaskrawe promienie na próżno starały się ogrzać przesiąknięte mrozem powietrze oraz zmrożoną ziemię przykrytą grubą warstwą zsiadłego śniegu. Nieruchomo i spokojnie stały bezlistne drzewka wisien i jabłoni. Coraz piękniej stroił je mróz, systematycznie pogrubiając warstwę puszystego szronu, osiadającego nieskazitelną bielą na grubych konarach i cienkich gałązkach.

Biały śnieg zalegał również w postaci puszystej warstwy na szarych dachach wiejskich chat i wesoło lśnił w lodowatych promieniach zimowego słońca. Nad dachami sterczały prostokąty chudych kominów powapnowanych na biało w okresie zielonego lata. Nad nimi unosiły się szare, ciepłe dymy podobne do wysokich, nieruchomych słupów. Potem rozrzedzały się na tle czystego nieba i dopiero gdzieś wysoko wychylały się w kierunku południowym. Kolejne zastępy chłodu napływające z dalekiej północy spychały je w tamtym kierunku.

Zapowiadała się spokojna noc z mrozem od którego popękają w nocy z głośnym trzaskiem kolejne drzewa, a rano będzie zapierało oddech. Tuż przed zmierzchem, kiedy oddziaływanie mrozu wyraźnie się nasila, z poszczególnych podwórek dochodziło głośne skrzypienie śniegu. Gospodarze kończyli wieczorny obrządek, zamykali obory, wnosili duże naręcza drzewa do domów. Czasami pisk nie posmarowanego kołowrota informował, że ktoś zapobiegliwy wyciągał ze studni dodatkowe wiadro wody. Widocznie obawiał się, że mróz sięgając daleko w głąb, mógł do rana jedyne jej źródło przykryć grubszą warstwą lodu. (Nasza studnia była na tyle głęboka, że mróz nigdy do wody nie sięgał, ale pamiętam takie zimy, kiedy kręgi pokrywały się grubą warstwą lodu i pozostawał zaledwie prześwit na to, by mogło przejść wiadro.)

Cisza i spokój przepelniały pustą, wiejską ulicę. Nie widziało się tam żadnego mieszkańca. Nie było nikogo obcego. Na wieś sływała mroźna, cicha noc, taka, jakich będzie jeszcze wiele, zanim powiew cieplejszego wiatru z innego kierunku i mocniej przygrzewające słońce nie odmieni zimy na wiosnę. Jednak na razie nic nie wskazywało na to by mrozy zelzały. Następny dzień po długiej nocy miał być podobny do poprzedniego. Nic też nie zapowiadało żadnych przykrych zdarzeń, a tym bardziej tragedii i łez w jakiegokolwiek rodzinie.

Ojciec, jak zwykle przed snem, wyszedł na podwórko. Wracając, przyniósł jeszcze jedno wiadro wody. Po powrocie kolejny raz stwierdził, że jest coraz zimniej. Następnie wyszedł ponownie i wrócił z termometrem, próbując w świetle naftowej lampy szybko odczytać jego wskazania. Pośpiech nie był konieczny. Cała zawartość kolorowego płynu schowała się do zbiorniczka, grubo poniżej najniższej zaznaczonej temperatury, minus 30°. Między tą kreską, a zbiorniczkiem pozostała pusta szklana rurka o długości, odpowiadającej następnym 10 stopniom. Jeżeli szyby okienne cały dzień są zamrożone, a nawet lekko wilgotna ręka nie chce odkleić się od klamki, to wiadomo, że zima nie żartuje.

Na podwórku kompletna cisza i spokój. Nie ma żadnego wiatru. W niektórych domach pogaszone światła. Na bezchmurnym niebie bladym chłodem migocą dalekie

gwiazdy. Blask ich maleje w pobliżu ogromnej tarczy księżycy, z którego spływa martwe, zimne światło na białe pola i spokojne wiejskie chaty.

Takiego mrozu drzewka owocowe na pewno nie przetrzymają. Trudno. Posadzi się jeszcze raz. Może więcej podobnej zimy nie będzie. Zanim dzieci podrosną, będą swoje owoce. Wiosna się zbliża. Opału jest pod dostatkiem, a w mieszkaniu ciepło, pomimo coraz większej białej zmarzliny pojawiającej się w dolnym rogu, na drzwiach wejściowych [13]. Krowom też nic nie będzie. Chlew jest ciepły. Siana dużo, wystarczy do wiosny.

Rodzina przygotowuje się do nocnego wypoczynku. Jeszcze tylko ostatnie, ciche spojrzenie na malutkiego synka, spokojnie uśmiechającego się przez sen i zgaszenie światła. Pościel początkowo zimna i nieprzytulna, stopniowo ogrzewa się i przyjemnie otula, zapowiadając spokojny sen niepostrzeżenie spływający wraz z wielką ciszą gwiazdnej nocy.

Najpiękniejsze, błogie marzenia senne gwałtownie przerywa głośny, przerażający łomot. Łomot rozlega się ponownie, przywracając do rzeczywistości, trwogą przepelniając umysł i serca. Obudzeni zniemacka nie wiedzą, co się dzieje. Zanim zdążyli się porozumieć, kolejny raz usłyszeli łomot wysuszonych, zmrożonych drzwi do sieni. Wydało się, że pod czyimiś strasznymi uderzeniami za moment drzwi się rozpadną. Tak nikt, nigdy do mieszkania się nie dobijał. Do głowy wpada pierwsza przerażająca myśl - chyba gdzieś się pali?! Straszne nieszczęście spadło na kogoś. Czy to nie u nas? Niebывały mróz i jeszcze ogień! Szybkie, zdenerwowane spojrzenie na zamrożone okno. Odblasku łuny informującej o szalejącym ogniu od strony własnego podwórka nie widać.

W następnym momencie ojciec w białźnie wyskoczył do sieni. Natychmiast poczuł przeraźliwy chłód i zanim zdążył zapytać się „kto tam?“, usłyszał ponowny łomot. Odgłos wibrujących desek zwielokrotnił siłę potężnych uderzeń. Po sekundzie ciszy rozległo się głośne polecenie. Dwa słowa. *Atwieraj - ... - NKWD!*

Potężne dmuchnięcie straszego chłodu niby igłami przeszło rozgrzane ciało. Po krótkich wstrząsających dreszczach, gwałtowna fala gorąca. Szum krwi. Łomot serca. Drzwi otwarte na oścież. Na progu NKWD.

Jedynie funkcjonariusze tej organizacji mogli zastosować takie łomotanie w drzwi. To nie za klamkę potrzasała zdenerwowana ręka sąsiada oczekującego pomocy. To nie pięść waliła w drewniane deski. Funkcjonariusze NKWD takich metod nie znają. W rękach trzymają karabiny. Karabin zakończony drewnianą kolbą z żelaznym okuciem sprawdza się doskonale nie tylko na froncie. Mocne uderzenia w zamknięte drzwi spokojnego domu zmuszą do przerwania każdego snu, nawet w środku nocy. Gdyby ktoś nie obudził lub próbował udawać, że nic nie słyszy, to i tak za chwilę miałby przy swoim posłaniu nieproszonych gości. Po kilku kolejnych uderzeniach drewniane drzwi chroniące dostęp obcych do śpiącej rodziny zostałyby roztrzaskane.

NKWD! Te słowa przyprawiają o dreszcze. Ta oszałamiająca informacja jest straszniejsza niż pierwsza przerażająca myśl o pożarze. Wiadomo, czym jest pożar, ale z pożarem można walczyć. Gdyby powstał gdzieś we wsi pożar, to po momentalnym ubraniu się należało złapać wiadro lub bosak i biec z pozostałymi mężczyznami do

miejsca, gdzie szaleje ogień, gdzie czerwone płomienie pożerają starą słomę na dachu i zaczynają lizać drewniane suche, ściany. Do walki z ogniem zbiegłaby się cała wieś. Nikt by nie został samotny. Wspólnymi siłami gasiliby ogień, ratowali co się da. Nieszczęśnikom, których dotknęła tragedia, pomagałby każdy. Nikt by nie był pozostawiony własnemu losowi.

Niestety, nie było pożaru! Do mieszkania wtargnęło NKWD! Przed funkcjonariuszami tej organizacji ratunek nie istnieje. Z NKWD nikt nie wygra. Tu na pomoc nikt nie przybiegnie, nikt nie pomoże. Cała wieś spokojnie śpi. Nawet gdyby ktoś się obudził, to i tak pozostanie we własnym mieszkaniu i będzie z niepokojem wsłuchiwał się, czy nie zaskrzypi zmrożony śnieg pod butami żołnierzy zbliżających się do drzwi jego domu.

Zapalone światło rozproszyło mrok. To nie były żarty. To nie koszmarny sen. Żołnierze NKWD znajdowali się w mieszkaniu. Trzymali w rękach karabiny, na których wysoko sterczały czworokątne bagnety, długie i ostre na końcu. Enkawudyści znali swój fach od lat. Wykonywali rozkazy zawsze bez cienia wątpliwości i bardzo dokładnie. W sercu nie mieli litości. Ci, co okazali słabość, dawno znaleźli się na bezkresnej, białej Syberii. Padło krótkie polecenie: - *Adewajties` . Bieritie samyje nieabchadimyje wieszczzi i pajedietie s nami!*[\[14\]](#)

Rodzice zaczęli się ubierać. Mama w ostatnich miesiącach ciąży, ze mną, schyliła się nad pierwotnym synkiem. Nadal spokojnie się uśmiechał przez sen w swoim ciepłym łóżeczku. Zbudzony zniemacka, zaczął głośno płakać. Mama płakała razem. Poprzez łzy nieustannie spływające po policzkach spoglądała na synka bezradnie. Przerazona nie wiedziała co ma robić dalej. Drobna, szczupła podniosła oczy przepełnione łzami na nieruchome twarze, na kamienne spojrzenie wysokich, potężnych mężczyzn z błagalnym zapytaniem „Czego od nas chcecie? Dlaczego wyprowadzacie na ten mróz? Dlaczego???” W odpowiedzi, od jednego, jak to zawsze określała, straszego enkawudysty, usłyszała krótką, zdecydowaną odpowiedź: *Da pieriestañ ty płakat`! Maskwa slezam nie wierit!* [\[15\]](#)

Padło ponowne, stanowcze polecenie, by pakować się i przygotować się do wyjazdu. Rodzice zaczęli wyjmować... układać... *najniezbędniejsze rzeczy*. Co wziąć w takiej sytuacji... podczas trzaskającego mrozu...? W pierwszej kolejności jakieś ciepłe ubranie..., koce... Jak opatulić malutkiego synka?... Co ubrać na siebie?...Może wziąć jakieś jedzenie?... Może kawałek słoniny... i jeszcze chleb?... Mąkę chyba nie, bo gdzie i co gotować...? Może zabrać metalowy kubek ... na herbatę lub na *kipiatok* [\[16\]](#)? ... Może jakąś aluminiową miskę... lub dwie? ... i łyżki ... też dwie...i dla dziecka .. małą... co jeszcze?...co jeszcze? ... Mydło..., a co dla tego dziecka, które ma się urodzić? ...Będą potrzebne pieluchy... jak je uprać, gdzie wysuszyć?... Do czego to wszystko włożyć?Do jakiejś torby ?... Takiej nie mamy... Może czysty worek po zbożu?... Ręce trzęsą się. Łez nie można powstrzymać. Po głowie krąży jednostajna, powracająca w kółko myśl „Za co ...? Dlaczego...? Czy to już koniec wszystkiego...? Dlaczego los jest tak okrutny...? Młodzi nie jesteśmy, ale dopiero nie całe trzy lata po ślubie. Mamy już jedno dziecko. Za nie całe dwa miesiące będzie drugie. Z nimi miała być nasza przyszłość, nasze marzenia. Dlaczego tak nagle, tak okropnie wszystko się kończy? Dlaczego przyszli do nas. Dlaczego?? Co zrobiliśmy im? Za co chcą nas zamrozić gdzieś w dalekim, obcym kraju?

Odpowiedzią było milczenie i stanowcze ponaglanie. „Zabierajcie najniezbędniejsze rzeczy i wychodzimy”. Nastąpiła cisza. Cisza pożegnania ze swoim domem wybudowanym przez najlepszych majstrów z okolicy, pożegnania z drewnianymi ścianami z solidnych sosnowych bali, mającymi również służyć następnym pokoleniom. Raptowne i nieoczekiwane pożegnanie z garnkami, miskami ...i rozgrzanym piecem, promieniującym miłe ciepło, do którego parę godzin wcześniej ojciec dołożył parę grubych brzoźowych drewnien żeby rano, przed wstawaniem było cieplej. Nie ma możliwości pożegnania z sąsiadami i rodzicami mamy, którym może w tamtej chwili śniły się złe sny, zwiastuny nieszczęścia spadającego na ciężarną córkę, zięcia i wnuczka.

Wreszcie wszyscy byli ubrani i za moment, po raz ostatni mieli wyjść na swoje podwórko, na siarczysty mróz i odjechać tam, skąd powroty nie istniały. Przed samym wyjściem ciszę pożegnania pogwałcił raptownie bezwzględny, służbowy głos dowódcy: - *A gdzie astalnyje czlony siemji? Szto was tak mała?![17]*

Może sądził, że rodzina powinna być większa? Może chciał być pewnym, że nikt się nie ukrył? A może wykonując swoje obowiązki od lat przyzwyczał się do dokładności i przed opuszczeniem mieszkania zawsze rutynowo sprawdzał sam siebie? Gestem ręki zatrzymał więźniów i sięgnął do oficerskiej torby zwisającej z boku na długim pasku. Za moment wyciągnął z niej jakiś dokument i chwilę patrzył w atramentowy zapis. Zdumieni rodzice nie zrozumieli, o co mu chodzi. Mama milczała, a przestraszony ojciec stanowczo odpowiedział: - *U mienia nikawo bolsze niet. Eta wsia maja siemja.[18]*

Wobec powyższego tamten oświadczył, że zaraz to się okaże i zaczął kolejno wyczytywać: - *Cechanowicz Jan...* Ojciec na to: - *Eta aszybka. Ja nie Jan. Ja Anton[19]*. Enkawudysta nie ustępował - *A Jan eta kto?* Gdy usłyszał, że Jan jest bratem, natychmiast lodowatym głosem zadał kolejne pytanie oraz wydał polecenie - *A gdzie on żywiot? Wiedi k niemu![20]*

Ojciec nie miał wyboru. W otoczeniu enkawudystów przekroczył próg wciąż otwartych drzwi wyjściowych. Dowódca grupy odwrócił się w tym czasie na chwilę w kierunku mamy i spokojnie stwierdził: - *Wy, chazajka, nie biespakojties` Muż skora wierniotca. Razdiewajties, razdiewajtie swajewo riebionka i lażyties spat`. Spakojnaj wam noczi.[21]*

Ojciec w otoczeniu wysokich, przesiąkniętych mrozem postaci wyszedł na podwórko, następnie na ulicę i poprowadził do domu, w którym urodził się. Mieszkał tam młodszy brat, który w tym czasie spokojnie spał, nie przeczuwając, że za chwilę zostanie znieacka zbudzony głośnym łomotaniem w drzwi. Po następnych minutach Jan Ciechanowicz z żoną, na zawsze opuścił dom ojca i rodzinną wieś. NKWD swoje zadanie wykonało. Bracia nigdy się nie spotkali. Rodzina Antoniego uratowała się tylko dlatego, że enkawudysta zechciał sprawdzić ilość osób w wywożonej rodzinie i zajrzał do wykazu. Funkcjonariusze skrupulatnej i dokładnej organizacji pomylili adresy i najpierw wtargnęli do naszego domu. Dzięki przypadkowi udało się rodzicom uniknąć wywózki na Syberię.

Dokładność oraz skrupulatność funkcjonariusza sowieckiej organizacji sprawiło, że po raz pierwszy miałem szczęście i znalazłem się na tym świecie. Czasami myślę, że

może to nie zasługa enkawudysty, a oddziaływanie szczęśliwej gwiazdy, pod osłoną której miałem się wkrótce urodzić? Najpewniej jej promieniowanie sprawiło, że nie sążone mi było zamarznąć gdzieś na dalekiej Syberii, albo zakończyć rodzące się życie przed urodzeniem w łonie kostniejącej matki, w lodowatym wagonie podążającym na wschód.

Prawdą jest, że z naszej wsi na Syberię wywieziono zaledwie kilka rodzin, w tym brata naszego ojca - Jana, z żoną, bo był tak zwanym "osadnikiem wojskowym". Takich ludzi wywożono w pierwszej kolejności. Następnie do syberyjskiej tajgi trafiły rodziny policjantów, urzędników państwowych, nawet rodziny gajowych. Nie wiem, dlaczego nie została mi w pamięci żadna opowieść ojca o aresztowaniu jeszcze jednego brata - Bolesława? Może dlatego, że przeżył.

Jan Ciechanowicz znalazł się w grupie osób zaliczonych do największych wrogów radzieckiego państwa, bo walczył z bolszewikami w 1919 roku i w nagrodę otrzymał jakieś „hektary”. Nie wiem, ile było tej ziemi i za jakie zasługi ją dostał. Prawdopodobnie w tamtych okolicach podobne przydziały ziemi uzyskiwali wszyscy uczestnicy wojny. Stryjek proponował również dla starszego brata jakąś działkę ze swojej części. Ojciec z darowizny zrezygnował i najpewniej w ten sposób ocalił życie swoje i całej rodziny. No, a Bolesław nie mógł brać udziału w wojnie z bolszewikami w 1919 roku, bo się urodził w 1905.

[1] Już w Polsce, po 1980 roku, natrafiłem na artykuł w jakiejś gazecie o napadzie, o którym opowiadał ojciec. Niestety gazety nie zachowałem.

[2] Tak trudno uwierzyć w tamte opowieści. Być może do wsi wkroczyła nie tylko regularna armia, a również jakieś pospolite ruszenie z pobliskiego kołchozu.

[3] dajcie jeść (ros.)

[4] Co mam dać? Niczego nie mamy. Mamy jedynie kartofle. (ros.)

[5] robotniczo-chłopskiej (ros.)

[6] Czytać nie umiał. (ros.)

[7] Karabin, naboje i bagnet (ros.)

[8] Rozkaz dowódcy (ros.)

[9] Po co wam mój synek. Wypuście go. (ros.)

[10] Który Twój syn? Zabieraj go i uciekaj jak najszybciej. (ros.)

[11] Komisariat Narodowy Spraw Wewnętrznych. (ros.)

[12] Nie wiesz kiedy wrócisz do domu. (ros.)

[13] Na grubych drzwiach wejściowych do mieszkania, w dolnym rogu, podczas większych mrozów zawsze pojawiała się biała zmarzlina.

[14] Proszę ubierać się. Zabierajcie najniezbędniejsze rzeczy. Pojedziecie razem z nami. (ros.)

[15] Przestań wreszcie płakać. Moskwa nie wierzy łzom (ros.)

[16] Wrzątek. (ros.)

[17] Gdzie pozostali członkowie rodziny? Co was tak mało? (ros.)

[18] Więcej nikogo nie ma. To jest cała moja rodzina. (ros.)

[19] To jest błąd. Nie jestem Janem, lecz Antonim. (ros.)

[20] Gdzie on mieszka? Prowadź do niego. (ros.)

[21] A wy gospodni, nie denerwujcie się. Mąż wkrótce powróci. Proszę rozbierać się, rozbierać swoje dziecko i układać się do snu. Życzę wam dobrej nocy. (ros.)

4. Wojna. Potęga niemiecka. Zwycięstwo radzieckie.

Radzieckie panowanie rozpoczęte gwałtownym najazdem na uśpione miasteczka i wsie Kresów Wschodnich, w nocnej ciszy 17 września 1939 roku, zostało przerwane również raptownie wczesnym świtem 22 czerwca 1941 roku, napaścią Niemiec na Związek Radziecki. Oficjalnie, wiele lat głoszono, że napaść była nieoczekiwana. Jak to wyglądało od strony władzy, ona wie najlepiej. Mieszkańcy małej wioski przeżyli kolejny szok. Szczęścia pod *pierwszymi sowietami*^[11] nie zaznali. Wiedzieli, że ten, kogo ze wsi wywieźli, na pewno nie wróci, lecz łudzili się nadzieją, że pozostałym dadzą wreszcie spokój. Chcieli wierzyć, że doczekają się lepszych czasów. Jeszcze nie mogli się zdecydować, czy mogą marzyć jeszcze raz o powrocie Polski. Stało się tak że, *sowiety* co prawda *odeszli*, ale Polska nie wróciła, tylko przyszła kolejna wojna.

Za Armią Czerwoną cofającą się w panice i rozsypce (przeważnie ją wyprzedzając) parły na wschód zmotoryzowane i opancerzone oddziały niemieckie. Już w kilka dni od momentu wybuchu wojny potęga ta, jak burza, przetoczyła się przez naszą wieś. Trudno zgadnąć, co dotarło najpierw do naszych okolic, położonych w odległości około 200 km od ówczesnej granicy Rosji radzieckiej z Niemcami, komunikaty o wojnie Hitlera ze Stalinem czy niemieckie czołgi.

Sypki, żółty piasek starodawnego traktu carskiego stał się doskonałą drogą dla czołgów i samochodów wypełnionych żołnierzami. Kolumny niemieckie sunęły na wschód dniami i nocą. Ojciec opowiadał, że od strony Niemna w kierunku wsi Orciuchy równolegle jechały dwie, a czasami nawet trzy *szerengi* tych pojazdów. Ziemia dudniła pod ciężkimi czołgami, w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Przeróżny jazgot gąsienic, ryk potężnych silników i radosny śpiew żołnierzy, niezaznawszych porażki, docierały do obu odległych krańców wsi.

Mieszkańcy dopiero niedawno spotkali się z pierwszymi karetami poruszającymi się bez koni^[21], nadal nie rozumieli tego „szatańskiego wynalazku”, a teraz zdumieni i przerażeni stali w milczeniu przy drodze. Najstarsze, posiwiałe głowy próbowały zgadnąć czy to, co widzą na własne oczy jest urzeczywistnieniem przepowiedni o bliskim końcu świata, czy rozpoczyna się najazd nowej potęgi, której będą musieli podporządkować się tak, jak nie całe dwa lata temu podporządkowali się potędze głodnej, stalinowskiej armii?

Wiejscy starszankowie wiele widzieli w swoim długim życiu, jeszcze więcej słyszeli. Nie zapomnieli wojny japońskiej. Mieli świeżo w pamięci wojnę światową, na której widzieli żołnierzy zarówno rosyjskich jak i niemieckich. Znali i kochali piękne Wojsko Polskie. Byli dumni z ozdoby armii - ułanów, tych „malowanych dzieci”. Teraz nie wierzyli własnym oczom. Potęga niemiecka była przerażająca. Wydawało się, że z najgłębszych otchłani piekła płynie nie kończący się potok stali i ludzi, że nikt i nigdzie nie jest w stanie go zatrzymać, a na pewno nie armia zdominowana przez NKWD, od wielu lat we własnym kraju wyćwiczona jedynie do *walki* z bezbronną ludnością i to najlepiej nocą.

Druzgocąca przewaga i zaskakujące uderzenie armii niemieckiej sprawiło, że wojska rosyjskie nie stawiały, a nawet przy największych chęciach już nie mogły stawiać żadnego oporu. Armia Czerwona na tym etapie wojny przestała istnieć. Żołnierze w popłochu uciekali. Ci co nie zdążyli uciec, masowo oddawali się do

niewoli. Wybierali niewolę nie tylko z powodu przewagi napastnika. Ojciec bez przerwy, wbrew temu co czytałem w książkach twierdził, że rosyjscy żołnierze mieli dość stalinowskich rządów. Zaczęli wierzyć, iż Niemcy przywrócą im wolność. Jakże mocno mylili się. Było to pokolenie straceńców. Nie mieli szansy ani u Stalina, ani u Hitlera. Urodzili się po to, by zginąć w lagrach jednych lub drugich. W obu przypadkach śmierć była podobna - z głodu, bezimienna i w męczarniach.

Z różnych informacji, które nie stanowią tajemnicy w dniu dzisiejszym wynika, że zgodnie z rozkazem Stalina w Armii Czerwonej nie wszczęto żadnych przygotowań do odparcia ewentualnego ataku wojsk niemieckich. O tych faktach wielokrotnie opowiadał ojciec na podstawie relacji bezpośrednich uczestników tamtych wydarzeń, przeważnie Rosjan. Całe starsze pokolenie doskonale wiedziało, jak wyglądała prawda. Jednostki wojskowe na granicy z Niemcami w ostatnich godzinach przed atakiem zamiast postawienia w stan gotowości bojowej, praktycznie zostały rozbrowone. Ich czujność uspio.

Są to fakty o których już się pisze w podręcznikach szkolnych. Dlaczego więc o tym wspominam? Wspominam, bo nie mogę się nadziwić dlaczego wtedy nie dostałem rozdwojenia jaźni. Przecież na lekcjach w szkole, w programach radiowych i książkach, których tyle czytałem wszystko przedstawiano całkiem inaczej. Komu młode pokolenie, do którego należałem, miało wtedy wierzyć?

W naszej wsi mieszkał i o początku wojny dokładnie opowiadał bezpośredni jej uczestnik, walczący po stronie radzieckiej. Nazywał się Władysław Okińczyc. Dziadek o panu Władysławie nigdy nie wspominał jako o rodzinie, lecz skoro mieszkał w tej samej wsi i miał identyczne nazwisko, to chyba wywodził się od wspólnych przodków. Obie rodziny mogły być odgałęzieniami tego samego rodu. Po 17 września 1939 r. pana Władysława wcielono do Armii Czerwonej. Trafił na granicę w Brześciu, na lotnisko. Przeżył tam koszmar niemieckiego bombardowania. Widział pierwszych rannych i zabitych żołnierzy, z którymi razem służył ku „chwale niezwyciężonego Kraju Rad”.

To właśnie oni w ostatnich godzinach przed tamtą piekielną nocą na czyjś odgórny rozkaz rozmontowali silniki we wszystkich bojowych samolotach. Po trudach długiego dnia spokojnie spali, gdy zostali raptem zbudzeni ogłuszającą kanonadą setek dział ustawionych po drugiej stronie Bugu i od pewnego czasu wycelowanych w ich kierunku. Działa milczały szereg dni, niby oczekując na ten moment, kiedy żołnierze z czerwonymi gwiazdami na czapkach po wschodniej stronie rzeki spokojnie i do końca rozmontują cały sprzęt bojowy i zmęczeni, ułożą się do snu.

W tamtą czerwcową noc błogi spokój spłynął na wojsko. Żołnierze spali. Odpoczywali dowódcy po wykonaniu rozkazu wyższych przełożonych. Nagły, świdrujący ryk silników samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach zbudził wszystkich. Przeraził ich widok, napływających falami na tle błękitnego nieba rozjaśnionego wschodzącym słońcem. Niczym niezagrożone pikowały z narastającym gwizdem i bombardowały bezkarnie wybrane cele. Siały popłoch i spustoszenie. Żaden samolot z czerwoną gwiazdą nie zdołał się unieść z zielonej murawy lotniska. Żaden pilot nie podjął walki. Samoloty splonęły. Lotnicy zginęli lub trafili do niewoli.

Pan Władysław widział na własne oczy klęskę armii, której potęga rozpadła się po pierwszym uderzeniu silniejszego przeciwnika. Po powrocie do rodzinnej wsi

opowiadał wielokrotnie o strasznym czerwcowym świcie 1941 roku. Po tamtych wydarzeniach już nie nadawał się do dalszej służby ani w Armii Czerwonej, ani w żadnej innej. Podczas pamiętnego bombardowania, jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie zginął. Stracił jedynie nogę do kolana. Okaleczonemu na zawsze, po zakończeniu wojny, władza radziecka zapewniła do końca życia darmową pracę w kolchozie. W jaki sposób śmierć ominęła pana Władysława, kto opatrzył jego straszną ranę, jak uniknął niemieckiej niewoli i uratował życie, a następnie dotarł do rodzinnej wsi, tego nie wiem.

O tamtych latach ojciec opowiadał przy każdej okazji. Powtarzał ciągle, że podczas wkraczania na nasze tereny, w zwycięskiej pogoni za Armią Czerwoną, Niemcy bez żadnej litości podpalali domy zamieszkałe przez rodziny żydowskie. W tym okresie po raz pierwszy Stołpce spłonęły w poważnym stopniu. Wyróżnikiem, że dom nie jest żydowski miała być ikona lub inny obraz wywieszony na budynku od strony frontowej.

Piaszczystą ulicą naszej wsi szedł niemiecki żołnierz, przyglądał się poszczególnym zabudowaniom. Wszędzie na drewnianych, szarych ścianach od strony ulicy widział ikonę lub inny obraz. Ujrzał już w oddali ostatnie chatki przed pobliskim lasem, a nigdzie jeszcze nie użył zapalających granatów. Raptem nie spodobał się mu jeden z najładniejszych domów po prawej stronie drogi. Nie spostrzegł tam żadnej ikony. Wreszcie nadarza się okazja. Pozbędzie się przynajmniej jednego ładunku, nadmiernie obciążającego żołnierski pas.

Niemiec stał przed naszym podwórkiem. Następnie sięgnął po granat, przygotował się do rzutu. Po chwili dom miał stanąć w płomieniach. Tym razem również mieliśmy szczęście. W pobliżu znajdował się ojciec. Podbiegł do Niemca, próbując go powstrzymać, próbując uratować nasz dom. Granat jeszcze pozostawał w ręku żołnierza. Jeszcze nie został rzucony. Zawiedziony młody Niemiec twierdził, że nie widzi żadnego świętego obrazu, żadnej ikony, a więc jest to dom żydowski i należy go spalić.

Wreszcie ojciec pokazał Niemcowi obrazek Matki Boskiej z dzieciątkiem zawieszony na ścianie, przekonując, że jest to dom chrześcijański. Obrazek był mały, kilkunastocentymetrowy, oprawiony w owalne szkło bez ramki. Początkowo Niemiec go nie zauważył.

Ojcu udało się swój dom uratować. Niszczącą rękę niemieckiego najeźdźcy powstrzymały perswazje i prośby, lecz ostatecznie rzut granatu i płomień zatrzymał mały obrazek zawieszony na ścianie. Powinien pozostać rodzinną pamiątką dla następnych pokoleń. Po spaleniu domu, losy rodziny mogły się ułożyć inaczej.

Podczas okupacji niemieckiej powstał problem utrzymania polskiej narodowości. Niektórzy Polacy przepisywali się na Białorusinów, prawdopodobnie w mniejszym stopniu zagrożonych zagładą. Szczególnie jeden sąsiad ciągle powtarzał, że „...Żydzi są wystrzelani, a getto wyżej grodzą...”. Przekonywał, że tym razem będzie przeznaczone dla Polaków i namawiał ojca, aby stał się Białorusinem, bo tylko w ten sposób może uratować siebie i rodzinę. Ojciec na tę propozycję zgody nie wyraził twierdząc, że jeżeli ma zginąć to zginie, a poprzez zmianę tożsamości szukać ratunku nie będzie.

Stołpce w okresie przedwojennym były miastem na w pół żydowskim. Już na początku wojny Niemcy zgromadzili ich w getcie, a następnie wymordowali. Uratowali się jedynie ci, którzy zdołali wcześniej uciec i gdzieś się ukryć. Gdzie znajdowało się getto, dokładnie nie wiem. Jeżeli dobrze pamiętam opowieści ojca, to utworzono go na rozległym terenie przedwojennej rzeźni, znajdującej się za rozwidleniem dróg w kierunku Okinczyc i wsi Orciuchy. Pobliski sosnowy las mógł stać się miejscem ich wiecznego spoczynku.

Niemcy systematycznie i konsekwentnie przystąpili do mordowania ludności narodowości żydowskiej. Ale, z długich opowieści rodziców, a szczególnie ojca w mojej pamięci utrwaliły się jedynie opowieści o getcie i o tym, że tamtych bezbronnych ludzi gazowano spalinami z rury wydechowej, w specjalnych szczelnych samochodach. Nie wiem nic o mogiłach. Może rośnie nad nimi las, może sosnowy bór szumi cicho wieczną pieśń, a białe brzozy cicho szeleszczą.

Nie wiem gdzie pochowano rozstrzelanych i zagazowanych Żydów z naszego miasteczka. Widziałem natomiast poszarżany drewniany krzyż, ustawiony w sypkim piasku na środku szerokiego, carskiego traktu z Okinczyc do wsi Orciuchy. Z tamtego miejsca, z ostatniego łagodnego stoku otwierała się panorama z widokiem na szare strzechy wiejskich chat. Krzyż pełnił rolę nad pojedynczą, samotną mogiłą, tam gdzie ostre kule niemieckiego żołnierza przerwały życie młodej, niewinnej matki i jej małego dziecka.

Szokująca informacja przekazana przez ojca w ciepły letni dzień, gdy szliśmy razem do tamtej wsi, uruchomiła dziecięcą wyobraźnię. W moich oczach, z całą jaskrawością stanęła przerażająca scena. Wyobraziłem sobie ich śmierć w tak samo słoneczny, cichy poranek. Zobaczyłem szczęśliwą mamę w kolorowej, letniej sukience z krótkim rękawem, delikatnie osłaniającym opalone ramiona. Obok małe, uśmiechnięte dziecko. Trzymając się lekko za ręce, radośnie, w podskokach wracali do domu.

Stanęli nagle, gdy na żółty piasek spokojnej, szerokiej drogi, jak złowrogi, szary gad wśliznął się długi cień żołnierza najeźdźcy. Bezlitosne łapska zsunęły stalowy karabin z ramienia, skierowały czarny otwór lufy na bezbronną kobietę i nic nie rozumiejące dziecko. Przerażona mama w ostatnich gestach rozpaczy gołymi rękoma zasłaniała malutkiego syna, przytulała do siebie. Małe niewinne dziecko, jeszcze nic nie rozumiejąc, wciąż uśmiechało się do słońca, zieleni wysokiego lasu i do czystego powietrza, przepelnionego poranną rosą.

Nieoczekiwany strzał odbił się głośnym echem od spokojnego lasu. Urwało się kukanie pobliskiej kukułki, ugięły się kolana młodej matki. Z drętwiejących rąk wysunęło się bezradne dziecko, a jego nagły płacz został przerwany drugim celnym strzałem.

Uzupełniając swoją krótką wypowiedź, ojciec dodał, że mieszkańcy pobliskich domów na polecenie żołnierza i pod jego nadzorem, zostali zmuszeni do natychmiastowego pochowania matki i dziecka w tym miejscu, gdzie zostali zastrzeleni. Jeszcze bardziej przerażony wyobraziłem, jak na środku szerokiej drogi powstał głęboki dół. Na samym dnie delikatnie położono młodą mamę, a na jej nieruchome piersi ułożono tego, którego swoimi rękoma od niemieckiej kuli nie zdołała osłonić. Piasek

ostrożnie spychany z powrotem był jeszcze wilgotny i ciężko układał się coraz grubszą warstwą na nieruchomych ciałach, przytłaczał swoim ciężarem. Rodzina na próżno czekała na powrót młodej mamy. Ona i jej synek nie wrócili z porannego spaceru. Przysypani grubą warstwą piasku zostali na zawsze na drodze.

Wkrótce na piaszczystym pagórku zamiast mamy z małym dzieckiem, mieszkańcy wsi ujrzeli nieruchomy, drewniany krzyż. Nikt nie wiedział, kto go postawił. Podobnie jak młodą mamę i jej dziecko, oświetlały go łagodnie słoneczne promienie. Wiele lat później przewrócił się spróchniały krzyż, zginął ślad po mogile. Po następnych latach, stalowe lemieszki spychaczy wyrównały piasek, a ogromne kopzące maszyny, nad dawną mogiłą, ułożyły grubą warstwę asfaltu. Już nikt nic nie wie o młodej mamie i jej dziecku, których życie przerwał tak samo młody żołnierz w niemieckim mundurze. Szumią im wieczną pieśń pobliskie wiekowe sosny. Spokojnie spać nie pozwalają huczące opony samochodów mknących ponad głowami.

Okres wojny. Okres kilkuletniego panowania Niemców był też okresem mego dzieciństwa. Z tamtych lat, pozostały okruchy wspomnień. Na pewno nie jest prawdą, że urodziłem się w okopach, jednak wrażenia z czasów wojny w pamięci są nadal. Bardzo dalekie przeżycia własne i opowieści rodziców lub dziadków będą teraz przeplatały się i uzupełniały.

Mijały kolejne tygodnie po koszmarnej nocy 10 lutego. Rozpoczął się marzec, pierwszy miesiąc wiosny. Mrozy zelzały. Pojawiały się odwilże, napłynęły cieplejsze wiatry. Grube zwały śniegu zaczęły zmieniać barwę z białej na szarą, przyciągającą słoneczne promienie, które coraz śmielej i głębiej drażyły południowe stoki największych zasp.

Zbliżał się koniec miesiąca i przewidywany termin porodu dziecka, któremu nie było sądzone zamarznąć w łonie matki. W dniu 29 marca 1940 roku wiejska staruszka, przywołana do domu wczesną porą, pomogła matce wydać na świat kolejnego potomka. Rodzina Antoniego i Julii zwiększyła się do czterech osób.

Nigdy nie dowiedziałem się czy w tamtych warunkach wywołało to większą radość, czy troskę. Polska nie istniała. Mieszkańcy Kresów Wschodnich pozostających pod radzieckim panowaniem nie mieli żadnych wiadomości od rodzin znajdujących się na terenach objętych okupacją niemiecką. Nieznany był dzień jutrzejszy. Nieznana przyszłość. Pomimo tragicznych, beznadziejnych warunków przez cały okres trwania wojny we wszystkich młodych rodzinach dzieci przychodziły na świat. Przekazane w genach podświadome dążenie do zostawienia potomstwa przed odejściem z tego świata stawało się silniejsze od strachu i problemów codzienności. Po trzech latach, już podczas okupacji niemieckiej, rodzice świętowali urodziny kolejnego dziecka. Ten potomek Antoniego i Julii może bez wątpliwości twierdzić, że urodził się w okopach.

Moje najdawniejsze wspomnienia z dzieciństwa nie są miłe ani przyjemne, a dotyczą dziwnych, strasznych snów niezwiązanych w żaden sposób z wojną. Nie wiem, jaka była ich przyczyna. Może to następstwa nerwowych przeżyć mamy z pamiętnej gonitwy do Stołpiec, do transportu po brata? Może efekt koszmarnej nocy i nieproszonej wizyty NKWD? A może niewygodne łóżeczko lub nadmierne ciemności w sypialni?

Pamiętam, że coś mi się śniło, a następnie pojawiały dziwne, szare halucynacje. Przerażliwie wystraszony budziłem się z głośnym płaczem. Obudzeni rodzice wstawali natychmiast. Słyszałem troskliwe głosy, za moment byłem na czyichś rękach. W następnej chwili przerażająca ciemność się rozpraszała. To światło malutkiej zapalniczki zapalanej drżącą ręką mamy lub ojca. Płomień przeniesiony do lampy usuwał ostatecznie straszną ciemność nocy. Groza przerażającego snu oddalała się. Otwierałem załzawione oczy. Przerywałem płacz. Spokojny głos rodziców i bezpieczna osłona płynąca z rąk, którymi byłem przytulany powodowały, że uspokojałem się. Prawdopodobnie wkrótce ponownie spokojnie zamykałem oczy, ponownie spałem.

Zdarzały się jednak przypadki, że bardzo się bałem i płakałem długo, wytrwale. Może bronilem się w ten sposób przed powrotem do łóżeczka, do samotności i ciemności. Nie odpowiadałem na żadne pytania. Widocznie jeszcze nie umiałem mówić lub nie potrafiłem wytłumaczyć przyczyn swego zdenerwowania. Płacz nie ustawał, zachłystywałem się nim. Zdenerwowani ojciec i mama nosili mnie na rękach. Dawali różne rzeczy do zabawy. Nic nie pomagało. Takie sytuacje powtarzały się co najmniej kilkakrotnie.

Doskonale pamiętam mały, złoty zegarek. Jak się dowiedziałem później, otrzymała go mama w prezencie od brata Witka, podoficera wojska polskiego. Zegarek mama przechowywała w białej, damskiej torebce. Podczas wojny nie nosiła torebki, nie zakładała zegarka. Później, w warunkach kołchozowej nędzy tych dowodów „przedwojennego dobrobytu i bogactwa” mama również nie nosiła. Mogła tylko czasami w samotności na nie popatrzeć i przypomnieć niedawne lata, które minęły bezpowrotnie. Zanim nadeszła wojna, w każdą niedzielę podczas wyjść do kościoła biała torebka i mały zegarek stanowiły obowiązkowy dodatek do uroczystego stroju. Trwało to krótko. Szybko minęło.

Przy pomocy zegareczka rodzicom wielokrotnie udawało się nawiązać ze mną kontakt, przerwać spazmatyczny płacz. Na co dzień go nie widziałem i być może krótki błysk dziwnej zabawki tworzył zainteresowanie, przywracał do rzeczywistości. Pamiętam jednak i takie przypadki, kiedy nic nie pomagało, nawet zegarek mamy. Już go znałem. Nie stanowił więc przedmiotu zainteresowania mogącego zagłuszyć strach. Wtedy zdenerwowanym rodzicom zostawało tylko noszenie na rękach, przytulanie i oczekiwanie, że usnę zmęczony i ukołyszany opiekuńczymi ramionami.

Noszony byłem przez ojca nie tylko podczas nieoczekiwanego przebudzenia się i płaczu w środku nocy. Pamiętam ciche, spokojne wieczory, kiedy szeroki płomień lampy naftowej zawieszanej na ścianie rozpraszał mrok. Znajdowałem się wtedy bardzo wysoko na barkach ojca lub na głowie, jak on to określał. W pewnym momencie ojciec przerywał milczenie i zaczynał śpiewać: „Kiedy ranne wstają zorze...”

Ojciec maszerował z pokoju do kuchni i z powrotem, a ja głową i uniesionymi rękoma, prawie sięgałem do wysokich belek sufitu. W tym czasie słyszałem inną zwrotkę: „Serdeczna matko, opiekunko ludzi...”

Kolejność ta powtarzała się chyba za każdym razem i chyba za każdym razem na zakończenie z ust ojca, maszerującego po naszej dużej kuchni, słyszałem słowa: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”

Słyszałem ponaglenie o wspólny, głośny śpiew. Widziałem mamę radośnie uśmiechniętą, wsłuchującą się w dobrze znany, lekko fałszujący śpiew męża i mój, spływający spod samego sufitu, powtarzający tę samą zwrotkę: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”

Czyżby serce tego, który po latach tułaczki wybudował dom na ziemi praojców przeczuwało, że zostanie zmuszony porzucić ziemię „skąd nasz ród”? Czy mogłem wtedy przewidzieć, że ostatnia zwrotka powróci we wspomnieniach po upływie około pięćdziesięciu lat od tamtych miłych wieczorów, z ciepłym światłem lampy naftowej rzucającej na puste, białe ściany duże cienie naszych sylwetek?

Niestety, w tym czasie zabawy i śpiewy odbywały się już tylko ze mną. Pierwszy syn, którego matka tak bardzo kochała, odszedł z tego świata przed czasem. Ukochane, pierworodne dziecko zawsze wesołe i zdrowe nagle stało się osowiałe, płaczące. Rosła temperatura. Zatrwożeni rodzice nie mieli wątpliwości. Rozpoczęła się jakaś choroba. Lekarz przywieziony do domu zbadał malucha i spokojnie stwierdził, że nic strasznego się nie stało, że to rozboleł brzusek. Dał jakieś tabletki zapewniając, że do następnego dnia wszystko będzie w porządku, dziecko wyzdrowieje.

Tabletki nie pomogły. Temperatura nie spadła, a mały Edek, tracił przytomność i jak ryba wyciągnięta z wody na suchy brzeg, z trudem łapał powietrze. Podobne objawy nieznaney choroby rodzice zauważyli również u młodszego synka, to znaczy u mnie. Przystałem się bawić. Wkrótce zacząłem gorączkować.

Bezradni rodzice, przerażeni babcia i dziadek schyleni nad dwoma łóžeczkami przeżywali kolejną tragedię. Czyżby dzieci uratowane przed śmiercią na syberyjskim mrozie, miały umrzeć bez wyraźnej przyczyny?

Ojciec szybko zaprzągnął konia i pogonił w kierunku Stołpiec. Pusty wóz kiwał się i podskakiwał na nierównościach drogi. Ten sam lekarz przyjechał ponownie, zbadał jeszcze raz Edka i przerażonym rodzicom oraz dziadkom spokojnie oświadczył, że się poprzednio pomylił, że to nie brzusek, ale dyfteryt i na ratunek starszego synka jest już za późno.

Jednocześnie pocieszył, że istnieje szansa uratowania młodszego. U niego choroba dopiero się zaczyna. Rodzice dobrze zrobili przywożąc go po raz drugi. Gdyby spóźnili się o kilka godzin, to mieliby jednocześnie dwa pogrzeby. Tak będzie tylko jeden. Dostałem właściwe leki. Zostałem uratowany. Miałem ponownie szczęście. Uzyskałem jeszcze jeden dowód, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą.

Tyle lat oczekiwania na pierwsze dziecko i zaskakująca, niespodziewana śmierć pierworodnego syna. Mama czasami opowiadała o swojej dawnej tragedii. Twierdziła, że nie sposób wyobrazić większej rozpacz, że po takim ciosie rany leczą się długo, ślad zostaje na wiele lat. Wspominając tamte dni opowiadała, jak na wpół przytomna, nie widząc drogi, biegła prawie codziennie na cmentarz, na grób i zawsze z płaczem wracała do domu, oglądając się ciągle z nadzieją, że może ukochany synek biegnie za nią. Rozpacz była tym większa, że był to podobno wspaniały maluch, zawsze wesoły i uśmiechnięty. Niestety ci, co odeszli tak daleko, nie wracają nigdy, tak jak wylane łyzy nie powrócą do zapłakanych oczu.

Mijały kolejne miesiące pod niemiecką okupacją. Na dalekim wschodzie trwała zacięta walka. O jej przebiegu różne informacje, prawdziwe i przekłamane, docierały nieustannie do mieszkańców małej wioski. Pierwsza wiadomość o przegranej Niemców pod Moskwą w surową zimę nowego, 1942 roku, wzbudziła zdziwienie i niedowierzanie. Nie chcieli się wierzyć, że tak potężną maszyną wojenną ktoś potrafił pokonać. Nadzieją na ewentualną klęskę Niemiec w miesiącach letnich została ponownie rozwiana, gdy hitlerowska propaganda zachłystywała się informacjami o zwycięskim pochodzie swojej armii, na południu.

Rok 1942 zbliżał się ku końcowi, kiedy spostrzegawczy staruszkowie naszej rodzinnej wsi zauważyli ze zdumieniem, że w niemieckich informacjach z frontu coraz rzadziej wspominało się o sukcesach. Z każdym dniem ubywało wiadomości o bitwie nad daleką Wołgą. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że to milczenie jest zapowiedzią nadciągającej tragedii prawie trzystu tysięcznej armii, ponownej przegranej z siarczystym mrozem i zaspami śniegu, w których stanęły stalowe „Tygrysy” i utknęły potężne „Pantery”. Było to milczenie o zamarzających, bezbronnych i głodnych żołnierzach, chłostanych bez przerwy lodowatymi podmuchami wschodniego wiatru i gorącymi seriami rosyjskich pocisków. Hitlerowska propaganda nie wspominała o coraz liczniejszych kopcach zmrożonego śniegu tworzących się nad kostniejącymi ciałami tak nie dawno butnych rycerzy tysiącletniej Rzeszy. Zaszli zbyt daleko od swojej ojczyzny. Szansy na powrót nie mieli. Zapowiadając ich śmierć, Rosjanie gniewnie śpiewali:

*Nie ujdzie ci, czużoziemiec, niezwanij
Swajewo nie uwidit żilja ...^[4]*

Lodowaty oddech stycznia 1943 roku zamroził ostatecznie niemiecką propagandę. Taki sam mroźny poranek pierwszego lutego nie zapowiadał żadnych zmian. Ogólnonarodowa żałoba ogłoszona w następnym dniu wyjaśniła przyczynę długiego milczenia. Wyszła na jaw wielka przegrana pod dalekim Stalingradem. Kilkumiesięczna, krwawa bitwa stała się zwiastunem nadchodzącej klęski Niemiec na całym froncie.

Starzy, niepiśmienni ludzie rozpytywali młodszych. Chcieli wiedzieć jak daleko ten Stalingrad, przed którym na bezkresnych stepach, w śnieżnej zamieci przetrącono kręgosłup niemieckiej armii^[5]. Zewnętrznie spokojni i opanowani oczekiwali na dalszy bieg wydarzeń, a one toczyły się niezależnie od woli i myśli mieszkańców małej wioski z leśnej głuszy.

Podobny do ciężkiego, miazdzącego walca w kierunku naszej wsi ponownie zbliżał się front, tym razem z dalekiego wschodu. Na początku trudno było w to uwierzyć. Ciągle nie znajdowano odpowiedzi na pytanie, jakim sposobem głodna, uciekająca w popłochu, bez broni Armia Czerwona zdołała zatrzymać potęgę, której świat nie widział.

Informacje napływające systematycznie o zdobywaniu kolejnych miast, były jednak prawdziwe. Zreformowana armia, w której przywrócono stopnie, pagony i mundury z okresu carskiego, przejęła inicjatywę i łamiąc zaciekle opór pozostawała w ciągłym natarciu. Sowietci wygrywali. Niemcy przegrywali, lecz żadnego metra terenu

nie oddawali bez walki. Zwycięzcy posuwali się do przodu mozolnie, krok po kroku, często czołganiem poprzez zmrożone śniegi lub błota i bagna.

Ileż razy słyszałem, że przerażeni mieszkańcy drewnianych chat małej wioski, która znowu znalazła się na drodze zbliżającego się frontu, obawiali się najgorszego. Wiedzieli, że teraz nie powtórzy się znienacka, gwałtowna lawina, która przemknęła ulicami wsi w nocy 17 września 1939 roku. Wtedy wszyscy kładli się spać w Polsce, aby obudzić się nieoczekiwanie w Rosji Radzieckiej. Wiedzieli również, że nie będzie powtórki roku 1941, kiedy z niedowierzaniem obserwowano tryumfalny przemarsz wojsk niemieckich, które jak burza przetoczyły się i zniknęły na dalekim wschodzie.

Wszyscy doskonale rozumieli, że teraz, w ciężkich bojach nadciąga linia frontu nieznana w historii wojen. Do małej wioski, do drewnianych chat i zagubionych mieszkańców zbliżała się fala ognia i śmierci. Na styku dwóch zwalczających się potęg, małe saperskie łopatkami w rękach żołnierzy milionowych armii bez litości zryły ziemię setkami kilometrów głębokich okopów. Przeorały i poraniły ją pociski dalekosiężnych dział. Bomby lotnicze zostawiły głębokie leje. Ziemia płonęła od niezliczonych ton śmiertelnych materiałów wybuchowych zgromadzonych na wąskim styku dwóch potęg i przeznaczonych do wzajemnego unicestwienia się.

Czy jakiegokolwiek stworzenie mogło ująć z życiem przed niszczącą lawiną ognia i stali? Mała, nikomu niewadząca wioska znalazła się na drodze zwalczających się armii sąsiednich mocarstw. Wiedzieli o tym mieszkańcy. Przez wieś falami przetaczał się strach. Trwoga ogarniała umysły starych i młodych.

Jak się uchronić? Gdzie uciec przed zbliżającym się frontem, rozciągniętym na setki kilometrów, od dalekiej północy do Morza Czarnego? Możliwość ucieczki nie istniała. Front przez wieś musiał przejść. Pozostało jedynie męczące oczekiwanie, coraz większe napięcie i cicha nadzieja, że może życie uda się ocalić, chowając się w jakimś schronie, na który nie spadnie żadna bomba albo uciekając głębiej do lasu, do jeszcze większej głuszy, dokąd nie dotrą regularne oddziały tak armii atakującej, jak i broniącej się.

Z każdym dniem narastał popłoch i wzrastała się nerwowość wśród Niemców. Już się nie cieszyli. Przestali wspominać o zwycięstwie. Czy można weselić się i wierzyć w zwycięstwo, jeżeli na zachód coraz częściej idą kolejowe transporty, z wycofywanym sprzętem wojskowym oraz rannymi i zabitymi kolegami? Atmosfera zagrożenia i niepewności wciąż powiększała się.

Z nieukrywanym przerażeniem niemieccy żołnierze kierowali wzrok do góry, na niebo. Tylko czasami mogli tam ujrzeć pojedyncze samoloty z czarnymi krzyżami, najczęściej podczas ucieczki. W górze panowanie przejęły samoloty nadlatujące ze wschodu. Na ich skrzydłach jaskrawo świeciły czerwone gwiazdy. Lotnicy z zawziętością atakowali niemieckie cele. Już nie było tajemnicy. Front się zbliżał. Nadciągała Armia Czerwona. Wkrótce zza wschodniego lasu dotarł odgłos głuchego dudnienia, lecz to nie był grzmot zapowiadający burzę. Do wsi dolatywał odgłos dalekiej, artyleryjskiej kanonady, który donośnie i bezpośrednio informował o nadciąganiu siły, miazdzącej niemiecką potęgę.

Niepokój mieszkańców wzrastał. Przecież wiedzieli, że Stołpce ze stacją kolejową o znacznej ilości torów znajdują się na prostej, najkrótszej drodze z Moskwy do Berlina. Na zachód od miasteczka i wsi płynął Niemen, naturalna przeszkoda na drodze. Tereny przed Niemnem nie pozwalały na rozwinięcie szerokiego frontu, jak na bezkresnych stepach Ukrainy. Trzęsawiska podmokłych łąk i gęstwina podobnych lasów ciągnących się kilometrami tworzyły dodatkową osłonę wojskom broniącym się za rzeką. Jednostkom atakującym utrudniały działania. Droga do Niemna prowadziła bezpośrednio przez Stołpce lub Okińczyce, starym carskim traktem. Ostatni, prosty odcinek nadawał się idealnie do ostrzału spoza wzgórz, leżących po drugiej stronie Niemna.

W takich warunkach, coraz bardziej obawiano się ciężkich walk na przedpolach naszego miasteczka, bezpośrednio w Stołpcach wśród drewnianych domków i na carskim trakcie prowadzącym przez środek wsi. Mieszkańcy doskonale zdawali sobie sprawę z przerażającej prawdy, że w przypadku skutecznej obrony Niemców i bezpośredniego ataku wojsk radzieckich z naszej małej wioski nie pozostanie nawet popiół. Drewniana zabudowa spłonie doszczętnie, wieś zostanie zrównana z ziemią.

W okresie, gdy narastała groza tamtych strasznych dni, miałem zaledwie cztery lata. Pomimo to odczuwałem zbliżający się front, zapamiętałem wiele szczegółów. Widocznie instynktownie przejąłem rosnącą trwogę rodziców i ogromny niepokój sąsiadów. Postępowanie dorosłych odbiegało daleko od tego, sprzed kilku tygodni, kiedy istniał względny spokój i nie wznagało się bezpośrednie zagrożenie. Może z tego powodu zarówno wcześniejszego, jak i nieco późniejszego okresu tak dobrze nie pamiętam, ale niektóre noce i dni, kiedy zbliżał się i przechodził przez wieś front tak mocno, na zawsze utkwily w dziecięcej pamięci. Pamiętam jeszcze zasieki i „kozły” oplecione drutem kolczastym w połowie wsi, tj. tam gdzie się znajdowała posesja księcia Radziwiłła.

Wieczorami przed naszym domem, na ulicy zbierali się najbliżsi sąsiedzi i o czymś rozmawiali. Najczęściej opowiadali o samolotach nadlatujących nisko zza lasu, strzelających do wszystkich, zrzucających bomby na każdego. Mały i zagubiony, przysłuchiwałem się wypowiedziom dorosłych, którzy nagle stawali się bezradni, nie próbowali ukrywać, że nie są w stanie obronić się przed nadciągającym zagrożeniem. Przerażały ich zagęszczające się mroki nocy, gdy tajemnicze samoloty siejąc śmierć i zniszczenia znajdują się nad nami. Nie wiem, bardziej rozumiałem czy czułem, że w ich obliczu są bezsilni tak samo jak dzieci.

Samoloty jeszcze nie nadleciały, lecz w każdej chwili mogły się pojawić. W pewnym momencie ktoś nieoczekiwanie oświadczał, że słyszy huk silników. Rozmowy urwały się. Nastąpiła cisza. Wkrótce, ktoś kolejny potwierdzał, że również słyszy daleki huk. Za moment nikt nie miał wątpliwości. Ponownie, jak w dniu poprzednim, w naszym kierunku, nadciągały ciężkie bombowce. Przelecały nad nami czy zbombardują wieś? Tego nikt nie wiedział. Z życzeniami spotkania się w następnym dniu sąsiedzi rozchodzili się, znikając szybko w wieczornym mroku i kierując się do swoich rodzin, na własne podwórka.

Pamiętam noc, a raczej bardzo późny wieczór. Zostałem obudzony zanim usnąłem na dobre. Wybiegliśmy na podwórko. Księżycowa, dziwna poświata okrywała budynki i płoty. Bezkształtną szarością majaczyła bliska stodoła. Tajemnicza ciemność

przesłaniała daleki las. Wystraszeni, ojciec i mama nie odzywali się. Promieniowało od nich takie przerażenie, którego dotychczas nigdy nie widziałem.

Biegliśmy najszybciej jak można ukosem przez podwórko w kierunku niedużej piwnicy, stojącej samotnie, kilkadziesiąt metrów przed nami. „Pod pachą” mama niosła małego braciszka, Edka. Ojciec biegł przodem. Po chwili otwierał niskie drzwi, odsłaniające czarne wnętrze. Nie śmiałem protestować, nie miałem odwagi zapytać, po co to robimy. Rozumiałem, że bezsilni rodzice próbują ratować nas.

Zatrzymaliśmy się przed ciemnym i ponurym wejściem. Opuszczony dom pozostał w spokojnym mroku cichej, letniej nocy. Staliśmy chwilę nad niewidocznym, kwadratowym otworem prowadzącym do jeszcze większej ciemności, do wnętrza głębokiej piwnicy. Bardziej wyczułem niż zobaczyłem, jak nisko pochylony ojciec odsuwał deski i odsłaniał otwór do głębokiej czeluści, w której nie dało się ujrzyć niczego. Po drewnianych szczebelkach niewidocznej drabinki pośpiesznie zeszła tam mama i opiekuńczymi rękoma, których nie mogłem widzieć, wzięła w ciemność małego Edka. W tamtą straszną ciemność musiałem zejść również. Jako ostatni opuścił się na dół ojciec, zamykając najpierw drzwi wejściowe do nadbudówki. Czarna nieprzenikniona ciemność zapanowała wokół. Nie uzyska się jej nawet z zamkniętymi oczyma.

Znaleźliśmy się w niedużej piwniczce, o głębokości równej wysokości dorosłego człowieka, szerokiej i długiej na parę metrów. Przesłaniał ją z góry drewniany strop z kwadratowym otworem służącym za wejście. Nad całością wznosiła się niewysoka nadbudówka przykryta słomianym, dwuspadowym dachem. W latach późniejszych trenowałem na nim swoje pierwsze „wspinaczki wysokogórskie”, za co zawsze „obrywałem” od ojca.

Piwnicę powstała podczas wojny. Pamiętam kwadratowy wykop i żółty piasek na jego skraju. Prace ojciec wykonał samodzielnie, bez żadnej pomocy. Sam wykopał, sam wzmocnił boczne ściany kamieniami przywiezionymi z pola i ułożonymi jeden na drugim w postaci muru. Niektóre okazy były duże. W jaki sposób poradził sobie z nimi, nie mam pojęcia. Na osiłka raczej nie wyglądał.

W tę noc piwnica stała się schronem. Staliśmy blisko, obok siebie. Nikt się nie odzywał. W piwnicy panowała niewyobrażalna cisza. Jeżeli dało się coś usłyszeć, to chyba jedynie nasze przyspieszone oddechy. Może tę ciszę tworzył przejmujący strach przed pilotami samolotów przelatujących gdzieś wysoko, po ciemnym niebie. Może chodziło o to, by piloci poprzez huk potężnych silników nie usłyszeli przyciszonego szeptu i nie zrzucili na naszą kryjówkę swego śmiercionośnego ładunku.

Widocznie była to cisza, aby usłyszeć bicie własnego serca, którego mocne, przyspieszone uderzenia rodziły przerażające myśli, że być może bije ostatnie sekundy. Najprawdopodobniej niezwykle ciszę wypełniała modlitwa bez słów i gorące błaganie, aby jej nie naruszył narastający gwizd spadającej bomby i potężny wybuch świadczący, że spadła gdzieś w pobliżu, może na nasz dom. Gdyby wybuchu się nie usłyszało, to by już więcej niczego się nie usłyszało, to by znaczyło, że bomba spadła na nasze głowy.

Tym razem nie płakałem. Czy zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji i tak mocno bałem się, że na płacz sił nie starczyło? Może milczałem, bo chciałem słyszeć

ciszę, potwierdzającą prawdę, że bomba na nas nie leci. Może dlatego, że w piwnicy było zimno, niewygodnie i nie mieliśmy gdzie usiąść. Najpewniej nie odzywałem się, bo przebudzony nagle, nie wiedziałem, co się dzieje. Podobnie jak rodzice wstrzymując oddech, odbierałem dochodzący do uszu straszny basowy huk i w odróżnieniu od nich, drżałem na każdy cichutki szelest piasku sypiącego się z góry. Widocznie trącała go myszka malutką łapką, przebiegając nad nami. Może suchy piasek osypywał się nie z powodu myszki, a od wibracji powietrza, wytrąconego z nocnego spokoju potężnym hukiem silników, ciężkich bombowców.

Z tego prowizorycznego schronienia więcej nie korzystaliśmy. Pewnego poranka obudziłem się i wyszedłem na podwórko. Ucieszyłem się, czując ciepło jaskrawych promieni letniego słońca. Wzniosło się ono nad dalekim lasem i na zieloną, niską trawę, rzucało kontrastowe cienie od pionowych sztachet pobliskiego ogrodzenia. Ujrzałem duży kopiec żółtego piasku, którego wieczorem jeszcze nie było. Rozradowany wbiegłem na sam szczyt. Bose stopy poczuły przyjemny, wilgotny chłodek. Zanim zdążyłem nacieszyć się głębokim zapadaniem nóg w sypkiej, luźnej masie, jak z głębi wykopu rozległ się stanowczy głos ojca: - Odejdź i nie przeszkadzaj! Nie zsuwaj z powrotem piasku!

Przestało cieszyć piękne słońce. Zginął cudowny poranek. Ojciec nie pozwolił bawić się piaskiem, którego było tak dużo. Ponadto sterta powiększała się, gdyż z głębokiego dołu wyrzucał go nadal, szpadel po szpadlu. Smutny, zawiedziony wróciłem do mieszkania.

Wkrótce wiedziałem, że ojciec wydobywał piasek nie dla zabawy. Powstał tam wąski, długi okop *złamany* w połowie, zgodnie z zasadami sztuki obronnej żołnierzy piechoty. W schronie tym mieliśmy chować się podczas lotniczych nalotów. Ochronę przed bombami tworzyły grube, mocne kłocce ułożone z góry nad całym okopem. Dodatkową osłonę stanowił wysoki pagórek usypany z piasku wydobytego z głębi okopu. Ojciec starannie okrył nim kłocce. Do wnętrza schronu po schodkach wykonanych bezpośrednio w ziemi prowadziły dwa wejścia umiejscowione na końcach.

Słyszałem, jak ojciec tłumaczył komuś, że takie „łamane” okopy robi się na froncie. W ten sposób, jeżeli granat wpadnie do jednej części, mają szansę uratować się ci, co siedzą w jego drugim końcu. Nasza rodzina zajęła połowę okopu. W drugiej przebywał starszy, siwy pan z żoną. Mieszkali w naszym domu jako lokatorzy. Jeżeli dobrze pamiętam późniejsze opowieści ojca, to był to jakieś znajomy, przedwojenny adwokat.

Nie wiem, jak często korzystaliśmy z tamtej kryjówki. Pamiętam, że kilka razy wieczorami, kiedy następował zmrok, zamiast iść spać do mieszkania, schodziliśmy do schronu. Bardzo bałem się, że bomba może trafić w nasz okop. Ojciec ciągle powtarzał lokatorom, którzy chowali się wspólnie z nami, że jeśli bomba trafi, to się zginie i nic nie poczuje. Śmierć będzie szybka i lekka.

Bardzo się bałem, nie chciałem zginąć, nie chciałem śmierci, a szczególnie zasypania ziemią ze ścianek okopu. Był wyjątkowo wąski. Wysokie, strome ścianki znajdowały się zbyt blisko. Ciągle miałem wrażenie, że bezpieczniej jest w naszym domu, a jeszcze bardziej na podwórku, bo widząc spadającą bombę, można od niej uciec i gdzieś się ukryć.

Schron zapewniał znacznie wygodniejsze warunki niż piwnica. Znajdowało się tam specjalne posłanie, na którym układałem się do snu, jak w łóżeczku. Chyba z tego powodu szybko uspokajałem się, a następnie zasypiałem, przytulony do mamy.

Jeszcze wygodniejsze warunki stworzono rodzinie w schronie wybudowanym nieco później u naszego dziadka Okińczycza. Powstała tam długa, szeroka nora pod grubym drewnem przygotowanym na budowę stodoły. Chyba tej nory nie wygrzebywali na kolanach, nie wyciągali ziemi spod kłocy? Widocznie najpierw wykopano niski, obszerny dół i wtoczono nad niego ciężkie bierwiona? Ta ostatnia wersja prawdopodobnie jest bliższa prawdy. Pamiętam, jak ojciec z dziadkiem przetaczali kłocę w tamtym miejscu, gdzie znajdował się schron. W pewnym momencie, wpychali kolejny, na inne. Już na szczycie utracili nad nim kontrolę. Ciężki kłoc opierając się środkiem swojej długości na innym zaczął obracać się poziomo. Długi koniec tuż nad ziemią sunął w moim kierunku. Również w moim kierunku z krzykiem „uciekaj” biegli ojciec i dziadek. Nie wiem czy oni wcześniej dobiegli, czy kłoc się wcześniej zatrzymał, lecz miałem szczęście. Nic się nie stało.

Kłocę ułożono w kilku warstwach, jedna na drugiej. Pod nimi znajdowało się niskie, obszerne wnętrze. Wyprostowany, na równych nogach, mogłem tam stać. Pozostali siedzieli na ziemi, a głowami prawie sięgali do solidnych, grubych bali.

W nowej kryjówce chowaliśmy się podczas kolejnych walk w wiosce lub gdzieś w pobliżu. Był dzień. Siedzieliśmy beczynnie. Ziemia otaczała nas ze wszystkich stron, a grube kłocę przesłaniały widok nieba pokrytego gęstymi chmurami. Jego skrawek można było ujrzeć jedynie przez wąskie wejście na końcu nory, pochylając głowę nisko, do samej ziemi. Stamtąd skąpo sączyło się nagle światło, częściowo rozpraszając mrok panujący wewnątrz naszego pomieszczenia.

Siedzieliśmy dość daleko od wejścia, tam gdzie zagęszczała się ciemność. W przytulnym zakątku na końcu nory, w największym mroku, na jakimś szarym kocu siedziała mama. Obok niej otulone białą pościelą spokojnie spało małe dziecko, obojętne na nudę panującą w okopie i strzelaninę siejącą śmierć na zewnątrz. Młodszy braciszek nie interesował się wojną. Jak się później dowiedziałem, imię on otrzymał po pierworodnym, po tym, po którym serce matki nadal bolało mocno, nieustannie.

W okopie, mniej więcej na jego środku siedzieli dziadek i babcia. Całą resztę obszernej przestrzeni wypełniały jakieś pakunki. Znużony beczynnością i oswojony z monotonią strzelaniny oraz pojedynczymi głośniejszymi wybuchami, postanowiłem udowodnić śpiącemu braciszce, pokazać mamie i dziadkom, że jestem odważny i niczego się nie boję.

Rozpocząłem więc mozolną, upartą wędrówkę przez mniejsze i większe toboły w kierunku wyjścia. Nie reagowałem na prośby mamy i dziadków. Musiałem być tam, na samym skraju okopu. Chciałem pokazać, że nie są mi straszne wybuchy, ani ta wojna. Ledwo zdążyłem dopchać się w pobliże wyjścia, jak huknęło gdzieś blisko i mocno. Wydało się, że kłocę zadrżały i ziemia się z nich posypała, chociaż faktycznie jej tam wcale nie było. W następnym momencie poprzez wszystkie przeszkody znajdujące się na drodze uciekłem w najdalszy zakątek okopu. Usiadłem cichutko tuż obok mamy i małego Edka. Więcej po okopie nie chodziłem. Nie udawałem bohatera.

Po jakimś czasie w naszym schronie zrobiło się ciemniej. Ojciec wracając do rodziny na kolanach wczolgiwał się do wnętrza i przesłonił wąski otwór.

Jeśli chodzi o chowanie się przed bombardowaniem to nie wiem, dlaczego powstało tyle wariantów. Pamiętam również taki dzień, gdy znaleźliśmy się u dziadka w stodole. Dlaczego w stodole? Czyżby schronów jeszcze nie zrobiono? Dlaczego nie pozostaliśmy w mieszkaniu? Czy domy mieszkalne narażone były bardziej na bombardowanie i podpalenie? Te pytania zostaną bez odpowiedzi.

W pustej, wielkiej stodole było zimno i nieprzyjemnie. Nie mieliśmy gdzie usiąść. Staliśmy na środku, na glinianym klepisku. Gdzieś tam w oddali coś dudniło. Ponownie jakieś pociski, jakaś strzelanina. W pewnym momencie przyszedł ojciec, wziął mnie na ręce i wyniósł na podwórko. Ujrzałem smutny dzień. Niskie chmury przesłaniały błękitne niebo i jaskrawe słońce. Szary, jednolity cień skutecznie przykrywał pobliskie budynki, pola i las. Ojciec szybko, chyłkiem wyniósł mnie za stodołę w kierunku ogrodów. W miarę oddalania się od naszej kryjówki, zza zabudowań sąsiadów odsłaniał się widok na dalekie pasmo przerażająco czarnych, złowieszczych chmur kłębiących się nisko na końcu szarego, smutnego nieba.

Nie. Chmury tak się nie kłębią. Chmury nie wyrastają z ziemi. Nad ziemią tak nisko nie płyną. Tam nie padał deszcz. Tam płonęło miasto, nasze drewniane Stołpce. Ciężkie zwały czarnego dymu bez przerwy wyrastały za dalekim, niskim lasem. Kłębiąc się nieustannie wznosiły się gwałtownie nad czubkami drzew i natychmiast układały się w grube, falujące warstwy spływające gdzieś w lewo, poza miasto. W tamtą stronę gonił je mocny wiatr, który nieustannie podsyczał buszujący pożar i nie pozwalał na ugaszenie płonących domów oraz nędznego dobytku mieszkańców.

Wydawało się, że przerażające dymy wyrastały bezpośrednio z wierzchołków drzew. Faktycznie Stołpce znajdowały się w odległości kilku kilometrów, a do drzew było znacznie bliżej. Ojciec pragnął, żebym tamten obraz zapamiętał. Tak się stało. Pożar naszego miasta pozostał w pamięci. Widzę go do dziś.

Pamiętam również zimowy dzień w mieszkaniu u dziadków. Nudziłem się coraz bardziej w dużym, zimnym i nieprzytulnym pokoju. Chodziłem bez celu od ściany do ściany. Nie mogłem znaleźć żadnego zajęcia. Siedzenie na piecu zbrzydło. Wszedłem więc na krzesło i przez zamknięte okno utkwilem wzrok na wysokiej ścianie naszego domu. Długo to nie trwało. Wkrótce głośno oświadczyłem, że chcę tam wracać. Niestety, usłyszałem odpowiedź rodziców, że do domu wrócić nie możemy, ponieważ zajęli go Niemcy. Wyjaśnięć słyszeć nie chciałem, do wiadomości nie przyjmowałem. Blisko, za ogromnym klonem i podwórkiem sąsiadów, znajdowała się znajoma ściana. Czekają tam nasze mieszkanie, ciepłe i miłe. Coraz mocniej i gwałtowniej domagałem się powrotu do domu. Twierdziłem, że to nie jest dom Niemców, więc niech się z niego wyniosą. W końcu, zmęczony nieustępliwością rodziców, usiadłem na podłodze i rozplakałem się.

W okresie późniejszym dowiedziałem się, że nasz dom, jako jeden z ładniejszych, Niemcy wybrali na zakwaterowanie swoich żołnierzy. Zostaliśmy zmuszeni opuścić własne mieszkanie i przenieść się do dziadków. Jednak w tamtym dniu żadne wyjaśnienia rodziców nie docierały do mnie, perswazje nie skutkowały.

Pamiętam inny wieczór, tym razem w naszym mieszkaniu. Rodzina zebrała się w sypialni. Ciepłe promienie naftowej lampy oświetlały białe ściany. Za oknami zrobiło się ciemno. Spóźniony letni mrok spokojnie spłynął na wieś, ogarnął nasze podwórko. W ciemności ginęło wewnątrz sąsiedniej kuchni. Powoli szykowaliśmy się do snu. Siedziałem w swoim przytulnym, małym łóżeczku ustawionym na środku sypialni. Raptem w drzwiach wejściowych ujrzałem obcego mężczyznę. Na jego piersi zwiślał poprzecznie krótki karabin, z małym, okrągłym bębkiem. To potężne chłopisko całkowicie przesłoniło szerokie przejście. Stojąc na progu wydawał się jeszcze wyższy. Przed nim, w obcisłym sweterku, znacznie szczuplejszy, stał ojciec i coś cicho tłumaczył. Lata minęły, a w pamięci pozostały: krótki karabin z bębkiem, sweterek i napięta, zatrwożona twarz ojca. Później próbowałem wyjaśnić z rodzicami ten przypadek, dowiedzieć się więcej szczegółów, lecz oni stwierdzili, że było dużo różnych najsć obcych ludzi i dokładnie nie wiedzą, o co mi chodzi.

W związku z przewidywaną wielką bitwą w bezpośrednim sąsiedztwie naszej wsi, część mieszkańców Okinczyc uciekła do innych wiosek, jak najdalej od Stołpiec, jak najdalej od głównego kierunku uderzenia, nacierających wojsk radzieckich. Rodzice również podjęli decyzję o ucieczce. Przykro mi, lecz nie jestem w stanie wyjaśnić jak chronologicznie potoczyły się wydarzenia. Czy najpierw te schrony, strzelanina i pożar Stołpiec, a następnie wyjazd ze wsi, czy odwrotnie. We właściwym czasie szczegółów nie wyjaśniłem, a teraz dorośli świadkowie wydarzeń nie żyją.

Wyjechaliśmy do sąsiedniej wioski, na południe od Okinczyc. Z kilkunastokilometrowej podróży w pamięci pozostał krótki fragment, kiedy znajdowaliśmy się w lesie, około kilometra od domu i przejeżdżaliśmy przez wąski strumyk, który przepływał w poprzek drogi. W latach powojennych nad strumykiem zbudowano drewniany mostek.

Wtedy żadnego mostku nie było. Przejeżdżaliśmy w bród, bezpośrednio przez wodę. Może z tego powodu tylko ten fragment długiej trasy tak mocno utkwiał w pamięci. Wóz załadowany wysoko różnymi tobołami najmocniej przechylał się podczas wjeżdżania do wody. Siedziałem na górze, razem z mamą i babcią Antoniną Okińczyc. Dziadek z ojcem szli obok i popędzali konia. Pomimo to, nie przyspieszał. Widocznie wóz był ciężki. Mama czasami trzymała na rękach, a czasami układała obok siebie młodszego synka, Edka. Urodzony jesienią 1943 roku nie miał jeszcze roku. Spokojnie spał, nic nie wiedział o wojnie i nie oglądał ani wysokich drzew, ani zachmurzonego nieba nad nami.

Nie mam pojęcia, czy jechaliśmy tylko tym jednym wozem czy może były dwa: nasz i dziadka. A co się stało z krowami? Domyślałem się, że szły uwiązane obok wozów. Może tak było, bo innej wersji nie wyobrażam. W jaki sposób zabezpieczono pozostały skromny dobytek?

Rodzice opowiadali, że trzydrzwiową szafę z dużym lustrem ojciec rozebrał na elementy składowe, wyniósł z domu i schował w łanie żyta na naszym polu, po drugiej stronie ulicy. Szafa, to jeszcze jeden prezent mamy od brata Witka. Jakieś naczynia, garnki oraz talerze zostały zakopane do ziemi w ogródku. Domy zostawiono z nadzieją, że postoją do chwili powrotu gospodarzy. Po przejściu frontu ocalał nie tylko nasz dom. Żadne zabudowanie we wsi nie spłonęło. Szafę ojciec znalazł w tym miejscu, w którym schował. Ani jeden element nie zaginął, nic nie uległo uszkodzeniu.

Zajechaliśmy do jakiejś wsi położonej wśród lasów, nad rzeką. Wieś prawdopodobnie nazywała się Swierinowo. Obok płynęła rzeka. Z całą pewnością był to Niemen. Niejeden raz podczas większych upałów wspólnie z mamą, jakimiś kobietami oraz innymi dziećmi chodziłem nad szeroką wodą przepływającą pomiędzy niskimi, zielonymi brzegami. To tam, po raz pierwszy, kąpałem się w przezroczystej wodzie, w promieniach gorącego słońca i nie chciałem wychodzić z rzeki. Woda sięgała mi prawie do kolan. Biegałem wesoły i szczęśliwy i nie zdawałem sobie sprawy, że gdzieś w pobliżu toczy się śmiertelna walka. Widocznie już wtedy poczułem, chociaż nie wiedziałem jeszcze, że zetknąłem się z rzeką, której nie zapomnę nigdy, do której zatęsknię po latach.

Nie wiem, gdzie i u kogo zatrzymaliśmy się. Sądzę, że u całkowicie obcych ludzi, ponieważ nigdy nie słyszałem o krewnych lub znajomych mieszkających w tamtych okolicach. Kiedy żyli rodzice, wątpliwości nie wyjaśniłem. O szczegóły nie dopytywałem się prawdopodobnie i z tego powodu, że w tamtym okresie, nie istniały mapy w skali województwa - *oblasti*. Mapa w skali powiatu stanowiła tajemnicę państwową. W takich warunkach trudno było prowadzić rozmowy na tematy dotyczące usytuowania poszczególnych miejscowości. Przyczyną mego zaniedbania mogło być i to, że minionymi wydarzeniami szczególnie nie interesowałem się. Słuchając opowieści rodziców, a szczególnie ojca, myślałem, że wiem wszystko.

Z pobytu u tamtych, obcych ludzi pozostało wspomnienie jakiegoś dużego podwórka i drewnianego domu z wysokim zadaszonym gankiem. Mam wrażenie, że zawsze oświetlało go słońce, a więc znajdował się z południowej strony budynku. Naprzeciwko stała zimna, pusta stodoła. Jej szerokie wrota pozostawały w głębokim cieniu. Kilkakrotnie zaglądałem tam z innymi dziećmi i widziałem, że tuż za drzwiami, na środku klepiska stała duża beczka z jakąś rurką, że coś tam kapało do podstawionego wiadra. Do stodoły nie pozwalano nam wchodzić. Jakiś pan, może gospodarz, wyganiał. Chyba nie ma wątpliwości. W stodole produkowano *wódkę własnej roboty*, popularny *samogon*, mocno rozpowszechniony na naszych terenach nie tylko podczas wojny.

Pewnego wieczoru gospodarze ustawili na środku podwórka wielkie stoły. Przykryli je białym obrusem i zaczęli szykować się do uroczystej kolacji, a raczej balu pod gołym niebem. Nic z tego nie wyszło. Przyszła mama, która nie była obecna podczas przygotowań do uczty i pokrzyżowała plany. Głośno mówiła, a raczej krzyczała, że nie wiedzą co robią, że białe będzie dobrze widoczne z przelatujących samolotów i wszystkich wystrzelają. Biały obrus zniknął. Stoły wniesiono do domu. Do kolacji pod gołym niebem nie doszło.

Później jechaliśmy ponownie tym samym wozem, na takich samych tobołach. Podróż była wspaniała. Polna droga wiała się między wzgórzami. Koń szedł wolno, mocno napręzał mięśnie podczas wspinania się krętymi koleinami na strome górki. Przed nami i za nami jechały inne wozy. Ze szczytów wzgórz z największym zachwytem rozglądałem się po bokach i podziwiałem przesuujące się wolno górki i doliny, których nie widziałem w pobliżu naszych Okińczyc. Ciągle mam wrażenie, że nie wracaliśmy jeszcze do domu, a kontynuowaliśmy wędrówkę, uciekając od frontu i szukając schronienia u innych ludzi, w innej wiosce. Być może była to Mikołajewszczyzna.

Powrotnej drogi do domu nie przypominam sobie. W pamięci utkwiał jedynie końcowy epizod, gdy dotarliśmy do naszej wioski. Minęliśmy dom dziadka i wolno zbliżaliśmy się do naszego. Na ostatnich metrach koń musiał się mocno natrudzić. Droga się lekko wznosiła. W sypkim piasku, w głębokich wąskich wyłobieniach koła obracały się z trudem. Ojciec szedł obok i ponaglał konia do większego wysiłku. Następnie otworzył bramę i znaleźliśmy się wreszcie na swoim podwórku. Wtedy chyba z tego powodu nawet się nie zdziwiłem.

Wtedy nie wiedziałem również, jaką frajdą jest chodzenie na bosaka właśnie po tych głębokich koleinach, po piasku rozartym do najdrobniejszego pyłu. W okresie letnim, w niektórych miejscach rozgrzewał się wyjątkowo mocno. Nogi zapadały się w nim głęboko, może nawet do połowy łydki, a potem stawały się czarne prawie do kolan.

Po zejściu z wozu, szczęśliwy biegałem po wszystkich pokojach. Rodzice w tym czasie przystąpili do sprzątnięcia. Słyszałem narzekania, że w mieszkaniu ktoś zostawił straszne brudy i... więcej nic nie pamiętam.

Z opowieści ojca wiem, że po opuszczeniu Okińczyc kilkakrotnie przychodził do swojej wsi sprawdzić, czy stoi dom, czy będzie gdzie wracać. Droga do domu prowadziła przez las. Niebezpieczne były spotkania zarówno z działającymi w tamtych okolicach partyzantami, jak i z Niemcami. Samotną osobę w lesie Niemcy jednoznacznie kwalifikowali jako partyzanta i z nią długo nie dyskutowali.

Mimo zachowywania największej ostrożności, ojciec w pewnym momencie stanął nagle, słysząc za sobą groźne „halt!”. Został zatrzymany przez kilkunastu osobowy, doskonale uzbrojony oddział niemieckich żołnierzy. Natychmiast padło głośne zapytanie, a raczej stwierdzenie *partizan?! Ojciec zaczął tłumaczyć i wyjaśniać, że chociaż znalazł się w lesie, to nie jest partizanem. Ze względu na stan zdrowia i wiek już się nie nadaje ani na żołnierza, ani na partyzanta. Mając małe dzieci uciekł ze swojej wsi dalej od frontu. Teraz idzie zobaczyć, czy stoi jeszcze dom, czy będzie gdzie wracać*^[7]. Dziwne, lecz prawdziwe. Żołnierze ojca puścili.

Wycofując się ze wsi wojska niemieckie nie uczyniły żadnej krzywdy mieszkańcom, nie zniszczyły ich dobytku. Żołnierze do ostatnich godzin zajmowali posiadłość księcia Radziwiłła. Przed wyjazdem wynieśli z budynku, daleko na ulicę, całe stopy dokumentów, map, mundurów, wojskowego sprzętu. Dopiero tam całość oblali benzyną i podpalili. Ogromne płomienie buchnęły ku niebu, lecz na środku ulicy, daleko od wiejskich chat i radziwiłłowskiego pałacyku.

Nikt tego gestu nie potrafił zrozumieć. Najłatwiej było podpalić cały budynek. Wygodne i proste. Ojciec, powtarzając kolejny raz krótki fragment opowieści z ostatnich godzin okupacji niemieckiej, zawsze podkreślał, że dla niego jest to dziwna zagadka. Tym bardziej, nie jestem w stanie jej rozwiązać. Może prawdziwa jest wersja, że armia walczyła jedynie z tymi, którzy stawiali czynny opór? Być może Niemcy okazali szacunek do historii i kultury, mimo, że nie swojej? Czy nazwisko właściciela miało z tym wydarzeniem jakiś związek? Mały epizod wielkiej wojny pozostanie tajemnicą.

Tak jak przewidywano, Niemcy szykowali się do postawienia oporu na rzece Niemen. Przed nadejściem frontu ciężkie samochody załadowane wielkimi pontonami,

podążały przez Okińczyce w kierunku południowym. Tam, w rejonie wsi Mikołajewszczyzna mieli zapewnić pozostałym wojskom przeprawę przez Niemen. Z drugiej strony rzeki, równoległe do jej brzegu mogły one stworzyć mocną obronę. Dlaczego transporty nie skorzystali z szerokiego carskiego traktu, w kierunku Niemna, dlaczego nie przeprawili się poza Niemen bezpośrednio w Stołpcach, pozostanie tajemnicą niemieckich sztabowców.

Wkrótce, ku zdziwieniu mieszkańców samochody pośpiesznie wracały, wznosząc kłęby pyłu. Na południu byli Rosjanie. Ojciec twierdził, że Niemcy pomylili nazwy dwóch miejscowości o podobnej pisowni, z których jedna znajdowała się na południe od Stołpiec, a druga na północ od tego miasta, a może korzystali z radzieckich map, w których celowo zmieniano usytuowanie miast i wsi. Powstała panika i zamieszanie. W efekcie, za Niemnem Niemcy żadnej linii obrony utworzyć nie zdążyli.

Czy taka możliwość istniała? Może Armia Radziecka, po stronie północnej i południowej, przesunęła się znacznie dalej, w kierunku zachodnim i zmusiła wojska niemieckie do pośpiesznej ucieczki z naszych terenów.

Bezpośrednio w Stołpcach Rosjanie z Niemcami stoczyli krótką, zaciętą walkę o drewniany most przez Niemen. Jedni zaciekle bronili go do ostatniego żołnierza, drudzy z równą zawziętością i determinacją atakowali. Zamiar wysadzenia mostu nie został zrealizowany. Spłonął natomiast drewniany most na carskim trakcie, usytuowany bliżej Okińczyc. Pozostały po nim tylko wspomnienia i kikuty grubych drewnianych pali.

Krótką bitwa o Stołpce wybuchła ponownie już po wkroczeniu Rosjan. Zawinił wagon spirytusu omyłkowo lub celowo zostawiony na stacji. Żołnierze radzieccy popili *trafiejnawa spirta*. Niemcy próbowali kontratakować. Wielkie armie jeszcze raz walczyły o małe miasteczko. Nie trwało to długo. Odwrót wojsk niemieckich był nieuchronny. Drewniane chatki Stołpiec płonęły jednak ponownie.

Ojciec często powtarzał, że Armia Czerwona wkraczająca na nasze tereny w pogoni za Niemcami, zasadniczo różniła się od tej, która wtargnęła tu w 1939 roku. Miała już solidne mundury, posiadała dobre uzbrojenie, miała czolgi oraz amerykańskie konserwy i ciężkie samochody^[8]. Żołnierze pewni zwycięstwa z dumą powtarzali: *my pobiedim, s nami Amierika, s nami Ruzwielt*.^[9]

Pozostał jeszcze w pamięci pobyt w naszym mieszkaniu Łotyszy, wycofanych z wschodniego frontu. Dlaczego znaleźli się u nas, nie wiem. Podobno walczyli, przeciwko Rosjanom, w zamian za obiecaną przez Niemców wolną Łotwę. Nie wiem, na ile to prawda, lecz obietnice nie zostały spełnione, a może już taka możliwość nie istniała, bo szala zwycięstwa przechyliła się w drugą stronę. Ojciec twierdził, że wobec powyższego Łotysze odmówili udziału w wojnie. Ich zbuntowane oddziały wycofano na tyły. Dlaczego do nas, a nie do ojczystego kraju lub jeszcze dalej w głąb Niemiec? Tego również nie wiem.

Łotysze zajmowali w naszym mieszkaniu prawie całą kuchnię. Spali bezpośrednio na podłodze. Chociaż nie, do snu układali się na słomie przynieszonej wieczorem do mieszkania. Kilka snopków wymłóconej słomy rozesełanej od ściany do ściany służyło za posłanie. Rano ojciec słomę zabierał. Na czystą, zamiecioną brzożową

miał podłogę, Łotysze układali sterty blachy, z której robili wiadra. Przeważnie prace nad nimi w mniejszym lub większym stopniu rozpoczynano w dniu poprzednim.

Podstawowym narzędziem *mistrzów blacharki* był młotek. Blachę wyciętą w odpowiednie kształty łączono w zakładkę. Młotkiem *dopukiwano* zagięcia na złączach. W podobny sposób boki wiadra łączono z dnem. Po zakończeniu prac nad kolejnym, nalewano do niego wodę i sprawdzano, czy nie przecieka. To był moment najważniejszy. Zawsze żartowali z tego, którego wiadro nie było szczelne i który musiał swoją pracę poprawiać.

Znalazł się wśród nich jeden pechowiec. Chyba nie miał specjalnych zdolności do wykonywania tej pracy. Wiadra spod jego ręki były najgorszej jakości, prawie każde przeciekało. Pozostali koledzy naśmiewali się z niego. To go bardzo peszyło. Jemu było przykro, a mnie smutno. Chciałem, żeby umiał zrobić wiadra szczelne i nie przepuszczające wody, jak pozostali koledzy.

Łotysze sprzedawali później swoje wyroby mieszkańcom wioski, a może i w Stołpcach. Po pewnym czasie opuścili nasze mieszkanie. Kto wie, co się z nimi stało. Może bomby ich ominęły, może wrócili do swojej ojczyzny, do rodzinnych domów? Miejmy nadzieję, że „wyzwoleni” przez Armię Czerwoną, nie trafili w ręce NKWD?

Przez naszą wieś przetoczyły się główne siły armii niemieckiej i radzieckiej. Pobliskie Stołpce pożar ogarniał dwukrotnie. We wsi nikt nie ucierpiał, żaden budynek nie spłonął. Ojciec opowiadał, że podczas niemieckiej okupacji mieszkańcy nie organizowali żadnych oddziałów partyzanckich, nie podejmowali walki zbrojnej. Twierdził, że większość zdawała sobie sprawę, iż nie mają żadnego wpływu na efekty śmiertelnego zmagania się dwóch sąsiednich potęg. Niemcy, w odwecie, nie musieli pacyfikować ani naszej wsi, ani żadnej sąsiedniej. Powodem takiej postawy mieszkańców było i to, że tak jak prześladowań niemieckich bali się powrotu terroru radzieckiego. Zbyt dobrze z nim się zapoznali podczas *pierwszych sowietów*.

Mieszkańcy wioski mieli też szczęście, że na naszych terenach nie było już Armii Czerwonej, kiedy wódz narodu Stalin wydał rozkaz palenie własnych miast i wsi przed nadciągającą armią niemiecką. W ten sposób próbował naprawić własne błędy dodatkowym kosztem i cierpieniem zwykłej ludności. Gruzin ten widocznie zapoznał się z metodą zastosowaną w poprzednim wieku podczas walki narodu Rosyjskiego z Francuzką armią Napoleona.

15

Obawy mieszkańców spełniły się. Zaledwie zdążyły zniknąć mundury niemieckich żołnierzy, których wyparli *krasnoarmiejsy* w wypalonych na słońcu *gimnastiorkach*, jak do akcji ponownie wkroczyło NKWD. Jedyne nielicznym udało się uniknąć kontaktu z funkcjonariuszami tej organizacji. Wkrótce ojciec również otrzymał wezwanie. W trakcie pierwszego przesłuchania dowiedział się, iż jest oskarżony o współpracę z Niemcami, ponieważ podczas okupacji pełnił obowiązki sołtysa. Zarzut taki równał się wyrokowi wieloletniego więzienia albo dożywotnich lagrów, na dalekiej północy lub na Syberii.

NKWD za takie „przewinienie” prześladowało nie tylko Polaków. Rdzenni Białorusini, za pełnienie podobnych funkcji, podczas okupacji niemieckiej, bez długich dyskusji i sądów zostali wywiezieni i nigdy nie wrócili.

NKWD nie przyjmowało do wiadomości wyjaśnień, że Niemcy nie dawali żadnego wyboru, że u nich musiał być porządek i nie mogło być żadnego oporu lub nieposłuszeństwa. Po wkroczeniu na nasze tereny, wystraszonemu mieszkańcom oświadczyli, że te osoby, które pełniły na wsi funkcje administracyjne za czasów polskich, mają pełnić je nadal. Nie było żadnej dyskusji.

Dla funkcjonariuszy w mundurach NKWD, takie wyjaśnienia nie były podstawą do usprawiedliwienia. Już sam fakt pełnienia wspomnianych funkcji, traktowano jako zdradę radzieckiej ojczyzny i służbę dla Niemców. Ponadto dołączono pretensje za to, że ojciec nie był w partyzantce, ale „siedział w domu”.

Wkroczenie Armii Czerwonej stało się *aswabażdieniem*^[10] od okupacji niemieckiej, lecz rozpoczęło kolejny etap porządków radzieckich. Ponownie nastąpiły dni grozy. Nikt nie wiedział, co będzie jutro, co przyniesie następny dzień. Często gościem w mieszkaniu stał się *sledowatiel*^[11]. Czasami samotny, czasami przychodziło kilku. Zawsze wyciągali jakieś dokumenty, zawsze twierdzili, że będą pisać *prataki*^[12]. Niestety, jakże często byli głodni i na szczęście, przeważnie spragnieni alkoholu. Często wędrowali więc rodzice ich tym co było najlepsze, kosztem rodziny. Wypity alkohol jak zawsze i wszędzie tworzył atmosferę przyjaźni i życzliwej pomocy.

Jedno z takich przesłuchań utkwilo mi mocno w pamięci. Rozpoczął się wieczór, gdy do mieszkania weszło kilka żołnierzy. Stali lub niemrawo poruszali się, wypełniając sobą prawie całą wolną przestrzeń największego pokoju. Ich potęgę i siłę podkreślały długie, szerokie płaszcze. Szczupły i mały ojciec wyglądał na zagubionego i bezradnego. Żołnierze nie chcieli usiąść. Weszli na moment. Nie próbowali dyskutować. Wszystko wskazywało, że za chwilę wyjdą, zabierając ojca pozbawionego wolności.

Kręciłem się tam i słyszałem jak zgłaszali jakieś pretensje do okresu niemieckiej okupacji, a głównie, że ojciec nie był w partyzantce i nie współdziałał z armią radziecką w walce z hitlerowskim najeźdźcą. Nie pomagało tłumaczenie się ani stanem zdrowia, ani wiekiem, ani tym, że mając małe dzieci nie mógł opuścić rodziny. Wreszcie ojciec zaczął wyjaśniać, że dla państwa rosyjskiego już służył w carskiej armii i brał udział w pierwszej wojnie światowej. Jako dowód pokazał przedwojenny paszport. Stary dokument był mało czytelny i tamci oświadczyli, że data urodzenia jest nie widoczna i nie wierzą w żadną służbę i udział w tamtej wojnie^[13].

Pamiętam przerażoną twarz ojca, jego bezradnie opadające ręce, z otwartym, bezwartościowym dokumentem, który z taką wiarą i nadzieją, na udowodnienie swojej niewinności, wręczał przed chwilą wysokiemu dowódcy grupy. Pamiętam słowa wypowiedziane w tamtym momencie: - *Ja że służył w carskiej gwardii...Ja był na pierwszej mirawoj wajnie i w awstryjackam plenu.*^[14] Któryś enkawudysta, nadal stojąc stwierdził, że w bajeczki nie wierzy i oczekuje udowodnienia. Ojciec jeszcze bardziej przerażony, na chwilę zaniemówił, następnie zaczął z przerwami odpowiadać: - *No kakże?... Eta wsie znajut...rodstwienniki... siasiedi...wsia dieriewnia.*^[15] Enkawudysta

przerwał: - *Malczy ty! .. Kto znajet gdzie ty był? ... Kto tiebia widiel na toj wajnie? Priwiedi jowo... My s nim pogawarim.*^[16]

Nie wiem, nie pamiętam jak się potoczyło dalej to najście. Prawdopodobnie całą sprawę uratowała mama, która przyniosła patelnię gorącej, pachnącej kielbasy i kilka butelek samogonu. Być może, do późnej godziny nocnej trwała gościna, wesołe śpiewy i pijaństwo. Takie sytuacje zdarzały się niejednokrotnie.

Po wyjściu nieproszonych gości, nastąpiła kolejna ulga i radość. Na pewno mama głośno stwierdziła, że Bóg ponownie miał nas w opiece, że i tym razem nieszczęście ominęło nasz dom, że niechby ich zaraza wzięła i niech tu więcej nie wracają.

Tragiczny los osób, do których władza radziecka nie miała zaufania, a zaufania oni nie mieli chyba i sami do siebie, potęgował fakt, że na straży swobód nowego państwa powszechnego dobrobytu stały dwie organizacje. Prócz NKWD, działało jeszcze konkurencyjne KGB (*Komissariat Gosudarstwiennoj Bezopasnosti*)^[17]. (Nie jestem pewny, czy dokładnie odtworzyłem nazwę, na podstawie wspomnień ojca.) Była to druga policja udowadniająca niewinnym ludziom niepopelnione winy. Jedni i drudzy wzywali na przesłuchania lub przychodzili do domu. Należało więc częstować alkoholem oraz karmić zarówno tych z NKWD jak i z KGB.

Podczas jednego z takich przesłuchań, wezwany do gabinetu którejś z ww. organizacji, ojciec usłyszał: - *Cechanowicz! Kak eta mozier byt' ? Wy byli saltyssem u Niemcew i jeszcze na swabodie? Wied' my uzie so wsiemi saltysami sdielali pariadok! Paczemu Was jeszcze nie zakluczili? Pacziemu Wy jeszcze nie w tiurnie?*^[18]

Po tych słowach, funkcjonariusz wyszedł z pokoju, w którym odbywało się przesłuchiwanie. Nie wracał dość długo. Ojciec był pewny, że po takim wstępie, do domu nie wróci. Siedział jednak beczynnienie i czekał na wyrok. Wiedział doskonale, że nie ma ucieczki z gmachu, nie ma schronienia w kraju. Może to go uratowało. Może przesłuchujący oficer tylko czekał na pretekst do zastosowania siły i aresztowania pod zarzutem ucieczki. O ucieczce nie mogło być mowy, nie pozwoliliby wyjść nawet z budynku.

Przesłuchiwania dość często miały miejsce w naszym domu. W takich przypadkach nigdy nie obeszło się bez poczęstunku. Enkawudyści przychodzili zawsze wyjątkowo głodni, spragnieni alkoholu, a w naszym domu byli zawsze częstowani i witani *serdecznie*. Może to uratowało ojca przed aresztowaniem. Sąsiad, a jednocześnie szwagier ojca, pan Wiktor Pruszkowski, miał odrobinę inną mentalność. Stwierdził jednoznacznie, że „tych swołaczaj” karmić nie będzie. Jedyne raz, któremuś zaproponował papierosa. Opowiadał o tym ojcu enkawudysta, który od Pruszkowskich przyszedł do nas. Natychmiast po jego wejściu, po obowiązkowym *zdrawstwujtie*, jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej rozmowy, ojciec zapytał się nieproszonego gościa: „*wot Wy s darogi, mozier nie uspieli pakuszat` i hałodnyje?. Mozier pieriekusitie szto nibut` u nas*”.

W takiej sytuacji nie czekając na odpowiedź mama zawsze zaczynała nakrywać do stołu, ustawiać talerze, kroić chleb. Prawie jednocześnie, w biegu, dokładała suchych, cienkich drewnienek do kuchenki i rozpalala w niej ogień. Za chwilę dało się

słyszeć wesołe skwierczenie i miły zapach smażonej słoniny zaczynał się rozptywać po całej izbie. Kilka jajek wrzuconych na gorący tłuszcz i zarumienione skwareczki zapowiadały wspaniałą zakąskę do dużej butelki samogonu, którą już postawiono na środku stołu.

Ojciec opowiadał, że po takim wstępie jeden enkawudysta stwierdził: - *Da, Wy Cechanowicz, charoszij czielawiek. Wy mienia ugastili. Pastarajuś Wam pamocz`, Wied` ja s samawo utra niczewo nie kuszal i hałodnyj kak sabaka, a mnie Pruszkowskij papierosa dajot. Pruszkowskawo zakluczat, a Wy Boh dast, astaniertieś na swabodzie.*^[19]

Któryś *sledowatiel* pomógł. Może ten, może inny. Nie jeden pił wódkę w naszym mieszkaniu. Nie jednego goszczono. Tylko raz w trakcie przesłuchania ojciec użył słowa... *tawariszcz* ... W następnym momencie mocno żałował swego zuchwałstwa, gdyż dowiedział się, że *tawariszcz*, to słowo dla dobrych ludzi ... *a ty, palackaja morda, kamień za pazuchoj dierzisz i tawariszcziem nazywajesz. Tawariszcz eta charoszieje słowo, no nie dla takich swołacziej, kak wy Palaki.*^[20] Od tego momentu, ojciec słowo *tawariszcz* używał jedynie wspominając tamten przypadek.

Pruszkowskiego zabrali. Tym razem w dzień. Mama pokazywała przez szpary w zamrażniętym oknie, jak go wyprowadzali żołnierze z karabinami, na których wysoko sterczały wspomniane wcześniej długie, czworokątne bagnety. Przed domem stał ciężarowy samochód z budą otwieraną od tyłu. Później dowiedziałem się, że ten samochód budził paniczny strach wśród Rosjan i oni go nazywali „*czornyj woran*” tj. czarny kruk^[21]. Pan Pruszkowski siedł między dwoma żołnierzami. Mały, skulony i bezradny wszedł po schodkach do dużej budy bez okien. Ciężkie więzienne drzwi zatrzasnęły się za nim na długie lata.

Okropny okres rozpoczął się dla pozostałej na wolności rodziny - samotnej matki z trójką małych córek. Jak one poradziły? Jak przetrwały najtrudniejsze, długie lata? Czasami nasz ojciec trochę pomagał. Gdyby nawet pomoc była największa, to i tak nie mogła zastąpić męskich rąk potrzebnych na co dzień w każdej rodzinie, zwłaszcza w tamtym okresie, na wsi. Nie jestem w stanie wyjaśnić w jaki sposób udało im się przetrwać najtragiczniejsze lata.

Pani Pruszkowska, serdeczna koleżanka mamy często przychodziła do nas, szczególnie po powrotach z wyjazdów do różnych więzień rozsianych na terenie całej Białorusi. Wtedy godzinami opowiadała o swoich przeżyciach podczas podróży pociągami, gdzie złodziejstwo i bandytyzm stały się zjawiskiem normalnym. Opowiadała o wielogodzinnym czekaniu pod bramą więzienia w długich kolejkach zapłakanych kobiet. Samotne, pozbawione wsparcia dzieliły się ze swymi mężami tą odrobiną żywności, którą nieznanymi metodami potrafiły oszczędzić, najczęściej odbierając od ust swoich lub dzieci. Pani Weronika, w jakiś dziwny sposób potrafiła zapewnić ubranie oraz żywność sobie i trzem córkom w wieku szkolnym. Jeździła dziesiątki kilometrów z tobołkiem, aby zawieźć coś mężowi. Skąd brała siły? Jak to wszystko wytrzymała?

Tak bardzo cierpiał naród w tamtych latach, że opisać tego nie potrafię. Więc niech będzie mi wolno wstawić w tym miejscu fragment wspomnianego wcześniej

utworu Anny Achmatowej, który w miarę posiadanych umiejętności starałem się przetłumaczyć na język polski.

...Był to czas, kiedy uśmiech miał
Jedynie martwy spokój zaznawszy
I zbytecznym balastem się włóczył
Obok swych więzień Leningrad,
Kiedy, tracąc rozum z rozpaczy,
Osądzonych kroczyły pułki,
Kiedy krótką pieśń rozłąki
Trąbiły smętnie lokomotywy.
Gwiazdy śmierci wisiały nad nami
I niewinna skamlała Ruś
Pod ciężkimi, krwawymi butami,
Pod oponami czarnych *maruś*.

I
Zabrali ciebie o świcie,
Z tyłu niby na pogrzeb szłam.
W ciemnej izbie płakały dzieci,
Przed obrazem dopalała się świeca.
Na ustach twoich chłód ikonki
Na czole śmiertelny pot...
Będę pamiętać!
Będę tak, jak strzeleckie żonki
Pod ścianą kremłowską wyć...

Pomimo całego tragizmu powstałej sytuacji, miała jednak tamta rodzina wyjątkowe szczęście. Pan Pruszkowski ciągle przebywał na terenie Białorusi, a więc nie poznał syberyjskiej zimy i śnieżnej tajgi. Miejsce jego pobytu nie było utajnione. Zezwolono na korespondencję i odwiedziny z możliwością dostarczania paczek. Jakież to paczki? Co mogła do niej włożyć pracownica kolchozu? Więźniowie najbardziej potrzebowali cebuli i czosnku. Może czasami zawiozła kawałek słoniny.

Pan Pruszkowski wrócił do domu po ośmiu latach pobytu w radzieckim więzieniu. Po powrocie do swojej rodziny, spędził z naszym ojcem wiele wieczorów na długich rozmowach o okropnościach stalinowskiego systemu, o cierpieniach niewinnych ludzi^[221].

Ojciec bardzo wysoko cenił sobie wypowiedzi i opinie Pana Pruszkowskiego. Twierdził z ogromnym przekonaniem, że przebywając w towarzystwie ludzi wszelkich profesji i najróżniejszego wykształcenia, zdobył gruntowną, wszechstronną wiedzę, której nie mogła zapewnić żadna radziecka szkoła z programem komunistycznej propagandy. Zawsze podkreślał, że jedynie ci, co przeszli radzieckie więzienia i lagry znają prawdę tamtego kraju, mają prawo zabierania głosu na każdy temat, od nich można uzyskać prawdziwą wiedzę o rzekomym dobrodziejstwie stalinowskiego systemu. Coraz bardziej oburzonym głosem stwierdzał, że propagandowe książki i oszukańcze podręczniki historii, zawierają takie kłamstwa, jakich nigdzie dotąd nie było. Dodawał wreszcie, że nikt rozsądny na ten temat nie ma najmniejszej wątpliwości.

Jeden z enkawudystów później dość często odwiedzał nas, wraz żoną i synem. Traktował swoje wizyty jako spotkania dobrych znajomych, a może nawet przyjaciół. Przychodzili do nas na święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. Składali życzenia *s prazdniczkom* i rozpoczynała się gościna suto zakrapiana alkoholem. Na tę okazję mama zawsze miała zaoszczędzone pęta kielbas swojej roboty, które bez przerwy smażyła i donosiła na stół. Dzieciom przy tym zawsze mówiła, że mogą dostać tylko troszeczkę do spróbowania, że smaży wszystko dla „gości”.

Kielbasę mama robiła ręcznie. O maszynce do mielenia mięsa nie mogła nawet marzyć. Mięso kroїła nożem, a potem wpychała do jelit, przy pomocy odpowiednio „obciętej” ... szyjki od butelki. Odciać szyjkę nie było łatwo. W tym celu niezbędny był sznurek, nafta i ...woda. Sznurek nasączano naftą. Następnie, na odpowiedniej wysokości, obwiązywano nim butelkę i podpalano. Ogień płonął chwilę. We właściwym momencie, płomień zalewało się wodą. Od gwałtownego ochłodzenia, rozgrzane szkło pękało. Szyjka miała odpaść. Podczas tej manipulacji, często pękała cała butelka i wszystko rozpoczynano od początku, z następną.

Jeżeli szyjka butelki *odskoczyła* równo, to powstawało *urządzenie* do napychania kielbas. Mama robiła kielbasę wieczorem, po zakończeniu innych prac. Z zachwytem obserwowałem tę nudną, lecz uroczystą pracę, ponieważ później istniała szansa spróbowania wykonanego przysmaku. Praca trwała wyjątkowo długo. Mama wpychała pokrojone mięso do jelita poprzez szyjkę butelki, garstka po garstce. Kielbasa powstawała wolno i nie częściej niż dwa razy w ciągu roku. Może z tego powodu tak bardzo smakowała.

Wspomniany „zaprzyjaźniony” enkawudysta o nazwisku Juskiewicz ostrzegał, również ojca, że wkrótce NKGB zamierza go aresztować. Na wezwanie nie powinien więc zgłaszać się, a natychmiast skontaktować się z nim, Juskiewiczem. W przypadku, gdyby nie udało się nawiązać kontaktu, to powinien uciekać, bo w przeciwnym wypadku trafi do więzienia na wiele lat. Jakoś do tego nie doszło. Widocznie tamci z KGB byli również goszczeni na podobnym poziomie. Widocznie samogonu dla nich również nie oszczędzano.

Wódka i poczęstunki na pewno miały wpływ na efekty śledztwa. Prawda też jest, że prócz faktu pełnienia funkcję sołtysa, ojcu nie można było postawić żadnych zarzutów współpracy z Niemcami. Miał również miejsce przynajmniej jeden przypadek, obalający pomówienia i świadczący, że obowiązki sołtysa ojciec wykonywał na przymus, bez zaangażowania.

Ojciec nie musiał udowadniać, że pewnego dnia sąsiad współpracujący z Niemcami, wszedł do naszego mieszkania z obcym człowiekiem. Miał przy tym pretensje, że nieznanymi ludźmi chodzą po wiosce, a sołtys nie reaguje. W odpowiedzi usłyszał, że to nie należy do obowiązków sołtysa. Od tego są inne władze i że nie będzie na ten temat rozmawiać. Sąsiad zaprowadził tamtego biedaka na policję i oddał w ręce Niemców. Później się okazało, że NKWD o całym wydarzeniu wiedziało dokładnie.

Sąsiad, po wkroczeniu na nasze tereny Armii Radzieckiej, trafił do więzienia i do naszego wyjazdu w 1958 roku żadna informacja o nim do rodziny nie dotarła. Prawdopodobnie już nie żył. Z jego synem Ryśkiem chodziłem do szkoły. O tym, że on nie ma ojca, nie wspominaliśmy nigdy, w żadnych rozmowach.

Do matki Ryśka w okresie, gdy była jeszcze panną i mieszkała tylko z niepiśmiennym bratem i siostrą, zalecali się chyba wszyscy chłopcy ze wsi, robiąc najróżniejsze kawały, psikusy.

Jednym z żartownisiów był wujek Władek, którego udało się tak szczęśliwie wydostać z radzieckiego transportu. Już w Polsce z błyskającym radością spojrzeniem na zawsze uśmiechniętej twarzy wolno i dokładnie opowiadał jak w ciemnościach nocy rozebrali na części składowe wóz konny, a następnie wciągnęli na dach stodoły i złożyli ponownie. Dwa koła znalazły się po jednej stronie szczytu, a drugie dwa - po stronie przeciwnej. Długi dyszel wstawiony na swoje miejsce, lekko unoszący się nad dachem, doprawiał całości obrazu.

Chłopcy schowani za pobliskim płotem czekali na przebudzenie się panny Loni. Gdy znalazła się na podwórku i zaczęła z niedowierzaniem przecierać zdumione oczy, na widok własnego wozu stojącego wysoko, na tle błękitnego nieba, natychmiast znaleźli się przy niej. Dowcipkowali i śmiali się. Pytali, jakim sposobem wjechała tak wysoko? Jak sprowadziła konie? Jak i kiedy wóz z dachu wróci na ziemię?

Wreszcie, wspólnie ponarzekali na łobuzów, którzy to zrobili i wyrażali zgodę na zdjęcie wozu. Oczywiście padało stwierdzenie, że bez wzmacniającego napoju tak wysoko nie wejda. Zrozpaczona Lonia, obiecała wódkę po ściągnięciu wozu i oświadczyła, że idzie szykować poczęstunek. Chłopcy ochoczo brali się do pracy. Włazili szybko na dach, wóz rozbierali na części, a potem spuszczały w dół, na linkach. Spieszili się. Wiedzieli, że obiecany poczęstunek już czeka. Smutek zniknął z twarzy panny Loni, a młodzi chłopcy mieli powód do radości.

Innym razem, tak samo wczesnym rankiem, znaleźli się „przypadkowo” obok domu koleżanki. Szeroko otwartymi oknami i drzwiami wydobywały się z niego kłęby dymu. *Zdziwieni i zaskoczeni* weszli do domu dopytując się, dlaczego dziewczyna stosuje inną metodę odprowadzania spalin, niż pozostali sąsiedzi. Próbuąc udzielić pomocy, ochoczo przystąpili do podsycania ognia w *ruskim* piecu, podstawowym obiekcie kuchni. Wsadzali też głowy do wlotu komina, spoglądali do góry. Sprawdzali czy jest przelot. Orzekali, że niebo widać, a więc dym powinien kierować się w tamtą stronę. Ponownie wychodzili na podwórko i nie mogli nadziwić się, że nad dachem go nie ma, a ciemne, falujące kłęby wypływają otwartymi drzwiami i oknami, jakby w mieszkaniu paliło się.

Panna Lonia, nie potrafiła zrozumieć co się dzieje, błagała o pomoc i ratunek. Przecież w takich warunkach nie można mieszkać. Zmartwieni chłopcy z nią się zgodzili i uśmiechając się bezradnie orzekli, że tak samo nie umieją rozwiązać problemu i nie potrafią udzielić pomocy. Wreszcie któryś wpadł na pomysł, aby usiąść przy wódcie i dobrej zakąsce. Może wtedy coś się wymyśli. Pomimo dymu wrócili do mieszkania. Usiedli za stołem, lecz nadal głośno narzekali, że dym gryzie w oczy, że nie da się wytrzymać. Domagali się aby prędzej znalazła się na stole obiecana butelka i chleb oraz dobrze wysolona, gruba słonina.

Gdy załzawiona panna Lonia przygotowywała poczęstunek, jeden z dowcipnisiów, niepostrzeżenie opuścił mieszkanie, a następnie wszedł po drabinie na dach i zdjął szybę, która leżała płasko na kominie przesłaniając wylot. Gdy wrócił do mieszkania na stole stała pełna butelka i wspaniała zakąska, a ogień w piecu ożył. Jego długie języki zmieniając się w ciemne smugi, płynęły jak zawsze do góry, w kierunku czarnej czeluści komina. Zaskoczona Lonia i zdziwieni młodzi chłopcy wyciągnęli tylko jeden nasuwający się wniosek, że sam poczęstunek wystarczył, aby dym znalazł właściwy kierunek.

Chyba wypada jeszcze wspomnieć, że zanim rozpoczęła się wojna Niemców z Sowietami, wujek Włodek przez cały czas się gdzieś ukrywał. Szczegółów nie znam. Podczas niemieckiej okupacji pracował na kolei i razem z olejem *podsypywał* piasek do smarownic w wagonach kolejowych.

16

Daleko, we wspomnieniach dorosłego pokolenia pozostały lata przedwojennego Państwa Polskiego przyćmione krótkim, lecz jakże strasznym panowaniem „pierwszych sowietów”. Lata okupacji Niemieckiej były okresem nieustannego oczekiwania na klęskę obu najeźdźców. Ludzie wierzyli w sprawiedliwość dziejową i modlili się o powrót Polski silnej, ze wschodnimi granicami według stanu z 1939 roku. Długo nie przyjmowali do wiadomości nowych faktów. Nie godzili się z zaskakującą decyzją zwycięskich mocarstw, które przekazały nasze tereny pod panowanie Sowietów. Istniało powszechne przekonanie, że skoro przed wojną należały do Polski, to po jej zakończeniu Polska winna tam pozostać. Oczekiwali, że wkrótce niesprawiedliwe decyzje zostaną zmienione. Podczas codziennych spotkań w trakcie prowadzonych rozmów, przekonywali siebie nawzajem, że gdzieś na górze zostaną wysłuchane błagania i modlitwy Polaków, stanowiących w naszych okolicach znaczny odsetek ludności.

Również pozostała ludność za Rosją Radziecką zbytnio nie tęskniła. Najstarsi mieszkańcy nie przyznawali się do żadnej narodowości. Słowem „tutejszy” podkreślali niezależność oraz większe przywiązanie do terenów, na których od wieków mieszkali praojcowie, niż do władzy państwowej z dalekiej Moskwy. Z opóźnieniem docierała tu też kultura i obyczaje z równie dalekiej Warszawy. Uważali ponadto, że władza warszawska, która zaistniała dopiero po zakończeniu pierwszej wojny światowej nie ma większego wpływu na codzienne kłopoty i radości.

Znajdując się na pograniczu dwóch kultur, jednakowo dobrze znali i rozumieli język polski i rosyjski. Tamci prości ludzie, dumni ze swej tożsamości i odrębności, na co dzień nie używali ani języka rosyjskiego, należącego do innego narodu, ani polskiego w jego literackiej postaci. Ich zdaniem czystą, naukową odmianą tej mowy wysławiali się ludzie bardziej *uczni*, oderwani od wiejskich korzeni. Rozmawiali między sobą „po prostemu”. Woleli jednak pozostać w państwie „polskich panów”, niż w sowieckich kołchozach.

Niestety „polskie pany” nie wróciły, a rozpoczęły się „drugie sowiety”. W tym czasie władze radzieckie wyraziły zgodę na repatriację ludności narodowości polskiej do kraju mającego już nowe granice. Mieszkańcy byłych Kresów Wschodnich stanęli

przed koniecznością wyboru, którego nigdy ani to pokolenie, ani żadne poprzednie nie musiało dokonywać.

Pozostanie na ziemi przesiąkniętej potem poprzednich pokoleń, oznaczało podporządkowanie się władzy, która nie liczyła się z nikim i z niczym. Wyjazd w nieznaną, szczególnie dla starszego pokolenia, był przerażający. Wśród rodzin powstawały i rozwijały podziały nie istniejące poprzednio. Zwolennicy wyjazdu nie mogli zrozumieć decydujących się na pozostanie. Zamierzający pozostać na ziemi ojców dziwili się wyjeżdżającym.

Repatriacja, to nie wycieczka, ani wyjazd na zabawę lub w swaty, do sąsiedniej wsi. Repatriacja, to opuszczenie domu i podwórka, to rezygnacja z oczekiwania na zejście śniegów i na wiosenny łagodny wiatr, osuszający glebę do pierwszych prac polowych. Repatriacja, to rezygnacja z wyprowadzania równych brzd na własnym wąskim zagonie, tak jak to robił ojciec lub dziadek, za którym próbowano nadążyć małymi kroczkami bosych stóp, zapadających się głęboko w spulchnionej roli.

Repatriacja, to pozostawienie zasiewów na polu praocjów i nieujrzenie pierwszej zieleni wschodzącego zboża, to pożegnanie z delikatnymi źdźbłami, wyciągającymi się coraz wyżej, ku ciepłym słonecznym promieniom, pod wpływem których dorodne ziarna wypełnią ciężkie kłosa. Wyjazd daleko na nieznaną tereny, to zerwanie z przeszłością, z krętą ścieżką w lesie, ze swoim kołkiem w płocie i tym samym sąsiadem po jego drugiej stronie. Wyjechać na obce, to nie pokazać wnukom swego domu, wiatru, nieba i drzewek sadzonych własnoręcznie, w latach młodości.

Wyjazd na tzw. Ziemię Odzyskaną, to wyjazd na obce, niemieckie. Niemców poznali wszyscy dokładnie. Co prawda nie ruszyli wsi, lecz spalili miasto, wymordowali setki niewinnych ludzi. Jak teraz wyjeżdżać dobrowolnie na ich tereny. Lepiej zostać na swoich piaskach, w drewnianych domach. Granica niech biegnie tuż za lasem, za sąsiednią wsią, aby u nas była Polska.

Zamiast Polski było NKWD i nadciągała przyszłość z kołchozami oraz niedającymi się przewidzieć posunięciami władzy radzieckiej. Więc może lepiej wyjechać? Może lepiej zostawić dom i podwórko, zabrać krowy, kury i konie. Następnie kilka tygodni koczować *pod chmurką*, na rampie kolejowej czekając na wagony. Potem kilka tygodni *turlać* się na zachód tam, gdzie czeka niemiecka wrogość i nienawiść. Wielogodzinne rozmowy, wyszukiwanie wciąż nowych argumentów za wyjazdem lub pozostaniem, stało się codziennością wszystkich dorosłych Polaków.

Bez wahania decyduje się na wyjazd brat ojca. Rodzice, po nie kończących się rozterkach, również postanawiają wyjechać. Na podwórku stanęły większe i mniejsze skrzynie, pozbijane z grubych nie heblowanych desek. To były klatki dla świń, owiec i nie wiem do czego jeszcze. Wspinanie się po skrzyniach stało się przyjemną zabawą. Robiłem to często z córkami państwa Pruszkowskich. Bawiliśmy się w wyjazd do Polski.

Do wyjazdu nie doszło ani u nas, ani u Pruszkowskich. Może strach przed nieznaną przyszłością, na obcej ziemi, był większy niż obawy przed nowym porządkiem w wykonaniu władzy radzieckiej? W przypadku naszych sąsiadów przyczyną rezygnacji z wyjazdu mogło być aresztowanie głowy rodziny. Może przyjaźń

między rodzinami była powodem, że gdy jedni nie mogli wyjechać, drudzy również postanowili zostać.

U nas, na etapie końcowych przygotowań do opuszczenia swojego kraju mama zachorowała raptownie na zapalenie wyrostka robaczkowego. Operacja stała się nieunikniona. Została wykonana w Stołpcach, w radzieckim szpitalu. Rana źle się goiła. Konieczne było leżenie w łóżku. Prócz tej poważnej przyczyny, istniała jeszcze jedna. Zaczynało rosnać napięcie na linii Wschód - Zachód. Nadchodziły pierwsze miesiące długiego okresu nazwanego w historii powojennej okresem zimnej wojny. Oficjalnie oraz pokątnie coraz więcej i głośniejsz mówiono, że kolejna wojna jest nieunikniona i wkrótce wybuchnie. Większość mieszkańców po cichu, w zakamarkach duszy, spodziewała się klęski sowietów i odbudowy Polski w przedwojennych granicach.

W takich warunkach ojciec ostatecznie stwierdził, że nigdzie nie pojedzie, że jeżeli ma ginąć, to lepiej w swoim domu, a nie na obczyźnie. Jeżeli ma żyć, to i tu da sobie radę. Skrzynie zostały porozbijane i zostaliśmy w Kraju Rad. Decyzja rodziców była ostateczna, a postanowienia władz radzieckich przesądziły, że stała się nieodwracalna na wiele, długich lat.

Już wkrótce granica z Polską została zamknięta i o wyjeździe z tamtego kraju nie można było nawet marzyć. Rodzice nigdy dokładnie nie mówili, z jakimi uczuciami pozostali w swojej wsi, lecz poza granicami powojennego Państwa Polskiego. Może była to swego rodzaju ulga, bo przecież nad głową pozostał ten sam dach, a spokój mieszkania osłaniały *swoje* ściany. Nadal służył ten sam ceglany piec, a wokół mieszkali sąsiedzi.

O goryczy spowodowanej przesunięciem granic i koniecznością podporządkowania się władzy radzieckiej, słyszałem wielokrotnie. Sił dodawało przekonanie tworzone i rozbudowywane na własny użytek, że tym razem władza nie będzie tak okrutna, jak za *pierwszych sowietów*. Nie wygasał płomyk nadziei, iż wkrótce przywrócone zostaną granice z okresu międzywojennego. Płomyk ten wzmacniał i uodparniał psychikę ludzi, pozwalał przetrwać najtrudniejsze momenty stalinowskiego terroru.

Z pierwszych powojennych lat, utkwił w pamięci wyjazd pociągiem do Baranowicz, do lekarza okulisty. Został spowodowany tym, że u brata Edka na powiekach potworzyły się jakieś strupy, które w żaden sposób nie chciały wygoić się. Życzliwi sąsiedzi zgodnie w wieloletnią tradycją, tak samo jak i w innych podobnych przypadkach uspakajająco stwierdzali, że „z wiekiem samo przejdzie”. Na tę dziwną chorobę zawsze zwracali uwagę Rosjanie, przebywający dość często w naszym mieszkaniu. Mówili *...kakije Wy raditieli? Paczemu riebionka nie leczicie... Pacziem u nie obraszczajeties` o pomaszcz k naszym wraczam* ?^[23]

Rodzice niejednokrotnie zwracali się do lekarzy w Stołpcach i stosowali różne domowe sposoby leczenia. Nic nie skutkowało. Wreszcie zdecydowano, że należy pojechać do większego miasta, do lepszego lekarza. Wybrali się do Baranowicz. Na tę wyprawę całej rodziny zostałem również zabrany. Może rodzice pragnęli pokazać mi pociąg i większe miasto, a może po ciężkich przeżyciach wojennych, nie chcieli rozstawać się z żadnym dzieckiem, nawet na krótki okres?

Wyjechaliśmy wczesnym rankiem, aby wieczorem wrócić do domu. W Baranowiczach nie mieliśmy żadnej rodziny, ani znajomych. Nie było tam gdzie przenocować. Fragmentu drogi do Stołpiec nie pamiętam. Zbyt mocno byłem przejęty perspektywą znalezienia się w prawdziwych wagonach. Dotychczas pociągi widziałem z daleka, wagony wyglądały jak małe dziecinne zabawki. Ciągle miałem wątpliwości czy się zmieścimy w nich, mimo zapewnień mamy, że są duże i że nawet dorosły człowiek w wagonie się zmieści bez żadnych problemów. Mama miała rację. Pokonując wysokie schodki weszliśmy do środka. Stały tam drewniane ławki. Zająłem miejsce przy oknie. Potem nastąpiło szarpnięcie i pierwszy raz w życiu mogłem oglądać krajobraz przesuwaną się za szybą.

Wkrótce dowiedziałem się skąd Łotysze brali blachę do robienia wiader. Na wysokich nasypach, czasami w znacznej odległości od toru, przeważnie na boku, leżały wielkie, długie wagony. Ojciec kolejny raz powtarzał, żebym zapamiętał dobrze, że właśnie widzę skutki wybuchu min podłożonych pod szyny lub efekty bombardowania. Szary poranek panował za oknami. Wagony, smutne i czarne od sadzy, leżały czekając być może na wschód słońca, a może na następców Łotyszy, którzy pozdzierają ostatnie zdrowe blachy, a resztę zawiozą do hut.

W Baranowiczach, po wyjściu z pociągu, skierowaliśmy się, do miasta. Ujrzałem szeroką, pustą ulicą wypełnioną czystym, porannym powietrzem, które szybko orzeźwiało zaspany organizm. Lekki chłodek nie miał żadnej szansy wobec ciepłych promieni ogrzewających przyjemnie plecy. Wysyłała je ogromna słoneczna tarcza, znajdująca się jeszcze wyjątkowo nisko na błękitnym, czystym niebie. Na chodniku układały się kontrastowe cienie, rzucane przez gęste liście przyulicznych drzew. Po raz pierwszy przeżywałem przyjemność porannego wstawania.

Zatrzymaliśmy się obok jakiegoś większego budynku po prawej stronie ulicy. Nie było to zbyt daleko od stacji, bo się wcale nie zmęczyłem. Taki etap podróży jeszcze nie nastąpił. Dopiero rozbudziło się zainteresowanie nieznanym, dużym miastem. Koniecznie chciałem zobaczyć, co jest dalej. Widziałem jedynie, że ulica rozdzielała się na dwie. Jedno odgałęzienie skręcało lekko w lewo, a drugie dalej biegło na wprost. Nie przypominam, by tam się znajdowały jakieś budynki.

Niestety, nie poszliśmy ani w jedną, ani w drugą stronę. Zatrzymaliśmy się wcześniej i nastąpiło bardzo długie, nudne siedzenie na ulicy, na zielonej trawie, w cieniu niewysokich, liściastych drzew. Widocznie gdzieś w pobliżu rodzice znaleźli gabinet lekarza okulisty i prawdopodobnie musieliśmy czekać w kolejce.

Ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie musiałem jakoś urozmaicać. Nie bawiło już chodzenie po kwadratowych płytkach dla pieszych, które widziałem po raz pierwszy. Wolałem spacerować po długich, wąskich krawężnikach ułożonych w równy rząd bezpośrednio przy jezdni wykonanej z okrągłych kamieni. Starłem się przy tym utrzymać równowagę i nie podpierać się nogą ani o bruk, ani o trawnik.

Odchodziłem od mamy i ponownie wracałem. Stawałem się coraz śmielszy i pewniejszy. Oddalałem się coraz dalej. Wiedziałem, że bez problemu szybko i sprawnie wrócę. Wreszcie zaszedłem aż do rozwidlenia dróg. Na drodze na wprost nie było ani bruku, ani chodnika. Do centrum miasta prowadziła droga skręcająca w lewo. Na

samotną wycieczkę w tamtym kierunku było zbyt daleko. Musiałem czekać obok mamy i od tego momentu zaczęły się coraz większe nudy.

Chyba już nigdy się nie dowiem, czy wizja która utrwaliła się w pamięci z okresu dziecięcego, jest bliska rzeczywistości, czy faktycznie w tamtym mieście, gdzieś w pobliżu dworca kolejowego istnieje miejsce, a szczególnie rozwidlenie, które ciągle mam przed oczami.

Nie przypominam sobie ani wyników wizyty u lekarza, ani drogi powrotnej na stację. Wiem, że w pewnym momencie znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni w pobliżu torów, ale po drugiej ich stronie. Był to duży, piaszczysty plac. Siedzieliśmy prawdopodobnie na jakimś kocu rozłożonym bezpośrednio na ziemi. Było gorąco. Chciało się pić. Chciało się wracać do domu. Prócz nas znajdowało się tam dużo innych rodzin i osób samotnych oczekujących na swoje pociągi. Dłuższy czas siedzieliśmy tylko z mamą. Ojca nie było. Gdzieś poszedł. Może po bilety, może dowiedzieć się, kiedy będzie powrotny pociąg do domu?

Spokojne oczekiwanie zostało zakłócone przez Cygankę, która prosiła o pieniądze i chciała powróżyć. Przekonywała ponadto, aby dać jej do potrzymania dziecko, tj. małego Edka, śpiącego z głową na kolanach mamy.

Cyganka była bardzo dokuczliwa, a jej próby okradzenia lub wyłudzenia pieniędzy trwały dość długo, były ponawiane. Mama o tym wielokrotnie opowiadała. Mówiła, że wśród oczekujących krążyły dwie, współpracujące Cyganki i okradały samotne matki. Jedna brała na ręce małe dziecko, a następnie wstawiała i odchodziła gdzieś dalej. Gdy przerażona matka próbowała ją gonić druga w tym czasie, szybko przeglądała tobołki i zabierała wszystko, co przypadło do gustu. W stosunku do mamy podstęp się nie udał.

Wiele czasu upłynęło na tym gołym, piaszczystym placu, zanim wreszcie przyszedł ojciec. Rodzice zebrali nasze rzeczy, a następnie przeszliśmy na dworzec. Tam nadal czekaliśmy na pociąg. Słońce schowało się gdzieś za pobliskimi budynkami. Zaczynał się wieczór. Nadciągał mrok i wkrótce na wszystkich peronach zapłonęły latarnie. Obok, co jakiś czas zatrzymywały się, a potem odjeżdżały długie pasażerskie pociągi. Naszego ciągle nie było. Musieliśmy siedzieć obok tobołków na długim, wąskim peronie.

Właśnie wtedy zobaczyłem okropnie okaleczonych żołnierzy w radzieckich mundurach. Wojna nie miała nad nimi litości. Nikt się nad nimi nie litował i po jej zakończeniu. Zdani na własne siły czekali na swoje pociągi, pragnęli gdzieś dojechać, najprawdopodobniej do rodzinnych domów. Na tle szarego tłumu wpadały w oczy ich jednolite, drelichowe mundury. Między sobą różnili się rodzajem kalectwa.

Niektórzy żołnierze nie mieli ręki, czasami częściowo, czasami całej. U niektórych z obu rąk zostały jedynie kikuty. Niektórzy nie mieli nóg, czasami jednej, dość często - obu. Ci, którzy nie mieli tylko jednej nogi chodzili podpierając się drewnianymi kulami sięgającymi po pachy. Opierając się raz na kulach, raz na nodze dość szybko poruszali się po peronie i samodzielnie wchodzili do wagonów.

Żołnierze bez obu nóg poruszali się na niskich drewnianych wózekkach, o bardzo małych kółkach. W rękach trzymali drewniane deseczki - podpórki ze specjalnymi uchwytami. Czegoś podobnego używają murarze do wyrównywania tynku. Opierali się tymi deseczkami o ziemię i popychali do przodu wózekki, na których sami siedzieli. Ludzie schodzili im z drogi, a oni jeździli po peronie, raz w jedną, raz w drugą stronę. Z ich ruchów promieniowała jakaś determinacja i zawziętość. Wydawało się, że gdzieś na końcu peronu mają wyznaczony cel. Pragną najpierw tam dotrzeć, a następnie gdzieś dojechać wiedząc, że mogą liczyć tylko na własne siły. Nie mieli żadnej szansy wejść samodzielnie do wysokich wagonów. Nie widziałem w jaki sposób to się odbywało, kto im pomagał.

Wreszcie, po wyjątkowo długim oczekiwaniu, ponownie usłyszeliśmy chrypiący głos, zniekształcony i zwielokrotniony echem megafonów. W tym potoku dźwięków nie potrafiłem odróżnić żadnego zrozumiałego słowa. Rodzice komunikat zrozumieli i stwierdzili, że teraz podjedzie nasz pociąg. Długi zestaw wagonów wolno wtoczył się na tory obok naszego peronu i wreszcie zatrzymał się.

Ponownie wzdłuż peronu szybko kuśtykali okaleczeni żołnierze. Nie próbowali nikogo omijać. Podążając prosto przed siebie, stanowczo wystawiali do przodu na przemian to ocalałą nogę, to drewniane kule, stanowiące oparcie pod pachami. Gdyby ktoś nie zdążył na czas usunąć się im z drogi, prawdopodobnie świadomie lub przypadkowo zostałby mocno uderzony końcem drewnianej kuli, podczas kolejnego przenoszenia jej z tyłu do przodu.

Może tym kalekom przypominał się gwałtowny atak na nieprzyjacielskie okopy, gdy biegli z okrzykiem: *Wpieriod! Za Rodinu! Za Stalina!*^[24] Krótki oślepiający błysk i długa, nagła ciemność stanowiły zakończenie tamtego ataku. Przebudzenie nastąpiło w innym świecie przepelnionym okropnym bólem lub strasznym swędzeniem nie istniejącej kończyny. Bolały nogi, których nie było. Swędziały dłonie, które zostały na bitewnym polu. Bolało młode serce, nie mogące pogodzić się z myślą o strasznym kalectwie.

Może z tego powodu wszyscy ustępowali im z drogi. Tylko czy to było współczucie, czy strach. Dla okaleczonych przez wojnę zdrowi ludzie byli rodzajem tchórzy dekujących się na tyłach. Przy najmniejszym konflikcie, bez zbędnej dyskusji, mógł być uruchomiony argument w postaci drewnianej kuli, dotychczasowej podpórki pod ramionami. Widoczna z daleka, wysoko uniesiona nad głowami i systematycznie opadająca na winowajcę, wraz z głośnym okrzykiem, na cały peron ...*Ty kuda leziesz? Ty nie widzisz inwalidy? Ja wajewał! Ja krow` pralewał! Ja Rodiny zaszciszczal!*^[25]...byłaby dowodem, że ktoś z tłumu próbował skrzywdzić obrońcę ojczyzny.

Podobne słowa usłyszałem wiele lat później, gdy byłem w Mińsku z synem i jechałem tramwajem. Podczas mocniejszego hamowania młoda dziewczyna nie utrzymała równowagi i lekko oparła się o stojącego w pobliżu starszego mężczyznę. Nie zdążyła przeprosić. W następnej sekundzie oczy starszego pana błysnęły gniewem, a wszyscy natychmiast dowiedzieli się, że jest bohaterem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, a ta wredna, smarkata dziewczyna o mało go nie przewróciła.

Nie rozstępował się tłum przed kalekami na niskich wózeczkach. Ich głowy nie sięgały do pasa tym, co nie mieli nogi. Bezbronne, ludzkie kadłubki zauważano w ostatniej chwili i omijano, lawirując ciałem, robiąc uniki. Ich krzyk pozostałby tam, na dole. Oni nie mogli unieść się ponad tłum.

Zajęliśmy miejsce w wagonie i nastąpiło długie oczekiwanie. Wreszcie odczuliśmy mocne szarpnięcie i pociąg ruszył. Za oknem panowała ciemność, więc nie miałem co oglądać i prawdopodobnie szybko usnąłem. Byłem zmęczony przeżyciami całego długiego dnia poza domem. Powrotu ze Stołpiec do Okinczyc również nie pamiętam. Domyślałem się, że przyjechał po nas dziadek, swoim Dereszem, a ja podczas ostatniego etapu podróży widocznie nadal spałem. Lekarstwo przepisane przez lekarza prawdopodobnie pomogło. Strupy na rzęsach zginęły i więcej się nie pojawiły.

17

Do wspomnień z lat powojennych, do okresu władzy radzieckiej na naszych terenach jakże często powracał ojciec w swoich opowieściach, szczególnie podczas świąt Wielkanocy lub Bożego Narodzenia. Kiedy cała rodzina zebrała się przy stole, nigdy nie milczał. Kolejny raz rozpoczynał swoją opowieść. Pretekstem mógł być nawet moment napełniania kieliszków wódką.

Alkohol w naszym domu był zawsze. W Związku Radzieckim należało go mieć dla gości proszonych i nieproszonych. Był państwowy i tzw. „samogon”, który można było z łatwością kupić od różnych dostawców. Ojciec nigdy nie upijał się, nawet jeżeli siedział przy stole razem z najbardziej spragnionymi tego trunku. Bez względu na towarzystwo zawsze stwierdzał, że wypije tylko jeden kieliszek. Największe nalegania o dalsze wspólne „wznoszenie toastów” żadnego efektu nie dawały. Gość, razem siedzący za stołem, w tym czasie również wypijał „ile mógł” i ile chciał.

Wspominając kolejny raz o efektach rewolucji w Rosji, ojciec już nikogo do głosu nie dopuszczał. Ponownie słyszeliśmy tę samą opowieść, że w jej wyniku do władzy „dorwała się hołota i bandyci”, że był to najgorszy element „z błota i bagna”, że nikt inny, a sami Rosjanie tak mówili, przeklinając Lenina, Stalina i wszystkich komunistów. Od tej chwili wypadało kolejny raz słuchać monologu, przekazywanego wzburzoną głosem o barbarzyństwach gorszych niż hitlerowskie, o męczeniu własnego narodu, o przelanej krwi niezliczonych milionów niewinnych ludzi i dążeniu do opanowania całego świata.

Do okresu kolchozów i warunków życia panujących w Związku Radzieckim ojciec powracał bez względu na temat aktualnej rozmowy. Często przy tym mocno denerwował się, tak jakby ponownie przeżywał tamte lata. Zawsze wyrażał obawy, że po odejściu starszego pokolenia, jeśli nie nastąpią demokratyczne zmiany w krajach podporządkowanych Moskwie, prawdy o okresie stalinowskich rządów długo nie będzie w szkolnych podręcznikach i książkach, w środkach masowego przekazu.

Ojciec nie doczekał się zmian, które przepowiadał ciągle. Twierdził, z ogromnym przekonaniem, że tak jak rozpadła się potęga Niemiec, tak jak *runęły* po pierwszej wojnie światowej Austro - Węgry, tak nieuchronnie rozpadnie się Związek

Radziecki. Nastąpi to już wkrótce, że my doczekamy się tego dnia. Mówił to z takim przekonaniem, jak by był już w przyszłości i zapowiadane zmiany widział. Tak się stało. Ojciec jednak tego dnia nie doczekał się. Zabrakło około dwóch lat.

Wszystkie swoje opinie ojciec uzasadniał spostrzeżeniami z własnych przeżyć i doświadczeń. Twierdził, że wiele widział, a jeszcze więcej słyszał od osób, z którymi zetknął się. Przeważnie byli to Rosjanie, z najróżniejszym poziomem i kierunkiem wykształcenia, z różnorodnymi miejscami pracy, mającymi często za sobą wieloletnie więzienia.

W radzieckich więzieniach i GUŁAGach^[26] siedziały miliony niewinnych ludzi. W tamtym kraju nikt nie był pewny ani dnia, ani godziny. O możliwościach dostania się do stalinowskich łagrów i warunkach jakie w nich panowały mówiono krótko, do rytmu:

Kto nie był, tot budiet.

Kto był - nie zabudiet^[27]

Wśród osób z którymi ojciec, jak to sam określał „godzinami politykował” był też oficer Armii Radzieckiej, pełniący służbę w byłej NRD. Przyjeżdżał do siostry mieszkającej u nas *na lokatorce*. *Cziemodany^[28]* miał zawsze pełne. Po każdej wizycie siostra była zachwycona podarkami. Mama raz również była szczęśliwa, bo przywiózł w upominku ręczną maszynkę do strzyżenia. Wreszcie byliśmy strzyżeni maszynką, a nie nożyczkami.

Starszy, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, były szeregowiec carskiej armii, a jednocześnie przeciwnik stalinowskiego systemu i młody oficer radziecki siedzieli w naszej ciepłej kuchni, przy świetle lampy naftowej zawieszanej nad pustym stołem i rozmawiali do późnych godzin nocnych. Co mogło być przedmiotem ich rozmów? Jakie tematy interesowały tak bardzo?

Z późniejszych relacji ojca wiem, że były to długie wielogodzinne opowieści tamtego obrońcy granic radzieckich i strefy posiadania systemu stalinowskiego o warunkach istniejących w głębi Rosji, o sztucznie utworzonym państwie niemieckim i roli Armii Radzieckiej w utrzymaniu podziału Niemiec. Młody oficer tamtej armii był takim samym przeciwnikiem istniejącego systemu, jak i pozostali rozmówcy. Czy nie jest dziwne, że opowiadał obcemu człowiekowi o swoich najtajniejszych myślach, za ujawnienie których wyrok mógł być tylko jeden - towarzystwo białych niedźwiedzi na dalekiej północy lub śnieżne zamiecie Syberii. Może było mu lżej na sercu, że zwierzył się. Najprawdopodobniej nikomu innemu powiedzieć o tym nie mógł.

Nie darzyła sympatią istniejącego systemu również siostra oficera. Tamta młoda dziewczyna, pracująca w biurze nadleśnictwa, często rozmawiała ze starszym gospodarzem, dzieliła się swoimi myślami, przedstawiała kłopoty i problemy. Opowiadała o rodzicach, z trudem zdobywających pożywienie gdzieś w radzieckim kołchozie, na tak nie dawno żyznych stepach Ukrainy.

Mówiła, że jej ojciec bez wzburzenia nie może mówić o ludziach rządzących krajem, że dla niego partia, to „partia duraków i bandytów”, że ma kategorycznie zakaz nawiązywania jakichkolwiek bliższych kontaktów z osobami należącymi do partii, że w żadnym przypadku, pod żadnym pozorem, nie może wyjść za mąż za członka partii. Wśród starych fotografii zachowało się zdjęcie tej młodej, dumnej kobiety z dużymi,

gęstymi włosami uczesanymi wysoko do góry. Z tyłu zdjęcia jest napis „...na dołguju i dobruju pamiat` ... Nadieżda”

Były to opowieści ojca, gdy już mieszkaliśmy w Polsce. O tamtych dniach grozy i strachu nie mógł zapomnieć, tak samo jak i o carskiej gwardii oraz austriackiej niewoli.

^[11] Jako mały chłopiec bardzo często słyszałem to określenie z ust ojca lub dziadka i długo nie wiedziałem o co chodzi. Dopiero później uświadomiłem, że *pierwszymi sowietami* nazywano okres od 17 września, do wkroczenia Niemców. *Drugie sowiety* rozpoczęły się, gdy żołnierze, z czerwonymi gwiazdami na czapkach, przybyli ponownie.

^[12] Dziadek co najmniej kilkakrotnie wspominał, że kilku jego kolegów widziało, jak carskim traktem przejechała karetka bez żadnych koni. Prerażeni mieszkańcy przyjęli to straszne wydarzenie jako zapowiedź bliskiego końca świata.

^[13] Ojciec opowiadał, że tamtych bezbronnych ludzi najczęściej gazowano w szczelnych, wielkich samochodach spalinami z rury wydechowej.

^[14] Obcokrajowiec nie proszony nie ujdzie. Domostwa swego nie ujrzy. (ros.)

^[15] W okresie, gdy chodziłem do szkoły musiałem pokazywać dziadkowi na mapie, gdzie jest Stalingrad.

^[16] W tym okresie podobno wśród żołnierzy popularne było powiedzonko *dali nam pagony, my wajujem za zagony*. Miała to być zapowiedź likwidacji kołchozów i powrotu do gospodarki chłopskiej

^[17] Któryś Niemiec rozumiał po polsku.

^[18] Głównie Sztudabeckery i Fordy. Jeździły one po tamtych drogach jeszcze wiele lat po wojnie.

^[19] Zwycięzimy, z nami Ameryka, z nami Rouzvelt (ros.)

^[100] wyzwoleniem. (ros.)

^[111] śledczy (ros.)

^[122] protokół przesłuchania (ros.)

^[133] Po wielu latach oglądałem tamten paszport. Datę dało się odczytać.

^[144] Ja służyłem w carskiej gwardii, byłem na pierwszej wojnie i w austriackiej niewoli. (ros.)

^[155] No jak to? O tym wiedzą wszyscy, krewni, sąsiedzi, cała wieś. (ros.)

^[166] Zamilknij. Kto wie gdzie byłeś? Kto cię widział na tamtej wojnie? Przyrowadź go. Porozmawiamy z nim. (ros.)

^[177] Komisariat Państwowego Bezpieczeństwa. (ros.)

^[188] Ciechanowicz, jak to jest? Był pan sołtysiem w okresie niemieckiej okupacji i jest na wolności? Przecież my ze wszystkimi sołtysami już zrobili porządek. Dlaczego pan jeszcze nie siedzi? Dlaczego pan nie jest w więzieniu? (ros.)

^[199] Panie Ciechanowicz, Pan jest dobrym człowiekiem. Pan mnie ugościł, a ja przecież byłem głodny jak pies. Pruszkowski papierosa mi zaproponował. On pójdzie siedzieć, a Pan, z Bożą pomocą, zostanie na wolności. (ros.)

^[200] ... a ty, morda polska, kamień za pazuchą trzymasz i towarzyszem nazywasz. Towarzysz, to dobre słowo, lecz nie dla takich (łajdak, szuja, kanalia) jak wy Polacy. (ros.)

^[211] Z nazwą „*czornyj woron*” zetknąłem się gdzieś dość dawno. Natrafiłem też inne na określenie tego samego pojazdu - „*czarna marusia*” w Rekwiem 1935 -1940 Anny Achmatowej. (rekwiem łac. *requim od reguis = odpoczynek* W kościele katolickim śpiew i muzyka do mszy za zmarłych

^[222] Pruszkowscy przyjechali do Polski kilka miesięcy przed nami i zamieszkali w Olsztynie.

^[233] Co z was za rodzice? Dlaczego nie leczycie dziecka? Dlaczego nie zwracacie się o pomoc do naszych lekarzy. (ros.)

^[244] Naprzód! Za Ojczyznę! Za Stalina! (ros.)

^[255] Dokąd ty leziesz? Czy nie widzisz Inwalidy? Ja walczyłem! Krew przelewałem! Bronilem Ojczyznę! (ros.)

^[266] Skrót od nazwy Główne Kierownictwo Łagrów. (ros.)

^[277] Kto nie był ten będzie. Kto był nie zapomni (ros.)

^[288] Walizki (ros.)

5. Krajobraz z dziadkiem. Niemen

18

W którą stronę nie ruszymy, gdzie się nie zatrzymamy, jeśli tylko zechcemy, ujrzymy piękno otaczającej przyrody. Ciągłe mamy w pamięci takie zakątki, które pragniemy odwiedzić ponownie. Jednak bez porównania więcej jest miejsc, obojętne których pozostanie tylko w sferze naszych marzeń, a także w planach niezliczonych rzeszy miłośników i entuzjastów dalekich wypraw po bezkresnych przestrzeniach naszej planety. Podobno nawet u najszcześniejszych uczestników najdalszych wędrówek rodzi się w końcu pragnienie powrotu do stron ojczystych. Okazuje się, że krajobrazy dzieciństwa i młodości są najmilsze, zostawiają w pamięci najtrwalszy ślad. Niektórzy twierdzą, że tak w radosnych jak i trudnych chwilach, myślami przeważnie wraca się tam, gdzie się urodziło. Podczas takich powrotów, na przestrzeni minionych lat, rozplývają się dawne problemy i troski, zostają jedynie dni szczęśliwej młodości, odradzonej na tle szarych chatek rodzinnej wsi, w postaci błękitnego nieba i kolorowej tęczy.

Widoki dzieciństwa pozostają w zakamarkach pamięci mocno, w znacznym zakresie na zawsze. Dotyczy to zwłaszcza osób, których nieubłagane wyroki losu zmusiły do opuszczenia stron ojczystych. Może z tego powodu mnie również tak często śnią się nadniemeńskie łąki, okińczyckie piaski i ciepłe promienie tamtego słońca. Piękne sny wypełniają się realnym widokiem wiejskiej ulicy w pierwszych dniach wiosny, kiedy łagodne tchnienie południowego wiatru, budziło uśpioną przyrodę. To właśnie wtedy cienkie gałązki na grubych konarach potężnych drzew, zaczynały okrywać się pierwszymi, drobnymi listkami, które nasączały powietrze delikatnym, wiosennym aromatem.

To tam wędruję w letnich snach lipca i znowu, jak przed laty, błękit nieba przepelniają słoneczne promienie, a przez rozstawione palce dłoni przepływa suchy, mocny powiew z południa, zapowiadając dalsze upały. Jedynie tam, nie w marzeniach sennych, a na jawie, szybko i niepostrzeżenie mijała najsmutniejsza pora roku, jesień, skrócona podnieconym oczekiwaniem na śnieżne zamiecie i białe pola mroźnej zimy.

Moje strony rodzinne, to mała wioska i jej leśne okolice. Pierwszym przewodnikiem po terenach, których nie mogę zapomnieć, był nasz wspaniały dziadek. Być może na wspólne spacerunki miał jeszcze wystarczająco siły i czasu. Widocznie ojciec poświęcał się innym, ważniejszym problemom.

Mogło być jeszcze inaczej. Może dziadek tak bardzo kochał swoje wnuki, że potrafił znaleźć czas dla nich, pomimo innych, może nie mniej pilnych obowiązków. Krajobrazy naszego dzieciństwa bez wątpliwości różniły się od widoków z lat dziecinnych dziadka. Dla dziadka otoczenie zmieniało się niepostrzeżenie, stopniowo, tak jak niezauważalnie młodzi chłopcy z tamtych lat przekształcili się w staruszków. Może oprowadzając ukochanych wnuków po dawnych ścieżkach i drózkach, dziadek jednocześnie powracał myślami do swoich lat dziecinnych. Widocznie z tego powodu czasami próbował opowiedzieć jak wyglądała wieś i otoczenie w czasach jego młodości, jak dzieci bawiły się wtedy.

To do niego wciąż tęskno, do jego szczupłej, drobnej postaci i zawsze uśmiechniętych oczu. Tęskno do dziadka siedzącego w cieniu płotu, na ławeczce naszego podwórka lub prowadzącego na pierwszą, daleką wyprawę nad Niemen, na pierwsze spotkanie z tą rzeką.

Nie ma dziadka, nie ma minionych lat. Wierzyłem, że pozostała przynajmniej możliwość powrotu do tamtej wsi i okolic, na tle których przeminęło dzieciństwo. Z tą nadzieją, w 1989 roku, wybrałem się do krainy swojej młodości, wraz z osiemnastoletnim synem. Był to dziwny zbieg okoliczności. W jego wieku opuściłem strony rodzinne.

Przeżyłem wzruszające, a jednocześnie jakże smutne chwile. Powrót do tego wszystkiego, co stawało przede mną w chwili kiedy zamykałem oczy, okazał się nie możliwy. Całe otoczenie było inne. Co z tego, że ulica została w tym samym miejscu? Przecież nie było już na niej piasku, nie było dawnej ścieżki. Zostały tylko nie liczne drewniane chaty, ale już nie słomiane strzechy osłaniały je od słońca i deszczu. Nowe domy stały teraz nawet tam, gdzie kiedyś szumiało latem zboże, gdzie zimą sunęliśmy na nartach po grubej warstwie śniegu. Jak wiele szczegółów z tamtego okresu już nie istniało. Mijający czas i nowi ludzie odmienili wszystko, co tylko dało się odmienić. Pomimo zmian, wiedziałem, że jestem w miejscu, gdzie minęła młodość. Do Niemna trafiłem bez problemu. Zginęła jednak wieś dalekiego dzieciństwa, zniknęła w otchłani mijającego czasu. Nowi ludzie stworzyli sobie odmienne otoczenie.

Najdziwniejsze jest to, że wszystko nowe dawno wyleciało z pamięci. Teraz, jak przed laty, wracają we wspomnieniach stare chaty, piaszczysta ulica i podwórko, na którym dorastałem. W ustach czuję smak zimnej wody z naszej głębokiej studni. Podczas letnich upałów zaspokajała największe pragnienie.

Nowa gospodyni, stojąc w drzwiach naszego domu, stwierdziła obojętnie, że wody w studni nie ma od dawna, że wyschła w okresie, kiedy realizując program zagospodarowania niegościnniej ziemi, melioracyjnymi rowami osuszono bagienne lasy i łąki nad Niemnem. Z dumą dodała, iż wszyscy mają wodę w kranach wodociągu.

Niech ma swój wodociąg i niech się nim cieszy, lecz niech również wie, że krystalicznej wody z prawdziwej studni już nie spróbuje nigdy. Nie ujrzy też pustego wiadra zawieszzonego na długiej linie, oddalającego się w ciemną głębię z nieruchoma gładką taflą, błyszczącą gdzieś daleko na dole. Nie będzie wiedziała, że tam głęboko można dojrzeć swoją twarz, oświetloną letnim słońcem i usłyszeć własne, radosne wołanie powtórzone mocnym echem. Ta nowa gospodyni, naszego domu i podwórka, nie będzie wiedziała, że pełne wiadro, wyciągnięte z głębi ziemi, podczas największych upałów, poilo spragnione usta wspaniałą wodą, zawsze zimną i krystalicznie czystą. Z kranu jej wodociągu taka nie wypłynie nigdy.

Nowa właścicielka domu naszego ojca nie wiedziała nic o studniarzu, który wykopał studnię, a tamten rzemieślnik znał doskonale swój fach. W jego studniach wody nie brakło nigdy. Miało jej wystarczyć na długie lata, dla wielu pokoleń. Nie wiedziała, że posiadał zręczności cyrkowca i chyba nie małą siłę. Do studni wchodził i wychodził, nie używając drabiny. Nie korzystał też z pomocy liny, a jedynie opierał się rękoma i bosymi stopami o gładkie ścianki betonowych kręgów.

Nowa gospodyni na pewno nie wiedziała nawet tego, że kręgi, z których wybudowano studnię, nazywały się *cembrowinami*, że zostały wykonane z najlepszego cementu i najczystszej piasku. Może nie zauważyła, że pomimo upływających lat, pozostawały wciąż mocne i twarde. To od gładkiej powierzchni kręgów i czystej, przezroczystej wody odbijały echem nasze radosne, dziecięce okrzyki.

Mieszkańcy wsi i okolic znali doskonale tamtego rzemieślnika. Nowa gospodyni naszego podwórka, o nim nic nie wiedziała. Tak samo jak nigdy się nie dowie, że przed laty mieszkali tu ludzie wytwarzający prawie wszystko, co niezbędne do życia, we własnym zakresie, w swojej wsi. Nie domyśliła się, że terenów tamtych, jej zdaniem niegościnnych, bez przymusu nikt by nie opuścił. Kamieniste pola, ubogie łąki i przyległy las, bez żadnych melioracyjnych rowów dostarczały bogactwa, które zaspokajało potrzeby mieszkańców. Wiedziały o tym również dzieci, od najmłodszych lat. Nie mieliśmy wątpliwości, że woda jest ze studni, a chleb powstaje z mąki, przywożonej z młyna przez ojca i dziadka.

Byłem w młynie.¹ Przeżywałem drżenie białych ścian i drewnianych, grubych podłóg. Słyszałem jednostajny basowy huk obracających się ciężkich kamieni i szum spienionej wody. Widziałem bryzgi strumienia spływającego z wysokiej zapory na łopaty dużego koła zmuszonego do monotonnych, pracowitych obrotów. Widziałem, jak do dużego drewnianego leja wsypywano na górze twarde ziarno żyta, jak na dole puste worki zawieszane na żelaznych hakach wypełniały się pulchną mąką. Wdychałem najdelikatniejszy pyłek, przesycający wnętrze młyna białą, lekką mgiełką.

Mąka bielila plecy oraz rękawy ubrań ojca i dziadka, wnoszących ciężkie worki z wozu do naszego mieszkania. Nowa gospodyni nie mogła domyślić się, jak ważny był to moment w pracy rolnika. Radosne oczy mamy, dumna twarz ojca i szczęśliwy uśmiech dziadka, stawały się przekonywującym dowodem, że znowu, na kolejne tygodnie, zapewniono rodzinie podstawy żywienia, tj. mąkę na chleb.

Zanim nastały kołchozy, chleba w naszym domu nie brakowało nigdy. Później, podczas władzy radzieckiej ktoś trafnie zauważył, że najłatwiej umrzeć z głodu „między chlebami”, to znaczy w okresie, gdy mąki na chleb z poprzedniego roku już nie ma, a z obecnego - jeszcze nie ma. Przed okresem kołchozów głodu u nas nie było. Pracowite ręce mamy mieszały mąkę z wodą, przyniesioną ze swojej studni. Ciasto w łagodnym cieple, promieniującym z rozgrzanego pieca, stopniowo rozrastało się. Resztki czerwonych węgli w głębokim wnętrzu i pełna *dzieża* pulchnej szarej masy, to uroczysta chwila. W tym momencie drzwi wejściowych do kuchni nikt nie miał prawa otwierać, bo powiew zimnego powietrza z podwórka mógłby ochłodzić rozgrzane ciasto.

Wymierzone, duże, pulchne gałki wysuwały się z troskliwych rąk mamy i delikatnie osiadały na szerokiej płaszczyźnie drewnianej łopaty wystruganej z jednej długiej deski i posypanej cienką warstwą białej mąki. Po chwili, wędrowały one na gorące cegły rozgrzanego pieca.

Żar promieniujący ze wszystkich stron, opiekał powierzchnię uformowanych bochenków tworząc jaśniejszą lub ciemniejszą, chrupiącą skórkę chroniącą w swoim wnętrzu porowaty, smakowity miąższ. Ponownie na kolejne dni tygodnia mieliśmy jedzenie. Kolejny raz rodzice zapewnili dostatek.

Tamta, nowa gospodyni nie wiedziała i tego, że jeszcze tak nie dawno mieszkańcy naszych piaszczystych pól oraz bagiennych, niezmeliorowanych łąk we własnym zakresie wytwarzali żywność, produkowali odzież. Na ubogich zagonach przepelnionych kamieniami zasiewano len, z którego wiejskie kobiety, w wieku naszej babci, tkwały płótno na domowe potrzeby. Obawiam się, że ona nie wie, ile długich godzin spędzały nasze babcie z wrzecionem w ręku, zanim z puszystej przędzy uwiły długą, cienką nić. Być może nie wie, jak wygląda wrzeciono?

Z wysokich, smukłych sosen, rosnących w pobliskich lasach, miejscowi cieśle stawiali ciepłe, drewniane domy. Do budowy nie stosowano żadnych skomplikowanych narzędzi. Najważniejsza była siekiera. Długa, stalowa piła uzupełniła ją w późniejszych latach. Wyćwiczone ręce wiejskiego fachowca dokładnymi uderzeniami niezastąpionego narzędzia potrafiły ukształtować z okrągłych kłoców równe, długie bale o kwadratowym przekroju. Może wtedy, a może w innym czasie młoda mama zachęcając syna do wysiłku, wiedząc że nie szybko osiągnie umiejętności ojca, powtarzała spokojnie: „Hebluj, synku, hebluj... Tata z pola przyjdzie siekierką poprawi”.

Przy pomocy siekiery bale dopasowywano szczelnie, tak że na całej kilkumetrowej długości nie zostawało najmniejszej szparki, żadnego przejścia dla zimowego, lodowatego wiatru. W najtrudniejszych miejscach, na rogach budynku, tam gdzie należało zakleszczyć kłocze z sąsiednich ścian, pracował fachowiec o największym doświadczeniu. Jedyne on potrafił tak wymierzyć i wykonać zacięcia, aby kłocze ułożyły się szczelnie jeden na drugim i całą budowlę trzymały mocno. Nasz drewniany dom stwarzał skuteczną ochronę przed mrozem i deszczem, wiatrem i śniegiem.

Drewniane chaty, słomiane strzechy. Nie wiem, kiedy powstały, kto je budował. Najnowszych domów, z okresu międzywojennego, już nie kryto słomą. Dachy wykonano z drewnianych deseczek, tzw. „dranki”, długości około pół metra. Był to ogromny postęp, w stosunku do słomianej strzechy. Znacznie zmniejszyło się zagrożenie pożarowe. Nowy sposób wykonywania pokrycia w niczym nie zmienił sposobu korzystania z darów przyrody.

Do produkcji „dranki” nie budowano żadnych fabryk, żadnych kopających kominów. Wystarczał jeden koń. Wystarczał mocny drąg - dyszel. Mocowano go jednym końcem w środku konstrukcji, w postaci foremnego wieloboku z grubych kłoców. Swoim drugim końcem mógł się obracać, opisując koła. Siłę napędową zapewniał koń. Ostry, stalowy nóż umocowany pod dyszlem, z odpowiednim prześwitem, odzierał i odcinał cienkie deseczki od kłoców sosny lub świerku, zamocowanych okrężnie, w konstrukcji wspomnianego urządzenia.

Powstawały również dachy z tzw. gontu tj. drewnianych deseczek wyższej klasy, znacznie droższych. Miały w przekroju poprzecznym kształt klina z rowkiem od grubszej strony. W rowek wchodziła wąska strona następnej gonty itd. w prawo lub w lewo, cały rząd. Następnie powstawał kolejny rząd, coraz wyższy, aż do końca dachu. Podobną metodą wykonywano pokrycie z *dranki*. W tym przypadku układano deseczki w zakładkę tak, by jedna częściowo przykrywała drugą. Najnowsze dachy miały jedynie te domy, które powstały w ostatnich latach, na podwórku najlepszych gospodarzy.

W latach młodości dziadka do takich należeli państwo Mostowscy, mieszkający przy końcu ulicy, przed samym lasem. Dziadek odwiedzał tamtego pana dość często. Duże podwórko i ogromna stodoła, wykorzystywana w następnych latach przez kolchoz, do składania siana lub zboża, świadczyły o zamożności poprzedniego właściciela. Mam wrażenie, że tamten starszy pan miał trochę więcej lat niż dziadek i pozostał jednym z ostatnich jego żyjących kolegów.

Jeszcze jeden kolega dziadka mieszkał po drugiej stronie skrzyżowania, za drogą do Niemna, na górcie, pod starymi sosnami. Musiała to być jakaś dalsza rodzina, bo staruszek również nosił nazwisko Okińczyc, na imię miał Fabian i mieszkał w małym, zadbanym domku, innym niż wszystkie pozostałe. Ten domek kiedyś otynkowano i pomalowano wapnem na białą. Z panem Fabianem dziadek również chętnie spędzał swój wolny czas.

Mając do wyboru, odwiedziłem u pana Fabiana lub u pana Mostowskiego, od pewnego czasu, z większą ochotą szedłem do tego ostatniego. Kolega dziadka siedział zawsze w kuchni, przy oknie i nigdzie nie wychodził. Nawet na podwórko. Nie interesowały mnie ani rozmowy, ani problemy tamtych dwóch staruszków. Jednak od pewnego okresu chodziłem tam wyjątkowo chętnie.

Syn pana Mostowskiego, chyba oficer Armii Radzieckiej, miał dwie wspaniałe rzeczy. Po pierwsze, duży męski rower i czasami pozwalał na nim pojeździć. Oczywiście nie po ulicy. Wystarczyło podwórko. Wielka, równa przestrzeń pozwalała na uzyskiwanie takiej prędkości, o której nigdy nawet nie marzyłem podczas jazdy na swoim, już zbyt małym, dziecięcym rowerku z wąskimi, twardymi gumami, na małych kołach. Małego mankamentu, że nie sięgałem „na ramię” nie brałem pod uwagę. Jazda „pod ramą” była trochę niewygodna lecz w istotny sposób nie zmniejszała to ogólnej radości.

Tamten pan miał również dziwne urządzenie, zwane *patefonem*. Po raz pierwszy ujrzał go dziadek i z przejęciem opowiadał, jak z drewnianej skrzynki wydobywa się muzyka i śpiew. Trudno było w to uwierzyć. Dziadek zauważył jedynie, że obraca się tam jakaś, czarna tarcza lecz co gra i śpiewa nie potrafił zrozumieć. Pragnąłem jak najszybciej ujrzeć zagadkową skrzynkę. Nie musiałem namawiać dziadka długo. Prawie natychmiast, z dwoma wnukami udał się ponownie do swego kolegi, a mówiąc ściślej - do jego syna. Podczas drogi przypominał kilkakrotnie, że musimy dokładnie się przyjrzeć i zauważyć, co tam śpiewa i gra.

Tym razem znaleźliśmy się nie w kuchni, lecz w dużym pokoju. Stał tam na środku kwadratowy stół i chyba cztery krzesła. Na stole ujrzałem czarną skrzynkę, o której z takim zdziwieniem opowiadał dziadek. Syn Pana Mostowskiego, dumny i ważny, kręcił uroczyście przez moment małą korbką wystającą z boku skrzynki i już po chwili faktycznie zaczęła się obracać jakaś czarna tarcza, a w pokoju rozległa się głośna muzyka i radosny śpiew. Niewiarygodne. Skrzynka grała i śpiewała. Podczas drogi powrotnej do domu próbowaliśmy razem z dziadkiem zgadnąć co znajdowało się tam w środku, lecz nie mogliśmy znaleźć żadnego rozsądnego rozwiązania wyjątkowo trudnej zagadki.

Rowerem interesowałem się bardziej. „Pod ramą” umiałem jeździć, ponieważ nieco wcześniej rodzice kupili mały, niebieski rowerek, na wąskich kółkach, całkowicie nieprzydatnych do jazdy po okińczyckich piaskach. Nie przypominam sobie, kto i jak pomógł mi nauczyć się jeździć. W pamięci pozostało, że ze względu na wyjątkowo wąskie koła nie było to łatwe, nawet po podwórku. Po luźnym piasku, na ulicy jechać się nie dało.

Jakimś trudnym do wyjaśnienia sposobem, niezrozumiałymi metodami oszczędzania tego, czego nie było, rodzice potrafili, w tamtym beznadziejnym okresie, znaleźć pieniądze na kupienie rowerku, który na pewno nie stał na pierwszym miejscu wielkiej listy potrzeb.

Podczas „penetracji” różnych zakamarków w budynkach naszych i u dziadka, w późniejszym okresie, natrafiiliśmy na duży, męski rower. Ktoś go schował w sianie na strychu, nad krowami, w oborze dziadka i widocznie zapomniał. O tym sensacyjnym znalezisku, o tajemniczym skarbie, prawie natychmiast poinformowaliśmy rodziców. Rodzice również byli zaskoczeni, lecz tym, że rower tak dobrze schowany został znaleziony.

Był to przedwojenny rower wujka Witka, brata mamy, który w tym czasie mieszkał w Warszawie. Na ramie roweru pozostał czytelny napis w języku polskim „Niemen”. Jeszcze wiele miesięcy leżał schowany w sianie. Rodzice zabronili o rowerze nawet wspominać. Wyciągnięto go dopiero wtedy, gdy we wsi pojawiły się pierwsze radzieckie *wielasipiedy*. Niestety, nasz rower nie nadawał się do jazdy. Przedwojenne opony i dętki spróchniały. Pomimo usilnych próśb, ojciec stwierdził kategorycznie, że ogumienia radzieckiego nie kupi, bo nie stać na tak wielki wydatek. Ponadto dodał, że nie będzie pasowało do polskich kół. Jak się później okazało, mimo pozorów identyczności, rzeczywiście koła były inne. Na rowerze zaczęliśmy jeździć dopiero wtedy, gdy prawowity właściciel, wujek Witek, przywiózł z Polski pasujące do kół dętki i opony. Stało się to po 1956 roku.

Widząc wnuków jeżdżących na przedwojennym polskim rowerze syna, dziadek ponownie się cieszył. Roweru nie potrzebował. Nie próbował na nim jeździć przed wojną, chociaż był młodszy, nie marzył o tym po wojnie, gdy stał się starszy. Rower nie był potrzebny ani do pracy w lesie, przy wycince i zwózce drewna, ani na łące lub polu, na które jechało się wozem konnym.

Wycieczki rowerem, coraz dalej poza granice wsi, stawały się najprzyjemniejszymi momentami pięknych, słonecznych dni. Każda droga prowadziła przez las lub obok niego. Lasy otaczały nas ze wszystkich stron, przesączając powietrze czystym aromatem żywicy, który promieniował z wysokich, strzelistych sosen i zawsze zielonych świerków. Te potężne drzewa skutecznie przesłaniały błękitne niebo, bezlitośnie likwidowały w swoim otoczeniu wszelką konkurencyjną roślinność. Skromne brzozy, biała ozdoba lasu, zielenią delikatnych liści witały nadejście wiosny. Gdy się rozpoczynał rok szkolny, a więc na początku września na niektórych wiotkich gałązkach zmieniały nieoczekiwanie barwę na żółtą w postaci wąskich, długich zwisów. To cudowne upiększenie, lśniące w promieniach słońca chyba stawało się zachętą dla innych rodzajów drzew liściastych i te wkrótce również zaczynały zmieniać swą szatę.

Z dnia na dzień ginęła gdzieś soczysta zieleń, a zamiast niej pojawiały się najróżniejsze odcienie żółci, brązu, purpury. Czyżby w okresie coraz zimniejszych nocy

drzewa pragnęły zatrzymać uciekające lato i ogrzać otoczenie swoim ciepłym kolorytem. Wkrótce, trącone delikatnym powiewem wiatru, barwne liście spokojnie oddziaływały się od cienkich gałązek i opadały wolno tworząc na dole grubą, szeleszczącą warstwę, być może pragnąc osłonić w ten sposób ziemię przed nadciągającymi mrozami. Ogołoczone wiotkie gałązki sposobiły się do zimowego snu. Woziliśmy czasami te liście dwukołową taczką do obory, jako ściótkę dla krów.

Las, w kierunku południowym i wschodnim, ciągnął się kilometrami. Dzieci mogli tam chodzić samodzielnie tylko do wyznaczonych duktów. Dalej, w nieznanym terenie łatwo było zabłądzić. Również w kierunku zachodnim, całkiem niedaleko, wznosiła się ściana gęstego las zwanego Szaciółką. Tam, nad czubkami najwyższych świerków, dało się zauważyć dalekie wzgórza, za naszym Niemnem. Od domu w kierunku stodoły, tj. w stronę Szaciółki podwórko lekko się obniżało. Z tej niedużej góry wspaniale zjeżdżało się zimą na sankach. Za stodołą, była jeszcze, dość urodzajną działkę pod uprawę ziemniaków i warzyw, a jeszcze dalej mieliśmy swoje niewielkie parcele łąki, ale do tego czasu zanim powstały kołchozy.

Do lasu, rozpoczynającego się za łąką, już bez żadnych zakazów, żadne dziecko nie chciało by wejść. Dorośli tam też udawali się wyjątkowo rzadko. Na granicy łąki, przed lasem ciągnął się ponad metrowej szerokości rów, wypełniony po brzegi gęstym błotem i czarną wodą. Widocznie ostrzegał kogoś niedoświadczonego przed próbą dalszego spaceru. Do lasu można było przedostać się w kilku miejscach, po starych, słabo widocznych ścieżkach, tam gdzie rów był bardziej zarośnięty. Drzewa w tym lesie rosły wśród jakichś niekończących się bagien i wiecznych mokradeł. Przypominało mi to obrazy dalekich tropików, opisy których znajdowałem w podręcznikach geografii albo książkach podróżniczych.

Dorośli twierdzili, że do Szaciółki łatwiej wejść, niż wyjść, zwłaszcza w pochmurne dni. Komuś, kto zabłądził, południe wydawało się po tej stronie gdzie była północ, wschód tam, gdzie faktycznie znajdował się zachód. Brnąc przez gęstwinę, zamiast zbliżać się do domu, oddalał się od niego. Dziadek ostrzegał, że w Szaciółce najlepiej czują się wilki, że można tam wejść na parę minut, ale wracać kilka godzin. Ojciec kiedyś wszedł tylko po to, by wyrąbać jakiś kołek. Nie było go długo. Wrócił po kilku godzinach z innego kierunku.

Gęste, bujne zarośla Szaciółki, rozpoczynały się od samej ziemi. Najniżej, kępami rosła dzika, ostra trawa oraz paprocie. Jakiś wielkie olchy, które wyrastały jedna obok drugiej skutecznie konkurowały ze świerkami. Ich wspólne, poplątane gałęzie dokładnie przesłaniały słońce. W lesie było parno i duszno, atakowały zastępy komarów i innych meszek. Chodzić należało w butach, ostrożnie. W gęstwinie, wśród trawy można było natrafić na zygzakowatą zmiję, zawsze niebezpieczną i groźną.

Do Szaciółki chodziło się rzadko, tylko w przypadku konieczności. Przeważnie w celu wyrąbania jakiejś żerdzi, a w okresie kołchozów, aby nakosić worek twardej trawy. Gdzieniedzie rosła tam na małych przestrzeniach, wolnych od drzew. Po wysuszeniu, uzyskiwało się w ten sposób kilka dodatkowych garści pokarmu dla krów, na okres zimowy.

Po trawę wybraliśmy się raz z dziadkiem. Celem były krzaki, obok drogi do Niemna. Na tę wyprawę poszliśmy we trójkę, tj. dziadek, ja i Edek. Wyruszyliśmy wesoło z podwórka w kierunku wąskiej ścieżki na skraju łąki, tuż za pasem ogrodów.

Mówiąc dokładniej, cieszyłem się ja i Edek. Mina dziadka była raczej smutna, ale nie zwracaliśmy uwagi na to, że na twarzy tym razem nie gości uśmiech. Nie słuchaliśmy też z nadmierną uwagą skąpych wypowiedzi o tym, co było kiedyś, a co przestało obowiązywać po nastaniu kolchozów.

Pomimo to, dziadek najpierw przypomniał, że idziemy skrajem jego własności. Biegałem tam jeszcze przed dwoma lub trzema laty, gdy dorośli zgrabowali swoje, pachnące siano. Następnie, pokazywał granice działek innych sąsiadów. Informacje te większego sensu nie miały. Teraz wszędzie był kolchoz. Dziadek żył przeszłością, której nie potrafił zapomnieć i wciąż wspominał minione lata, kiedy od swego ojca dowiedział się, co to jest własność, poznał granice swojej ziemi, a następnie przez wiele lat orał i siał, kosił i zbierał plony.

Ziemia już nie należała do dziadka, ani do żadnego innego rolnika. Nowa władza zlikwidowała pojęcie własności prywatnej. Właścicielem pola, łąki i plonów stał się kolchoz. Kolchozowej własności ruszać nikt nie próbował, nawet nasz dziadek. Do radzieckiego więzienia trafić było łatwo, a kto tego by pragnął. Dziadek zamierzał napełnić swój worek w krzakach obok drogi na Niemen. Kolchoz nie interesował się ani tamtym terenem, ani dziką, twardą trawą, wyrastającą w postaci gęstych kęp. Można było nakosić i nabrać jej bez żadnych ograniczeń, nawet cały wór.

Pomogliśmy dziadkowi zebrać skoszoną trawę i po chwilowym odpoczynku, wyruszyliśmy w drogę powrotną. Z pustymi rękoma nie szedł nikt. W tamtym okresie dziadek był jeszcze silniejszy od wnuków, więc dźwigał na plecach ciężki worek. Edek dostał grabie. Mnie przypadła kosa. Niosłem ją jak dorośli mężczyźni, wysoko na ramieniu.

Wkrótce skręciliśmy na wąską, znajomą ścieżkę biegnącą skrajem łąki pośród gęstej trawy. Dziadek wyraźnie przyśpieszył. Pełny, wielki worek bez wątpliwości ciążył mocno, może z tego powodu dziadek nie zwalniał i oglądał się co raz rzadziej. Wiedział, że zabłądzić nie możemy, bo ścieżkę i drogę powrotną znamy doskonale. Na pewno pragnął jak najszybciej zanieść drogocenny ładunek na własne podwórko. Dopiero tam zamierzał odpocząć. Z tyłu, za nim coraz wolniej włókł się Edek. Zamykałem pochód. Szliśmy na bosaka, bez koszul. Czapki oczywiście nie miałem. Edek tak samo szedł z gołą głową.

Mały, z długimi grabiami, wyraźnie zmęczył się i nie nadążał za dziadkiem, którego sylwetka, z workiem na plecach coraz bardziej się oddalała. Odległość między nami wzrastała. Nie mogłem z tym się pogodzić. Denerwowałem się coraz mocniej. Pragnąłem dogonić dziadka. Ponaglałem Edka, częściej i głośniejszym głosem. Żądałem przyśpieszenia. Niestety, moje prośby nie skutkowały. Zmieniłem taktykę. Zacząłem domagać się, aby zszedł ze ścieżki na bok i przepuścił mnie. Ostrzegałem, że nie mam zamiaru wlec się tak wolno.

Młodszy braciszek traktował moje wypowiedzi lekceważąco. Jego upór wzrastał. Twierdził, że nie przyśpieszy, bo nie ma siły, że grabie są ciężkie, a do gęstej trawy, bosymi stopami, nie wejdzie. Jeżeli tak mi pilno, to mogę go wyprzedzić. Bezowocnej dyskusji miałem dosyć. Młodszy i mniejszy musiał ustąpić. Rozgniewany, ruszyłem szybciej i wyraźnie zbliżyłem się do niego, a potem ręką wolną od kosy, zepchnąłem brata na bok, ze ścieżki. Jednocześnie przyśpieszyłem zdecydowanie, nadal

trzymając kosę zawieszoną na ramieniu. Braciszek w tym czasie wskoczył gwałtownie na ścieżkę, tuż za mną.

Poczułem na kosisku krótkie szarpnięcie. Usłyszałem głośny okrzyk. Zatrzymałem się. Odwróciłem się i spojrzałem na brata. Chwilę bez słów patrzyliśmy na siebie przerażeni tym, co się stało. Końcówka kosy zahaczyła o gołą głowę Edka. Z rozciętej rany płynęła krew. Tamować jej nie mieliśmy czym. Żadnej chusteczki, żadnej szmatki. Nie mieliśmy nawet koszul. Zostały jedynie liście *babki* będącej najlepszym lekiem na wszelkie rany i wrzody. Zacząłem je zrywać i przykładać do rany. Efekt był marny. Liście nie trzymały się głowy. Krew wypływając z rany natychmiast je zmywała. Wyboru innego nie było. Należało jak najszybciej dotrzeć na podwórko, do dziadka.

Ruszyłem pierwszy, próbując narzucić większe tempo. Edek nadal zostawał z tyłu, ponownie nie nadążał. Od czasu do czasu oglądałem się na niego i domagałem się, by poruszał się szybciej. A on nadal szedł wolno, chyba mnie na złość, jakby nie rozumiał, że krew ciągle płynie. W pewnym momencie przechodziliśmy obok wiejskich kobiet zajętych pieleniem warzyw. Któraś zauważyła ciemne od krwi plecy Edka i głośno stwierdziła, że jest ładnie opalony.

Wreszcie dotarliśmy na podwórko. Nie było innego rozwiązania. Musieliśmy pokazać zranioną głowę dziadkowi. Skłamałiśmy, że stało się to podczas nieostrożnego przechodzenia pod kolczastym drutem zawieszonym faktycznie w jednym miejscu, w poprzek naszej drogi. Twierdziliśmy, że głowa została zraniona w wyniku zbyt wczesnego wyprostowania się Edka pod przeszkodą. Nie wiem, co byśmy wymyślili, gdyby drutów nie było. O kosie baliśmy się powiedzieć nawet dziadkowi. Nie mieliśmy sumienia denerwować go jeszcze bardziej naszą głupotą. Widocznie zadziałała instynktowna chęć oszczędzenia nerwów temu, który tak bardzo kochał swoje wnuki i miałby do siebie wielkie pretensje, że nie potrafił upilnować ich.

Pomocy udzieliła babcia, posypując ranę żytnią mąką, która stopniowo, razem z krzepnącą krwią, utworzyła zasychający strup. Plecy obmyto wodą i odczuliśmy ulgę. Największe niebezpieczeństwo minęło.

Kiedy mama, zaniepokojona naszą długą nieobecnością, przyszła do dziadków, prawie wszystko było w porządku. Mamie oczywiście powtórzyliśmy tę samą bajeczkę, o zbyt szybkim wyprostowaniu się pod drutem kolczastym. Ona i tak wystarczająco przerażona się. Zasychająca mąka i krew nie pomniejszyły, a raczej zwiększyły powierzchnię, która wyglądała na zranioną, ale nie było widać, że to jest rana cięta. Ślad zostawiony kosą pozostał na zawsze. Włosy w tym miejscu nie odrosły.

Rana na młodej głowie Edka zagoiła się szybko, a nas już ciągnęło na inne wycieczki z dziadkiem. Może było odwrotnie, może inne wycieczki miały miejsce wcześniej, przed skaleczeniem głowy? Jakie to ma znaczenie. Najważniejsze jest to, że z dziadkiem, naszym opiekunem i przewodnikiem, mogliśmy iść do tajemniczego lasu rozpoczynającego się tuż za wsią. Gdzie był jego koniec nie potrafiliśmy sobie wyobrazić.

To właśnie z dziadkiem, gdy mieliśmy po kilka lat, docieraliśmy do dziwnej sosny rosnącej daleko, za ostatnimi zabudowaniami rodzinnej wsi. Znajdowała się na skarpie, nad szerokim rowem. Niektóre grube korzenie zaczynały się w rowie, a dopiero

znacznie wyżej skręcały gwałtownie w kierunku pnia. Nazywaliśmy to drzewo krzesłem. Było to miejsce wypoczynku przed drogą powrotną. Dziadek próbował czasami tam coś opowiadać, lecz nie słuchaliśmy go, całkowicie pochłonięci wspinaniem się po grubych korzeniach.

Kilka lat później oglądałem tamtą sosnę wielokrotnie. Znajdowała się blisko wsi, tuż na skraju lasu, miała co prawda wystające korzenie, lecz nie takie duże i grube. Nic ciekawego nie zauważyłem.

Czasami chodziliśmy znacznie dalej. Kiedyś dziadek zaprowadził nas na polanę, położoną gdzieś w głębi lasu. Po kilku latach wiedziałem, że było to nie więcej jak pół kilometra od ostatnich zabudowań. Nie miałbym o czym wspominać, gdyby nie to, że ujrzałem tam coś, co widziałem tylko raz w swym życiu, w bardzo wczesnym dzieciństwie.

Cała przestrzeń leśnej polany, długiej na kilkaset metrów i tak samo szerokiej, mieniła się ciemniejszymi i jaśniejszymi odcieniami fioleto. Niezliczone ilości sasenek, tych cudownych zwiastunów wiosny, jaskrawo kontrastowały z szarym podszyciem lasu i resztkami białego śniegu. W obawie przed coraz mocniejszymi promieniami wiosennego słońca, chowały się pod zielonymi gałązkami malutkich sosen i świerków. W odróżnieniu od śniegu, sasanki wyciągały ku słońcu wielkie kielichy delikatnych kwiatów opartych na chwiejnych, długich łodyżkach wyrastających z ciągle zimnej ziemi.

Kilkakrotnie, w kolejnych latach, samodzielnie udawałem się do znajomego lasu, w tym czasie, kiedy robiło się cieplej, kiedy tylko gdzieś gdzie można było znaleźć pozostałości śniegu. Pamiętałem, że właśnie w takich warunkach ujrzałem cudownie ukwieconą polanę. Niestety, nie zobaczyłem jej w takiej postaci nigdy. Tak jak tamtej pamiętnej wiosny z dziadkiem, pod pojedynczymi, niższymi i większymi sosenkami ukrywały się resztki zimowego śniegu, tak samo cała polana kąpała się w ciepłych słonecznych promieniach, ale tylko gdzieś gdzie nieśmiało wyglądały spoza drzewek nieliczne, zagubione kwiatki.

Nie potrafiłem wtedy zrozumieć, dlaczego nie mogę znowu ujrzeć takiego mnóstwa kwiatów, jak w tamtą słoneczną wiosnę. Widocznie jeszcze nie wiedziałem, że najpiękniejsze widoki ogląda się jedynie w obecności dziadka, szczerze kochającego wnuki.

Sosenki, posadzone nie dawno, stawały się coraz wyższe, coraz mocniej przesłaniały słońce, w kierunku którego wyciągały swoje delikatne czubki. Młody las stawał się coraz gęściejszy. Miejsca na sasanki, z każdym rokiem, zostawało mniej. Usamodzielnialiśmy się i coraz rzadziej spacerowaliśmy z dziadkiem. Przestała więc istnieć jakakolwiek szansa na ponowne ujście tamtego cudownego, kwiecistego dywanu.

Wspaniałe wyprawy na grube korzenie sosny w pewnym okresie życia przestają interesować. Ukwieconą polanę można ujrzeć tylko raz, ale las przyciągał nadal. Nastąpiła pora pomyśleć o czymś konkretniejszym. Jeżeli las, to i grzyby. Las bez grzybów nie istnieje. Bez nich jest martwy. Lasy żyły. Rosły tam grzyby. Najwyższą radością było zbieranie, a jeszcze większą przyjemnością oglądanie pełnej patelni

podczas smażenia. Grzyby na talerzu to już nie przyjemność, to prawdziwa rozkosz. Najtrudniejszy był wybór. Czy grzybki miały być gorące z patelni, czy po obgotowaniu ostudzone z posiekaną cebulką i gęstą śmietaną? Na taką okazję, śmietana zawsze znalazła się w kredensie mamy.

Wyprawa po grzyby, to radość spokojnego spaceru między drzewami coraz dalej od domu i pola wokół którego przeważnie odbywała się nasza wędrówka. Radość ze znalezionej grzybki musiała być zawsze potwierdzona przez dziadka lub mamę, która towarzyszyła nam czasami w takich wyprawach. Dobry grzybek natychmiast ostrożnie wędrował do koszyka, powiększał stan posiadania. Pełny koszyk, na końcu zaplanowanej trasy był przedmiotem dumy i radości.

Końcowym etapem jednej z wędrówek po grzyby, z mamą i dziadkiem, stał się las w kierunku wsi Orciuchy, na granicy carskiego traktu. Tu znajdowały się ogromne, wielometrowe doły, leje. To skutki bombardowania. W tym miejscu, wśród młodych, rzadkich sosen stały zamaskowane niemieckie działka przeciwlotnicze. Po radzieckim nalocie i bombardowaniu nic z nich nie zostało. Wybuchy bomb poraniły młody las i zniekształciły krajobraz, chyba na długie lata. W każdym z tych dołów zmieściłoby się co najmniej kilka schronów zbudowanych przez ojca na naszym podwórku i przeznaczonych do ochrony rodziny przed skutkami bombardowania. Dziwne, że żadna bomba nie spadła poza obszar stacjonowania działek niemieckich.

Prócz ogromnych lejów nie zostały tam inne ślady niedawnej wojny. Obrodziły natomiast, jak nigdzie wcześniej, opieńki. Wyrastały wszędzie, zarówno w największych zagłębieniach, jak i na szczytach ziemi wyrzuconej wybuchem. Napelniliśmy momentalnie koszyki.

Lasy otaczające wieś zapewniały wspañałą kryjówkę wilkom. Ślady tych drapieżników zostawały na świeżym śniegu. Oglądaliśmy je często podczas drogi do szkoły, do Stołpiec.

Bardzo blisko wilka byłem dwa razy. O jednym przypadku nawet nie wiedziałem. Bawiłem się wtedy kamykami na polu obok wozu konnego. Ojciec w tym czasie w pobliżu może orał, może bronował, a może coś siał. W pewnym momencie przyszedł wyraźnie wystraszony i powiedział, że w poprzek pola, tuż obok mnie przyszedł wilk. Nic nie zrobił, przyszedł obojętnie, nawet nie zatrzymał się. Widocznie miał pilniejsze sprawy, albo uważał, że z mieszkańcami wsi należy żyć w zgodzie.

Po raz drugi spotkałem się z wilkiem „twarzą w twarz” gdy zbierałem grzyby. Było to w odległości kilkuset metrów od ostatnich wiejskich zabudowań. Szary i potężny nieoczekiwanie wysunął się zza krzaka i na swojej sztywnej szyi odwrócił głowę, w moją stronę. Nie wiem, czy nasze spojrzenia spotkały się, lecz za moment wilk powoli odwrócił się i po chwili zginął w gęstwinie, a ja poszedłem dalej zbierać grzyby. Może nie potrafiłem lub nie zdążyłem wystraszyć się, a może pomyślałem, że jeżeli nie zaatakował przy pierwszym spotkaniu, to już nie zaatakuje?

Więcej spotkań z tymi gospodarzami lasu nie miałem. Miał z nimi spotkanie bezpośrednie, pierwsze a zarazem ostatnie, pies dziadka. Wilki zagryzły go na podwórku. Był uwiązany do pilnowania wejścia do spichlerza ze zbożem i nie miał szans na ucieczkę.

Z opowiadań dziadka i ojca wynikało, że w okresie międzywojennym i jeszcze wcześniej wilków było znacznie więcej, niż po wojnę. W tamtych latach duże watahy tych drapieżników stanowiły poważne zagrożenie, szczególnie dla owiec. Wieczorami wycie donosiło się gdzieś z mateczników Szaciłowki, wskazywało, że jakaś wataha tych drapieżników przypomina o swym istnieniu. Wilki porywały owce nie tylko z pastwisk. Potrafiły w nocy podkopać się pod drewnianą ścianą chlewa, wczołgać się do środka i tam dokonać spustoszenia.

Wspominając lasy, nie sposób pominąć sosnowego boru na wschodzie, za Orciuchami. Rosła tam ogromna ilość czarnych jagód. Chodziłem na nie z mamą i innymi sąsiadami, w tym z panią Pruszkowską i jej córkami. Niestety, wyniki mego zbierania były marne. Nie wiem, czego brakowało bardziej - zrzeczności czy cierpliwości?

19

Najwspanialszych wędrówek do leśnej głuszy, nawet po grzyby, w żaden sposób nie da się porównać z wyprawami nad ukochaną rzekę, nad nasz Niemen. Po raz pierwszy ujrzałem go podczas wspólnego spaceru z dziadkiem. Była to wyjątkowo daleka wycieczka. Wolno i długo szliśmy równym, carskim traktem. Z niecierpliwością oczekiwałem na moment, kiedy ukaże się jakaś ogromna woda, zwana rzeką.

Wreszcie zobaczyliśmy ułożoną w poprzek naszej drogi szeroką powierzchnię lśniąca w słonecznych promieniach. Stojąc na brzegu wielkiej wody zrozumiałem, jaki jestem malutki i bezradny, nawet z dziadkiem w pobliżu. Piękno Niemna przenikało do świadomości stopniowo, w miarę coraz częstszych i dłuższych wędrówek nad jego krętymi brzegami. Wolno i spokojnie niósł swe wody. Skręcał przy tym raz w prawo, raz w lewo, tworząc zakola i wygibasy tak, jakby pragnął pozostać dłużej wśród lasów i łąk, które go zrodziły i nieustannie poły.

Przeźroczyste wody Niemna płynęły wzdłuż zielonych brzegów. Żółty, czysty piasek służył za dno i łatwo osiadał pod naciskiem gołych stóp, a napierający nurt, tak samo łatwo unosił go dalej. Czy chciał zabrać gdzieś tam, dokąd sam podążał? Od srebrzystej powierzchni, odbijały się złociste promienie słońca, a w głębi połyskiwały stadka ganiających się ryb. Droga do Niemna kończyła się niewielką, naturalną plażą z żółtym piaskiem, tak samo czystym, wspaniałym, jak na dnie rzeki. Cudowne promienie letniego słońca podczas długich, trzymiesięcznych wakacji, niby na nasze zamówienie nagrzewały go mocno i to prawie codziennie¹. Chociaż czasami napływały chmury, zaczynał padać deszcz i robiło się zimniej, to takich dni nie było wiele. Wkrótce znów pojawiał się słońce i nie mieliśmy wątpliwości, że nawet jeśli woda w Niemnie nie będzie zbyt ciepła, to do kąpieli się nada, a na naszej plaży piasek zdąży się nagrzać zawsze.

Po najdłuższym pobycie w wodzie, kiedy na opalonych lecz chudych ciałach tworzyła się „gęsia skórka”, wybiegało się na brzeg aby położyć się na gorącym, sypkim piasku. Wystarczyło zaczekać chwilę nieruchomo, aby poczuć ciepło również od strony słońca, które przyjaźnie otulało nasze. „Gęsia skórka” na naszym ciele ginęła jeszcze szybciej, jeśli się przesunęło na nowe miejsce, na piasek bardziej rozgrzany. Wtedy należało uważać, aby się nie sparzyć. Suchym, sypkim piaskiem obsypywano ręce, nogi. Na naszej plaży wysychaliśmy i rozgrzewaliśmy się wyjątkowo szybko. Ponownie ktoś zaczynał namawiać do kolejnej kąpieli. Ale to tylko wspomnienia.

Tamte rozkosze już nie powtórzą się nigdy i to nie tylko dlatego, że dzieciństwo oraz młodość przeminęły na zawsze. W dzisiejszych czasach nie ma już takich plaż...

Spacery nasze odbywały się zawsze boso, bez butów. Wszystkie dzieci, kilkunastoletni chłopcy, a dość często również dorośli chodzili tak całe lato. Butów w okresie letnim na nogi prawie nie wkładano, chyba że wieczorem, albo podczas wyprawy do lasu. Skóra na stopach robiła się gruba i odporna na drobne niedogodności, takie jak kamyki, patyki itp. Może w ten sposób instynktownie wracaliśmy do natury.

Odczułem też ujemne skutki takiego chodzenia. Miałem wtedy chyba 13 lat. Zapowiedzią nieprzespanych nocy i konieczności co najmniej kilkudniowego przebywania w domu, stał się ból w pięcie, gdy stawałem na jakiś grubszy patyk lub kamyk. Wkrótce wystąpiła opuchlizna, zaczynało boleć mocniej. Już się do pięty nie dało się dotknąć. W celu rozmiękczenia skóry, miejsce to bandażowałem z okładami „babki” posmarowanej gęstą śmietaną. Efekty leczenia były marne.

Pamiętam, że trzy kolejne noce nie spałem i nie pozwoliłem usnąć rodzicom. Płakałem, zmęczony uspokajałem się, chyba wpadałem w krótką drzemkę, ale po przebudzeniu się, po powrocie do świadomości znowu zaczynałem płakać. Nie pomagały uwagi rodziców, że nie jestem już mały i powinienem być bardziej wytrzymały na ból.

Tym razem nawet dziadek z babcią zbytnio nie przejęli się moim cierpieniem. Twierdzili, że to żadna choroba, tylko najzwyczajniejszy „podbój”, jako efekt chodzenia na boso. Twierdzili, że muszę pocierpieć aż wypłynie zła "materia", a wtedy przestanie boleć.

Wreszcie po wielogodzinnym moczeniu w gorącej wodzie zaczęła się tworzyć biała plamka, z której miała wypłynąć ropa. Samodzielnie, długo i cierpliwie, aż do skutku, rozdlubywałem igłą twardą, grubą skórę, by przyspieszyć „przerwanie”. Jechać do lekarza nie zgodziłem się.

Lekarzy, a mówiąc dokładniej - chirurgów, bałem się panicznie i nie wierzyłem, że potrafią lub zechcą wykonać jakikolwiek zabieg bez zadawania bólu. Odruch ten zrodził się, prawdopodobnie, po wyczytanych i zasłyszanych opowieściach o straszliwych cierpieniach osób operowanych, a szczególnie bezlitosnym traktowaniu żołnierzy okaleczonych podczas wojny.

Opowieści naocznych świadków o obezwładnianiu poranionych i chorych, o bezceremonialnym, brutalnym przywiązywaniu do stołów operacyjnych mocnymi pasami, a następnie wykonywaniu „zabiegów”, mimo błagalnych protestów i krzyków, zostały w młodej pamięci zbyt mocny ślad. Dobrowolnie nie mogłem zgodzić się na wyjazd do takiego lekarza.

Podczas chodzenia „na bosaka”, szczególnie w drodze na Niemen, należało uważać na zmięje zygzakowate. Zawsze patrzyło się pod nogi, aby nie stanąć na jakiegoś osobnika, wygrzewającego się na słońcu. Nie było ich aż tak dużo, lecz strach przed ukąszeniem występował zawsze, tym bardziej, że gad ten ugryzł naszego ojca. Miało to miejsce podczas koszenia kołchozowych łąk. Ojciec zawsze i wszędzie na nogach miał jakieś buty. Czasami podeszwa była przywiązana sznurkami lub drutem, ale ojciec był

zadowolony i twierdził, że boso nie chodzi. Ciągłe powtarzał, że tylko pies chodzi bez butów. Pozostali koledzy kosili łąki boso, nawet z domu bez butów wyjeżdżali, a nasz rodzic uparcie w butach. Widocznie przeczuwał złe.

W tym dniu, za namową innych również zdjął buty i rozpoczął koszenie „na bosaka”. Nie trwało to długo. W pewnym momencie z wysokiej trawy, wysliznęła się zygzakowata żmija, dopadła do nogi, tym razem nieosłoniętej niczym, i natychmiast ugryzła. Okropny ból spowodowany jadem pozostawionym w ranie i straszne myśli krążące po głowie sparaliżowały na moment. Co teraz? Przecież jad jest śmiertelny i tylko natychmiastowa pomoc medyczna może uratować życie, a do lekarza bardzo daleko. Łąki znajdowały się nad Niemnem, kilka kilometrów za Okińczycami.

Rozpoczął się wyścig kołchozowego konia z czasem. Było lato. Konie, które przeżyły zimę, miały teraz trawy do woli i mogły ciągać wozy nie tylko puste, ale nawet z sianem. Tym razem na pustym wozie prócz ojca znajdował się któryś kolega, sąsiad ze wsi, taki sam kołchoźnik. Pozwalał koniowi jedynie na krótkie przerwy, na złapanie głębszego oddechu i ponownie gnał do przodu. Wóz na drewnianych kołach okutych żelaznymi obręczami podskakiwał nieustannie na twardych korzeniach leśnej drogi. Dwaj kołchoźnicy, w milczeniu, pokonywali kilometry dzielące od Stołpiec, bo dopiero tam był lekarz i szansa pomocy.

Ugryzioną nogę przewiązano mocno jakimś sznurkiem i paskiem od spodni. Opaski zaciśnięto, męskimi rękoma. Koń, nieustannie popędzany, stawał się na zmianę czarny od potu lub biały od piany. Noga w tym czasie tylko czarniała.

Wreszcie znaleźli się obok naszego domu. Na chwilę zatrzymali się, by o zdarzeniu powiadomić rodzinę. W domu powstała atmosfera rozpaczy i strachu. Nie było żadnej przesady w istniejącej opinii, że ukąszenie żmii jest przeważnie śmiertelne. Sytuację pogarszało to, że droga z łąki do szpitala zajęła prawie dwie godziny. Leczenie szpitalne trwało około dziesięciu dni. Później, chyba do końca lata, noga pozostawała czarną od czubków palców do kolana.

Ojciec leżał w radzieckim szpitalu również z powodu bólu żołądka i w związku z reumatyzmem ręki. Zawsze z największym uznaniem opowiadał o personelu opiekującym się chorymi, a szczególnie o lekarzach, z którymi się zetknął. Nie znajdował słów wdzięczności za ich zaangażowanie oraz serdeczne traktowanie chorych. Wielokrotnie, przy różnych okazjach wymieniał, między innymi, nazwisko pani doktor Fidyрко, wyjątkowo miłej i przychyłnej. Wspominał nazwiska innych lekarzy.

Ojciec w pewnym momencie powiedział jej, że czuje się zupełnie dobrze i chce się wypisać do domu. Zdziwiona pani doktor wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i stwierdziła: - *Cechanowicz! I kuda Wy spieszicie? W kolchoz? Kalchoz biez Was nie prapadiot. Razwie Wam zdies` płocha. Rabotat` nie wielat. Kuszat` dajut. Łuczszie polezicie da addachnitie!*¹

Wróćmy jeszcze raz nad Niemen. Czy można gdzieś znaleźć miejsce piękniejsze?. W wodach Niemna można nie tylko się kąpać i tonąć. W Niemnie można łowić ryby. Niestety, ojciec wciąż twierdził, że to „żadna ryba”. Jego zdaniem ilość ryb w rzece teraz, w porównaniu do okresu sprzed drugiej wojny światowej, uległa

znacznemu zmniejszeniu. Uważał ponadto, że są małe i nie nadają się do łowienia. Dziadek również potwierdzał, że przed laty w wodach Niemna ryb było znacznie więcej. Ciągle słyszeliśmy, że stało się tak w wyniku rabunkowych połowów podczas wojny i bezpośrednio po niej, również z zastosowaniem materiałów wybuchowych.

Ojciec wiedział swoje, a my swoje. Robiliśmy wędki z leszczyny i chodziliśmy na ryby. (W ZSRR nie była potrzebna żadna karta wędkarska.) Leszczynę należało wyciąć zimą, uwiązać na jednym końcu sznurek i przytwierdzić do wysokiej belki, najlepiej w stodole. Drugi koniec zwisający pionowo zalecało się mocno obciążyć, np. kamieniem. Ukształtowane w ten sposób wędzisko na wiosnę było by równe i giętkie.

Problem polegał na tym, że nasza stodoła należała już do kołchozu. Nie mając do niej dostępu, długiej leszczyny nie mieliśmy gdzie zawiesić. Wędki, najwyższej jakości, nie mogliśmy uzyskać. Zawsze jednak znajdowano w lesie kilkuletnie pędy, długie i równe, odpowiednie na wędzisko. Uczuć ojca, który nie mógł wejść do stodoły wybudowanej za własne oszczędności, postawionej na swojej ziemi, nie rozumieliśmy wtedy.

Do cienkiego końca wędziska przywiązywało się nitkę, a na jej końcu, tuż przed haczykiem, kawałeczek cienkiej żyłki. Łowienie bez żyłki oczekiwanych efektów, nie dawało. Ryba, widząc nitkę, nie brała przynęty. Niestety, żyłka dość długo pozostawała w sferze marzeń. Dopiero w ostatnim okresie, przed wyjazdem do Polski, mieliśmy wędki z prawdziwego zdarzenia, tj. z żyłką na całej długości, od wędziska do haczyka. Dopiero wtedy łowienie stało się prawdziwą przyjemnością.

Powroty nad Niemen. Tam się wracało przy najmniejszej okazji, pod byłe pretekstem, gdy tylko powstawała taka możliwość. Czym tak ścigał nad swoje brzegi? Może zielenią wysokiej trawy, czystym powietrzem i letnią ciszą, a może głębią, bezszumnie przepływającej wody? Ciągnęła tam też dziecięca chęć złowienia jakiejś wielkiej ryby. Czy może być coś piękniejszego? Czy dziecięce wędrowniki z wędkami wzdłuż brzegów naszej rzeki można z czymś porównać lub czymś zastąpić?

Szczytem naszego szczęścia, była każda całodzienna wyprawa, od wczesnego poranka, aż późnego wieczora. Entuzjazm rozpoczynał się dzień wcześniej i wtedy przystępowaliśmy do kopania robaków, do ponownego zwijania i rozwijania wędek, by sprawdzić, że nie mają żadnych usterek. Ale należało najpierw uzyskać zgodę rodziców, a głównie ojca. Nie było to takie proste. Słyszeliśmy dość często stanowcze „nie”. Padało przy tym stwierdzenie, że świnie są głodne, że nie znaleźliśmy czasu na narwanie zielska, że do książek nie zaglądaliśmy dawno. Potem już był zwykły monolog, że jeśli tak dalej pójdzie, to w ciągu lata zapomnimy czytać i pisać, a jeśli nie będziemy się uczyć, to po skończeniu szkoły trafimy do kołchozu.

Widocznie czarne myśli rodziły się w głowie naszego staruszka podczas długiego dnia pracy na kołchozowym polu lub łące, pracy za którą nie otrzymywał żadnej zapłaty. Może te myśli utwierdzały się mocniej, gdy słyszał starą rosyjską przyspiewka z nowymi słowami doskonale odzwierciedlającymi radziecką rzeczywistość:

*Ech jabłaczko, kuda katiszisia
W kałchoz papadiosz nie warotiszisia!*

Widocznie ojciec bał się, że wkrótce ten sam los czeka i nas. Uważaliśmy natomiast, że to zbyt odległa przyszłość wynosząca co najmniej kilka lat. O tak odległych problemach nie myśleliśmy. Problemem dla nas było, czy jutro znajdziemy się nad Niemnem, czy będziemy zmuszeni pozostać w domu. Zmartwienia rodziców, dotyczące zaspokojenia niezbędnych potrzeb rodziny, zapewnienie karmy dla krów i świń na okres zimy, nie docierały do naszej świadomości. Wyprawa nad Niemen była najważniejsza i liczyła się tylko ona. Świat poza Niemnem nie istniał. Niemen. Jedyne on mógł dać radość i szczęście. Byliśmy przekonani, że pozostałymi problemami można zająć się po powrocie znad jego brzegów, ciągle niezbadanych do końca, ciągnących się nieskończenie daleko, w jedną i drugą stronę.

Obawiając się odmownej odpowiedzi, w okresie poprzedzającym planowaną wyprawę staraliśmy się wykazać największą pracowitością i zdyscyplinowaniem. Świnie mieli zieleń całe sterty. Nie potrafiliśmy tylko przekonać ojca, że tym razem wrócimy z rybami i przyniesiemy ich znacznie więcej niż poprzednio. Nie potrafił albo nie chciał nas zrozumieć. Twierdził uparcie, że to żadne ryby, że ryby w Niemnie były, lecz dawno, a z naszego wędkowania żyć się nie da. Po dodatkowych zapewnieniach, że świnie już się najadły na zapas i będą jeszcze bardziej szczęśliwe, jak tylko wrócimy pełni radości z nad Niemna, uzyskiwaliśmy wreszcie zgodę.

Szczyt szczęścia znów był przed nami. Krótka noc mijała szybko. Wstawaliśmy o świcie, bez zbędnej zwłoki. Prawie natychmiast byliśmy gotowi do drogi. Gdyby nie przypomnienie mamy, to byśmy wyszli z domu, całą czwórką, bez żadnego posiłku. Dobrze, że pamiętała o naszych żołądkach. Cały dzień bez jedzenia, nawet nad brzegami Niemna, byłby zbyt męczący.

Nad brzegiem ukochanej rzeki chcieliśmy być jak najszybciej. Cała droga, którą musieliśmy pokonać, była najzwyczajnym marnowaniem czasu. Już widzieliśmy siebie wśród zielonej trawy i przybrzeżnych krzaków nad błękitną tonią, w której załamywały się długie pasma słonecznych promieni próbujących sięgnąć daleko w głąb, do samego dna, gdzie pływały największe ryby. Nie myśląc o niczym innym, szybko opróżniliśmy zawartość aluminiowych misek. Przeważnie był to rodzaj zupy z ziemniaków pokrojonych w kostkę przed ugotowaniem, a po ugotowaniu zalanych tłuszczem ze skwareczkami z drobnutko pokrojonej słoniny i usmażonej do zarumienienia cebuli. Czasami dla odmiany takie ziemniaki zalewano mlekiem. Po chwili wybiegaliśmy na podwórko.

Nad Niemen należało zabrać robaki nakopane w dniu poprzednim i przetrzymywane w starej puszcze po konserwach. Zapomnieć o wędkach było nie sposób. Ich długie końce bujały się rytmicznie w górę i dół w zgodzie z naszymi wydłużonymi krokami. Szliśmy w kierunku stodoły, pochylając głowy przed lecącymi nisko pszczołami. Zbudziły się chyba wcześniej od nas z nocnego odpoczynku i rozpoczęły pierwsze zwiadowcze loty po soczysty nektar.

Następnie droga prowadziła kilkudziesięciometrową mokrą bruzdą w naszych ziemniakach i już byliśmy na kołchozowej łące, na wąskiej ścieżce prowadzącej w kierunku szerokiego, carskiego traktu. Czarna ziemia, która przykleiła się do bosych nóg podczas przechodzenia przez pole, stopniowo odpadała na zimnej, wilgotnej trawie.

Trawę pokrywała nocna rosa, zwisając dużymi, okrągłymi kroplami na zielonych łodygach i szerokich liściach. Ciepłe promienie słońca wznoszącego się wolno, lecz skutecznie nad dalekim lasem sięgały do coraz niższych kropelek. Na powitanie, lśniły radosnym blaskiem, ale mocniej ogrzane, wkrótce wyparowywały, nie zostawiając żadnego śladu swego istnienia.

Wkrótce nasze stopy stawały się mokre, jak zielona, chłodna trawa. Pomimo to żadne uczucia zimna do świadomości nie docierało. Może przyczyną tego był entuzjizm spowodowany zrealizowaniem marzeń, a może rozgrzewał szybki marsz i słoneczne promienie, które nie zdołały zlikwidować jeszcze nocnej rosy, a już potrafiły otulić nasze dziecięce plecy przyjemnym miłym ciepłem? Przyspieszaliśmy nasze kroki podnieceni cudowną myślą o całodziennym pobycie nad brzegami szerokiej wody, pod błękitnym niebem bez żadnego obłoczka, w gorących promieniach słońca.

Byliśmy pewni, że rybki obudziły się z nocnego wypoczynku i zaczęły szukać pożywienia. Bez zbędnych słów zwiększaliśmy tempo marszu. Musieliśmy jak najszybciej znaleźć się nad wymarzonym brzegiem. Czas przeznaczony na drogę nieskończenie się dłużył. Byliśmy pewni, że Niemen płynie zbyt daleko. Nie wiedzieliśmy, że to zaledwie jeden kilometr. Nie przepuszczaliśmy, że po latach kilometrów tych będzie wielokrotnie więcej, że nasz Niemen zostanie oddzielony nieprzekraczalną granicą.

Zgodnie z tradycją, skręcaliśmy w górę rzeki, na wąską ścieżkę wydeptaną wśród wysokich traw. Szliśmy na spotkanie bezustannie spływających wód naszego Niemna, wygodnie ułożonego w otoczeniu wilgotnych łąk i pachnących kwiatów.

Jego pracowite wody od wieków rzeźbiły i podcinały strome brzegi, tworząc łagodne zakola albo ostre zakręty lub rozlewając się szeroko na prostych odcinkach, najprawdopodobniej dla odpoczynku. Już kilkaset metrów dalej rzeka ponownie atakowała swym mocnym nurtem raz lewy, raz prawy brzeg niby próbując wyjść na zieloną łąkę, do sąsiedniego lasu. Nie przyszło nam na myśl, że nad krętymi brzegami naszej rzeki jesteśmy przejściowo, zanim nadejdzie dzień rozstania, kiedy wyjedziemy na zawsze na inne tereny, a rzeka zostanie i nadal będzie spokojnie toczyć swe wody wśród wysokich traw tej samej, zielonej łąki.

Radość sprawiał dzień dzisiejszy. Rozpoczął się wspaniale. Dostaliśmy pozwolenie na całodzienną wędrowkę wzdłuż brzegów, nad głęboką tonią czystej wody przepelnionej słońcem. Na płyciznach, przy brzegu promienie bez trudu sięgały do dna i żółtego piasku. Bliżej środka rzeki, tam gdzie dno obniżało się, uciekało w głąb i ginęło z oczu, nawet słońce nie było w stanie rozświetlić tajemnicy wodnych odmętów. Ukośne smugi urywały się nagle nie sięgając celu, może w obawie przed nieznanym, może z szacunku dla tajemnic rzeki.

Beztraska i spokoj pod błękitnym niebem. Czy może być coś wspanialszego? W wodzie spokojnie pływały większe lub mniejsze ławice płotek, krasnopiórek. Mocniejsze, jaskrawe błyski w głębi świadczyły, iż pożywienia szukają większe okazy. To do ich boków sięgało słońce i wracało odbite od lśniących, białych łusek. Nie mieliśmy wątpliwości. Ryby w Niemnie były. Pozostawał problem ich złowienia.

Do wędkowania najbardziej zachęcały głębokie wody, po zewnętrznej stronie zakrętów, gdzie główny nurt czasami przyśpieszał „wgrzając” się w brzeg, podmywając go. W ciemnej wodzie przepływającej szybciej powstawały zawirowania. Nie mieliśmy wątpliwości, tam się ukrywały największe okazy. To tam należało zarzucić smaczną przynętę, ze starannie ukrytym, ostrym haczykiem.

Gęste zarośla, najróżniejszych gatunków wierzb czasami rozrastały się bezpośrednio nad rzeką. Niektóre gałęzie zwisając nisko nad wodą cieszyły oczy lustrzanym odbiciem, tworzyły rybkom łagodny cień i przytulne zacisze. Nieostrożne robaczki spadające z gałęzek i liści stawały się dla nich wyjątkowym przysmakiem.

Wędkowanie w pobliżu nadwodnych krzaków pozostawało niespełnionym marzeniem. Możliwości takie przeważnie nie istniały. Nawet gdyby udało się przedrzeć przez płataninę starych oraz młodych pędów iwy i łoży konkurujących z wysokimi pokrzywami, to i tak nie dało by się zarzucić wędki z tamtej gęstwiny.

O łowieniu ryb w tak dobrym miejscu mogliśmy tylko marzyć. Brakowało drobnostki - łódki. Tylko na niej można było dopłynąć do największej głębi, tam gdzie zielone krzaki układały szary, nieruchomy cień na gładkiej tafli bezszumnie przepływającej wody. Miałem jeszcze jedno ogromne pragnienie. Bardzo chciałem mieć kajak i popłynąć nim w górę rzeki, jak najdalej, aż do samego źródła. Marzyłem o takiej wyprawie niezliczoną ilość razy, ale zostało to wszystko jedynie w sferze marzeń.

Tak bardzo kusila wyprawa do źródeł Niemna, do miejsca gdzie się rodziła nasza rzeka. Marzyłem, aby najpierw płynąć pod prąd, zмагаć się z nim, po to by później przepłynąć tą samą trasę jeszcze raz, wyprzedzić nurt rzeki i grube, długie kloce sosny lub świerków spływających do tartaku w Nowym Świerzniu.

Kajakowa wyprawa w dół Niemna nie zapowiadała się ciekawie. Nie tam znajdowało się źródło, nie tam był początek. W tamtym kierunku rzeka stawała się szersza i coraz mniej nasza. Następnie gdzieś daleko przestawała istnieć, zasilając swoimi wodami jakieś ogromne morze.

Mieliśmy do wyboru nieskończenie dużo miejsc obiecujących wspaniałe połowy na obu brzegach Niemna. Najbliższe znajdowało się tam, gdzie z pobliskich labiryntów długiego łańcucha głębokich i niedostępnych stawów wypływała malutka rzeczulka. Jej płytkie wody spływały wolno szeroką płaszczyzną. Tam się wygrzewały na słońcu swawolne, małe rybki. Wystraszone naszym cieniem nieoczekiwanie rzuconym na wodę podczas przechodzenia na drugą stronę, momentalnie i odważnie czmychały w kierunku Niemna, nad gwałtowną, stromą przepaść. Czyżby wiedziały, że tam nic im nie grozi, że prześladowca tracąc oparcie pod nogami pograży się bezpowrotnie w głębokiej wodzie, w czarnej bezdennej otchłani. Wody tego małego strumyka mijając granicę Niemna, bez obaw przepływały nad ciemnym urwiskiem gwałtownie opadającym w dół i zlewały się niepostrzeżenie z jego głębokim nurtem.

W tym miejscu można było rozpocząć połowy. Mieliśmy pewność, że tu w głębinach Niemna, na pograniczu z rzeczulką będą największe okazy. Już wkrótce wydawało się, że to miejsce, jak na całodzienną wyprawę jest położone zbyt blisko. Wypadało iść dalej, chociaż słońce wypłynęło już wysoko na błękitne nieba i

przygrzewało mocno. Do południa jednak było jeszcze daleko, a tym bardziej do wieczora. W pobliżu rzeczulki można było jedynie dokonać przymiarki wędkowania.

Do miejsca, w którym zdecydowano rozpocząć połów, podchodziło się cichutko, stąpając z wyczuciem. Już w tym momencie zauważała się wyraźna przewaga chodzenia bez butów. Wędki rozwinięto wcześniej. Po założeniu przynęty, wyćwiczonym, dokładnym ruchem, wyrzucało się daleko w nurt rzeki ukryte w niej haczyki, z zawieszonymi u góry spławikami.

W następnej chwili na powierzchni wody kołysał się czubek białego, gęsiego pióra lub szary korek od butelki, po winie. Łowienie w rzece, to nie senne siedzenie nad brzegiem nieruchomej tafli jeziora. Łowienie w rzece, to posuwanie się wolno wzdłuż brzegu, tak jak woda unosi na swojej powierzchni lekkie spławiki. Łowienie w rzece, to systematyczne przechodzenie wzdłuż brzegu, w górę rzeki z wędką w ręku, po to, by za chwilę, kilkadziesiąt metrów wyżej, ponownie zarzucić do wody przynętę na haczyku i ponownie schodzić w dół, w tempie narzucanym przez prąd, a wskazywanym przez spławik.

Pierwsza rybka, która znalazła się na haczyku, sprawiała największą radość, rozbudzała nadzieję na taki połów, po którym powrót do domu nie będzie witany znanymi słowami „... no i gdzie wasze ryby?” Mała rybka wijąca się na naprężonej żyłce w promieniach coraz mocniej przygrzewającego słońca napawała optymizmem, przepełniała serca szczęściem i radością. W głębokim nurcie rzeki oczekując na następne, okazy płynęły nasze przynęty osłaniające ostre, zagięte haczyki.

Niech tym razem zauważy je któraś większa ryba. Niech spróbuje i wciągnie do pyska. O tym momencie bezbłędnie poinformuje unoszący się na wodzie delikatny spławik. Każde dotknięcie ryby do przynęty powodowało jego lekkie kołysanie się i rozchodzenie pojedynczych lub seryjnych kręgów po spokojnej wodzie. Czujne oczy skupionego wędkarza wpatrywały się niecierpliwie w spławik, a nogi wybierały samodzielnie kierunek wzdłuż brzegu rzeki. Bose stopy potrafiły bezbłędnie wyczuć, gdzie się znajduje wąska ścieżka. Ręka, lekko zgięta w łokciu, z niecierpliwością oczekiwała na upragniony moment delikatnego kołysania się spławika lub jego gwałtownego zanurzenia się.

Mocne naprężenie się żyłki i drgający opór na wędzisku powstający gdzieś w głębi wody informowały bezbłędnie, że na haczyku jest ryba. Był to dowód wysokiej umiejętności wędkarza, wybrania przez niego dokładnego momentu podcięcia. Rozczarowanie przynosił ruch wykonany o ułamek sekundy przed czasem, którego efektem było jedynie wystraszenie ryby. Podcięcie z minimalnym opóźnieniem stawało się porażką. Wtedy z głębi wody bez żadnego oporu wyskakiwał na powierzchnię pusty haczyk wypłuty o ułamek sekundy wcześniej z pyska utraconej ryby.

W jednym miejscu nie siedzieliśmy długo. Wciąż nowe, coraz ciekawsze zakola nie pozwalały na to. One wciąż kusily, zapraszały do dalszej wędrówki. Przed nami oraz po lewej stronie, rozpościerała się równina kwiecistych łąk porośniętych krzakami najróżniejszych wierz. Nad nimi górowały gdzieniegdzie białe brzozy. Widnokrąg za łąkami zamykała ciemnozielona ściana odległego lasu. Kilka kilometrów dalej leżała nasza wieś.

Nadniemeńskie łąki w istotny sposób różniły się od tych na Mazurach. Rażący kontrast ze szczególną jaskrawością spostrzegłem razem z ojcem, kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy kosić w okolicach Szczytna. Wszędzie tu wyrastała wysoka, zielona trawa podobno dająca lepszy pokarm. Łąka nad Niemnem przypominała wielki, kolorowy dywan z najróżniejszych kwiatów. Swym wyglądem cieszyły oczy obserwatora, zapewniały pszczołom nieprzebrane źródło słodkiego nektaru.

Obawiam się, że niektóre gatunki dzikich traw i najróżniejszych kwiatów rosnących w tamtych czasach wyginęły bezpowrotnie i nikt już ich nie ujrzy. W pamięci pozostał wygląd zaledwie niektórych, chociaż było ich wiele, były tak różnorodne. Na tle zielonej trawy oddzielały się brązowe dzwoneczki z taką samą brązową łodygą i dla odmiany białe, pionowo sterzące do góry podobne do wiosennych bazi. Jakież kwiaty zakończone pękami przypominającymi kłęby waty i wiele innych. Widzę je jak przez mgłę, nie potrafię opisać. Nie przewidywałem, że zechcę ujrzeć je kiedyś ponownie.

Zgodnie ze zwyczajem kulturowym od wieków, łąki koszone późno, gdy większość roślin nie tylko przekwitła, ale zdążyła wydać nasionka rozsiane daleko przez letni, życzliwy wiatr. W ten sposób roślinność odtwarzała się samorzutnie. Wpływ człowieka, na gatunek traw oraz kwiatów był znikomy.

Całkiem inny krajobraz widzieliśmy po drugiej stronie Niemna, chociaż i tam do brzegów rzeki sięgała zielona łąka. Jednak następnie teren gwałtownie się wznosił, tworzył pasmo wzgórz skutecznie przesłaniających dalsze widoki. Ciągnęły się one w prawo do wsi Nowy Świerzeń oraz w lewo prawie równoległe do rzeki, po skraj horyzontu. Od naszej plaży, do wzgórz nie było nawet kilometra. Dalej w górę rzeki odległość malała jeszcze bardziej i w końcu, z jednego zakola dało się zauważyć na wzgórzach nawet poszczególne drzewa.

W cichym zakątku, otulona zielenią niskich brzegów, rzeka niosła swe głębokie wody wolno, dostojnie. Zbliżała się do malowniczego wzgórza, tworząc wielkie półkole. Wiosną podczas roztopów zalewała sąsiedni teren i wtedy sięgała do stóp zielonego, stromego zbocza. Kto wie co ją w tamtą stronę ciągnęło, czego szukała? Może wiedziała, że na słonecznym stoku między sosnami znajdowały się groby najstarszych mieszkańców wioski. Może pamiętała, że właśnie tu dawno przed laty powstał wiejski cmentarz? Piękne, słoneczne wzgórze stało się miejscem wiecznego spoczynku prochów naszych dalekich przodków. Dziwne to i trudne do wytłumaczenia. Cmentarz na drugim brzegu Niemna, daleko w bok, w górę rzeki od miejsca, gdzie zbudowano kiedyś najstarszy, drewniany most. Czy nie można było utworzyć cmentarza gdzieś bliżej? Z jakiego powodu zmarłych chowano za Niemnem? Jeszcze bardziej zagadkowa była przynależność naszej wsi do parafii w Nowym Świerzniu, dużej wsi położonej po drugiej stronie Niemna. Dlaczego nie do pobliskich Stołpiec? Ojciec coś na ten temat wspominał, ale chyba źle słuchałem. Teraz już wiem jaka była prawda, ale kiedy oddawałem do druku pierwsze wydanie książki, jeszcze nie wiedziałem. Mogłem jedynie zgadywać. Nie wiem jednak, czym się kierowały władze kościelne, wyznaczając tamte miejsce na cmentarz. Czyba nie dzuma lub jakaś inna straszna choroba stała się tego powodem?

A może wszystko odbyło się całkiem inaczej. Może kiedyś, bardzo dawno, jakiś starszy mieszkaniec naszej wioski, wybrał się na daleki spacer z wnukami, postanowił pokazać im rzekę. Dotarł wreszcie do malowniczego zakątka i wspiął się na

stok jedyne go pasma wzgórz, w całej okolicy. Tak wysoko nad polami, lasami i łąkami mogły szybować jedynie białe bociany, podczas letnich upałów. Przymrużonym oczom staruszka ukazał się przepiękny krajobraz. Ujrzał błękitną wstęgę rzeki wijącą się wśród zielonych traw i przybrzeżnych krzaków, otoczoną barwną łąką. Spojrzał na daleki las, za którym w lekkiej mgłę mógł rozpoznać szare, słomiane strzechy rodzinnej wsi, a może nawet niektóre chatki.

Chwilę stał nieruchomo, przesłaniał dłonią oczy od słońca, spoglądał w milczeniu przed siebie. Potem zmęczony długim spacerem usiadł, oparł strudzone plecy o starą, wiekową sosnę. Następnie głośno stwierdził, iż stąd nie chciałby ruszać się nigdzie, że wkrótce skończy się jego wędrówka po tym świecie i na zawsze z nim się pożegna. Jego kości spoczną w ziemi. Po chwili ciszy dodał, że to miejsce na wieczny odpoczynek nadaje się najbardziej.

Widocznie przelotne, mimowolne myśli tamtego staruszka, kiedy zostały wypowiedziane głośno, przekształciły się w ostatnią wolę, przedśmiertny testament. Może wtedy z całą stanowczością zażądał, aby pochowano go właśnie tu w pobliżu ukochanej rzeki, gdzie pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetlą i ogrzeją piaszczystą mogiłę. Stwierdził, że pragnie na zawsze spocząć na stoku tego wzgórza, bo innego piękniejszego miejsca nigdzie w pobliżu nie widział.

Starzy ludzie, szczególnie w dawnych czasach, potrafili z dużą dokładnością przewidzieć dzień swojej śmierci. Tamten staruszek, po wydaniu ostatnich poleceń, mógł z tym światem pożegnać się w krótkim czasie, cicho i spokojnie. Nikt nie śmiał przeciwstawić się jego ostatniej woli.

Procesja pogrzebowa wyruszyła w daleką drogę. Na drugą stronę rzeki przeszli po najstarszym, drewnianym moście, usytuowanym w odległości około stu metrów od naszej plaży. W nurcie rzeki zostały po nim jedynie szare kikuty dawnych, drewnianych pali. Po przebyciu następnego odcinka drogi wzdłuż zakrętów rzeki, pogrążony w żałobie orszak dotarł do miejsca, gdzie zmarły tak niedawno wypowiedział swoje ostatnie życzenie.

Na cichym stoku malowniczego wzgórza rozpoczął się pierwszy pochówek. Pod młodziutką, zieloną brzoźką, która wyrosła obok tamtej wiekowej sosny, wykopano głęboki dół. Powstał samotny grób. Chwilę potem, po ustawieniu drewnianego krzyża i ułożeniu na mogile kwiatów zerwanych na pobliskich łąkach, ktoś następny zamówił miejsce obok swojego sąsiada. W końcu smutni krewni zmarłego i zadumani sąsiedzi postanowili, że będzie to miejsce wiecznego spoczynku wszystkich mieszkańców, będzie tu wiejski cmentarz.

Faktyczną przyczynę przynależności naszej wsi do parafii po drugiej stronie rzeki poznałem na podstawie białoruskiej książki "Pamięć" ISBN 985-11-0312-8. Budowę kościoła w Stołpcach rozpoczęto w 1623 roku. Miał to być kościół Dominikański św. Kazimierza. W roku 1865 został zamknięty i przekazany prawosławnemu duchowieństwu, a w latach 1867-83 przebudowano go na cerkiew św. Marii Magdaleny. Kościół zwrócono katolikom w 1922 roku. Z tego wynika, że do tego czasu katolicka ludność nie tylko z Okińczyc, ale i Stołpiec należała do parafii w Nowym Świerźniu, za Niemnem.

Bardzo przykro, lecz na tamte wzgórze nie dotarliśmy ani razu, chociaż czasami byliśmy wyjątkowo blisko. Widzieliśmy dwa małe białe domki, prawdopodobnie jakieś grobowce. Nie wiem, czy nie starczyło odwagi podbiec bliżej, czy wierzyliśmy zbyt mocno, że mamy na to jeszcze czas. Na tamtym cmentarzu zostali pochowani dziadkowie, ze strony ojca i pradiadkowie ze strony mamy.

W tamtych czasach o zmarłych przodkach, w naszym domu prawie nie rozmawiano. Teraz tak bardzo brakuje wiedzy o nich. Mama jesienią wspominała, że przed wojną „za polskich czasów” obchodzono święto „Wszystkich Świętych” i odwiedzano cmentarze, a teraz to wszystko zostało polikwidowane. Mówiła jakoś „po cichu”, jakby bała się, że ktoś usłyszy. Na tym się kończyło.

„Wszystkich Świętych” nie obchodzono uroczysto jako dnia świątecznego. Może z tego powodu, że na cmentarz za Niemnem, po zniszczeniu najbliższego mostu, było daleko. Należało iść przez Stołpce. Może dlatego, że było to święto tylko polskie, a wobec bardzo małej ilości takich rodzin, umarło śmiercią naturalną. W tym dniu ojciec musiał normalnie pracować w kołchozie, a na nas ciążyły obowiązki szkolne. Nie byliśmy na cmentarzu, nie składaliśmy kwiatów na dawnych grobach.

Jeśli uda mi się zawędrować ponownie nad naszą rzekę, na jej malownicze zakola, nie będę się bał. Nie ominę cudownych wzgórz i wejść tam, gdzie mogiły przodków.

Na razie przypomnę sobie nasze dawne wędkowanie. Po stwierdzeniu, że na jednym zakolu ryby nie biorą, zwiłaliśmy wędki i wznawialiśmy wędrówkę dalej w górę rzeki. Często pragnęliśmy przepłynąć na drugą stronę. Wydawało się, że tam znajdowały się najlepsze zakrety z głębokim nurtem, a tu niepotrzebnie tracimy czas. Szliśmy więc w poszukiwaniu szczęścia i wielkiej ryby raz po naszej stronie rzeki, czasami po tamtej. Gdyby nie konieczność powrotu do domu, wędrówka brzegami Niemna trwałaby do późnego wieczoru.

Najbardziej zapalonym wędkarzem, z naszej czwórki był bez wątpienia Józek. Nie miał wtedy nawet dziesięciu lat. Dla niego prócz Niemna i ryb świat nie istniał. Mógłby nad jego brzegami przebywać sam, bez nikogo, od rana do wieczora, bez żadnego jedzenia. Zresztą, na nasze wyprawy nie braliśmy nigdy ani jedzenia, ani wody. Widocznie nad brzegami Niemna był to zbędny balast.

Rodzice niechętnie pozwalali młodszemu rodzeństwu na samodzielne wyprawy. Z pozwoleniem czy bez, poszedł raz Józek wczesnym rankiem z wędką nad Niemen. Spodziewaliśmy się, że wróci około południa, na obiad. Jednak nie czekając na niego wybraliśmy się również nad rzekę, by wykąpać się i ... pomóc dźwigać złowione rybki. Józka w pobliżu nie było. Postanowiliśmy odnaleźć go idąc tradycyjną trasą, pod prąd. Wszędzie, gdzie powstawały dwie możliwości dalszej drogi, tj. bezpośrednio nad zakolem rzeki lub wydeptanym skrótem przez łąki, nasz trzyosobowy poszukiwawczy zespół rozdzielał się. Szedłem jedną ścieżką, a Edek z Kazikiem drugą.

Zawędrowaliśmy daleko, dokąd docierano tylko czasami, podczas niektórych wypraw. Józka nie było. Doszliśmy do wniosku, że gdzieś przypadkowo minęliśmy się. Po obowiązkowej kąpieli wróciliśmy spacerkiem do domu. Naszego rybaka tam jeszcze nie było.

Pobiegliśmy natychmiast z powrotem. Ponownie przemierzaliśmy całą trasę poprzednią metodą, zaglądaliśmy ponadto w najgłębsze krzaki, nad samą rzeką. Pytaliśmy się u innych wędkarzy i chłopców ze wsi. Nikt go nie widział. Uznaliśmy więc, że już się odnalazł i jest w domu. Niestety, tam go nie było.

Kolejny raz należało wznowić poszukiwania. Słońce coraz bardziej zniżało się do pasma wzgórz po drugiej stronie rzeki i już tak mocno nie grzało. Nadciągał późny, letni wieczór. Zagubieni, zamyśleni i bezradni, chodziliśmy po brzegu. Wreszcie stanęliśmy obok naszej plaży. Słońce się schowało. Zagęszczał się mrok. Dalsze poszukiwania nie miały sensu. Popatrzyliśmy ostatni raz wzdłuż rzeki w jedną i drugą stronę, a następnie niezdecydowanie powoli ruszyliśmy w stronę domu.

Na zakręcie carskiego traktu niezdecydowanie sięgnęło szczytu. Jak można wracać we trójkę do domu? Stanęliśmy znowu spoglądając do tyłu, próbując ostatni raz wypatrzeć sylwetkę brata. Faktycznie ujrzeliśmy go. Z szarego mroku, na tle odległych krzaków ukazała się niska sylwetka. Nadmiernie długie kroki nie dostosowane do wzrostu bezbłędnie zdradzały Józka, który się szybko zbliżał. To były jego kroki, to w jego ręku kołysała się wędką. Widocznie dopiero teraz zrozumiał, że w domu może być przywitany nie tylko słowną reprimendą i próbował nadrobić utracony czas.

Okazało się, że nasz rybak najpierw powędrował daleko pod prąd rzeki, na tzw. „Wysoki brzeg”, tj. prawie pod samą Mikołajewszczyznę, tam dokąd we czwórkę nie dotarliśmy nigdy. Następnie udał się w stronę Stołpiec. Znalazł zaciszne miejsce w rejonie byłego mostu i przesiedział do samego wieczora. Widocznie zapomniał nawet o głodzie. Do głowy mu nie przyszło, że cały dzień zmartwieni bezskutecznie go szukamy. Na szczęście i tym razem nic się nie stało. Ponownie wracaliśmy do wsi pełni radości.

Była to pierwsza, lecz nie ostatnia samodzielna wyprawa Józka daleko poza dom i miejsca odwiedzane wspólnie. Dwa, może trzy lata później udał się niespodzianie w dalszą drogę. Tym razem za stadem krów pędzonych przez wieś carskim traktem, w kierunku Mińska. Nikomu nic nie mówiąc, z jakąś różgą w ręku dołączył do poganiaczy i wyruszył w nieznaną. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zauważyła to któraś sąsiadka i powiadomiła mamę. Ojciec na drabiniastym, kołchozowym wozie wyruszył w pogoń. Udało się. Gdzieś pod Orciuchami kołchozowy koń dogonił małego wędrowcę.

Jak bardzo pragnę ponownie się znaleźć nad Niemnem. Tak było zawsze. Wracaliśmy nad ukochaną rzekę w każdej wolnej chwili. Pięknem zielonych brzegów nacieszyć się było nie sposób. Widokiem kolejnych zakrętów nie dało się nasycić oczy. Sił nie starczało na powstrzymanie się od dalszej wędrówki oraz wędkowania po tej lub tamtej stronie głębokiej i szerokiej wody. Na drugą stronę rzeki można przepłynąć się jedynie wtedy, gdy temperatura powietrza i wody pozwala. Wszystkie nasze przygody miały miejsce podczas upalnego lata. Nie istniało więc żadne zagrożenie przeziębienia się. Przeszkodą, w niektórych miejscach nie do pokonania, stawała się głębokość rzeki. Niemen nie był płytki, chociaż znacznie bliżej mieliśmy do źródeł, niż do dalekiego ujścia.

Kazik i Józek mogli przejść na drugą stronę jedynie tam, gdzie rzeka rozlewała się szeroko, a od brzegu do brzegu było daleko. Na przeważających odcinkach, w

głębokim nurcie, nie mieli żadnych szans. Mogli tam utonąć nawet dorośli. Przenosiłem ich na plecach w niektórych miejscach na zakrętach rzeki między zakolami pod warunkiem, że w najgłębszym miejscu usta i nos znajdowały się nad lustrem wody. Widocznie mieliśmy tyle rozsądku, że nie próbowaliśmy pokonywać rzeki wpływ.

Przeprowadzając się na drugą stronę poruszałem się w poprzek nurtu, a jednocześnie w dół rzeki. Trasę dobierałem tak, aby zbliżając się do środka rzeki nie przegapić momentu, gdzie dno zaczynało ponownie się unosić i robiło się płycej, tym razem po przeciwnej stronie głównego nurtu. Rozpoznanie wykonywałem samodzielnie. Jeżeli traciłem grunt pod nogami, a oczekiwane spłylenie nie rozpoczynało się, rezygnowaliśmy z przeprawy w tym miejscu. Tam gdzie głębokość pozwalała przenosiłem na ramionach najpierw jednego brata, a następnie drugiego.

Z bratem znajdującym się nad poziomem wody, a więc tworzącym dodatkowe obciążenie przechodziło się pewniej. Nurt tak łatwo nie znosił. Edek przepływał po wyznaczonej trasie, wchodząc najpierw do wody na maksymalną głębokość, dla oszczędzenia sił. Tą metodą nie da się przejść w tym samym miejscu w jedną i drugą stronę. Pod prąd, w najgłębszym miejscu, pójść się nie da.

Wpływ przez rzekę, wyjątkowo nieodpowiedzialnie, przeprowadzałem się raz na początku maja, kiedy wiosenne powietrze nie zdążyło jeszcze ogrzać się, a woda była lodowata. To, że tamta przeprawa nie skończyła się tragedią jeszcze raz dowodzi o szczęśliwej gwiazdzie, która zaczęła czuwać nade mną zanim się urodziłem. Wybrałem się wtedy na spacer nad Niemen z kolegą szkolnym. Nazywał się Szurik. Był sąsiadem, mieszkał na przeciwko, po drugiej stronie ulicy. Miał 16 lat, mniej o rok ode mnie. Razem poszedł również jego 13-letni brat - Walerka. Rodzice chłopców po zakończeniu wojny, jak wielu innych Rosjan, przyjechali na nasze tereny, uciekając od kołchozów, szukając schronienia przed nimi.

Znaleźliśmy się nad brzegiem Niemna. To nie była znajoma, letnia rzeka niosąca wolno swoje przyjazne wody, odsłaniająca żółte dno i zapraszająca do ciepłej kąpieli. Za stromą ścianą poszarpanego brzegu płynął mocny nurt, ciemny i głęboki. Woda wypełniała koryto rzeki wysoko, równo z brzegami. W niektórych miejscach lekko wylewała się i przepływa nad niską murawą. Szeroka wodna przestrzeń połyskując na słońcu zmarszczoną, drobną falą odgradzała daleki, drugi brzeg. Ponad zieloną wyspą na środku rzeki również płynęła woda. Jej lustro w tamtym miejscu wygładzała zeszłoroczna, długa trawa układająca się zgodnie z kierunkiem prądu.

Wąskim przesmykiem, między brzegiem a wyspą, rzeka płynęła najszybciej. Dalej, w kierunku Stołpiec, wyraźnie zwalniała, rozlewając się szeroko od brzegu do brzegu. Głęboko było wszędzie, za wyjątkiem wyspy.

Stanęliśmy nad wodą. Następnie, jak zawsze na powitanie, w szybki nurt włożyliśmy dłonie. Czysty, przezroczysty strumień z dużym naporem przepływał między rozstawionymi palcami, przyjemnie ochładzał, zachęcał do kąpieli. Latem, tak głęboko tu nigdy nie było. Kąpiel w szybkim, mocnym potoku, to nie to samo, co w letniej, ciepłej wodzie. Pływanie takie pozostanie w pamięci na długo. Będzie to niepowtarzalne, wspaniałe przeżycie. W takich warunkach można się sprawdzić. Można udowodnić sobie, że jest się młodym, odpornym na wszystko.

Nie mieliśmy żadnej wątpliwości. W tym roku to właśnie my rozpoczniemy sezon i to już teraz. Uzgodniliśmy, że popłyniemy na wyspę, a po krótkim odpoczynku wrócimy z powrotem.

Szurik znalazł się w wodzie pierwszy i zdecydowanie skierował na drugą stronę. Patrzyłem jak płynie. Znosił go prąd, ale zbliżał się do środka rzeki, a przecież tam pod wodą była schowana nasza wyspa. Wiedzieliśmy gdzie się zaczyna i gdzie się kończy. Nie mogłem być gorszy. Wszedłem do wody. Lodowaty strumień zmoczył chude ciało. Zaparło oddech. Pomimo to nie zawróciłem, ale też się skierowałem na drugą stronę. Gdy oddaliłem się od brzegu znacznie, usłyszałem z tyłu głośne wołanie. Obejrzałem się i ujrzałem nad wodą głowę Walerki oraz jego ręce. Chaotycznie, bezładnie chlapały po wodzie. Znajdował się już tak daleko od brzegu, że wrócić samodzielnie nie mógł. Tym bardziej nie miał szansy przepłynąć na drugą stronę. Chłopiec jeszcze był przytomny, jeszcze utrzymywał się na powierzchni wody, jednak już nie płynął, a prąd wyraźnie go znosił.

W następnej sekundzie, bez żadnego namysłu zawróciłem i popłynąłem w jego kierunku. Na pomoc swego starszego brata nie mogłem liczyć. Był daleko, na wyspie, chociaż i tam woda sięgała prawie do kolan.

Nie wiem, w jaki sposób zamierzałem pomóc. O ratowaniu tonących, nie miałem zielonego pojęcia. Pływakiem byłem takim, że w tych warunkach, do kochanej rzeki nie powinienem wchodzić. Widocznie uważałem, że młodszemu i mniejszemu koledze, który utrzymywał się na wodzie resztkami sił, pomogę bez trudu.

Zdążyłem dopłynąć, gdy jego głowa znajdowała się jeszcze nad wodą. Spostrzegłem błagalne spojrzenie. W następnej sekundzie ręce Walerki znalazły się na mojej szyi. Razem poszliśmy pod wodę. Przeraziłem się. Zacząłem mocniej pracować rękoma oraz nogami, ocierając się bez przerwy o jego, zwisające bezładnie. Udało się. Po chwili, wynurzyliśmy się. Łapiąc powietrze przypadkowo spojrzałem wzdłuż nurtu, w dół rzeki. Oczom ukazała się długa, szeroka tafla lekko falującej wody. Dopiero teraz przeraziłem się na dobre. Znacznie bardziej niż przed chwilą, podczas gwałtownego zanurzenia, którego nie spodziewałem się. Zrozumiałem, że mogę utonąć. Wyobraziłem sobie zrozpaczoną mamę i chyba to dodało mi sił. Zdawałem sobie dobrze sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad nami. Samotni, na środku rzeki, w lodowatym nurcie. Znikąd żadnej pomocy. Uratować mógł tylko spokój i największy wysiłek z mojej strony. Wiedziałem, że od Walerki się nie uwolnię i nikt mi nie pomoże. Zdany wyłącznie na siebie, albo uratuję nas, albo razem pójdziemy na piaszczyste dno, po którym prąd poniesie bezwładne ciała gdzieś daleko, w kierunku Stołpiec i jeszcze dalej.

Przez głowę przeleciała kolejna myśl. Czy Walerka nie spanikuje? Czy będzie spokojnie wisił na szyi? Nie panikował. Nawet nie drgnął. Wisił bez żadnego ruchu, z błagalnym spojrzeniem dziecięcych oczu, które ujrzały widmo śmierci. Rozumieliśmy się bez słów. Swoim wzrokiem Walerka zapewniał, że pozwoli ratować się. Chłopak umiał pływać, a była to przejściowa niedyspozycja, spowodowana wyjątkowo zimną wodą. Z ogromnym zaufaniem w oczach, uczepony mojej szyi, nieruchomy, czekał na ratunek. Pomimo to, przeszkadzał bardzo.

Myślałem tylko o tym, że nie mogę utonąć, że muszę dopłynąć. Nie czułem zimna. Staralem się utrzymać nad powierzchnią wody tylko głowę, a właściwie usta spragnione tlenu. Byłem dobrze zapoznany z wodą i wiedziałem, że jedynie przy głębokim zanurzeniu istnieje szansa na ratunek. Rozumiał to i Walerka. Byliśmy zagłębieni maksymalnie.

Być może tak bardzo skoncentrowałem się na tym wszystkim, że podjąłem niewyobrażalnie złą decyzję. Należało wracać na naszą stronę. Było znacznie bliżej. Ponadto, nieco dalej Niemen skręcał w lewo, a więc zbawczy brzeg by się zbliżał do nas. Niestety, wybrałem kierunek przeciwny, na drugą stronę rzeki. W tym momencie nade mną chyba nikt nie czuwał. Dlaczego tak zrobiłem?

Może zadecydowała krótka myśl o możliwości pomocy ze strony kolegi, który był po tamtej stronie? W jaki sposób miał pomóc? Utonęlibyśmy całą trójką. Teraz nurt znosił nas w dół rzeki i powstawało realne zagrożenie minięcia się z wyspą. Do wyspy, ostatkiem sił mogłem dociągnąć, ale do drugiego brzegu nie miałem żadnej szansy.

Szurik zobaczył co się dzieje i skierował się w naszą stronę. Brnął coraz głębiej po obniżającym się dnie. Wkrótce woda sięgnęła mu prawie do szyi. Bliżej podejść nie mógł. Utraciłby grunt pod nogami. Dzieliącą przestrzeń musiałem pokonać własnymi siłami, a teraz nurt rzeki w tym nie pomagał. Tworzyło się coraz większe zagrożenie minięcia się z wyspą. O tym, że w tamtym miejscu istnieje wiedzieliśmy z okresu letniego. Teraz na całej szerokości rzeki błyszczało lustro wody. O zasięgu płycizny mogłem się dowiedzieć jedynie na podstawie tego, gdzie się znajdował Szurik, gdzie była jego głowa i ręce wystające nad wodą. Był to środek rzeki.

Szurik cały czas przesuwiał się zgodnie z prądem, tak jak niosła nas rzeka, wskazywał miejsce, do którego dopłynąć muszę własnymi siłami, ciągle informował o przestrzeni, która nas dzieli. Rozumiałem, że uratuję się jedynie wtedy, gdy dopłynę do wyciągniętej dłoni, zanim tamten nie utracił gruntu pod nogami. Wyciągnięta, otwarta dłoń. Już była tak blisko. Już widziałem zatroskane oczy kolegi. Otwarta dłoń, nad szybko przepływającym nurtem zbliżała się, ale coraz bliżej był też koniec podwodnej mielizny. Wiedziałem, że jesteśmy przy samym końcu zwężającego się cypla, za którym zaczyna się głębina. Zwiększyłem wysiłek. Ostatkiem sił dopłynąłem do wyciągniętej dłoni. Walerka samorzutnie, bez słów zwolnił moją szyję i wychylił się w kierunku brata. Do dna sięgnąć tu nie mógł.

Zmęczone nogi z niepokojem opuszczałem w dół. Pomału, ostrożnie przybrałem pozycję pionową, jak bym nie wierzył, że dno już jest w zasięgu stóp. Wyczułem wreszcie zbawczy piasek, który łatwo się osuwał pod naporem wody już przy pierwszym, lekkim dotknięciu. Woda sięgała wysoko, prawie po szyję. Z tyłu, za plecami, coraz większa głębina, a do brzegu jednakowo daleko, zarówno po jednej, jak i drugiej stronie.

Powoli ruszyłem za tamtą dwójką wciągając do płuc nowe hausty zbawczego powietrza i głośno wydychając. Szedłem pod prąd. Obolałe ręce zwisały bezwolnie, zmęczone nogi z trudem pokonywały opór wody. Coraz większą powierzchnię wynurzającego się z wody gołego, chudego ciała wystawiałem na powiew lekkiego, lecz zimnego wiatru. Z prawej i lewej strony obok nas płynął obojętny, chłodny potok zgarbiony do postaci drobnej, gęstej fali, srebrzącej się w słońcu.

Robiło się pływaj, lecz tkwiłszy nadal na środku rzeki, prawie po kolana w wodzie, rozebrani jak do kąpieli. Wreszcie stanęliśmy w miejscu najbardziej zbliżonym do naszego brzegu. Oddzielał od niego głęboki i szybki nurt. Majowe słońce opuszczając się coraz niżej nad horyzontem, wysyłało w naszym kierunku swoje przyjazne promienie, próbując ogrzać, jak w miesiącach letnich. Niestety, nie były to promienie ani czerwcowe, ani lipcowe. Coraz bardziej udawał to północny, rześki wiatr tworzący *gęsią skórę* na ciałach całej trójki, a przed nami było kolejne zagłębienie się w lodowatym potoku. Nauczeni doświadczeniem, staranie przygotowaliśmy się do powrotu. Porozcieraliśmy nasze ręce i nogi, próbowaliśmy rozgrzać się jakimiś dodatkowymi ćwiczeniami. Wreszcie skierowaliśmy się w stronę brzegu i już po paru krokach utraciliśmy grunt pod nogami. Popłynęliśmy. Ponownie mocny prąd znosił w dół rzeki, ale tym razem nie było to groźne. Zbawczy brzeg zbliżał się wyraźnie. Tam leżały ciepłe ubrania.

Idąc do domu prawie nie rozmawialiśmy i nigdy, nikomu nie wspomnieliśmy ani słowem o głupiej przygodzie w wiosennych wodach Niemna.

Po latach, gdy byłem w Mińsku odwiedziłem swego dawnego kolegę. Adres dostałem od jego mamy, która jeszcze żyła i poznała mnie bez trudu. Kolega z lat młodości nie mógł poświęcić mi dużo czasu. Szurik musiał iść do pracy w fabryce, na drugą zmianę. Do pracy oczywiście poszedł, ale najpierw wyciągnął pół litra wódki, grubą słoninę z zamrażalnika, a następnie kilka jajek wrzucił na rozgrzaną patelnię. Miałem też ze sobą polską wódkę. Oddałem ją i kazałem schować na jakąś rodzinną uroczystość. Spotkanie trwało krótko, lecz było pełne wspomnień z minionych lat, w tym z naszej majowej przygody w nurtach Niemna.

20

Opisany okres, to lata późniejszego dzieciństwa. Na tym etapie poznawaliśmy wieś i jej okolice we własnym zakresie lub w towarzystwie rówieśników. Poprzednio wprawdy odbywały się przeważnie w towarzystwie dziadka.

Dziadek Okińczyc uwielbiał swoje wnuki. Zdarzały się przypadki, że między naszym ojcem, a dziadkiem wybuchały krótkie, gwałtowne sprzeczki. Najczęstszym powodem były wnuki. Ojciec ostro i rygorystycznie zwalczał najmniejsze objawy naszego lenistwa. Nie tolerował nieposłuszeństwa. Często ostrzegał, że swoich poleceń dwa razy powtarzać nie będzie. Prócz reprimendy ostrym tonem, używał argumentu w postaci paska od spodni. Dziadek był przeciwieństwem. Zawsze występował w naszej obronie i miał do swego zięcia ogromne pretensje za zbyt surowe traktowanie jego najukochańszych wnuków i karanja z byle powodu.

Tak na prawdę, to na natychmiastowe „lanie” u ojca można było *zastąpić* tylko poważniejszym przewinieniem. Natomiast drobne wielokrotne występki mogły się powtarzać do momentu, gdy ciężar ostatniej kropli przewinienia zrywał napięte struny nerwów. W takich sytuacjach można było porządnie „oberwać” za wszystkie dotychczasowe wykroczenia, za wszelkie niesprawiedliwości losu, za ciężki dzień darmowej pracy w kolchozie i brak perspektywy lepszego życia dla całej rodziny. Rozgniewany ojciec przy tej okazji znów głośno przeklinał system, w którym musimy żyć, mówił o powszechnym zagrożeniu alkoholizmem, o chuligaństwie i bandytyzmie,

o tym, że wszystko się zaczyna od drobnych wykroczeń, a szczególnie od nieposłuszeństwa w stosunku do rodziców.

W odróżnieniu od dziadka, babcia poświęcała wnukom czasu znacznie mniej. Odwiedzała nas rzadko, a najchętniej przebywała w swoim domu. Szczególnie jaskrawa różnica występowała w okresie jesiennych, długich wieczorów. Dziadek o zmierzchu przychodził do nas i siedział do późnej godziny, to znaczy do momentu, w którym rozpoczynaliśmy przygotowanie do snu. Ojciec czasami zadawał dziadkowi pytanie o babcie. Dopytywał się, dlaczego nie przyszła do nas i co w domu robi sama. Odpowiedzi przeważnie padały podobne. Ma książeczkę do nabożeństwa, modli się i śpiewa.

Babcia, prócz ogromnego zaangażowania w wieczorne samotne modlitwy i śpiewy z książeczką do nabożeństwa, posiadała „tajemnicę zamawiania róży” tj. groźnej choroby skórnej z którą lekarze nie potrafili poradzić. Chyba umiała udzielić wsparcia i w przypadku innych dolegliwości. Przekonałem się o tym zanim nastąpiły kolchozy, gdy miałem około dziesięciu lat.

Poszedłem wtedy z dziadkiem, późną jesienią po konia, pasącego się na łące za ogrodami przed Szaciłówką. Zapadał zmrok, zbliżał się wieczór. Słońce schowało się za ciemnym lasem. Nad łąką pojawiła się wilgotna i zimna mgła, za którą ginęło wszystko, co znajdowało się dalej. Wreszcie ujrzeliśmy konia. Stał na tle lasu z wysoko uniesioną głową. Następnie odwrócił się w naszym kierunku i radośnie zarżał. Chciałem koniecznie prowadzić go do domu. Dziadek odczepił łańcuch i dał mi do ręki koniec sznurka uwiązanego do uzdy. Ważny i dumny kroczyłem przed koniem. Dziadek pozostał z tyłu, za nami.

Nieoczekiwanie, po zrobieniu kolejnych kroków w gęstą trawę, utraciłem grunt pod nogami i znalazłem się po szyję w zimnej wodzie. Odruchowo mocniej uczepliłem się sznurka, który gwałtownie się naprężył. To Deresz zatrzymał się, uniósł wysoko do góry głowę i utrzymywał mnie na powierzchni. Po chwili nadbiegł dziadek i wyciągnął ze studni, którą być może wykopał sam żeby było skąd brać wodę do podlewania warzyw na pobliskich grządkach. Nie przewidział, że w zapadającym mroku wnuk nie zauważy jej, zarosniętej gęstą trawą i wypełnionej po brzegi opadami z jesiennych deszczów.

Ociekający zimną wodą, szybko znalazłem się w mieszkaniu dziadków. Malutkie światełko niedużej lampy naftowej, z wyjątkowo wąskim knotem, rozpraszało ciemność jesiennego wieczoru. Wystarczało go tylko do oświetlenia książeczek do nabożeństwa, w rękach babci. Stałem na jakimś taborecie, trzęsłem się z zimna, a babcia ściągała ze mnie kolejne ubranka. Otulony czymś suchym i ciepłym, nadal drżałem. Przyjemne uczucie rozplynęło się po całym ciele, jak tylko babcia zaczęła szeptem odmawiać jakieś modlitwy, nie wiem znane czy nie, bo poszczególnych słów nie słyszałem. Spokojne, miłe ciepło promieniowało na całe ciało, a przecież jeszcze przed chwilą byłem bardzo zmarznięty i mocno *dygotałem*. Gdy przyszła mama, wszystko było w porządku. Nie było powodów do zmartwień.

Dziadek bardzo interesował się wydarzeniami na świecie i prosił, żeby mu powiedzieć o czym pisali w gazecie oraz wytłumaczyć informacje usłyszane z radia.

Ciągle miał nadzieję, że komuna padnie, a on odzyska swoją ziemię i będzie gospodarzył, jak dawniej.

Dotychczasowe gospodarzenie dziadka też nie przebiegało bez zakłóceń. Nie znam dokładnie szczegółów, lecz fakty są takie, że podczas pierwszej wojny światowej dziadek z rodziną, tak jak kilku innych sąsiadów, opuścił rodzinną wieś i udał się na tułaczkę. Uciekał przed nadciągającym frontem, przed straszną, armią niemiecką, przed żołnierzami mówiącymi niezrozumiałym językiem.

Rodzina wyemigrowała daleko na Ukrainę do miasta *Jekatierinosławia*. Kilkakrotnie, gdy miałem w ręku mapę, dziadek prosił, żebym znalazł na niej to miasto. Żadne poszukiwania nie dawały wyniku. Dziadek nie mógł tego zrozumieć. Pytał, czy znalazłem Ukrainę, czy znalazłem dużą rzekę Dniepr. Potwierdzałem, że mam Ukrainę, mam Dniepr i wymieniałem kolejno wszystkie miasta leżące nad rzeką. *Jekatierinosławia* nie było.

Dziadek był mocno zawiedziony. Trudno powiedzieć, czy miał pretensje większe do swego wnuka, czy do autora mapy. Twierdził, że jest to bardzo duże miasto i na pewno nie może być pominięte. Nie mógł zrozumieć dlaczego nie potrafię go znaleźć. Niestety, takiego miasta nie było na mapie.

Później dowiedziałem się, że po rewolucji październikowej miasto zostało przemianowane na *Dniepropietrowsk*. Władzom radzieckim nie odpowiadała nazwa, sławiąca carycę Katarzynę. Wtedy o tym nie wiedziałem i dziadkowi wytłumaczyć nie mogłem. Wypada w tym miejscu dodać, że na nic zdała się ucieczka na daleką Ukrainę. Carska armia, wyniszczona i głodna, nie powstrzymała naporu wojsk niemieckich i austro-węgierskich. Linia frontu przesunęła się daleko na wschód poza *Jekatierinosław*.

Opowieść o dziadku byłaby daleko nie pełna, gdyby nie wspomnieć o największej jego dumie i przedmiocie nieustannej troski. Był to silny, pracowity i posłuszny konik, nazywany Dereszem, zgodnie z posiadaną maścią. Jego właśnie prowadziłem na sznurku z łąki na podwórko. On wiernie ciągał ciężkie wozy ze zbożem i sianem. To on się znajdował w *holoblach* podczas naszej ucieczki przed nadciągającym frontem II wojny światowej.

Największą przyjemnością dla dziadka było wypuszczenie pupila ze stajni na szerokie, duże podwórko. Widocznie starcze oczy ciągle tęskniły za widokiem zgrabnej i mocnej sylwetki. Widocznie chciał wnukom przekazać radość posiadania pięknego, zadbanego zwierzęcia. Może pragnął ponownie popatrzeć na jego swawole, gdy nieoczekiwanie stwierdzał: „Teraz wypuścimy konika na podwórko. Niech pobiega i poskacze, a my popatrzymy”.

Po chwili w otwartych wrotach obory ukazywała się drobna sylwetka dziadka, a obok niego wysoko uniesiona końska głowa, osadzona na silnej, wygiętej szyi. Koń wykazywał wyraźne chęci wyrwania się z przytrzymującej ręki. Nie czynił tego najpewniej nie dlatego, że był mocno trzymany, ale przez szacunek dla swego gospodarza. Deresz mógłby galopować po całym podwórku z dziadkiem uwieszonym przy uździe, gdyby tylko dziadek był w stanie utrzymać się na swoich spracowanych rękach.

Za moment koń był wolny i gwałtownym galopem wyrwał do przodu. Radośnie wierzgając kopytami, wysoko podrzucał tylne nogi, raptownie rozpędzał się, tak samo gwałtownie zatrzymywał się albo skręcał w jedną stronę lub w drugą. W niskiej, równej murawie zostawały głębokie wgniecenia od uderzeń kopyt. Wyglądało, że harce są wykonywane specjalnie dla nas na pokaz.

Oglądając się bez przerwy, uśmiechnięty dziadek zbliżał się w tym czasie do niskiej ławeczki ustawionej przed wejściem do swego mieszkania. Siadał wreszcie na niej, dumny i szczęśliwy. Wnukowie musieli usiąść obok i kolejny raz wysłuchiwać skąpej w słowa opowieści o tym koniu i innych, których miał wcześniej, o tym, że to mądre i pracowite stworzenia, wymagające wyjątkowej, troskliwej opieki. Dziadek bardzo się bał, że nastaną kolchozy, które zabiorą nie tylko ziemię, ale również konia, a tam go zniszczą. Niestety, niedobre przecucia i zła przepowiednia, pomimo że były ciągle wypędzane z myśli i rozmów, zwyciężyły. Władza radziecka skutecznie zrealizowała swoje zamiary. Kolchozy powstały. Od tego momentu dziadek uparcie czekał z dnia na dzień na zmiany. Wierzył, że wkrótce nastąpią.

Niestety, upragnionych zmian nie doczekał się, utraconej ziemi nie odzyskał. Pola i łąki stały się własnością kolchozu. Nie ujrzał Deresza wesoło wierzgającego i galopującego po szerokim podwórku. Z wielkiego gospodarstwa została dziadkowi stara, rozwalająca się stodoła. Kolchoz jej nie potrzebował. Uginający się dach groził zawaleniem. Spróchniałe ściany również. Do stodoły już nic nie składano. Ostatni obiekt kwitającego przed laty gospodarstwa należało rozebrać.

Dziadkowi o rozbiórce lepiej było nie wspominać. Natychmiast wybuchała awantura. Wszelkie próby skłonienia do wyrażenia zgody na likwidację stodoły były natychmiast kwitowane kategorycznym stwierdzeniem: - *Nie! Nie pozwolę nikomu na żadne rozbiórki! Jest to moja stodoła i dopóki żyję, nikt nie ma do niej żadnego prawa, a na rozbiórkę nie pozwalam i nie pozwolę. Kolchozy na pewno zginą. Stodoła będzie potrzebna, jeżeli nie mnie, to wnukom. Bez stodoły nie ma gospodarza. Można będzie ją rozebrać, gdy w to miejsce postawi się nową.*

Mówił głośno, z oburzeniem, nikogo w tym momencie nie słyszał i żadnych wyjaśnień do wiadomości nie przyjmował. Jeżeli rozmowa odbywała się w naszym mieszkaniu, to wstawał pośpiesznie, wkładał czapkę na głowę i wychodził bez pożegnania, tak jak by nie chciał usłyszeć żadnych argumentów córki lub zięcia. Później, kilka dni, dziadek nie pokazywał się, chociaż bez wizyty u nas tak ciężko mu było wytrzymać nawet kilka godzin.

Dziadek potrafił kilkakrotnie w ciągu dnia przychodzić do nas po to, by stwierdzić, że u wnuków i córki wszystko w porządku. Czasami po kilkunastu minutach wracał do swego domu, aby napić krowy lub dać im siana. Na częste pytanie swego zięcia, dlaczego nie zrobił tego wcześniej, zawsze odpowiadał, że najpierw musiał sprawdzić czy jesteśmy zdrowi, czy wnukom nic się nie stało. Wkrótce był u nas z powrotem.

Dziadek twierdził, że „antychryst”, który wymyślił kolchozy wkrótce zginie i będzie tak, jak dawniej, a on ponownie stanie się gospodarzem. Wierzył, że może na wiosnę, albo na jesieni przyjdą *Amerykańcy* i wygonią sowietów z ich kolchozami.

Niestety, dziadek nie doczekał się zmian. Zasłabł w lesie i zmarł po paru dniach, nie odzyskując przytomności. Bezpośrednią przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu.

Zanim bezlitosna pani z kosą podcięła niepokornego staruszka były jeszcze co najmniej kilkakrotne spięcia z zięciem z powodu starego domku dziadka. Dziadkowie, jak wspomniałem wcześniej, tuż po wojnie przenieśli się do nowego domu. Stary wynajęto jakimś *wastocznikam* 1. Zamieszkała tam samotna matka z synem w wieku około dwudziestu lat. Syn miał częściowo upośledzony słuch, nigdzie nie pracował. Nie wiem z czego utrzymywali się.

Dziadkom, od dłuższego czasu nie płacili. Na słowne ponaglenia i prośby żadnej reakcji nie było. W tej sytuacji dziadek oświadczył, że dom sprzeda komuś na rozbiórkę, na drewno. Naszego ojca i mamę te zamiary przerażały. Bali się, że lokatorzy pójną na skargę do władz i w efekcie zostaną dokwaterowani do nowego domu dziadka.

Argumenty te nie trafiały do naszego staruszka. Nawet nie dyskutował, tylko odpowiadał krótko, że z własnością swoich ojców zrobi, co zechce. Na tym rozmowa się kończyła. Dziadek zdania nie zmieniał, ale też nie podejmował działań. Widocznie nie chciał rodzinnej awantury. Jednak uczucie doznawanej krzywdy i wewnętrzna potrzeba namiastki sprawiedliwości wzięły górę. Pamiętam poranek, kiedy mama stała przed naszym wielkim piecem oświetlona migającym odbłaskiem z jego wnętrza. Przerazona, krótko stwierdziła, że nie wie co teraz będzie, bo na starym domu dziadka już są robotnicy. Zrzucili na ziemię słomiany dach i przystępują do dalszej rozbiórki.

Co było potem? Nic nie było. Dziadek zwyciężył. Żadne władze tym faktem nie zainteresowały się. Tamta rodzinna wyniosła się do Stołpiec. Gdzieś znaleźli inne mieszkanie. Staruszek - domek, który zapewniał dach nad głową przez wiele dziesiątków lat naszym przodkom, przestał istnieć.

Pewnego poranka, przed nastaniem kołchozów, usłyszałem głośną „rozmowę”. Wzburzony dziadek podnieconym głosem informował, że w nocy zostało skradzione zboże ze spichlerza stojącego samotnie na środku podwórka. Przeklinał *wastocznikau*. Przeklinał wilki, które zagryzły psa uwiązanego na łańcuchu tuż obok. Miał pretensje do siebie, że nie wyszedł na podwórko, w momencie, gdy się wydało, że ktoś tam chodzi, że nie pogonił nieproszonych gości, bo przecież miał na nich dębowy, gruby kij. Stał on zawsze w kuchni przy drzwiach. Nawet wnuki nie mieli prawa bawić się tą „bronią”.

Tłumaczenia zięcia, że stało się bardzo dobrze, bo wychodząc do złodziei ze swoim kijem mógł sam nim porządnie oberwać, nie trafiały do staruszka naszego. W efekcie, dziadek rozezłościł się jak nigdy dotąd, odwrócił się i poszedł do domu, do swego pustego spichlerza.

Dopiero później dowiedział się, że nieproszeni goście byli również u nas, że również próbowali dostać się do zboża. Na drzwiach wejściowych do naszego magazynku prawie na całej wysokości, od dołu do góry, w wielu miejscach, zostały ślady od stalowego łomu. Głębokie wgniecenia drewna wskazywały wyraźnie na jednoznaczne zamiary nocnych przybyszów.

Od naszych drzwi rabusie odeszli z niczym. Nie mogli zrozumieć dlaczego drewniane deski nie poddały się pod naciskiem stalowego łomu. Tym razem zaowocowała ostrożność ojca, jego zapobiegliwość i pomysł na „potajemne” zamknięcie. Dębowe, mocne wewnętrzne zasuwki niewidoczne z zewnątrz i uruchamiane specjalnymi, dobrze ukrytymi linkami przyniosły efekty.

Dziadek pozostał w pamięci jako starszy, bardzo szczupły człowiek z niedużą ilością siwych, niedługich włosów na głowie i zawsze ogolony. Włosy podcinała nożyczkami babcia, a golił nasz ojciec. Była to cała uroczystość. Staruszek siadał na krześle, odchyłał głowę, a ojciec namydlał twarz mydłem, rozprowadzonym w specjalnym małym naczyniu, tj. mydelniczce. Potem dziadek siedział i czekał na naostrzenie brzytwy. Żyletek ani innych bardziej skomplikowanych urządzeń w tamtych czasach nie było. Goliło się brzytwą, którą najpierw należało „doprawić” na mocno naciągniętym pasku od spodni. Następnie pociągał ojciec brzytwą po twarzy pokrytej pianą. Za brzytwą zostawał ślad gołej skóry bez zarostu.

Dziadek zmarł w 1957 roku w wieku 82 lat. W tym czasie nastąpiło lekkie rozluźnienie blokady na granicy dwóch *zaprzyjaźnionych, samodzielnych* państw. Syn dziadka - Witek przyjechał z Warszawy do nas po raz drugi na kilka dni, niestety już po pogrzebie. Pierwszy raz miało to miejsce chyba rok wcześniej, kiedy dziadek jeszcze żył. Dziadek pamiętał drewniane narzędzia którymi uprawiano pole. Znał sochę. Jak ten czas leci. Jego wnuk pisze wspomnienia na komputerze.

W przeciwieństwie do bardzo szczupłego, można powiedzieć chudego dziadka, babcia była kobietą lekko tęgą. Babcia, tak jak zdecydowana większość kobiet w jej wieku, przędła wełnę. Z jej rąk wychodziły cienkie, długie nici. Oczywiście im cieńsza nić, tym umiejętności prądku większe. Babcia potrafiła prząść przy pomocy wrzeciona i kołowrotka. Nić na wrzecionie powstawała etapami. Najpierw należało ją skrócić. Wrzeciono w tym czasie opuszczało się coraz niżej, do samej ziemi. Następnie, po zdjęciu pętli z końcówki wrzeciona, nić się na nie nawijało. Potem tworzyło się kolejny odcinek nici i ponownie ją nawijało.

Na kołowrotku pracowało się bez przerwy, a powstająca nić cały czas nawijała się na szpulę. Praca prądku na kołowrotku jest znacznie wydajniejsza. Babcia potrafiła prząść na jednym i na drugim urządzeniu. Na wszystkie swoje zajęcia miała najwięcej czasu podczas długich, zimowych wieczorów. Wtedy dziadek prawie codziennie przebywał u nas, a babcia zostawała sama, w swoim mieszkaniu, przy nikłym świetle małej lampy naftowej.

Dziadek z nieukrywaną dumą wspominał, że babcia w latach swojej młodości, była bardzo ładną dziewczyną, szczególnie jak wplotła we włosy czerwoną wstążeczkę. Dziadek i babcia razem spędzili młodość. Niepostrzeżenie przeleciało ponad sześćdziesiąt lat ich wspólnego życia. Mam wrażenie, że nie kłócili się nigdy. Byli zawsze razem w szczęściu i smutku. Tę parę rozdzieliła śmierć. Kości dziadka samotnie próchnieją na cmentarzu w Stołpcach, a babcini na Mazurach, w Szczytnie. Nie jest to koniec wspomnień o dziadku. Jeszcze do niego wrócimy.

1 Młyn wodny znajdował się we wsi Zadworie, kilka kilometrów na wschód od Stołpiec.

2 W Związku Radziecki w tamtym okresie zajęcia w szkole kończyły się około 20 maja, a rozpoczynały ponownie 1 września.

3 Ciechanowicz! Dokąd pan się spieszy? Do kołchozu? Kołchoz bez pana nie zginie. Czy tu jest źle? Pracować nie każą. Jeść dają. Lepiej nich pan poleży i odpocznie. (ros.)

4 Ech jabłuszko, dokąd się turlasz. Trafisz do kołchozu - nie wrócisz. (ros.)

5 Od Wastok - wschód. Tak nazywano wszystkich Rosjan, ponieważ przybyli do nas ze wschodu.

MINIUM

6. Gospodarze

21

Rodzice urodzili się na wsi. Gospodarzyli na kilku hektarach piaszczystej ziemi. Zbierali zrodzone przez nią plony. Własnością cieszyli się dwa razy. Pierwsze gospodarowanie zostało brutalnie przerwane przymusową kolektywizacją. Drugie, po repatriacji do Polski w nowych granicach, było dziejową nagrodą za okres kolchozowej poniewierki. Szczęście do nich wróciło. Ponowna możliwość gospodarzenia na własnej ziemi o kilka lat odmłodziła mamę, dodała sił ojcu. Odzyskana możliwość pracy dla siebie nie pozwalała na starzenie się. Szczególnie dotyczy to naszego ojca, który ze względu na wiek bardziej pasował na dziadka.

Tej różnicy wieku nie zauważaliśmy. Naszym zdaniem wszystko było w normie. Tym bardziej, że ojciec nigdy nie narzekał na stan swego zdrowia. Nigdy nie robił z siebie staruszka. Odwrotnie, zawsze zdecydowanie i przekonująco udawał, że jest „stuprocentowo zdrowy” i nic mu nie dolega. Również swoim sposobem bycia oraz wykonywaną pracą przekonywał codziennie całą rodzinę, że nie choruje teraz i nie ma zamiaru robić tego w najbliższej przyszłości.

Mieszkaliśmy wtedy niedaleko Szczytna na skraju lasu, gdzie kilkanaście domków z czerwonej cegły stało nad małym jeziorkiem. Wiosce kiedyś, ktoś nadał nazwę o miłym brzmieniu - Szczycionek. Tam, na równi ze znacznie młodszymi mężczyznami, ojciec wykonywał samodzielnie bez naszej pomocy prawie wszystkie prace związane z prowadzeniem gospodarstwa. Wstawał wcześnie, kiedy cała rodzina spała. Na śniadanie przychodził nie tylko po wykonaniu codziennej krzątania na małym podwórku i w chlewie, lecz często po zaoraniu swoim koniem kolejnej działki pola lub narąbaniu dodatkowego drewna na zimę. Zadowolony z satysfakcją informował o dobrze i na czas wykonanej robocie. Nigdy nie wspominał o zmęczeniu. Zawsze chętnie siadał do posiłku.

Nawet w niedzielę, kiedy nie tolerował żadnej pracy, potrafił wstać znacznie wcześniej, niż tego wymagał codzienny obrządek przy krowach i świniami. Po jego zakończeniu, lekko pochylony do przodu, tak jakby zmęczone nogi nie nadążały za wzrokiem wybiegającym do przodu na wzgórkach, stanowczy i zdecydowany podążał na pobliskie pole. Czyżby zapomniał, że był tam wczoraj? Widocznie po nocy musiał zobaczyć, o ile podrosło żyto lub owies, czy trawa lepiej się zieleni po nocnej rosie, bo deszcze nie padały od dłuższego czasu.

Zanim rozpoczął swój obchód, wypuszczał z obory krowy, które wyprzedzając gospodarza wybiegały za stodołę. Tam, na rozpoczynającym się paśniku zwalniały, pochylały głowy i zaczynały pracowicie zagarniać szorstkim językiem zieloną, niską trawę. Pokrywały ją drobniutkie kropelki rosy, błyszczące w promieniach wschodzącego słońca.

Mijając krowy, tym samym przyśpieszonym krokiem, ojciec kierował się w stronę pobliskiego lasu przed którym się rozciągał łąk podrastającego żyta. Tuż obok, wyrastał pasek owsa i ziemniaków z poustawianymi strachami mającymi odstraszać dziki oraz jelenie. Należało jak najszybciej sprawdzić, czy nie ma świeżych śladów

zwierzyny i nowych zniszczeń dokonanych przez nią. Po upewnieniu się jaki jest stan faktyczny, można było zawrócić do domu.

Ojciec nie zawracał. Przemarsz po swoim polu stanowił początek długiej wędrówki. Musiał obejrzeć uprawy sąsiadów. Pragnął przejść obok nich polną drogą lub wąską miedzą, aby dokonać porównawczej oceny wyników pracy swojej i wysiłku sąsiadów. Rozpoczynał się powolny, samotny spacer w porannej rosie, wśród dojrzewających łąnów zbóż i równych rzędków kwitnących ziemniaków. To nie był obowiązek. Obcowanie z przyrodą i owocami ludzkiej pracy na roli stawało się poranną modlitwą, potwierdzeniem dawnej wypowiedzi z okresu wojska, że Stwórcę można chwalić każdym dobrym uczynkiem, dobrze wykonaną pracą. Samotna wędrówka w promieniach wschodzącego słońca przywracała zdrowie, wzmacniała siły na następne tygodnie i miesiące.

Podczas wspólnego śniadania mieliśmy już pełną informację nie tylko o zapowiadających się plonach na naszym polu, lecz i na działkach sąsiadów. Dowiadaliśmy się również, na czyje pole z pobliskiego lasu powychodziły jelenie i dziki, komu i jaką szkodę wyrządziły. Oczywiście, w tym momencie słyszeliśmy kolejny raz wygłaszane oburzonym głosem pretensje pod adresem władz państwowych, bardziej dbających o dziki i jelenie, niż o ciężką pracę rolnika. Pomimo to, gdy wzburzenie opadało spokojniej stwierdzał, że system istniejący w Polsce chociaż ma wady, w znacznym stopniu odpowiada dążeniom z okresu międzywojennego. Będąc nieprzejednanym wrogiem komunizmu, ojciec nie był też zwolennikiem systemu pozwalającego na koncentrację władzy i finansów w rękach nielicznych bogaczy.

Ale jeśli w tym czasie z jakiejś okazji przemawiał Gomułka, gniew i oburzenie rosły z minuty na minutę. Wtedy, słyszeliśmy znów tę samo opinię, że sam tego nie napisał i nie może być mądry we wszystkich dziedzinach życia i gospodarki. Trudno przekazać gniew ojca w tych dniach, kiedy była tzw. kampania wyborcza. Zawsze podnieconym głosem stwierdzał, że nie ma kogo wybierać, bo „już sami wybrali”, a własne wywody kończył podsumowaniem, że to wszystko „wzięte jest z Rosji” i robi się tak jak Moskwa każe. Głos był pełen podniecenia i zdenerwowania. Oczywiście na zakończenie musiało paść stwierdzenie, że młodzież jest pokrzywdzona, bo nic nie wie i jest ciągle oszukiwana.

Ojciec, czasami dla żartów, a może na poważnie stwierdzał w tamtych latach, że mając zdrowy cały organizm jest gotów stawać w zawody z młodszymi od siebie. Nikt z nim w żadnych zawodach nie startował. Jedyne ja przegrałem z tamtym starszym, wczesnym latem 1963 roku, w kilka miesięcy po powrocie z wojska. Wojska powietrzno-desantowe zbyt nie rozpieszczały. Wróciłem silny i wygimnastykowany. Z tyłu pozostała zima. Ku końcowi zbliżała się wiosna. Nadchodził okres sianokosów. Wydawało się, że na mnie powinien spaść główny wysiłek skoszenia zielonej, soczystej trawy. Nie było żadnych wątpliwości, musiałem wziąć urlop po to, by razem z ojcem wykonać tę pilną pracę rolnika.

Krótki urlop uzyskałem bez większych problemów. Mogłem więc następnego dnia, już od samego rana, wyruszyć z ojcem na łąkę. Poza tym nic mnie nie obchodziło i spałem jak zwykle aż do śniadania. To ojciec w dniu poprzednim wyklepał kosy. Wstał też wcześniej, aby wykonać codzienny obrządek. Dopiero do śniadania usiedliśmy razem i wkrótce drabiniastym wozem wyruszyliśmy na łąkę.

Kilkukilometrowa droga przez las została za nami. Znaleźliśmy się na obszernej zielonej równinie. Gdziegdzie widziało się pierwszych kosiarzy, czasami pojedynczych, przeważnie w niewielkich, rodzinnych grupkach. Oni już przystąpili do pracy. Wkrótce wóz zatrzymał się obok sporego prostokąta nietkniętej, wysokiej trawy. Zgodnie z planami ojca, w ciągu dzisiejszego dnia, do wieczora należało ją skosić. Mnie się wydało, że jest to zbyt duża przestrzeń, lecz widocznie nie miałem racji.

Wyprzęgliśmy konia, ustawiliśmy w cieniu pod wozem jedzenie. Tam też znalazły się butelki napełnione wodą, która stawała się coraz cieplejsza. Schowaliśmy również herbatę - coraz zimniejszą. Twarde osetka wydając wesołe dźwięki „poprawiły” wyklepane ostrza i ojciec zdecydowanymi krokami wyruszył układać pierwszy pokos. Stwierdził przy tym, że na razie, na początku naszej pracy pójdzie pierwszy wzdłuż granicy, a następnie nie będzie mi przeszkadzał i pomału postara się pomagać, w miarę swoich sił.

Ojciec rozpoczął koszenie. Przez chwilę przyglądałem się z tyłu. Odniosłem wrażenie, że jego ręce bez żadnego wysiłku poruszają drewnianym kosiskiem. Wydawało się, że wąski czubek stalowej kosi wślizguje się z łatwością w zieloną masę gęstej trawy, a cienkie ostrze ścina ją, nie napotykając żadnego oporu. Ręce ojca, które dawno wypracowały zasłużony odpoczynek, spokojnie wykonywały zgrabne półkola, dokładnie i bez pośpiechu. Gruby pokos gęsto ułożonej trawy jednostajnie wydłużał się. Ojciec posuwał się do przodu, odległość między nami wzrastała. Pomimo swych lat, chyba nie wiedział co to zmęczenie, nierówna łąka, gęsta trawa oraz ciężka kosa i brak tlenu we wdychanym powietrzu.

O tym wszystkim, doskonale wiedziałem już wkrótce. Po pierwszych próbach nadążenia za tamtym siedemdziesięcioletkiem zrozumiałem, że nie mam żadnej szansy utrzymania narzuconego tempa, bo albo moja kosa jest gorsza, albo... nie potrafię kosić.

Ojciec prawdopodobnie również doszedł do tego pierwszego wniosku i zaproponował zamianę naszych narzędzi pracy. Nie przyniosło to oczekiwanej ulgi. Druga kosa, tak samo ciężka i nadal nieposłuszna z wielkim trudem podcinała twardą trawę, stawiającą wielki opór. Pomimo że bardzo się starałem i wysiłałem, zostawałem daleko z tyłu. Nie pomagało identycznie ustawianie nóg, podobne lekkie pochylania się do przodu. Tak jak poprzednio, słony pot, spływając strumieniami po czole, zalewał oczy. Ojciec, natomiast, nadal spokojnie i pewnie posuwał się do przodu, oceniając jedynie od czasu do czasu jak duży areał skoszono, a ile jeszcze zostało. Do późnego wieczora nie zauważałem u niego zmęczenia. Nie było wątpliwości, ojciec kosił. Ja pomagałem.

Ojciec najbardziej się męczył, jeśli czasami zachorowała mama i musiał ją zastąpić przy garnkach. Tu nic nie potrafił. Gdyby nie mama, to byśmy chyba z głodu poumierali. Mama, poświęcona bez reszty dzieciom, pracowała od rana do nocy. Jakim sposobem, jakim nakładem pracy i niezauważanego przez nikogo wysiłku potrafiła spełniać przyjęte na siebie obowiązki żony starszego mężczyzny i matki czwórki nie zawsze idealnych i nie zawsze posłusznym chłopców?

Mama o swoim prawdziwym wieku nie wspominała nigdy. Lat miała mniej, niż ojciec. Jak wielka była różnica na prawdę, pozostanie tajemnicą. W dokumentach,

podczas zamieszkiwania w Kraju Rad, świadomie lub przypadkowo datę urodzin wpisano błędnie. Pomimo różnicy wieku, rodzice raczej tworzyli dobrą parę partnerską. Mama, zgodnie z zasadami tamtego okresu, pilnowała domu. Ojciec, poprzez pracę na roli we własnym gospodarstwie, zapewniał materialne podstawy istnienia rodziny. Każde z rodziców pracowało od rana do wieczora, w spokoju wykonywało obowiązki.

Mama, jakimiś tylko jej znanymi metodami, potrafiła utrzymywać w mieszkaniu porządek, prac bez żadnej pralki i specjalnych proszków, ugotować na czas posiłki dla całej rodziny. Wszystkie swoje obowiązki wykonywała szybko, trudno było za nią nadążyć. Czasami zwracała się o jakąś drobną przysługę lub pomoc i przy najmniejszej zwłóce z naszej strony, sama wykonywała zamierzoną pracę.

W tym momencie można było ponownie usłyszeć starą bajkę o drewnianym synku, wystruganym z klocka drewna, w pewnej bezdzietnej rodzinie. Tamta gospodyni prosiła czasami *drewnianego synka* o jakąś drobną przysługę, a następnie stwierdzała głośno - albo ja sama to zrobię. Jeżeli prośba mamy nie była wykonana dostatecznie szybko, to przypomnienie o drewnianym synku było obowiązkowe.

Mama w żaden sposób nie mogła pogodzić się z chorobą, która zmusiła ją do spędzenia ostatnich lat życia w łóżku. To było tak sprzeczne z niespokojną naturą „żywego srebra”, ciągłego ruchu i pracy.

W odróżnieniu od ojca, który o śmierci innych osób, a szczególnie przewidywanej własnej mówił z udawaną lub prawdziwą obojętnością, mama nie dopuszczała nawet myśli o odejściu z tego świata. Nie liczyła lat. Nie przyznawała się do nich nie tylko przed nami, a prawdopodobnie i przed sobą. Uważała się za osobę młodą, przed którą zostały długie lata życia. Nadal chciała być wśród nas. Wciąż pragnęła patrzeć jak podrastają, tak długo oczekiwane wnuki. Może był któryś bardziej lubiany, może któryś mniej. To nie jest ważne. Żadnego zróżnicowania nie zauważało się.

Tak samo nie dało się zauważyć zróżnicowania w traktowaniu synów. Bardzo często z ust mamy słyszałem słowa powtarzane za jakimś mędrcem z dawnych lat, że dla matki każde dziecko jest jak palec u ręki. Skaleczenie dowolnego, tak samo boli.

22

Monotonnie mijały jednakowe dni tamtych, dawnych lat, kiedy rodzice po raz pierwszy gospodarzyli na swoim. Napięcie wzrastało przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Z tej okazji, na stół trafiały lniany obrus, a zamiast szarych, aluminiowych misek, stawały białe talerze. Inne też były niedziele. Śniadania niedzielne przeważnie miały charakter uroczysty, chociaż nie było obrusa i świątecznych talerzy. Do stołu siadaliśmy razem, w odróżnieniu od pozostałych dni tygodnia, kiedy ojciec wstawał wcześniej i spożywał śniadanie samotnie. W niedzielę obowiązkowo czekaliśmy, aż wróci z podwórka, z obrządku, a następnie przebierze się i nastąpi wspólny, uroczysty posiłek.

Specjalnym daniem z takiej okazji była *potrawka z oładkami*, tj. blinami, które trafiały na stół gorące, prosto z czeluści pieca. Specjalnie przygotowane ciasto rozlane cienką warstwą na gorącą patelnię we wnętrzu pieca promieniejącego pulsującym żarem

natychmiast na naszych oczach „podrastało”, robiło się coraz grubsze, stawało się pulchne, a następnie stopniowo zmieniało kolor na rumiany, apetyczny. Gorąca *oladka* zamoczona w gęstej zawieszistej *potrawce* stanowiła smakołyk, który trafiał na nasz stół raz w tygodniu, właśnie w niedzielę. W inne dni głównym daniem pozostawały ziemniaki, przetworzone w różny sposób.

W warunkach kolchozowych, pomimo coraz większych problemów z pozyskaniem podstawowego wyżywienia, uroczyście obchodzono święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy oraz Zielone Świątki. Na Zielone Świątki obowiązkowo przynosiliśmy młode brzoźki z lasu, a następnie ustawialiśmy je tuż przy ulicy obok bramy wejściowej i bezpośrednio na podwórku. Powstawał nieduży szpaler z młodziutkich drzewek, zielonych i pachnących. Brzożkami upiększano nasze podwórko oraz podwórko dziadka. Tak dekorowało otoczenie swych domów jeszcze kilka rodzin polskich, pielęgnując starodawny zwyczaj.

Rdzenni mieszkańcy wsi uważali, że mieszkając w lesie bez żadnego pozwolenia mogą wyrąbać kilka drzewek by udekorować otoczenie domu z okazji wielkiego święta. Obowiązywało myślenie, że las istniejący od najdawniejszych czasów służyć powinien wszystkim, że „nie było nas - był las, nie będzie nas - będzie las”, a wycięcie kilku małych brzożek nie stanowi żadnej szkody. Nikt by nie odważył się samowolnie wycinać np. starej, grubej sosny lub wielkiego świerku.

Widocznie w okresie międzywojennym nikt nie robił problemu z tego powodu. Po wojnie, władza radziecka tym się nie interesowała, a służba leśna o samowolnym wycinaniu w lesie młodych drzewek „nic nie wiedziała”. Czasami niektórym Rosjanom przypadkowo przebywającym u nas na podwórku i zdziwionym nie spotykanym u nich obyczajem, ojciec tłumaczył o dawnej tradycji i wyjaśniał sens tego święta.

Nie obchodzono Wszystkich Świętych. Prócz przyczyn o których wspomniałem wcześniej była prawdopodobnie i jeszcze jedna - główna. Ci co pozostali przy życiu, nie mieli czasu na zaprzątanie sobie głowy zmarłymi. Ich myśli koncentrowały się na jednym celu - „jak przeżyć?”

Oficjalnie i uroczyście obchodzono święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, ale rzecz jasna w ramach rodziny. Jedynie podczas świąt oraz w krótkim okresie po nich na stołach pojawiało się mięso. W innych miesiącach po prostu go nie było. Wyrobów mięsnych podczas postu nie mieliśmy nawet *na spróbowanie*. Ojciec w takich okresach ciągle powtarzał, że krótkie przegłodzenie się oraz wstrzemięźliwość w jedzeniu nikomu nie zaszkodziła, że jego matka w ostatnich dniach przed świętami *pościła szczerym postem i piła tylko wodę*. Często przy tym wspominał swoją przymusową głodówkę w austriackiej niewoli i pokazywał jaka kromeczka chleba miała wystarczyć na cały dzień.

Oczywiście, podczas polskich świąt nie mogła istnieć jakakolwiek przerwa w szkole. Prawosławne święta religijne w radzieckim państwie, również nie istniały. Zajęcia odbywały się normalnie i należało jak co dzień przygotować się do lekcji. Najważniejsze było to, że zanim przystąpiono do ostatnich świątecznych przygotowań ojciec z dziadkiem wyprowadzali na podwórko, przeważnie na biały śnieg, jedną ze świnek z naszego chlewa lub z chlewa dziadków. Następnie, na kilka krótkich chwil

dzieci musiały odejść i schować się za rogiem budynku. Nie mieliśmy wątpliwości. Wkrótce, będziemy mieli wędzoną szynkę i tak długo oczekiwaną, pachnącą kiełbasę.

Gdy białe kłęby dymu z zapalonej słomy informowały o rozpoczęciu ogromnie ważnej, męskiej pracy, mogliśmy wyjść z ukrycia. Takiej okazji nie sposób przegapić. Należało być tam, gdzie pracowali ojciec i dziadek. Jak że miłe ciepło promieniowało ze strzelających do góry żółtych płomieni ognia, pożerających długą słomę. Nawet podczas kołchozów, gdy tak trudno było o każdy jej pęczek, na *smalenie* świniaka musiała się znaleźć. W pobliżu ognia mróz ustępował. Jego siarczysty oddech odczuwało się dopiero odrobinę dalej. Jedynie do nieruchomych nóg stopniowo dobiegał się chłód ze zmrożonego śniegu. Nie pomagały przypomnienia ojca i dziadka o konieczności ruszania się i przytupywania.

Wreszcie *smalenie* dobiegało końca. Ogień zalewano wodą. Płomienie ginęły. Promieniowanie miłego ciepła zanikało i nie było już czerwonych iskier odlatujących z trzaskiem na biały śnieg, układających na nim czarną, zwęgloną mozaikę. Wracala mroźna cisza grudnia. Ze wszystkich stron nasuwał się wszechobecny mróz, który potwierdzał swoje niepodzielne panowanie, układając delikatne warstwy białego szronu na drzewach pozbawionych liści.

Zanim mocniej zmarzły palce u nóg i chłód sięgnął do całej reszty ciała, wypadało popatrzeć na kolejny etap pracy, kiedy ojciec brał nóż i przystępował do skrobienia *osmalonego świniaka*, a dziadek do polewania wodą ze studni. Oczyszczona i umyta skóra nabierała brązowego, apetycznego wyglądu. Wtedy całkowicie zapominało się o konieczności *przytupywania* i dopiero po powrocie do domu okazywało się, jak bardzo zmarzły nogi, a szczególnie palce. Piekący, rozdzierający ból promieniował chyba aż do serca, wymuszał głośny płacz, wyciskał potoki łez. Ulga następowała po natarciu nóg zimnym śniegiem. Zdenerwowana mama przynosiła go zawsze w dużej miednicy z podwórka.

Teraz, w ciągu kilku kolejnych dni, znacznie więcej pracy miała mama, przygotowując smakołyki na okres świąteczny. Przed nastaniem świąt nie były one dostępne. W tym czasie bez przerwy słyszeliśmy, że jest okres postu, że z mięsa należy rezygnować, bo zawsze tak było. Wiedzieliśmy, że dopiero na święta będzie mięso i ciasto, a może jeszcze jakieś cukierki na choince. Do pierwszego dnia świąt żaden mięsny wyrób nie trafił na stół.

Biały obrus, przysmaki, których nie dało się ujrzeć w żadnym innym dniu. Cała rodzinka przy stole, łącznie z babcią. Wszystko świadczyło o wielkim święcie. Babcia z tej okazji również przychodziła do nas, bo przeważnie w naszym domu obchodzono Wigilię Bożego Narodzenia lub pierwszy dzień Wielkanocy. W następnym dniu szliśmy do dziadków. Na świąteczny stół tam również trafiły wyroby mięsne, jakieś desery i ciasto.

W tamtych latach, kiedy rodzice i dziadkowie gospodarzyli na swoim, najlepsze kawałki ziemi obsiewano pszenicą, aby na świąteczne wypieki wystarczyło *pytlowanej* mąki. Skąd zdobywano ją w okresie kołchozów, tego nie potrafię wyjaśnić. Może w ciągu całego roku, gdzieś w jakimś sklepie nadarzyła się okazja kupienia kilku kilogramów tego rarytasu. Oplatki na Boże Narodzenie otrzymywaliśmy w listach od rodziny z Polski, ale choinka była z pobliskiego lasu, przyniesiona przez dziadka lub

ojca. W ostatnim okresie ten przyjemny obowiązek spadł na mnie i Edka. Oczywiście po choinkę chodziliśmy do Szacilówki, Tamte bagna przecież w zimie zamarzały, a wrócić można było zawsze, po swoich śladach. Ustawiano ją w rogu największego pokoju.

Kiedys też tam stanęła piękna choinka. Zawiesiliśmy na niej nieliczne bombki, kolorowe łańcuszki własnej produkcji, kilka cukierków, jabłuszka. Jeżeli choinka, to las, a tam zajęce i wilki. Momentalnie stałem się wilkiem, Edek zajęcem, a może odwrotnie. Pozostaje fakt, że schował się on za drzewko, w rogu pokoju. Byłoby wszystko w porządku, gdyby siedział spokojnie, ostrożnie. Zapomniał jednak, że choinkę utrzymują w pionie nie mocne korzenie, a drewniany stojak. W pewnym momencie zbyt mocno ją trącił. Choinka zachwiała się, a następnie majestatycznie przechyliła się i po chwili leżała poziomo. Brzęk tłukących się bombek usłyszeli rodzice w sąsiednim pokoju. Tym razem nawet ojciec ograniczył się do krótkiej, słownej reprimendy. Choinka stanęła ponownie, lecz bombek na niej prawie nie było. Niestety święta szybko mijały. Pozostawało oczekiwanie na następne i codzienna szarość powszednich dni.

Pierwsze lata po wojnie, jak wspominałem wcześniej, to niepewność jutra spowodowana nowymi rządami NKWD. Drugim problemem, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy, było pozyskanie żywności, zapewnienie ubrania, opału na zimę, a więc stworzenie minimalnych warunków niezbędnych do utrzymania rodziny przy życiu.

Z opalem było najmniej kłopotów. Władza radziecka nie wprowadziła drastycznych ograniczeń prawdopodobnie jedynie w tej dziedzinie. W naszych okolicach, służby leśne wycinały ogromne ilości najstarszych sosen i świerków, na tzw. dłużycę. Bez żadnej opłaty można było obrąbywać z nich gałęzie i zabierać na opał. Wycinek robiono dużo, zbyt dużo jak na prawidłową gospodarkę. Odbywało się to ze szkodą dla lasu, lecz drewna opałowego mieszkańcom wsi nie brakło.

Pod tym względem mieliśmy nawet lepiej, niż pozostali sąsiedzi, ponieważ rodzice podnajmowali największy pokój służbom leśnym na biuro. W biurze musiało być ciepło. Dostawaliśmy specjalny przydział drewna grubego. Uzyskiwaliśmy dodatkowe pieniądze za wynajmowanie pokoju, a mama za sprzątanie. Było więc nieźle. To jedna strona medalu. O drugiej dowiedziałem się po upływie lat.

W tamtym okresie zauważyłem u rodziców jakiś niepokój, wyraźnie coś przed nami ukrywali. Zawsze późnym wieczorem, po zakończeniu prac, ojciec uzupełniał wodę w wiadrach stojących na specjalnej ławce. Poprzednio znajdowało się tam tylko jedno, które nie zawsze było pełne. Teraz obowiązkowo stały dwa, napełnione po brzegi. Ponadto przed snem ojciec wychodził do sieni i wracał z ciężką, dużą siekierą na długim trzonku. Służyła do rozszczepiania grubych pni. Siekierę ojciec stawiał w pobliżu wiader i dopiero wtedy szedł spać.

Powyższy ceremoniał od pewnego czasu powtarzał się codziennie. Nie odważyłem się pytać rodziców, do czego służą tak dziwne przygotowania. Żaden młodszy brat ryzykować też nie próbował. Wiedzieliśmy, że jeżeli o czymś nie jesteśmy informowani, to nie mamy prawa się pytać. W odpowiedzi mogło paść nie zbyt przyjemne stwierdzenie: „To nie twoja sprawa, zajmij się lepiej swoimi obowiązkami.

Lekcje masz odrobione? Pokaż dzienniczek i powiedz, co było zadane”. Lepiej było pozostać w niewiedzy, gdyż w dzienniczku nie zawsze znajdowały się najlepsze oceny.

Wiele lat później dowiedzieliśmy się, że w nocy rodzice prawie nie spali, obawiając się pożaru, który zamierzali spowodować pracownicy biura. Mieli ogromny bałagan w dokumentacji, bali się kontroli i jej następstw, które były zawsze podobne tj. wieloletnie więzienie, często w odległych zakątkach bezkresnego kraju. Siekiera miała służyć do otwarcia drzwi zamkniętych na klucz, a wiadra z wodą, do stłumienia ognia. Później też się dowiedziałem, że najprostszym sposobem spowodowania pożaru w nocy było zostawienie płonącej świecy w szafie z dokumentami.

O tym, że nasz budynek ma spłonąć, ojciec dowiedział się w wielkiej tajemnicy od jednego z pracowników. Usłyszał od niego krótkie zdanie: „*Chaziain smatritie, ani sazhut Wasz dom*”¹. Jakoś się udało. Pożaru nie było, a po pewnym czasie lokatorzy wynieśli się. Razem z nimi, niestety, pozbyliśmy się dodatkowego zarobku.

23

Rodzice gospodarzyli na własnej ziemi do 1948 roku. Mam więc w pamięci nie tylko wąskie paski pól, lecz również niektóre prace rolników. Nie zapomniałem szczegółów gorącego okresu żniwnego, kiedy w promieniach letniego słońca wożono zboże z pola do stodoł. Tę męską pracę wykonywał ojciec i dziadek. Jakże cudownie było zabrać się z nimi na daleką wyprawę, na pole za lasem, by wrócić z powrotem siedząc wysoko na szerokim, bujającym się wozie.

Zawsze, gdy wyjazd następował z podwórka dziadka, przed wyruszeniem w drogę strząsano jabłka z jabłoni, rosnącej obok stodoły. Owoce duże i soczyste, stawały się wspnianym przysmakiem podczas letniego upału. Koń, ponaglony delikatnie lejcamy trzymanymi przez ojca, posłusznie ruszał w kierunku bramy, a następnie na drugą stronę ulicy, na polną drogę wyżłobioną w niskiej, lecz ciągle zielonej trawie. Od tego momentu zbędne stawało się kierowanie. Deresz nie zbaczał z drogi. Czarny pas ziemi, spulchniony twardymi kopytami, a przez to pozbawiony jakiegokolwiek roślinności, prowadził bezbłędnie w kierunku lasu, za którym czekały wysuszone snopki zboża.

Wąskimi koleinami toczyły się drewniane koła okute stalowymi obręczami, złościły i systematycznie pogłębiały pierwszy ślad powstały dawno, przed laty. Wiele lat ugniatyły i pogłębiały go niezliczone przejazdy chłopskich wozów, obciążonych płodami ziemi.

Wzdłuż drogi ciągnęły się węższe lub szersze zagony żyta, owsa, ziemniaków. Między uprawami wywyższały się wąziutkie paski ziemi, zwane miedzami. Żaden pług nigdy ich nie tknął. Porośnięte dorodnym, zielonym perzem, miotłami wysokiej bylicy lub wiehczami siwego piołunu rozsiewającego daleko swoje drobniutkie nasionka, od najdawniejszych lat wyznaczały granice własności. W tym czasie nikt nie przewidywał, iż wkrótce kołchozowe traktory zmienią krajobraz. Ich stalowe lemieszki zlikwidują starodawne miedze, wierne towarzyszkę chłopskich zagonów. Zaorzą naszą drogę, służącą od pokoleń mieszkańcom wsi udającym się na odległe pola za lasem.

Na razie były jeszcze miedze i droga, i nieruchome gorące powietrze, przesycone promieniami letniego słońca. Spływały one prawie pionowo z błękitnego nieba, sięgając głęboko pod zwiędnięte łodygi roślin, do gorącego piasku, wymuszając parowanie resztek wilgoci.

Za żwawym Dereszem dziadka toczył się lekko nasz pusty wóz. Koń potrząsał pracowicie głową i wymachiwał długim ogonem, odpędzając natrętne muchy i chmary innych owadów. Na każde ponaglenie chętnie przyśpieszał. Może chciał szybciej znaleźć się w lesie, w cieniu wysokich drzew. Może rozumiał troskę gospodarzy, pragnących przed nadejściem deszczów zabrać do stodół dojrzałe snopki zboża, dosuszone i gotowe pozbyć się dorodnych ziarenek przy najmniejszych wstrząsach.

W lesie było duszno i parno. Nie docierało tu najmniejsze tchnienie wiatru. Pomiędzy cieniami wysokich drzew układały się bezkształtne, jasne plamy. Tworzyły je promienie słońca, które przenikały przez rozrzedzone konary starych sosen i sięgały do pożółkłej, rzadkiej trawy. Z głębi lasu promieniowała cisza i spokój. Wsłuchując się w nią koń unosił głowę, rozglądał się, ruszał uszami i zwalniał. Wolną jazdę wymuszały również grube korzenie, wrastające w koleiny i tworzące nierówności. Podczas szybszej jazdy drewniany wóz podskakiwał na nich dokuczliwie, a długie hołoble szarpały chomątem spoconą szyję Deresza.

Przesuwaliśmy się wolno obok najwyższych drzew. Ich wysmukłe pnie pięły się czubkami daleko w górę, w kierunku nieosiągalnego błękitu. W samo południe krótkie cienie nie sięgały piaszczystych kolein drogi i końskich kopyt, od uderzeń których wznosiły delikatne obłoczki szarego pyłu. Gęste zarośla najbliższych drzew przesłaniały dalsze widoki, a spojrzenie kierowało się niechęć na delikatną zieleń młodych, białych brzoź. Najstrojniejsze, niby młode panny w dniu ślubu, przyciągały szczególnie wzrok ojca i dziadka. Wtedy ponownie wybierano tę najpiękniejszą, podobnie jak w obecnych czasach wybiera się miss piękności wśród najładniejszych dziewczyn.

W międzyczasie mijaliśmy rozgrzany słońcem szeroki carski trakt Paryż - Moskwa. Wysuszone, głębokie piaski stawiały znaczny opór nawet wtedy, kiedy jechaliśmy pustym wozem. Deresz wysilał się mocniej, pochylał głowę i napręzał mięśnie.

Jeszcze kilkaset metrów leśnej drogi, podobnej do poprzedniej i oczom ukazywała się ogromna przestrzeń wolna od drzew. Wszystkim mieszkańcom wsi wystarczyło tu miejsca na długie, wąskie zagony. Poodgradzane wysokimi miedzami uciekały w lewo i prawo. Droga wiła się łagodnymi łukami, omijała najwyższe pagórki. Koła dokuczliwie podskakiwały na większych i mniejszych kamieniach, szarpały całym wozem. Gdzieś na krańcu horyzontu zieleń pól zlewała się z wysokim, ciemnym lasem, który ograniczał zasięg wzroku, zamykał widnokrąg ze wszystkich stron.

Deresz szedł stępa. Był okres żniw, czas wożenia dojrzałego zboża do stodół, lecz nikt go nie ponaglał. Gospodarze wiedzieli, że nie pierwszy raz jadą na pole. Przed nimi długi dzień pracy. Sił powinno wystarczyć do wieczora, a spokojem i dokładnością osiąga się więcej, niż nerwami i pośpiechem. Mieli więc czas i uważnie oglądali długie bruzdy ziemniaków, uciekające w dal *dziesiątki* ze skoszonym żytem albo wąskie łąny spóźnialskich gospodarzy jeszcze nie żęte. Delikatne powiewy wiatru przepływając nad polem kołysały dojrzałymi kłosami i tworzyły łagodne fale, a gospodarze oceniali

stan zasiewów, szacowali wysokość przewidywanych plonów. Bezbłędnie poznawali, który mieszkaniec wsi jest właścicielem mijanego poletka. Czasami do rolników pracujących przy drodze głośno wołali: „Boże dopomóż!”

Wreszcie skręcaliśmy na wąski pasek, naszego lub dziadkowego pola. Witał nas równy rząd snopków ustawionych w *dziesiątki*. To był efekt znoonej, ciężkiej pracy od świtu do zmierzchu. Rodzice i dziadkowie nie jeden dzień spędzili na polu. Nie jedną kroplę potu wylali zanim zboże skosili i przygotowali do zwózki. Dziewięć przytulonych do siebie snopków przykrywał dziesiąty, odwrócony kłosami na dół i osłaniający swych braci przed ewentualnym deszczem.

Po zatrzymaniu się, przy pierwszej *kopie* razem z dziadkiem schodziłem z wozu. Zostawał tam ojciec i rozpoczynał układanie snopów, które zaczynał podawać starszy gospodarz. Musiał rozmieszczać je równo, aby wystawały jednakowo po obu bokach i nie przeciążały wozu z jednej strony. Wąsko rozstawione koła nie tworzyły statecznej podstawy dla znacznie szerszego ładunku. Na nierównościach drogi o wywrotkę było łatwo.

Podjeżdżaliśmy od *dziesiątka* do *dziesiątka*. Przybywało snopów na wozie. Wchodząc na kolejne warstwy, ojciec był coraz wyżej. Ładunek stawał się cięższy. Koła mocniej wrzynały w piaszczystą glebę. Za nami zostawały głębsze koleiny i puste pole. Wreszcie gospodarze stwierdzali, że zabierają ostatni *dziesiątek*. Więcej nie mogą dokładać. Może coś pęknąć albo się urwać. Zgadzali się obaj, że konia bez potrzeby nie należy przemęczać.

Czekała długa droga do domu. Snopki należało zabezpieczyć. Nie mogły się przesuwac, a tym bardziej spadać. Służył do tego specjalny długi drąg, tzw. *rubiel*. (Tego białoruskiego określenia nie próbowano zastępować wyrazem polskim). Okorowany, bez sęków, bardzo gładki i wyszlizgany był przeznaczony wyłącznie do „przyciskania” zboża lub siana. Cały rok leżał na belkach, w stodole. Miał tam swoje miejsce, oczekiwał na kolejne letnie miesiące, na okres zbiorów. W każdym dobrym gospodarstwie był tak samo ważny jak cep, kosa i pług.

Przyciskanie, to specjalny ceremoniał powtarzany niezmiennie od wielu lat. Na tym etapie dziadek wbijał w ziemię niepotrzebne już widły, a potem ustawiał się z tyłu za wozem i dźwigał gruby koniec drąga do góry do rąk swego zięcia. Ojciec wciągał go dalej i zsuwał grubszy koniec na dół z przodu, tuż za zadem konia. Dziadek zakładał tam na niego łańcuch. Z przodu musiał być łańcuch, czyli *piarednia*¹. Następnie przyciskano drągiem całość ładunku, ściągając go mocno do snopów. Do tego służyła wyszlizgana konopna lina, zakładana chyba trzy razy na dół do specjalnych zaczepów i z powrotem do góry, przez drąg. Z tyłu musiała być lina. W żadnym przypadku łańcuch. On by się łatwo nie przesunął po drągu i kaleczył by go stalowymi ogniwami. Ładunek dociskano mocno, jednak tak, żeby drąga nie złamać.

Pozostał jeszcze problem wyjazdu na drogę powrotną. Podobna do poprzedniej biegła poprzecznie przez wszystkie zagony. Gdzieś w lesie drogi się łączyły. Ich układ pozwalał wyjechać załadowanym wozem z dowolnego poletka, bez konieczności zawracania. Na wąskim polu zawrócić się nie dało. Wyjeżdżaliśmy wolno. Pomimo to szeroki, wysoki wóz kiwał się w lewo i prawo. Czasami na większych wybojach tylne koło na moment odrywało się od gruntu. Wydawało się, że jeszcze jedno mocniejsze

wahnięcie i będzie wywrotka. W miejscach bardziej niebezpiecznych obaj mężczyźni szli z boku, podtrzymywali widłami drogocenny ładunek, zabezpieczali przed wywróceniem.

Po szczęśliwym wyjechaniu na drogę, gdy koła wolno osunęły się w koleiny, wchodziliśmy na snopki szeleszczące wysuszoną słomą i pachnące dojrzałym ziarnem. Dziadek siedział z tyłu i pilnował, aby któryś z wnuków nie spadł. Koń szedł wolno, spokojnie. Jednak podczas wciągania wozu na górki samorzutnie pochylał się, jego mięśnie naprężały się, kopyta gwałtownie zsuwały do tyłu zapadając się w sykim piasku. Nisko opuszczona głowa kołysała się rytmicznie. Z najwyższym samozaparciem on walczył z ciężarem.

Zbliżając się do końca wzniesienia, Deresz przyśpieszał. Mocniej naprężał się i sapał głośnie, chciwiej wciągał powietrze, uparcie zdążał do szczytu. Widocznie wiedział, że po tamtej stronie będzie lżej. Zdarzało się, że finiszowanie rozpoczynał przed czasem i nie wystarczało sił na pokonanie całego wzniesienia. Czasami, kiedy zostawało kilka metrów do celu, nieoczekiwanie stawał. Następowła chwila złudnego odpoczynku, bo ciężar nadal ciągnął do tyłu. Mięśnie były nadal naprężone, a podczas ponownego ruszania niezbędny stawał się jeszcze większy wysiłek. Ojciec starał się powstrzymać konia przed zbyt wczesnym przyśpieszaniem. Ponaglał go do dodatkowego wysiłku, jeżeli do upragnionego szczytu zostawało zaledwie parę kroków.

Przed krótkim, lecz najbardziej stromym wzniesieniem, tam gdzie był najgłębszy piasek po zatrzymaniu schodziliśmy z wozu. Chwilę trwał odpoczynek. Potem ojciec z lejcami w dłoniach ponaglał konia. Rozumiejąc, że nie ma innej możliwości, nasz Deresz zawzięcie się rozpędzał. Od gwałtownych uderzeń kopyt wznosiły się kłęby pyłu. Dziadek w pośpiechu dobiegał z tyłu do wozu jednocześnie wołając wnuków, aby z *całych sił* pomagali popychać.

Z górki wóz przyśpieszał, wyraźnie najeżdżał na konia. Snopki stykając się z ogonem, zmuszały do większego tempa, lekkiego truchtu, ale nie pozwalały też na odpędzanie natrętnych much, kąśliwych owadów. Na nierównościach drogi, niby morskich falach, kiwał się nasz wysoki ładunek raz w jedną, raz w drugą stronę. Zawsze pragnąłem, aby bujanie było mocniejsze, jak na prawdziwym oceanie. Można było wtedy ułożyć się na plecach, patrzeć w niebo lub na konary wysokich drzew, przesuwających się tuż nad nami. Można było zamknąć oczy, a następnie próbować zgadywać, w którym miejscu się znajdujemy.

Dwaj starsi mężczyźni siedzieli spokojnie zajęci swoimi myślami. Widocznie odczuwali satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Prawdopodobnie odpoczywali, przygotowując się do kolejnego wysiłku, który czekał ich wkrótce. Przecież ciężkie snopy musieli złożyć do *sąsieku* w stodole. Lekko kiwając się na kołyszącym się wozie ojciec czasami coś podśpiewywał sobie, a między innymi:

*„Pałuczili my prikaz - naszemu pałku w Kawkaz.
Pałuczili my drugoj - naszemu pałku damoj.”¹*

Widocznie w tym czasie myślami wracał do wojska, wspominał daleką młodość. Oczywiście, wtedy tego nie mógł pojąć nawet najstarszy syn. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, że młodość szybko przemija, a większość żołnierzy bez względu na

narodowość woli wrócić do domu, niż ginąć na wojnie. Na pewno nasz ojciec wtedy również nie wiedział i nie przeczuwał, że już wkrótce po nastaniu kołchozów nie będzie ta droga już miła, nie zachęci do nucenia piosenek.

Zboże wożono raz z pola dziadka do jego stodoły, a następnie, dla odmiany, z naszego pola - na nasze podwórko. Wspólna praca łączyła teścia z zięciem. Byli sobie nawzajem potrzebni. Obowiązki wykonywali wolno i spokojnie. Rozumieli się bez zbędnych słów. Każdy wiedział co i jak robić, w jaki sposób sobie pomagać. Nie było między nimi żadnych nieporozumień, najmniejszych zgrzytów.

Podczas załadunku snopów starszy gospodarz czasami zatrzymywał się, przerywał pracę. Potem odchodził do tyłu, spoglądał na wóz i podpowiadał młodszemu w którą stronę ładunek należy bardziej wysunąć, z którego boku zbytnio wystaje. Razem oceniali kiedy przerwać ładowanie. Bez zbędnych dyskusji ustalali, czyje zboże zabierać, na który zagonik jechać.

Podobnie wyglądało wożenie siana. Wydzielało ono aromatyczny, odurzający zapach, lecz rozkosz drogi powrotnej przychodziła po wyjątkowo długim czekaniu. Z dalekiej łąki wracaliśmy późno, po całodziennym pobycie na ogromnej, płaskiej równinie. Tam nie było żadnych obłoków na niebie, najmniejszego cienia na ziemi. Panował upał. Jedynym schronieniem od żaru, lejącego się z błękitnej przestrzeni nad głową i od gorących promieni słońca był nasz wąski, drewniany wóz. Żaden to cień, żadna wygoda. Jednak tylko pod wozem łagodne powiewy suchego wiatru dawały lekką ochłodę. Tam można było usiąść lub się położyć. Pod wozem stały nasze torby lub koszyk z jedzeniem i wodą do picia. W cieniu tak się nie nagrzewała.

Na łąkę ojciec mógł zabrać tylko mnie, może czasami Edka. Za każdym razem, przed wyjazdem stanowczo ostrzegał, że będziemy tam długo, do późnego wieczora i odechce się nam zarówno łąki jak i jazdy. Wierzyć się nie chciało, że ostrzeżenie będzie na tyle prawdziwe. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że dzień może być tak długi. Przekonywałem się o tym dopiero na miejscu.

Jakież zajęcie można znaleźć na ogromnej, zielonej przestrzeni, pod prażącymi promieniami słońca? Pod wozem, chociaż w cieniu, nudno. Można więc z tego zrezygnować i przyglądać się jak koń, puszczone wolno ze spętanymi przednimi nogami, skubie trawę, nie zważając na słońce i muchy. Może się nie nudził. Z nisko opuszczoną głową skubał i skubał swą trawę, lecz ileż czasu można na to patrzeć? Wobec powyższego nie pozostawało nic innego, jak zapoznać się bliżej z pracą dorosłych. Rozpoczęli ją nie zwlekając, natychmiast po przybyciu i trudno było zauważyć, aby się nudzili. Pracowali w milczeniu, może na rozmowy nie chcieli marnować energii.

Przekonany, że nie wyjedziemy wcześniej niż wieczorem, słuchałem skąpych wyjaśnień zapracowanego ojca lub dziadka. Przyglądałem się jak z zielonej, wilgotnej trawy powstaje suche, szeleszczące siano. Wiedziałem, że skoszono ją kilka dni wcześniej, kiedy ojciec kategorycznie oświadczył, że na łąkę dzieci nie weźmie, ponieważ podczas koszenia będzie bardzo nudno. Jednocześnie dodał, że będzie znacznie ciekawiej, przyjemniej i weselej, jak pojedziemy siano suszyć i zgrabywać.

Mogłem oglądać ich pracę, poszukiwać tego, co ciekawe i przyjemne. Chciałem też ujrzeć coś wesołego. Na początku spostrzegłem, że skoszona trawa leżała w długich, grubych rządkach. To efekt wysiłku mężczyzn z poprzednich dni. Każdy lekko pochylony, niby poszukujący wzrokiem czegoś na dole, stanowczo i uparcie machał drewnianym kosiskiem. Ile machnięć na jeden długi pokos? Ile na całą łąkę? O tym nikt nie myślał. Nikt tego nie liczył. Dolatujący do uszu krótki świst ostrej kosi i delikatny szelest wilgotnej trawy był letnim akompaniamentem trudu rolnika. Padając na bok tworzyła gruby pokos, który wieńczył wysiłek kosiarza. Pokos się wydłużał, a gospodarz machał kosą od rana do późnego wieczoru i uparcie podążał do przodu. Miał ojciec rację. Oglądanie całodziennej, monotonnej pracy rolnika, to męczące i nudne zajęcie.

Od czasu do czasu koszenie przerywano. Przerwy następowały, kiedy twarda stal kosi przytępiona miękką trawą wymagała ponownego ostrzenia. To był czas na głębszy oddech i wyprostowanie zgiętych pleców. Należało jeszcze tradycyjnie wziąć garść trawy i obtrzeć nią na czysto gładką, lśniącą płaszczyznę. Radosne, wysokie dźwięki, efekt ostrzenia, niosły się daleko z jednego krańca łąki na drugi, od jednego kosiarza do drugiego.

Kosi naostrzone. Głębszy oddech złapany. Ponownie się przygięli i w lekkim rozkroku wparli stopy w łąkę. Już po chwili nieustępliwie, zawzięcie tak jak poprzednio kontynuowali ciężką pracę. Dłuższa przerwa będzie na posiłek, a następnie koszenie potrwa do późnego wieczora. Wieczorem, kiedy słońce opuści się niżej, pracuje się lżej. Miał ojciec rację, że na koszenie łąki jechać nie pozwolił.

Tym razem kosi zostały w domu. Teraz miało być ciekawiej, przyjemniej i weselej. Z zaciekawieniem przyglądałem się, jak ojciec z dziadkiem szli wzdłuż pokosów i odwracali je grabiami na drugą stronę. Do góry wychodziła trawa świeża i zielona. Przywiednięta trafiała pod spód. Pokos stawał się bardziej „pulchny” lepiej wystawiony na działanie gorących, słonecznych promieni. Delikatne powiewy wiatru zwiększały parowanie wody, swawolne igraszki przyśpieszały powstawanie siana.

Z niecierpliwością oczekiwałem na koniec przewracania. Miałem nadzieję, że wkrótce rozpocznie się zgrabywanie i pojedziemy do domu. Niestety, to nie był wieczór, to nie było siano. Nie mogliśmy jechać do domu. Należało czekać cierpliwie. Można było nadal przyglądać się, jak jeszcze kilkakrotnie mocno zwiędnięta trawa będzie przewracana i przetrząsana. Wiatr roznosił po łące aromatyczny zapach. Nie domyślałem się, że rolnik odczuwa największą przyjemność, kiedy ten aromat wdycha. Nadal nie wiedziałem, kiedy jest ciekawiej, a kiedy będzie weselej.

Następnie gospodarze przystępowali do tworzenia *walków*, długich i wysokich. Dopiero teraz uzyskiwano prawdziwe siano. Skarb na zimę, przysmak dla krów i koni. Układało się ono grubą, pulchną warstwą. Może w tym momencie należało się cieszyć, lecz o tym nie wiedziałem. Próbowałem ucieszyć się, gdy pomyślałem, że w końcu rozpocznie się ładowanie siana na wóz i wreszcie pojedziemy.

Faktycznie. W pewnym momencie dziadek przerywał pracę i szedł po konia. Następnie zaprzęgał do wozu i podjeżdżał na początek walka. Ojciec wchodził na wóz. Dziadek widłami zgarniał siano w większe kupki i podawał do góry, do rąk swojego zięcia. Wóz stawał się wyższy. Przed każdym następnym ruszeniem koń zastanawiał się

dłużej, przestępował z nogi na nogę, na zapas napręzał się i ruszając bardziej pochylał się do przodu. Końskie kopyta coraz łatwiej przerywały zieloną darninę łąki i za każdym razem zapadały się głębiej w mazistą, czarną glebę. Wąskie koła wozu zostawiały głębsze wgniecenia. Był to moment ciekawy. Zawsze zastanawiałem się czy po dołożeniu następnej kopki siana koń ruszy ciężki wóz z miejsca, czy nie podola? Nadal nie wiedziałem, kiedy będzie wesoło.

Wreszcie ładowanie przerywano. Gospodarze uznawali, że więcej dokładać nie będą. Wóz był dostatecznie ciężki, a droga daleka. Ojciec zostawał na wozie, a dziadek podawał jemu do rąk *rubiel*. Ten sam, który przytrzymywał snopy żyta na wozie. Oglądałem ostatni etap prac. Rozłożone wysoko i szeroko luźne, nastroszone siano należało mocno docisnąć, stworzyć z niego ładny sześciobok na kołach. Nie miałem wątpliwości. Po zakończeniu tych czynności wreszcie pojedziemy do domu. Domyślałem się, że przyjemność polega nie na całodziennym oglądaniu jak z wilgotnej trawy powstaje suche siano. Przyjemność, to te krótkie chwile, gdy wóz jest załadowany i oczekuje się na moment docięnięcia oraz obwiązania długą, konopną liną. Właśnie wtedy następuje radość powrotu.

Stojąc z tyłu, za wozem, niecierpliwie przyglądałem się jak dziadek podnosi gładki, długi drąg i jego gruby koniec wsuwa na siano. Wiedziałem, że następnie ojciec uniesie go i cieńszą końcówkę skieruje do góry, w stronę błękitnego nieba. Po chwili z przodu dziadek założy łańcuch. Nie było wątpliwości, że potem ojciec zsunie się z tyłu trzymając się za linę, którą wcześniej dziadek przerzucił przez drąg. Tak było zawsze i tak samo wyuczonym rytmem obaj mężczyźni przystąpili do mocnego dociągania linki. Pragnęli żeby na nierównościach łąki i wybojach drogi, siano nie gubić. Dociskali mocno. Tego wieczoru, gdy tak bardzo pragnąłem jak najszybciej ucieszyć się powrotem do domu, nie przepuszczałem, że za moment będzie wesoło.

Widocznie tym razem, ojciec z dziadkiem postanowili nazbyt starannie docisnąć swoje siano i prawdopodobnie pociągnęli jeden raz za dużo. W efekcie, ciszę letniego popołudnia, niespodziewanie naruszył głośny, suchy trzask na górze, nad sianem. Linki, naprężone przed chwilą, zwiotczały, a obaj mężczyźni popadali do tyłu, przewrócili się na plecy. Złamany drąg zwisał żałośnie swym ciekim końcem nisko nad nimi. Wesoły moment wreszcie nastąpił.

Na łące byłem z Edkiem. Natychmiast, bez zbędnej zwłoki uciekliśmy do przodu pod samego konia, chowając się za wozem. Nawet tu nie można było roześmiać się na głos. W podobnych sytuacjach ojciec śmiechu nie tolerował, a tak trudno było od niego powstrzymać się, tym bardziej, że byliśmy we dwójkę i każdy moment wzajemnego spojrzenia wywoływał go ze zwielokrotnioną mocą. Przeminał długi nudny dzień. Nastąpił moment wesoły. Tak bardzo chciało się podejść bliżej, aby ujrzeć minę ojca i dziadka. Mogliśmy znaleźć się obok nich, lecz udając największą powagę, nie pasującą do aktualnej sytuacji. Zbyt dobrze pamiętaliśmy wielokrotne ostrzeżenia ojca, że nigdy nie wolno się śmiać z czyjegoś nieszczęścia, z czyichś kłopotów.

Po upływie kolejnych chwil, nie spoglądając na siebie i udając wielkie zatroskanie, wyszliśmy z za wozu i na wszelki wypadek ustawiliśmy się z tyłu za ojcem, aby nie mógł ujrzeć naszych twarzy. Mężczyźni milczeli i nadal stali beczynnymi. Nie odzywali się i nic nie robili. Wyglądali śmiesznie, lecz ich posępne miny nie wróżyły niczego dobrego. Nie miałem wątpliwości, z nieprzycięniętym sianem w drogę nie

wyruszmy, a urządzenie do przyciskania zostało zniszczone. Zastępczego drąga nie było. Jeszcze chwilę trwała bezradność i zrezygnowanie. Widocznie zwałać siana z wozu nie chcieli. Przecież dopiero skończyli ładowanie. Wyglądałoby to jeszcze śmieszniej. Wreszcie dziadek przerwał milczenie stwierdzając, że pójdzie w kierunku Niemna. Może dostanie drąg od innego gospodarza, lub przyniesie od kogoś ze Stołpiec.

Dziadek długo nie wracał. Zapadał zmrok. Łąka opustoszała. Niedociśnięty wóz pozostał jedynie na naszej działce, a ojciec nadal samotnie składał pozostałe siano w kopki. Już nie chciało się śmiać. Wreszcie, na tle ciemniejącego nieba, zlewającego się z dalekim krańcem łąki, ukazała się samotna sylwetka. Pokonując ogromną, szeroką przestrzeń, w naszym kierunku zbliżał się dziadek. Nie wracał z pustymi rękoma. Cel swój osiągnął. Lekko przygarbiony dźwigał na ramieniu długi drąg, gruby i sękaty. Nie mam pojęcia, jak z tym ciężarem dał sobie radę.

Zrzucając swój ładunek obok wozu, dziadek z uśmiechem stwierdził, że tego drąga nie da się złamać. Jednocześnie dodał, że to żaden „rubieli”, że trzeba jak najszybciej wycinać nowy, ładnie go okorować i położyć do wyschnięcia. Po tych krótkich wywodach, mężczyźni wreszcie jakoś siano przycisnęli i pojechaliśmy do domu.

W innym dniu, po naładowaniu siana na wóz cieszyłem się, że już od razu będziemy wracać. Ponownie nie wyszło tak jak pragnąłem. Wyruszyliśmy do domu dopiero wieczorem, kiedy słońce opuściło się nisko i nie grzało tak strasznie jak w ciągu dnia. Tym razem siano, uprzednio zgrabione w wałki, było długo składane w duże kopki. Czas pracy i wypoczynku wyznaczało słońce.

Żaden rolnik nie patrzył wtedy na zegarek. Zdecydowana większość nie miała ich, a może nawet nigdy nie widziała. Jeżeli ktoś posiadał to precyzyjne urządzenie, to z domu nie mógł wynieść. Przeważnie był to zegar duży, ścienny. Ani podczas rozpoczynania prac, ani tym bardziej w chwili kończenia nikt się zegarkiem nie interesował. Może czasami wyjątkowo podczas wyjazdu z domu ktoś przypadkowo spojrzął na nieruchome wskazówki drogiego urządzenia. Na łące wszystkie decyzje podejmowano na podstawie wysokości słońca, oceniając długość cienia.

Powrót do domu na sianie, na wysokim bujającym się wozie. Na ten moment oplotało się czekać cały długi dzień w największym upale. Najpierw dość wolno jechaliśmy po łące. Gospodarze na wóz jeszcze nie siadali. Na górze, na pachnącym sianie prócz mnie i Edka leżały tylko tobołki. Ojciec z lejcami w ręku kroczył obok wozu. Wysoki ładunek bujał nas łagodnie w lewo i prawo. Cudowniejszego kołysania wymyślić się nie da, bardziej wonnego aromatu stworzyć nie można. Nie da się zapomnieć też głosu dziadka, który podążając za wozem głośno przypominał wnukom żeby siedzieli na środku, mocno trzymali się drąga i nie zślizli na boki.

Po pewnym czasie wjeżdżaliśmy na nasyp z brukowaną drogą. Dopiero teraz na wóz włązili ojciec i dziadek. Wąski nasyp stawał się coraz wyższy. Droga pięła się do góry i wznosiła nad przyległym terenem. Zaczynały się rodzić i rosnać emocje. Wzrastały, w miarę jak podjeżdżaliśmy wyżej, a wzrok obejmował coraz dalszy obszar. Z ogromnej wysokości można było obejrzeć nie tylko łąki. Coraz lepiej widziałem szare dachy niskich domków w Stołpcach.

Nie było wątpliwości. Coraz wyższy nasyp świadczył, że zbliżamy się do Niemna. Jego błękitna wstęga, ułożona w poprzek drogi, skutecznie oddzielała nasze drewniane miasto od zielonych łąk po drugiej stronie rzeki.

Raptem następowała cisza. Zgrzytający turkot żelaznych obręczy kół zanikał. Do uszu dochodziło jedynie przygłuszone, rytmiczne dudnienie. To końskie kopyta uderzały o drewniane deski drogowego mostu nad Niemnem. Koń stąpał po równej, gładkiej powierzchni. Koła toczyły się bez większego oporu. Znajdowaliśmy się bardzo wysoko. Osiągało się szczyt emocji. Daleko pod nami płynął Niemen. Nasza kochana rzeka.

Bardzo pragnąłem, aby wóz się zatrzymał i postać trochę. Tak bardzo chciałem zajrzeć w dół, w ciemną, głęboką otchłań, po powierzchni której rozchodziły się jakieś nie duże wiry, być może spowodowane dość gęsto ustawionymi, drewnianymi podporami. Nawet przez chwilę nie pomyślałem jak po tym moście, z długim drągiem na ramieniu, wracał dzielny nasz dziadek ze Stołpiec do wozu, stojącego samotnie na środku łąki.

Nie zatrzymywaliśmy się nigdzie, nawet na środku mostu, gdy przejeżdżaliśmy obok pełniącego wartę żołnierza, z karabinem w ręku i czerwoną gwiazdą na *furażerce*. Na karabinie znajdował się bardzo długi bagnet z ostrym, szpiczastym końcem. Żołnierz nikogo nie zatrzymywał, z nikim nie rozmawiał. Przebywał zawsze w tym samym miejscu. Stojąc obok biegnącej wzdłuż mostu barierki najczęściej patrzył w dół na wodę, lub obojętnie spoglądał na ludzi korzystających z mostu.

Za mostem droga stopniowo obniżała się. Opadały również emocje. Wjeżdżaliśmy do Stołpiec. Do domu było jeszcze około godziny jednostajnej i raczej nudnej drogi. Po nastaniu kołchozów byli gospodarze naszej wsi musieli pożegnać się również ze swoimi łąkami. Dla kołchozu łąki wyznaczono w innym miejscu, również nad Niemnem, lecz w przeciwnym kierunku.

24

Jedna praca na wsi goniła drugą. Po żniwach rozpoczynał się okres młócenia zboża, a następnie przychodziły wykopki i wożenie ziemniaków.

Zdecydowaną większość zboża młócono młocarnią konną. Cztery konie, sprzężone parami, napędzały zębate koła urządzenia zwanego kieratem za pośrednictwem długiego i grubego drąga, raczej kloca. Jego środek znajdował się w żelaznej obudowie (rodzaj jarzma), a do obu odległych końców doprzęgano po jednej parze koni. Poprzez jarzmo przenosiło się obroty na największe (chyba ponad metrowej średnicy) koło kieratu. Połączone zębatką z mniejszym, nadawało mu znaczne obroty. Ponowne zmniejszenie średnicy kolejnej zębatki dawało taki efekt, że wirowała ona z ogromną prędkością.

Z kieratu napęd przekazywano do młocarni dwoma lub trzema grubymi prętami kilkumetrowej długości. Połączone za pośrednictwem krzyżakowych przegubów obracały się szybko, jak ostatnia zębatka w kieracie. Pręty leżały przy ziemi na specjalnych podkładkach, tak by konie mogły przez nie przestępować. W młocarni jeszcze raz duże koło napędzało znacznie mniejsze. Stalowy, błyszczący bęben, który

znajdował się na wspólnej osi wirował z ogromną prędkością wydając basowy, monotony huk.

Przy obsłudze młocarni pracowało co najmniej kilkanaście osób. Najbardziej odpowiedzialną pracą było „wpuszczanie” snopów na wirujący bęben. Jego poprzeczne listwy rozstawione dość luźno w miarę wzrastania obrotów i nasilania się huku, tworzyły jednolitą, błyszczącą płaszczyznę. Tu trafiały najpierw kłosa, a następnie reszta słomy poszczególnych pęków podpychanych wyćwiczonymi rękoma rolnika. Jeżeli „wpuściło się” jednorazowo zbyt dużą dawkę, to bęben blokował się i młocarnia zatrzymywała się. Mogło w niej coś pęknąć.

Ojciec przeważnie sam zajmował to odpowiedzialne miejsce i własnymi rękoma wpuszczał swoje zboże. Wystarczyło lekko podsunąć do wirującego bębna kłosa kolejnego pęku, a natychmiast całość znikła we wnętrzu tej zachłannej, ciągle nie nasyconej maszyny. Szybkość obrotowa na chwilę malała. Huk stalowych, obracających się elementów przybierał inne, odmienne brzmienie. Mocno uderzone poprzecznymi listewami ziarna wylatywały z kłosów. W następnej chwili potargana, zgnieciona słoma wypadła z drugiej strony młocarni i trafiała na widły, które trzymała prawie nieruchoma postać, ledwo widoczna w szarym obłoku kurzu.

W tym samym momencie zwiększały się obroty maszyny, zmieniała się tonacja odgłosu wirujących elementów. Być może młocarnia wydając wyższe radośniejsze dźwięki, triumfowała swoje zwycięstwo nad kolejną garścią przełkniętej słomy i domagała się następnej. Otrzymywała ją natychmiast. Wymuszone tempo pracy nie pozwalało na zastanawianie się nad zmęczeniem, nie dawało czasu na otarcie potu, który zalewał twarz i oczy.

Zmieniający się akompaniament wysokich, wesołych albo niskich, poważnych akordów trwał od wczesnego ranka do późnego wieczora. W obłokach kurzu uwijali się mężczyźni, pomagały im kobiety. Może huczająca maszyna wymuszała rytm pracy, a może tylko zachęcała do ciągłego przerzucania wielkich snopów lub odbierania pustej słomy pozbawionej ciężkiego ziarna. To był hymn rolników. Pracowali dla siebie. Z ich trudu i potu, w znoju i kurzu powstawał chleb.

Podczas młócenia wypadało być jak najbliżej stodoły, tam gdzie huczała młocarnia, w powietrzu unosił się zapach słomy i gdzie wokół kieratu, po swoich śladach chodziła czwórka koni. Ciężkie kopyta tratowały niską murawę, tworzyły dwa równe pierścienie wydeptanej, czarnej ziemi. Dobrze było chwilę popatrzeć z boku, a jeszcze lepiej wejść do środka wielkiego koła, utworzonego końcami grubego dyszla.

Obok kogoś dorosłego można było udawać, że się popędza konie i pomaga w pracy. Czasami ten ktoś korzystając z okazji, przekazywał do małej ręki duży bat i faktycznie prosił o ich popędzanie, a sam wychodził na bok, na chwilę odpoczynku. Chodzenie za końmi dość szybko stawało się nudne. Weselej i przyjemniej było na bujającej się stercie wymłóconej słomy. Do udeptywania jej zachęcał zawsze ktoś pracujący na górze, oczywiście zanim sterta nie była zbyt wysoka.

Podczas młócenia najprzyjemniejszą zabawą stawało się podskakiwanie i robienie fikołków na sprężynującej warstwie zgniecionej i potarganej słomy. Nie groziło przy tym żadne potłuczenie się, nawet wtedy, gdy zjechało się na dół często z

wielkim jej pękiem. Osoby dorosłe, które podawały słomę do góry tę wspaniałą zabawę nazywali przeszkadzaniem w pracy. Niech żałują, że sami nie spróbowali nigdy jaką frajdą jest taki zjazd. Zamiast wspaniałej zabawy, najczęściej proponowali udeptywanie słomy na szczycie sterty. Nieźle pomysły! Jakim sposobem udeptać grubą, luźną warstwę? Każda próba wyciągnięcia jednej nogi powodowała, że druga zapadała się głębiej. Na szczyt wdrapywało się z największym wysiłkiem, najpierw po dostawionej drabinie, a potem czołganiem na brzuchu. Po takim wyczynie najlepiej było chwile odpocząć, a następnie... ponownie zjechać na dół.

Sterta wymłóconej słomy rosła, stawała się coraz wyższa. Zjazd z takiej wysokości już mógł być niebezpieczny. Jeżeli młócenie odbywało się u dziadka, on pracował przeważnie wysoko na szczycie. Niestety, raz na chwiejącym się czubku nie utrzymał równowagi i spadł. Mocno przy tym potłukł się i połamał żebra. Pomimo to do lekarza nie zgłosił się. Lekarzy nie uznawał. Leczył się zawsze własnym sposobem.

Dziadek u lekarza chyba nie był nigdy. Czasami coś mu dokuczało, chyba najbardziej reumatyzm. W oparciu o „łamanie w kościach” z dużą dokładnością przepowiadał deszcze, nawet podczas ładnej, słonecznej pogody. Najdoskonalszym lekarstwem dziadka, na wszelkie „niedomagania” była... zwykła szklanka, którą zamiast baniek *stawiała* babcia na miejsce bolące.

Po kilku godzinach młócenia, kiedy słońce zbliżało się do najwyższego punktu na niebie i przygrzewało najmocniej, urządzano przerwę. Powstrzymywano konie, które chętnie przestawały ciągnąć, lecz rozpedzona maszyna obracała się nadal. Jednak szybkość stopniowo malała, huk się pomniejszał i wkrótce następowała dziwna cisza. Kurz unosił się nadal i wypełniał wnętrza stodoły, kiedy w otwartych wrotach obok młocarni ukazywały się dziwne, szare postacie. Ubrania, kobiece chustki i męskie czapki pokrywała gruba, szara warstwa lekkich pyłków, kłujących ostów, delikatnych plew. Najbardziej zakurzone były osoby, które pracowały najbliżej młocarni. Im świeciły się tylko oczy i czerwone, oblizane usta.

Pierwszą czynnością gospodarza po zatrzymaniu maszyny było zadbanie o konie. Wyjmowano im kielzna z pysków, podawano siano. Nigdy po ciężkiej pracy nie dawano wody. Konie pojono dopiero po odpoczynku i nakarmieniu, przed rozpoczęciem kolejnej rundy młócenia.

Gdy obmywano z kurzu ręce i twarze, ktoś zawsze żartował, że wykonuje się zbędne czynności, ponieważ za kilkadziesiąt minut, po wznowieniu prac wszyscy ponownie będą czarni. Posiłek spożywany w tym czasie na pewno wszystkim bardzo smakował, a krótka przerwa pozwalała szybko odnowić siły. Najmniej czasu na odpoczynek miał gospodarz, bo robił porządki w stodole, wokół maszyny i przygotowywał całość do kolejnego etapu prac.

Codziennie, od gospodarza do gospodarza, wędrowała maszyna i konie. Wraz z nimi przechodzili z podwórka na podwórko pracujący ludzie. Sąsiedzi pomagali sobie nawzajem. Czasami zmęczeni, często niewyspani nie liczyli godzin, uparcie wykonywali odwieczny obowiązek pracy. Pracowali na swoim, przede wszystkim dla siebie. Nie wiedzieli, że wkrótce nastaną kołchozy, które zabiorą wszystko, wypaczą sens rolniczego trudu, zrodzą bodźce do kombinowania i unikania pracy.

Jedno kolchozowe młócenie też zostało mocno w pamięci. Był wczesny poranek końca lipca lub początku sierpnia. Nie wiem o której wstałem, lecz razem z innymi kolegami znalazłem się obok stodoły państwa Pruszkowskich. O tej porze nie było jeszcze kolchoźników, nikt nie zamierzał przystępować do pracy. Stodoła była przepelniona pod sam dach wysuszonymi snopkami żyta, lecz ono nas nie interesowało. Zainteresowanie budził ogromny kombajn, który widocznie skończył pracę w polu i teraz miał młócić zboże zebrane tradycyjną metodą.

Ustawiono go szerokim przodem bezpośrednio, na styk ze stodołą przed otwartymi szeroko, podwójnymi wrotami. Między kombajnem i stodołą pozostała wąska szpara. Nawet my, kilkunastoletni chłopcy, tamtędy przeciskaliśmy się z trudem. Bezpośrednio za kombajnem wznosiła się krzywa sterta wymłóconej, suchej słomy. Cała reszta podwórka była nią również usłana grubszą lub cieńszą warstwą. Niedbale, chaotycznie porzrucana sięgała do obory państwa Pruszkowskich. Widocznie w tym czasie były gospodarz przebywał nadal w radzieckim więzieniu, a kolchoźnicy w dniu poprzednim nieoczekiwanie przerwali pracę i rozeszli się do domów. Podobnie jak słoma, suche były wieloletnie ściany obory, przesiąknięte żywicą i niski, słomiany dach, wystawiony na gorące promienie letniego słońca. Za dość wąskim paskiem ziemniaków znajdowała się nasza stodoła i chlew, wykonane z tak samo łatwopalnego drewna, również przykryte wysuszoną, słomianą strzechą.

Nikogo dorosłego jeszcze nie było. W kolchozie do pracy nikt się nie spieszył. Przyszedł tylko kombajnista i rozpoczął przygotowania do uruchomienia silnika. Obok kręciła się grupka wiejskich podrostków, której byłem uczestnikiem.

Takiej wspaniałej okazji oglądania z bliska ogromnej, skomplikowanej maszyny przegapić nie sposób. Z największym zainteresowaniem przyglądaliśmy się manipulacjom kombajnisty przy nie dającym się uruchomić silniku. Więcej i lepiej było widać od strony stodoły, niżeli z podwórka. Wepchaliśmy się więc tam i z przygotowanych do wrzucania snopów patrzyliśmy na pracę fachowca od kolchozowej mechanizacji. Umorusany, cały w smarach wyglądał na bardzo ważnego. Bez przerwy coś odkręcał, coś wkręcał ponownie, a pomimo to silnik kombajnu milczał.

W pewnym momencie zszedł ze swojej maszyny, znalazł na podwórku jakiś kij, owinął go szmatą i zmoczył ropą. Z tym nowym urządzeniem wrócił wysoko na kombajn do silnika i pochodnię podpalił. Nie mieliśmy wątpliwości, że znał się na silnikach i wiedział co robi. Zamierzał widocznie ogrzać zastygłe żelastwo. Kopący płomień pochodni zaczął lizać lepiące się od olejów i smarów, czarne ścianki silnika.

Z zapartym tchem oglądaliśmy pracę kombajnisty. Nikomu nie przyszło do głowy, że ogień w każdej chwili może się przerzucić na wysuszoną słomę, której było pełno na kombajnie i wokół. Żaden nie pomyślał, że płomień ogarną ją natychmiast, a już w następnej chwili wyjścia ze stodoły nie będzie. Nie pomyśleliśmy, że schronienia w stodole przepelnionej pod sam dach suchymi snopkami nie istniało również.

Staliśmy tak krótko. Jeszcze kombajnista nie zdążył na dobre ogrzać swego silnika. Dopiero był w początkowej fazie prac, bo zaledwie przyklęknął na oba kolana, jak niespodziewanie ujrzałem bladą twarz mamy i usłyszałem: - *Uciekajcie stamtąd natychmiast... za chwilę spłoniecie żywcem...*

Po tym okrzyku w języku polskim zbledli również moi koledzy - Rosjanie. W następnej sekundzie wszyscy znaleźliśmy się na zewnątrz stodoły. Niektórzy odbiegli daleko. Natomiast kombajnista w dalszym ciągu spokojnie ogrzewał swój silnik. Pochodnia płonęła mocniej. Wydłużały się wąskie języki płomieni. Wyżej sięgały gęste smugi czarnego dymu.

Mama spojrzała na nas niby upewniając się, że jesteśmy poza bezpośrednim zagrożeniem, a potem zaczęła krzyczeć głośno na kołchozowego mechanika. Twierdziła, że chyba rozum postradał, rozpalając ogień wśród słomy, obok benzyny, że przez jego głupotę spłonie cała wieś. W tym momencie kombajnista chyba oprzytomniał wreszcie i odsunął pochodnię od silnika. Teraz płonęła osobno, a smary na silniku osobno. Do suchej słomy znajdującej się wokół, ogień jeszcze nie sięgał.

Ze zgaszeniem pochodni większych problemów nie było. Kombajnista odsunął butami resztki słomy ze stalowej podłogi, w to miejsce położył swą żagiew i dość szybko zdeptał ogień. W tym czasie silnik lizały coraz większe płomienie. Wreszcie umorusany mechanik zdjął z pleców czarną od smarów kufajkę i zaczął nią tłumić ogień. Za trzecim lub czwartym razem udało się. Płomienie zniknęły.

Wtedy zadowolony wyprostował się i obejrzał swoją kufajkę na wszystkie strony. Potem uśmiechnięty spojrzeniem znawcy popatrzył na nas i mamę, a następnie spokojnym głosem ze swego wysokiego stanowiska stwierdził: - *Zacziem źie Mamasza etat krik. Agoń potuszien, riebiatizski cely. Dierewnia nie zgariela. Połnyj pariadok.*¹

Oczywiście nie mogłem tam dłużej zostać. Musiałem razem z mamą wracać do domu. Nie pamiętam co jeszcze usłyszałem w drodze powrotnej. Nie wiem również do dzisiaj, dlaczego mama przyszła do stodoły, chociaż nie miała brać udziału w młóceniu i nie zakończyła jeszcze swoich codziennych prac porannych. Znalazła się przy mnie prawdopodobnie w ostatniej chwili przed wybuchem pożaru. Gdyby kombajnista potrzymał pochodnię przy silniku jeszcze kilka sekund, to swoją kufajką już by ognia nie ugasił. Nam, natomiast, nawet do głowy nie przyszło, że kołchozowy fachowiec może spowodować pożar. Mieliśmy do niego całkowite zaufanie. Obawiam się, że cofając się przed ogniem, uciekalibyśmy w głąb stodoły, na wysuszone snopki zboża.

Była to druga stodoła państwa Pruszkowskich, postawiona w miejsce poprzedniej. Na tamtej, tak samo dużej i wysokiej, również miały swoje gniazdo bociany. Zawsze wiosną, wracały do niego z dalekiej Afryki. Z białymi, szeroko rozstawionymi skrzydłami i czerwonym dziobem wyciągniętym daleko do przodu bezgłośnie obniżały lot, ześlizgując się do słomianego dachu i swojego gniazda. Za chwilę, przygotowując się do lądowania, wystawiały w kierunku słomianej strzechy długie, czerwone nogi i radosnym klekotem obwieszczały swój powrót z dalekiej podróży. Następnie rozpoczynały się pracowite loty po różne patyki i gałązki, przeznaczone do naprawy gniazda oraz po przysmaki, znajdujące się na pobliskiej łące.

Z tamtego okresu pozostał w pamięci wierszyk o bocianach powracających w rodzinne strony:

*Patrz, ojczy kochany,
Już lecą bociany.
Klekoczą radośnie, wesolo.*

*Ten pierwszy na przedzie
Widocznie je wiedzie
Tu do nas, na niwy ...*

Ojciec opowiadał, że trwało to bez żadnych zmian wiele lat. Pewnej wiosny bociany również przyleciały. Długo krążyły nad stodołą. Siadały na niej, zaglądały do gniazda. Potem odlatywały i ponownie przylatywały. Następnie, po jakimś czasie zaczęły nosić gałązki na naszą stodołę, znacznie niższą, położoną w odległości kilkudziesięciu metrów od tamtej. Wreszcie odleciały, nie zakładając gniazda na żadnej.

Minęły tygodnie. Zrobiło się ciepło. Bocianów nie było. Przyszła jednak burza i od uderzenia pioruna stodoła Pruszkowskich stanęła w płomieniach. Ogień zagrażał i naszej.

Jeszcze przed nadejściem jesieni, z pomocą mieszkańców wsi, pan Pruszkowski postawił nową stodołę, w tym samym miejscu, na tych samych kamieniach. Przyszła kolejna wiosna i bociany przyleciały jak zwykle. Z radosnym klekotem, obniżyły swój lot i wylądowały na wysokim dachu. Gniazdo założone tym razem służyło przez wiele następnych lat, również wtedy, kiedy kołchozowy kombajnista rozpałał swą żagiew.

Nie spieszmy się do kołchozu. Wróćmy do okresu, gdy to złowieszcze słowo nie dotyczyło mieszkańców naszej wsi, gdy pracowali na swoim i byli gospodarzami własnej ziemi.

Wiejskie lato wolno zbliżało się ku końcowi. Łąki pokoszone. Zboże wymłócone. Zbliżała się pora prac jesiennych. Następował czas wykopków. Ziemiaki zbierano ręcznie po wcześniejszym wyoraniu bruzd konnym pługiem. Żadnych innych maszyn nie było. W tej pracy mieszkańcom wsi pomagały młode kobiety ze Stołpiec. Obie strony były zadowolone. Zatrudnionym paniom rodzice płacili ziemniakami i zapewniali całodzienne wyżywienie.

Na kolację mama obowiązkowo gotowała ziemniaki i potłuczone stawiała w dużej misce na środku stołu. Kiszone ogórki leżały na talerzu ustawionym obok. Siedziałem wtedy gdzieś w kącie naszej dużej kuchni i z zaciekawieniem przyglądałem się młodym kobietom, które z największym apetytem spożywały zasłużony posiłek. Spoglądałem najczęściej na tą, która miała lekko rozpiętą bluzeczkę i ukradkiem zatrzymywałem wzrok na tym miejscu kobiecej sylwetki, które podobno hipnotyzuje dorosłych mężczyzn. Miałem wtedy co najmniej osiem lat i może już się stawałem mężczyzną. Niestety, tamta młoda panienka w moją stronę chyba nawet nie spojrzała.

W codziennym, solidnym tworzeniu przez siebie, dla siebie mijały spokojne dni naszych dziadków i rodziców. Pracę, powtarzającą się nieustannie z dnia na dzień, od jednej wiosny do następnej, traktowali jako coś naturalnego, bez czego nie da się żyć. Z pracy wyrosli, pracą żyli. Z tego powodu z ich ust nie słyszałem żadnych narzekań. Oceniano urodzaje, zastanawiano się nad pogodą jaką „Bóg da” na okres żniw, sianokosów lub innych prac pod gołym niebem. Nigdy żadnej skargi na zmęczenie, na uciążliwość. Pozostawała radość z dobrze spełnionego obowiązku i pełnych stodoł.

Niepokój i strach budziło nowe słowo, coraz częściej wymawiane, a dotychczas nieznanne - kołchoz. Mieszkańcy wsi i okolic nie chcieli poznawać ani znaczenia, ani sensu tego obco brzmiącego wyrazu. Grozą wiało z opowieści, wszystkich osób które przybywały na nasze tereny ze wschodu. Trwogą przepełniały się serca na samą myśl, że zło, które stamtąd idzie może dotrzeć i do nas. Po cichu i głośno modlono się, aby ten wyraz i to co z sobą niesie nigdy nie dotarły do nas. Coraz częściej proszono Boga, aby *poszło na suchy las* i zginęło na zawsze, gdzie się zrodziło.

Niestety, w ślad za zwycięskim marszem Armii Czerwonej, straszny wyraz i jego skutki zbliżały się do nas. Pierwszą zapowiedzią niepokojących zmian były coraz większe wymagania władz, coraz trudniejsze warunki życia. Pozbawieni uśmiechu rodzice głośno narzekali, że z dnia na dzień jest gorzej, że już nie długo nie będzie co jeść, nie będzie za co kupić ubranie, bo wszystko co uzyskuje się z gospodarstwa trzeba oddać dla państwa. Władza radziecka uznała, że gospodarka indywidualna nie daje ludziom szczęścia i należy ją zniszczyć za wszelką cenę, a najlepszą metodą jest wymierzenie podatku, którego nie da się wykonać.

Agitacja o dobrowolne zapisywanie się rolników do kołchozów nie dawała żadnych efektów. Nikt nie chciał pozbyć się dorobku, wypracowanego ciężką pracą pokoleń i przelany potem. Nikt nie akceptował nowego życia, tak mocno zachwalanego przez władze radzieckie. Było sprzeczne z odwiecznym, naturalnym prawem i dążeniem każdego do posiadania własnej ziemi, swego konia i krowy, obory i stodoły, pługa i brony.

Nowego „dobrodziejstwa” rolnicy bali się nie tylko instynktownie. Wiedzieli, do czego doprowadziła gospodarka kołchozowa w samej Rosji. Doskonale rozumieli, że bezduszne zmiany narzucane siłą grożą nędzą i głodem. Wiedzieli co się działo zaledwie kilkanaście lat temu na Ukrainie, gdzie tysiące ludzi umierało z głodu, gdzie nawet trupów leżących na ulicach nie było komu zbierać i grzebać.

Prawie codzienne wędrówki z głębi Rosji głodnych żebraków w obdartych, brudnych łachmanach zamiast ubrań, były przekonującym dowodem dobrodziejstwa nowego systemu. Każdy z tych tułaczy niósł na plecach worek, do którego wkładał otrzymywaną jałmużną. Samotni, zarośnięci szli przez wieś, zachodzili do niektórych domów, na niektóre podwórka. Zawsze nieśmiało, chyba z zawstydzeniem prosili o *kartoszczku*, czasami o kromkę chleba. Dziękowali zawsze szeroko żegnając się i tymi samymi słowami: „*Balszioje Wam spasiba! Sachrani was Gaspod! Spasi od kalchozaw!*”¹.

Błagania do Boga obcych, bezdomnych ludzi przybyłych z daleka, obdartych i głodnych, o nie dopuszczenie kołchozów na nasze tereny, dawały przedsmak tragedii, która rozegrała się w głębi Rosji i która zbliżała się do nas. Bardzo dokładne relacje, z terenów objętych działaniem władzy radzieckiej na temat panujących tam warunków życia uzyskiwano od innych *wastoczników*, tj. osób i rodzin przybyłych na nasze tereny ze wschodu w ślad za Armia Radziecką, w poszukiwaniu lepszego bytu.

Niestety, ani błagania tamtych, nieznanymi przymusowych wędrowców innej narodowości, ani modlitwy bezpośrednio zainteresowanych, nie zmieniły biegu

wydarzeń. Przed podjęciem rozstrzygających posunięć, przed ostatecznym złamaniem oporu najbardziej nieustępliwych, przystąpiono do systematycznego nękania gospodarzy przymusowymi spotkaniami z przybyłymi ze Wschodu agitatorami, którzy już *uszcześliwili* swój kraj, tam zrealizowali swoje zadanie. Wychwalając życie w radzieckim, kołchozowym systemie, opowiadali jednocześnie mieszkańcom polskiej wsi o tym, jaką biedę cierpieli chłopci w „Pańskiej Polsce” przed wojną.

Podczas jednego z takich spotkań, jeszcze „za pierwszych Sowietów” agitator długo czekał na przyniesienie lampy z naftą, do rozproszenia zapadającego mroku. Nie omieszkał wykorzystać tego faktu do potwierdzenia swojej opowieści o biedzie, jaka rzekomo istniała na naszych terenach. Stwierdził zadowolony z siebie, że z powodu złej kapitalistycznej władzy ludzie musieli siedzieć w ciemnościach i nie mieli nawet zwykłej lampy z naftą.

W odpowiedzi usłyszał od naszego ojca, że przed wojną we wsi była elektryczność, że do momentu wkroczenia Armii Czerwonej nikt z lampy i nafty nie korzystał, że właśnie w tych dniach zostały zdjęte przewody ze słupów, a słupy są ścinane i wywożone na Wschód. Towarzysz agitator i na to znalazł wytłumaczenie. Oświadczył, że na pewno to wszystko było złe. Pewny siebie dodał, że teraz będzie lepsze, radzieckie. Tego lepszego nie doczekaliśmy się do chwili wyjazdu do Polski, tj. do grudnia 1958 roku.

Innym razem zaproponowano ojcu, aby opowiedział na wiejskim zebraniu, jak ciężkie było życie w Polsce przed wojną. Ojciec zdziwił się i oświadczył, że nie bardzo wie o czym ma mówić. W odpowiedzi dowiedział się, że nad tym zastanawiać się nie musi, ponieważ treść przemówienia otrzyma na piśmie i jedynie je przeczyta. Bojąc się narazić nowej władzy odmową bez uzasadnienia, stwierdził, że nie ma okularów, a bez nich czytać nie potrafi.

Władze radzieckie doprowadziły rolnictwo własnego kraju do ruiny i upadku. Wywiozły i nadal wywoziły w głąb Rosji ogromne ilości zboża z ziem przedwojennej Polski, a jednocześnie dążyły do stworzenia kołchozów na tych terenach.

Po stwierdzeniu, że propaganda nie daje żadnego efektu, przystąpiono do przymusu ekonomicznego. Rozpoczęło się systematyczne zwiększanie podatków oraz wielkości obowiązkowych dostaw płodów rolnych. Władza radziecka postanowiła złamać opór niepokornych mieszkańców naszej małej wioski oraz wszystkich sąsiednich. Opowieści o kołchozowym widmie zaczęły krążyć po okolicy. Zrozpaczeni rolnicy tracili nadzieję. Już wiedzieli, że na gospodarczej mapie ogromnego Kraju Rad nie mogli istnieć inne formy gospodarowania, niż ustalone w Komitecie Centralnym.

Przymusowe dostawy zboża stały się gehenną rolników. Przedstawiciele władz wręczali imienne wykazy z ustaloną wysokością obowiązkowych dostaw i spokojnie informowali, że z tym żartować nie można. Przypominali, że zboże należy dostarczyć w wyznaczonej wysokości i ustalonym terminie. Uczciwie ostrzegali, iż niewywiązanie się z dostaw będzie uznane za sabotaż polityczny, bo ... *u nas, w Rasii ludi z hoładu podychajut*¹. Widocznie w tym momencie zapominali, jak kilka dni wcześniej twierdzili, że w Polsce było złe, że pragną stworzyć tu dobrobyt, który stworzyli już we własnym kraju.

Wymyślano przy tym najróżniejsze przeszkody uniemożliwiające realizację narzucanych zadań. Coraz częściej ustalano terminy dostaw w okresie, kiedy zboże jeszcze rosło. Ogromne utrudnienia tworzono na etapie przyjmowania ziarna w punktach skupu, chociaż trudno nazwać punktem skupu miejsce, gdzie rolnicy zostawiali swoje ziarno za darmo.

Miejsce odbioru poznać łatwo. Przed bramą wjazdową na plac z ogromnymi, długimi magazynami usytuowanymi wzdłuż torów, rozpoczynała się kolejka chłopskich furmanek, Ustawione jedna za drugą, przypominały postać długiego, grubego węża nieruchomo ułożonego na piaszczystym poboczu brukowanej drogi. Każdy wóz wypełniony ciężkimi workami żyta. Obok wozów smutni gospodarze, a w hołoblach lub obok długiego dyszla - nieruchome konie z nisko spuszczonej głowami.

Ci, co wstali później lub mieli przed sobą dłuższą drogę, ustawiali się na końcu kolejki. Oddalał się on coraz bardziej od bramy, w miarę jak dojeżdżały kolejne furmanki. Ci ostatni będą zmuszeni ruszać wielokrotnie, gdy stojący przed nimi wóz podjedzie kilkadziesiąt metrów do przodu i wielokrotnie zatrzymywać się, kiedy koński łeb znajdzie się ponownie bezpośrednio za wozem poprzednim. Będą długie godziny czekania, zanim zrozpaczony gospodarz na własnych plecach zanieśli ciężkie worki do wielkiej sterty i wysypie swoje zboże na ziarno poprzednich rolników. Wolno, ciężkim, zmęczonym krokiem wróci z lekkim workiem do jeszcze swego wozu, jeszcze swego konia. Ciężki będzie powrót do domu pustym wozem i pełną głową najczarniejszych myśli.

Ludzie do kolejek ustawiali się w nocy. Wracali do domu późnym wieczorem. Wiele godzin spędzali poza domem po to, by jeszcze raz spróbować oddać za darmo Radzieckiemu Państwu zboże zebrane na własnym polu. Powtarzało się to wielokrotnie. Oddać zboże za pierwszym razem udawało się wyjątkowo rzadko. Najpierw mogli go nie przyjąć np. z powodu nadmiernej wilgotności, a przy ponownej próbie - z powodu nadmiernego zanieczyszczenia. Następnym razem, mogło się wszystko powtórzyć od nowa.

(To nie jest moja fantazja. Byłem parę razy z ojcem w tej długiej kolejce. Nie wiem dlaczego zabierał mnie. Może pragnął abym zapamiętał te tragiczne godziny na długie lata. Widziałem jak ktoś wsadzał długą rurę do rozwiązywanych worków i pobierał próbki zboża. Pamiętam jak ojciec denerwował się czekając na wynik badania. Widziałem jak na plecach nosił kolejne worki z wozu na wielką stertę i tam wysypywał. Pamiętam, jak ze spuszczonej głową podczas drogi powrotnej do domu powtarzał kilkakrotnie, że już zboża nie mamy. Pamiętam, również jak innym razem zboże ze sterty ładowali do wagonu jeńcy niemieccy. Pilnował ich żołnierz z karabinem.)

Zrozpaczeni rolnicy wracali do domu, zboże ponownie czyścili, suszyli. Ojciec również kiedyś „z czym pojechał, z tym przyjechał”. Zmęczony koń z wielkim trudem wciągnął na podwórko ciężki wóz. Pełne worki z najlepszym ziarnem wróciły do domu. Władza radziecka nie chciała go wziąć. Zdziwiony koń wygiął spoconą szyję, smutny wzrok skierował na gospodarza. Nie mógł pojąć co się stało. Był przyzwyczajony, że ciężki ładunek ciągnie przeważnie w jedną stronę. W kierunku przeciwnym wóz z reguły był lekki i nie stawiał oporu.

Równie zmęczony, tak samo nic nie rozumiejący, ojciec zdejmował z wozu wielkie worki, rozwiązywał je kolejno, pokazując któremuś sąsiadowi znajdujące się w nich żyto. Nabierali oni starodawnym zwyczajem pełne garście ziaren, ważyli przesypując z dłoni na dłoń, kiwali głowami i psioczyli na tych, którzy za darmo nie chcieli wziąć tak dorodnego zboża.

Na okińczyckich piaskach nie mogło być tak wspaniałych urodzajów, jak na czarnoziomach Ukrainy. Do punktów „skupu” dostarczano jednak ziarno najwyższej klasy, często uzyskane w wyniku ręcznego „odsiewu”. Do tego służyła, półokrągła „szufelka”, wyżłobiona z najlepszego kawałka liściastego drewna. Przy jej pomocy oddzielano ziarenka dobrze *nalane* od słabiej wypełnionych, tzw. *pośladu* i plew.

Był to ostatni etap pracy rolnika na drodze pozyskania ziarna. W tym celu na klepisku stodoły, w jednym końcu usypywał stertę wymłóconego, nieposortowanego zboża. Po przeciwnej stronie jakimiś workami i płachtami uszczelniał otoczenie klepiska. Wreszcie usadawiał się na niskim stołeczku obok stertki i brał do ręki wspomniane narzędzie, tzw. *wiejalku*. Dobrze wyćwiczonym, od szeregu lat powtarzanym ruchem, nabierał jednakową, wyważoną miarkę zboża, a następnie zdecydowanie i mocno wyrzucał na drugi koniec klepiska.

Z cichym, krótkim szumem ześlizgiwało się ono z wyszlifowanego przez wiele lat drewna. Najdorodniejsze ziarenka leciały daleko, pod drugą ścianę. Lżejsze opadały wcześniej, a prawie puste kończyły lot tuż za nogami gospodarza.

Nikt nie był w stanie wskazać wynalazcę tego sposobu oddzielania dorodnych ziarenek od tzw. plew. Metoda była przekazywana z ojca na syna. Zarówno poprzednie pokolenia, jak i ostatnie, już po nadejściu władzy radzieckiej, pozyskiwały w ten sposób różne ziarna, zależnie od potrzeb. Inne przeznaczano na chleb, inne na pasze dla zwierząt, a jeszcze inne do wysiania w polu, na nowy urodzaj.

O czym myślał posiwiaily stary gospodarz, przerzucając zmęczoną, wypracowaną ręką przez całą szerokość stodoły własne zboże, garść po garści, jeśli wiedział, że najdorodniejsze ziarna będzie zmuszony oddać nowej władzy. Byłem nieraz podczas tej pracy obok ojca, obok dziadka. Ojciec wykonywał wszystko w milczeniu, tak jakby wiedział, że innego wyjścia nie ma.

Dziadek milczał tylko na początku prac, kiedy rozpoczynał przygotowania, kiedy zajmował miejsce obok wymłóconego ziarna, jeszcze wymieszanego z plewami. Widocznie nie potrafił naruszyć tej uroczystej ciszy, która panowała w stodole przepełnionej zapachem słomy i chleba.

Stara, wysuszona ręką dziadka rytmicznie powtarzała te same ruchy, wyćwiczone od najmłodszych lat. Najpierw pustą *wiejalkę* zagłębiał w stercie szarego żyta. Po krótkim wyważonym potrząśnięciu i lekkim cofnięciu, wykonywał zdecydowany rzut do przodu. Celnie wypuszczona garstka zboża leciała tam, dokąd ją skierował. Ręka pracowała rytmicznie, dokładnie. Następował rzut po rzucie. Dziadek wykonywał pracę swoją spokojnie, starannie. Inaczej nie potrafił.

Łatwo ześlizgując się, szare ziarenka jeszcze wymieszane z plewami zwartym, wydłużonym łukiem unosiły się nieco do góry. Lekkie plewy chwilę utrzymywały się w

powietrzu, a potem pomału opadały tuż za nogami rolnika. Najmniejsze i najlżejsze ziarna niby pozbawione mocy, gwałtownie zmniejszały prędkość i nieco dalej bezgłośnie układały się na glinianym klepisku. Najcięższe, najlepiej nalane leciały dalej, tworząc wachlarzyk przypominający poziomy deszcz. Spadały potem z cichym szelestem na drugim końcu klepiska. Rosła tam stertka najdorodniejszego ziarna.

Po pewnym czasie dziadek wstawał i szedł powoli w poprzek stodoły do tego miejsca, gdzie się ułożyły najbujniejsze ziarenka. Schylał się nad swoim żytem, nad efektem własnej pracy, delikatnie zanurzał suche, spracowane dłonie w dorodnym czystym zbożu, niby je pieszcząc i głaszcząc, a może żegnając. W tym momencie usta dziadka przestawały milczeć. Pod adresem nowej władzy nieoczekiwanie wybuchał potokiem złorzeczeń i przekleństw. Widocznie pożegnalne dotknięcie swego ziarna przepełniało kielich goryczy w stopniu nie pozwalającym na dalsze milczenie.

Dziadek milczeć już nie mógł. Musiał głośno powiedzieć o tym wszystkim, o czym myślał zaledwie kilka minut wcześniej. Nie mógł pogodzić się z żądaniem oddania tak dorodnego zboża, zebranego własnymi rękoma z własnego pola dla państwa, które zagarnęło nasze tereny. Złorzeczył i przeklinał sowiecką władzę, tak jakby wierzył, że od jego słów może coś ulec zmianie. Głośne, ciężkie słowa dziadka nie przynosiły ulgi, nie gasiły narastającego w sercu żalu, nie zmniejszały wzmagającej się goryczy z powodu zbliżających się kołchozów. Widocznie przeczuwał, że te nieludzkie twory wszystko zabiorą, a zostawią pustą stodołę i okaleczoną duszę.

Zboże oddawane radzieckiemu państwu musiało być nie tylko dorodne. Musiało być suche. Wysokim wymaganiom trudno było sprostać. Pogoda nie zawsze sprzyjała, nie zawsze było słońce. W normalnych warunkach wtedy nikt nie młócił. Pracę odkładano na terminy późniejsze. Teraz zboże suszono nawet na piecach. Ludzie płakali, przeklinali i próbowali sprostać coraz wyższym wymaganiom. Takiej możliwości nie było. Z władzą radziecką nikt nie wygrał. Władza wyznaczyła sobie cel i realizowała go konsekwentnie, łamiąc wszelkie opory niepokornych rolników.

Coraz częściej przynoszono do domu wiadomości, że kolejna wieś musiała się poddać, widmo kołchozowe zbliżało się do nas. Na początku słyszałem nazwy miejscowości dalszych, nieznanych, ale z coraz większą trwogą zaczęto wymieniać nazwy bliższe, sąsiedzkie. Mieszkańcy naszej wioski z przerażeniem stwierdzali, że nie pomogą prośby, błagania ani żaden opór. Nasza mała wieś odgradzona od świata gęstymi, zielonymi lasami nie pozostanie odmienną wyspą w bezkresnym morzu jednolitej gospodarki kołchozowej.

Nadzieja, że gęste lasy ukryją nas, że piaszczystym bezdrożem nikt do nas nie dotrze, stały się złudne. Dla radzieckich funkcjonariuszy nie ma złych dróg. Nikt się przed nimi nie ukryje, a nawet największy i najgęściejszy las nie osłoni najmniejszej wsi, żadnego gospodarza. Wszystkich czeka ten sam los. W pewnym momencie wyjścia nie będzie i każdy stanie się radzieckim niewolnikiem na własnej ziemi. Ręce każdego byłego gospodarza bez względu na wiek, będą mnożyć potęgę ZSRR.

Próbowano jeszcze wyprosić zgodę władz na wspólne gospodarowanie rolników naszej jednej wioski. Następnie proszono o zgodę na wspólny kołchoz z mieszkańcami wsi Orciuchy. Na żadne eksperymenty nie wyrażono zgody. Władza radziecka знаła

tylko jeden bezbłędny, najlepszy system gospodarowania i nasza mała wieś już była w jego zasięgu.

Byłem już znacznie większy, więc lepiej pamiętam rozpacz mieszkańców w okresie poprzedzającym kolchozy, niż ich przerażenie podczas wojny. Znowu widziało się ogólną bezsilność, przed tym, co jeszcze raz nadciągało ze wschodu, co zostało wymyślone w dalekiej Moskwie. Wymyślono i bezdusznie realizowano. Ludzie godzili się na wszystko, pracowali od świtu do nocy, oddawali za darmo to, co zostało zebrane z pola, wyrażali zgodę na realizację dla państwa wszelkich dostaw i opłat w takiej wysokości, jak w sąsiednich kolchozach. Pragnęli tylko jednego, tak bardzo chcieli pozostać na swoim. Jednak z władzami żadnej dyskusji na ten temat nie było. Z rolnikami nikt nie rozmawiał, nikt ich nie słuchał.

W tym okresie zacząłem rozumieć, że to o czym mówi się w domu, ma być tajemnicą dla wszelkich osób postronnych. Coraz częściej od oburzonych rodziców słyszałem, że przyczyną wszystkich nieszczęść jest Stalin, że to on wydaje straszne decyzje, przynoszące tyle zła. Bardzo często padały słowa, że „jest to bandyta, który powinien dawno zdechnąć i żeby on zdechł jak najszybciej, że w przelanej krwi niewinnych ludzi mógłby się utopić”.

W pewnym momencie po takich „wywodach” rodzice opamiętywali się i zaczęli z przerażeniem tłumaczyć, że tych słów w żadnym wypadku, przy nikim nie wolno powtórzyć, bo wszystkich wywiozą daleko na Syberię, skąd nie wrócimy nigdy.

O Stalinie wiedziałem też z podręczników szkolnych, w których jego zdjęcie przeważnie umieszczano na pierwszych stronach, bez względu na to, do jakiego przedmiotu podręcznik miał służyć. O Stalinie musiałem uczyć się wierszy i piosenek. Od rodziców słyszałem natomiast bez przerwy, że nigdzie na świecie nie ma drugiego państwa, w którym istniałby podobny niewolniczy system, że do Polski sowieckie rządy w takim stopniu na pewno nie dotarły, lecz na wyjazd tam nie mamy żadnej szansy. Nie możemy o tym nawet myśleć. Za najdelikatniejsze zapytanie w tej sprawie skierowane do jakiegokolwiek szczebla władzy mogłaby paść niezbyt przyjemna odpowiedź: - *A szto, wam Sawieckij Sajuz i Sawieckaja Włast` nie nrawitsia? Możiet wy chatitie apiat` kapitalistaw?*¹

Gdyby zapytanie o pozwolenie na wyjazd ze Związku Radzieckiego skierowano do jakiegoś większego służbisty lub do kogoś na wyższym stanowisku, to zamiast do Polski można byłoby wyjechać w przeciwnym kierunku, pod specjalną ochroną.

Jedynie czasami, wśród osób najbardziej zaprzyjaźnionych, najbliższych, snuto nierealne marzenia o polskiej granicy wg. stanu sprzed wojny. Jakże oni mocno pragnęli, aby w najgorszym przypadku granica przebiegała tuż za wsią, za pobliskim lasem.

1 Gospodarzu uważajcie. Oni spalą Pana dom (ros.)

2 Im dłużej myślę, tym mam większe problemy z określeniem języka jakim rozmawiali rodzice i dziadkowie. Dziadkom chyba najłatwiej było wysławiać się "po prostemu" - po białorusku? Niektóre wyrazy i określenia chyba nie miały polskich odpowiedników. Np. grubą linę którą używano z tyłu wozu do przyciskania siana lub zboża nie nazywano inaczej jak „wuzyszczu”. Cienka linka, to „wiarouka”, a gruba siekiera - „katun”, bo rozkuwał (rozłupywał) grube pnie.

3 Otrzymaliśmy rozkaz - naszemu pułkowi na Kaukaz. Otrzymaliśmy drugi - naszemu pułkowi do domu (ros.)

4 Po cóż mateczko ten krzyk. Ogień ugaszony. Dzieciakom nic się nie stało. Wieś nie spłonęła. Jest największy porządek. (ros.)

5 Dobrze, że tylko tak. Gdzieś w głębi Rosji za stawianie oporu wywozili całe wsie.

6 Wielkie dzięki! Ochroń was Panie! Uratuj od kołchozów! (ros.)

7 bo u nas w Rosji ludzi z głodu zdychają. (ros.)

8 Czy panu Związek Radziecki i władza radziecka nie podobają się? Czy pan pragnie powrotu kapitalistów?

MINIIM

7. Kolchozowe widmo. Tak - skazał biedniak. Zapłakał i poszł w kolchoz

26

Bezlitosna machina terroru wymyślona, a potem uruchomiona i rozpędzona przez Stalina funkcjonowała nadal, również po jego śmierci. Autora barbarzyństwa pochowano, lecz dzieło kwitło, idee realizowano. Niewyobrażalna masa zła, którego ofiarą stała się zacofana wieś, biedni rosyjscy chłopci, rozprzestrzeniała się jak zaraza i ogarniała coraz nowsze tereny. „Złe” dotarło do nas w tamtych latach, gdy żył jeszcze „wódz” wyklęty przez narody wielkiego radzieckiego imperium. Nienawidził go cały kraj, niezliczone miliony z głębi serca życzyły mu szybkiej śmierci. Układano o nim programowe wiersze i pieśni.

Stało się to latem 1948 roku. Właśnie wtedy ciemna chmura stalinowskiej bezwzględności i przemocy przesłoniła błękitne niebo nad spokojnymi mieszkańcami naszej cichej wioski. Ogarnięci smutkiem, pozbawieni uśmiechu z niepokojem oczekiwali na decyzje radzieckich komisarzy. Podczas żniw, po raz ostatni wyszli na pole zebrać swoje plony. Część zboża żęto sierpami. Pracowali starannie i dokładnie. Zasadę tę mieli wpojną od pokoleń. W tym roku, chyba w rozpacz przed utratą tego co posiadali, dokładność i staranność przekroczyła wszelkie granice.

Tak samo było i na naszych wąskich zagonach. Przebywałem tam wielokrotnie, nie za wiele pomagałem, lecz systematycznie zarówno od rodziców, jak też od dziadków słyszałem w kółko te same słowa: „Zobacz, tam leży kłosek, podnieś go, z tego będzie chleb. Zapamiętaj na zawsze - ostatni raz jesteśmy na swoim polu. Ostatni raz pracujemy dla siebie. Wkrótce staniemy się niewolnikami”. (To nie jest przesada. Ta grupa ludności nie miała nawet dokumentów potwierdzających tożsamość. Swojej wsi nikt nie mógł opuścić.)

Nie przypominam z czyjej inicjatywy, lecz i w moim ręku znalazł się sierp. Mama kilkakrotnie pokazała, jak należy brać garść zboża, jak sierp zakładać i podcinać źdźbła, a nie palce ręki. Ogarnięty poczuciem dumy, że mogę pracować jak dorośli podczas zbiorów naszego zboża, przystąpiłem do pracy.

Łatwiej pokazywać, trudniej wykonywać. Żdźbelka zboża przesłaniają dłoń żniwiarza i tę część sierpa, która rytmicznie się wrzyna w twardą, suchą słomę. Ostre ukośne ząbki łukowato wygiętego narzędzia poruszają się tuż pod bezbronnymi palcami.

Po pierwszych nadzwyczaj ostrożnych pociągnięciach, zacząłem nabierać wprawy. Pochylałem się nisko podobnie jak rodzice i dziadkowie, i tak jak oni miałem kłosa żyta przy twarzy. Może jeszcze nie wiedziałem, że wdycham zapach chleba. Na pewno nie pomyślałem, że już wkrótce tak ciężko będzie go zdobyć. Potrafiłem zauważyć, że zboże było marne, szczególnie obok wysokiej miedzy, a ziemia sucha i twarda, wygrzana letnim słońcem, które nas również nie oszczędzało.

Pomimo gorąca starałem się dorównać dorosłym. Coraz sprawniej i śmielej ścinałem nasze żyto. Wtedy... przy kolejnym pociągnięciu poczułem jak ząbkowane ostrze zagłębia się w palcu. Wyprostowałem się i spojrzałem na palec. Ujrzałem głęboką, szeroko rozchyloną ranę. Po chwili ukazała się krew. Palec obwiązano kawałkiem białej szmaty, która szybko zaczęła zmieniać kolor na czerwony. Wkrótce

poczułem ból. Pomagać w żniwach nie mogłem. Po tamtym cięciu mam ślad do dzisiaj, gdy piszę wspomnienia na komputerze. Mam więc wspomnienia od sierpa komputera.

Wracaliśmy z pola do domu na obiad w grupie kilku, wiejskich kobiet. Ktoś ponownie odezwał się na temat kołchozów. Na to jedna starsza kobiecina, machając sierpem w wysoko uniesionej dłoni, zaczęła głośno krzyczeć, że własności nikt nie ma prawa zabrać, że sierpami porozwalamy głowy tym, co zechcą nas ruszyć i żadnego kołchozu nie pozwolimy utworzyć.

Niestety, sierp tamtej kobiety i innych, nie tylko z naszej wsi, nie zatrzymał pochodu idei oznaczonej jak na ironię godłem z młotem i sierpem, w wysoko uniesionych dłoniach. Władza okazała się silniejsza. Tamta kobieta nie wiedziała jeszcze, że sierp nie pomoże i wkrótce podpisze druk przygotowany przez partyjnych agitatorów. Będzie to jej *własnoręczne* podanie do władzy radzieckiej z prośbą o przyjęcie do kołchozu.

Aby świadomość społeczną doprowadzić do takiego poziomu i ostatecznie skończyć z pojedynczymi, nietypowymi wyspami prywatnej własności, władze podjęły zdecydowane działania. W tym celu wręczono rolnikom imienne wezwania z kolejną stawką obowiązkowych dostaw zboża. Ustalono wyjątkowo krótkie terminy realizacji. Stawki wyznaczono w takiej wysokości, że przy najlepszym urodzaju nie było żadnej możliwości spełnienia żądań. Postawiono również warunek dodatkowy. Jeżeli ktoś nie zrealizuje dostaw w wyznaczonym terminie, to przedstawiciele władzy sami zabiorą wszystko co znajdą u opornego gospodarza.

Ludzie poddali się. Kołchoz powstał na ogólnym zebraniu na podwórku jednego z rolników. Byliśmy tam, jako dzieci z ciekawości, bo coś się we wsi działo. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jakie będą następstwa zapadających decyzji. Może to i normalne, że w takim wieku ciekawość jest większa niż strach przed nie znaną przyszłością, tym bardziej, że z ust staruszki, nauczycielki realizującej program szkolny, słyszeliśmy co najmniej kilkakrotnie o szczęśliwym życiu w kołchozie, o tym, że nasi rodzice będą teraz szli do pracy na pole z radością w sercu i piosenką na ustach. Spostrzegawczy uczniowie mogli zauważyć, że wypowiadała te słowa bez większego entuzjazmu, chyba z uczuciem winy lub wstydu. Niechby spróbowała powiedzieć inaczej, niż to wynikało z programu - na Syberii miejsca było dość dla mówiących i myślących samodzielnie.

Była to skromna, siwiutka kobiecinka z głębi Rosji. Przyjechała na nasze tereny z głuchoniemą córką w moim wieku w poszukiwaniu szczęścia, uciekając od tamtej rzeczywistości. Podczas długich, jesiennych i zimowych wieczorów przychodziła czasami do nas i siedziała godzinami z rodzicami w dużej kuchni snując smutną opowieść. Światło naftowej lampy zawieszanej nad pustym stołem rozpraszało mrok, oświetlało smutne twarze, a ona opowiadała. Spokojnie opowiadała swoją niekończącą się historię, tak jakby to dotyczyło kogoś innego. Mówiła cicho, bez żadnych emocji, bez żadnego wzruszenia.

To były jej wspomnienia o „dobrobycie”, od którego próbowała uciec, a który ją dogonił i zbliżał się nieuchronnie do naszej wsi. Podczas rozmów z rodzicami, gdy nie musiała realizować programu szkolnego, na pewno nie mówiła, że kołchoźnicy idą do pracy śpiewając.

Wreszcie najgorsze stało się. Rolnicy podpisali przygotowane przez radzieckie władze druki *podan* o przyjęcie do kolchozu. Nikt ich nie czytał. Nikt nie odważył się pogłębiać własnej rozpacz i zapoznawać się z treścią *prośby*, pod którą składał podpis¹. Z chwilą jego złożenia rolnik już nie był rolnikiem, nie był gospodarzem. Sam na siebie wydawał wyrok, sam na siebie zakładał jarzmo niewolnika. W jednym momencie tracił majątek, przeistaczał się w kolchoźnika.

Pokonani mężczyźni rozchodzili się do domów. Szli cicho, ze spuszczoneymi głowami, unikając wzajemnych spojrzeń. Był jasny, słoneczny dzień, a w ich sercach szara gorycz, w głowie pustka. Stracili ziemię, konie - wszystko. W jaki sposób, jakimi słowami mieli wyjaśnić domownikom, żonie i dzieciom, że przed chwilą przestali być gospodarzami, że już nie mają nic, tylko gołe ręce do pracy za darmo.

Od momentu podpisania „podania” nadzieję na przetrwanie dawała jedynie przydomowa działka i możliwość trzymania krowy w oborze, jeszcze nie zabranej przez kolchoz. Konie należało przyprowadzić do wspólnej stajni, którą w pośpiechu wykonano w dużej stodole jednego z bogatszych gospodarzy. O propozycji, aby pozostały w stajniach dotychczasowych właścicieli, *priedsiedatiel* kolchozu nawet słyszeć nie chciał. *Wybrano* go w jawnym głosowaniu. Była to jedyna kandydatura. Przybył z głębi Rosji. Od jakiegoś działacza, który przeprowadzał tamto zebranie mieszkańcy dowiedzieli się, że we władzach *miestnyj nikto byt`nie mozie*².

Kolchozy i dziadek. Co przeżywał? O czym myślał ten starszy, spracowany człowiek? Tego nie potrafił powiedzieć i nie powiedział nigdy nikomu. On prawie nic nie mówił. Brakowało mu słów na wyrażenie protestu, na wypowiedzenie tego, co czuł po tylu latach pracy, co prawda ciężkiej, lecz zawsze na swoim i zawsze dla siebie.

Dziadek protestował. Protestował uporczywym milczeniem lub stanowczym i krótkim stwierdzeniem, że żadnego podania, do żadnego kolchozu nie podpisze i nie wpuści nikogo na podwórko, nie pozwoli nikomu obcemu wejść na ziemię ojców uprawianą od dawna przez dziadów i pradziadów, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Jego suche ręce trzęsły się w bezsilnej rozpacz. Nagle urywając rozmowę, dziadek pośpiesznie wkładał czapkę na posiwiałą głowę, bez słów pożegnania wychodził z naszego mieszkania. Wracił do domu, tak jakby tam, swoją obecnością miał powstrzymać nadciągające nieszczęście.

Nawet wtedy, kiedy inni sąsiedzi poddali się i również rodzice stwierdzili, że nie ma innego wyjścia, że od kolchozu uciec się nie da, dziadek nie dopuszczał do rozmów na ten temat, nie przyjmował żadnych tłumaczeń. Lekko przygarbiony, lecz nie pokorny staruszek nie chciał się ugiąć przed nową władzą, nie potrafił pozbyć się marzeń. Pragnął gospodarstwo przekazać w młode ręce. Wierzył, że ziemię uprawiać będzie któryś z wnuków. Pamiętał, że nawet po ucieczce na daleką Ukrainę podczas pierwszej wojny światowej, mógł wrócić na swoje podwórko. Obawiał się, że dom mógł spłonąć. Wiedział, że ziemia ojców została. Twierdził, że antychryst zginie, że nastąpi to wkrótce.

Cierpliwie, ze spokojem i wyrozumiałością rodzice wielokrotnie próbowali przekonać dziadka o zaniechaniu oporu, o konieczności pogodzenia się z losem. Wreszcie dziadek postawił drżącą ręką jakiś krzywy krzyżyk na blankiecie „podania”.

Na innych dokumentach wypisywał dumnie swoje inicjały J. O. To nie były jego ustępstwa przed władzą sowiecką. Nie ustąpiłby im za żadną cenę. Dziadek uległ namowom córki i częściowo zięcia. Pragnął spokoju w rodzinie.

Z niewypowiedzianym bólem w sercu i spuszczoną głową, zdławiony, lecz nie pokonany, odprowadził swego Deresza do kołchozowej stajni. Do własnego domu, na puste podwórko wrócił bez konia. Nie odzywał się do nikogo, z nikim nie rozmawiał. Widocznie już wtedy w starczej głowie zrodziło się przeczucie, że odprowadził swego pupila nie do sąsiedniej stajni, a na głodową śmierć, z przemęczenia i przepracowania.

Dziadek ostatnim wysiłkiem swych myśli, osaczony przez nową władzę, ustępując prośbom córki i argumentom zięcia, postawił warunek, aby wyłącznie nasz ojciec brał Deresza do pracy w polu i pilnował jak swego, tak jak dotychczas, jak na to zasłużył. Takie były ostatnie życzenia naszego dziadka.

Niestety, koń stał się własnością kołchozu. Nie miał już stałego opiekuna. Codziennie ktoś inny zaprzęgał go do wozu. Tracąc prawo do wypoczynku i posiłku w coraz innych rękach pracował na kołchozowym polu lub orał przydomowe działki.

Upłynęło parę miesięcy, może więcej i dziadek zabrał z kołchozu ukochanego Deresza, a następnie przyprowadził na swoje podwórko, do własnej stajni. To już nie było tamte zwawe, wesołe stworzenie. Wychudzony i schorowany ledwo trzymał się na nogach. Nie potrafił już ciągnąć pługa, nie poradziłby z pustym wozem. Kołchoz go już nie potrzebował. Dziadek postanowił, aby zakończył on życie u swego gospodarza, a nie u obcych, bezlitosnych ludzi. Lecz to nie ludzie byli bezlitośni. To ten nowy system nie litował się nad nikim ani nad ludźmi, ani nad zwierzętami.

Zanim to nastąpiło, między ojcem i dziadkiem ponownie wybuchła awantura. Ojciec nie chciał, aby dziadek zabierał konia. Twierdził, że już i tak nic mu nie pomoże, że niech zakończy życie w kołchozowej stajni.

Dziadka prawie szłał ogarnął. Nie reagował na żadne argumenty. Twierdził, że widział wielokrotnie, jak koń zwalniał krok przed znajomą bramą, jak skręcał głowę i szukał smutnymi oczami gospodarza, który go opuścił. Teraz nikt mu na drodze nie stanie. Deresz jest jego, a więc zabierze go na swoje podwórko, do swego chlewa. Słowa dotrzymał. Niestety, konia to nie uratowało. Los jego był przesądzony.

Po tej stracie dziadek zmienił się niedopoznania. Zamknął się w sobie. Nie rozmawiał prawie z nikim, przestał wspominać o *Amerykańcach*, którzy mieli uwolnić od kołchozów.

Pomimo protestów córki i zięcia, prawie codziennie szedł wiejską drogą w kierunku pobliskiego lasu. Zawsze miał przy sobie małą, ręczną piłę i niedużą siekierkę, wepchniętą za pas. Z tymi narzędziami penetrował skraj lasu, szukał wyschniętej sosenki lub świerka. Chudy, lecz twardy staruszek długo i uparcie podcinał oraz podrąbywał upatrzone drzewko. Charakterystyczne „hhaak” wydobywające się z piersi wraz z mocniejszym wydechem wzmacniało uderzenie siekiery.

Potem z powalonego świerka lub sosenki wystarczyło obrąbać wątle, wyschnięte gałązki i można było wybierać się w drogę powrotną. Dobrze wymierzonym uderzeniem, z obowiązkowym „hhaak” wbijał dziadek siekierę w gruby odzimek

swojej „suszki”. Następnie unosił jej cienki wierzchołek do góry i po znalezieniu miejsca zapewniającego równowagę między tylnym, długim końcem i przednim, znacznie krótszym, układał na swoim ramieniu.

Teraz lekko przygarbiony pod ciężarem przeżytych lat i twardego ładunku, ostrożnie lawirując pomiędzy drzewami, wychodził z lasu. Wracał skrajem wiejskiej drogi w kierunku domu, obojętnie mijając oglądających się za nim sąsiadów. Mocno ciążyła i wrzynała się w ramię ta wyschnięta, cienka sosienka, znacznie mocniej niż zaledwie przed paru laty, gruby ciężki drąg dźwigany ze Stołpiec na odległą łąkę, niezbędny do przycięcia swego siana, nakoszonego na swojej łące i wiezionego na swoje podwórko.

Ciężko i z bólem pracowało serce tego staruszka, ciężkie myśli krążyły w posiwiałej głowie. On, gospodarz od najmłodszych lat, właściciel pięknych, mocnych koni stanowiących jego dumę, niósł na plecach „suszki” do rozpalenia ognia w kuchni.

To był kolejny powód do kłótni z zięciem. Ci dwaj mężczyźni, jeszcze tak niedawno mocno zgrani, rozumiejący się bez zbędnych słów, tak sobie wzajemnie potrzebni podczas wspólnego wożenia zboża lub siana do własnych stodół ze swoich pól, teraz nie mogli znaleźć wspólnego języka. Nasz ojciec zawsze brał z kołchozu konia na potrzeby swoje i dziadka. Potrzeby były ograniczone, a więc zaoranie podwórka, w celu posadzenia ziemniaków oraz po to, by przywieźć drzewa z lasu. Ojciec przywoził drzewo również dziadkowi. Nigdy go nie brakowało, z tym problemów nie było.

Dziadek na ten temat miał swoje, odmienne zdanie. Nie podejmując dyskusji krótko stwierdzał, że już swego konia nie ma, a cudzych nie potrzebuje. Będzie więc nosił drzewo na plecach i nikt mu tego nie zabroni. Takiego dobrobytu doczekał się na stare lata. Tak go uszczęśliwiła nowa władza. W tym okresie również do nas dziadek przychodził coraz rzadziej. Wnuki podrosły i nie potrzebowały takiej opieki jak przed kilku laty. Miały swoje towarzystwo, własnych kolegów i razem z nimi przemierzały najdalsze zakątki wsi i okolic.

Nasz ojciec, tak jak pozostali dorośli mieszkańcy wsi, poddał się pod naciskiem bezwzględного terroru i podporządkował nowej władzy, narzucającej upokarzający niewolniczy system. Dziadek protestował. Nie miał wsparcia ani w rówieśnikach którzy nie żyli, ani we wnukach, którzy nie rozumiejąc tragedii dorosłego pokolenia cieszyli się ciepłem letniego słońca. Osamotniony udawał, że nie potrzebuje pomocy również zięcia, bo dopóki żyje, babcia zawsze będzie miała suche drewno do rozpalenia ognia pod garnkiem, z gotującymi się kartofelkami dla ich obojga.

Dziadka koń nie wytrzymał warunków stworzonych przez kołchoz. Niektóre, w jakiś dziwny niezrozumiały sposób, potrafiły przetrwać kolejną zimę. Niestety, na początku wiosny nie nadawały się do żadnych prac, zanim nie dokarmiły się na nowej trawie. Wspólnego nikt nie pilnował, a nawet gdyby ktoś chciał te biedne stworzenia nakarmić, to nie było czym. Podobnie było z kołchozowymi krowami. W kołchozach zdychały wszystkie stworzenia.

W pierwszym okresie po zakończeniu wojny, z Niemiec w głąb Rosji pędzono ogromne stada czarno - białych krów. Wielokrotnie całą szerokością ulicy, wznosząc

ogromny kurz poruszały się setki sztuk tych nieszczęsnych zwierząt, o które nikt nie dbał, nikt nie karmił, nie doił. Może przechodząc przez jakąś rzeczkę, od czasu do czasu zaspokoily pragnienie.

Krowy były *trafiejnije i nikamu nie nużnyje*.¹ Podobnie postępowano z końmi, zagarniętymi na Zachodzie. Pewnego dnia na nasze podwórko wprowadzono ich kilka. *Poganiacze* weszli do mieszkania, poprosili o wodę, może o jakieś jedzenie. Ojciec, widząc wynędzniałe stworzenia, poszedł do stodoły i przyniósł im siana. Na ten gest usłyszał reprimendę od *poganiaczy*: - *Kakoj wy chaziain?! Zaczem Wy dali im eto sieno? Eta koni gierskanskije! Puść` podychajut!* ²

Byłych gospodarzy, teraz kołchoźników, zmuszono do pracy od świtu do nocy na „wspólnej” ziemi bez żadnej płacy, bez żadnej nadziei na poprawę niewolniczego losu. Kołchoźnikom nie płacono wcale. Nasz ojciec wielokrotnie, podczas nieoficjalnych rozmów, na polu lub łące, zwracał się do kierownika kołchozu z tą samą upartą, prośbą: - *Nic nie płacicie. Pracujemy za darmo. Wobec tego dajcie chociaż cokolwiek do jedzenia! Przynajmniej raz na dzień, dajcie zjeść! Niczego więcej nie chcemy!* Odpowiedzi *priedsiedatiela* były krótkie: - *Malczy Cechanowicz. Malczy. Smatri szto by chuzie nie było.*³

Przykro było pracować i nic nie zarabiać. Państwo radzieckie z tej pracy też miało nikły pożytek. To, co jakimś cudem urosło na polu i zostało zebrane, bardzo szybko marnowało się lub było rozkradane przez wszystkie osoby mające jakikolwiek dostęp do zbiorów.

Zostawiono jednak kołchoźnikom i powody do radości. Mieli prawo uprawiać własne podwórko. Mogli zaorać lub przekopać szpadlem cały plac wokół domu, od płotu jednego sąsiada do płotu drugiego. Bez upraw zostawiono jedynie niezbędne przejścia i wąski przejazd. Tam, gdzie w latach poprzednich z suchej ziemi wyrastała niska murawa, która nie miała żadnego znaczenia gospodarczego teraz równymi rzędami zieleniły się ziemniaki, podstawowe zabezpieczenie rodziny przed zimowym głodem.

Radość z uprawiania kilkudziesięciu arów ziemi była przymusem do pracy na wspólnym. Gdyby ktoś zaprzestał prac na „wspólnym”, to kołchoz zabrałby wszystko, całe podwórko *po kapiel*, tj. do samego okapu budynku mieszkalnego.

Ze strony władz był jeszcze jeden gest. Kołchoźnikom zezwolono na trzymanie krów. Dziadkowie mieli jedną, a rodzice dwie krowy. Było to ogromne dobrodziejstwo kierownictwa kołchozu. Mieliśmy swoje mleko. W sklepach mleka w sprzedaży nie było, a gdyby było, to kołchoźnicy nie mieli za co go kupić.

Latem wykarmienie krów nie stwarzało żadnych problemów, gdyż zezwalano na wypasanie w lasach. W naszej wsi mieliśmy „etatowego” pastucha, który jedynie tym się zajmował. Czytać nie umiał, liter nie odróżniał, lecz doskonale znał krowy i potrafił z nimi nawiązać kontakt, jak słynny, filmowy Tarzan z małpami.

Głośnym, powtarzanym przez echo *tprrree* zwoływał swoje stado, gdy zbliżała się godzina powrotu do domu. Prawie natychmiast zaczynały się ruszać gałęzie na okolicznych drzewach i krzakach, a z gęstwiny pokazywały się rogate głowy.

Widziałem to niejednokrotnie, kiedy z wiejskimi rówieśnikami, popychając przed sobą specjalnie wygiętym grubym drutem stalowe obręcze - pierścienie „jechaliśmy” gdzieś poza wieś. Były to elementy składowe kół samochodów ciężarowych, zniszczonych podczas wojny, które miały za zadanie utrzymywać oponę na feldzie. Był okres, kiedy każdy chłopiec uważał za powód do dumy posiadanie właśnie takiego koła. Ci co mieli koła „jechali” a pozostali - biegli.

Ukierunkowując swoje krowy w kierunku wsi *Kościk* strzelał z bata. Miał on bardzo krótką rączkę i wielokrotnie dłuższe biczysko, uplecione z rzemieni w ten sposób, że przy rękojeści nie był od niej cieńszy. Potem grubość stopniowo malała i na końcu był tylko jeden cienki rzemyk. to wyposażenie "stróża krow" nie służyło do uderzania ich, a raczej do straszenia nieposłusznych osobników. Po wykonaniu właściwego zamachu nad głową można było usłyszeć głośny odgłos w postaci wystrzału. Wtedy nie wiedziałem, że końcówka biczyska przekracza prędkość dźwięku. Nie umieliśmy powtórzyć tego wyczynu, ciężko było się zamachnąć, a najczęściej długi bat okręcał się wokół nóg lub głowy.

W lesie krowy nie miały nadmiaru trawy, ale mogły wyżyć i zawsze trochę mleka dały. Problem zaczynał się dopiero późną jesienią, kiedy wypadł śnieg. Na siano z kołchozu nikt we wsi liczyć nie mógł, chociaż podczas sianokosów, a szczególnie przed ich rozpoczęciem, obiecywano, że wszyscy biorący udział w pracy na łące, otrzymają z kołchozu przynajmniej po jednym wozie siana. Niestety, na obietnicach wszystko się kończyło. Nikt, nigdy żadnego siana nie otrzymał. Radzono sobie sposobami, których chyba nie potrafię opisać.

Był to problem dorosłych. Dla nas, kilkunastoletnich, beztruskich chłopców okres sianokosów to nie tylko czas letniej przerwy w nauce. To możliwość zabrania się na łąkę i przyjemność powrotu na wysokim bujającym się wozie, a przede wszystkim czas skakanie na jego pulchną, doskonale amortyzującą warstwę. Z dość dużą radością patrzyliśmy, jak wozy pełne siana wyjeżdżały z lasu i skręcały na obszerne podwórko Mostowskich. Wielka stodoła tego pana już należała do kołchozu. Cieszyliśmy się jeszcze bardziej, kiedy zamyśleni kołchoźnicy, omijając własne zagrody, podjeżdżali do najwyższej we wsi stodoły państwa Pruszkowskich. Ona również zmieniła właściciela. W stodole składano siano kołchozowe. Wszyscy wiejscy chłopcy mogli tam wejść. Byłego gospodarza nikt się o zgodę nie pytał.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na moment, gdy ułoży się pierwsza warstwa wystarczająca do zamortyzowania uderzenia zeskoku. Niezmiernie szczęśliwi, włączyliśmy coraz wyżej po belkach konstrukcji. Była jeszcze krótka chwila wyczekiwania, ale po przełamaniu strachu i odbiciu się od belki, leciało się w dół, z bezwolnie wstrzymanym oddechem, z przyśpieszonymi uderzeniami serca. Po wielokrotnych zeskokach, wysokość wydawała się zbyt mała i włączyło się coraz wyżej, pod sam dach. Po oswojeniu się z uczuciem podchodzenia żołądka pod gardło, chciało się zapoznać z wrażeniem powstającym podczas dłuższego lotu. Niestety, wyższych belek nie było, a coraz grubsza warstwa siana, skracała odległość i czas lotu.

Wtedy nie wiedziałem, że będę miał okazję, kilka lat później, zapoznać się z uczuciem lotu w większą przepaść i podchodzeniem żołądka do gardła podczas dłuższego opadania.

Zanim to nastąpiło, z niedowierzaniem przyjąłem decyzję komisji poborowej kierującej mnie wraz z kilkoma innymi wybranymi losu do służby w wojskach powietrzno-desantowych. Od tego momentu aż do szczęśliwego powrotu do cywila, nie schodził smutek z twarzy mamy i nie było końca zatroskanym spojrzeniom ojca. Ja, natomiast, niczym się nie przyjmowałem. Wierzyłem, że żadnej wojny nie będzie, bo nikt nie odważy się na nas napaść, a służba w Wojsku Polskim, w tak wyjątkowej jednostce będzie pięknym przeżyciem.

Zanim zapoznałem się z wrażeniem z pierwszego skoku, musiałem przejść obowiązkowe ćwiczenia naziemne, wzmacniające stawy skokowe i długie, treningowe *wiszenie* na taśmach uprząży spadochronu, zawieszono go na jakiejś wysokiej poprzecznej belce. Zeskok z dwóch metrów na całe stopy do przyjemnych nie należał. Ćwiczenia te miały wzmocnić nogi i zabezpieczyć przed złamaniami w momencie zderzenia z ziemią po prawdziwym skoku z samolotu. Wiszenie na taśmach miało przygotować do umiejętności przybierania właściwej pozycji przed lądowaniem.

Pierwszy skok z AN-tka został w pamięci. Piękny widok ziemi z wysokości 800 metrów. Świadome oczekiwanie na nigdy wcześniej nie przeżyte uczucie utraty pod nogami niestabilnej i chwiejnej, lecz twardej podłogi samolotu, uciekającej czasami gdzieś w dół lub dociskającej mocno do stóp. Stanowczy wykrok za próg, nad dalekie zielone łąki oraz małe prostokąty kolorowych pól... Nagła cisza i samotność. Brak jakiegokolwiek oparcia, niekontrolowane przewracanie się... Uciekająca w bok ziemia... Utrata orientacji.

Od momentu opuszczenia samolotu do chwili otwarcie się spadochronu upłynąć miało nie więcej jak 3 do 5 sekund. Gdyby w tym czasie spadochron się nie otworzył, należało wyrwać uchwyt zapasowego. Jak się okazało później, prawie żaden kolega, podczas pierwszego skoku nie pamiętał o wymawianiu liczb 121, 122, 123... i chyba żaden nie pamiętał o uchwycie, ale technika nie zawodziła. Błogie spadanie było nagle przerywane mocnym szarpnięciem. Nad głową ukazywała się ogromna czasza. Ziemia wracała na swoje miejsce, dziwna pustka rozciągała się wokół.

Nie zapomniałem jedyne go skoku z balonu. Pod wpływem lekkiego gazu, unosił się do góry wraz z koszem, w którym siedzieliśmy. Zanim kosz drgnął i oderwał się od ziemi, naprężyły się stalowe linki. W następnej chwili zielona trawa zaczynała uciekać gdzieś w dół. Małe sylwetki kolegów. Wkrótce ich się nie dało rozpoznać. Wiatr, którego nie zauważało się na dole, zaczynał gwizdać w linkach. Kosz lekko się chwiało. Siedzieliśmy na niskich ławeczkach. Za plecami barierka i dalej pusta przestrzeń. Ziemia stopniowo się oddalała, a przed oczyma rozpościerała się coraz szersza panorama pagórkowatego krajobrazu.

Wreszcie *wykidajło* otworzył niskie drzwiczki. Stałem na progu, na skraju przepaści. Zgodnie z instrukcją lekko ugiąłem kolana, delikatnie się odbiłem i w następnej sekundzie poczułem, że stopy poleciały gdzieś w dół, a za nimi całe ciało. Przeraziłem się. Powrotu do góry nie było. Pustka wokół i wnętrzości pod gardłem. Na plecach zabrakło ciężaru. Czyżby spadochron się odpiął? Po chwili czuję tam serię lekkich szarpnięć.... To wyplatają się linki z kieszonek. Wreszcie szarpnięcie mocne i głośny łoskot na górze. Spojrzenie do góry, a tam... otwarta, ogromna czasza. Radość szczęśliwego lądowania po krótkich chwilach niepowtarzalnych emocji taka sama, jak po wyskoczeniu z samolotu.

Długotrwałe, męczące treningi na ziemne traktowaliśmy jako jeszcze jedną metodę „umilania życia młodym żołnierzom”. O celowości tych ćwiczeń przekonałem się po wyskoczeniu z samolotu IŁ- 14, lecącego ze znaczną prędkością. Potężne szarpnięcie otwierającej się czaszy świadczyło o szczęśliwym pokonaniu pierwszego etapu powrotu na ziemię. Teraz czekało zetknięcie się z nią, które czasami kończyło się połamaniem nóg, a w najgorszym przypadku i kręgosłupa.

Bezpieczne lądowanie, w pierwszej kolejności uzależnione jest od prawidłowej sylwetki z taśmami podciągniętymi do połowy uda. Po skokach z samolotów o mniejszej prędkości poprawienie się w uprzęży nie nastroczało większych kłopotów. Teraz, nie potrafiłem przesunąć żadnej taśmy - nie starczało siły. Weszły gdzieś głęboko, tam skąd wyrastają nogi. Pot zalewał oczy. Nie podziwiałem krajobrazu, a bezskutecznie mocowałem się z taśmami, w których wisiałem bezwładnie, z nogami odchylonymi do tyłu. W takiej pozycji lądowanie nie mogło być bezpieczne. Wreszcie, udało się podciągnąć odrobinę jedną, następnie troszeczkę drugą, później ponownie tą pierwszą itd. Centymetr, po centymetrze wyciągałem je z miejsca, w którym nie powinny dłużej pozostawać ani chwili - ziemia zbliżała się nieubłaganie.

Wielką ulgą było ostateczne pokonanie siły ciężenia i wygodne usadowienie się zgodnie z instrukcją. Jeszcze tylko ponowne uniesienie rąk do góry w celu takiego skrzyżowania taśm, aby ustawić się zgodnie z wiatrem. Po chwili, z idealnie złączonymi nogami, przyjąłem uderzenie ukochanej ziemi zgodnie z instrukcją, tj. na całe stopy.

27

Były to moje przeżycia z okresu, kiedy mieszkaliśmy w Polsce, a rodzice znowu pracowali na swoim. W okresie naszych zeskoków na kolchozowe siano, prawdopodobnie przestali nawet marzyć o takiej możliwości. Ich największym zmartwieniem stało się wykarmianie krów w miesiącach zimowych. Nie mieli przecież żadnego hektara pola, ani kawałka łąki.

Zimą krowy musiały odżywiać się wszystkim, co latem wyrosło z ziemi i miało barwę zieloną. O tej porze roku miały dużo czasu i mogły każdy pokarm długo, spokojnie przeżuwać. Do skarmiania w pierwszej kolejności nadawały się łąty ziemniaczane, które przed wykopkami należało skosić i wysuszyć. Suszono również trawę przynoszoną workami z nieużytków. Dużo drobniotkich, zielonych liści dawało niskie wijące się zielsko, które upodobało działki ziemniaczane i na gęsto wyrastało w redlinach. Najgorsze było to, że jeśli zielsko przeznaczyło się na suszenie, na zimę dla krów, to w tym dniu mniej go otrzymywali świnki. Kiedy ojciec po powrocie z kolchozowego pola słyszał uporczywe kwilenie, to z oburzeniem stwierdzał, że ponownie nic nie robiliśmy, a z tak wielkim poziomem lenistwa ciężko będzie nam żyć.

Władza radziecka pozwalała kolchoźnikom na hodowlę świnek. Nie była więc tak bezwzględna i okrutna, jak ją przedstawiali *kapitalistyczni wrogowie*. Kolchoźnicy mieli zapewnioną całodzienną pracę w kolchozie dla dobra radzieckiej ojczyzny, a ponadto mogli pracować na swojej działce, przy swoich krowach lub świniami. Oczywiście kolchoz nie brał na siebie żadnych zobowiązań z tego powodu. Byłyby to zbyt wielkie żądania.

Nasi rodzice potrafili wychować w ciągu roku aż parkę świnek. Jedna z nich była przeznaczona na Boże Narodzenie, a druga umilała święta Wielkanocy.

Oplatki, jak wspomniałem wcześniej, otrzymywaliśmy w listach z Polski ze świątecznymi życzeniami. Tu również należało widzieć dobrodziejstwo władz radzieckich. Z *bratnią, zaprzyjaźnioną* Polską zezwalano na korespondencję, a ponadto pozwalano na umieszczanie w kopertach symboli religijnych, w postaci świątecznych opłatków.

Korespondencję z Polską, bez większych ograniczeń, można było prowadzić dopiero w ostatnich latach przed naszym wyjazdem, gdy *socjalistyczna współpraca i bratnia przyjaźń* weszła na wyższy etap. W pierwszym okresie po wojnie, nawet na podstawie zewnętrznego wyglądu kopert, natychmiast zauważało się wyższy poziom życia i kultury w Radzieckim państwie, budującym komunizm, niż w Polsce, tworzącej zręby socjalizmu. Z Kraju Rad listy wychodziły w białych kopertach, zaadresowane równiutkimi, wykaligrafowanymi literami w języku rosyjskim i polskim.

Po zauważeniu najdrobniejszej niedokładności lub poprawki, listu na poczcie nie przyjmowano. Jeżeli któreś z rodziców wróciło z poczty z informacją, że list został przyjęty, w domu była wielka ulga i następowało długie oczekiwanie na odpowiedź. Listy z Polski przychodziły w zwykłych kopertach, zaadresowane krzywo, bez najmniejszej staranności

No tak, listy do adresatów dotarły, krótka radość szybko minęła, a problem wykarmienia krów pozostał. Radził z tym ojciec metodami, które trudno opisać. Żniwa na kołchozowym polu stwarzały dodatkową możliwość pozyskania pokarmu. Do koszenia zboża, przeważnie żyta, kołchoźnicy chodzili parami. W ten sposób pracowali również rodzice. Ojciec kosił, a mama zboże *podbierała* i wiązała w snopki.

Za męczyzną *układającym* ścięte zboże *na ścianę* tj. w kierunku stojącego ładu, poruszała się przygięta postać kobiety. Tak jak dawniej na swoim, *podbierała* ścięte źdźbła, tworząc coraz większe pęki, z których powstawały grube, ciężkie snopy. Twarda słoma ocierała dłonie, nadgarstki. Ostre szpikulce wysokich ostów chowających się w gęstym zbożu wbijały się głęboko w palce. Ścięte na ukos końcówki twardej słomy ścierniska do krwi kaleczyły nogi, słony pot kapał z czoła użyźniając kołchozową ziemię, a wysoko zawieszona słońce grzało bez żadnej litości.

Jeszcze tak niedawno, zaledwie kilka lat wstecz, podczas tej samej pracy uśmiech nie schodził z twarzy, a roziskrzona oczy z radością witały każdy nowy snopek. Nie bolały strudzone ręce, ani zgięte plecy. Niestety, tak było na swoim. Snopki wiązane na kołchozowym polu trafiały do cudzej stodoły, a wymłócone zboże wędrowało w nieznanym kierunku i ginęło gdzieś w przepastnych, państwowych spichrzach, których w żaden sposób nie dało się napelnić.

Pomimo to, ludzie pracowali. Pracowali może dlatego, że nie wyobrażali sobie, aby chleb, ten Dar Boży, mógł pozostać na polu. Pracowali i nie śmieli nawet pomyśleć o protestach ponieważ doskonale wiedzieli, że odmowa udziału w pracach żniwnych byłaby natychmiast potraktowana jako sabotaż z trudnymi do przewidzenia skutkami. Pracowali, chociaż wiedzieli, że kołchoz zabierze wszystko. Na pole szli z nadzieją, że władza pozwoli zebrać przynajmniej resztki słomy oraz gęstych chwastów.

Czasami kolchoźnikom pozwalano na ponowne skoszenie ścierniska, na własne potrzeby. Był to miły gest ze strony władz, jeszcze jeden przekonywujący dowód, że nawet w warunkach bezwzględnej dyktatury narzuconej odgórnie, w niektórych kolchozach tworzone warunki do poprawienia bytu tej części ludności, która praktycznie została pozbawiona wszelkich praw.

Faktycznie takich oficjalnych zezwoleń chyba nigdy nie było. Może były półoficjalne. Może *priedsiedatiel kolchoza* tylko udawał, że nic nie wie o bezprawnym wykorzystywaniu kolchozowego dobra. Jeżeli tak, to tym większa chwała dla takiego kierownika *wspólnego* gospodarstwa. W naszym kolchozie mieliśmy szczęście do kierownictwa. Nasz *priedsiedatiel nie wiedział*, że na polu z którego zebrano zboże, kolchoźnicy jeszcze raz pracują, ale tym razem dla siebie.

Aby uzyskać drugi pokos, należało jak najwyżej kosić pierwszy raz. Po zabraniu snopów, zostawało kilka dni na ponowne skoszenie tego samego kawałka i odzyskanie grubych resztek słomy wymieszanych z wyrastającymi wśród zboża gęstymi chwastami, z soczystym zielonym perzem. Ten *plon* pozwalano zabrać na własne podwórko.

Nasze krowy w okresie zimowym, z wysuszonych kolchozowych resztek, miały *wspaniałą karmę*. Dwa pokosy w tamtym klimacie, dwa plony w jednym sezonie. Czy w innym kraju ktoś mógł wpaść na taki pomysł? To chyba nie jest możliwe. Pomysł mógł się zrodzić tylko w Kraju Rad, w warunkach *kolchozowego dobrobytu*.

Do ostatnich dni przed zniwami nie było wiadomo czy władze pozwolą na takie *dorabianie się* na kolchozowej własności, czy będzie to zakazane. Czasami rodzice z rozgoryczeniem stwierdzali, że w którejś sąsiedniej wsi nie pozwolono kosić ściernisk. Twierdzili przy tym, że dopiero tam jest bieda i cieszyli się, że w naszym kolchozie mamy życzliwe kierownictwo.

Pełny wóz późniwych resztek słomy i chwastów wjeżdżający na nasze podwórko, dla naszych krówek. Było to szczęście i radość rodziców, o czym wtedy my, młodzi chłopcy, nie zdawaliśmy sobie sprawy. Nie wiedzieliśmy również, o czym myślał ojciec pod koniec każdego dnia pracy w trakcie zniw, kiedy na własne ryzyko napełniał duży worek resztkami słomy z kłosami żyta, które pośpiesznie okrywał chwastami i trawą. Szedł następnie ze swoim ciężkim ładunkiem na plecach tą samą drogą, którą tak niedawno beztróska i wesoło jechaliśmy wozem konnym ze snopkami własnego zboża, wiezionymi do własnej stodoły.

Nasza mama, kolchoźnica, wymęczona całodziennym, słonecznym żarem, wracała również do domu po długim dniu darmowej pracy. Szła śladem swego męża, nieudolnie przytrzymując ciężką kosę na wątłym ramieniu.

Taki worek ojciec przynosił codziennie, podczas całego okresu zniw. Na zawartość wysypaną na podwórku z radością rzucały się nasze kury, w kilka minut wybierały ziarna i likwidowały dowód *okradania* kolchozu. Resztki słomy oraz wysuszonej trawy gromadzono na zimę, jako karmę dla krów. Nie wiemy czy nasi rodzice wiedzieli jak bardzo w ten sposób codziennie ryzykowali i narażali się władzy radzieckiej.¹

W tamtym okresie ktoś wymyślił bardziej zmechanizowany sposób dzielenia się kołchozowymi plonami. Do tego potrzebny był rower, jakaś większa płachta i worek. Do pola należało podjechać od strony lasu. Potem do roweru i rozłożonej płachty chyłkiem przynoszono kilka snopków z najbliższych *dziesiątków*. Teraz już było wszystko łatwe i proste. Wystarczyło wpychać powoli kłoski z kolejnych snopków w rozkręcone do dużej prędkości tylne koło roweru. Płachta, rozłożona pod jakimś drzewem, szybko nappełniała się obciętymi kłoskami i ziarnem. Do szczęścia brakowało już tak mało, należało tylko ciężki worek zawieść do domu. Dobrze czy nie, lecz tej metody w naszej rodzinie nie stosowano. Była zbyt niebezpieczna.

Byłem raz bardzo szczęśliwy, bo po długim dniu pracy zarobiłem wiązkę słomy. Pomagałem młócić zboże w nadleśnictwie, które miało jednego konia i uprawiało kawałek pola. Zapewniono nas, iż w charakterze zapłaty otrzymamy słomę. Młócenie odbywało się na podwórku, które nie tak dawno, przed wojną było własnością pana Radziwiłła. Faktycznie, po skończonej pracy uzyskaliśmy pozwolenie na wzięcie słomy. Nie zastosowano żadnych ograniczeń. Każdy mógł wziąć tyle, ile potrafił unieść.

Miałem długi sznur. Ułożyłem go podwójnie na ziemi, jak pozostali mężczyźni. Nakładłem wysoko, ogromną kopę słomy. Ktoś pomógł sznur mocno zacisnąć, a potem unieść słomę do góry i ułożyć równo na plecach. Ze swoim skarbem, dumny i szczęśliwy ruszyłem natychmiast do domu. Nie musiałem ukrywać się przed nikim. Mogłem iść środkiem ulicy. Bez zatrzymywania i odpoczynku wniosłem swój ładunek na nasze podwórko. Ojciec z taką „furą” na plecach, nigdy nie wracał. Takiej ilości prawdziwej słomy nie zarobił w kołchozie nigdy.

Podczas żniw, chyba jednych z ostatnich w Kraju Rad, mama zakłuła palec ręki. Po jakimś czasie na palcu wystąpiła opuchlizna. Towarzyszył temu co raz większy ból. Lekarz podczas pierwszej wizyty dokonał odpowiedniego zabiegu chirurgicznego, tj. ranę *otworzył i wyczyścił*. Nie dało to spodziewanego efektu. Ponowna wizyta u lekarza i padła decyzja o konieczności „odjęcia” palca. Mama nie wyraziła zgody i z płaczem wróciła do domu.

Podczas kolejnego pobytu u tego samego lekarza usłyszała, że teraz należy *odjąć* całą dłoń. Jeżeli tego się nie wykona, to za kilka dni ratunkiem będzie odcięcie ręki. Mama nie poddała się zabiegowi. Jeszcze bardziej załamana, zrozpaczona i zalana łzami wróciła do domu. Ręka w tym czasie wyglądała okropnie. Z całej dłoni, która była mocno spuchnięta, zeszła skóra. Podobnie wyglądały palce. Nie mogła nic robić.

Kiedy beczynnie siedziała na ławce przed domem, przyszła któraś sąsiadka, obejrzała rękę i stwierdziła, że ratunku należy szukać nie u lekarzy, a u staruszki mieszkającej w budynkach dla służby, w byłej posiadłości Radziwiłła. Oczywiście natychmiast pobiegliśmy do niej, z prośbą o pomoc.

Babuleńka zgodziła się. Stwierdziła, że przyjdzie pod wieczór i zrobi wszystko, co w jej mocy. Faktycznie przyszła. Obejrzała rękę, a następnie kazała nam, chłopcom, przynieść czystej wody ze studni i garść słomy z kłosami, wyciągniętej ze strzechy. Polecenie wykonaliśmy natychmiast.

Starowinka, patrząc na stojące nisko nad horyzontem słońce, oświadczyła, chyba sama do siebie: „*Słońca uże niska - ciapier najlepszaja para*”¹ i przystąpiła do leczenia. Kazała chorą dłoń, otuloną kłoskami, włożyć do miednicy z wodą. Następnie swoją ręką polewała wodą z miednicy dłoń mamy i szeptała jakieś modlitwy. Po zakończeniu *zabiegu*, zebrała do garści kłoski, a potem poprosiła żebyśmy sprawdzili, czy jest tam coś. Stwierdziliśmy w kłoskach całą masę włosków. Były białe, prawie przezroczyste i mocno poskręcane. Powiedzieliśmy, że widzimy jakieś włoski. Babcia odpowiedziała: „*Dobra, tak pawinna być, zaraz budzia lepijaj.*”² Faktycznie, ból ustał, samopoczucie radykalnie się poprawiło. Mama w tę noc wreszcie spała. Już rano zauważyła, że opuchlizna zmniejszyła się.

Babcia swoje leczenie powtórzyła jeszcze dwa razy. Zawsze tak samo, przed zachodem słońca. Włosków było coraz mniej. Z palca, od którego wszystko rozpoczęło się, zaczęła wyciekać ropa. W ciągu trzech dni, od pierwszej wizyty babci, dłoń stała się prawie normalna. Zaczął się tworzyć nowy naskórek. Minęło kilka następných dni i wszystko wróciło do normy. Jaką moc, siłę wewnętrzną lub wiedzę tajemną posiadała babcia, tego nie wiem. Wiem, że pomogła w sposób zdecydowany i szybki.

Pomimo największych starań, pomimo zbierania trawy i resztek kołchozowych pokarmu na zimowe utrzymanie dwóch krów ciągle nie starczało. Niestety, nadchodził najtrudniejszy okres, kiedy na dworze panował mróz, a gruba warstwa śniegu przykrywała pola i łąki. Wiele tygodni zostawało do lata, do okresu zielonych, soczystych traw. Do pachnącego siana było kilkadziesiąt metrów. Znajdowało się blisko, w stodole. Niestety, nie była już nasza, należała do kołchozu. Zgromadzone w niej siano również było przeznaczone dla kołchozowych krów i koni.

Wożono je tam w ciągu lata. Wozy przejeżdżały obok naszego chlewa. Prawie zawsze coś z nich spadało *przypadkowo* i natychmiast trafiało do wnętrza, na ciemne poddasze. Podobna sytuacja powtarzała się podczas wywożenia siana ze stodoły w okresie zimowym. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym czasie ojciec coś tam robił i zawsze *zapominał* zamknąć wrota. Przeciskając się wąskim przesmykiem wóz się ocierał z jednej strony o wrota, a z drugiej o wystające kołki wysokiego ogrodzenia, które tak na prawdę nie wiem co odgradzało. Większe lub mniejsze kępy siana zostawały na śniegu. Już po chwili z apetytem przeżuwały je nasze krowy. Wkrótce przestawał istnieć dowód *okradania* kołchozu.

Czasami ojciec stosował bardziej radykalną, lecz wyjątkowo ryzykowną metodę. Do pomocy zawsze wołał Edka. O zmierzchu, kiedy nikt z władzy kołchozowej po wsi nie chodził, a sąsiedzi byli zajęci codziennym obrządkiem na swoich podwórkach, ojciec razem z moim młodszym bratem szli w kierunku stodoły. Edek kładł się na śnieg i wczolgiwał się pod wrota do ciemnego wnętrza¹. Po chwili wypychał stamtąd pachnące siano, własność kołchozu, efekt pracy ojca. W następnych minutach siano trafiało do naszej obory, dla naszych krów.

Ta metoda pozyskiwania pokarmu była wyjątkowo niebezpieczna. Nie mam pojęcia w jaki sposób można byłoby się tłumaczyć, gdyby ktoś z władz wszedł w tym czasie na podwórko. Przecież nawet tego siana, które przypadkowo spadło z wozu, nikt nie miał prawa zabrać. Była to własność kołchozu. Siano mogło zgnieć. Żaden kołchoźnik nie mógł go wziąć. Jeżeli ojciec decydował się na ten wyjątkowo

ryzykowny krok, widocznie nie miał innego wyboru. Może wierzył lub wiedział, że nikt go nie złapie.

W tej metodzie zdobywania siana dla naszych krów udziału nigdy nie brałem. Prawdopodobnie nie dlatego, że szpara pod wrotami do stodoły była zbyt wąska. Ojciec obmyślił, że w przypadku wpadki młodszemu synowi będzie wymierzona mniejsza kara.

Potrzeba przeżycia w ekstremalnych warunkach była większa niż strach. Trudno powiedzieć kto bał się więcej, ojciec wysyłający syna do swojej niegdyś stodoły, czy syn wążący po kołchozowe siano? Po kilku minutach strachu Edek szczęśliwy wracał do domu. Był ważny i dumny, bo jeszcze raz zapewnił krowom dodatkowe porcje pożywienia tak samo, jak ja wtedy, gdy wtaczałem się na podwórko z kopą słomy z nadleśnictwa. Pozostała tylko jedna różnica: on się narażał, a ja nie.

Pozostali mieszkańcy starali się najróżniejszymi sposobami uzupełnić swoje zapasy. Każdy wiedział jak wielkie jest to ryzyko i każdy zdawał sobie sprawę, że to jedyna metoda przetrwania. W jednym przypadku efekty okazały się opłakane. Trzech byłych gospodarzy, *przylapanych* w momencie, w którym wynosili z kołchozowej stodoły zboże dla głodujących rodzin otrzymało wyroki po osiem lat więzienia.

W naszym przypadku, dodatkowym uzupełnieniem karmy były również kołchozowe ziemniaki przechowywane w piwnicy, która służyła za schron podczas wojny. Ojciec miał klucz do drzwi wejściowych. Z tego dodatkowego źródła pokarmu musiał również korzystać z umiarem, rozważnie i ostrożnie.

W piwnicy przeznaczonej na potrzeby kilkuhektarowego gospodarstwa, składano kołchozowe ziemniaki. W okresie zimy miały zaspokoić potrzeby *wspólnego gospodarstwa*. Pełny koszyk kartofelek od czasu do czasu trafiał do naszej obory. Uszczuplenie pokarmu dla kołchozowych krów nie miało większego znaczenia na efekty gospodarowania. Okres zimowy mogły tam przetrwać tylko niektóre okazy.

Do karmienia świń przez cały okres letni, stosowano najróżniejsze zielsko pokrojone w sieczkarni, zalane gorącą wodą i posypane garstką śruty. Nie mam pojęcia skąd rodzice ją brali. Problemem było zdobycie ziarna. Kwestia mielenia nie istniała, bo młyny zlikwidowano. W tych warunkach powstała potrzeba powrotu do metod pradziadków. W dwudziestym wieku, w Kraju Rad powrócono do mielenia zboża w żarnach. To był cudowny pomysł. Żarna bez kamienia młyńskiego. W jakimkolwiek innym kraju, nikt nie był w stanie tego wymyślić.

Pamiętam pewien poranek. Ojciec wrócił do domu po pierwszym wyjściu do kołchozu i z ogromnym przejęciem powtarzał zasłyszaną opowieść o tym, jak samemu można zrobić żarna. Powstała atmosfera optymizmu. Wynaleziono sposób na rozdrobnienie tych garści zboża, które czasami udaje się przynieść do domu. Uzyskaną podczas *mielenia śrutę* świnie przetrawią znacznie lepiej, niż zwykłe ziarno.

Jak mało potrzeba człowiekowi do szczęścia. Tyle radości z uzyskania informacji o możliwości zbudowania własnymi rękoma urządzenia do rozdrabniania ziarna. Można być szczęśliwym w każdej sytuacji i w każdych warunkach, nawet w radzieckim kołchozie.

Do karmienia świń, które wyboru nie miały, wielu mieszkańców wsi zbierało w kołchozowej stajni lub na łące świeży koński kał. Stwierdzono, że zawiera jeszcze znaczną ilość pożywnych składników i może być ponownie wykorzystany jako pokarm. Resztki nie strawione przez końskie żołądki, wymieszane z jakimiś dodatkami zaspokajały głód trzody chlewnej kołchoźników. Mama oświadczyła, że tej metody nie zastosuje. Z jej decyzją ojciec nie dyskutował, a dzieci o opinię nikt się nie pytał. Podobno po takim karmieniu słonina nabierała zapachu stajni.

Do budowy żaren potrzebne były dwa grube, drewniane pniaki. Jeden miał być dolnym kołem młyńskim, a drugi górnym. Pniaki wkrótce znalazły się na naszym podwórku. Były to tzw. odziomki od grubych kłoców leżących na podwórku u dziadka. Najważniejsze elementy przyszłych żaren uzyskaliśmy bez większego wysiłku. Jak drewnianymi kłocami zemleć twarde ziarna zboża? Nikt, w żadnym innym kraju nie ma najmniejszej szansy na ponowne wymyślenie tamtej, kołchozowej metody.

Do zakończenia prac przy wykonywaniu naszych kamieni młyńskich niezbędne było cienkie żeliwo, w granicach milimetra, może dwóch. Najlepiej do tego nadawały się stare, żeliwne garnki. Potłukliśmy na małe kawałeczki wszystkie stare, dziurawe znalezione u nas i u dziadka, na szczęście nie oddane na złom. Teraz zostało tylko powbijać te odłamki na sztorc do jednej i drugiej płaszczyzny, przekształcając je w twarde i szorstkie. Oczywiście w górnym kamieniu należało wydłubać (wypalić) odpowiedni otwór. Kamienie młyńskie już mieliśmy.

Wykonanie obudowy było już całkiem proste. Ojciec wykonał z desek kwadratową skrzynię na nóżkach, w której na dole zostało zamontowane dolne „koło młyńskie” a nad nim górne. Żarna były gotowe. Z należyтым szacunkiem i powagą, zostały ustawione w spichlerzu, tam gdzie kiedyś przechowywano zboże. Do obracania górnym kołem została zrobiona drewniana rękojeść (odpowiednio długi kij) zamocowany jednym końcem na obrzeżu „koła młyńskiego”, a drugim do jakiejś belki na górze.

Uroczyście, z ogromną nadzieją na poprawę poziomu życia przystąpiliśmy do uruchomienia naszego urządzenia. Nie przypominam sobie, ile zboża nazbierało się do pierwszego mielenia. Pamiętam doskonale, że był to ważny moment, zapowiadający zmiany na lepsze. Uśmiechnięta mama zawczasu przygotowała duży garnek wrzącej wody do sparzenia pierwszej, własnej śruty dla świnek. Nieustanny, głośny kwik był najlepszym dowodem, iż nie przeczuwały jaką szykujemy ucztę.

Mielenie w żarnach tylko się wydaje łatwe i proste. Żeby było wygodniej, wiaderko ze zbożem ustawia się „pod lewą rękę” na takiej samej wysokości, jak górny kamień. Żarna kręci się prawą ręką, a lewą rytmicznie dosypuje nowe porcyjki w tym momencie, kiedy prawa ręka z pokrętłem znajduje się po przeciwnej stronie.

Żarna, zakręcone ojcowską ręką, ruszyły. Zboże, garść po garści, wpadało do otworu ... i lekko obszarpane zaczęło wysypywać się między „kamieniami”. Górny „kamień” był zbyt lekki. Twarde ziarna należało kilkakrotnie przepuszczać przez *młyn*. Pomimo to, do tej monotonnej pracy przystępowano natychmiast, jeśli tylko udało się ojcu przynieść do domu najmniejszą garstkę zboża. Żarna pozostały na swoim miejscu i służyły wiernie do momentu naszego wyjazdu do Polski. Chyba dobrze, że zostały tam

wraz z kołchozową biedą, a może szkoda, że tak się stało. Byłyby dowodem rzeczowym, bo w prawdziwość tego opisu może ktoś nie uwierzyć.

Byliśmy raz z Edkiem na kołchozowym polu. Nosiliśmy ojcu jakieś jedzenie. Po skończonym posiłku, zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną wziął on drelichową bluzę i jakimś sznurkiem zawiązał koniec szerokiego rękawa. Potem zaczął zrywać kłosa ze snopka, pocierać je w dłoniach i tą mieszanką napełnił rękaw. Nieśliśmy na zmianę bluzę do domu, znajomą leśną drogą. Zgodnie z poleceniem ojca, na wiejskiej ulicy ponownie miał się narażać Edek. Niestety, mały i słaby nie potrafił utrzymać bluzę tak, aby ktoś obcy nie spostrzegł, że rękaw jest napełniony. Zauważyło to kilkoro osób dorosłych stojących obok płotu. Na szczęście usłyszeliśmy jedynie krótki komentarz o rozkradaniu kołchozowej własności.

Po utworzeniu kołchozów, prawie całe podwórko zostało zaorane. Wszędzie rosły ziemniaki lub kukurydza. Razem około czterdziestu arów. Z tej ziemi i od dwóch krów należało oddać „daninę” państwu. Od kołchoźników na szczęście zboża nie żądano. Dla odmiany, rozpoczęły się obowiązkowe dostawy mleka. Uszczuplano więc ilości mleka na własne potrzeby, pomimo że był to podstawowy i najważniejszy artykuł spożywczy, tuż po ziemniakach. Smaku śmietany i masła prawie nie znaliśmy.

Mama, od czasu do czasu, gdy „nazbierała” dostateczną ilość śmietany, robiła masło. Zawsze z niecierpliwością oczekiwaliśmy na moment, kiedy zostanie „ubite”. Po wypłukaniu żółtej gałki w wodzie, przychodził najważniejszy moment - ważenie. Z zapartym tchem przyglądaliśmy się na wynik. Jeżeli okazywało się, że masła jest odrobinę ponad okrągłą cyfrę wagi (kilogram lub 0,5 kg), to nadwyżka zostawała do natychmiastowego spróbowania. Na ten moment czekało nas czterech chłopców.

Przeważnie *do spróbowania* otrzymywało się odrobinę smakołyku na końcu małej łyżeczki. Żadne prośby o dodatkową porcyjkę nie dawały efektu. Tylko czasami zdarzały się takie przypadki, gdy otrzymywaliśmy po całej kromce chleba pokrytej wymarzoną, żółtą warstwą.

Najbardziej obawialiśmy się, stanowczego oświadczenia mamy, że w dniu dzisiejszym masła jest zbyt mało i próbowania nie będzie. W takiej sytuacji należało uciec jak najszybciej na podwórko, aby wymarzonej gałki więcej nie oglądać i nie łudzić się nadzieją, że mama zmieni zdanie i ulegnie naszym prośbom. Przed ucieczką zatrzymywało głośne przypomnienie, że będziemy mogli się napić świeżej maślanki. Smak tamtego napoju pozostał w pamięci na zawsze, nie zetknąłem się z nim nigdy więcej. Pływały w maślanecie małe okruchy masła, lecz chyba nie one stanowiły o tym, że zaspokajając pragnienie chciwie łykaliśmy ją wielkimi haustami. Pełnego kubka wspaniałego napoju, który otrzymywałem przed laty z rąk mamy nie zastąpiły już żadne podobne, kupowane w sklepach.

Masło w następnym dniu trafiało do tzw. punku skupu i było przeliczane na litry mleka. W domu dokonywano próby ustalenia daty rozliczenia się z obowiązkowej dostawy. Jakoś dziwnie się składało, że zanim zakończyła się jedna seria, przychodziły *papiery* na następne i wszystko rozpoczynało się od początku.

Każdorazowe wejście na podwórko jakiegokolwiek przedstawiciela władzy było zapowiedzią kolejnych dodatkowych obciążeń lub obowiązków. Wizyty te do

przyjemnych nie należały. Głośna awantura wybuchła pewnego lata pomiędzy ojcem, a jednym z pracowników *sielsawietu* 1, stale przynoszącym dokumenty o nowych dostawach lub innych obowiązkach względem państwa. Nie wiem czy w celach statystycznych, czy dla ustalenia nowych podatków, spisywał wtedy wszystko, co posiadał i hodował każdy mieszkaniec wsi. Zapisywał, ile ma kur, świń, krów, drzewek owocowych. Gdy doszło do pszczół, to nie uwierzył w informacje ojca. Sam podszedł bliżej do pasieki i rozpoczął liczenie.

Nie pomagały wyjaśnienia, że połowa uli jest pusta. Przedstawiciel radzieckiego państwa stwierdził, iż zapisuje tyle ile widzi, że ludowej władzy nie wolno oszukiwać. Ciche i spokojne wypowiedzi ojca stopniowo przekształcały się w coraz głośniejsze, pełne oburzenia. Nie dawało to żadnego efektu. Radziecki funkcjonariusz nie denerwował się, lecz spokojnie stwierdzał, że zapisze tyle, ile naliczy, a ojciec może krzyknąć, ile zechce.

Ojciec na chwilę zaniemówił, zabrakło mu słów. Następnie jeszcze bardziej wzburzony zbladł i ze słowami *smatritie kakije eta pczioły*2, wbiegł na teren pasieki. Po chwili puste ule zaczęły spadać z podstawek. Daszki odlatywały od nich na odległość kilku metrów. Byłem przerażony. Wydawało się, że wszystkie domki pszczele za moment znajdują się na ziemi, a my nie będziemy mieli ani pszczół, ani miodu. Mama stała biała. Nie wiedzieliśmy, co począć. Na szczęście ojciec pełnych uli nie ruszył, lecz wyprostował się wśród pobojuwiska i ponownie, na cały głos, zaczął krzyknąć: „*Widitie, kakije eta pczioły! Padajditie bliżie, pasmatritie charaszen`ka, da paszczitajtie jeszczio raz!*”3 Chyba dopiero po tym „argumentie” została wpisana faktyczna ilość uli.

W tym samym dniu braciszek Edek niechcący narobił problemów u dziadków. Był przypadkowo na tamtym podwórku właśnie w tym momencie, kiedy przyszedł ten sam urzędnik, by spisać stan posiadania. Na pytanie, ile jest drzewek owocowych i jakich, dziadek odpowiedział, że ma tylko jedną jabłoń, tak samo starą, jak on. Kilka młodych drzewek, posadzonych przez syna, jeszcze nie owocują i dla radzieckiego państwa nie mają żadnego znaczenia.

Urzędnik był odmiennego zdania. Stwierdził, że radzieckie państwo interesuje się wszystkim, a więc i własnością prywatną swoich obywateli. Należy policzyć dokładnie wszystkie drzewka, a najlepiej wykona to wnuczek, który ze względu na wiek będzie sumienny i bezstronny. Dziadek nie protestował.

Wnuczek, przejęty tak poważnym zadaniem, wyznaczonym przez dorosłych, z radością pobiegł liczyć drzewka. Nie było go długo. Przyleciał wreszcie zasapany i podał cyfrę kilkudziesięciu jabłoni i wiśni. Babcia z dziadkiem o mało nie zemdleli. Zadowolony urzędnik zaczął wpisywać dane do dokumentów. Stwierdził, że wnuczek liczyć umie, na pewno nie pomylił się i w odróżnieniu od dorosłych, władzy radzieckiej nie oszukuje.

Po kłopotliwych i trudnych wyjaśnieniach okazało się, że wnuczek starał się bardzo, biegał schylony pod wszystkimi drzewkami, dotykał każdego wyrastającego z ziemi pędu i dokładnie liczył. Pędów było bardzo dużo, szczególnie pod wiśniami. Wnuczek policzył wszystkie. Tym razem starszy dziadek musiał mozolnie tłumaczyć radzieckiemu, młodemu specjalście, że odrosty, które wyłazą z ziemi nie wydadzą owoców nawet w państwie komunistycznym.

Władza radziecka potrafiła z wyjątkową bezwzględnością mobilizować własnych obywateli do największego wysiłku na rzecz tzw. dobra wspólnego, kosztem indywidualnych potrzeb głodującego narodu. Tak jakby tego wszystkiego, o czym wspomniałem wcześniej, było mało, co jakiś czas w radiu ogłaszano decyzję rządu o rozpisaniu przez państwo kolejnej *dobrowolnej* pożyczki wśród ludności kraju, tzw. *zajomu*. Zawsze mocno podkreślano dobrowolność i spontaniczność ludności przy realizacji tego zadania. Już w następnych dniach w radiu tryumfalnie, wielokrotnie informowano, jak naród radziecki entuzjastycznie realizuje zamówienie rządowe.

Po takim komunikacie, przedstawiciele władzy docierali do wszystkich mieszkańców ogromnego kraju. Do mieszkania zawsze wchodziło kilku. Dyskutowano jedynie nad wielkością *dobrowolnej składki*. O tym, żeby nie płacić wcale, nie było nawet mowy. Chodziło jedynie o wytargowanie możliwie niskiej, kompromisowej kwoty, którą należało natychmiast uiszczyć.

Tylko jak było targować się i z kim? Żadnych tłumaczeń nie brano pod uwagę. To nie była rozmowa z jedną osobą. Słowny atak prowadziła kilkusobowa grupa. Mieli odgórnie wyznaczone zadanie do wykonania i twardo je realizowali. Używali różnorodnych argumentów, łącznie ze stwierdzeniami, że ci co nie chcą płacić, są wrogami państwa radzieckiego. Muszę też stwierdzić, że co najmniej jedna osoba podczas tamtych wizyt zawsze milczała, wstydliwie chowała wzrok. Była to nasza starszka nauczycielka, którą również zmuszano do uczestnictwa w *pracy* przedstawicieli radzieckich władz.

Podczas wizyt w rodzinach polskich padały ponadto stwierdzenia, że na pewno posiadamy zapasy z okresu przedwojennego i państwu radzieckiemu wyniszczonemu okropną wojną musimy pomóc. W zamian za przekazane pieniądze otrzymywano tzw. *obligacje*. W oparciu o nie kiedyś w przyszłości państwo miało pieniądze zwrócić.

28

Tragiczny bezsens nowego sposobu gospodarowania chyba najlepiej przedstawia metoda zbierania ziemniaków na kołchozowym polu w wykonaniu młodzieży szkolnej. Do pracy tej kierowano przeważnie uczniów szkół średnich, wychowanych w nowym systemie wartości. Na iluż lekcjach wpajano nam argumenty o wyższości systemu gospodarowania, który wymyślono po rewolucji październikowej, o wyższości nowych warunków życia. Prawie wszyscy uczniowie należeli najpierw do pionierów, a następnie do Komsomołu. Byli jednak i tacy, którzy pomimo systematycznie ponawianych propozycji, twierdzili uparcie, że muszą zastanowić się, że jeszcze nie są godni wstąpienia do wspomnianych organizacji, bo np. nie najlepiej się uczą. W naszej klasie co najmniej kilka osób również dość długo ociągało się z zapisaniem się do pionierów. Jeszcze większy opór stawiali na propozycję wstąpienia do Komsomołu. Nie wiem czy w tej grupce, prócz mnie, znajdował się jeszcze jakiś Polak. Narodowość nie miała żadnego znaczenia. Oporni byli również wśród Rosjan i Białorusinów. Najważniejsze, że zgodnie z obowiązującym programem szkolnym na lekcjach, na których istniał taki obowiązek, wszyscy zgodnie z zapisami w podręcznikach, chwalili osiągnięcia socjalizmu i nowego systemu. Reguły obowiązujące na lekcjach szły w zapomnienie podczas pracy na polu, gdy należało wykonać narzuconą odgórnie normę, przeważnie bardzo wysoką.

Jesienią, kiedy rozpoczynał się okres zbierania ziemniaków, zajęcia w szkole odbywały się sporadycznie. Większość czasu przebywaliśmy na polu. Do bliższych kołchozów chodziło się pieszo, do położonych dalej uczniów dowożono ciężarowymi samochodami. Dość często byliśmy na polu przed kołchoźnikami i wtedy cieszyliśmy się każdą chwilą opóźnienia w wyoraniu bruzd.

Prace tę wykonywali kołchoźnicy konnymi pługami, spokojnie, bez pośpiechu. Widocznie powolna praca sprawiała im również przyjemność. Może właśnie podczas takiej pracy powstało popularna przyśpiewka:

*- A u kauhasie dobra žyc`
Adzin robic` siem liažyc`,
a jak sonca prypiacze,
dyk i hety uciacze1.*

Do wyoranych i odwróconych skib ustawiali się uczniowie. Na każdego przypadał jeden rząd. W momencie rozpoczynania prac, jako reguła, końca bruzdy nie dało się ujrzeć. Przeważnie znajdował się daleko, za jakimś pagórkem lub większym wzgórzem. Pracowało się łatwiej i lżej, jeżeli widziało się koniec bruzdy i było wiadome, że po jej zakończeniu nie zajdzie konieczność rozpoczynania następnej.

Mieliśmy obowiązek zbierać i wygrzebywać ziemniaki z gleby częściowo spulchnionej i lekko odwróconej pługiem. Wolno i w miarę dokładnie wykonywaliśmy tę pracę jedynie na odcinku pierwszych kilku metrów. Następnie zainteresowanie płodami ziemi wyraźnie malało, a prawie wszyscy, jak złodzieje, zaczęli rozglądać się po bokach. Po stwierdzeniu, że nikogo z władz kołchozowych w pobliżu nie ma, przystępowaliśmy do pracy ulepszoną metodą. Polegała na tym, że odwracając ziemię w poprzednim kierunku i wyrównując pole, dążyło się do przysypania jak największej ilości kłębów, aby ich jak najmniej pozostało na powierzchni. Niestety te, których nie udało się schować pod ziemię, należało zebrać do koszyka. Im więcej kartofelek trafiało z powrotem do ziemi, tym praca była lżejsza i łatwiejsza. Koszyk napełniał się na dłuższym odcinku. Rzadziej dźwigało się go do odległego wozu lub traktorowej przyczepy.

Najodważniejsi uczniowie potrafili pokonywać znaczne odległości, przestawiając ciągle lekki koszyk z kilkoma ziemniakami na dzień. Nawet przy tej metodzie, długi dzień pracy ze zgiętymi plecami do przyjemności nie należał. Najbardziej męczyli się ci, którzy byli mniej odważni, u których zasypywanie zdarzało się sporadycznie i przypadkowo. Po zakończeniu prac najbardziej cieszyli się ci, którzy w ziemi zostawili ziemniaków najwięcej. Wyrzutów sumienia nie mieli nawet tacy uczniowie, którzy pełne kosze zamiast dźwigać do wozu, potrafili czasami wysypać z powrotem do bruzdy i natychmiast przykryć ziemią. Niektórzy nawet w ten sposób ułatwiali sobie pracę. Zawsze odważniejsi byli Białorusini i Rosjanie. Więcej zasypywali chłopcy, niż dziewczyny.

Po przybyciu na pole, z niepokojem przyglądaliśmy się wyoranym ziemniakom. Cieszyliśmy się, jeżeli nie wyrosły i było ich mało. Ziemniaki małe, szczególnie w piaszczystej glebie, zasypuje się łatwo, bez specjalnego wysiłku. Znacznie gorzej pracowało się w przypadku dobrego urodzaju. Takie sytuacje również miały miejsce. Ziemia, nawet kołchozowa, czasami wydawała ładne plony. Byliśmy wtedy zawiedzeni

i rozgoryczeni. Ładne, duże ziemniaki zasypywać znacznie trudniej niż małe, niewyrośnięte.

Zawsze z nami na polu byli wychowawcy klasowi, ale woleli nie oglądać naszej pracy. Zostawali daleko z tyłu, byli zajęci rozmowami i udawali, że niczego nie zauważają. Kierownictwo kolchozów również „nie widziało”, że znaczne ilości ziemniaków, zamiast na wozy, trafia z powrotem do ziemi. Jedynie czasami jakiś nadgorliwy brygadzysta przechodzący w poprzek pola zwracał uwagę, że zbieramy niedokładnie i na tym wszystko się kończyło.

Wszyscy wiedzieli o naszym sposobie pracy, a mimo to nikt skutecznie nie interweniował. Dlaczego pozwalano na takie marnotrawstwo? Odpowiedź jest prosta i łatwa. Kierownictwu kolchozów nasza metoda pracy również odpowiadała. Byli rozliczani z „hektarów”, a nie z wydajności. Ocenie podlegała ilość hektarów „wykopanych” w danym dniu, tygodniu. Ważne było, który kolchoz pierwszy zamelduje o *zakończeniu* prac w całości. Kierownictwo takiego *przodującego* kolchozu otrzymywało nagrody i premie. Słaby urodzaj był *stichijnym bedstwijem*, a przecież na przyrodę jeszcze nikt nie miał wpływu. Chociaż z lekcji botaniki wiedzieliśmy iż jest wielki uczonec - Miczurin, który zapowiedział, że pomarańcze będą rosły na Syberii.

Nasza „praca” najbardziej cieszyła kolchoźników mieszkających w pobliżu. W nocy, z motykami i koszykami, przychodzili na to samo pole i uzupełniali własne zapasy. Takie nocne wykopki nie należały do bezpiecznych. Z kolchozowego pola nie wolno było zbierać żadnych płodów, nawet gdyby miały zmarnować się.

Jeden raz, nie pamiętam z jakich powodów, na wykopkach nie byłem. W następnym dniu, podczas lekcji fizyki, wszedł dyrektor do klasy. Wyczytał z listy tych, którzy w poprzednim dniu nie byli na polu i poprosił do wyjścia. Ze wszystkich klas zebrała się spora grupka „podpadziochów”. Kazano nam siadać do ciężarowych samochodów, a następnie zawieziono wszystkich na odległe kolchozowe pole.

Samochody odjechały, a nam pokazano zakres prac. Tym razem bruzdy nie były zbyt długie, ale pracy wystarczyło do wieczora. Nikogo nie obchodziło, że nie mieliśmy ze sobą żadnego jedzenia, że nikt w domu nie wiedział dlaczego nie wróciliśmy na czas po lekcjach, że nikt nie był ubrany do pracy na polu. Była to nauczka dla wszystkich i od tamtego czasu podobne sytuacje, w takiej skali nie powtórzyły się.

Na polu kolchozowym pracowałem nie tylko przy wykopkach ziemniaków. Razem ze szkołą byłem też na zbieraniu kukurydzy. Jakies tam silosokombajny, zbyteczny wynalazek kapitalistów, w radzieckiej rzeczywistości nie były potrzebne.

Do sprzątania kukurydzy, najlepiej skierować uczniów szkoły średniej z ostrymi nożami, sierpami lub innymi narzędziami do cięcia. *Posłuszną* młodzież, ustawiano w długim szeregu na skraju ogromnego pola. Z jakiegoś niewielkiego wzgórza, rozpościerał się widok na ogromną, zieloną przestrzeń. Przetaczały się po niej łagodne fale. Przystępowaliśmy do pracy, a raczej do ataku na zielony łąn, stawiający bierny opór. Każdy uczeń w swoim rzędku wycinał kolejne rośliny i przerzucał za siebie. Dorodne pionowe pędy, jeszcze przed chwilą wystawiające beztruosko swoje czubki do słońca, padały bezgłośnie pod mocnymi uderzeniami lub zdecydowanymi cięciami ostrych narzędzi. Przerzucane chaotycznie do tyłu, za uczniowską tyralierę, układały się

na ziemi poziomą, bezładną masą. W żaden sposób nie przypominały teraz pozostałej części łąnu nadal spokojnie falującego na łagodnym wietrze.

Następnie, na tę „zieloną masę” wjeżdżały wozy konne i ciągniki z przyczepami. Do pracy przystępowali kołchoźnicy. Jakąś część kukurydzy faktycznie udawało się załadować na wozy lub przyczepy. Pozostałe pędy, połamane, zgniecione i zmiążdżone ciężkimi kołami, zostawały na polu wtłoczone w ziemię.

Gdy zbliżał się wieczór, widząc bliski koniec zmagania uczeniowska tyraliera przyśpieszała, zwiększała tempo natarcia. Każdy starał się ścinać szybciej, spoglądając na kolegów po lewej i prawej stronie. Tamci również przyśpieszali. Wszyscy dążyli do mety. Każdy pragnął pierwszy skończyć swój rząd, tak jakby czekała za to nagroda lub miejsce na podium zwycięzców. Wkrótce po szumiącym, zielonym łąnie zostawało jedynie wspomnienie. Teraz wystarczało wyprostować plecy, odwrócić się i z dumą obejrzeć powalone, pokonane pędy, świadczące o potędze kolektywnej pracy.

Trafiłem też raz, późną jesienią, na „wybieranie” buraków pastewnych w jakimś odległym kołchozie. Brygadzysta, w szarej kufajce i zimowej uszance, zaprowadził na pole. Pokazał rosące buraki, stwierdził, że mamy je wybierać i składać na stertę, a sam prawie natychmiast zniknął.

Było wyjątkowo zimno. Jesienny wiatr hulał beztrąsko po ogromnym polu, nie napotykając żadnych przeszkód w postaci budynków, drzew lub krzaków. Gleba, nasączona ciągłymi deszczami, stała się mokra i śliska, a jednocześnie pozostawała związłą i twardą, ponieważ od dawna nikt jej nie ruszał, nie próbował spulchnić żadnym narzędziem.

Nie wiem dlaczego, lecz na tym polu znalazła się jedynie nasza klasa. Pozostali uczniowie poszli gdzie indziej. Wspólnie z nami została nauczycielka, opiekunka klasowa. Biedna, chyba nie przewidywała, na jakie wygwizdowo trafimy. Na nogach miała buciki, wystarczające do spacerów po miejskich płytkach chodnikowych, a żałośnie wyglądające na jesiennej, mokrej glebie. Lekka kurteczka i podwiewana wiatrem sukienka dopełniały jej strój. Ta wychowawczyni młodego pokolenia albo nie zdawała sobie sprawy, gdzie i po co jechaliśmy, albo żadnego innego ubrania nie miała.

Druga wersja prawdopodobnie jest bliższa prawdy. Czy młoda nauczycielka szkoły średniej musiała kupować kołchozowe, ciężkie gumowce na swoje drobne, małe nogi? Czy potrzebna jej była watowana kufajka, zakrywająca wdzięki kobiece? Kupowała i chodziła w tym, co było niezbędne do pracy w szkole, w ciepłej klasie, co w miarę możliwości spełniało skromne wymagania gustu i mody.

Do pracy nie mieliśmy żadnych narzędzi. Próby wygrzebywania buraków rękoma nie dawały żadnego efektu. Kruche, słabe liście obrywały się i łamały przy najłagodniejszym pociągnięciu. Chodziliśmy po polu bez sensu i celu, z końca w koniec. Od czasu do czasu ktoś ręką lub nogą próbował wydłubać rosące warzywo. Trudno powiedzieć, czy był to przyływ patriotyzmu i chęć dostarczenia dla kołchozu dodatkowej paszy na zimę, czy odruch samozachowawczy, bo przecież złe gospodarowanie odbijało się na poziomie życia wszystkich. Widocznie rodziło się pragnienie uratowania tamtych nędznych roślin przed mrozem i śniegiem.

Może w tym momencie przypomniał się komuś wiersz z obowiązkowej lektury szkolnej, o okropnej doli rosyjskiej wsi w okresie poprzedzającym rewolucję. Z końcowych fragmentów wiersza wynikało, że schorowany wycieńczony chłop nie ma sił na zebranie plonu. Jak wspaniale ten wiersz pasował do rzeczywistości kolchozowego pola. Jak rażąco odbiegał od wizji szczęśliwej, socjalistycznej ojczyzny, tak pięknie opisywanej w prozie, opiewanej w wierszach i piosenkach.

*„Pozdnieja osień. Griaczi uletieli.
/Późna jest jesień. Gawrony odleciały/
Les obnażilcia. Pala opustieli.
/ Las się obnażył. Pola opustoszały/
Tolka nie zżata pałoska adna
/Jedynie nie zżęty zagonik jeden/
Grustnuju dumu nawodit ana
/ Smutne myśli nasuwa /
Kazietsia szepczut kałosja druh druhu
/Wydaje się, że szepcze kłosek kłoskowi/
Skuszná nam słuszat’ asienniuju wjuhu .
/Smutno nam słuchać jesienną wichurę/
Skuszná zginacca do samaj ziemi
/Smutno się schylać do samej ziemi/
Tucznyje ziorna kupaja w pyli...
/Jędrne ziarenka kąpać w pyle/*

Krótkie minuty zamieniały się w długie godziny, ale nawet udawanej pracy, tak jak na polu ziemniaczanym, nie było. Wiejący nieustannie wiatr sięgał wysoko i pędził nad nami ciężkie, ołowiane chmury, zapowiadając nadchodzącą zimę.

Wieczorem, zmarznięci i wygłodzeni, przyszliśmy do wsi w wyznaczone miejsce, gdzie miał czekać samochód. Władze kolchozowe wiedziały, że na polu nie zrobiliśmy nic. Nie było z tego powodu żadnych pretensji i uwag. Ktoś stwierdził, że rozwiązania żadnego nie ma. Buraki zostaną na polu i zamarzną. Następnie przyjechał samochód i odwiózł nas do Stołpiec, pod szkołę.

Ileż razy słyszałem od ojca, że całym rolnictwem, w tym i kolchozami przeważnie kierowali osoby nie mające żadnego pojęcia na ten temat. Centralnie ustalone plany o ilości hektarów, które należało obsiać poszczególnymi rodzajami zboża, zasadzić określonymi roślinami, w żadnym stopniu nie uwzględniały warunków przyrodniczych poszczególnych miejscowości i gospodarstw.

Nauczyłem się na pamięć słów i wiedziałem, że z każdą minutą wypowiedzi ojca będą mocniej przepełnione gniewem, kiedy zacznie mówić, że sadzono buraki cukrowe, wysiewano pszenicę i kukurydzę na glebach najniższych klas, które najbardziej nadawały się pod sosnowy las, a nie pod uprawy rolnicze. Powtarzał, że polecenia odgórne wykonywano. Nie było dyskusji. Za nie wykonanie odgórnych planów można było trafić do więzienia, a za to, że nie urosło, nikt nie odpowiadał. Ponownie było „*stichijnoje biedstwije*” - klęska żywiołowa.

Takie wypowiedzi ojca miały miejsce zawsze, kiedy w wolnych chwilach przypominał sobie o tamtym okresie. Denerwował się przy tym coraz bardziej, zmieniał się na twarzy, na zakończenie słyszałem znów: „Boże, mój Boże! Jaka szkoda, że wy na

ten temat nic nie wiecie. Całe młode pokolenie nic nie wie!” Potem był chwila ciszy i ojciec wychodził z mieszkania, bardzo często za stodołę na swoje pole.

Kołchoźnicy, teoretycznie na koniec tzw. roku obrachunkowego, mieli otrzymywać zapłatę w naturze, przeważnie w postaci zboża. W państwowych środkach informacji, tj. w radiu i gazetach, szczególnie na początku roku pojawiały się informacje, że w przodujących kołchozach kołchoźnicy tylko w postaci przedpłaty otrzymali po kilka kilogramów zboża na każdą dniówkę. Nie było jednak informacji, że pod koniec okresu tą zaliczkę rozliczali na cały rok i przeważnie na tym wszystko się kończyło. O pozostałych kołchozach nawet nie wspominało się, a tam nic nie dawali. Tam mówili - wasze zostało na polu.

W rezultacie, przez cały okres pracy w kołchozie, do momentu wyjazdu do Polski w 1958 roku, żaden z kołchoźników naszej wsi nic nie zarobił. W ten sposób powstał problem wyżywienia. Jednak w naszej rodzinie głodu nie było. Całą przydomową działkę, łącznie z byłym podwórkiem zasadzono ziemniakami. Na najlepszych kawałkach ziemi znalazło się miejsce na warzywa, takie jak: fasola, buraczki czerwone, groch, kapusta, ogórki.

W tym okresie ziemniaki stały się głównym artykułem spożywczym. Najczęściej spożywano je ugotowane, potłuczonej a następnie zalane drobno pokrojoną i usmażoną słoniną - skwareczkami. Całość, dokładnie wymieszana przez mamę, stawała w dużej misce na środku stołu. Rodzina siadała wokół stołu i każdy rozpoczynał jedzenie. Największą radość przeżywało się wtedy, gdy w łyżce prócz ziemniaków znalazła się skwareczka. Rodzice nie pozwalali na *grzebanie* w ziemniakach. Należało brać wszystko „po kolei”, tak jak zostało nałożone - przy takiej metodzie nie tak łatwo było natrafić na tą wymarzoną skwareczkę.

Wspaniałą okrasą do ziemniaków stały się kiszzone ogórki lub zsiadłe mleko. Ogórek był podstawowym dodatkiem do ziemniaków nie tylko w naszej rodzinie. Kiedyś wieczorem jakaś sąsiadka w trakcie rozmowy opowiadała o swojej znajomej. Stwierdziła, że na zimę nie zrobiła zapasu ogórków i teraz rodzina będzie zmuszona jeść same ziemniaki, bez żadnych dodatków. Byłem obecny przy rozmowie, ale ojciec przypominał słowa sąsiadki nie jeden raz, sądził że zapomniałem.

O tym, że ziemniaki są najbardziej wartościowym artykułem spożywczym, dowiedziałem się również na jednej z lekcji, już w szkole średniej. Nasza *uczcielnica*² podawała informacje o ilości witamin, tłuszczu, białka i innych mikroelementów znajdujących się w różnych owocach i warzywach. Na końcu wymieniła ziemniaki i stwierdziła, że jest to nieocenione, wspaniałe warzywo i... *pabolszje na kartoszku nazimajtie* ³. Bez żadnych wątpliwości, w tamtym okresie zarówno dorośli, jak i młodzież w wieku szkolnym, różne owoce południa mogła oglądać tylko na obrazkach.

29

Kartoszki w naszej rodzinie nigdy nie brakowało. Inni mieszkańcy wsi też głodu nie cierpieli. Ojciec twierdził, że kierownictwo kołchozu zmieniało się kilkakrotnie, ale nie byli to źli ludzie, chociaż przeważnie na rolnictwie nie znali się. Problem polegał jednak na tym, że w okresie wcześniejszym, przed nastaniem kołchozów, w każdym domu był też chleb, było go pod dostatkiem. Po nastaniu kołchozów zdobycie każdego

bocheneczka stało się problemem trudnym do opisania. Chleb stał się niedostępny, szczególnie dla mieszkańców wsi pięknie nazywanych po rosyjsku *chlebarobami*.

Produkt ten sprzedawano w czterech sklepach w Stołpcach. To były sklepy!!! Dwa mieściły się w drewnianych budkach, na pewno większych od dzisiejszych kiosków z gazetami. W tych dwóch miejscach, pierwszeństwo w zakupach mieli pracownicy. Osoby z zewnątrz musiały stać i spokojnie czekać w kolejce. Czasami dla nich kilka bochenków zostawało.

Mieliśmy jeszcze dwa sklepy, znacznie większe od poprzednich. Tam wszystkich traktowano jednakowo. Tam nie było osób uprzywilejowanych. Ku wygodzie kupujących, gdy przywożono chleb, do środka nikogo nie wpuszczano. Sprzedawczynie podawały pojedyncze bochenki przez specjalne okienko w drzwiach, a więc wszyscy byli równi, nie było kumoterstwa, znajomych.

Mijało kilkadziesiąt minut od momentu dostarczenia chleba. Przed drzwiami wejściowymi robiło się luźno. Sprzedawczynie je otwierała. Do środka jednak nikt nie wchodził. Oznaczało to, że chleb sprzedano, a innych artykułów w sklepie nie było. Kolorowej atrapy, w postaci przekrojonej kiełbasy, nikt nie potrzebował.

W tamtych czasach, w każdym spożywczym sklepiku, na wystawie, za oknem leżały piękne okazy różnych kiełbasek ...drewnianych. Oczywiście nikt ich nie kupował, ale prawdziwych tam też nie było. Tego wynalazku, tak samo jak braku chleba, w żaden sposób nie mógł zrozumieć nasz stryjek, który przyjechał raz z Polski i próbował zapoznać się z warunkami, w jakich żyjemy.

Kiedyś wracałem z kolegami ze szkoły. W pewnym momencie zobaczyliśmy kilka osób z chlebem. Nie było wątpliwości. Chleb *dawali* w sklepiku zakładowym *Zagodzierno*, tj. w punkcie odbioru zboża. Ten, który pierwszy zauważył chleb, pod pachą szczęśliwego nabywcy, głośno krzyknął: *chleb dajut!* Bez zbędnych komentarzy, wyruszyliśmy biegiem w tamtym kierunku. Każdy miał nadzieję, że może uda się dokonać niespodziewanego zakupu, sprawić radość sobie oraz miłą niespodziankę domownikom.

Biegliśmy jak na wyścigach, gdzie na zwycięzcę czeka nagroda. Pod nogami była piaszczysta droga, jeszcze wilgotna po obfitych deszczach, w rękach ciężka teczka z książkami, która wyraźnie przeszkadzała. Przede wszystkim przeszkadzali inni uczestnicy wyścigu przepychający się bezpardonowo do przodu. Zwarta na początku grupka rozciągnęła się. Każdy pragnął być pierwszy. Nie byli to już koledzy, lecz rywale biegnący po trofeum. Na tym etapie liczył się tylko silniejszy, bardziej wytrzymały. Pierwszy miał nadzieję zdążyć po ostatni bochenek. Ten, który został na końcu mógł mu jedynie zazdrościć.

W pewnym momencie, na odcinku kilku metrów, nieoczekiwanie na drodze znalazło się jakieś gruzowisko wysypanych potłuczonych cegieł i śliskiej gliny. Wszystko było rozjeżdżone żelaznymi kołami wozów konnych. Może ktoś mnie popchnął, może sam pośliznąłem się i straciłem równowagę. Upadłem na rękę i kolano, którym mocno uderzyłem w wystającą cegłę. Rywale pobiegli dalej. Żadnej szansy kupienia chleba już nie miałem, a mocny ból zmusił do powolnego kuśtykania.

W domu obejrzałem zranione kolano. Nie wyglądało groźnie. Powierzchniowy ból występował jedynie podczas próby zginania nogi i w momencie dotyku nogawką spodni. Nikomu nic nie mówiąc, znalazłem jakąś czystą, białą szmatkę i ranę przewiązałem. Jakimś cudem trzymała się w tym miejscu przez kilka dni. Niestety ból nie ustąpił, a nasilił się i tego faktu przed rodzicami ukrywać dłużej nie mogłem.

Podjęto próbę odbandażowania nogi. Szmatka wrosnięta w ranę, trzymała się mocno. Kolano było spuchnięte, a pod moim opatrunkiem zaczął się tworzyć wrzód. Po długim moczeniu w ciepłej wodzie, udało się wreszcie oderwać szmatę. Następnie, bez większych kłopotów, rana zaczęła szybko się goić pod wpływem niezastąpionych okładów z szerokich, zielonych liści „babki” posmarowanych gęstą śmietaną.

Było to dawno. Czasami zastanawiałem się, czy to mi się śniło, czy może wymyśliłem tamten wyścig po chleb? Może wymyśliłem, może wyśniłem, lecz okrągły znak po zdartej skórze na kolanie istniał jeszcze długo.

Do kolejki po chleb szliśmy przeważnie we dwójkę. Te obowiązki spadały na ojca, na mnie i Edka. Najczęściej ja z Edkiem lub z ojcem, czasami ojciec z Edkiem. Dwie osoby miały większą szansę „utrzymać się” w kolejce, zwłaszcza bezpośrednio przed okienkiem sklepowym. Słabsi, a więc bardzo młodzi i starsi nie zawsze mogli dotrzeć w kolejce do końca i czasami ją opuszczali. Dość często tuż przed okienkiem. Czasami przepuszczały przed sobą innych, przeważnie znacznie silniejszych.

Po chleb chodził również nasz dziadek. Staruszek, który całe życie orał i siał, który zbierał plony na swoim polu, któremu nie zabrakło nigdy żyta na własne potrzeby lub pszenicy, na świąteczne wypieki, został zmuszony chodzić do Stołpiec z nadzieją, że przyniesie chociaż jeden bochenek razowca. W odróżnieniu od wnuków nie cieszył się nawet wtedy, gdy po długim oczekiwaniu w kolejce, wracał do domu z ciepłą cegielką ciemnego chleba. Może torba przewieszona przez ramię nadmiernie ciążyła, a może ciągle nie mógł uwierzyć jakie *szczęście* przyniosły radzieckie kołchozy. Teraz nasz staruszek prawie nie odzywał się i obojętnie spoglądał gdzieś daleko w przestrzeń, przed siebie, szczególnie kiedy wracał z pustą torbą. Widocznie myślnie znajdował się ponownie w latach dawno minionych.

Po chleb chodziliśmy latem. Pragnęliśmy zdobyć go również zimą, chociaż był śnieg, mróz i okres ferii. Niestety, wolny czas wypadało wykorzystać nie tylko na narty i wesołe zabawy.

Pewnego wieczoru ponownie zapadła decyzja - rano wyruszymy po chleb. Z chęcią lub bez niej, lecz wcześniej poszliśmy spać. Pomimo to, noc wydała się krótka. Nie zdążyłem się wyspać, nie zamierzałem jeszcze oczu otwierać, jak usłyszałem stanowczy głos ojca. Twierdził, że jeżeli chcemy żyć, to należy wstawać, że spanie niczego nam nie da. Ciepłą pościel i miękką, przytulną kołdrę musiałem opuścić, wysunąć się na zewnątrz, gdzie zaczynał się poranny chłód.

Naftowa lampa wisząca na ścianie rozświetlała pokój, a jej żółty płomyk odbijał się wielokrotnie migającym blaskiem w zamrażniętych, okiennych szybach. Zegarek wskazywał, że zaledwie minęła czwarta, lecz szansy na powrót do łóżek nie było. Wiedzieliśmy, że musimy iść, innego wyboru nie mamy. Edek również, chociaż mógł mieć wtedy nie więcej jak dwanaście lat.

Po krótkim śniadaniu znaleźliśmy się na podwórku¹. Nie było tak ciemno, jak wydawało się po przebudzeniu. Zimnym światłem migotały gwiazdy. Biały śnieg oświetlony wielką tarczą księżyca rozpraszał mrok. Z ust wydobywały się kłęby pary, które szybko znikwały w czystym, wymrożonym powietrzu. Poprzez skrzypiącą, zmrożoną bramkę wyszliśmy na ulicę. Potem skuleni, tak jakby od tego było cieplej, skręciliśmy w kierunku Stołpiec. Staralem się oddychać nosem, zgodnie z zaleceniami fachowców. Nie jest to łatwe, przynajmniej w pierwszej fazie zetknięcia się z mroźnym powietrzem. Nos protestuje natychmiast przeciwko takiej teorii. Dosłownie zamaraża i należy go od razu rozcierać, a usta przesłaniać wełnianą rękawiczką, przez którą może nie oddycha się łzej, lecz powietrze się lekko ogrzewa. Wkrótce stwierdziliśmy, że należy rozcierać policzki.

Po jakimś czasie organizm się oswajał. Oddech stawał się równomierny, nie czuło się chłodu. Mogliśmy zwiększyć tempo. Ruch rozgrzewa, a idąc szybciej, wcześniej znajdziemy się przy sklepie i staniemy na czele kolejki z większą szansą na udane zakupy. Ledwo nadążając za ojcem nie zakłócaliśmy nocnej ciszy żadną rozmową. Jedyne skrzypienie śniegu pod butami stanowiło akompaniament do uroczego spokoju i niepodzielnego panowania zimy. Oglądaliśmy się czasami za siebie, pragnąc sprawdzić czy ktoś ze wsi prócz nas również podąża za chlebem.

Zdecydowaliśmy, że tym razem naszym celem będzie sklep przy stacji kolejowej. Tam nie ma grup uprzywilejowanych. Tam chleb sprzedaje się wszystkim kolejno. Będziemy więc mieli największą szansę. Nadzieja na kupienie trzech bocheneczków napawa optymizmem.

Droga przez las szybko została za nami i wkrótce kroczyliśmy pustymi ulicami miasta. Zbliżyliśmy się do stacji, przed nami sklep. Niestety, nie jesteśmy wśród pierwszych. Ustawił się tam luźny rząd szarych, milczących postaci, przygarbionych i wtulających głowy w ramiona. Ciszę narusza głośnie przytupywanie. Przytupują prawie wszyscy, a najbardziej tamci przy drzwiach wejściowych, na początku kolejki. Stoją najdłużej, mróz już zdołał przedostać się poprzez buty, rękawice i ciepłe kufajki. Właśnie oni, najczęściej wychodzą lekko na bok, a potem mocno wymachują rękoma i uderzają ramionami oraz dłońmi o siebie, jakby się chcieli objąć. W miarę upływu czasu, takie ćwiczenie wykonuje coraz więcej osób. Jest to wypróbowana, najlepsza metoda rozgrzewania rąk.

Staliśmy na końcu. W ciągu kilku pierwszych minut z tyłu, za nami nie było nikogo. Różnimy się od tych z przodu, ponieważ jeszcze nie tupiemy, a jesteśmy podobni, bo tak samo z naszych ust wydobywają się kłęby pary. Stoimy, rozglądamy się wokół bez entuzjazmu i zainteresowania. Wspomagając blade światło zimnego księżyca mrok rozświetla pobliska latarnia. Jasno jest po przeciwnej stronie torów, na dworcu kolejowym. Panuje tam cisza i spokój. Nie ma żadnego ruchu.

Do świtu jest wciąż daleko. Na przywiezienie chleba będziemy musieli poczekać. Tak wczesną porą nie przywozili go nigdy. Kiedy to nastąpi, o której godzinie i czy na pewno, tego nikt nie wie. Próbuje policzyć osoby przed nami. Staram się zgadnąć, ile bochenków chleba przywożą i czy nam wystarczy. Wesoło nie jest. Przybywa osób z tyłu, ale dochodzą i z przodu. Twierdzą, że ustawili się w kolejce wtedy, gdy ci na końcu spali.

Czas płynie wolno. Być może przyczyną jest duży mróz, albo dlatego, że stoimy wciąż na ulicy. Może tak jest tylko z tego powodu, że nie mamy żadnego zajęcia. Stoimy i czekamy. Długie minuty bezczynnego stania powodują, że mróz zaczyna *dobierać się* również i do nas. Marzną ręce, zimno jest w nogi, a więc przytupujemy co raz mocniej i częściej. Przytupuje cała kolejka. Głuche uderzenia zmarzniętego obuwia o twardą, wymrożoną ziemię nasilają się bardziej, kiedy gasną nieliczne latarnie, a niebo po wschodniej stronie rozjaśnia się, zapowiadając, iż wkrótce spoza niskich dachów wysunie się słońce w postaci wielkiej, czerwonej tarczy. *Znawcy* twierdzą, że teraz będzie najzimniej.

Nieoczekiwanie w kolejce rozpoczyna się ruch. Osoby stojące z tyłu zbliżają się do tych z przodu. Ktoś próbuje odnaleźć swoje miejsce. Ktoś inny wykorzystuje szansę i w zamieszaniu wciska się do kolejki, pomimo, że wcześniej tam go nie było. Wreszcie stoimy ciasno jeden za drugim. To jest przekonujący dowód, że wkrótce chleb przywiozą. Teraz jest całkiem widno. Ciemna noc oraz wczesne wstawanie zostało wspomnieniem.

Ze wzrastającą napięciem spoglądamy wzdłuż ulicy, szukamy potwierdzenia, że wreszcie chleb wiozą. Pragniemy ujrzeć buchający parą koński łeb oraz drewnianą skrzynię na wozie z wielkimi rosyjskimi literami, składającymi się w zaczarowany wyraz: „CHLEB”. Wsłuchujemy się w ciszę i pragniemy usłyszeć głośny turkot samochodu z takim samym wielkim napisem. Jeśli chleb przywiozą samochodem, będzie go więcej? Będziemy mieli większą szansę kupienia? Najgorsze jest to, że jesteśmy daleko, prawie na końcu kolejki. Pamiętamy, że chleba nie starczy dla wszystkich. Nie starczało go nigdy. Wiemy, że dużo osób odejdzie z pustymi rękoma. Pomimo to nie tracimy nadziei.

Czy wrócimy z chlebem? Czy dla nas wystarczy? Czy przerwanie snu o tak wczesnej porze nie pójdzie na marne? Jesteśmy we trójkę. W najgorszym wypadku niechby udało się kupić chociaż jeden bochenek. Edek w kolejce jest pierwszy. Może jemu wystarczy? Może będzie lepiej i ja też się *zalapię*? Jak wspaniale by było kupić trzy razowce.

A może wstaliśmy zbyt późno? Może szliśmy zbyt wolno? Szkoda, że mieszkamy daleko. Zazdrościmy mieszkańcom pobliskich domów. Ile to razy się zdarzyło, że do szczęścia zabrakło kilku bochenków. Czasami przy samym okienku, gdy trzymało się zaciśnięte w garści, odliczone pieniądze, usłyszało się od ekspedientki podającej ostatni bochenek osobie stojącej przed tobą: „*Chleba użie niet i siewodnia bolszie nie budiet!*”.

Może to żart, a może prawda, przekazywana szeptem najbardziej zaufanym, najbliższym osobom, o pewnej bardzo długiej kolejce przed jakimś sklepem spożywczym. Ludzie stali kilka godzin i cierpliwie czekali, pogrążeni we własne myśli. Wreszcie ze sklepu wyszedł kierownik, a potem głośno oświadczył, że chleba dla wszystkich nie starczy. Mogą pozostać w kolejce najlepsi synowie ojczyzny tj. uczestnicy rewolucji październikowej i wojny ojczyźnianej z Niemcami.

Tłum oczekujących wyraźnie się zmniejszył. Ci co zostali z większą nadzieją ustawili się w równiejszy rząd. Po następnych godzinach oczekiwania ten sam

kierownik ponownie wyszedł do ludzi i oświadczył, iż ci, co nie uczestniczyli w rewolucji mogą już odejść do domu. Chleba dla nich nie będzie. Dumni i szczęśliwi twórcy nowego porządku, tj. uczestnicy rewolucji stanęli w wyrównanym szeregu. Dopiero oni, w swoim własnym gronie, po następnych godzinach czekania w zaufaniu się dowiedzieli, że: „*Chleba niet i skora nie budiet*1.”

Nam takich informacji nikt nie przekazywał. Kolejka więc nie zmniejszała się, a rozrastała. Ze słabą nadzieją stawali niektórzy na końcu. Wzrastała ilość czekających na początku. Systematycznie przybywali tam nowi ludzie. Na uwagi czekających z tyłu nie reagowali wcale lub hardo odpowiadali, że stoją od nocy, gdy przed sklepem nikogo nie było. Pierwotne wyliczenia odległości od okienka, ustalenie ilości osób, które znajdowały się przed nami należało systematycznie korygować. Wiedzieliśmy, że nasze szanse co raz bardziej maleją.

Coraz częściej przelatywała przez głowę myśl, że niepotrzebnie wstało się tak wcześnie, że tak wspaniale było w ciepłej pościeli. Teraz marzną ręce i nogi, a na wspomnienia o łóżku zamykają się oczy i chce się spać. O jedzeniu lepiej wcale nie marzyć.

Nieoczekiwanie ktoś krzyknął, że wiozą chleb. To nie był żart. Takich słów na wiatr się nie rzuca. Oczekiwany powóz nadjechał. Ponownie ruch, szczególnie na początku kolejki i zamieszanie przed wejściem. Trwa zdecydowana przepychanka. Zbyt dużo jest chętnych pragnących udzielić pomocy podczas rozładunku. Zwyciężają najsilniejsi, których w kolejce nikt poprzednio nie widział, którzy nie czekali na mrozie. Przyszli teraz, od razu do pracy. Lubią pracować. Przy ich pomocy, jednostajnym strumieniem przechodząc z rąk do rąk chleb wędruje do sklepu na ladę. Stojący z przodu mogą policzyć bochenki.

Rozpoczęła się sprzedaż. Widzimy pierwszych szczęśliwców, którzy wolno wychodzą na środek ulicy trzymając chleb w obu rękach, przed sobą. Oczywiście najpierw z zakupami odeszli ci, co pomagali rozładowywać. Za moment będą w swoich mieszkaniach. Już się cieszą, a my nadal stoimy w tym samym miejscu. Kolejka nie drgnęła. Teraz kupują ci, którzy rzekomo stali od nocy.

Na początku kolejki nadal spory tłumek przepychający się w ciszy, bezpardonowo. Wszyscy chcą dotrzeć do otwartego, kwadratowego okienka w drzwiach wejściowych. Dopchać się do tego otworu. Złapać ręką za krawędź, zajrzeć do środka i upewnić się, że na ladzie są jeszcze ciemne, podłużne cegielki pachnącego chleba. Z uczuciem ulgi i podniecającej radości patrzeć na ekspedientkę, widzieć jej ręce, które sięgają po kolejną cegielkę chleba i podają właśnie tobie.

Do tego momentu bardzo daleko. Od okienka dzieli zbyt wiele osób. Chociaż stoją również inni, z tyłu za nami. Dodaje to otuchy, budzi nadzieję. Za nami ustawili się ci, którzy przyszli później i nie widzą szansy w przepychance przed okienkiem. Może nie mają siły, albo takich metod nie uznają, bo od czasu do czasu z tyłu, za nami pokrzykują głośno: „*Dierżiat` pariadok! Nie prapuskat` biez oczieriedi! Každij chleba chocziat!1*” Trudno zgadnąć, czy robią to dla uspokojenia własnego sumienia, czy dla rozgrzewki. Na pewno nie wierzą w skuteczność swego wezwania. Pokrzykiwanie niczego nie zmienia.

Ci, co są z przodu, *biez oczieredi* nie przepuszczają nikogo. Ustawieni jeden za drugim bezpośrednio przy ścianie muszą wytrzymać nacisk napierających od tyłu. Naciskają wszyscy. Nikt nie oszczędza się. Jeżeli ktoś nie może wytrzymać w tłoku, powietrza mu brak, to może próbować opuścić kolejkę. Powinien wiedzieć, że przed okienkiem ścisk będzie największy. Tam prócz nacisku od strony pleców będzie miał po jednej stronie ścianę, a z drugiej napór wszystkich tych, którzy próbują odzyskać rzekomo wcześniej zajęte miejsce.

Wciąż nowe osoby odchodzą z wymarzoną bochenkiem. Jesteśmy coraz bliżej celu. Wreszcie, pomalutku, schodek po schodku zbliżamy się do największego tłoku. Napieramy z całej siły na stojących przed nami z tyłu, na plecach coraz większy nacisk osób wdrapujących się na schodki i ustawiających się na długim, szerokim pomoście przed drzwiami wejściowymi z otworem, którego rozmiary pozwalają na przekazanie wymarzonego bochenka.

Od czasu do czasu pokrzykujemy głośno: „*Nie propuskat` biez oczieredi. Každyj chleba choczet`!*” i zwiększamy nacisk na stojących przed nami.

Co raz bliżej okienko. Z każdą chwilą większe napięcie. Czy kupimy? Ci, co są przed nami, wciąż odchodzą z chlebem. Jeszcze nikt nie liczy bochenków leżących na ladzie. Mamy nadzieję, że jest go dużo, wystarczy i dla nas. Lewą ręką, zgiętą w łokciu, zapieram się w plecy osoby stojącej przede mną. Staram się osłonić Edka. Niski, zaciśnięty między nami już chyba ledwo oddycha. Prawa ręka wystawiona do przodu, jest barierą dla napierających z boku. Przez rękę nikt nie przejdzie. Spróbuj ją lekko cofnąć, a natychmiast między tobą, a twoim poprzednikiem znajdzie się *pokrzywdzony*, którego wcześniej wypchnięto z *oczieredi*.

Wreszcie Edek dotarł do celu. Podaje pieniądze, dostaje chleb. Jestem tuż za nim. Nie wpuściłem nikogo i również mam w rękach ciepłą cegielkę razowca. Ojciec też nikogo nie wpuścił. Jest bezpośrednio za mną. Schyla się do kwadratowego otworu. Podaje pieniądze. Sięga po chleb. Spracowane dłonie czują wreszcie dotyk szorstkiej powierzchni, ciemnej zapieczonej skórki. Tak samo jak inni, chciwie wciąga do płuc duży haust powietrza, przesyconego apetycznym zapachem.

Teraz musimy wypchać się z naciskającego tłumu tak, aby przypadkiem nie zgnieść drogiego nabytku. Trzymając bochenek przed sobą, przytulając i osłaniając obydwoma rękoma powoli wypychamy się tyłem. Jest coraz luźniej. Uśmiechnięci i szczęśliwi stajemy poza tłumem. Cieszymy się. Spoglądamy szczęśliwi na siebie. Zdobyliśmy chleb. Mamy całe trzy bochenki. Przyniesiemy do domu smaczny, ciemny, razowiec. Opłaciło się wczesne wstanie z ciepłego łóżka. Nie żał zimowej drogi do Stołpiec. Nie pamiętamy już ani o długim czekaniu, ani ścisku w kolejce.

Po chwili nie było żadnego tłoku przed okienkiem sklepowym. Chleb się skończył. Zrezygnowany tłum zaczął się rozchodzić. Nam się udało. Kupiliśmy trzy bochenki!!! Pozostali odeszli z niczym. Tak już jest. Kto długo śpi, ten chleba nie je. *Kto ziewajet, tot wodu chlebajet.*1

Jeszcze przed wyruszeniem do domu zatrzymaliśmy się na moment. Ojciec śniegiem porozcierał zmarznięte nogi. Trwało to chwilę. Twarde, lodowate kryształki

natychmiast pobudziły krew do szybszej pracy, a droga do domu ostatecznie rozgrzała. Po udanych zakupach wracaliśmy szybko i wesoło. Rozpoczął się wspaniały dzień. Na błękitnym niebie nie było żadnej chmurki. Królowało zimowe słońce, odbijając się w zmrożonym śniegu tysiącami przepięknych czerwonych i zielonych iskier. Marzenie nasze spełniło się. Niesiemy ze sobą trzy smakowite bochenki. Mama będzie zdziwiona, a może tak samo szczęśliwa! Może już się domyśliła, że nie wracamy z pustymi rękoma i zaczęła gotować dla całej trójki swojskie, chude mleko. Ze świeżym, czarnym chlebem smakowało zawsze wspaniale. Do pełni szczęścia wystarczyło następnie dopiąć do nóg dwie długie narty i wyruszyć na zaśnieżone pola. Zmrożony, lśniący śnieg zapewniał cudowny poślizg.

W okresie wcześniejszym, tj. zanim nastały kołchozy, żaden mieszkaniec wsi nie wyobrażał sobie, jak mało trzeba do radości i szczęścia. Nikt nie pomyślał, że tak bardzo będzie się cieszył po kupieniu bochenka chleba. Z resztą nikt go na wsi nie kupował. Każda gospodyni piekła w domu, w swoim piecu. Chleba nie brakowało nigdy.

Jakże inaczej wyglądało wszystko po utworzeniu kołchozów. To już nie były problemy, to nie były kłopoty! Nastał czas prawdziwej walki o przetrwanie! Kołchoźników pozbawiono możliwości zarobienia pieniędzy, bo za pracę nikt im nie płacił. Nawet mając pieniądze, nie mieli możliwości kupienia ani chleba, ani mąki.

Znacznie łatwiej chleb się zdobywało w jakimś większym mieście, a najpewniej - w stolicy Białorusi, Mińsku. Ponownie mieliśmy szczęście. Do tego około milionowego miasta było zaledwie 70 km. Inni mieli znacznie dalej. Nie mieli też dogodnego połączenia. Mieliśmy *żeleznuju darogu* zbudowaną kiedyś *za carskich czasów*. Mieszkańcy naszych okolic jeździli tam po zakupy od czasu do czasu. Wyjeżdżało się rano, wracało późno wieczorem. W ciągu długiego dnia, odwiedzając kolejno sklep po sklepie, do wieczora, w większym lub mniejszym stopniu, udawało się worek napełnić. Po powrocie do domu dumni byli bohaterowie wyprawy, cieszyli się pozostali domownicy.

Do Mińska po chleb wybrał się kiedyś Edek razem z kilka lat starszym sąsiadem, Wackiem. Było lato. Rodzice musieli pracować na kołchozowym polu. Mnie obciążono obowiązkiem pilnowania młodszych braciszków i domu. Podróż zaplanowano dokładnie. Miała dać dobre efekty. Chłopcy do Mińska wyjechali w poprzednim dniu, z zamiarem przenocowania u ojca Wacka, który przeniósł się do Mińska. Tam pracował i podnajmował jakieś *miejsce do spania* w drewnianej chatce, na obrzeżach miasta.

Do Mińska dojechali prawie bez przygód, jeżeli nie liczyć ostatnich kilometrów drogi spędzonych na dachu wagonu². Takich jak oni było więcej. Na dach uciekli przed konduktorem sprawdzającym bilety. Zachciało się zaoszczędzić kilka rubli na *marozannoje*³ lub kino. W pozycji półleżącej, uczepieni kominków wentylacyjnych, nie wiadomo czego bali się więcej, konduktora, czy spadnięcia z dachu.

Chłopcy przenocowali w jakiejś szopie na sianie i z samego rana wyszli do miasta, w poszukiwaniu chleba. Zakupy były udane. Wracali ostatnim pociągiem.

Przyszedł wieczór. Niecierpliwie czekaliśmy na wyniki wyjazdu. Zastanawialiśmy się ile chleba przywiozą, czy opłaciła się podróż. Jeżeli po jednym

bochenku, to cały wyjazd nie miał żadnego sensu. Widzieliśmy, że niektórzy mieszkańcy wracają, z bardziej lub mniej obciążeni zakupami. Edka i sąsiada ciągle nie było. Mijały dalsze minuty. Już nikt nie szedł do odległej o 10 km Mikołajewszczyzny.

Zawsze podziwiałem tamte kobiety, a jednocześnie cieszyłem się, że mieszkamy tak blisko Stołpiec, szczególnie wtedy, gdy mama zapowiedziała, że pójdziemy razem na rynek. W tym czasie kiedy jeszcze spałem, pokonywały kilkukilometrową drogę przez las. Wczesnym rankiem, kiedy przecierałem zaspane oczy na widok słonecznego dnia, niezamordowane w kiluosobowych grupkach wielkimi krokami zdecydowanie podążały przez wieś, zostawiając w suchym piasku ślady bosych stóp.

Kobiety z Mikołajewszczyzny, tak jak i kołchoźnicy z Okinczyc, szły do odległego miasta nie tylko po to, aby pojechać do Mińska, po chleb. Dwa razy w tygodniu szły do Stołpiec, na rynek. W tamtą stronę niosły jakąś kurę lub gęś, a może kilka jajek. Z powrotem, jeżeli chleba nie było, nie miały co dźwigać, chyba że zarobione pieniądze.

Zaczęło wzrastać zdenerwowanie. (Nie pamiętam dlaczego nie wyszedłem na spotkanie. Może w tym czasie miałem jeszcze jakieś inne obowiązki.) Termin powrotu minął. Innego pociągu nie było. Na noc w Mińsku pozostać nie mogli, a na drodze ze stacji w Stołpcach zabłądzić nie sposób. Wreszcie prawie o zmroku zobaczyliśmy dwie sylwetki zbliżające się w naszym kierunku. Wrócili nasi bohaterowie zmoczeni, wytłani w błocie. Chleb również był mokry.

Taki był efekt skracania drogi. Gdy wyszli z pociągu zadali sobie to samo pytanie, które powstawało zawsze podczas powrotu do domu ze stacji: „Którędy idziemy? Okrężną trasą, tj. najpierw wzdłuż torów, czy prosto w kierunku lasu ścieżką wydeptaną wśród wysokiej trawy, po kładce przez rzeczkę?” Wybrali drogę na skróty przez łąkę, którą przed laty uciekali z radzieckiego transportu do lasu dziadek z mamą i wujkiem. Obaj zapomnieli, że padały obfite deszcze, w wyniku których rzeczka wystąpiła z brzegów i szeroko się rozlała.

Chłopcy uznali, że droga okrężna nie jest dla nich, tym bardziej, że kupili po kilka chlebów i mieli ciężkie worki. Wybrali kierunek na skróty przez rzeczkę, na której znajdowała się drewniana kładka, tj. szeroka gruba deska, przerzucona z jednego brzegu na drugi.

Wąska ścieżka wila się wśród wysokiej trawy. Teren się obniżał. Pod nogami robiło się mokro. Wreszcie na ścieżce zobaczyli wodę. Zdjęli buty, podwinęli nogawki. Humoru to im nie popsulo. Wesoło maszerowali dalej. W zagłębieniach ścieżki wody było coraz więcej. Więc któryś od niechcienia odezwał się głośno:

- „*Chyba nie przejdziemy. Może wracajmy?*”

Drugi stwierdził, że nie ma sensu tak daleko cofać się z ciężkimi workami i człapali dalej.

Rzeczulka była już blisko. Wreszcie do niej dotarli. Woda nie mieściła się w korycie. W niektórych miejscach, płynęła skrajem łąki. Kładka, przytwierdzona do gruntu jakimś kołkami, znajdowała się na swoim miejscu. Woda sięgała do deski. Chwilę zastanawiali się. Czy potrafią przejść? Jest głęboko. Może lepiej wracać? Wracać? Tak daleko!? Przecież do drugiego brzegu bliżej! Nie poszli z powrotem.

Weszli na kładkę. Jeden za drugim... Deska ugięła się i coraz mocniej zanurzała się w wodzie w miarę, jak zbliżali się do środka. Wartki strumień wody przepływał z szumem pod deską i nad nią, obok bosych stóp.

Drugi brzeg zbliżał się zbyt wolno i nerwy idącego z przodu nie wytrzymały. Przyśpieszył, zrobił dłuższy krok. Kładka zachwiała się mocniej, wytrącając z równowagi idącego z tyłu. On chwilę balansował, wystawiając w bok rękę i próbując drugą utrzymać ciężki worek na plecach. Niestety, worek szarpnął w jedną stronę, potem w drugą, stopy pośliznęły się i już na moment chłopiec leciał do wody. Pierwszy się zatrzymał. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na kolegę, którego głowa już była nad wodą. W tym momencie tak samo stracił równowagę i z krzykiem podobnym do tego jaki wyrwał się z ust pierwszego, również leciał do rzeki. Obaj mieli szczęście woda sięgała tylko po pachy.

Bez zbędnych komentarzy wyleźli na brzeg. Cieszyli się, gdyż nie było głęboko. Gdyby nie sięgnęli dna, ratując siebie, musieliby zostawić chleb. Z głębokiego nurtu już by go nie wyłowili. Strumieniami spływała z nich woda. Była pod nogami, w butach przewieszonych przez ramię i w workach z wymarżonym chlebem. Ruszyli w kierunku dalekiego wzniesienia człapiąc po wysokiej, mokrej trawie. Szli w stronę lasu, za którym był dom jednego i drugiego. Robiło się coraz suszej. Wreszcie zatrzymali się. Nie mieli innego wyjścia. Musieli zdjąć mokre ubrania. Wykręcili je i nadal wilgotne włożyli na siebie. Teraz, dla rozgrzewki, przyśpieszyli tempo i bez dodatkowych przygód pokonali resztę drogi.¹

Ileż razy staliśmy w kolejkach po chleb, ile razy odeszliśmy od lady z pustymi rękoma, tego powiedzieć nie potrafię. Nie zachodziła natomiast potrzeba kupowania pozostałych artykułów żywnościowych. Ziemniaki i wszelkie warzywa sadzono na działce. Tego nie zabraniało się, chociaż krążyły pogłoski, szczególnie w ostatnim okresie przed wyjazdem do Polski, że mogą być zmiany. Władze doszły do wniosku, że działka nie potrzebnie odciąga kołchoźników od pracy na wspólnym polu.

Mięsa nie kupowano, ponieważ w sprzedaży go nie było. Nikt o tym nie marzył, nikt o tym nawet nie wspominał. Od czasu do czasu mama kupowała na rynku słoninę. Pamiętam, pewnego razu po powrocie ze Stołpiec wyjęła z koszyka kilogramowy kawałek słoniny, stwierdzając, że musi go wystarczyć na dwa tygodnie. Musiało wystarczyć, a więc wystarczyło.

Na jakiegokolwiek narzekania odnośnie jedzenia, przeważnie moje, ojciec dość głośno stwierdzał:

- „*Wy lepiej nie narzekajcie. Nie jest źle. Mamy chleb i do chleba. Jest mleko. Mamy kartofle. Są ludzie co i tego nie mają, a my jakoś sobie dajemy radę. Proście Boga żeby gorzej nie było.*”

Na pytanie, skąd braliśmy pieniądze na najważniejsze zakupy, odpowiedzieć nie potrafię. Przez cały okres naszego pobytu w tamtym kraju co najmniej jeden pokój był wynajmowany. W dużym pokoju, jak wspominałem wcześniej, w ciągu kilku lat mieściło się biuro służb leśnych. Mniejszy pokój był podnajmowany samotnym, młodym paniom zatrudnionym w biurze leśnictwa. W ostatnich latach od końca maja do ostatnich dni sierpnia cały dom, prócz kuchni wynajmowano rodzinom, przyjeżdżającym z Mińska na wczasy.

Przeważnie były to rodziny narodowości żydowskiej. We własnym towarzystwie rozmawiali tylko w swoim języku. Mieszkali na wsi przez cały okres wakacji. Do Mińska wracali przed rozpoczęciem roku szkolnego. W Mińsku pozostawali tylko mężowie, ojcowie rodzin, przyjeżdżający w odwiedziny na niedziele i miesięczne urlopy.

Nasi wczasowicze, tak jak i pozostali mieszkańcy, nie mieli samochodów. Ubiór ich niczym nadzwyczajnym nie wyróżniał się. Przeróżająca natomiast była dysproporcja poziomów wyżywienia. Zakupami i przygotowywaniem posiłków zajmowały się starsze panie, tj. mamy i babcie. Wydawało się, że dla nich nie istniał żaden inny problem. Zawsze zatroskane, całą energię i wysiłek kierowały na nakarmienie dzieci i kilkunastoletniej młodzieży zgodnie z ustalonymi przez siebie normami. Prawie całe dni spędzały na przygotowywaniu posiłków. Resztę czasu poświęcały na pozyskiwanie niezbędnych artykułów takich jak: masło, śmietana, jajka i obowiązkowo kury. Jeżeli nie udawało się dokonać zakupów na wsi, u kołchoźników, to odbywały piesze wędrówki na rynek do Stołpiec. Rynek był daleko, za centrum miasta.

Zapasy żywności były systematycznie uzupełniane w soboty przez mężów dojeżdżających pociągiem z Mińska. Dla tamtych dzieci przyjazd taty nie zawsze był równoznaczny z radością. Czasami mama skarżyły się, że syna lub córkę należy ukarać, bo dziecko nie chciało jeść. Dla mnie i pozostałych rówieśników wiejskich bez względu na narodowość takie stwierdzenia były szokujące. Nikt nas do jedzenia nie namawiał, a już na pewno nie zmuszał.

Prócz spożywania posiłków o wyznaczonych godzinach, w wysokości ustalonej przez mamy i babcie, dzieci miały codzienne, obowiązkowe leżenie w hamakach rozpiętych pod starymi sosnami na skraju lasu. Cała rodzina w tym obowiązkowo dzieci i młodzież drzemała w nich całymi godzinami, wdychała uzdrawiające powietrze, przesycone zapachem lasu i sosnowej żywicy, nabierała zdrowia i sił do następnego roku. Tak było codziennie, bez żadnych wyjątków. Nad Niemen tamte dzieci chodziły rzadko lub wcale.

Nam się wydawało, że ciężkie to były obowiązki, że tamci koledzy w naszym wieku mieli *zmarnowane* dzieciństwo i *okropną* młodość. Wiedzieliśmy też, iż nie mieli wyboru. Decyzjom starszego pokolenia musieli się podporządkować. Bez zbędnych słów, porozumiewawczymi spojrzeniami przekazywaliśmy im wyrazy współczucia.

- 1 Są to fakty. Widziałem, jak rolnicy podchodzili do stołu z przedstawicielami władz i podpisywali jakiś dokument. Nie brali go do rąk, nie próbowali czytać.
- 2 Nikt miejscowy nie może być. (ros.)
- 3 Zdobywcze, nikomu nie potrzebne. (ros.)
- 4 Jaki z pana gospodarz?! Po co pan im to siano dawał? To są konie niemieckie. Niech zdychają. (ros.)
- 5 Milcz Ciechanowicz. Milcz. Uważaj żebyś nie miał jeszcze gorzej. (ros.)
- 6 Za zbieranie kłosek na kolchozowym polu po zakończeniu zniw można było trafić między innymi do Arzamas - 16, czterysta kilometrów na wschód od Moskwy. Miejscowości tej do 1990 r. nie było na żadnej mapie. Od 1947 roku konstruowano tam i wytwarzano radzieckie bomby jądrowe. Potajemnie miasto i zakłady zbudowali więźniowie. Tam też trafiali kolchoźnicy przyłapani na zbieraniu kłosek na kolchozowym polu.
Szczegóły w cotygodniowym dodatku do Gazety Wyborczej „Nr 10(314) z dn. 12-13 III 1999r. w artykule pt. „Magazyn pomocy naukowych”.
- 7 Słońce jest nisko. To najlepsza pora. (Białorus.)
- 8 Dobrze. Tak być powinno. Teraz nastąpi poprawa. (Biał.)
- 9 Pod wrotami była wolna przestrzeń, może nawet do 30 cm, żeby w okresie zimowym można było łatwo otworzyć, ale aby nie nadmuchało śniegu do wnętrza, układało się tam odpowiednia dopasowaną deską. Po przewróceniu deski można było do stodoły wczołgać się.
- 10 rada wiejska (ros.)
- 11 proszę popatrzeć jakie to pszczoły. (ros.)
- 12 Widzi pan, jakie to pszczoły. Proszę podejść bliżej, popatrzeć dokładnie i policzyć jeszcze raz. (ros.)
- 13 W kolchozie dobrze się żyje. Siedmiu leży jeden pracuje. Gdy słońce przygrzeje, to i ten ucieknie. (Biał.)
- 14 Klęska żywiołowa. (ros.)
- 15 Dniówka obrachunkowa. (ros.)
- 16 Nauczycielka (ros.)
- 17 Spożywajcie najwięcej kartofli. (ros.)
- 18 Na śniadanie mogły być nawet *suchary*, tj. chleb pokrojony na kromki i wysuszony w gorącym piecu. Ojciec zawsze kategorycznie żądał, aby każdą nadarzącą się *nadwyżkę* chleba magazynować w ten sposób. *Suchary* trzymaliśmy w specjalnym białym worku. Czasami mama do niego dokładała nowe, a czasami musiała wyjmować. Twarde kromeczki po namoczeniu w zimnej wodzie stawały się miękkie i smaczne.
- 19 Chleba nie ma i dzisiaj już nie będzie. (ros.)
- 20 Chleba nie ma i prędko nie będzie. (ros.)
- 21 Utrzymać porządek. Nie wpuszczać bez kolejki. Każdy chleba chce. (ros.)
- 22 Kto się gapi, ten wodę siorbie. (Ros.)
- 23 „drogę żelazną” - kolej. (rus.)
- 24 w tamtych wagonach taka możliwość istniała.
- 25 lody (ros.)
- 26 Mokry chleb się nie zmarnował. Mama pokroiła go na cienkie kromki i wstawiła do gorącego pieca. Powstały suchary.

8. Od pierwszych minut w szkole do ostatnich godzin na terenie Kraju Rad

30

Moja szkoła. Moja pierwsza klasa. Wspomnienia dalekie, mgliste i niepełne. Czy można pamiętać o czymś, co działo się ponad pół wieku temu? Pomimo to bez trudu cofam się myślami do dawno minionej jesieni pierwszego września 1947 roku i do tamtego pochmurnego poranka. Tak dokładnych wspomnień nie mam ani z dni poprzednich, ani z późniejszych. Z bardziej lub mniej szczęśliwych chwil dalekiego dzieciństwa, utrwalił się w pamięci ten jeden szary poranek.

Zanim wyszedłem na podwórko i ujrzałem gęste chmury nieruchomo zawieszane nad wioską, znalazłem się obok mamy. Uśmiechnięta stała przed prostokątnym otworem wielkiego pieca oświetlona delikatnym światłem, które promieniowało z wnętrza. Tu, w ciepłych promieniach rozpoczynała swą codzienną, poranną krzątalinę. W głębi pieca wesoło płonął ogień. Czasami trząskał wielkimi iskrami. Kołyszący się odblask padał na pustą ścianę, tworzył na niej wielki cień od drobnej sylwetki mamy. Szczegóły pozostałej części kuchni ginęły w lekkim półmroku. Do najdalszych zakamarków nie sięgała poświata odbita od wapiennej bieli. Nikłe światło z jedyne go okna tam też nie docierało.

Radością świeciły się oczy mamy, uśmiechała się jej twarz. Pochylając się do mnie i przytulając do siebie, wzruszonym głosem uroczyście oświadczyła, że w dniu dzisiejszym rozpocznę naukę w prawdziwej szkole, bo jestem duży i inne dzieci w moim wieku również rozpoczną naukę. Coś mi się wydaje, że informacją tą zbyttno się nie przejąłem. Bardziej zainteresowałem się jedzeniem, które wkrótce znalazło się na stole.

Następnie do mieszkania wszedł ojciec i po upewnieniu się, że jestem po śniadaniu, kazał iść ze sobą. Szedłem więc piaszczystą drogą naszej wsi obok ojca, trzymając go za rękę, lecz chyba nadal nie bardzo wiedziałem dokąd ta droga prowadzi, jakie obowiązki mnie czekają. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są to pierwsze kroki do szkoły, w której poznam białoruskie litery i słowa napisane w tym języku. Może ojciec, podobnie jak mama, przejęty swoją rolą, również nie potrafił wyjaśnić wszystkiego. Widocznie radość rodziców z powodu rozpoczęcia nauki przez starszego syna nie była tak wielka i mieszała się ze smutkiem, ponieważ nie była to szkoła polska. Może ojciec próbował przypomnieć swoje pierwsze kroki, do szkoły rosyjskiej. Zdarzenie to miało miejsce pięćdziesiąt lat temu.

Prawie na końcu wsi skręciliśmy na jakieś podwórko, a następnie znaleźliśmy się w ciemnej sieni jednej z wiejskich chat. Ojciec otworzył tam bardzo niskie drzwi i ujrzałem sporą izbę, pełną dzieci siedzących za gęsto ustawionymi, długimi stołami. Próbowałem gdzieś się dosiąść. Jakaś starsza pani pomogła znaleźć inne miejsce, a co było potem, tego na prawdę nie pamiętam.

W pamięci pozostał jedynie ostatni, krótki fragment drogi powrotnej do domu, po zakończonych lekcjach. Nie było żadnego wiatru i szare, nieruchome chmury nadal przesłaniały niebo. Szedłem samotny skrajem znajomej drogi. W ciemnej torbie przewieszanej przez ramię, dźwigałem jakieś książki. Dopiero później dowiedziałem

się, że torbę uszyła mama z kawałka płótna. Znajdował się w niej białoruski *bukwar*¹, książka do arytmetyki i na pewno co najmniej dwa zeszyty. Już wkrótce książki nosiłem w kupionej, ładnej teczce. Miała granatowe obwódki i małą, zewnętrzną kieszeń, w której nie mieściła się żadna książka. Może było to miejsce na dodatkowe śniadanie, lecz ta myśl wtedy nikomu nie wpadła do głowy.

Zanim zbliżyłem się do naszego podwórka, już z daleka przed bramką ujrzałem stojącą mamę. Uśmiechnięta i szczęśliwa czekała na mój powrót. Uradowany zacząłem bieć i z rozpędu wpadłem w jej rozpostarte ramiona. Z mamy promieniowała radość i chyba duma. Usłyszałem ponownie, że jestem duży i teraz codziennie będę chodził do szkoły. Tej informacji chyba nie przyjąłem entuzjastycznie. Prawdopodobnie nadal nie wiedziałem, co się kryje za tym określeniem i jak poważne obowiązki czekają na mnie.

Do szkoły nie było daleko. Znajdowała się w domu pani Loni, której wiejscy chłopcy, kilka lat wcześniej, wciągali drewniany wóz na słomiany dach. Cała szkoła, to jedna izba, z dwoma oknami po lewej stronie, jak wymagają zasady dobrego oświetlenia. Obok drzwi wejściowych, ukosem w rogu umieszczono kwadratową, czarną tablicę. Równy na ścianie, ze względu na drzwi wejściowe, tablica się nie mieściła. Ustawiono ją na drewnianych pieńkach, służących za podstawki. Jakże często brakowało do niej białej kredy. Jeżeli już ją mieliśmy, to też nie bardzo nadawała się do pisania, ponieważ powstawała w wyniku połamania na mniejsze kawałki dużej, okrągłej gałki, podobnej do piłki. Podczas pisania odłamki te łatwo kruszyły się i rozpadały na jeszcze mniejsze.

Kredę w gałkach widziałem ponownie kilka lat później. Mama kupowała ją na rynku. Po rozpuszczeniu w wodzie, powstawał roztwór, którym malowano ściany mieszkania. Specjalną kredę do pisania na tablicy po raz pierwszy ujrzałem w piątej klasie, kiedy rozpocząłem naukę w Stołpcach.

W mojej pierwszej szkole uczniowie siedzieli na wspólnych, długich ławach przed tak samo długimi stołami wykonanymi z wyheblowanych, równych desek. Pomiędzy deskami potworzyły się szpary. Nie były jednak zbyt duże, ołówek przez nie na podłogę nie wypadł. Jednak rozpoczynając pisanie na pierwszej kartce, należało zeszyt układać tak, aby leżał na jednej desce. Jeśli znajdował się nad szparą i mocniej przycisnęło się ołówkiem, w zeszycie robiła się dziurka.

Naszą nauczycielką była starsza, siwiutka bardzo miła i zawsze zatroskana pani. Należało zwracać się do niej po imieniu i *otczestwu*. Mówiliśmy do niej *Maria Nikiticzna*. Z wymawianiem tego drugiego wyrazu, w pierwszym okresie, miałem pewne kłopoty. Pani Maria siedziała przy małym stoliku, ustawionym obok drzwi wejściowych. Dla niej było przeznaczone jedyne drewniane krzesło, znajdujące się w izbie.

Jedna izba, cztery rzędy ławek, staruszka nauczycielka i około dwudziestu uczniów. Wszyscy uczą się razem, rozpoczynają i kończą zajęcia w tym samym czasie. Zawsze razem wybiegają na przerwy. Słyszac dzwonek razem wracają. Ile klas wobec tego było w tamtej szkole?

¹ elementarz (Białor.)

Oczywiście tyle ile rzędów ławek. W mojej szkole były cztery klasy. Pierwszoklasiści zajmowali pierwszą ławkę. Druga klasa siedziała w drugim rzędzie, następnie trzecia, a na końcu, pod ścianą siedzieli najstarsi i najważniejsi z czwartej klasy. W następnym roku opuszczali szkołę w Okinczycach i przenosili się do Stołpiec. Przejście do następnej klasy było równoznaczne z zajęciem miejsca w następnym rzędzie ławek. Dzieci, które zostały na drugi rok, nadal siedziały na poprzednim miejscu. Takie przypadki zdarzały się również.

Czy możliwa jest nauka w jednej izbie szkolnej w tym samym czasie, ale w czterech różnych klasach? Bez wątpliwości jest to możliwe pod warunkiem, że nauczycielką jest siwiutka, starsza pani, traktująca uczniów jak własne dzieci. Nasza nauczycielka lubiła swoją pracę i kochała nas. Byliśmy dla niej najważniejsi. Z kolei, żadnemu uczniowi nawet do głowy nie przyszło, że można jej nie słuchać. Podczas zajęć nie było żadnych rozmów. W szkole - klasie panowała absolutna cisza. Ciche też były wypowiedzi naszej *uczcielnicy*, przekazującej polecenia lub zadającej pytania określoneму uczniowi. Pozostali, schyleni nad książkami cichutko czytali, pisali lub rozwiązywali zadania z matematyki. Zawsze trzy klasy miały jakieś samodzielne zajęcia, a czwarta odpowiadała na pytania. W ten sposób prawie codziennie każdy był odpytywany i nauczycielka wiedziała doskonale jaki jest poziom wiedzy każdego ucznia.

W naszej ciasnej szkolnej izbie było miło, przyjemnie i przytulnie. Zналиśmy się z zabaw podwórkowych. Lekcje prowadziła zatroskana starowinka. Była przyjaźnie nastawioną do wszystkich uczniów i chyba bardziej pasowała na wspólną babcię niż na nauczycielkę.

Miła atmosfera panowała zarówno do pewnej, nieoczekiwanej przerwanej lekcji, jak i po niej. Byłem wtedy prawdopodobnie w pierwszej klasie, ponieważ siedziałem na samym początku blisko drzwi wejściowych. Na tamtej lekcji, tak jak zwykle, panowała cisza i spokój. Nisko pochylony nad zeszytem coś pisałem lub liczyłem. W pewnym momencie przypadkowo uniosłem oczy do góry i ujrzałem, jak wolniutko, bezgłośnie uchylają się drzwi wejściowe, a w powstającą szparę z ciemnej sieni wsuwa się wysoka, okropna postać odziana w straszne, podarte łachmany. Tylko na moment ujrzałem oczy, a następnie wzrok utkwilem na ogromnych, przerażająco sterczących zębach, o wilgotnej, nieskazitelnej bieli. Bestia wolno i bezszelestnie wsunęła się do wnętrza, a potem stanęła tuż za plecami nauczycielki, która obok tablicy spokojnie coś wyjaśniała jakiemuś uczniowi. Pozostałe dzieci pochylone nad zeszytami, straszdyła nie widziały. Patrzyłem przerażony. Nie miałem siły na nic.

Wreszcie, niesamowitą ciszę przerwał głośny, pojedynczy okrzyk. W następnej chwili jak potężne echo rozległ się donośny wrzask całej klasy. Zdziwiona nauczycielka odwróciła się i jako ostatnia zauważyła, że tuż obok niej stoi wysoka, straszna zjawa z ogromnymi zębami. Po chwili straszdyło bezszelestnie usunęło się z powrotem, w głęboką ciemność sieni. Izbę szkolną przepełniały nadal wrzaski wystraszonych dzieci. Jedynie ja siedziałem jak oniemiały. Widziałem zjawę najdłużej. Przeraziłem się do takiego stopnia, że nie mogłem wydobyć z siebie żadnego głosu. Wreszcie płacz wystraszonych dzieci stopniowo zaczął ucichać, natomiast ja odzyskałem wreszcie głos i zacząłem płakać.

Tamtego płaczu opisać nie sposób. Nikt mnie nie potrafił uspokoić. Nie pomagały żadne metody. Nasza staruszka brała mnie na ręce, przytula, coś tłumaczyła, wyjaśnia. Powtarzała wielokrotnie, że to był tylko żart pani Loni, że nie było żadnej czarownicy, że zęby zostały zrobione z surowego kartofla. Słyszałem wypowiedane słowa, lecz żadne wyjaśnienia płaczu powstrzymać nie mogły. Ktoś kolejny, chyba siostra pani Loni, wzięła mnie na ręce, wyniosła z klasy do kuchni. Ta próba również nie odniosła oczekiwanego efektu. Jeszcze w przeciągu wielu minut przerażona Maria Nikiticzna, przemawiała do mnie, wyjaśniała i tłumaczyła, a ja nadal płakałem. Uspokoilem się chyba dopiero wtedy, gdy całkowicie opadłem z sił. Dalszego ciągu zajęć w tym dniu chyba nie było.

Naukę, tak jak i wszystkie pozostałe dzieci z naszej wsi bez względu na narodowość, rozpocząłem w szkole z białoruskim językiem wykładowym. Polskie szkoły nie istniały. Języka polskiego nie mieliśmy nawet w postaci dodatkowego przedmiotu, np. tak jak to było z niemieckim lub angielskim od klasy piątej w Stołpcach.

W Stołpcach znajdowała się szkoła średnia z językiem rosyjskim oraz siedmioklasowa, z językiem białoruskim. Odnosiło się wrażenie że władze traktują język białoruski jako drugorzędny, używany przez ludność mniej wykształconą i wiejską. Każdy, kto był bardziej wykształcony lub udawał takiego, rozmawiał po rosyjsku. Językiem rosyjskim posługiwano się we wszystkich urzędach. Był używany przez przedstawicieli władzy. Natomiast na budynkach instytucji państwowych zawsze wisiały szyldy w językach rosyjskim i białoruskim. O języku polskim nawet nikt nie wspominał. Po polsku rozmawiali wyłącznie Polacy we własnym gronie, z biegiem lat coraz rzadziej.

Do momentu rozpoczęcia nauki w szkole jedynym językiem, którego używałem w domu w rozmowie z rodzicami, był polski. Słyszałem przy tym, prawie codziennie, język rosyjski. Posługiwali się nim rodzice podczas rozmów z osobami obcymi, które jakże często z różnych powodów odwiedzały nas. Słyszałem również wyrazy białoruskie, które padały z ust niektórych najstarszych mieszkańców wsi. W ten sposób, bez żadnego wysiłku, nauczyłem się języka rosyjskiego i białoruskiego. Rozumiałem wszystko o czym rozmawiano, chociaż sam wypowiadałem się wyłącznie po polsku.

Pewnego razu, gdy w naszym mieszkaniu rodzice rozmawiali z kimś obcym po rosyjsku, wtrąciłem dwa grosze po polsku. Wywołało to ogromne zdziwienie gościa. Uważał, że skoro znam język rosyjski i mieszkam w Związku Radzieckim powinienem wypowiadać się w języku rosyjskim, a nie polskim. Ojciec odpowiedział, że język rosyjski rozumiem, ponieważ często go słyszę, a mówię po polsku, bo jestem Polakiem. Stwierdził przy tym, że sam nauczył się języka polskiego za carskich czasów, gdy było to zakazane. Dodał ponadto, że obecna władza zezwala na używanie języka polskiego i nikogo z tego powodu nie prześladowuje. Nie byłoby dobrze, gdybym w tak sprzyjających warunkach nie znał swego ojczystego języka. Na ten argument, tylko częściowo prawdziwy, Rosjanin przyznał rację ojcu.

Po poznaniu liter, szybko nauczyłem się czytać. Widocznie małe dziecko może nauczyć się języka obcego bez żadnego wysiłku, gdy przebywa w odpowiednim otoczeniu. Zdobywanie umiejętności czytania w języku białoruskim *zakłóciła* tylko jedna strona *bukwara*. Doskonale pamiętam wieczór z zapaloną lampą, gdy z pomocą

ojca próbowałem nauczyć się czytać kilku słów na jednej ze stron pierwszego, szkolnego podręcznika. Właśnie poznawaliśmy kolejną literkę i pod obrazkiem przedstawiającym wilka, na tle zimowego krajobrazu, znalazł się napis: „*wouk* - wilk”. Pod sąsiednim obrazkiem z trzema wyjąłymi wilkami: „*wauki* - wilki”. Obrazki rozumiałem, lecz napisów w języku białoruskim nie mogłem zrozumieć, chociaż słyszałem wielokrotnie wyraz *woouk* i *waukii*, z krótką wymową litery „u” o brzmieniu zbliżonym do „ł” i akcentem, w pierwszym przypadku na literę „o”, a w drugim - na ostatnie długie „i”. Czytając wyrazy po sylabach, uparcie z płaczem powtarzałem nic nieznaczące słowa *wo-uuu-k* i *wa-uuu-ki*, mocno akcentując literę „u”. Widocznie na lekcji nie uważałem i dlatego nie wiedziałem, że znajdujący się nad „u” *apostrof* skraca wymowę i przenosi akcent na inną głoskę. Ojciec prawdopodobnie tego szczegółu języka białoruskiego nie potrafił wytłumaczyć. Był to chyba najtrudniejszy wieczór nauki czytania.

Mniej problemów miałem z matematyką. Umiejętności dodawania i odejmowania dowolnych liczb w granicach do stu nauczyłem się przed rozpoczęciem nauki. Była w tym ogromna zasługa ojca. Wieczorami, już w łóżku przed snem, zadawał różne zadania do pamięciowego rozwiązywania, zwiększając systematycznie stopień trudności. Przed rozpoczęciem nauki szkolnej, bez problemów uzyskałem wiedzę znacznie przekraczającą program pierwszej klasy.

W szkole, tak jak pozostali pierwszoklasiści, musiałem najpierw *uczyć się* liczyć do dziesięciu, a następnie do dwudziestu, obowiązkowo przy pomocy drewnianych patyczków. Do takiej nauki nie był potrzebny żaden wysiłek umysłowy. Przez dłuższy okres nie poznawałem niczego nowego. W rezultacie, w pierwszej klasie nauczyłem się jedynie czytać.

Oczywiście, tak jak w każdej szkole, powstała konieczność odrabiania prac domowych. Miałem dobre przygotowanie wstępne, nie sprawiało więc to większych problemów. Ucieszyłem się, że zostanie dużo czasu na podwórkowe zabawy.

Niestety, moja radość trwała krótko. Pamiętam, jak szybko wykonałem obliczenia z *arytmetyki* w granicach do dziesięciu, nauczyłem się czytać kilku zdań na jednej stronie *bukwara* i zamierzałem wybiec na podwórko. Niestety, zostałem zatrzymany przez mamę, która położyła przede mną inną książkę i oświadczyła, że teraz rozpoczniemy naukę z tej czytanki. Był to przedwojenny, polski elementarz.

Ku rozpaczy mamy, nie przyjąłem dodatkowego obowiązku z entuzjazmem. Po wykonaniu zadań narzuconych przez szkołę, pragnąłem jak najszybciej uciec na podwórko, a nie ślęczeć nad następną książką, z innymi literami. Jeszcze gorsze było to, że niektóre litery w elementarzu polskim wyglądały identycznie jak w książce szkolnej, lecz należało je odczytywać inaczej. Pewnego dnia zdenerwowałem mamę, bo uparcie zniekształcałem wymowę słów z literkami *ą* i *ę*, których odpowiednika w szkolnym alfabecie nie było. Celem tych manipulacji była nieodparta chęć udowodnienia, że żądania w stosunku do mnie są wygórowane, że należy zwolnić mnie z nadmiernych obowiązków i jak najszybciej wypuścić na podwórko. Należy przy tym dodać, iż w gwarze osób z kresów wschodnich te dźwięki nie istniały. Byłem więc w pewnym stopniu zdziwiony koniecznością odmiennej wymowy znanych wyrazów.

Rodzice jednak nie ustąpili. Z mamą potrafiłem jeszcze coś zdziałać, coś wykombinować. Z ojcem dyskusji nie było. Jego groźne, stanowcze wypowiedzi brzmiały jednoznaczne. Nie miałem wątpliwości. W przypadku najmniejszego zlekceważenia stawianych żądań, w rękach ojca mógł znaleźć się mocny, wąski pasek, z którym lepiej było zapoznawać się jak najrzadziej. Tak więc od momentu rozpoczęcia nauki w szkole, równolegle musiałem w domu czytać i pisać po polsku.

Ojciec nie dyskutował. Przy każdej nadarzającej się okazji, podnieconym głosem stwierdzał, że jestem Polakiem, że w przyszłości język ojczysty będzie potrzebny i mam się go nauczyć. Kolejny raz powtarzał, że *za cara*, gdy państwo polskie nie istniało, a język był zakazany, ci co czuli się Polakami potrafili nauczyć się nie tylko rozmawiać, lecz również czytać i pisać po polsku. W warunkach obecnych, chociaż języka polskiego nie ma w szkole, to nie ma też prześladowań jakie były poprzednio. Zamiast zajmować się głupotami, mam się uczyć polskiego. Nie wiem, czy ojciec bardziej liczył na zmianę granic i powrót Kresów Wschodnich do Polski, czy na opuszczenie swych stron rodzinnych i przeniesienie się na tzw. Ziemię Odzyskaną.

Pomimo tych wyjaśnień nie wykazałem nadmiernego zainteresowania ani dodatkową lekturą, ani obowiązkiem przepisywania wyznaczonych fragmentów książek do specjalnego zeszytu. Prócz niewątpliwego lenistwa, spowodowane to było brakiem odpowiednich książek. Po elementarzu, otrzymałem jakiś podręcznik do przyrody. Jego treścią zbytnio nie interesowałem się, a ponadto fachowe określenia i wywody dla znacznie starszych dzieci, napisane małymi literkami nie zachęcały do czytania.

Miałem do dyspozycji jeszcze świetny podręcznik geografii do wyższej klasy. Książkę napisano w sposób, z którym nigdy później nie zetknęłam się. Przedstawiono podróż koleją z Warszawy. Najpierw odbywała się po kraju. Potem przekraczało się granice kolejnych państw, wjeżdżało do różnych miast. Z opisu można było się dowiedzieć z czego miasta słyną, czym zajmują się ludzie, jaka jest przyroda i krajobrazy, bogactwa naturalne i fabryki.

Już w tamtych latach, kiedy głośno przeczytałem kolejny fragment opisu jakiegoś odcinaka podróży po jednym z krajów Europy, słyszałem krótkie uwagi ojca, że tak było przed wojną i że nadal tak jest, ale poza granicami kraju w którym mieszkamy. Dużo na ten temat nie mówił, widocznie bał się, że mogę na ulicy wypowiedzi te komuś powtórzyć.

Ten podręcznik może i był ciekawy, lecz ileż razy można czytać o tym samym. Z przedstawionego „wykazu” książek wynika, iż do czytania w języku polskim zbyt dużej ilości literatury nie miałem.

W tym czasie z biblioteki szkolnej brałem ogromne ilości książek, dostosowanych do mojego wieku i zainteresowań. Były to książki w języku rosyjskim. Do wyboru najpierw miałem wspaniałe bajki różnych narodów. Trudno było oderwać się od nich. Do iluż lekcji z tego powodu nie przygotowałem się, ile zadań domowych nie odrobiłem. Godzinami siedziałem nad książkami podróżniczymi i wojennymi. Bohaterskie wyczyny żołnierzy armii radzieckiej były przedmiotem nie jednej rozmowy z rosyjskimi i białoruskimi rówieśnikami. Książka nie jeden raz stała się przyczyną złej oceny, wpisanej do dzienniczka, stawała się przyczyną nieodrobionych lekcji, a

następnie zdenerwowania rodziców i ostrej zapowiedzi ojca, że następnym razem *pas będzie w robocie*. Nie były to jedynie groźnie brzmiące ostrzeżenia.

Ojciec, szczególnie w okresie zimowym, przeglądał prawie wszystkie książki, które przynosiłem z biblioteki. Niektóre czytał. Do znacznej ilości nie miał żadnych uwag, lecz czasami po przejrzeniu stwierdzał, że szkoda mojego czasu na czytanie takich bzdur. Przeważnie przy tym dodatkowo upewniał się, czy jest to literatura obowiązkowa, czy nie. Jeżeli okazywało się, że zakwestionowana książka nie znajdowała się w wykazie lektury szkolnej, ojciec nakazywał ją odłożyć i proponował zająć się lekcjami. Negatywne opinie słyszałem przeważnie w przypadku literatury tworzonej na zamówienie nowej władzy. Powtarzały się również narzekania na brak dostępu do twórczości polskich poetów i pisarzy.

Dziwne, lecz literatury obowiązkowej czytać nie lubiłem. Robiłem to z ogromnym przymusem. Miałem następnie problemy z pisaniem wypracowań. Ratowałem się, słuchając uważnie nauczycieli na lekcjach i dokładnie studiując opisy oraz streszczenia z podręczników. Trudno było w ten sposób zapracować na wyższą ocenę niż trójka.

Mego lenistwa oraz niechęci do odrabiania zadań domowych, szczególnie z matematyki, nie da się z niczym porównać. Głównym powodem tego był fakt, że na lekcji, podczas przedstawiania nowego tematu przez wykładowcę, potrafiłem zrozumieć prawie wszystko i uważałem, że ponowne uczenie się tego samego w domu jest marnowaniem czasu. Rozwiązywanie kolejnych podobnych zadań na podstawie znanych wzorów nie stanowiło żadnego problemu. Uważałem, że jeżeli nawet będę wywołany do tablicy, to bez kłopotów poradzę sobie. Niestety, czasami to się nie udawało.

Te problemy zaczęły się pojawiać, kiedy minęły cztery lata nauki w Okinczycach i znalazłem się w piątej klasie Rosyjskiej Średniej Szkoły w Stołpcach. Skończył się okres miłej, prawie rodzinnej atmosfery panującej w niedużej grupce uczniów kilku klas w jednej izbie, z miłą i troskliwą nauczycielką.

Znalazłem się w szkole murowanej, ogromnej. Podobnych gmachów na terenie miasta było zaledwie kilka. Budynek stanowił pamiątkę lat międzywojennego, po krótkim okresie władzy polskiej na naszych terenach. Łącznie z częścią na wprost podpiwniczoną miał trzy kondygnacje. Na każdym piętrze, po bokach długiego korytarza znajdowały się klasy lekcyjne. Mieliśmy również ładną, wysoką salę gimnastyczną, z zestawem przyrządów do ćwiczeń.

Obco i samotnie poczułem się w klasie piątej, gdy po raz pierwszy znalazłem się tam. Ogromna izba, z trzema rzędami ławek. Ogromna ponad czterdziestoosobowa grupa uczniów. Wszyscy obcy. Nikogo bliskiego. Pozostali nawzajem się znali, gdyż przeważnie mieszkali po sąsiedzku lub chodzili wcześniej do tej samej klasy. Jedynie nieliczni dołączyli z podstawówek, z sąsiednich wsi.

Poczułem się zagubiony. Trwało to kilka pierwszych miesięcy. Czasami śmiechem reagowano na odzywki w języku białoruskim. W szkole rozmawiano wyłącznie po rosyjsku. Białoruski mieliśmy tylko na jednej dodatkowej lekcji. Poza tą lekcją nikt go nie używał. Język ten był podobny do rosyjskiego, lecz jednocześnie

zasadniczo się różnił. Piątki, które otrzymywałem w Okinczycach, momentalnie zmieniły się na trójki i tylko od przypadku do przypadku - czwórki.

W piątej klasie wszedł również język zachodni. Uczyłem się niemieckiego. W innych klasach wykładano angielski. Poza tym żadnych obcych języków w naszej szkole nie było. O nauczaniu polskiego nikt nie śmiał wspominać. Z większymi lub mniejszymi chęciami w dalszym ciągu uczyłem się go w domu. Był to efekt ciągłego przypominania ojca, że będąc Polakiem, mam obowiązek nauczyć się języka polskiego. Podobne żądania rodzice stawiali młodszemu rodzeństwu. Z tym dodatkowym obowiązkiem oni chyba mieli jeszcze większy problem, ponieważ od najwcześniejszego dzieciństwa słyszeli przeważnie język rosyjski.

Niemiecki wykładała nauczycielka, starszka, wspaniała i miła. (Co za sentyment do staruszek?) Szanowali ją i poważali wszyscy uczniowie, nawet największe łobuzy. Bez wątpliwości była w wieku emerytalnym. Nie wiem, dlaczego jeszcze pracowała. Może chciała więcej zarobić, a może zaproponowano jej pracę, ponieważ innych nauczycieli nie było?

Aleksandra Iwanowna mieszkała tuż obok szkoły, na wzgórzu przed koszarami. Przed rozpoczęciem lekcji wolniuteńko schodziła z tamtego pagórka wąskim chodnikiem, ciągnącym się wzdłuż szkolnego ogrodzenia. Często podbiegała do niej grupka chłopców i któryś zabierał ciężką teczkę z książkami i zeszytami. Z ogromną ulgą przyjmowała pomoc swoich uczniów. W rękę zostawała jedynie drewniana laska, służąca za podpórkę. W takim dniu podczas lekcji traktowała nas z jeszcze większą sympatią. Nie wiem, czy potrafiłiśmy za to odwdziżyć się odpowiednimi ocenami.

Sylwetka tej nauczycielki pozostanie również w pamięci do końca życia jako wzór pedagoga i poświęcenia dla młodzieży. Nie miałem już siedmiu, czy ośmiu lat. Byłem znacznie starszy i dokładnie pamiętam, jak z niepokojem dopytywała się każdego, kto nie był przygotowany do lekcji, dlaczego tak się stało, co mu przeszkadzało i czy jest w stanie nauczyć się na następny dzień. Jeżeli musiała postawić komuś dwójkę, to przeżywała ten moment chyba bardziej od tego, który ją otrzymywał. Może doskonale wiedziała, że dwójki były przeważnie wynikiem lenistwa ucznia i prawdopodobnie to ją bolało bardziej niż fakt, że jeszcze jeden radziecki obywatel nie będzie znał niemieckiego.

Ta pani nigdy nie denerwowała się, nie podnosiła głosu. Jeżeli podczas odpowiedzi przy tablicy ktoś nie pamiętał jakiegoś słówka, zapomniał reguł gramatyki, starała się podpowiedzieć, starała się dodatkowymi pytaniami zachęcić do myślenia. Często w takim przypadku nie stawiała zasłużonej dwójki, lecz prosiła o nauczenie się na następną lekcję, informując, że zapyta obowiązkowo.

Wspominając pedagogów szkolnych nie sposób pominąć nauczycielki języka rosyjskiego. Pani Kozackowa była nauczycielką najmłodszą i starała się wszelkimi metodami osiągnąć możliwie najwyższe wyniki. Raz, podczas wizytacji, było dyktando. Na tej lekcji przesadziła chyba ponad wszelkie normy. Dyktowała w sposób gwarantujący bezbłędne napisanie całego tekstu nawet przez najgorszych nieuków. Im bardziej skomplikowany i trudny był wyraz, tym wolniej wypowiadała, prawie sylabizowała. Tworzyła wyraźne przystanki w miejscach przecinków. Na następnej

lekcji przyznała się, że wynik był wspaniały, lecz otrzymała reprimendę za takie dyktowanie.

Wyjątkowy był nauczyciel matematyki i fizyki. U niego nie było żadnych tłumaczeń na temat nieodrobionych zadań domowych. W takich przypadkach bez dyskusji, nie przyjmując żadnych wyjaśnień, stawiał dwójki. Stwierdzał przy tym, że jeżeli samemu nie potrafiło się rozwiązać zadania, to należało przyjść do niego, do domu. Oświadczał, że zawsze ma czas dla pilnego ucznia i zawsze dodatkowo wyjaśni i pomoże. Stanowczym głosem uświadamiał nas, że dwójki stawia nie za brak wiedzy, lecz za lenistwo.

Obraz szkoły, nauczycieli i tamtej atmosfery byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o przedmiocie z ostatniej, dziesiątej klasy szkoły średniej. Była to Konstytucja ZSRR. Lekcje z nami miał działacz partyjny z Rejonowego Komitetu Partii. Żadnego uśmiechu na twarzy, żadnego odprężającego gestu. Lodowaty chłód promieniował od niego. Klasa wypełniała się nienaturalną ciszą. Wszystkie oczy kierowały się w stronę sylwetki reprezentanta władzy ubranego w ciemny garnitur, idealnie dopasowany, nieskazitelnie wyprasowany. Wykład prowadził na stojąco, poruszał się majestatycznie na tle czarnej, szkolnej tablicy. Spokojnym głosem, pewnie informował o zasadach współżycia w radzieckim państwie, o obowiązkach jego obywateli, o tym jaką opieką otacza się osoby oddane władzy i jak bezwzględnie zwalcza się wrogów. Na tych lekcjach nikt nie rozmawiał, nikt nie próbował odwrócić się w inną stronę. Wrogiem nikt nie zamierzał zostać. Każdy uważnie słuchał lub nie przestawał udawać, że z największym zainteresowaniem przyswaja zasady życia i postępowania, które już wkrótce będą dotyczyć i jego w całej rozciągłości.

Słuchałem tamtych wypowiedzi wyjątkowo uważnie. Starłem się zapamiętać jak najwięcej. Musiałem być dobrze przygotowanym do odpowiedzi. W tym czasie doskonale wiedziałem, że jako Polak mogę być podejrzany o nielojalny stosunek do władzy radzieckiej. Konstytucji nauczyłem się dobrze. Na świadectwie z zakończenia szkoły z tego przedmiotu mam czwórkę.

Prócz wymienionych wcześniej przedmiotów, mieliśmy oczywiście historię. Również niektóre pozycje literatury zahaczały o problemy stosunków rosyjsko - polskich na przestrzeni wieków. Lekcje te były najmniej przyjemne. Przedstawiano na nich Polaków jako systematycznych najeźdźców, napadających na biednych i spokojnych Białorusinów lub niewinnych Rosjan. Dość często przy tym padały uzupełnienia, że po drugiej wojnie światowej Polska jest innym, przyjaznym krajem.

W szkole zajęcia odbywały się na dwie zmiany. Najgorszy był okres zimowy, kiedy chodziłem na drugą zmianę, tj. po południu. Do domu wracało się praktycznie w nocy. Dobrze, jeżeli w grupie. Niestety, z własnej inicjatywy, dość często wracałem samotnie.

Powodem zostawania po lekcjach były dodatkowe zajęcia sportowe, a konkretnie gimnastyka. W sali sportowej mogłem przebywać i kilka godzin. Nie czułem żadnego głodu. Nie było zmęczenia. Ten sport był moją pasją. Dość dobrze wychodziły mi ćwiczenia na przyrządach gimnastycznych, takich jak: poręcz, drążek, kółka zawieszane na linkach. Byłem szczupły i zwinny, a jednocześnie miałem wytrenowane mięśnie. Te atuty pozwalały na dość łatwe opanowywanie coraz bardziej

skomplikowanych ćwiczeń. Ogromna w tym zasługa, przedstawionego wcześniej, nauczyciela wychowania fizycznego Aleksandra Nowikowa. Jego zaangażowanie i dar przekonywania do pracy nad własną sylwetką, do uprawiania sportu, jako źródła zdrowia i młodości zrobiły swoje.

Niestety, późne, samotne powroty do domu przez las czasami odwiedzany przez wilki nie były akceptowane przez rodziców. Zdarzało się, że ojciec wychodził na spotkanie, lecz często słyszałem protesty. Jakże często padały też stwierdzenia, że dla zdrowia prócz gimnastyki jest niezbędny chleb, którego ciągle brakuje, że nic się nie robi w kierunku faktycznej poprawy poziomu naszego życia.

Musiałem stopniowo rezygnować z zajęcia przynoszącego ogromną satysfakcję. Straty te próbowałem nadrobić ćwicząc w domu, głównie na drążku zrobionym na podwórku. Miałem również namiastkę sztangi, przy pomocy której ćwiczyłem podnoszenie ciężarów. Do tego służyło koło od wagonika wąskotorówki, odlanego w postaci monolitu z jedną osią, na wzór kół kolejowych. Oczywiście było bez porównania mniejsze. Powstaje pytanie, skąd wziąłem koła wąskotorówki?

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej we wsi Nowy Świerzeń firma o nazwie Anglo-Europa wybudowała nowoczesny tartak. Surowiec czerpano z pobliskich lasów. Ogromną ilość drewna dostarczano do tartaku Niemnem. Z lasów położonych dalej od rzeki drewno dowozili mieszkańcy wsi transportem konnym.

Z największym wysiłkiem pracowały konie ciągnące potężne świerki i długie sosny. Żelazne koła pod ciężarem grubych, ciężkich kłoców wrzynały się głęboko w luźny piasek. Częste postoje na wypoczynek nie skracały długiej drogi. Do celu było wciąż daleko.

Może nie po to by ulżyć konikom, a raczej by mieć ciągłe i pewne dostawy, ktoś z zarządu tartaku wpadł na pomysł, znalazł pieniądze i wydał stosowne dyspozycje. Od tartaku do lasu przez Okinczyce ułożono drewniane podkłady, a na nich stalowe szyny. Nie były to szyny potężne jak pod wagony kolejowe. Nie wagony tędy miały jeździć. Po szynach toczyły się wózki. Na nich jak poprzednio na wozach konnych, leżały kłocę dłużycy sosnowej i świerkowej. Konie nadal stanowiły siłę pociągową. Jednak teraz koła nie zapadały się w piasek, a toczyły się lekko i wydawały twardy odgłos stali ocierającej o stal. Podczas zjazdów z górki ciężki ładunek należało hamować.

Kiedy ojciec kolejny raz opowiadał o tym wszystkim, znowu na zakończenie słyszałem, że pomimo długiego okresu niewoli, Polska po odzyskaniu niepodległości potrafiła tak dużo osiągnąć. Stopniowo rozszerzał swoje wywody i kończył tym samym stwierdzeniem, że młode pokolenie jest okłamywane i nic nie wie o prawdziwej historii.

W którym roku zlikwidowano kolejkę, tego nie wiem. Prawdopodobnie podczas wojny. Jako wspomnienie po niej na naszym podwórku znalazłem wspomnianą parę kół i kawałek szyny podobnej do kolejowej, lecz o znacznie mniejszym przekroju. Pozostała też w lesie przesieka, po której przed laty toczyły się stalowe wagoniki.

W okresie szkolnym ogarnęła mnie jeszcze jedna pasja - szachy. Zasad tej gry nauczyłem się przyglądając się zmaganiom starszych kolegów. Szachy były grą wyjątkowo popularną. Dość często można było zobaczyć grupkę chłopców siedzących

na trawie ze schylnymi głowami, wpatrzonych w jedno miejsce. Oczy były skierowane na kwadratową planszę 64 ciemnych i jasnych pól i dwa rzędy nieruchomych figur, gotowych do wzajemnej, śmiertelnej walki w obronie własnego króla.

W naszej szkole było kółko szachowe. Zajęcia prowadził wspomniany wcześniej nauczyciel matematyki i fizyki. Niestety, do tego zespołu również nie mogłem należeć. Miłośnicy szachów, tak jak i zwolennicy gimnastyki, spotykali się po lekcjach. W tym przypadku powroty do domu byłyby również opóźnione. Na to pasjonujące zajęcie zezwolenia również nie otrzymałem. Rodzice stwierdzili, że po długim dniu nauki i czasie spędzonym nad szachownicą nie będę w stanie odrobić żadnych lekcji. Usłyszałem też dodatkowo, że z szachów żyć nie będę. Może to była prawda, a może...?

W odrabianiu prac domowych, a więc i uzyskiwaniu lepszych ocen, zimą przeszkadzały łyżwy, a przede wszystkim narty. Mając do wyboru ślizganie się po śniegu lub ślęczenie nad książką, wybierałem najczęściej to pierwsze zajęcie. Rodzice tego nie rozumieli i chyba nie mogli pojąć, że pokonanie trasy z Okinczyc do Stołpiec oraz z powrotem dla młodego organizmu było niewystarczającym wysiłkiem, nie mogło zastąpić narciarskiej przygody. Może nie potrafili tego zrozumieć, tak samo jak ja nie próbowałem lub nie chciałem przyjąć do wiadomości ich wyjaśnień, że od nart ważniejsza jest wiedza, że jedynie ona daje szansę ominięcia kołchozu. Drewniane narty na białym śniegu działały jak narkotyk, chociaż takiego wyrazu wtedy jeszcze nie znałem. Nie potrafiłem i nie chciałem przed nimi się bronić. Stosując najróżniejsze wybiegi i tłumaczenia wrywałem się z domu. Przebywałem na nartach wiele godzin, a pomimo to ciągle odnosiłem wrażenie, że było ich nadal zbyt mało.

W naszych okolicach nie było gór, ale jakże wspaniałe warunki mieliśmy do uprawiania narciarstwa nizinnego. Zimą witaliśmy na początku grudnia. Mróz i wielki śnieg królowały bez przerwy co najmniej do pierwszych dni marca, czasami jeszcze dłużej. Głęboki śnieg zalegał w lasach. Gruba warstwa białego puchu przykrywała łąki i pola. Nawet po przejściowych odwilżach śnieg nie ginął. Gruba pokrywa jedynie osiadała, zagęszczała się. Na powierzchni tworzyła się twarda, mocna skorupa. Narty na takim podłożu prawie nie zapadały się. W takich warunkach, długie wędrówki po bezkresnych białych przestrzeniach nie dały się porównać się z niczym. Wspomagane mocnymi pchnięciami rąk, wydłużone kroki na dwóch śliskich deskach, sunących prawie bez oporu po twardej płaszczyźnie, nadawały narciarzowi taką prędkość o której marzyło się jedynie podczas lektury starych baśni o siedmiomilowych butach.

Na polu przykrytym grubą warstwą śniegu, nie istniały przeszkody. Cała przestrzeń należała do narciarza, podobnie jak las oraz przyległe łąki i bagniste paśniki, dokąd w okresie letnim wejść się nie dało. Przemierzałem białe przestrzenie wzdłuż i wszerz, w każdym kierunku. Czasami na świeżym śniegu widziałem ślady wilków.

Dwie deski zagięte z przodu, wyslizgane od dołu i dopięte do nóg, na twardym, zbitym śniegu oszalały, nie pozwalały na realne myślenie. Na nartach nie pamiętałem o jedzeniu, o lekcjach. Pole, przemierzone w krótkim czasie od jednego krańca do drugiego, zapraszało ponownie. Błyszcząca w zimowym słońcu śnieżna równina wzywała i ciągnęła gdzieś dalej. Rozgrzane mięśnie domagały się wysiłku. Rodziła się nieodparta chęć ponownego zmierzenia się z przestrzenią.

Jeżdżąc na nartach zapominałem, że istnieje pojęcie czasu. Zbyt późno spostrzegałem nadciągający mrok i nieuchronny wieczór. Wspaniałe chwile na śniegu nie jeden raz kończyły się kłopotami w szkole i niezbyt przyjemnymi następstwami w domu. Jeżeli ojciec sięgnął do dzienniczka, a tam się znalazła dwójka, to nie wróżyło to niczego dobrego. Kolejne pouczenie, że w wyniku lenistwa, nie ucząc się, trafię do kolchozu, było najłagodniejszą karą.

Okres rezygnacji z nart i solidniejszej nauki nie mógł trwać długo. Nie potrafiłem spokojnie przebywać w ciasnych ścianach mieszkania, w tym czasie kiedy w sieni czekały wyslizgane deski, a tak blisko za oknami błyszczał i wabił zmrożony śnieg. W takich warunkach nie potrafiłem skoncentrować się nad książką i myślami już wędrowałem na podwórku. Pragnąc uzyskać zgodę rodziców na przerwę w nauce próbowałem się tłumaczyć tym, że prawie wszystkie lekcje odrobiłem, a teraz jedynie zamierzam przewietrzyć się i zaraz szybko wrócę.

Kiedy znalazłem się na śniegu, to zapominałem ponownie o wszystkim. Znowu nie czułem i nie zauważałem, jak mijają godziny. Najgorsze było to, że w okresie zimowym dnie stawały się krótkie. Ale nawet po powrocie ze szkoły kiedy chodziłem na pierwszą zmianę, czasami potrafiłem pójść na narty przed zbliżającym się zmrokiem. Niestety, zapadał zbyt szybko. Jeszcze nie zdążyłem się nacieszyć mroźnym powietrzem i cichym szmerem drewnianych płaszczyzn sunących po śniegu, a już błękit bezchmurnego nieba stopniowo zanikał, ustępując miejsce zagęszczającej się szarości zimowej nocy. Wkrótce, gdzieś daleko w górze ukazywały się pierwsze gwiazdy. Narastająca ciemność ogarniała całą przestrzeń i nieubłagane zacieśniała się wokół, zamazując dalekie szczegóły znajomego otoczenia. Ciepłe światło lamp naftowych ukazywało się w dalekich wiejskich chatach. Pojedyncze pnie najbliższych drzew odcinały się ciemnymi plamami na tle białego śniegu. Był to sygnał, że już jest późno i należy wracać do domu.

Nie da się opisać wypraw narciarskich podczas pięknych bezchmurnych dni, gdy promienie słońca zawieszono nisko nad horyzontem błyszczą odbite śniegiem w postaci kolorowych iskier. Cudowne są i te momenty, kiedy wolno opadają wielkie, białe płyty z nisko płynących chmur. Nie potrafię zapomnieć uporczywego zmagania się z porywistym północnym wichrem zamiatającym białą przestrzeń, wznoszącym i goniącym w poprzek szerokiego pola drobne, ostre kryształki. Przemieszczając je na nowe miejsca, przekształcał gładką dotąd płaszczyznę w tarasowate, niskie uskoki, podobne zastygłym falom. Opowiedzieć nie sposób o mozolnej walce z tą garbatą przestrzenią, z zacinającym wiatrem niepozwalającym na rozped oraz ze śniegiem zalepiającym twarz i oczy.

Wyprawy pod wiatr, podobnie wchodzeniu pod górę, dają przedsmak wspaniałych, szybkich i łatwych powrotów. Im dalej się zaszło, tym dłużej się wracało z powrotem. Wtedy najmocniejsze porywy zimowej wichury, niby w nagrodę za poprzedni wysiłek, pchają przed sobą narciarza, a dwie drewniane deski niosą lekko po szerokim polu, po białej równinie. Wypada jeszcze dodać, że najczęściej na narty chodziłem właśnie z tym samym Szurikiem, z którym miałem pamiętną kąpiel w Niemnie.

Szybko, może zbyt szybko, minęło sześć lat nauki w szkole średniej w Stołpcach. Stopniowo poznałem kolegów z klasy, z niektórymi zaprzyjaźniłem się.

Minęły kolejne lata i znalazłem się w najstarszej dziesiątej klasie. Zima ta chyba była najkrótsza. Nadchodziła ostatnia wiosna w szkole. Niektórzy lepsi uczniowie zaczęli mówić o przygotowywaniu się do studiów, o próbie zdawania egzaminów na wyższe uczelnie. Tego zapału nie miałem.

Przez cały okres młodości i lat szkolnych żyłem z rozdwojoną jaźnią i wśród wzajemnie wykluczających się opinii i ideologii. Systematycznie powtarzane w domu opowieści o barbarzyństwie stalinowskich rządów, o tym, że na całym świecie jest inaczej, że nauczana w szkole historia nawet blisko prawdy nie leżała, była w rażącej sprzeczności z wywodami nauczycieli.

Domowe opowiadania o amerykańskim dobrobycie sprawiały, że na lekcjach zamiast słuchać nauczycieli, marzyłem o szczęściu i dostatku, jaki zapanują z chwilą przybycia na nasze tereny „Amerykanów”. O tym, że przybędą, nie miałem żadnej wątpliwości. Często słyszałem, jak rodzice lub ktoś bardzo z nimi zaprzyjaźniony, opowiadał o podsłuchanych informacjach przekazywanych przez radio „Wolna Europa”. Padały stwierdzenia, że już na wiosnę, na Wielkanoc, a najpóźniej na kolejne Boże Narodzenie będziemy razem z wyśnionym Zachodem.

W takich warunkach nie widziałem potrzeby pilnej nauki ani języka rosyjskiego, ani historii, a przy okazji i do pozostałych przedmiotów zapał wygasł. W efekcie zakończyłem swoją dziesięciolatkę bez zagrożeń, jednak z nie najlepszymi ocenami. O dalszej przyszłości nie myślałem. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mnie czeka. Do rozpoczęcia nauki na studiach wyższych nie byłem przygotowany ani psychicznie, ani intelektualnie.

Wypada jeszcze wspomnieć, że w ostatniej, dziesiątej klasie o mało nie otrzymałem obniżonej oceny ze sprawowania. Z takim świadectwem droga była by zamknięta na każdą uczelnię. Zawiniło święto Pierwszego Maja i czeremcha, która nie zdążyła rozkwitnąć na czas. Udział w pierwszomajowych szkolnych pochodach był obowiązkowy. Przemarsze ulicami traktowaliśmy na wesoło. Nudne było jedynie oczekiwanie w tłoku przed trybuną, gdy z głośników płynęły zniekształcone słowa zbyt długich przemówień.

W pamięci został ten ostatni szkolny Pierwszy Maja, bo nie przyniosłem bukietów kwitnącej czeremchy z okinczyckiego lasu. Polecenia swego wychowawcy nie mogłem wykonać, po prostu czeremcha jeszcze nie miała zamiaru zakwitnąć. Pod drzewami, w lesie leżał śnieg. Tego do wiadomości nie przyjął. O moim przewinieniu dowiedzieli się wszyscy rodzice na ogólnym zebraniu. Zostałem napiętnowany osobiście przez dyrektora szkoły.

31

Po zakończeniu nauki na mnie, tak jak i na pozostałych młodych mężczyzn *wielkiej internacjonalistycznej ojczyzny*, czekał obowiązek służby wojskowej w Radzieckiej Armii, prawdopodobnie gdzieś na dalekiej granicy chińskiej, irańskiej lub japońskiej. Była też ogromna szansa na bezkresy mroźnej północy. Mieszkańcy naszych terenów nie służyli nigdy blisko domu. Jak dowiedziałem się podczas wyjazdu na Białoruś, mój kolega Szurik służył na Nowej Ziemi, na oceanie Lodowatym.

Po wojsku, w przypadku szczęśliwego powrotu do domu, na każdego mieszkańca wsi czekała beznadziejna praca w kolchozie. Jeszcze nad tym nie zastanawiałem się, jeszcze nie rozumiałem, że moja najbliższa rzeczywistość rysowała się czarnymi barwami. Nie wiedziałem, że w tamtym kraju nie istniała żadna perspektywa na pozytywne przemiany również w przyszłości. Może o tym nie wiedziałem, a może nie chciałem wiedzieć. Widocznie nie dorosłem do wieku, w którym z okresu beztroskiej młodości wkracza się w wiek dojrzały. Jeszcze nie potrafiłem przewidzieć jaki ciężar powinności i podporządkowania spada na dorosłego... wolnego człowieka Kraju Rad. Nie wiedziałem, jak ograniczone są możliwości podejmowania własnych decyzji, możliwości decydowania o swojej przyszłości.

Może uwierzyłem, że będzie wspaniale i beztrosko, jak w bajkowych opowieściach, snutych podczas niektórych propagandowych lekcji w szkole. W rzeczywistości, nie mając nawet dowodu osobistego, od pierwszych dni po zakończeniu szkoły stawałem się darmowym robotnikiem swego kolchozu, podobnie jak ojciec i pozostali mieszkańcy wsi.

Nie docierało do mojej świadomości. Nie docierały słowa ojca próbującego przekonać, że istniejąca rzeczywistość stworzona przez władzę radziecką niczym nie różni się od niewolnictwa. Może po raz pierwszy zastanowiłem się nad tym problemem po rozmowie z kolegą ze szkoły, z tej samej klasy. Nie wiem, był on Rosjaninem czy Białorusinem, bo o takich, nieistotnych szczegółach nie wspominaliśmy nigdy. Wiem, że nie był Polakiem. Po zakończeniu obowiązkowej dziesięcioletki udało się mu znaleźć pracę robotnika fizycznego w miejskiej rzeźni. Przy okazji wypada wspomnieć, że stamtąd nie trafiał do sklepów naszego miasta ani jeden kilogram mięsa.

Wysoki i chudy, prawdopodobnie od dawna niedożywiony, ze smutkiem w młodych, lecz zmęczonych oczach, z ogromnym żalem opowiadał o tym, jak przez cały dzień spełnia funkcję taśmociągu, dźwiga na plecach ciężkie półtusze, za marną zapłatę. Młody chłopiec, który jeszcze tak niedawno, próbował uzyskać dobrą ocenę na jakiejś lekcji opowiadając przy szkolnej tablicy o szczęśliwej przyszłości młodego radzieckiego pokolenia, teraz z goryczą powtarzał myśli wypowiedziane przez starszych.

Czy w kilka miesięcy po zakończeniu szkoły tak bardzo zmieniło się jego myślenie, czy może od dawna miał wątpliwości na temat radzieckiego dobrobytu, a dopiero teraz ukrywane żale wypowiedział głośno?

Ze swoją szkołą, z obowiązkową *diesiatiletką* pożegnałem się na zawsze w ostatnich dniach maja 1957 roku i zawisłem w próżni. Zbliżające się lato już nie mogło być okresem beztroskich wakacji. Już nie mogłem tak często chodzić nad Niemen, jeździć na wycieczki rowerowe.

Wspólnie z kolegą Wackiem, tym samym, z którym Edek jeździł do Mińska po chleb, postanowiłem znaleźć jakąś pracę w Stołpcach udowadniając rodzicom i sobie, że na własne utrzymanie mam szansę zarabiać poza kolchozem. Możliwości znalezienia jakiegokolwiek pracy w małym miasteczku, nie posiadającym żadnego przemysłu i zakładów usługowych było znikome. Radzieckie państwo stwarzało możliwości zatrudnienia na ogromnych budowach socjalizmu, na dalekiej północy przy wycince

lasów, na budowie zapór i kanałów. Poszukiwano *dobrowolców*², by zagospodarowali bezludne ugory Syberii i Kazachstanu, mające zapewnić dobrobyt w najbliższych latach kolejnej pięciolatki. Możliwości zarobku nie stwarzano nigdzie.

W całym mieście wisiły plakaty zachęcające młodych ludzi do spotkania z przygodą, do udziału w tworzeniu dobrobytu swego kraju i dobrowolnego wyjazdu na dalekie, nieznane tereny. Dał się na to skusić wiejski i szkolny kolega Jurka Jefimow, syn nauczycielki uczącej Józka i Kazika. Wbrew woli ostro protestującej matki, wyjechał na letni *zarobek* na Syberię, na żniwa. Uciekł stamtąd bardzo szybko, za ostatnie zaoszczędzone pieniądze, rezygnując z pracy i płacy. Tym razem już nie od ojca, a od kolegi w swoim wieku usłyszałem, że im dalej na wschód, tym życie jest gorsze.

Ochotników do pracy w tamtych, dalekich rejonach bezkresnego kraju nie było w nadmiarze. Wobec powyższego, na Dalekim Wschodzie i Północy zapewniano przymusowe zatrudnienie przede wszystkim osobom, którym udowodniano, że nie mają żadnego stałego zajęcia i prowadzą pasożytniczy tryb życia. Ojciec o tym wiedział lepiej niż ja i powtarzał bez przerwy, że w najbliższych miesiącach, jeżeli nie rozpocznę nauki na wyższej uczelni, mogę znaleźć się na wykazie osób wymagających specjalnej troski. Żadnym rozwiązaniem nie było też rozpoczęcie pracy w kolchozie. Wystarczyło, że pracował tam ojciec. W takich warunkach znalezienie zatrudnienia w Stołpcach stawało się życiową koniecznością. Prócz regularnie otrzymywanych rubli, dawało to przede wszystkim szansę pozostania w swojej wsi, przy rodzicach, przynajmniej do dnia powołania do wojska.

Mieliśmy z Wackiem szczęście. Nie szukając długo, uzyskaliśmy informację, że w zakładach stolarskich produkujących głównie szafy poszukują stolarzy. Byłem przekonany, że do tej pracy nadaję się w zupełności, chociaż nie miałem żadnych dokumentów potwierdzających moje umiejętności. Trudno stwierdzić, co to było. Czy nadmierny optymizm? Czy przesadna wiara we własne siły i możliwości? A może optymistyczne promieniowanie ze szczęśliwej gwiazdy, pod którą się urodziłem? Faktem jest, że nawet przez moment nie wątpiłem, iż podołam nowym obowiązkom. W trybie pilnym teoretycznie przeszkoliłem też swego kolegę.

„Umiejętności stolarza” posiadałem od lata poprzedniego roku. Wtedy ojciec zaproponował wykonanie kilku dodatkowych ulti zamiast bezczynnego przesiadywania nad Niemnem. Z ochotą przystąpiłem do pracy. Niezbędne stolarskie narzędzia wraz z drewnianym warsztatem stały u dziadka. Był to warsztat wujka Aleksandra, który wyjechał do Polski. Warsztat wraz z zestawem najróżniejszych ręcznych hebelków trafił na nasze podwórko. Wysuszone, przedwojenne deski przez kilka lat przechowywane na belkach stodoły doskonale nadawały się na ścianki pszczelich domków.

Po kilkakrotnych mniej lub bardziej udanych próbach potrafiłem ręczną, ramową piłą przycinać długie deski na wymierzone mniejsze kawałki. Nauczyłem się wybijać zaklinowane ostrze hebelka krótkimi mocnymi uderzeniami młotka. Zdobyłem umiejętności jego ostrzenia i ponownego zaklinowania, tak aby zbierało z heblowanej deski równe, cienkie wiórki.

² Ochotników (ros.)

Od długiej, szerokiej deski do zgrabnej sylwetki uła droga nie jest krótka. Należało najpierw przekształcić szorstką powierzchnię deski, na gładką równą płaszczyznę. Heblowanie ręczne drewnianym hebelkiem z ukośnie ustawionym stalowym ostrzem, to wielokrotne, mocne pociągnięcia, to przyglądanie się, jak w górnym otworze hebelka, między rękoma, ukazują się cienkie skręcające się wiórki, a po każdym pociągnięciu tworzy się coraz gładsza powierzchnia, z coraz wyraźniejszym rysunkiem delikatnych słoí.

Cieniutkie wiórki, zwijały się w okrągłe zawijasy, układały się grubą, lekką warstwą pod warsztatem i wokół niego. Wzrastająca ich ilość świadczyła o postępie prac. Następnie deski należało starannie przycinać na dokładnie wymierzone, mniejsze kawałki. Przycinanie ręcznie, to praca mięśni i wzroku, to umiejętność, którą zdobywa się poprzez wielokrotne, staranne ćwiczenia. Łatwiej przeciąć deskę poprzecznie. Jest to niższy poziom umiejętności. Potrafi to prawie każdy. Dobrym stolarzem może być ktoś, kto potrafi dokładnie przycinać deski podłużnie. Kolejne prostokąty drewnianych elementów o równoległych, gładkich płaszczyznach i prostych kątach świadczyły, że materiał nie został zmarnowany.

Stopniowo i zawzięcie, w znacznym stopniu samodzielnie zdobywałem umiejętności ręcznej obróbki drewna. Tak samo stopniowo powstawały kolejne elementy przyszłego uła. Wreszcie powstał pierwszy domek dla pszczoł. Miał prawidłowe wymiary i wkrótce został zasiedlony. Wykorzystując zdobyte doświadczenie, z większą pewnością przystąpiłem do budowy kolejnego uła. Pracowałem z ochotą wdychając zapach sosnowej żywicy, wśród rozrastającej się warstwy zakręcających się cieniutkich wiórków.

Mając za sobą taką *praktykę*, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że przygotowanie stolarskie posiadam i wykonując prace z większą starannością, pod fachowym kierownictwem potrafię wykonać zadania bardziej skomplikowane.

Do kierownika stolarni zgłosiliśmy się razem. Poinformowaliśmy go, że sporo umiemy, że potrafimy heblować i przycinać deski. Kierownik z uznaniem pokiwał głową, a następnie zaprowadził na halę, gdzie pracowali stolarze. Każdy pracował przy swoim warsztacie, który niczym nie różnił się od tego, na którym rozpocząłem samodzielne heblowanie podczas wykonywania uła. Hebelki były identyczne. Halę wypełniał znajomy zapach sosnowej żywicy. Na etapie rozpoczynania pierwszej w życiu pracy, miałem pełny komfort psychiczny.

Kierownik przydzielił nam dwa samodzielne stanowiska, jedno obok drugiego oraz wydał zestaw najprostszych hebli, w tym jeden długi, tzw. spust. Wyheblowane nim kanty desek powinny dopasować się do siebie idealnie szczelnie, bez żadnej szparki. Tym narzędziem robiono klepki na beczki. Dziadek zawsze podkreślał, że do beczki wykonanej przez dobrego stolarza można od razu nalewać wodę... nie wycieknie.

Naszym zadaniem było dopasowywanie zestawu cienkich, krótkich desek właśnie na kant, a następnie klejenie z nich większych płaszczyzn. Był to czyjś racjonalizatorski pomysł na oszczędzanie drewna. Płaszczyzny rozcinano następnie na wymierzoną szerokość oraz długość, uzyskując w ten sposób półki do szaf.

Stanęliśmy przy swoich warsztatach i przystąpiliśmy do heblowania. Pracujący obok stolarze przyglądali się nam z zaciekawieniem, trochę podpowiadali. Już na wstępie zwrócili uwagę, że przed rozpoczęciem właściwej pracy należy obowiązkowo dokładnie naostrzyć hebelki, że tylko doskonałym narzędziem możemy osiągnąć dobre wyniki. Oczywiście byliśmy im za to wdzięczni, lecz jednocześnie chcieliśmy jak najszybciej przystąpić do właściwej pracy, bo pieniądze były wypłacane za ilość sklejonych póltek. Wreszcie deski zostały wyheblowane, dopasowane kanty posmarowano klejem i szeroka ponad metrowa płaszczyzna zestawu została umieszczona w odpowiednio długich drewnianych zaciskach, a następnie mocno zaklinowana do momentu wyschnięcia kleju.

Przeliczając czas niezbędny na wykonanie jednego zestawu, zaczęliśmy kalkulować wysokość przewidywanych zarobków. W następnym dniu ochotczo przystąpiliśmy do heblowania i dopasowywania kolejnych desek.

W międzyczasie przyszedł kierownik i stwierdził, że jedna doba wystarcza na wyschnięcie kleju. Następnie wziął duży młotek i powybił nasze kliny. Po chwili podniósł do góry sklejoną część, a następnie stuknął nią o ziemię. Najpierw były to deseczki Wacka. Później ten sam los spotkał wytwór mojego całodziennego heblowania i dopasowywania. Klejenie nie wytrzymało próby. Deski rozpadły się. U Wacka całkowicie. W moim przypadku, dla odmiany, znaczna ilość pęknięć była nie w miejscu sklejenia, lecz na „żywym” drewnie. Zdziwieni i przerażeni, nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego niszczy efekty naszej całodziennych pracy.

Za moment wyjaśniło się, że to nie było niszczenie, a jedynie sprawdzian naszych stolarskich umiejętności. Wszystkie deski miały popękać nie tam gdzie połączył je klej, a na „żywym”. To byłby dowód, że potrafimy doskonale dopasować kanty desek do siebie, tak żeby nie było prześwitów. Płaszczyzny przylegające ściśle dają gwarancję dobrego sklejenia.

Kierownik stolarni wezwał nas do siebie i oświadczył, że drugiej próby nie będzie, że nie widzi dla nas pracy w charakterze stolarzy. Zaproponował jednocześnie zatrudnienie jako robotników niewykwalifikowanych i pomocników malarzy. Oczywiście, bez żadnych wahań wyraziliśmy zgodę. Praca w stolarni zapewniała zarobki w postaci większej lub mniejszej płacy na koniec miesiąca. Praca w kołchozie nie dawała nic.

Ponadto zostaliśmy poinformowani, że w niedługim czasie rozpocznie się kurs stolarzy. Pierwszeństwo przy zapisywaniu się będą miały osoby przynajmniej częściowo związane z tą pracą. Jeżeli chcemy pracować w charakterze stolarzy, to powinniśmy zgodzić się na jego propozycję.

Nie mając żadnego innego wyboru, chętnie przystaliśmy na propozycję szefa. Od tego momentu najczęściej pomagaliśmy malować oraz nosiliśmy prefabrykaty z hali obróbki mechanicznej do hali, w której powstawały szafy. Byliśmy zadowoleni. Kołchoz nas omijał. Zarabialiśmy konkretne ruble.

Moja pierwsza praca nie wprawiła w entuzjazm rodziców, chociaż w odróżnieniu od ojca, pracującego za darmo, zarabiałem pieniądze. Pomimo to w domu nie było radości, a z wypowiedzi przemawiał smutek. Rodzice słusznie obawiali się, że

praca ta nie uchroni przed służbą w radzieckiej armii. Ciągłe podkreślali, że stamtąd mogą nie wrócić i że nie takiej przyszłości pragnęli dla dzieci. Dobrze wiedzieli, że jedynie poprzez studia wyższe na dowolnym kierunku unikną kołchozów. Może nawet myśleli, że w ten sposób ominie mnie służba wojskowa. Uważali, że dopóki mają dostatecznie siły oraz energii, zapewnią minimum pomocy i wsparcia.

W wyniku wielokrotnych nacisków rodziców namówiłem Wacka i razem podjęliśmy decyzję, że spróbujemy zdawać egzaminy na wyższą uczelnię w Mińsku. Wybraliśmy Instytut Leśny. Nie pozostało nam nic innego, jak przerwać pracę, którą dopiero kilka tygodni wcześniej zaczęli. Kierownik stolarni, którego powiadomiliśmy o naszej nowej decyzji życzył sukcesu, a jednocześnie przyjaźnie doradzał, aby dobrze zastanowić się. Jeżeli nie zdołamy dostać się na uczelnię, to lepiej pozostać w stolarni. Twierdził, że był zadowolony z naszej pracy i bez wątpliwości w pierwszej kolejności zapewnił by fachowe przeszkolenie. Wyrażał też swoje obawy, czy nie będziemy zmuszeni iść do kołchozu, jeżeli nie dostaniemy się na studia, a u niego już wolnych miejsc nie będzie.

Decyzji nie zmieniliśmy. Po pożegnaniu się ze stolarnią, wkrótce zawieźliśmy wymagane dokumenty do Instytutu, wybierając kierunek „Gospodarka Leśna”. Pospacerowaliśmy po Mińsku. Kupiliśmy po kilka bochenków chleba i wróciliśmy do domu. Nastąpił okres intensywnego powtarzania materiału z okresu szkolnego. Na egzaminach była obowiązkowa matematyka, której w sumie nie bardzo się bałem, język rosyjski, z którym było gorzej, bo nie czytałem literatury obowiązkowej i jeszcze jakiś jeden lub dwa przedmioty. Dokładnie nie pamiętam.

Wyjeżdżając na egzaminy wstępne, dostałem od rodziców sto pięćdziesiąt rubli. Była to spora kwota i miała wystarczyć na cały okres pobytu w Mińsku. Dla przyjezdnych stworzono nie najgorsze warunki. Otrzymaliśmy zakwaterowanie w akademiku, za który należało zapłacić. Stawka nie była zbyt duża. Jedzenie każdy musiał załatwiać samodzielnie. Z obiadami nie było większych problemów. W mieście znajdowały się stołówki, gdzie za kilka rubli można było zamówić dowolną zupę. Na każdym stoliku stał talerz z pokrojonym chlebem i można było najeść się do syta. Jeżeli chleba brakowało, to kelnerki donosiły. Koszt chleba był w kalkulowany w cały obiad, bez względu na to, ile kto zjadł. Gorzej było ze śniadaniem i kolacją.

Mieszkałem w Mińsku chyba tydzień, przygotowując się do pierwszego egzaminu. Wziąłem w nim udział. Zdałem z wynikiem pozytywnym. Niestety, była to „państwowa trójka”, co nie stwarzało większych szans na zakwalifikowanie się do grupy szczęśliwców przyjmowanych na studia. Byłoby to realne tylko w przypadku znacznie lepszych wyników kolejnych egzaminów.

W tym czasie, pomimo najoszczędniejszego gospodarowania, rozeszły się wszystkie pieniądze. Podobny układ powstał u kolegi. Nie mając środków na dalsze utrzymanie i widząc małą szansę osiągnięcia wymaganego wyniku całego egzaminu, wróciliśmy do domu. Ponownie ujrzałem smutną twarz ojca i mamy. Kilkakrotnie i szczegółowo musiałem opowiadać, dlaczego nie próbowałem dotrwać do końca. Kolejny raz słyszałem ten sam monolog, że bez studiów trafię do kołchozu, z którego nie można nigdzie wydostać się, że czeka mnie ciężka i niebezpieczna służba w armii, na dalekim wschodzie lub północy.

Dowiedziałem, że od dłuższego czasu na potrzeby studiów były odkładane pieniądze i mogłem jeszcze jakąś kwotę otrzymać, a podczas nauki, gdybym się nie lenił, mógłbym otrzymać stypendium i studiować nawet przy minimalnej pomocy z domu. Dalszym marzeniem ojca było, żebym po ukończeniu wyższej uczelni i po uzyskaniu płatnej pracy, pomógł młodszym braciom.

Stało się inaczej. Zostałem w domu. Przesiedziałem beczynnie całą zimę, słuchając nie kończących się wypowiedzi ojca o tym, że nic dobrego w tym kraju mnie nie czeka, że albo trafię do kolchozu, albo będę miał obowiązek jechać na daleką północ lub Syberię i karczować lasy. W Kraju Rad pracy wystarczało dla wszystkich. Nikt nie mógł od niej uchylać się. Osoby próbujące wykręcić się od tego patriotycznego obowiązku edukowano „poprzez pracę” daleko, na bezkresnych przestrzeniach ogromnego kraju.

32

Dobrą wiadomość przynieśli rodzice na początku maja. Nadleśnictwo w Okinczycach poszukiwało chętnych do pracy w lesie na kilka miesięcy letnich. Mogli zatrudnić dwie, ewentualnie trzy osoby, jednak nie kolchoźników, których obowiązkiem było produkować chleb. Takiej szansy nie można przegapić. Zgłosiłem się natychmiast. Nadleśnictwo, to nie kolchoz. W nadleśnictwie za pracę płacili rublami. Tam się zarabiało normalne pieniądze. Razem ze mną do pracy zgłosił się jeszcze jeden chłopak, syn pani Loni. Był młodszy ode mnie, jeszcze chodził do szkoły, lecz od ostatnich dni maja miał czas wolny, ponieważ rozpoczynały się letnie wakacje. Nadleśnictwo wyraziło zgodę zatrudnić i jego.

Naszym zadaniem było wykonywanie w lesie wąskich, równoległych przesiek w odległości 250 metrów jedna od drugiej. Pracami kierowała młoda dwudziestoletnia dziewczyna po technikum leśnym. Była to jej pierwsza praca. Wysoka, o zgrabnej sylwetce poruszała się pewnie i dumnie. Widocznie zdawała sobie sprawę, że może podobać się mężczyznom. Może nie zauważyła, że jej długie włosy zaplecione w warkocz i kształtne usta spodobały się również takiemu małoladowi, jakim byłem wtedy.

Codziennie rano wyruszaliśmy w kierunku pobliskiego lasu. Z każdym dniem nasz trzyosobowy zespół oddalał się coraz bardziej od wsi i zagłębiał się w puszczy. Zaczęliśmy docierać do jej najdalszych obszarów, do których poprzednio nie śmieliśmy wejść nawet podczas poszukiwania grzybów.

Jakąś nieuczęszczaną dróżką szliśmy do wyznaczonego wcześniej punktu, położonego gdzieś w głębi lasu, gdzie skończyliśmy pracę w dniu poprzednim. Tu rozpoczynała się kolejna wędrówka, dokładnie po wyznaczonym azymucie, pod wysokimi sosnami i świerkami, przez gęste zarośla i krzaki.

Kierunek ustalała nasza szefowa na podstawie mapy i przy pomocy geodezyjnej busoli. Następnie, przebijając się przez wielkie gęstwiny i nieliczne polany, utrzymywaliśmy go za pomocą cienkich tyczek ustawianych w jednej linii. Napotykanne na drodze drzewa padały od naszej ręcznej piły lub pod uderzeniami siekier. Obrąbane gałęzie sąsiednich, wyższych drzew i niższych krzaków odślaniały wąski, długi tunel, powstający z tyłu za nami. Nad naszą przesieką spokojnie szumiały lekko kiwające się

na wietrze wierzchołki wysokich sosen i świerków, a wokół tłoczyły się dążące do światła niższe drzewa i krzaki.

Po wykonaniu każdego stumetrowego odcinka przesieki, wbijaliśmy na jej środku nieduży, drewniany pachołek, okorowany na biało. Zawsze robiliśmy na nim odpowiednią ilość nacięć, które określały odległość od punktu wyjściowego. Jedno nacięcie w poprzek oznaczało sto metrów. Dwie kreski - dwieście... Po pięciuset metrach należało wykonać nacięcie ukośne, a po tysiącu w postaci X, podobnie do cyfr rzymskich.

Przemierzaliśmy w ten sposób najpierw lasy najbliższe, a potem z każdym dniem coraz dalej. Las, który wydawał się taki ogromny i w którym można było z łatwością zabłądzić, stopniowo stawał się znany, a nawet bliski. Wkrótce nie miałem żadnych problemów ze znalezieniem drogi powrotnej z jego najdalszych zakątków. Nawet bagienną Szaciłówkę, ten prawdziwy busz, przeszliśmy po najdłuższej linii, z minimalnym odchyleniem od wyznaczonego punktu końcowego.

Kierunek potrafiliśmy utrzymywać dokładnie, odchylenia były znikome. Młoda szefowa zawsze oceniała naszą pracę jako dobrą lub bardzo dobrą. Miało to poważny wpływ na wysokość uzyskiwanego wynagrodzenia. Wynagrodzenie zależało nie tylko od jakości pracy. To był akord, który zmuszał do codziennego pokonywania możliwie największej ilości kilometrów.

Setki metrów przebytego lasu składały się na kilometry. Przesieka miała być wąska. Teoretycznie około siedemdziesięciu centymetrów, tak aby później tą trasą można było przejść. Miał tędy iść następny fachowiec z oddziału zarządzania lasów. Jego zadaniem było uaktualnienie map, inwentaryzacja stanu posiadania danego leśnictwa. Miał zaznaczać, korzystając z naszych pachołków z kreskami, w którym miejscu jakie drzewa rosną, jaki jest ich wiek itp.

Codziennie przemierzaliśmy kolejne kilometry lasu. Wycinaliśmy drzewa znajdujące się na trasie, stawialiśmy tyczki, wbijaliśmy pachołki. W lesie co prawda był cień, jednak orzeźwiający wiatr nie docierał. Było duszno. Po kilku godzinach chcieliśmy usiąść i odpocząć. Wreszcie organizm domagał się jedzenia i picia.

Kilkakrotnie z czyichś ust padały propozycje przerwania pracy na odpoczynek i posiłek. Kilkakrotnie było to odkładane w celu postawienia jeszcze jednej tyczki, wbicia kolejnego pachołka lub wycięcia drzewa, które akurat stało na drodze. Wreszcie jednogłośnie ustalaliśmy, że pracę przerywamy. W chwilę później usadawialiśmy się pod jakąś sosną lub świerkiem, gdzie nie było mrówek. Na leśnej trawie w pierwszej kolejności rozkładano białą serwetkę, na którą mój kolega wykładał dwie kanapki ze skwarkami. Podobne kromki chleba ze smalcem lub skwareczkami, albo z usmażonym czy ugotowanym jajkiem wykładałem również. Częstym dodatkiem do posiłku był małosolny ogórek, a do picia herbata w butelce.

Niestety, już w pierwszym dniu stwierdziliśmy, że żadnego jedzenia, żadnej kromki chleba nie miała nasza koleżanka - przełożona. Po przybyciu do wsi zamieszkała, w wynajętym pokoiku. Nie miała tu rodziny, ani znajomych. Nikt nie pomógł w zrobieniu najskromniejszych zakupów. Na śniadanie coś tam sobie ugotowała. Może jakąś zupę, może *kartoszczki*. Zabrać tego do lasu nie mogła.

Rozłożyliśmy swoje zapasy. Na mniejsze kawałeczki pokroiliśmy siekierą chleb oraz skwareczki i po wymianie porozumiewawczych spojrzeń zaprosiliśmy na wspólną ucztę Emmę. Próbowaliśmy odmawiać. Twierdziła, że nie jest głodna, że mamy zbyt mało jedzenia dla siebie. Przekomarzanie trwało chwilę. Wreszcie czując coraz większy głód, zdecydowanie oświadczyliśmy, że jeżeli nie dosiądzie się i nie przystąpi do wspólnego posiłku, to również nie rozpoczniemy jedzenia i nie wstaniemy do dalszej pracy. Wyznaliśmy obawy, że szefowie nie wręczą jej za to nagrody. Dziewczyna musiała ustąpić dwóm upartym, młodym chłopcom i przysiadła się do wspólnego posiłku.

Głód ma swoje prawa. Trudno spokojnie siedzieć i przyglądać się, jak ktoś z apetytem zaspokaja naturalną konieczność napełnienia żołądka. Emma, tak samo jak my, ochoczo sięgnęła po pokrojony chleb ze skwareczkami lub smalcem. Poczęstowała się pysznymi ogórkami i już nie ukrywała, że była głodna. Spożywaliśmy posiłek wolno, dokładnie przeżuając, tak by dłużej mieć smak jedzenia w ustach. Może pragnęliśmy lepiej nasycić się, a najpewniej chcieliśmy wydłużyć rozleniwiającą przerwę w pracy. Niestety, nie mogło to trwać zbyt długo. Musieliśmy wstawać i odmierzać kolejne kilometry. Za siedzenie nikt nie płacił i nie było już przy czym siedzieć. Na obrusiku nic nie zostało. Łatwo i szybko uwinęliśmy się we trójkę z tym, co było zbyt skromne na dwie osoby.

Jeszcze łatwiej i szybciej kończył się posiłek, kiedy zostałem w lesie tylko z Emmą. Rysiek popracował kilka tygodni i zrezygnował z możliwości samodzielnego zarabiania. Twierdził, że musi odpocząć przed szkołą, bo we wrześniu rozpoczyna się nauka. Emma ani razu nie wspomniała o chęci zatrudnienia innej osoby na jego miejsce. Pozostaliśmy w lesie we dwoje.

Teraz kanapki przeznaczone dla mnie dzieliłem na dwie osoby. Może po to, by odwdziżyć się za poczęstunek, a może w celu przyspieszenia pracy, w tym czasie gdy z siekierą w ręku „wyrąbywałem” naszą trasę, Emma podwoziła pachołki na bagażniku roweru, usuwała z drogi zrąbane mniejsze drzewka i gałęzie, ustawiała tyczki wyznaczające kierunek. Cały czas wykonywała dodatkową pracę, do której nie była zobowiązana. Wspólnie mierzyliśmy odległości. Razem ustalaliśmy dalsze etapy pracy. Samodzielnie Emma... śpiewała. Nie ma wątpliwości. Wysmukła, wspaniała dziewczyna śpiewała o miłości.

Zgrabna i zawsze wesola była na pewno w kimś zakochana. Śpiewała pełnym głosem, często powracała do tej samej piosenki lub jej refrenu. Pamiętam jej śpiew do dnia dzisiejszego. Po latach nie zapominałem słów i bez większych problemów dobrałem tłumaczenie polskie, tak by pasowało do tamtej melodii.

*Kak niezna morie galuboje
Błękitne cicho suną fale
Walszebien solniecznyj zakat
Ostatni promień słońca zgaśł
A my praszczajemsia z taboju
Na zawsze my się rozstajemy
I wot użie paślednij wzgliad
I oto już odszedłeś w dal
Krużatsia czajki nad wałnami*

Śmigają mewy nad falami
Diela pieczal razłuki s nami
Smutek rozłuki dzielą z nami
Gdzie ty daliokij, moj sinieokij
Gdzie twe dalekie, oczy niebieskie
Gdzie ty, szto sierdce s taboj
Gdzie ty, me serce jest tam
Wołny plieszcziut
Fale szumią
Wołny gawariat wiernioszsia
Fale szepczą - wrócisz
Wołny priniesut na bierieg
Fale nam przywrócą
Scziast`ie nasze wnow`
Nasze szczęście znów

W głębi puszczy, daleko od ludzi leśną ciszę wypełniał sentymentalny śpiew pięknej dziewczyny. Wtórował mu akompaniament ptaków ukrytych w liściastej gęstwinie i spokojny, monotony szum spływający od wierzchołków drzew.

Przeżyłem ciężki tydzień, kiedy Emma musiała wyjechać służbowo do Mińska, do swoich przełożonych. Zastępowała ją jakaś koleżanka. To był najgorszy tydzień w moim dotychczasowym zyciorysie.

Dzień nieskończenie długi. Duszno. Żadnego wiatorku. Konieczność oszczędzania picia, by starczyło na cały dzień. Niewdzięczna praca. Ciężka siekiera. Długie kilometry pieszej wędrówki do lasu i z powrotem. Długie kilometry w poprzek lasu, dokładnie po wyznaczonym kierunku. Wyrąbywanie napotykaných drzew lub obrąbywanie nisko wyrastających gałęzi i konarów przesłaniających trasę. Wybieranie cienkich, wysokich tyczek do wyznaczania kierunku. Wyszukiwanie nie zawsze znajdujących się w sąsiedztwie nieco grubszych, smukłych i wysokich młodych sosenek lub świerków na paliki. Rozrąbywanie ich siekierą na mniejsze kawałki, korowanie, wycinanie tą samą siekierą równoległych równych kreseczek i wreszcie podwożenie na bagażniku roweru naszykowanych palików do przodu, celem wbicia w ziemię na wymierzonej, kolejnej stumetrówce. Szału można dostać od takiej pracy.

Jeszcze na dodatek ta gruba, marudna dziewczyna łażąca z tyłu, ciągle wątpiąca, ciągle przypominająca, że odległości musimy mierzyć dokładnie, że nie możemy zboczyć z trasy, że musimy usuwać wszystkie drzewa w wyznaczonym pasie, że nie możemy tworzyć zbyt dużych odległości między tyczkami, że pracę muszę wykonywać dobrze i sumiennie, bo ona za mnie odpowiada, a pracownik, który wkrótce będzie szedł naszymi śladami nie może pomylić kierunku, nie może zabłądzić.

Rano wychodziłem z domu ze złośliwym opóźnieniem i zawsze słyszałem *burczenie*, że zmuszam do długiego czekania. Jak tylko słońce zaczynało obniżać się do czubków drzew twierdziłem, że z powodu zmęczenia musimy wracać do domu. W odpowiedzi słyszałem, że w tym tempie, planowanego zakresu prac do zimy nie zakończymy. Nie potrafiła domyślić się, że każde zwolnienie tempa pracy teraz,

wydłużało okres wspólnego przebywania z Emmą, a że Emma wróci, nie miałem żadnej wątpliwości.

Trwało to tylko tydzień. Długi, bardzo długi tydzień. Najdłuższy w moim dotychczasowym życiu. Zmarnowany tydzień najpiękniejszego lata mojej młodości. O zbliżającym się zakończeniu harówki dowiedziałem się od jęczącej, tymczasowej szefowej. Pewnego dnia obojętnie oświadczyła, że ma mnie dosyć i cieszy się bardzo, ponieważ już jutro wraca Emma, a więc z największą przyjemnością z nią się zamieni.

Nic na to nie powiedziałem. Nie miałem czasu na mówienie. Nie miałem czasu na czekanie. Emma jutro tu będzie, a już od tej chwili mięśnie nie odczuwały żadnego zmęczenia. Siekiera śmigała w moich rękach. Uderzenia w drzewa przeznaczone do usunięcia były celne i mocne. Nie przeszkadzał ściekający na oczy pot, nie przeszkadzały promienie letniego, gorącego słońca prześwietlającego nieruchome, leśne powietrze. Myślami byłem w dniu jutrzejszym, a gruba maruderka za mną ledwo nadążała.

Następny dzień był pogodny i ciepły, pełen szczęścia. Emma wróciła. Wyszedłem z domu wcześniej niż poprzednio. Szczęśliwy powolutku pedałowalem na swoim rowerze skrajem naszej piaszczystej drogi. Widocznie oczekiwanie też jest wspaniałe. Wreszcie ją ujrzałem przed domem, w którym mieszkała. Mimowolnego uśmiechu powstrzymać nie mogłem. Pójdziemy ponownie razem do lasu po długiej, po bardzo długiej przerwie.

Zgrabna, wysoka dziewczyna stała oświetlona promieniami porannego słońca. Czekala na mnie. Może też się cieszyła. Na powitanie, z uśmiechem i roziskrzonymi oczyma oświadczyła, że o niczym nie muszę opowiadać, bo już wie o wszystkim. Wie, że bardzo źle pracowałem, że byłem niezdolny, złośliwy i bez przerwy kłóciłem się, że najchętniej bym omijał wszystkie drzewa, a zamiast prostej przesieki podobno zamierzałem tworzyć zakola i wygibasy. Nie wie jednak dlaczego w ostatnim dniu *czior* w *tiebia* wstąpił³. Nie wie też, co się stało, że wczoraj odmieniłem się, przestałem się kłócić, pracowałem jak nigdy dotąd i wykonałem podwójną normę. Dowiedziałem się również, że tamta koleżanka nie mogła nadziwić się, jak Emma ze mną wytrzymała przez tak długi okres i mocno jej współczuła z powodu dni, w ciągu których będzie jeszcze ze mną pracować.

Od tej chwili ponownie krótkie stały się kilometry do miejsca rozpoczęcia pracy. Zbyt krótką mieliśmy drogę powrotną do domu. Letni upał już nie dokuczał. Bez żadnych problemów ta sama ilość napoju wystarczała na dwie osoby. Siekiera nie ciążyła. Przez największy gąszcz i mokradła oraz trafiające się po trasie górki i zagłębienia przechodziliśmy bez żadnych kłopotów łatwo i sprawnie, z minimalnym odchyleniem na końcu trasy. Okorowane, białe końcówki tyczek tworzyły za nami równiutki rządki. Nie mieliśmy wątpliwości, że odległości między palikami są wymierzone dokładne. Ich nigdy nie brakowało, bo zawsze na czas, jeżeli nie ja, to Emma, zauważała piękną, strzelistą sosenkę lub świerk na uzupełnienie zapasów. Z dumą i radością w oczach od czasu do czasu oglądaliśmy się razem do tyłu na wyrąbany w gęstwinie tunel, na efekty wspólnej pracy i z takim samym entuzjazmem kontynuowaliśmy dalsze wrąbywanie się w gęstwinę. Długi letni dzień mijał zbyt

³ diabeł w ciebie wstąpił. (ros.)

szybko. Wieczór nadchodził przed czasem. Do powrotu zmuszało słońce, mające zamiar skryć się za horyzontem, a przecież jeszcze czekała długa droga do domu. Czy może ktoś wie, dlaczego tak było, dlaczego obok tej dziewczyny czułem się tak wspaniale i byłem bardzo szczęśliwy?

Spędzaliśmy we dwoje w lesie, daleko od ludzi, całe dni. Byliśmy obok siebie. Pracowaliśmy razem. Razem cieszyliśmy się efektami wspólnego wysiłku. Słuchałem jak oczarowany śpiewu dziewczyny, oglądałem się na jej smukłą sylwetkę i długi warkocz. Wzrok od uśmiechniętych oczu wędrował do pięknych ust, a potem zatrzymywał się nie śmiało jeszcze niżej. Pod jej sporzeniem byłem silniejszy, sprawniejszy. Chyba mimo woli starałem się podobać. Tak! Na pewno pragnąłem podobać się dziewczynie, która nigdy nie była zmęczona, która nigdy nie narzekała ani na dzień dzisiejszy, ani na przeszłość i z optymizmem patrzyła w przyszłość.

Po wspólnym posiłku i krótkim odpoczynku wtedy, gdy najbardziej odczuwało się zmęczenie, potrafiła wstać pierwsza i narzucić tempo dalszej pracy. Potrafiła też bez żadnego sprzeciwu zgodzić się na dłuższą przerwę lub całkowite zakończenie pracy, jeżeli z mojej strony padła taka propozycja.

Pracę w lesie skończyłem późną jesienią. Już było wiadomo, że wyjedziemy do Polski. Nadszedł wieczór. Siedzieliśmy wszyscy w domu przy zapalanej lampie. W pewnym momencie do mieszkania weszła Emma. Starałem się być obojętny, lecz czułem wyraźnie, że serce zwiększyło rytm. Przyniosła ostatnią wypłatę. Po kilku minutach powiedziała, że wychodzi. Wyszedłem razem. Zatrzymaliśmy się przy naszej bramie. Odprowadzać nie musiałem. Teraz Emma wynajmowała mieszkanie po drugiej stronie ulicy.

Staliśmy obok siebie w mroku jesiennego wieczoru i cichutko rozmawialiśmy o minionych wspólnych miesiącach, o moim wyjeździe do Polski, o zostawionych w lesie przesiekach. O tym, że stopniowo zarosną, że po kilku latach nie zostanie po nich śladu. Mówiłem, że te wspólne miesiące na długo, na bardzo długo pozostaną w mojej pamięci, i jest mi bardzo ciężko i przykro, że nie spotkamy się więcej nigdy. Emma cicho potwierdziła, że odczuwa to samo. Po chwili zbliżyliśmy się do siebie, a jej głowa pochyliła się, położyła delikatnie na moim ramieniu. Swoim policzkiem dotknęłem jej włosów. Po chwili dziewczyna zarzuciła ręce na moją szyję. Już nie czekałem na nic. Tak samo objąłem ją. Znajdowałem się tak blisko, jak nigdy dotąd, jak nigdy nawet w najśmielszych marzeniach. Po raz pierwszy w życiu byłem przytulony do pięknej dziewczyny i po raz pierwszy wyczuwałem dotyk wysokich, pięknie ukształtowanych, dziewczęcych piersi. Emma przytuliła się mocniej. To była niepowtarzalna chwila szczęścia. Następnie, wolno zbliżyły się nasze usta i po chwili z rozkoszą, której nigdy dotąd nie zaznałem wdychałem zapach jej czystego oddechu. W następnej sekundzie po raz pierwszy poznałem smak dziewczęcych, wilgotnych ust.

Pierwszy w życiu pocałunek był chyba dość długi. Pomimo to pragnąłem, aby trwał jeszcze i jeszcze. Niestety, Emma zabrała swoje usta. Odchyliła głowę lekko w bok, odsunęła się, a po chwili powiedziała bardzo cicho: - *Praszczaj na wsiegda i bud` szasliw.*⁴

⁴ Żegnaj na zawsze i bądź szczęśliwy. (ros.)

Tak bardzo chciałem zatrzymać czas. Pragnąłem jeszcze chociaż przez chwilę mieć ją przy sobie, dotknąć policzka, włosów. Wyciągnąłem ręce w jej kierunku, zamierzałem ponownie przyciągnąć do siebie, ponownie przytulić. Niestety Emma była szybsza. Ze słowami... *bolszje nie nada...* *My użje prastiliś...* *Idi damoj*⁵, dziewczyna odwróciła się i odeszła. Jeszcze przez chwilę patrzyłem na jej zgrabną, smukłą sylwetkę ginącą w mroku cichego, jesiennego wieczoru.

W tym mroku rozplynęła się i na zawsze zniknęła z mego pola widzenia dziewczyna, o której nie sposób było zapomnieć. Smak krótkiego, pierwszego pocałunku pozostał w pamięci na wiele długich lat.

33

W cichy, jesienny wieczór na zawsze pożegnałem się z dziewczyną, która stopniowo, z dnia na dzień stawała się coraz bardziej bliska, która swą urodą przyśpieszyła bicie młodego serca jeszcze nie męskiego, lecz już nie dziecięcego. Przeżyłem pierwsze, krótkie lecz ostateczne pożegnanie. Wkrótce miało dojść do kolejnego nieodwracalnego rozstania, o znacznie głębszej wymowie. Miało nastąpić pożegnanie z krajem dzieciństwa, z moją Małą Ojczyzną.

Tamta pamiętna jesień była jesienią roku 1958. Mijały ostatnie miesiące otwartej granicy na wyjazd rodzin polskich, do nowej, powojennej Polski. Okres ten trwał wyjątkowo krótko, bo od roku 1956. Właśnie wtedy pomiędzy rządem Polski Ludowej, a władzą Związku Radzieckiego podpisano umowę wyrażającą zgodę na repatriację rodzin polskich z terenów, które po wojnie weszły w skład ZSRR. Informacja ta większego entuzjazmu w naszej wiosce nie wzbudziła. O tym problemie ojciec mógł rozmawiać jedynie z panem Pruszkowskim, który w tym czasie powrócił z radzieckiego więzienia. Kwestia wyjazdu do Polski dla tamtych dwóch kolegów, a zarazem szwagrów, stała się przedmiotem niejednej rozmowy. Od decyzji obu seniorów zaprzyjaźnionych rodów zależało, czy pozostaniemy w obcym kraju, w którym obaj tyle wycierpieli, czy opuścimy rodzinne strony i pojedziemy szukać szczęścia gdzieś daleko na Zachodzie.

Od tego momentu coraz częściej czytali oni *Prawdę*, w której podobno nigdy nie było prawdy lub *Izwiestie*⁶. Znawcy twierdzili, że tam z kolei nie było *izwiestii*. Nie mając żadnego dostępu do innych gazet, czytali te dwie. Z podobnym zainteresowaniem wysłuchiwali wieczorami dzienników z głośnika ustawionego na jeden program sterowany centralnie. Mieli nadzieję, że spośród potoku propagandy wynajdą jakąś prawdę o faktycznej sytuacji międzynarodowej. Obaj marzyli i ciągle wzajemnie wspierali się w swych pragnieniach i nadziejach, że sprawiedliwość zwycięży i nasze tereny powrócą do Polski. Wtedy żaden wyjazd nie będzie potrzebny.

Jeżeli w tym momencie ktoś z czytelników będzie miał wątpliwości nad czym zastanawiano się i dlaczego nie podjęto natychmiastowych decyzji o opuszczeniu tamtego kraju, to oznacza, że wcale nie zna historii i nie wie, jaki był to okres. Wypada pamiętać, że w 1956 roku wybuchło powstanie na Węgrzech. O jego przebiegu i następstwach można się dowiedzieć z podręczników historii. Wypada pamiętać o

⁵ Więcej nie trzeba. Idź do domu. Już pożegnaliśmy się. (ros.)

⁶ Wiadomości (ros.)

wydarzeniach, które miały miejsce w tym czasie bezpośrednio w Polsce. Decyzje o repatriacji podejmowano bezpośrednio po tamtych wydarzeniach.

Informacje o sytuacji w Polsce, a szczególnie na Węgrzech odbierano jako bezpośredni wstęp do kolejnej wojny. W żadnym podręczniku nie znajdziemy ani jednego zdania, o czym w tym czasie myśleli mieszkańcy dawnych Kresów Wschodnich. Tym bardziej nie będzie najmniejszej wzmianki o wielogodzinnych rozmowach dwóch sąsiadów z naszej wsi. Spotykali się prawie codziennie po to, by podczas długich wieczorów jeszcze raz zastanawiać się i próbować przewidzieć dalszy bieg wydarzeń międzynarodowych. Decyzje, które musieli podjąć, miały na długie lata rozstrzygnąć, może w sposób nieodwracalny, o dalszych losach rodzin, głównie następnych pokoleń.

Przez cały okres powstania węgierskiego w centrum uwagi pozostawały radzieckie komunikaty o „walce narodu węgierskiego z kontrrewolucją i o bratniej pomocy Armii Radzieckiej”. O wydarzeniach w Polsce informacje były wyjątkowo skąpe. Istniało zagrożenie, że mogą pójść w tym samym kierunku co i na Węgrzech, gdy do *nieodpowiedzialnych wystąpień wrogów socjalizmu dołączą osoby o chwiejnych charakterach*. Rozszerzenie zamieszek, a szczególnie podsycanie ich przez *militarystyczne koła Zachodu*, groziło konfliktem międzynarodowym o globalnej skali.

Właśnie wtedy, po raz pierwszy i ostatni, obserwowaliśmy z bliska zakrojone na szeroką skalę manewry Armii Radzieckiej. Przez Okinczyce w kierunku Mikołajewszczyzny sunęły całe kolumny samochodów wojskowych przepelnionych żołnierzami. W rejonie kołchozowych łąk, przeszkodę wodną forsowały jednostki pancerne. Tego fragmentu manewrów nie widziałem. Widział to ojciec, przebywający na łące razem z pozostałymi kolegami. Przerzuwając pracę zdziwieni kołchoźnicy przyglądali się, jak stalowe kolosy wpelzają na łąkę z jakiejś leśnej drogi i bez przeszkód pokonują podmokły teren. Nie wyhamowując prędkości czołgi zbliżały się do Niemna, a następnie zjeżdżały do rzeki i zanurzały się w jej czystym nurcie. Z tą samą łatwością wynurzały się po drugiej stronie, opływając strumieniami wody. Zostawiając za sobą kłęby siniego dymu, z hukiem potężnych silników i uniesionymi skośnie do góry lufami sunęły potem w kierunku malowniczych wzgórz po tamtej stronie rzeki, podążały dalej na zachód. Może nawet ich dowódcy nie wiedzieli do jakiego celu zmierzają. Prócz samochodów i czołgów, w niespotykanych dotąd ilościach, w kierunku zachodnim leciały samoloty.

Czy bezpośrednio po takich wydarzeniach można było myśleć o wyjeździe? Czy ktoś z odrobiną rozsądku mógł wyruszać w tę stronę, w którą podążała Armia Radziecka? Oczywiście, tamci dwaj „politycy” swoimi myślami byli po stronie narodu węgierskiego, marzyli o zwycięstwie powstania. Tak bardzo pragnęli, aby spod panowania Moskwy uwolnił się chociaż ten jeden kraj. Może dałby dobry początek.

Jakże szczęśliwy wszedł pan Pruszkowski pewnego popołudnia do nas, kiedy gdzieś na ulicy dowiedział się, że powstanie węgierskie ostatecznie zwyciężyło. Pragnął o tej wspaniałej nowinie rozmawiać z naszym ojcem, razem się cieszyć. Niestety ojca w domu nie było, ale głośnik pracował bez przerwy i słyszałem komunikat. Zrozumiałem, że nie jest tak, jak sąsiadowi ktoś powiedział. Stało się całkiem odwrotnie. Powstanie zostało stłumione. Nie mogłem jednak przez chwilę odezwać się. Nie miałem odwagi. Pan Pruszkowski, zawsze powściągliwy w słowach, promieniował szczęściem. Nie

byłem w stanie wyprowadzić go z błędu. W pewnym momencie zacząłem mówić, że moim zdaniem jest odwrotnie, że zwyciężył poprzedni system. Pan Pruszkowski nie chciał mnie słuchać. Nadal się cieszył i twierdził, że źle zrozumiałem komunikat.

Przez kilka minut siedział szczęśliwy i czekał na naszego ojca. Wtedy, zgodnie z tradycją, przed rozpoczęciem kolejnego programu w głośniku nastąpiła chwilowa cisza. Bez żadnej zapowiedzi, tak jak zwykle zakończono nadawanie patriotycznych pieśni. Słyszeliśmy jedynie cichy szum przed rozpoczęciem kolejnego programu. Po chwili rozległ się uroczysty, tryumfalny głos: *Gawarit Maskwa!! Rabotajut wsie radiostancje Sawieckawa Sajuza!!*⁷, który jak zwykle zapowiadał, iż za moment zostanie ogłoszony komunikat o najwyższej randze. Czasami dotyczył tego co się działo w kraju, a często wydarzeń międzynarodowych. Po takim wstępie, ten sam spiker donośnie i wyraźnie odczytywał *swodku Sawieckawa Infonbiuro*⁸.

Tym razem nie było wątpliwości. Usłyszeliśmy, że naród węgierski pokonał wrogów i wspierany bratnią pomocą Związku Radzieckiego rozgromił ciemne siły reakcji, pragnące odwrócić bieg historii. Dowiedzieliśmy się, że Węgierska Władza Ludowa pokonała kontrrewolucję i przystępuje do zaprowadzania porządku, nie zamierzając zejść ze słusznie obranej drogi budowy ustroju sprawiedliwości społecznej i państwa powszechnego dobrobytu. Sługusy zgniłego kapitalizmu kolejny raz otrzymali nauczkę. Widziałem, jak z twarzy pana Pruszkowskiego zniknął uśmiech, jak momentalnie poszarzała. Nie czekał już na naszego ojca. Z nisko opuszczoną głową, bez słowa pożegnania wstał i schylony, niby raptownie pozbawiony sił, opierając się ręką o drewnianą ścianę wyszedł za próg naszego mieszkania, w którym nadal płynął tryumfalny głos spikera z dalekiej Moskwy.

Czy po upadku powstania węgierskiego i stabilizacji sytuacji w Polsce napięcie w Europie osłabło? Czy mieszkańcy Kresów Wschodnich mogli już nie mieć wątpliwości i bez obaw wyjechać do Polski? Ponownie proponuję zajrzeć do podręczników historii. Zarówno przed tymi wydarzeniami jak i później, każda iskra na linii Wschód - Zachód mogła rozniecić płomień kolejnej wojny. Przez cały okres po zakończeniu drugiej wojny światowej, żyliśmy na krawędzi następnej. Bezpośrednio w Europie konfliktu nie było, lecz wszelkie starcia w dowolnym zakątku globu pomiędzy „postępowymi siłami wolności, demokracji i pokoju, a zgniłym kapitalizmem”, groziły wybuchem.

Wypada jedynie wspomnieć o wojnie koreańskiej. Był to rok 1950, a więc zaledwie po pięciu latach pokoju. Pamiętam, że wtedy ktoś we wsi pomylił Koreę z radziecką republiką *Karelską*, położoną na północ od ówczesnego Leningradu. Mieszkańcy z ulgą przyjęli korektę w dziedzinie geografii. Wyjaśniło się, że wojna owszem wybuchła, lecz nie tak blisko.

Kolejny konflikt w rejonie Kanału Sueskiego. Ponowne ostrzeżenia Związku Radzieckiego pod adresem *zachodnich kapitalistów i amerykańskich imperialistów*, że nie będzie przyglądał się obojętnie knowaniom próbującym powstrzymać bieg historii. Daleki, lecz jakże groźny konflikt we Wietnamie, gdzie *amerykańskie monopole zbrojeniowe* wbrew woli własnego narodu rozpoczęły *kolejną awanturę wojenną*. O innych *amerykańskich prowokacjach*, w tym systematycznych próbach nuklearnych

⁷ Mówi Moskwa. Pracują wszystkie radiostacje Związku Radzieckiego. (ros.)

⁸ Informacje radzieckiego Biura Informacyjnego. (ros.)

mających na celu zastraszenie Związku Radzieckiego, wysyłaniu balonów zwiadowczych nad teren ZSRR itp. nieodpowiedzialnych poczynaniach może nawet nie wypada wspominać.

Wiedzę o sytuacji na świecie ojciec zdobywał ze wspomnianych wcześniej gazet, z uroczystych komunikatów dobiegających z głośnika. Komentował, że wszystko należy rozumieć całkiem inaczej, ale czasami po powrocie z kołchozowej roboty przynosił wiadomości, przy których obowiązkowo padało ostrzeżenie, że nigdzie i nikomu tego powtórzyć nie możemy. Wtedy przekazywał informację od kogoś tajemniczego, kto słuchał w ciemnym mieszkaniu ze słuchawkami na uszach „Głosu Ameryki”. Znowu rosły obawy, że żyjemy w ostatnich miesiącach pokoju, że już wkrótce wybuchnie wojna.

Gazety i komunikaty radiowe twierdziły nieustannie, że napięcie pomiędzy postępowymi siłami socjalizmu, a dogorywającym kapitalizmem wzrasta nieustannie. Słyszeliśmy ciągle zapewnienie władz o zdecydowanej postawie narodu radzieckiego w jego nieustannej walce o zachowanie pokoju. Byliśmy systematycznie przekonywani, że światowy imperializm wspierany przez koncerny zbrojeniowe, wbrew woli własnych narodów, zaciekle dąży do rozpętania kolejnej awantury wojennej. Z odbiornika radiowego płynęły nieustannie patriotyczne, radzieckie pieśni wzywające do pokoju, do jego obrony w imię wolności i sprawiedliwości. Wiedzieliśmy, że wbrew imperialistycznym dążeniom narody Związku Radzieckiego i bratnich krajów Demokracji Ludowej nie pozwolą na rozpętanie wojny, że ...

*Nie bywat` wajnie pażaru
Nie palat` ziemnomu szaru.
Staniem kak adin
Skażiem nie dadim
Mir!.. Mir!.. Mir!...*

W takiej sytuacji, w obliczu narastającego zagrożenia chyba nikt rozsądny własnego domu nie opuszcza. Przed nadciągającą burzą ptaki kryją się do gniazd, pszczoły ciągną do uli. Nasi rodzice i rodzice sąsiadów na pewno byli rozsądni. Marzyli o ustępstwach władz radzieckich, lecz tak jak wszyscy ci co przeżyli koszmar poprzedniej wojny, bali się wybuchu nowej i nie mieli zamiaru podążać w kierunku ewentualnego frontu.

Na naszych terenach obawy przed nową wojną miały charakter paniczny. Jak się później dowiedziałem w Polsce, nawet kilka lat później, nie było lepiej. Właśnie na terenie Polski, tuż obok naszej wsi ojciec spotkał jeszcze jednego znajomego, również „z naszych stron”. Był dyrektorem sąsiedniego PGRu. Właśnie od niego usłyszał, że jeżeli pogospodarzy ze dwa, trzy lata to będzie doskonale. Został też pouczony, że mając swego konia, w przypadku najmniejszego zagrożenia, powinien załadować rodzinę na wóz i uciekać jak najszybciej „do Polski”. Twierdził również, że niepotrzebnie kupił zbyt młodego i drogiego konia. Na krótki okres gospodarowania wystarczyłby starszy, znacznie tańszy. Taka wypowiedź bliskiego przyjaciela była szokująca. Przecież nie po to opuściliśmy rodzinny dom, nie po to jechaliśmy tyle kilometrów, by za dwa trzy lata uciekać? Dokąd mieliśmy uciekać? Nasz dom pozostał daleko na wschodzie.

Te rozmowy miały miejsce w Polsce, gdzie osób o podobnych poglądach spotykało się więcej. Byliśmy jednak ciągle w ZSRR i nie mogliśmy podjąć ostatecznej decyzji. Czas leciał nieubłaganie. Wojna na szczęście nie wybuchła. Zbliżał się natomiast nieuchronnie ostateczny termin podjęcia decyzji. Dokumenty i wniosek o zezwolenie na wyjazd zostały złożone. Czekaliśmy na odpowiedź. Pomimo to, decyzja w tej sprawie ciągle nie zapadała. Warunki w tamtym kraju były okropne. Byliśmy jednak na ziemi dziadów i pradziadów. Kołchozy zabrały prawie wszystko. Jednak dom i podwórko zostały. Dom postawiony przez ojca na swojej ziemi. Podwórko, po którym biegałem boso od najwcześniejszego dzieciństwa. To tu był swój piasek i swoje kamienie, o które niejedną raz obijałem stopy i kolana.

Ojciec każdą wolną chwilę siedział ze starym, przedwojennym atlasem. Najprawdopodobniej znał go na pamięć. Atlas chyba automatycznie otwierał się na mapie Polski. Wtedy, krótkie chwile ciszy kolejny raz przerywały głośne wypowiedzi ojca, że po wojnie Polska otrzymała na zachodzie ziemie niemieckie, a utraciła ziemie polskie na wschodzie.

Kolejny raz padały te same słowa, że wyjazd do Polski w nowych granicach, na tzw. Ziemię Odzyskaną oznaczał wyjazd na ziemie cudze, do domu wybudowanego przez kogoś innego, na podwórko, którego prawowity właściciel wyjechał. Nie zrobił tego dobrowolnie. Opuścił swój dom wygoniony siłą, często bez możliwości zabrania podstawowego dobytku.

Właściciel, będący członkiem potężnego narodu niemieckiego, na pewno, nie porzucił myśli o powrocie na swoje ziemie. Czy zdając sobie sprawę z tych faktów możemy z entuzjazmem wyjeżdżać? Wyjeżdżać na tereny, na których należy oczekiwać bezlitosnego odwetu w przypadku ponownego konfliktu międzynarodowego i ponownego marszu armii niemieckiej na wschód? W warunkach istniejącego, ogromnego napięcia w stosunkach Wschód - Zachód były powszechne obawy o możliwość powtórzenia się wojny, o scenariuszu podobnym do poprzedniego.

W międzyczasie zezwolenie na wyjazd otrzymała rodzina państwa Pruszkowskich. Sprzedali dom, coś kupili. Niestety, nie mogli sprzedać ziemi ani żadnego z pozostałych budynków. Wszystko, za co w latach poprzednich na etapie „dorabiania się” musieli zapłacić, nie było już ich własnością. Wszystko należało do kołchozu, do którego przecież „wstąpili dobrowolnie”. Własności kołchozowej sprzedać nie mogli. Wreszcie na ich podwórko przyjechał ciężarowy samochód, mający odwieźć rodzinę na granicę, do Brześcia. Pomagałem załadować się. Pomagał również mój kolega Szurik. Razem odprowadziliśmy ich do granicy i przeładowali wszystko do wagonu towarowego, z polskimi napisami. Wagon znalazł się po radzieckiej stronie po to, by zabrać rodzinę do Polski.

Pruszkowscy wyjechali, a my czekaliśmy nadal na dokumenty. Odpowiedź ciągle nie nadchodziła. Nie została też podjęta ostateczna decyzja: wyjeżdżamy, czy zostajemy na swoim z nikłą nadzieją, że granice ulegną zmianie? Ostateczna decyzja o wyjeździe została podjęta w wyniku wielokrotnych, jednoznacznych nacisków ze strony brata mamy, czyli wujka Witka, mieszkającego w Warszawie. W tym czasie był on kapitanem Wojska Polskiego.

Jego stanowisko było stanowcze, nieprzejednane. Nie ustępował, nie chciał słuchać żadnych argumentów i stanowczo domagał się, żebyśmy wyjeżdżali bez żadnych obaw. Przekonywał listownie i podczas rozmów telefonicznych (W tym czasie można było rozmawiać telefonicznie, po wcześniejszym zamówieniu rozmowy. Było to bardzo skomplikowane. Szczegółów nie znam. Telefon był oczywiście nie w domu, a na poczcie.) Stwierdzał, że mamy zostawić wszystko i jechać. Do dotychczasowego głównego argumentu o tym, że Polska na nasze tereny nie powróci, w ostatnim okresie dodał jeszcze jeden. Stwierdził, że nie pojedziemy daleko nad Odrę, chociaż i tam jest Polska. Poinformował, że zamieszkamy w pobliżu Szczytna na terenie Mazur, że czeka na nas pusty dom i gospodarstwo rolne w pobliżu miasta, a kierownikiem działu rolnego w Urzędzie Powiatowym jest były mieszkaniec Stołpiec, przedwojenny kolega ojca.

Ostatnie argumenty nie przeważały szali. Decyzja o wyjeździe była podjęta nieco wcześniej. Dodatkowe zapewnienie, że nie grozi nam ryzyko wyjazdu daleko na Zachód, że ojciec ma szansę spotkać się z kimś „z naszych stron”, przyjęte zostało z ogromną ulgą i zadowoleniem⁹. Ponownie oglądaliśmy ten sam przedwojenny atlas, koncentrując uwagę już na jednym punkcie wokół miasta o nazwie Szczytno¹⁰.

34

Wreszcie, po długim oczekiwaniu otrzymaliśmy dokumenty wyrażające zgodę na wyjazd. Teraz w krótkim terminie należało sprzedać dom, krowy i drobny majątek nie nadający się do transportu. Identycznie jak rodzina państwa Pruszkowskich nie mieliśmy prawa sprzedaży ziemi ani swojej, ani dziadka. Za pozostawioną dla kołchozu stodołę, nie otrzymaliśmy „złamanego grosza”. Z dużego gospodarstwa dziadka, rodowitego mieszkańca wsi i gospodarstwa ojca, sprzedać mogliśmy jedynie dom. Pozostała część majątku została utracona chociaż przetrwała wojnę i nie było pożaru.

Zaczęli nas odwiedzać pierwsi kupcy zainteresowani nabyciem domów. Wszyscy w słowach wykazywali ogromne chęci, lecz nikt nie spieszył się z podejmowaniem ostatecznej decyzji. Czas sprzyjał im, a nie nam. Wreszcie, krowy zapewniające mleko na potrzeby rodziny i obowiązkowe dostawy dla radzieckiego państwa, zostały wyprowadzone z chlewa, a następnie z jakimiś obcymi ludźmi opuściły podwórko.

Najtragiczniej wyglądał moment sprzedaży ziemniaków. Nadeszła późna jesień. Zakończył się okres gromadzenia zimowych zapasów, a u nas odwrotnie. Koszyk za koszykiem wyciągano ziemniaki z piwnicy, które następnie wędrowały do worków. Jakieś nieznane osoby zabrały je na swój wóz. Wreszcie piwnica została opróżniona, a w kalendarzu był koniec listopada i na zamrzniętej ziemi leżał biały śnieg. Podczas tej

⁹ Po przyjeździe do Szczytna, ojciec wkrótce udał się do Urzędu Powiatowego w celu dopełnienia niezbędnych formalności w związku z objęciem w posiadanie gospodarstwa. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdził, że Kierownikiem Wydziału Rolnego jest nie tylko znajomy, lecz dawny kolega, z którym razem pracował w jakimś biurze. Takiego spotkania ani jeden, ani drugi nie spodziewał się.

¹⁰ W Białej Podlasce, na punkcie repatriacyjnym na powitanie, ojciec miał pierwszą awanturę z władzami polskimi. Kiedy transport zatrzymał się na stacji, udał się do zawiadowcy, żeby poinformować, że nie pojedziemy na zachód tak jak pozostałe wagony z transportu, lecz do Szczytna. Oczywiście, w pierwszej chwili tamci na ten temat nawet nie chcieli rozmawiać. Nie wiedzieli jednak, że nasz ojciec w ten sposób traktować się nie pozwalał. Wybuchła awantura. Ojciec kategorycznie oświadczył, że pojedziemy tam, gdzie my chcemy, że od tej decyzji żadnego odstępstwa nie będzie. Innym rozwiązaniem może być jedynie odesłaniem naszego wagonu z powrotem do Rosji. W efekcie pojechaliśmy do Szczytna.

pracy na podwórko weszła sąsiadka, chwilę postąła, a następnie stwierdziła: „...*Uzas to kakoj. Pribliżajecca zima, a Wy kartoszku pradajotie. Sierce razbalełaś. Smatriet` żutka*¹¹”. W następnej chwili odwróciła się i ze spuszczoną głową skierowała się na ulicę.

Kolejnym problemem stało się odpowiednie spożytkowanie uzyskanych rubli. Nie pozostawało na to zbyt dużo czasu. Najbezpieczniej było jak najszybciej pozbyć się gotówki dokonując stosownych zakupów. Do przyjemności nie należało ani przetrzymywanie pieniędzy w domu, ani poruszanie się z nimi po mieście. Oczywiście, w miarę sensowne zakupy były możliwe jedynie w Mińsku, ponieważ w Stołpcach sklepów w zasadzie nie było, a te które były „świeciły pustkami”. Pomimo ogromnych trudności, dzięki zaradności rodziców udało się kupić motocykl, obrączki, jakieś pierścionki i tradycyjne rosyjskie zegarki oraz inne drobiazgi, niezbyt przydatne w Polsce.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień naszego pobytu w Okinczycach. Wszystko spakowane. Następnego poranka, tj. 6 grudnia 1958 roku powinien przyjechać samochód ciężarowy z przyczepą, który miał nas zawieźć do Brześcia. Oczywiście, wszystko załatwiał ojciec, pomimo wieku bliskiego siedemdziesiątki. Moje myśli w tym czasie bez przerwy krążyły wokół problemu pożegnania się z wiejskimi kolegami, z którymi wspólnie spędziłem ostatnie lata.

Trudno sobie wyobrazić pożegnanie bez alkoholu. Miałem kilkadziesiąt rubli. Mogliśmy więc kupić kilka butelek samogonu. Biesiada pożegnalna przeciągnęła się do późnego wieczoru. Wspominaliśmy krótki okres wspólnej młodości, mówiliśmy o dobrobycie, który nas czeka w najbliższej przyszłości. Przekonywaliśmy sobie nawzajem, że już wkrótce rozpocznie się wspaniały okres nie tylko w Kraju Rad budującym komunizm, a również w Polsce kroczącej drogą socjalizmu, wybraną samodzielnie i z własnej woli. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że żadnych wojen już nie będzie. Rozpocznie się szczęśliwa era dla wszystkich.

Następnie poszliśmy na ostatni wspólny spacer w kierunku Stołpiec. Koledzy chcieli iść dalej, do samego miasta. Byłem jeszcze na tyle przytomny, że potrafiłem zdecydowanie oświadczyć, iż nigdzie dalej nie idę, ponieważ jest późno i muszę wracać do domu. Rano wyjeżdżamy. Na szczęście, po krótkiej wymianie zdań zawróciliśmy. Pomimo zamroczenia alkoholowego, umysł jeszcze pracował.

Przekroczyłem próg i *wtoczyłem się* do mieszkania. Stwierdziłem, że rodzice jeszcze nie spali. Siedziała u nas matka jednego z kolegów. Powiedziałem *zdrawstwujtie* i skierowałem się na swoje łóżko. Pragnąłem jak najszybciej położyć się spać. Drugi próg był dla mnie zbyt wysoki i zahaczając o niego nieposłusznymi nogami o mało nie przewróciłem się. Usnąłem natychmiast. Rano zostałem obudzony do ładowania rzeczy na samochód.

Nauczycielka, która późnym wieczorem przysłała pożegnać się z rodzicami, nazywała się Maria Jefimowa i uczyła w okinczyckiej szkole młodszych braci Józka i Kazika. Była to starsza, miła kobieta - *wostocznic*a, z głębi Rosji. Miała syna jedynaka,

¹¹ Przerazające. Zbliża się zima, a wy ziemniaki sprzedajecie. Serce się rozboleło. Patrzyć nie mogę. Coś niesamowitego (ros.)

w moim wieku. To właśnie on próbował znaleźć szczęście podczas żniw na kazachstańskich ugorach wbrew stanowisku matki.

Nie byłoby o czym wspominać, gdyby nie mundurek harcerski przywieziony przez wujka Witka z Polski. W tym mundurku Józek chodził od kilku dni do szkoły. Jefimowa nie miała żadnych uwag. Nic ją to nie obchodziło. Niestety, do szkoły przyjechał z wizytacją jakiś urzędnik. Oczywiście zobaczył, że jedno dziecko wyróżnia się ubiorem.

Padły krótkie, ostre pytania... Co to za mundur?! Co to za pagony?! Do furii doprowadziła go odpowiedź, że jest to mundur polskich harcerzy. Krzyczał, że jest to prowokacja w stosunku do władz radzieckich, że tylko Polacy do tego są zdolni, że Polacy nie mogą zrozumieć, ile dobrego przyniosła im nowa władza radziecka, że Polacy... są gorsi od Niemców.

W Brześciu, na stacji kolejowej, stał przy rampie długi rząd polskich towarowych wagonów. Wskazano nam jeden, jeszcze pusty. Złożyliśmy tam swój dobytek, tak jak inni wyjeżdżający. Już wkrótce było wiadome, że w ciągu najbliższych godzin nie odjedziemy. Było cicho, nie było dużego mrozu. Spacerowaliśmy po długiej rampie, przyglądali się innym podobnym do nas. Za odsuniętymi drzwiami widzieliśmy osoby starsze oraz dzieci w różnym wieku, tak samo opatulone i przeważnie milczące. Z niektórych wagonów zawiewało wyraźnym smutkiem, ale w innych widziało się wesołe, zaczerwienione twarze i uśmiechnięte oczy. Na prowizorycznych stolikach leżała tam gruba słonina, pokrojony chleb i stały wysokie butelki z lekko mętym płynem.

Nie wiem którzy bardziej wierzyli, że w Polsce z nowymi granicami również znajdą miejsce dla siebie i odtworzą nową ojczyznę przynajmniej dla następnych pokoleń.

Załadowaliśmy swoje rzeczy do jednego z wagonów. Poustawiano wszystko tak, aby istniała możliwość położenia się i przespania. Nie było wiadomo, ile czasu potrwa podróż. W wagonach znajdowały się żelazne piecyki. Na rampie kolejowej leżała sterta węgla. Mogliśmy z niego korzystać. Mimo odsuniętych drzwi wagonu i lekkiego mrozu, nie było zimno.

Nadszedł kolejny dzień postoju. Był to 9 grudnia 1958 roku. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na chwilę, kiedy do naszego składu zostanie dopięta lokomotywa i wyruszymy do Polski, którą znaliśmy wyłącznie ze słyszenia. Stojąc w otwartych drzwiach patrzyliśmy wzdłuż wagonów na pustą rampę. Wreszcie zobaczyliśmy sylwetkę mundurowego funkcjonariusza służb radzieckich.

Szedł wolno po rampie i informował, że od tej chwili nikt nie ma prawa wychodzić na zewnątrz. Nie było żadnych wątpliwości. Wkrótce przyjdą wysokiej rangi urzędnicy i będą sprawdzać czy mamy dobre dokumenty, czy nie próbujemy bezprawnie wyjechać z Kraju Rad, będącego ogromną wyspą szczęścia w morzu kapitalistycznej biedy. Na pewno zechcą sprawdzać, czy czasami nie wywozimy nadmiaru kosztowności.

Kilkusobowa ekipa mundurowych i cywili zbliżała się w naszym kierunku. Z niektórych wagonach wychodzili szybko. W niektórych przebywali dłużej. Jak będzie u nas? Czy każą wszystko rozpakowywać? Czy nie zechcą dokonać szczegółowej rewizji, na przykład w poszukiwaniu ukrytego złota? W ostatniej chwili ojciec spojrzął na kufer babci i zapytał, co się w nim znajduje. Babcia odpowiada, że jej bielizna i przedwojenna, wojskowa czapka syna Witka. Zdążyła jeszcze dodać, że przecież on nadal jest w wojsku, więc mu będzie potrzebna.

Zdenerwowany, zmieniony na twarzy ojciec kazał czapkę natychmiast wyjąć. Ujrzeliśmy wysoką, kolorową rogatywkę. Widzieliśmy ją tylko chwilę. Za moment przedwojenna, ułańska czapka wujka wylądowała w żelaznym piecyku i po kilkunastu następnych sekundach przemieniła się w stertkę popiołu. Babcia ze spuszczoną głową siedziała nie odzywając się. Widocznie nie mogła zrozumieć, o co zięć miał pretensje. Jakie zagrożenie stwarzała przedwojenna czapka polskiego ułana współczesnej potędze Związku Radzieckiego?

Za moment cała ekipa znalazła się w naszym wagonie. Sprawdzili dokumenty. Pytali, co zabieramy ze sobą. Porozglądali się, a następnie jeden z urzędników zapytał się obojętnym głosem, co znajduje się w jednej ze skrzynek. Ojciec powiedział prawdę, że pszczoły. Padło natychmiastowe polecenie wystawienia tej skrzynki z wagonu. Usłyszeliśmy, że niczego żywego wywozić nie możemy. Bez zbędnych słów polecenie władz zostało wykonane. Skrzynka z pszczołami znalazła się daleko na skraju rampy, pod drewnianym ogrodzeniem. Dalsze oględziny były wyjątkowo krótkie i ekipa kontrolerów opuściła wagon.

Mieliśmy szczęście! Mieliśmy ogromne szczęście! Moja głupota i brak znajomości radzieckich realiów mogła nas drogo kosztować. Mieliśmy szczęście, że kontrola była powierzchowna, że nie zaglądano do żadnej z zabranych książek. W jednej znaleźliby kartkę sporządzoną przeze mnie. O niej nie wiedział nikt. O niej również całkowicie zapomniałem. Zresztą w tamtych latach nie zdawałem sobie sprawy, że przez granicę przewożę *material szpiegowski*. Była to kartka z planem lasu, po którym z Emmą wędrowałem wzdłuż i wszerz. Znajdowały się tam linie wyznaczające tzw. kwartały. Były wpisane ich numery. Powstał kwadracik z napisem Stołpce. Zostały zaznaczone Okinczyce. Już taki plan wystarczał do postawienia zarzutu szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa. Jakby tego było jeszcze zbyt mało, tuż za grubszą linią ograniczającą zasięg naszych wędrówek znalazł się napis... *Les wojennawo znaczenija*¹².

Coraz bardziej wierzę, że jestem urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Przecież... na Syberię w łonie matki nie pojechałem. Przetrwalem chorobę, na którą zmarł starszy brat. Ratując Walerkę przed niechybną śmiercią w nurtach Niemna nie utonąłem. Miałem tyle rozsądku, że po wypiciu znacznej ilości samogonu w ostatnią noc przed wyjazdem z Okinczyce, wróciłem do swego domu. Wreszcie zrobiłem mapkę o szpiegowskim przeznaczeniu, będącą niepodważalnym argumentem na zatrzymanie całej rodziny i cofnięcie prawa na wyjazd, a pomimo to nic złego nikomu się nie stało.

Cóż to za mapka. Mała kartka wyrwana z zeszytu szkolnego. Chciałem mieć pamiątkę z tamtej pracy w lesie. Nie zdawałem sobie sprawy, jak drogą cenę mogła zapłacić za to cała rodzina. Nikt by w moje opowieści nie uwierzył. Wyjazd byłby

¹² Las o znaczeniu wojskowym (ros.)

wstrzymany. Byłoby NKWD, byłyby przesłuchania. Nie byłoby powrotu do Okinczyc, do swego domu. Zamiast w polskim wagonie do Polski, mogliśmy pojechać całą rodziną na daleką Syberię.

Obawiam się, że również w syberyjskiej tajdze, pod nadzorem uzbrojonego konwojenta, wyznaczałaby *wizirki* Emma. Nie wiedziała o niczym, a mogła być oskarżona o współpracę z wrogami radzieckiego państwa. Umożliwienie wykonania szkiców z tajnych podkładów geodezyjnych, nawet w najbardziej łagodnej wersji oskarżenia nie dawało jej żadnej szansy pozostania na wolności.

Kontrola zakończona. Na peron wychodzić nie wolno. Po jakimś czasie słychać huk zderzaków i następuje szarpnięcie wagonu. Nie mamy wątpliwości. Doczepiono lokomotywę. Za moment wagony drgnęły i potoczyły się. Przejeżdżamy obok stojących składów innych wagonów towarowych, mijamy stację osobową. Pociąg leniwie toczy się dalej. Po wychyleniu głowy w odsuniętych drzwiach wagonu na wielkim łuku widzimy lokomotywę i prawie wszystkie wagony oraz stwierdzamy, że zbliżamy się do mostu nad rzeką. Już lokomotywa znalazła się na moście. Po chwili w naszym wagonie również słychać głucho dudnienie kół toczących się po szynach, ułożonych na stalowych belkach.

Pod nami Bug. Za nami Kraj Rad. Za rzeką Polska, a w oczach rodziców łzy. W wagonie cisza. Nikt nie odzywa się, nikt nic nie mówi. Jeszcze kilkaset metrów, może kilometr, może więcej i pociąg zatrzymał się. Do wagonów podchodzą polscy kolejarze. Wysiada z nich radziecka obsługa. Idą razem wzdłuż pociągu z jakimiś dokumentami. Coś sprawdzają. Podchodzą do naszego wagonu. Patrzą czy wagon jest kompletny, czy jest piecyk, czy nie ma uszkodzeń. Słyszymy pierwsze słowa po polsku i ostatnie po rosyjsku. Jesteśmy w Polsce.

Kochany Niemen i rozgrzane letnim słońcem piaski zostały na zawsze za nieprzekraczalną granicą. Daleko na wschodzie pozostał nasz drewniany dom z dużą kuchnią, pod belkami której, siedząc wysoko na ramionach ojca, razem z nim głośno śpiewałem:

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...

Zamiast zakończenia

Sentymentalne wspomnienie pejzaży utraconej Ojczyzny, to uczucie zrodziło się i towarzyszyło mi przez cały okres opisywania własnych przeżyć z lat dzieciństwa i młodości.

Jeżeli w umyśle przynajmniej jednego czytelnika wzbudziłem lub wzmocniłem poczucie więzi ze swoją Małą Ojczyzną, z terenami własnego dzieciństwa i młodości, jeżeli powiększyłem tęsknotę do utraconych rodzinnych krajobrazów lub co najmniej obudziłem poczucie więzi z terenami, gdzie ktoś mieszkał i mieszka, to osiągnąłem ogromny sukces życiowy.

MINIUM